

DLA FANÓW HARLANA COBENA I LEE CHILDA

TIM WEAVER

ZNIKĘŁA, BO CHCIAŁA?
CZY KTOŚ ZDECYDOWAŁ ZA NIĄ?

NIE WIESZ,
KIM JESTEŚ

ALBATROS

ŻADNYCH ŚWIADKÓW

Lynda Korin, była aktorka i modelka, wdowa po kultowym reżyserze, która od lat wiedzie spokojne życie na angielskiej prowincji, pewnego dnia wjeżdża na parking przy malowniczym cyplu i wszelki ślad po niej ginie.

ŻADNYCH POSTĘPÓW W ŚLEDZTWIE

Kiedy policja nie jest w stanie już nic zrobić, do akcji wkracza David Raker. Zatrudniony przez siostrę Lyndy, zanim odpowie na pytanie, gdzie jest zaginiona – lub jej ciało – musi się dowiedzieć, czy zjawiała się na cyplu z własnej woli, czy ktoś ją do tego zmusił.

ŻADNYCH MOTYWÓW... CZY NA PEWNO?

Trop prowadzi Rakera daleko w przeszłość. Do czasów kiedy mąż Lyndy był u szczytu sławy, kręcąc filmy nagradzane Oscarami. Czy to możliwe, że Lynda odkryła po latach sekret, który doprowadził go do upadku? Sekret tak straszny, że musiała zniknąć... na zawsze?

TIM WEAVER

**NIE WIESZ,
KIM JESTEŚ**

Z angielskiego przełożył
Łukasz Praski

ALBATROS

Wydanie elektroniczne

TIM WEAVER

Brytyjski pisarz, z zawodu dziennikarz. Jako wolny strzelec współpracował z wieloma gazetami i czasopismami, m.in. z „The Guardian” i „Sports Illustrated”; pisał o filmach, telewizji, sporcie i grach komputerowych. Jest autorem serii thrillerów o prywatnym detektywie Davidzie Rakerze, zajmującym się poszukiwaniem osób zaginionych.

Dotychczas ukazało się dziewięć powieści Weavera – w tym Ścigając umarłych, Zanurzyć się w mrok, Bez ostrzeżenia, Zniknęli na zawsze, To, co zostaje i Bardzo złe miejsce – oraz zbiór opowiadań.

Tim Weaver uwielbia powieści Lee Childa i Michaela Connelly’ego.

timweaverbooks.com

Tego autora

ZANURZYĆ SIĘ W MROK
BEZ OSTRZEŻENIA
ZNIKNĘLI NA ZAWSZE
BARDZO ZŁE MIEJSCE
TO, CO ZOSTAJE
NIE WIESZ, KIM JESTEŚ

Tytuł oryginału:
BROKEN HEART

Copyright © Tim Weaver 2016
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2021

Polish translation copyright © Łukasz Praski 2021

Redakcja: Anna Walenko

Zdjęcie na okładce: Leonel Romero/Shutterstock.com

Projekt graficzny okładki: Kasia Mieszka

ISBN 978-83-8215-581-5

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, hachi.media

Spis treści

CZĘŚĆ PIERWSZA

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

CZĘŚĆ DRUGA

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

CZEŚĆ TRZECIA

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

49

50

51

52

53

CZEŚĆ CZWARTA

54

55

56

57

58

59

60

61

62

63

CZEŚĆ PIĄTA

64

65

66

67

68

69

70

71

72

73

74

75

76

77

78

79

80

81

Filmografia Roberta Hosterlitza

Od autora

Podziękowania

Przypisy

Dla Lucy

00:00:01

Kamera ustawia ostrość.

Emerytowany detektyw Ray Callson siedzi na krześle w przeciętnym, skąpo umeblowanym pokoju biurowym o jasnych ścianach. W oknie jest żaluzja, ale uchylona, więc widać przez nie wieżowce centrum Los Angeles – niewyraźne szaroniebieskie plamy w tle. Callson bierze podany mu mikrofon. Zza kadru odzywa się cichy, nienaturalnie brzmiący głos:

– Proszę przypiąć do koszuli.

Callson wykonuje polecenie, po czym prostuje się i przygląda siwe włosy, zaczesane na bok, z przedziałkiem równym jak od linijki. Mimo przekroczonej sześćdziesiątki wciąż jest przystojnym mężczyzną. Jego jedyny zarost to wąsy, a w przenikliwych zielonych oczach malują się dwie żółte kropki – odbicie światła lampy przymocowanej uchwytem do kamery. Czekając, parę razy odchrząkuje i zerka na zegarek.

– Jest pan gotowy?

– Oczywiście – odpowiada Callson.

Kamera z szumem zaczyna pracować.

– Czy na początek może się pan przedstawić?

Callson jeszcze raz odchrząkuje i mówi:

– Nazywam się Raymond J. Callson. Przez trzydzieści dwa lata byłem funkcjonariuszem policji w Los Angeles.

– Czym się pan zajmował?

– Większość tego czasu pracowałem nad sprawami zabójstw.

– Podobała się panu ta praca?

– Podobała? – Wzrusza ramionami. – Nie wiem, czy to odpowiednie słowo.

– Dlaczego?

– Nie jestem pewien, czy ktoś idzie do policji, zwłaszcza do wydziału zabójstw, z myślą, że będzie mu się to podobało. Przecież ma się do czynienia z ludźmi, którzy zostali zgwałceni, zakłuci nożem, zastrzeleni... Czy to kojarzy się z czymś przyjemnym?

Zza kamery nie pada żadna odpowiedź.

Callson znowu wzrusza ramionami.

– Zresztą niech pan robi swoje.

– Czy kiedykolwiek chciał się pan znaleźć gdzie indziej?

– To znaczy?

– Czy kiedykolwiek chciał pan zmienić pracę?

Callson bierze głęboki oddech, jak gdyby sam wielokrotnie zadawał sobie to pytanie i do dziś nie znalazł odpowiedzi.

– Oczywiście. Zdarzają się chwile, kiedy człowiek zastanawia się, co by było gdyby. Mój stary pracował w służbach komunalnych przy utrzymaniu zieleni. Bywały dni, kiedy przechodziłem pod taśmą, która ogradzała miejsce zdarzenia, żeby zobaczyć, co jeden człowiek potrafi zrobić drugiemu, i myślałem sobie: Dlaczego ja tu jestem, do cholery? Byłoby mi o wiele lepiej, gdybym kosił trawę w MacArthur Park. – Uśmiecha się, ale niewesoło. – Prawdę mówiąc, sporo było takich dni.

– Ale nigdy pan tego nie zrobił.

– Czego?

– Nigdy nie zajął się pan koszeniem trawy w MacArthur Park.

– Nie – mówi. – Ciągle jeździłem oglądać miejsca zdarzenia.

– Ile pan prowadził spraw zabójstw, tak w przybliżeniu?

– Przez trzydzieści dwa lata? – Callson wypuszcza powietrze ustami. – Nie wiem. Trudno policzyć. Tysiąc, dwa tysiące, naprawdę nie mam pojęcia. Pewnie najlepiej będzie powiedzieć, że mnóstwo. Los Angeles to miasto, w którym było, i jest, sporo przemocy.

– Czy jakieś sprawy szczególnie utkwiły panu w pamięci?

Callson najwyraźniej usłyszał pytanie, ale nie odpowiada.

– Panie Callson?

Dalej milczy.

– Panie Callson, czy jakieś sprawy szczególnie utkwiły panu w pamięci?

Bardzo wolno kiwa głową, patrząc w przestrzeń za kamerą.

– Tak – mówi. – Tak, nie muszę się nawet długo zastanawiać, żeby przypomnieć sobie jedną taką sprawę.

CZĘŚĆ PIERWSZA

1

Trzy poziomowy pub Queen of Hearts znajdował się przy Seymour Place, w połowie długości ulicy, na południe od stacji metra Marylebone. Lokal był wyłożony taką samą szklivioną terakotą, jaką można było zobaczyć na stacjach metra w całym mieście, a w środku panowała tylko odrobinę niższa temperatura niż na zewnątrz. Z nieba od wielu tygodni lał się żar, prażąc układ krwionośny miasta – wszystkie budynki, wszystkie chodniki, każde okno skąpane w blasku słońca – i teraz, pod koniec sierpnia, wydawało się, że nie ma przed nim ucieczki: klimatyzacja w pubie pracowała pełną parą, a na długim barze ustawiono dodatkowe wentylatory, ale w niczym to nie pomagało.

Kiedy kelner zaprowadził mnie do nakrytego dla dwóch osób stolika w głębi, przy oknie wychodzącym na zadbane ogród, zamówiłem piwo, po czym wyjąłem z torby laptop i zalogowałem się do wi-fi. Ledwie zdążyłem otworzyć przeglądarkę, gdy nagle zadzwonił mój telefon. Spodziewałem się, że to Melanie Caw, kobieta, z którą umówiłem się na lunch. Ilekroć się spóźniała – co zdarzało się rzadko – i dzwoniła do mnie po ustalonej godzinie, najczęściej informowała mnie, że coś jej wypadło i nie będzie mogła przyjść. To jednak nie była Caw. Ani nikt z listy moich kontaktów. Co dziwniejsze, telefon w ogóle nie był z Wielkiej Brytanii.

Dzwonił ktoś ze Stanów Zjednoczonych.

Na mojej stronie internetowej były wszystkie dane kontaktowe, a trzy lata temu jedna sprawa zaprowadziła mnie aż do Nevady, nawiązałem więc pewne kontakty w Las Vegas i okolicach, choć rzadko rozmawiałem z tymi osobami. Ale to nie był kierunkowy 702, czyli nie Las Vegas, a kiedy zajrzałem do laptopa, by sprawdzić prefiks 952, okazało się, że to numer przypisany do sporego terenu na południowy wschód od Minneapolis. Kogo znałem w Minneapolis?

Zaciekawiony, wcisnąłem ODBIERZ.

– David Raker, słucham.

– Och, pan Raker. – Damski głos. Jakby zaskoczony, że odebrałem. – Nazywam się Wendy Fisher. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Wendy Fisher. Przejrzałem w myśli rozmowy, które odbyłem w ciągu kilku ostatnich tygodni, usiłując przypomnieć sobie, czy w którejś z nich padło takie nazwisko. Byłem prawie pewien, że nie. Nie znałem tej kobiety; nie znałem nikogo z tej części Stanów.

– Bardzo przepraszam, że dzwonię tak niespodziewanie – ciągnęła – ale pomyślałam... hm, pomyślałam sobie, że może poświęci mi pan parę minut. – Jak gdyby czytając mi

w myślach, dodała: – Nigdy wcześniej nie rozmawialiśmy. Nie zna mnie pan.

– Rozumiem. Słucham, czym mogę służyć, Wendy?

– Hm, chciałabym... miałam nadzieję...

Od razu zorientowałem się, że wahanie w jej głosie nie ma nic wspólnego z zaskoczeniem, że odebrałem telefon. Nerwowe staccato zdań, które z trudem z siebie wydobywała, świadczyło o udręce i bezradności. Słyszałem te emocje wielokrotnie, w każdej sprawie zaginięcia, którą zgodziłem się przyjąć.

– Czy ktoś zaginął?

– Tak. – Zamilkła na moment. – Moja siostra, Lynda. Nie daje znaku życia od października zeszłego roku. Nie wiem, co robić... nie wiem, co jeszcze mogłabym zrobić.

Gdy tylko wymieniła imię siostry, zaczął jej się rwać głos. Dałem jej chwilę, wracając wzrokiem do mapy Minnesoty, którą pokazywał ekran laptopa.

– Widzę, że dzwoniś ze Środkowego Zachodu.

– Zgadza się. – Potrzebowała jeszcze chwili, by zapanować nad sobą. – Z Lakeville. To miasto czterdzieści kilometrów na południe od Minneapolis.

– Z Minneapolis jest daleko do Londynu.

– Wiem – odrzekła. – Wiem, że daleko.

– Dlatego trudno będzie ci pomóc... jeżeli w tej sprawie dzwoniś.

Słowa uwięzły jej w gardle.

– Aha – wykrztusiła tylko.

– Trochę znam Stany, mieszkałem i pracowałem na obu wybrzeżach, może więc sytuacja wyglądałaby inaczej, gdybyś była z Nowego Jorku, Waszyngtonu albo Los Angeles. Ale Minneapolis... twoich okolic w ogóle nie znam. Lepiej zwróć się do kogoś na miejscu.

– Moja siostra mieszka w Anglii.

Pojąłem.

– Okay.

– Lynda spędziła w Europie większość dorosłego życia. – Powoli odnajdywała rytm i pewność siebie. – Znalazłam pana nazwisko w internecie, potem googlowałam i czytałam o sprawach, nad którymi pan pracował. O ludziach, których pan odnalazł. Oglądałam reportaże o panu w CNN i Fox News. Widziałam, co pana spotkało, kiedy przyjechał pan do Las Vegas. Widziałam o panu coś jeszcze w BBC, o sprawie z zeszłego roku. I pomyślałam: To jest człowiek, który może pomóc znaleźć Lyn.

Milczałem.

– Pomoże mi pan ją znaleźć, panie Raker?

– Mam na imię David.

– David – powiedziała cicho. – Czuję, że jestem bardzo daleko od centrum wydarzeń. Policja nic nie wskórała. Może dla nich to tylko numer w kartotece czy jakieś papiery w szafce, ale dla mnie to jest wszystko. Nikt nie miał od niej żadnej wiadomości od

października, a ja... po prostu bardzo za nią tęsknię. – Wymowna pauza, pociągnięcie nosem. – Mam oszczędności. Mogę zapłacić. Proszę mi pomóc.

Spojrzałem w okna pubu, przez które słońce wdierało się do środka. To zawsze było najgorsze: moment, kiedy zrozpaczone głosy w słuchawce niepewnie poruszały temat pieniędzy. Zapłacimy każdą cenę. Damy ci wszystko, co mamy.

Tylko ją odzyskaj, tylko go znajdź.

Nie wiedzieli, a może woleli nie wiedzieć, że chodziło mi o coś więcej. Owszem, musiałem płacić rachunki, jak wszyscy, ale potrzebowałem tych spraw także z innych, mniej oczywistych, powodów. Odkąd sześć lat temu pochowałem żonę, praca stała się dla mnie sposobem na przeżywanie żałoby. Zaginieni stali się moim kołem ratunkowym.

A teraz byli moim tlenem.

Mimo to trochę się wahałem przed spełnieniem prośby Wendy Fisher, tym bardziej gdy pomyślałem o możliwych konsekwencjach przyjęcia tego zlecenia. Dzieliły nas tysiące kilometrów, a w sprawach zaginionych osób dużo zależy od kontaktu twarzą w twarz, od obserwacji subtelności mimiki ludzi w reakcji na pytania. Skype nie potrafił oddać odcieni emocji, cierpienia i żalu.

– Panie Raker?

Otrząsnąłem się z zamyślenia.

– Tak. Jestem.

– Pomoże mi pan? – zapytała.

– Jeszcze nie wiem, Wendy.

Milczała, wyraźnie zaskoczona.

– Mówiłaś, że siostra ma na imię Lynda.

– Tak – potwierdziła cichym, nadal zgnębionym głosem. – Przez „y”.

– A nazwisko?

– Korin. Lynda Korin.

– Mieszkała w Wielkiej Brytanii?

– Tak. Od osiemdziesiątego czwartego roku. Wcześniej była w Hiszpanii. Wyjechała do Europy w połowie lat siedemdziesiątych i tak jej się spodobało, że postanowiła zostać.

– Ile ma teraz lat?

– Sześćdziesiąt dwa... prawie sześćdziesiąt trzy. Ma urodziny w przyszłym miesiącu, trzynastego września.

– Dobrze. A kiedy zaginęła?

– Dwudziestego ósmego października, we wtorek.

Dzisiaj był dwudziesty szósty sierpnia, czyli minęło prawie dziesięć miesięcy.

– Gdzie widziano ją po raz ostatni? – spytałem.

– Słyszał pan o Stoke Point?

– Nie, nie słyszałem.

– Oczywiście nigdy tam nie byłam, ale zrobiłam research. Oglądałam zdjęcia. To malownicze miejsce na południowym zachodzie Anglii. O ile pamiętam, w Somerset, na wybrzeżu, parę kilometrów na północ od... hm... – Usłyszałam szelest przewracanych kartek. – Chwileczkę. Hm... tak, Weston-super-Mare.

– Okay. Znam Weston.

– Tam znaleziono samochód Lyndy.

– Porzuciła go?

– Wszystko na to wskazywało. Samochód był zamknięty. W schowku została jej torebka i telefon komórkowy. Ale klucze leżały niedaleko w zaroślach.

– Rzuciła kluczyki obok samochodu?

– Zgadza się. Nie wiem dlaczego.

Nie odpowiedziałem, nie chcąc snuć przy niej domysłów – ale nasuwała mi się jedna możliwość: to nie Korin je wyrzuciła.

– Ktoś ją widział tego dnia, w którym zaginęła?

– Nie – odparła Wendy.

– Byli jacyś świadkowie?

– Żadnych.

– A zapis z kamer monitoringu?

– Nie było.

– Nie mieli tam żadnych kamer?

– Mieli jedną.

– Ale nie zarejestrowała twojej siostry?

Chwila ciszy.

– Właśnie to jest najdziwniejsze.

– To znaczy?

– Jest tam tylko jeden wjazd i wyjazd.

– Rozumiem.

– Kamera przy głównej bramie pokazała, że Lyn wjechała tamtędy... ale już nie wróciła.

W ogóle. Ani pieszo, ani swoim samochodem, ani cudzym. Nie pojawiła się żywa ani martwa, ślad po niej zaginął. Jak gdyby w chwili, kiedy minęła tę bramę, właściwie przestała istnieć.

2

Nagle zdałem sobie sprawę, że bezwiednie otworzyłem w laptopie nowy dokument, całkiem odruchowo, instynktownie; zrobiłem to, mimo wszelkich niedogodności wynikających z faktu, że Wendy Fisher była w innej strefie czasowej. Zanotowałem też kilka informacji: wiek Lyndy Korin, datę jej zaginięcia i okoliczności, w jakich zniknęła.

Jak gdyby przestała istnieć.

– Nikt nie natrafił na żaden ślad Lyndy? – spytałem.

– Nie – odpowiedziała Wendy. – Przepadła.

– Kto zgłosił jej zaginięcie?

– Ja. Zawiadomiłam policję drugiego listopada, po tym, jak od pięciu dni nie dawała znaku życia, ale wasza policja znalazła samochód dopiero dziesiątego.

– Kogo dokładnie zawiadomiłaś?

– Policję Avon i Somerset. Nie spałam całą noc, żeby zadzwonić zaraz z samego rana, kiedy w Anglii zacznie się dzień pracy. Policjant, z którym rozmawiałam, nazywał się Stewart Wolstenholme. Potem sprawę przejął ktoś inny... detektyw z wydziału dochodzeniowego, Raymond White. Okazał się trochę bardziej kompetentny niż ten Wolstenholme... pewnie był wyższy rangą albo bardziej doświadczony, wszystko jedno. Ale też nie potrafił jej znaleźć. A teraz Lyn...

Przepadła. Na zawsze.

– Kiedy ostatni raz rozmawiałaś z detektywem White'em?

– Jakies dwa, trzy miesiące temu. Zadzwonił do mnie z informacją, że nie ma nic nowego, ale że ciągle jej szukają. Wcale nie jestem pewna, czy to prawda.

– Dlaczego?

– Wydaje mi się, że to tylko gadanina. Zanim oddzwonił, zostawiłam mu pięć wiadomości. Właściwie to polowałam na niego. Zawsze odnosił się do mnie uprzejmie, ale wiedziałam, że nie traktuje tej sprawy jako priorytetowej. To było słychać w jego głosie. – Urwała, z trudem powstrzymując łzy. – Wiem, że są zajęci. Wiem, że prowadzą inne sprawy. Ale ja od dziesięciu miesięcy przeżywam koszmar.

– Czy Lynda miała jakieś kłopoty? – spytałem cicho.

– Nie. Nic z tych rzeczy. Finansowo wszystko grało. Lyn ma dom na wzgórzach Mendip i spłaciła już hipotekę. Byłam tam kilka razy. Naprawdę piękny. Wychodzi na wielkie jezioro, dookoła jest mnóstwo zieleni. Dostaje dobrą emeryturę, ale dwa razy w tygodniu

chodzi do pracy, prowadzi księgowość jakimś miejscowym firmom... Wszystko układało jej się dobrze. Była zadowolona.

– Tak powiedziała?

– To znaczy?

– Mówiła ci, że jest zadowolona?

– Codziennie esemesowałyśmy. Kilka razy w tygodniu rozmawiałyśmy przez Skype'a. Nigdy nie miałam wrażenia, że coś ją martwi czy niepokoi... a gdyby tak było, jestem pewna, że coś by o tym wspomniała. Albo sama bym zauważyła.

Być może, pomyślałem. A być może nie.

– A to miejsce, w którym zniknęła...

– Stoke Point.

– Właśnie. Co o nim wiesz?

Sam zacząłem szukać informacji w Google'u.

– Co wiem? – Wciągnęła powietrze przez zęby. – Niestety, nie jestem ekspertem. Widziałam tylko mapy satelitarne. Zdjęcia. Mogę powiedzieć jedynie tyle, ile się dowiedziałam.

– To mi wystarczy.

– Wygląda na odosobnione miejsce. Parking jest na końcu trzykilometrowej drogi, biegnącej wzdłuż brzegu, ślepej, więc nie ma innej drogi powrotnej, a półwysep jest po drugiej stronie parkingu i sięga w morze na... chyba niecały kilometr. Nie sądzę, żeby to było... dobre miejsce, no... dla samobójców.

Ostatnie słowo zabrzmiało mocno.

– Przeczytałam, że półwysep wznosi się zaledwie pięć metrów nad poziom morza, a od brzegu oddziela go jeszcze pas skał, głazów i kamyków, szerokości od trzech do pięciu metrów, który ciągnie się po obu stronach. – Przerwała, by odetchnąć, jak gdyby dręczące myśli o tym, co mogła tam robić jej siostra, dławily ją w gardle niczym lepka gruda. – Chodzi mi o to – dodała słabym głosem – że gdyby ktoś rzeczywiście chciał się tam rzucić z brzegu, złamałby sobie tylko parę kości, chociaż też nie na pewno.

– Jak widzę, nie sądzisz, by Lynda miała skłonności samobójcze.

– Nie. Wykluczone.

– Wspomniałaś, że przy wjeździe była jedna kamera monitoringu?

– Zgadza się, tak mi powiedziano.

– Na pewno nie było innych?

– Pytałam o to White'a, a on zapewnił, że nie. Powiedział, że jedyna kamera jest przy bramie. Przesłał mi mailem kilka ujęć z zapisu wideo; nie ma wątpliwości, że Lyn wjechała na parking. To jej samochód. Ona siedzi za kierownicą. To Lyn.

– A później nie ma już nic?

– Zupełnie nic. Ona po prostu znikła.

– Nie mogła wyjść gdzieś w innym miejscu?

– Nie sądzę. Z tego, co mówił White i co samej udało mi się znaleźć w internecie, wynika, że wjazd na parking przy Stoke Point jest na końcu kamiennego mostu, który łączy półwysep z główną nadbrzeżną drogą. Gdyby nawet wyszła pieszo, musiałaby iść tamtędy. Kamera złapałaby ją na moście.

– Co się z nią działo, kiedy dostała się na półwysep? Nikt nie widział, żeby w dniu zaginięcia wsiadała do jakiejś łodzi albo wchodziła do wody, żeby dotrzeć do łodzi czekającej trochę dalej od brzegu?

– Mówiłam już, nie było żadnych świadków.

– Może więc ktoś zabrał ją na pokład?

– Z tego, co czytałam, wydaje mi się to mało prawdopodobne. Nie mam pewności, ale próba podpłynięcia do półwyspu byłaby ryzykowna. Według godziny na zdjęciach z zapisu kamery, które widziałam, Lyn wjechała na parking około dziewiątej rano. Detektyw White powiedział mi, że o tej porze jest najniższy poziom wody podczas odpływu. Mówił, że w tej części świata po morzu zostaje tylko błoto, które jest niebezpieczne jak bagno.

Miała rację: ze względu na pływowe zmiany poziomu wody połączenie Kanału Bristolskiego zmieniały się w błotniste równie. Nie tylko uniemożliwiało to podpłynięcie łodzi do brzegu, ale sprawiało też, że pokonywanie mulistego dna pieszo było niebezpieczne.

No więc gdzie przepadła Lynda Korin?

– Czy White przesłał ci inne informacje?

– Parę zdjęć. Dostałam od niego kilka maili.

– I to wszystko?

Usłyszałem przeciągłe westchnienie.

– Wszystko. Wiem o Stoke Point tylko tyle, ile przeczytałam i ile mi powiedziano. Żałuję, że nie widziałam tego półwyspu na własne oczy. Jednak nie mogę zostawić męża, dzieci i wnuków, oznajmiając im, że wyjeżdżam na nie wiadomo jak długo. Bardzo kocham siostrę, ale nie zostawię na całe miesiące rodziny, żeby bawić się w detektywa... – Wydała krótki, rozpaczliwy jęk, który mówił o jej cierpieniu więcej niż jakiegokolwiek słowa. – Tak naprawdę nie wiedziałabym, od czego zacząć. Nie jestem policjantem. Na litość boską, pracuję jako pielęgniarka. Dlatego postanowiłam zadzwonić do ciebie.

Uniosłem wzrok znad laptopa i w otwartych drzwiach pubu, na tle oślepiającego słońca, zobaczyłem Melanie Caw.

– Dam ci wszystko, co mam – powiedziała Wendy – co do dolara, co do centa. Nie jestem zamożna, nie mam fortuny, ale zrobię to dla Lyn. Zrobię, co tylko będzie trzeba, włożę w to całe serce i duszę. Proszę, pomóż mi ją odnaleźć.

Zastanawiałem się nad tym. Niedługo jednak myślałem.

– Masz u siebie skaner, Wendy?

To pytanie najwyraźniej zbiło ją z tropu.

– Hm, skaner do komputera? Tak, mam coś takiego.

– W takim razie proszę cię, żebyś zeskanowała wszystkie materiały, które zebrałaś i które bezpośrednio dotyczą zniknięcia Lyndy, a potem przesłała je mailem do mnie, razem z informacjami od detektywa White'a. Przejrzę to wszystko i dam ci znać.

– Och, dziękuję – powiedziała. – Dziękuję ci bardzo...

Zanim zdążyła dokończyć zdanie, głos jej się załamał i gdy chciała mi jeszcze raz podziękować, usłyszałem już tylko płacz.

3

– Wiem – powiedziała Melanie Craw, podchodząc do stolika. – Okropnie się spóźniłam.

Wstałem, by pocałować ją w policzek. Szczupła i subtelna, z jasnymi włosami do ramion, związanymi z tyłu, miała na sobie nieskazitelnie odprasowany ciemnoszary kostium ze spodniami. Wyglądała elegancko i onieśmielająco. Dokładnie tak, jak powinna się prezentować w swojej branży, gdzie każda słabość jest natychmiast wykorzystywana.

– Mogę ci poświęcić tylko godzinę – oznajmiła, przywołując gestem jednego z kelnerów.
– Mam spotkanie w komisariacie przy Paddington Green, a jeszcze muszę wkuć masę informacji.

Niemal połowę swoich czterdziestu pięciu lat Craw spędziła w Policji Metropolitalnej i obecnie była inspektorem w komendzie głównej, co oznaczało, że dowodziła grupą złożoną z około pięćdziesięciu detektywów, funkcjonariuszy i personelu pomocniczego, która rozpracowywała sprawy zabójstw. Po raz pierwszy zetknęliśmy się właśnie na gruncie zawodowym i z początku Craw odnosiła się do mnie – jak do wielu osób, z którymi pracowała – z głęboką i nieprzejednaną podejrzliwością.

Jednak stosunki między nami stopniowo się zmieniły, zwłaszcza odkąd zaginął jej ojciec. Chcąc za wszelką cenę wyjaśnić tę zagadkę i nie mając innego wyjścia, rada nierada poprosiła mnie, żebym ustalił, co się z nim stało, i w konsekwencji chyba zrozumiała, jakim typem człowieka jestem. Zobaczyła, ile dla mnie znaczy ta praca, jak bardzo mnie pochłania. Te cechy często wbijały klin między mnie a innych – ale w przypadku Craw rezultat był odwrotny. Wciąż jednak nie miałem pewności, czy jesteśmy w oficjalnym związku, czy nie. Bardzo ją lubiłem. Uważałem, że jest atrakcyjna, interesująca, ambitna, choć zawsze odnosiłem wrażenie, że ma opory przed zrobieniem ostatecznego kroku i nie jest gotowa się zaangażować. Duży wpływ na to miała jej potrzeba, by chronić własną opinię w policji przed hienami czyhającymi na każde potknięcie, a także moja skłonność do ryzyka, do balansowania na krawędzi prawa, czego nie znosiła. Czasem w przypływie cynizmu dochodziłem do wniosku, że jej niechęć do pogodzenia się z tym, co robimy, to sprytny plan ucieczki – gdybym znalazł się w opałach, mogłaby się obrócić na pięcie i odejść, nie narażając na szwank swojej reputacji, nie ponosząc żadnych konsekwencji zawodowych.

– Co porabiałeś od rana? – spytała.

– Nic ciekawego.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że samozatrudnienie to taki luz.

Uśmiechnąłem się, wychylając połowę piwa.

– Właśnie skończyłem rozmawiać z pewną kobietą z Minneapolis. Prosiła mnie, żebym odnalazł jej siostrę.

Craw spojrzała na mnie.

– Z Minneapolis w Ameryce?!

– Spokojnie – odrzekłem. – Jej siostra mieszka tutaj.

– I bardzo dobrze. Wycieczka do Stanów to ostatnia rzecz, jakiej ci potrzeba. Co się stało z tą kobietą?

Wzruszyłem ramionami.

– Pojechała do jakiegoś malowniczego zakątka na wybrzeżu Somerset, porzuciła samochód i zniknęła z powierzchni ziemi.

– Zamierzasz wziąć tę sprawę?

– Tak.

Przyglądała mi się przez chwilę. Kiedyś byłoby to obojętne, enigmatyczne spojrzenie, ale odkąd lepiej ją poznałem, stało się bardziej czytelne. Chociaż wydawało się to nieprawdopodobne, w jej oczach malowała się troska.

– Pracujesz w tym samym fachu co ja – przypomniałem jej.

– Tyle że ja po swoich sprawach nie wyglądam, jakbym spędziła pół roku w strefie działań wojennych. – Umilkła, muskając palcami łańcuszek na szyi. Widziała już moje blizny i równie dobrze poznała blizny, których nie było widać. – Nie zapominaj tylko, że dziesięć miesięcy temu zdiagnozowano u ciebie zespół stresu pourazowego.

– Łagodną postać stresu pourazowego.

– Łagodna amputacja pozostaje amputacją.

– Nic mi nie jest – zapewniłem ją.

– Miałeś iść do psychologa.

– Nie muszę chodzić do psychologa. Raz straciłem przytomność i miałem jeden krótki atak paniki. Nic więcej. Dobrze śpiam. – Pokazałem na nią i na siebie. – Wszystko układa się dobrze. Jestem szczęśliwy.

– Nie próbuj mi się podlizywać.

Oboje się uśmiechnęliśmy.

Dokończyłem piwo, ale gdy przełknąłem ostatnią kroplę, ciągle przyglądała mi się z tą samą miną.

– Musisz myśleć o córce – powiedziała. – Musisz też myśleć o Olivii.

Moja córka Annabel miała dwadzieścia sześć lat, a Olivia była jej jedenastoletnią siostrą. Olivia nie była moim biologicznym dzieckiem, ale ponieważ jej rodzice nie żyli i została jej tylko Annabel, otaczałem ją równą troską. Ostatni tydzień wakacji spędzały w Hiszpanii z jakimiś znajomymi Annabel.

– Nic mi nie jest, Craw.

– Słuchaj, nie zamierzam tu siedzieć i wałkować w kółko tego samego. Ale kiedy wszystko idzie dobrze, to jasne, że sypiasz lepiej i dobrze się czujesz. Takie jest życie. Przystajesz spać i nie możesz myśleć o niczym innym dopiero wtedy, gdy coś się spieprzy. – Zamilkła na chwilę, ponieważ kelner przyniósł właśnie sałatkę i wodę mineralną dla niej oraz kanapkę dla mnie. Kiedy znowu zostaliśmy sami, podjęła: – Wiem, co chcesz powiedzieć. „Gdy biorę jakąś sprawę, jak mogę przewidzieć, czy skończy się dobrze, czy źle?”. Fakt, nie możesz. A wiesz już o tym, kiedy poczujesz nóż na gardle. – Wzruszyła ramionami i nabiła na widelec kawałek kurczaka.

Craw nigdy nie prosiła mnie, żebym porzucił swoje zajęcie, zawsze jednak wysuwała przeciwko niemu ten sam argument: w Metropolitalnej ograniczały ją przepisy, procedury i struktura służby; w mojej pracy nie było żadnych zasad. Nikt nie mógł mnie powstrzymać – i nikt nie mógł mnie uchronić przed upadkiem w przepaść.

– Obiecuj mi tylko, że pójdziesz na tę umówioną wizytę do lekarza w piątek rano – dodała, a gdy nie odpowiedziałem, spojrzała na mnie. – Zgoda?

Skinąłem głową, ale prawdę mówiąc, w ogóle o tym nie pamiętałem.

– Bo skończysz jak Colm Healy, Raker.

To była druga rzecz, o której mi często przypominała. Healy’ego znaleźliśmy oboje i oboje z nim pracowaliśmy: znakomity ekspliniarz, który przez swoje złe decyzje i bolesne rany zmienił się we wrak człowieka. Dziesięć miesięcy temu zostałem zmuszony do poszukiwania Healy’ego i ta sprawa mnie przytłoczyła. Po raz pierwszy w życiu doznałem ataku paniki, straciłem przytomność, w ciągu miesiąca udało mi się przespać najwyżej kilka godzin. Odnalezienie go stało się moją obsesją, bo wydawało się, że nie miał nikogo innego prócz mnie. Ostatecznie zdołałem wyjaśnić zagadkę, ale w ciągu następnych miesięcy Craw doszła do przekonania, że ta sprawa ciągle mnie prześladowuje, drażni jak swędzące miejsce na ciele i utrudnia mi trzeźwą ocenę sytuacji.

– Rozchorowałeś się przez to poszukiwanie Healy’ego – powiedziała. – Zrobiłeś dla niego wszystko, co mogłeś. Lepiej będzie nie doprowadzać się znowu do takiego stanu.

Cały czas kiwałem głową, dając jej do zrozumienia, że biorę sobie do serca to, co mówi. Tym razem jednak postanowiłem się nie odzywać z zupełnie innego powodu: Craw potrafiła czytać we mnie jak w otwartej książce – a nie chciałem, żeby przyłapała mnie na kłamstwie.

Dawno minął moment, w którym mogłem jej powiedzieć, co naprawdę odkryłem po zakończeniu poszukiwań Healy’ego. Upłynęło za dużo czasu. Za długo ją oszukiwałem. Chciałem jej wszystko wyznać, często wyobrażałem sobie tę sytuację, zastanawiając się, czy mi wybaczy, ale w końcu zawsze dochodziłem do tego samego wniosku – nie wybaczy. Wina była zbyt wielka, by mogła mi ją darować.

Tak więc nie powiedziałem nic.

A w starym domku rybackim na południowym wybrzeżu hrabstwa Devon, który zostawili mi w spadku rodzice – w pokojach, gdzie kiedyś mieszkali – toczyło się życie

człowieka, którego istnienia nie odkrył nikt prócz kilku osób spotykających go codziennie w wiosce. Nazywał się teraz Bryan Kennedy. Tak brzmiało nazwisko właściciela rachunku bankowego, takie nazwisko widniało w jego prawie jazdy i paszporcie.

Ale on i ja znaleźliśmy prawdę.

4

Wyszedłem z Queen of Hearts i ruszyłem Marylebone Road na zachód. Zrobiło się tak gorąco, nawet w cieniu, że chociaż widziałem, jak gałęzie drzew rosnących wzdłuż chodnika porusza łagodny wiatr, to na skórze nie czułem najłżejszego podmuchu.

Po drodze zadzwoniłem do paru osób.

Pierwszą z nich był mój dawny kontakt, Ewan Tasker, którego poznałem w czasach mojej kariery dziennikarskiej. Pracował wtedy w NCIS, Krajowej Służbie Wywiadu Kryminalnego, a potem jej następczyni, czyli SOCA, Agencji do spraw Zwalczania Poważnej Przestępczości Zorganizowanej – z których wykluła się Narodowa Agencja do spraw Przestępczości, NCA – ale obecnie przeszedł już na częściową emeryturę i zajmował się konsultacjami. Nasze relacje, które początkowo były małżeństwem z rozsądku – on przekazywał mi materiały, które chciał upublicznić, ja wykorzystywałem go jako źródło informacji – z czasem przerodziły się w przyjaźń.

Odebrał po dwóch sygnałach.

– Raker! Co słychać?

– W porządku, Task. A u ciebie?

– Nieźle. Jeszcze sam chodzę do toalety.

– Zawsze to jakiś bonus. Możemy chwilę pogadać?

– Jasne. W jakie kłopoty tym razem się wpakowałeś?

Uśmiechnąłem się.

– Nie mam kłopotów. Na razie.

– Wiesz co, nie zmuszaj mnie, żebym przyszedł do ciebie i wtłoczył ci do paszczy te tabletki. Mimo że jestem stary, chyba potrafię jeszcze spuścić porządne lanie.

– Chyba masz rację – przyznałem, myśląc o wspomnianych przez niego tabletkach.

Stały w domu, wciąż w nierozpieczętowanej białej fiolce – antydepresanty, które przepisano mi na początku roku, kiedy sprawa z Healyem doprowadziła mnie do kresu wytrzymałości. Jeśli chodziło o przyjaciół, takich jak Tasker, w ich przekonaniu tabletki były teraz elementem mojej codziennej diety. Ale w rzeczywistości nie połknąłem ani jednej. Nie znosiłem myśli, że nie mógłbym w pełni nad sobą panować.

Skierowałem rozmowę na inny temat.

– Słuchaj, potrzebuję raportu o zaginięciu z października zeszłego roku. Chodzi o niejaką Lyndę Korin. Lyndę przez „y”, K-O-R-I-N. Dwudziestego ósmego października zniknęła na półwyspie o nazwie Stoke Point.

– Stoke?

– Tak, z „e” na końcu. To w Somerset.

– Dobra. Przewidujemy jakieś nieprzyjemne niespodzianki?

– Mówisz o tym, czy była notowana? Nie wiem. Nie przypuszczam.

– Na wszelki wypadek sprawdzę. Masz jej datę urodzenia?

– Mam, trzynasty września pięćdziesiątego drugiego roku. Jeszcze jedna rzecz: szukam też zapisu z monitoringu. Z kamery zainstalowanej na tym Stoke Point. Interesuje mnie wideo z dnia przed zaginięciem Korin i może z następnego, jeżeli uda ci się zdobyć. W systemie na pewno będzie jakaś wzmianka na ten temat, ale nie wiem, czy nagranie jest w wersji cyfrowej, czy fizycznej. Mam nadzieję, że cyfrowej.

– Popatrzę i dam ci znać.

– Świetnie. Będę wdzięczny.

Dotarłem do stacji metra Edgware Road. Po drodze musiałem uskakiwać przed milionem turystów pstrykających sobie telefonami zdjęcia, więc zlany potem, przystanąłem na chwilę przed wejściem na stację, aby znaleźć drugi numer. To też był mój dawny kontakt z czasów pracy w gazetach, haker Spike. Zналиśmy się od lat i choć nigdy nie spotkaliśmy się osobiście, taki kontakt okazywał się przydatny. Jeśli tylko pogodziłeś się z tym, że łamał dla ciebie prawo, miałaś pod ręką wszystkie konta mailowe, bilingi z numerów stacjonarnych i komórkowych, ogólne dane dotyczące finansów i wrażliwe dane osobowe.

Kiedy Spike odebrał, przedstawiłem mu dokładnie, czego potrzebuję.

– Czyli w zasadzie wszystko, co da się znaleźć o tej Korin? – spytał.

– Bilingi, maile, finanse, cokolwiek.

– Chcesz określić granice czasowe?

Zastanawiałem się przez chwilę.

– Korin zniknęła dwudziestego ósmego października, więc może na wszelki wypadek zbierz dane z sześciu miesięcy przed jej zniknięciem i z dziesięciu miesięcy po.

– Załatwione.

– Dzięki, Spike. Jak sądzisz, ile czasu to zajmie?

– Facetowi z moimi możliwościami? – Zapadła cisza, zakłócana stukaniem długopisu o blat biurka. – Powinienem mieć coś dla ciebie jutro.

Wszedłem na stację.

Peron linii District na Edgware Road był zatłoczony, ale udało mi się znaleźć miejsce na ławce w samym końcu, poza zasięgiem słońca. Siedzący obok mnie facet po sześćdziesiątce mówił do siebie, a może do swoich toreb z zakupami, więc wyjąłem słuchawki i podłączyłem je do komórki. Kiedy już go zagłuszyłem, otworzyłem przeglądarkę i zacząłem sprawdzać, jak media zareagowały na zniknięcie Lyndy Korin. Nie miało to żadnego związku z moją decyzją o przyjęciu sprawy – kiedy zgodziłem się kogoś odnaleźć, już się nie wycofywałem – ale dopóki nie będę miał okazji znowu porozmawiać z Wendy Fisher, żeby wypełnić luki informacyjne, musiałem się zadowolić takim źródłem.

Okazało się jednak, że ogólnokrajowe media prawie w ogóle nie zainteresowały się sprawą, poza krótką wzmianką na stronie BBC, którą ukryto w bristolskim dziale wiadomości lokalnych. Dłuższe artykuły ukazały się w „Bristol Post” i „Western Daily Press”, ale żaden z nich nie zawierał nic więcej prócz podstawowych danych – nazwiska i wieku Korin oraz informacji, że pracowała na część etatu jako księgowa i że na Stoke Point porzuciła swój samochód, fordę focusa. Żadna z gazet nawet się nie zająknęła na temat najbardziej intrygującego aspektu tego zdarzenia – że widziano ją, jak wjeżdża na parking, ale nikt nie widział, żeby go opuszczała – co prawdopodobnie miało związek z faktem, że wtedy jeszcze policja nie zdobyła zapisu z monitoringu albo była w trakcie jego analizowania, więc sama nie znała wszystkich okoliczności. Inaczej trudno byłoby zrozumieć, dlaczego zainteresowanie sprawą zniknięcia Korin tak szybko się wypaliło.

Miałem nadzieję, że w prasie lokalnej znajdę jej fotografię, by mieć jakieś wyobrażenie o tym, jak wyglądała, ale internetowe wersje artykułów zilustrowano tylko sztampowymi, archiwalnymi zdjęciami półwyspu, więc postanowiłem zajrzeć do mediów społecznościowych. Okazało się, że to też ślepy zaułek. Ponieważ jej nazwisko brzmiało nietypowo, przynajmniej w Wielkiej Brytanii, łatwo było ustalić, że nie ma strony na Facebooku, konta na Twitterze ani niczego w tym rodzaju. Liczyłem jeszcze na to, że skoro nadal pracowała dwa dni w tygodniu, zachowała profil na LinkedIn – być może ze zdjęciem i CV – ale tu też nie miałem szczęścia.

Postanowiłem wrócić do Google’a i poszerzyć pole poszukiwań. Zamiast dołączać do „Lyndy Korin” hasła „Stoke Point” i „zaginięcie”, wpisałem tylko jej imię i nazwisko, po czym wcisnąłem ENTER. Oznaczało to, że wyświetli się długa lista stron, gdzie pojawiają się kobiety, które nazywają się tak samo, ale nie miało to znaczenia.

Pierwszy wynik dotyczył lekarki z Tamy, drugi psychiatry z Cleveland, a trzeci dyrektorki firmy z Monachium prowadzącej szkolenia dla przedsiębiorstw.

Mój wzrok przykuł czwarty wynik.

Lynda Korin – IMDb

www.imdb.com/name/lk0091251

Lynda Korin, aktorka: Ursula z SS. Lynda Korin urodziła się 13 września 1952 roku w Lakeville w stanie Minnesota. Najbardziej znana jest z...

To ona.

Zgadzały się data i miejsce urodzenia.

Nie bardzo rozumiejąc, kliknąłem na link i otworzyłem profil w serwisie IMDb. Po lewej stronie zamiast profesjonalnego zdjęcia był tylko fragment plakatu reklamującego film pod tytułem *Dom na cmentarzu*. U dołu zobaczyłem wydrukowane drobnymi czarnymi literami jej nazwisko; ona z krzykiem na ustach biegła w stronę kamery, a w tle majaczył monstrualny cień chwiejącego się nad nią jakiegoś stwora. Była to jej jedyna fotografia na stronie. Nigdy nie słyszałem o tym filmie, nie słyszałem zresztą o żadnym z dzieł wymienionych w jej filmografii, ale ujrawszy ją na plakacie, osłupiałem. Wyglądała olśniewająco: miała jasną cerę, blond włosy i niebieskie oczy.

Po chwili na peron ze zgrzytem wtoczyła się kolejka. Zaczekałem, aż otworzą się drzwi, wsiadłem i szybko wróciłem do biografii Korin.

Lynda Korin jest aktorką i była modelką, znaną przede wszystkim z tytułowej roli w kultowym obrazie z nurtu nazi exploitation *Ursula z SS* (1977) oraz jego kontynuacji *Ursula: Jej Wysokość Kommandant* (1978) i *Ursula: Rzeźniczka z El Grande* (1978). Zyskała rozgłos, wychodząc za mąż za reżysera *Roberta Hosterlitz*a, poznanego w Madrycie na planie pierwszej Ursuli, którą nakręcił pod pseudonimem Bob Hozer. Wystąpiła we wszystkich jedenastu filmach, które Hosterlitz nakręcił w Hiszpanii w latach 1979–1984. Kiedy zakończył swoją karierę, oboje przeprowadzili się do hrabstwa Somerset w Wielkiej Brytanii, gdzie Korin porzuciła aktorstwo i zmieniła zawód, zostając księgową.

Poczułem się oszołomiony – nie tylko odkryciem, że Korin była aktorką i grała w niskobudżetowych horrorach. Przez całą wczesną młodość chodziłem do starego kina w stylu art déco niedaleko domu rodziców na wybrzeżu południowego Devonu; filmy stały się moją obsesją, dzięki nim mogłem uciec przed nudą życia w wiosce z jedną ulicą, przed rutyną zajęć na farmie i samotnością jedynaka. Raz na dwa miesiące w kinie wyświetlano filmy noir, a ten, który zapamiętałem najlepiej, nosił tytuł *Oczy nocy*. Znakomity, piękny i niepokojący film noir, być może jeden z najlepszych w historii, który po premierze

w 1953 roku zdobył siedem Oscarów. Jego reżyserem i scenarzystą był człowiek, którego poślubiła Lynda Korin, Robert Hosterlitz.

Potem jednak los przestał się do niego uśmiechać. Jego kariera nagle się załamała. Przed śmiercią Derryn, mojej żony, zanim zamknęli MOMI, Muzeum Ruchomego Obrazu na południowym brzegu Tamizy, obejrzelśmy tam wystawę poświęconą kinu noir i wysłuchaliśmy prelekcji o Oczach nocy i samym Robercie Hosterlitzu, z której dowiedzieliśmy się, dlaczego jego życie przewróciło się do góry nogami. Wpadł w takie tarapaty, że ostatecznie na zawsze opuścił Amerykę.

Pociąg ruszył i zanim straciłem zasięg w czeluściach tuneli metra, szybko stuknąłem palcem w link Hosterlitzu w biografii Korin, by wypełnić luki w pamięci.

Robert Hosterlitz urodził się w Dreźnie 15 lutego 1925 roku, ale w 1933 roku wyemigrował z rodziną (jego ojcem był niemiecki aktor Hans Hosterlitz) do Los Angeles. Zadebiutował jako reżyser i scenarzysta w wieku zaledwie 24 lat filmem Moje nikczemne serce (1949), który nieoczekiwanie odniósł sukces kasowy, ale dopiero jego czwarte dzieło miało mu nadać status supergwiazdy: film Oczy nocy (1953) zdobył siedem Oscarów, w tym nagrodę za najlepszy film, najlepszą reżyserię (dwudziestoosmioletni Hosterlitz został tym samym najmłodszym w historii laureatem tej nagrody) oraz za najlepszy scenariusz. Jednakże w roku 1954, kiedy został wezwany do stawienia się w Kongresie przed Komisją do spraw Działalności Antyamerykańskiej i oskarżony o przynależność do Komunistycznej Partii Stanów Zjednoczonych, postanowił uciec z Ameryki. Pewne nadzieje na odrodzenie jego kariery wiązano z jego głośnym powrotem do Hollywood i premierą westernu Duch Wielkich Równin (1967), jednak film okazał się komercyjną katastrofą Paramount i zebrał ciągi od krytyków. Po tej klęsce Hosterlitz już nigdy nie doszedł do siebie. Krążyły pogłoski o jego problemach z alkoholem i narkotykami, od których uzależnił się na przełomie lat 60. i 70. Kłopoty finansowe zmusiły go do podjęcia pracy nad filmami grozy klasy B, które kręcił przez ostatnią dekadę życia w Madrycie, dla producenta kina grindhouse'owego Pedra Silvy. Zmarł w 1988 roku.

Wendy Fisher w ogóle o tym nie wspominała – ale właściwie po co miałyby to robić? Od śmierci Hosterlitzu minęło dwadzieścia siedem lat, co oznaczało, że Korin od ponad ćwierćwiecza była wdową, skąd płynął z kolei wniosek, że to małżeństwo nie ma związku z jej zaginięciem. W każdym razie najprawdopodobniej nie ma związku. Rzeczywiście, trudno zrozumieć, co mogłoby łączyć te dwie rzeczy. Korin była sześćdziesięciodwuletnią księgową, mieszkała u stóp wzgórz Mendip i od tamtego życia i tamtego męża dzieliło ją ponad dwadzieścia pięć lat.

Zamierzałem porozmawiać z Wendy przez Skype'a, więc będę mógł ją wypytać o małżeństwo Korin. Miałem też nadzieję, że kiedy dotrę do domu, znajdę w skrzynce

mailowej wysłane przez nią materiały, które dostała od detektywa White'a. Mówiła o zdjęciach i dokumentach, z których każdy może być dobrym punktem wyjścia, zanim Tasker i Spike coś dla mnie znajdą.

Kiedy o tym wszystkim myślałem, o Robercie Hosterlitzu i echach przeszłości, wróciłem wzrokiem do zdjęcia Lyndy Korin, o której zapomnieli kinomani i policja.

Ale nie zapomniała o niej siostra.

6

Po powrocie do Ealing otworzyłem okna, próbując poruszyć trochę powietrze w domu, po czym wysłałem do Wendy wiadomość, aby umówić się z nią na rozmowę wideo. Czekać na odpowiedź, wziąłem prysznic i przebrałem się, a potem wyniosłem laptop na tylny taras, żeby dalej budować portret Lyndy Korin. Wendy odpisała po kilku minutach, że wysłała mi mailem wszystko, co udało jej się zdobyć, i potwierdziła, że będzie na Skypie o ósmej wieczorem.

Natychmiast otworzyłem skrzynkę odbiorczą.

Okazało się, że wszystko, co udało się jej zdobyć, to głównie sporo zdjęć Stoke Point. Obok tych, które sama wyszukała w internecie, znalazły się przysłane jej przez White'a fotografie, jakie zrobił, gdy pojechał tam jedenastego listopada. Już na pierwszy rzut oka było jasne, że policjant starannie redagował swoje wiadomości do Wendy, w odpowiednich proporcjach mieszając w nich przekazywane w dobrej wierze słowa otuchy, drugorzędne informacje ze śledztwa oraz wykręty, które były zwykłą grą na zwłokę.

Postanowiłem na razie nie zajmować się materiałami o Stoke Point, bo miałem zamiar pojechać tam rano i sam wszystko zobaczyć, ale gdy odłożyłem je na bok, zaraz się przekonałem, jak niewiele zostało.

Ostatecznie moją uwagę zwrócił tylko jeden mail. Znalazłem w nim zdjęcie Lyndy Korin i Roberta Hosterlitz. „To mąż Lyn, Bob – napisała Wendy. – Umarł w 1988 roku”. Była to zeskanowana z obu stron fotografia z polaroidu, z odręczną notatką na odwrocie: „Madryt 1983, Bob i Lyn, zdjęcie: Ronnie M.”. Pospiesznie przejrzałem resztę maili, szukając jakiegoś „Ronniego M.”, ale nie udało mi się znaleźć nikogo takiego. „Madryt 1983” miało jednak sens; zgodnie z tym, co wcześniej czytałem o Korin i Hosterlitzu, w tym roku Korin nadal pracowała z mężem w Hiszpanii, występując w niskobudżetowych horrorach.

Przyjrzałem się zdjęciu.

Siedzieli obok siebie na tle wypłowiałej od słońca, bielonej ściany. Pięćdziesięcioośmioletni wówczas Hosterlitz miał rozwichrzone siwe włosy, był drobny i chudy, T-shirt w paski ściśle przylegał do jego kościstej sylwetki. Jedną ręką obejmował Korin i uśmiechał się, marszcząc opaloną twarz w blasku dnia. Jego podbródek i dolną szczękę pokrywała gęsta szczecina zarostu, co dodawało mu lat, i kiedy na niego patrzyłem, trudno mi było zobaczyć w nim osobę, którą znał świat i którą zapamiętałem. Nie wyglądał jak reżyser filmu, który zdobył siedem Oscarów; wyglądał jak duch tamtego

człowieka, jak jego imitacja. Gdy przed laty byłem na wystawie w MOMI, historyk filmu, który wygłaszał prelekcję, pokazywał nam zdjęcia Hosterlitz z początku lat pięćdziesiątych – w młodszej, bardziej postawnej i zaokrąglonej wersji, z wypomadowanymi włosami, dzierżącego złotą statuetkę, w drogich garniturach, które z trudem dopinały mu się na brzuchu. Na zdjęciu z Madrytu nie było już śladu po tamtym Robercie Hosterlitzu. Został zdegradowany do roli reżysera takich obrazów jak Maniak z siekierą i Dzikusy znad Amazonki.

Co innego Lynda Korin. Była młodsza od Hosterlitz o prawie trzydzieści lat, miała mleczną cerę, oczy jak przejrzyste błękitne jeziora, a blond fryzura – modna w latach osiemdziesiątych ondulacja – podkreślała jej wysokie kości policzkowe. Jej wysoki wzrost wyraźnie rzucał się w oczy, mimo że siedziała, skrzyżowawszy przed sobą długie nogi, i chociaż jej wydatny biust, który ciasno opinała koszulka bez rękawów, wydawał się zupełnie nie pasować do smukłej sylwetki, w niczym nie burzył ogólnego wrażenia. Nie byłem pewien, czego się spodziewałem, zanim ujrzałem ją na plakacie w IMDb, ale raczej nie tego, co zobaczyłem wtedy i co po raz drugi zobaczyłem teraz. Była uderzająco piękna, stanowiła zupełne przeciwieństwo mężczyzny, za którego wyszła – ale próbowała jakby zamaskować swoją urodę, wtulając się w Hosterlitz i pozwalając, by obejmował ją opiekuńczym gestem. Miała w sobie jakąś nieśmiałość, skromność i powściągliwość, jej oczy przesłaniał cień, a uśmiech był ledwie uniesieniem kącika ust.

Czegoś tu nie rozumiałem.

Była kiedyś aktorką i modelką, na pewno czuła się swobodnie przed kamerą i obiektywem aparatu, a sądząc po gatunku filmów, w jakich występowała, nie miała też oporów przed rozbieraniem się na planie. Tak więc, patrząc na jej fotografię, na ten portret z minionego życia, myślałem o Lyndzie Korin. Zastanawiałem się, co ją skłoniło, żeby dwudziestego ósmego października przyjechać nad brzeg morza; dlaczego później już nikt jej nie widział; czy pojechała tam z własnej woli, czy ze strachu. Zastanawiałem się, czy kobieta z zeskanowanej fotografii, uwieczniona na żółknącym polaroidowym zdjęciu, skrywa jakąś historię.

Być może świat ją pozna, jeżeli ta kobieta jeszcze żyje.

A jeżeli nie, historia zostanie pogrzebana na zawsze.

* * *

Tuż po siódmej zadzwonił Ewan Tasker.

– Będzie krótko – oznajmił, kiedy odebrałem. – Wysłałem ci już raport z zaginięcia Lyndy Korin, ale zapis monitoringu to trudniejsza sprawa. Rozejrzałem się trochę i jest jakieś wideo w spisie dowodów w Bath, ale to płyta DVD. Najwidoczniej na Stoke Point korzystają ze starej techniki, więc wersji cyfrowej nie ma, czyli monitoring na parkingu nie zapisuje obrazu w czasie rzeczywistym na jakimś serwerze. Możesz zdobyć to nagranie,

jeżeli znasz kogoś z policji w Bath... chyba że chcesz się włamać. Ten ktoś mógłby skopiować wideo i przesłać ci plik. Albo po prostu wsadzić płytę do koperty i wysłać ci pocztą. Masz tam kogoś znajomego?

– Na razie nie.

– Może pora, byś dopuścił do głosu swoją ujmującą osobowość?

Parsknąłem śmiechem.

– W porządku, stary. Dzięki.

Rozłączyłem się, wróciłem do skrzynki odbiorczej i znalazłem wiadomości od Taska. W załączniku była cyfrowa wersja raportu o zaginięciu Korin.

Na samym początku zobaczyłem jej aktualne zdjęcie. Wyglądała zjawiskowo – wydawało się wręcz nieprawdopodobne, że ma sześćdziesiąt dwa lata. Wprawdzie w kącikach oczu widać było zmarszczki, a czas przyprószył siwizną przedziałek w jej blond włosach i skronie, jednak wyrazista, intrygująca twarz ujmowała jej jakieś dziesięć lat. Mimo to moją uwagę przykuła nie kobieta, ale samo zdjęcie. Choć zrobiono je w salonie, prawdopodobnie w jej domu – Korin siedziała na poręczu kanapy – sprawiało wrażenie profesjonalnego. Oświetlenie było zbyt idealne, podobnie jak fryzura i makijaż, a jej poza nie wyglądała naturalnie. Odnotowałem to w pamięci, zastanawiając się, skąd wzięli tę fotografię, po czym zająłem się dokumentem.

Pierwsza część raportu potwierdzała wiele faktów, które już znałem, poczynając od zgłoszenia przez Wendy zaginięcia siostry w niedzielę drugiego listopada. Wendy była o pięć lat młodsza od Lyndy i nadal mieszkała z mężem w Lakeville, na południowych peryferiach Minneapolis, gdzie w 1952 roku urodziła się Lynda i gdzie później się wychowywała.

Wendy zadzwoniła na policję Avon i Somerset w Bath, kiedy przez pięć dni nie miała żadnych wiadomości od siostry, która nie odpowiadała na SMS-y ani maile. Czas się zgadzał: pięć dni wcześniej, we wtorek dwudziestego ósmego października, kamera zarejestrowała samochód Korin wjeżdżający na Stoke Point. Według raportu, Wendy nazwała tę ciszę „niepokojącą”, ponieważ „kontaktowałyśmy się z Lyn codziennie, po kilka razy”.

Policja w Bath nie kwapiła się do działania. Wendy powiedziała, że sprawdziła w internecie posterunki policji położone najbliżej wschodniego krańca wzgórz Mendip, gdzie mieszkała Korin, i tak się złożyło, że najpierw zadzwoniła do Bath. Na początku rozmawiała z posterunkowym Stewartem Wolstenholme'em.

Potem następował jednak dziewięciodniowy przeskok.

Następną czynność w tej sprawie wykonano we wtorek jedenastego listopada – nazajutrz po znalezieniu samochodu Korin na Stoke Point. Oznaczało to, że nawet jeśli drugiego listopada Wolstenholme zapewnił Wendy Fisher, że zbada sytuację, nie zrobił nic. Sprawa trafiła na biurko Raymonda White'a, detektywa z wydziału śledczego, i coś się zaczęło dziać dopiero wtedy, gdy pracownik National Trust, organizacji ochrony zabytków

i przyrody, który trzy razy w tygodniu kontrolował parking na półwyspie, zgłosił, że samochód Korin prawdopodobnie został porzucony. White szybko przystąpił do rutynowych działań: zadzwonił do Wendy, aby ją zawiadomić o znalezieniu samochodu siostry; zadał jej przez telefon kilka bardziej szczegółowych pytań; zorganizował pobranie próbki DNA Korin z jej szczoteczki do zębów i przesłał próbkę do wydziału osób zaginionych, by sprawdzono tam, czy odpowiada ona DNA któregoś z niezidentyfikowanych ciał figurujących w kartotece. Wynik był negatywny.

White zbadał też sytuację finansową i stan zdrowia Korin, jednak ani na jej koncie bankowym, ani w dokumentacji medycznej nie kryły się żadne niespodzianki: miała stały dochód z prowadzenia księgowości, czym zajmowała się dwa dni w tygodniu; pobierała emeryturę w wysokości piętnastu tysięcy funtów rocznie, a kontrolne badania lekarskie, którym poddała się kilka miesięcy przed zaginięciem, wykazały, że w wieku sześćdziesięciu dwóch lat cieszy się doskonałym zdrowiem.

Przeszedłem do dalszej części i znowu zwróciłem uwagę na szczegóły dotyczące znalezienia samochodu Korin; ford focus był zamknięty, torebka i telefon tkwiły w schowku, a klucze – do auta i do domu – odkryto w pobliskich zaroślach. To mi nie dawało spokoju i najwyraźniej uwierało też White'a. Zanotował w raporcie: „Dlaczego wyrzuciła klucze? Dlaczego nie zostawiła ich w środku ani nie wzięła ze sobą?”. Znow przyszło mi na myśl, że to nie Korin, ale ktoś inny je wyrzucił, a potem przyjrzałem się zrobionym na miejscu zdjęciom kluczy. Leżały w niedużym zagajniku, pod pnem drzewa. Wszystkie drzewa były zdewastowane – wydrapano na nich jakieś graffiti.

Przeglądając papiery White'a, znalazłem potwierdzenie, że udało mu się zabezpieczyć nagranie z monitoringu z dwudziestego ósmego października, a także nagranie z następnego dnia, by wykluczyć możliwość, że Korin z jakiegoś powodu spędziła noc na Stoke Point i nazajutrz próbowała opuścić półwysep. Na podstawie numerów rejestracyjnych aut, które pojawiły się na parkingu dwudziestego ósmego października, starał się namierzyć potencjalnych świadków, rozmawiał z właścicielami pojazdów, pytając ich, czy widzieli Korin na półwyspie w dniu jej zaginięcia. Tak się szczęśliwie złożyło, że wszyscy kierowcy często odwiedzali Stoke Point, więc znali to miejsce i mogliby zauważyć coś dziwnego. Ale ze względu na częstotliwość swoich wizyt trudno im było dokładnie przypomnieć sobie właśnie ten dzień. Choć wszyscy przesłuchiwani pamiętali, że przyjechali na Stoke Point mniej więcej w tym czasie, gdy Korin zaginęła, niewielu potrafiło powiedzieć coś więcej, a pewien mężczyzna po osiemdziesiątce zaklinał się, że dwudziestego ósmego w ogóle go tam nie było, mimo że uchwyciła go kamera.

Na razie, zamiast obejrzeć oryginalne wideo z tamtego dnia, musiałem się zadowolić wydrukami z sześciu sekund, w ciągu których kamera zarejestrowała Korin. Była to seria wypranych z kolorów kadrów z zapisu jedynej kamery na Stoke Point: ukazywały widoczną w fordzie focusie Lyndę Korin w różnych fazach wjazdu na półwysep. Ostatnia stop-klatka przedstawiała tył samochodu znikający za główną bramą.

W dalszej części raportu trafiłem na zapis rozmowy telefonicznej, którą White przeprowadził z Wendy. Była długa i pełna szczegółów, ale choć Wendy udzielała jasnych i zwięzłych odpowiedzi, nie dało się ukryć faktu, że ta rozmowa nie rzucała nowego światła na sprawę. Moją uwagę zwrócił tylko jeden fragment, i to głównie dlatego, że interesował mnie reżyser Robert Hosterlitz.

WHITE: Lynda była mężatką, zgadza się?

FISHER: Tak. Wyszła za Roberta. Boba. Umarł w osiemdziesiątym ósmym.

WHITE: Co robił?

FISHER: Był reżyserem filmowym. Ale niezbyt sławnym. W każdym razie na pewno nie pod koniec życia.

WHITE: Mówimy o, hm... Robercie Hosterlitzu, prawda?

FISHER: Tak.

WHITE: Czy jakieś zdarzenie z jego życia mogłoby się zemścić na Lyndzie? Zdaję sobie sprawę, że jej mąż nie żyje od wielu lat.

FISHER: Nie wiem, co by to mogło być. Byli szczęśliwi. Przynajmniej tak sądzę z tego, co zdążyłam zobaczyć.

WHITE: To znaczy?

FISHER: Po prostu... Rozumie pan, mieszkali w Europie. Lyn przylatywała zobaczyć się z nami raz, dwa razy do roku, bo kupowała tylko jeden bilet, a gdybym ja wybrała się do niej z mężem i dwójką dzieci, kosztowałoby to nas cztery razy więcej. W tamtych czasach nie było nas na to stać.

WHITE: Chce pani przez to powiedzieć, że prawie nie znała pani Roberta?

FISHER: Lyn przeniosła się do Europy w siedemdziesiątym pierwszym, żeby pracować jako modelka, wyszła za Roberta w siedemdziesiątym ósmym, po zaledwie półrocznej znajomości, a w osiemdziesiątym ósmym Robert umarł. Za rzadko się z nim widywaliśmy, żeby go dobrze poznać. W osiemdziesiątym drugim pojechaliśmy do Europy, oni przylecieli do nas latem siedemdziesiątego dziewiątego, a potem na Boże Narodzenie w osiemdziesiątym czwartym, chociaż wtedy spędzał z nami niewiele czasu.

WHITE: Spotkała go pani tylko trzy razy?

FISHER: Tak. Mam jednak wrażenie, że go znałam, bo kiedy Lyn za niego wyszła, dużo o nim czytałam, o tym, jak zdobył te wszystkie Oscary w latach pięćdziesiątych. Ale tak naprawdę nic o nim nie wiedziałam.

Z powrotem skupiłem się na Lyndzie Korin.

Jej poszukiwanie komplikował fakt, że najwyraźniej prowadziła dość samotnicze życie, więc miała niewielu bliskich znajomych, czyli mniej osób zauważyło jej nieobecność. Po

przeszukaniu jej domu, które nie przyniosło żadnych rezultatów, White postanowił chodzić od drzwi do drzwi w jej wiosce i okolicznych miejscowościach.

Odwracając stronę, zobaczyłem, że dołączył do raportu zdjęcia wnętrza jej domu, ale trudno się było zorientować, czy coś jest nie tak – na pierwszy rzut oka wszystko grało, w pokojach panował wzorowy porządek. I rzeczywiście White nie odnotował nic, co by wskazywało, że znalazł w domu coś niepokojącego, dlatego też podjął decyzję, aby chodzić od drzwi do drzwi. Kiedy wypytał mieszkańców wiosek, zwrócił się do zleceniodawców, którym Korin prowadziła księgowość. Przesłuchał nawet kobiety w klubie książki, gdzie chodziła w każdy czwartek rano.

Stamtąd też odszedł z kwitkiem.

W głębi raportu znalazłem jej bilingi telefoniczne i wydruki z mailowej skrzynki odbiorczej. Ze względu na niezbyt bujne życie towarzyskie, na liście połączeń z numeru stacjonarnego i komórkowego nie było żadnych rewelacji. White zadał sobie trud, by ustalić nazwisko właściciela każdego numeru z tych bilingów, obejmujących trzy miesiące – od dwudziestego ósmego lipca do dwudziestego ósmego października – i sporządził listę osób, z którymi kontaktowała się Korin albo które kontaktowały się z nią. Problem polegał nie tyle na niedostatecznej staranności White'a, ile raczej na prawie zupełnym braku aktywności telefonicznej Korin, co dotyczyło też komunikacji mailowej. Musiałem liczyć na to, że coś więcej przyniosą mi bardziej rozległe poszukiwania Spike'a – które miały sięgać sześciu miesięcy wstecz zamiast trzech.

Osobą, której brak w bilingach najbardziej rzucał się w oczy, była siostra Korin, a to dlatego, że kontaktowały się za pośrednictwem WhatsAppa. White uzyskał dostęp do telefonu Wendy i wyeksportował historię ich rozmów, ale wymieniały się zwyczajnymi wiadomościami: co porabiają dzieci Wendy – oboje przekroczyli trzydziestkę, jedno było samotne, drugie miało rodzinę i własne dzieci – albo jakie owoce Wendy wyhodowała w ogrodzie; Korin pisała o książkach, które czytała, o swojej pracy, zajęciach z jogi. Dopiero pod koniec coś przyciągnęło mój wzrok. Ostatnia wiadomość, którą Korin wysłała do siostry.

Bardzo Cię kocham, Wendy. Zawsze byłaś najlepszą siostrą, jaką można sobie wyobrazić. x

Ponieważ następnego dnia pojechała na Stoke Point i zniknęła z powierzchni ziemi, te słowa zabrzmiały szczególnie proroczo. Z wielu powodów należało przypuszczać, że nie popełniła samobójstwa – przede wszystkim dlatego, że nie znaleziono ciała – ale z równie wielu powodów można było przypuszczać, że nie żyje: od dziesięciu miesięcy, czyli od dnia zaginięcia, nie korzystała z komórki, w samochodzie zostawiła torebkę i karty kredytowe, a z wyciągów jej kont, które White załączył do raportu, wynikało, że nie próbowała wypłacić żadnych pieniędzy ani nie składała wniosku o nowe karty. Poza tym przestała się

odzywać do siostry, osoby, z którą utrzymywała stały kontakt przez cały czas, odkąd zamieszkała w Europie.

Odchyliłem się na krześle, spoglądając na ogród. Przez ptasi śpiew i szum dobiegający z ulicy przebijał daleki łomot muzyki. Ale większość dźwięków prawie do mnie nie docierała. Starłem się zrozumieć coś z tego, co przed chwilą przeczytałem: oto kobieta bez żadnego wyraźnego uzasadnienia pojechała do malowniczego nadmorskiego zakątka, zostawiła w samochodzie torebkę i telefon, wrzuciła klucze w pobliskie zarośla – a potem rozplynęła się w powietrzu.

Bez kamer, bez świadków.

Nie zostawiając po sobie żadnych śladów.

Rozmowa wideo z Wendy Fisher zaczęła się tuż po ósmej.

Po raz pierwszy zobaczyłem tę kobietę i przyglądając się jej, natychmiast dostrzegłem podobieństwo do siostry. Miały takie same kości policzkowe, takie same oczy, taki sam wykrój ust. Poza tym jednak zauważyłem wyraźne różnice. Nie tylko to, że Wendy była brunetką i nosiła krótką fryzurę, z boków i przy uszach stylizowaną nieco na chłopięcą, oraz że miała nadwagę, o czym świadczyły pulchne ramiona w rękawach zapinanego swetra i brzuch pod za dużym T-shirtem, układający się w fałdy jak kurtyna. Nie chodziło też o trochę staromodne okulary, chociaż to wszystko dopełniało ogólnego wrażenia. Chodziło głównie o jej zachowanie, o malujące się na twarzy przygnębienie, o piętno, jakie wycisnęły na niej wiek, troski i smutek, wyraźnie widoczne nawet na rwanym i rozpadającym się na piksele obrazie. Może i była pięć lat młodsza od Lyndy, ale trudno w to było uwierzyć.

Siedziała w salonie, na tle zdjęć ustawionych na kominku; połowę jej twarzy rozjaśniało dzienne światło wpadające przez niewidoczne na ekranie okno. Od razu z góry mnie przeprosiła, że może nawalić łącze, z którym podobno od dwóch miesięcy były kłopoty, ale odparłem, żeby się tym nie przejmowała, i delikatnie zmieniłem temat, pytając ją o kilka tygodni poprzedzających zaginięcie siostry.

– Czy w ciągu ostatnich tygodni przed jej zniknięciem nie zauważyłaś niczego nietypowego w wiadomościach od Lyndy? Udało mi się zdobyć raport ze śledztwa w sprawie zaginięcia i sam przejrzałem te wiadomości, ale może w tym, co pisała, wyczułaś, że coś ją niepokoi?

– Nie – odpowiedziała. – Naprawdę nie. Uwierz mi, nikt nie wracał do naszych rozmów tyle razy co ja. Przez pierwszy miesiąc ślęczałam nad każdą wiadomością, próbując znaleźć jakieś ukryte znaczenie.

Zajrzałem do swoich wcześniejszych notatek.

– Ostatnia wiadomość, którą przysłała ci Lynda, brzmiała: „Bardzo cię kocham, Wendy. Zawsze byłaś najlepszą siostrą, jaką można sobie wyobrazić”. Napisała to dzień przed zaginięciem.

– Wiem, co chcesz powiedzieć.

– To brzmi jak pożegnanie.

– Zgadza się. – Wendy umilkła na chwilę, a w głośniku rozległ się szum, gdy westchnęła prosto w mikrofon. – Nie wiem – powiedziała w końcu bezbarwnym, trochę

przygnębnym głosem. – Kiedy myślę o tym z perspektywy czasu, to chyba rzeczywiście było pożegnanie. Może powinnam się zorientować od razu, jak to przeczytałam, ale wtedy w ogóle nie przyszło mi to do głowy.

– Co to znaczy „powinnam się zorientować od razu”?

– Nie wiem – powtórzyła. – Chodzi mi o to, że Lyn nigdy nie była mistrzynią w okazywaniu uczuć. Podobnie jak nasza mama. Mama wychowała się na równinach Dakoty Północnej, przez całą zimę marzła na kość, musiała polować, żeby zdobyć jedzenie, musiała sikać do dziury w ziemi. Była czuła na swój sposób, ale surowa. Inaczej niż tato. Ja bardziej go przypominałam. Lyn i ja naprawdę się kochałyśmy, jednak wyrażałyśmy to w różny sposób. Ja ciągle jej mówiłam, że ją Kocham i bardzo za nią tęsknię; ona mówiła, że książka, którą właśnie czyta, nasunęła jej myśli o naszym domu. Tak właśnie wyrażała swoje uczucia... takimi trochę abstrakcyjnymi uwagami, które rzucała mimochodem. Nie zrozum mnie źle, nie była oschła, absolutnie nie; najczęściej była duszą towarzystwa, ale po prostu bardzo rzadko się zdarzało, żeby przestawała się pilnować, nawet przy mnie. Kiedy czuła, że ktoś nakłania ją do czegoś wbrew jej woli, zamykała się w sobie.

Płynął stąd wniosek, że Korin była sympatyczną i towarzyską osobą, dobrze się czuła wśród ludzi i była szczerą wobec siostry – i pewnie nie tylko wobec niej – ale wyłącznie w sprawach, w których chciała być szczerą. Nie było w tym nic nietypowego: wielu ludzi tak się zachowuje, zwłaszcza ci zaginiony, bo kiedy ślad po nich przepada, razem z nimi giną tajemnice, których nikt nie zna.

– Co pomyślałaś sobie, kiedy dostałaś tę wiadomość? – spytałem.

– Zdziwiłam się i wzruszyłam. Mówisz, że masz wszystkie nasze wiadomości, więc sam możesz zobaczyć. Niewiele takich wysyłała. O to mi chodziło, kiedy mówiłam, że powinnam zorientować się od razu. W tej samej sekundzie, kiedy to dostałam, powinnam pomyśleć: Dziwna rzecz, nigdy nie przysyła mi takich wiadomości. Ale nic takiego nie przyszło mi na myśl. Przechytałam, ucieszyłam się i tyle.

– Twoim zdaniem Lynda miała wielu przyjaciół?

Obraz na moment rozmył się w piksele.

– Oczywiście, że miała przyjaciół, całe mnóstwo. Ale prawdziwych przyjaciół, którym mogłaby się zwierzać? Wątpię, czy wielu miała ich w Anglii. Dziwne, ale chyba wolała taką sytuację.

– Dlaczego?

– Lyn nie potrzebowała tego. Zawsze dobrze jej było samej ze sobą. Nie musiała mieć tłumu ludzi, żeby się lepiej poczuć. Nie była jednak typem samotniczki. Chodziła na kolacje ze znajomymi; kiedy rozmawialiśmy przez Skype’a albo WhatsAppa, opowiadała mi o swoim klubie książki, o zajęciach jogi... bywała w wielu miejscach. Wyglądało na to, że prowadzi aktywne życie towarzyskie i zna masę ludzi, ale zdziwiłabym się, gdyby ktoś z nich znał ją naprawdę.

Pomyślałem o tym raporcie, o dowodach na brak bliskich przyjaźni, brak ludzi, z którymi dzieliłaby życie. Może rzeczywiście wynikało to z jej charakteru, z potrzeby ukrywania się za podwójną gardą – ale niewykluczone, że było to bardziej świadome zachowanie, że działała z premedytacją. Może nie odsłaniała się przed ludźmi nie dlatego, że nie potrafiła, ale dlatego, że miała swoje powody.

Zmieniłem taktykę.

– Wspominałaś, że siostra jest księgową?

– Tak.

– Ale to jej drugi... a właściwe trzeci zawód, prawda? Dziś po południu dowiedziałem się, że wcześniej pracowała jako modelka... i jako aktorka.

– Och, oczywiście. Ale to było wieki temu.

– W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych?

– Dokładnie w siedemdziesiątych i na początku osiemdziesiątych. W siedemdziesiątym pierwszym wyjechała do Europy, bo zaproponowano jej pracę modelki, i już tam została. Później zaczęła występować w filmach, ale mało znanych. To były... – Urwała i lekko się skrzywiła, szukając słowa, które w najbardziej delikatny sposób opisywałoby dzieła z udziałem jej siostry. – To było niskobudżetowe kino. Tak naprawdę horrory. Właśnie tam poznała Boba, swojego męża. Reżyserował te filmy.

– Czyli Roberta Hosterlitzę?

– Zgadza się. Słyszałaś o nim?

– Owszem. Po ślubie nie przyjęła jego nazwiska?

– Nie. Korin to nasze rodowe nazwisko. Pod takim zrobiła karierę modelki, więc prościej było je zachować. W każdym razie, jak powiedziałam, Bob był reżyserem. W latach pięćdziesiątych zdobył kilka Oscarów. Był w tamtych czasach sławą, ale kiedy go poznaliśmy... – Znowu umilkła i uśmiechnęła się ze smutkiem. – Wtedy... już nie był.

– Widziałaś jakieś filmy Lyndy?

– Może jeden czy dwa. Raczej nie były w moim guście. Kibicowałam jej, bo to moja siostra, ale niekoniecznie podobało mi się to, co robiła... rozbierała się przed kamerą, udawała, że uprawia seks, tego rodzaju rzeczy.

Znowu zajrzałem do notatek.

– Czy po śmierci Roberta Lynda związała się z kimś innym?

Wendy pokręciła głową.

– Nie.

– Z nikim?

– W każdym razie nic o tym nie wiem.

– Powiedziałyby ci, gdyby z kimś była?

– Przypuszczam, że tak. Dlaczego miałyby to ukrywać?

Wzruszyłem ramionami.

– Mogłaby się obawiać, że jej za to nie pochwalisz.

Uśmiechnęła się.

– Lynda to duża dziewczynka. Miło byłoby pomyśleć, że mam na nią taki wpływ, ale tak naprawdę jest ode mnie starsza i samodzielniejsza. Nie sądzę, że nie zrobiłaby czegoś tylko dlatego, że mogłoby mi się to nie spodobać.

– Czyli, o ile ci wiadomo, od osiemdziesiątego ósmego roku jest sama?

– O ile mi wiadomo. Może parę razy poszła na randkę, ale z nikim nie związała się na stałe.

Skinąłem głową.

– No dobrze. Jak myślisz, dlaczego postanowiła zostać w Wielkiej Brytanii?

– To znaczy?

– Jesteś jej jedyną krewną, ona pochodzi ze Stanów i sama powiedziałaś, że nie ma tu bliskich przyjaciół, co potwierdza się we wszystkich informacjach, jakie udało mi się zdobyć. Dlaczego więc nie wróciła do Stanów i do ciebie?

– Spodobało jej się w Anglii.

– Sądzisz, że to był jedyny powód?

– Widziałaś jej dom?

– Nie, jeszcze nie.

– Stoi na szczycie wzgórza, jest stamtąd przepiękny widok na wielkie jezioro, no i mieszkała tam z Bobem. Po jego śmierci była zdruzgotana, kompletnie się załamała. Nigdy w życiu nie widziałam jej w takim stanie, nawet kiedy odeszli nasi rodzice. Może po prostu nie chciała zrywać tej ostatniej więzi, która ich jeszcze łączyła.

Rozważałem to przez chwilę. Dziesięć lat spędzonych z Hosterlitzem najwyraźniej odcisnęło na jej życiu silne piętno, które nie zatarło się nawet po trzydziestu latach. Korin kochała go, tęskniła za nim, może nigdy nie otrząsnęła się po jego stracie. Coraz łatwiej było zrozumieć, dlaczego wybrała samotność.

– Na razie możemy skończyć, Wendy.

– Aha, w porządku. Wiesz już wszystko, co było ci potrzebne?

– W tej chwili tak.

– Gdybyś jeszcze chciał coś wiedzieć, cokolwiek, daj mi znać. W tym tygodniu pracuję w różnych godzinach, a w szpitalu zwykle wyciszam komórkę, bo szefowie nie lubią, kiedy telefony dzwonią na oddziałach, ale bez problemu mogę zerknąć na esemesa albo maila.

– Dobrze, będę pamiętał. Chociaż mam jeszcze jedno pytanie.

– Słucham.

– Właśnie przesłałem ci zrzut ekranu z fotografią, którą znalazłem w raporcie ze śledztwa. To zdjęcie Lyndy. – Zerknąłem w bok od okna z wideo, gdzie na ekranie wyświetliłem tę fotografię. – Wygląda mi na profesjonalną. Mogłabyś spojrzeć?

– Teraz?

– Jeżeli możesz.

Nachyliła się nad laptopem, by otworzyć skrzynkę mailową. Ja tymczasem zrobiłem parę notatek, starając się skondensować wnioski. Usłyszałem, jak Wendy klika myszką i mruczy coś pod nosem, a potem – kilka chwil później – oznajmiła:

– No dobrze, jest.

– Masz przed sobą to zdjęcie?

Lekko przymrużyła oczy, powiększone przez szkła okularów, po czym jej twarz rozsypała się w miszmasz kolorowych kwadracików i prędkość transmisji przestała nadążać za jej ruchami.

– Tak. – Znowu przybliżyła twarz do ekranu. – Ach, to! Tak, ja dałam je policji. Lyn tak pięknie na nim wygląda.

– Ty zrobiłaś to zdjęcie?

– Nie, skądże znowu. To z czasopisma, które przeprowadzało z nią wywiad.

– Z czasopisma?

– Tak, zrobili je do artykułu.

– Co to za czasopismo?

– Hm... „Cine”. Magazyn „Cine”.

– Filmowy?

– Tak, zgadza się.

– Dlaczego z nią rozmawiali?

– Hm... to był artykuł o Bobie, zdaje się jakiś rocznicowy, bo minęło sześćdziesiąt ileś lat od premiery tego oscarowego filmu. Dziennikarz przyszedł do niej do domu zrobić wywiad. Nazywał się, hm... chyba Colsky.

– To nazwisko tego dziennikarza?

– Tak mi się wydaje.

Zapisałem to sobie.

– Kiedy ukazał się ten artykuł?

– O ile pamiętam, w listopadzie zeszłego roku. „Cine” nie wychodzi w Stanach, dlatego nie jestem pewna. Lyn obiecała, że przyśle mi egzemplarz, kiedy numer wyjdzie w Anglii. – Urwała, a przez jej twarz przemknął grymas bólu, widoczny nawet mimo kiepskiej jakości połączenia. Czasopismo nie przyszło, tak samo jak jej siostra nie wróciła ze Stoke Point. – W każdym razie – odezwała się nieco cichszym głosem – nie jestem pewna, kiedy artykuł się ukazał, ale pamiętam, że udzieliła temu Colsky’emu dwóch wywiadów. Pierwszego pod koniec lipca zeszłego roku, a drugiego... nie wiem, może tydzień później.

– Mówiła, czy dobrze jej poszło?

– Tak. Powiedziała, że miło się rozmawiało.

Kilka minut później, kiedy zakończyłem rozmowę z Wendy i obiecałem, że wkrótce się z nią skontaktuję, odkryłem, że dziennikarz, który rozmawiał z Korin, nazywa się Marc Collinsky, nie Colsky. Był etatowym autorem „Cine”, największego brytyjskiego czasopisma filmowego. Na stronie magazynu znalazłem jego zdjęcie profilowe, adres mailowy i telefon

stacjonarny do redakcji. Mimo że było po wpół do dziesiątej wieczorem, spróbowałem zadzwonić, licząc na to, że może jeszcze zastanę go w pracy – i miałem szczęście.

– „Cine”, słucham.

– Czy rozmawiam z Markiem?

– Przy telefonie.

– Dobry wieczór, Marc. Nazywam się David Raker. Jestem detektywem i zajmuję się poszukiwaniem zaginionych osób. W tej chwili badam sprawę zaginięcia Lyndy Korin.

W słuchawce na moment zapadła cisza.

– Zaginięcia?

– Nie wiedziałeś?

– Nie. Co się z nią stało?

– Nie ma jej od października zeszłego roku. Wiem, że tamtego lata przeprowadzałeś z nią wywiad. Chciałbym porozmawiać o tym z tobą, jeżeli można.

W myślach szukałem już dla niego miejsca w moim grafiku. Musiałem jak najszybciej pojechać na Stoke Point, ponieważ jeżeli nie zobaczę tego półwyspu na własne oczy, nie przejdę się po nim i nie poznam go, nie będę miał pojęcia o miejscu, w którym po raz ostatni widziano Lyndę Korin. Dobrze by też było, korzystając z pobytu w Somerset, obejrzeć jej dom na wzgórzach Mendip. A to oznaczało, że cały następny dzień mam zajęty.

– Może w piątek? – zaproponowałem.

– Nie mogę. Jutro wieczorem wyjeżdżam do Berlina.

Znowu zamilkłem, zastanawiając się, czy artykuł w „Cine” ma w tym momencie jakieś znaczenie. Trudno było to ocenić, wcześniej go nie czytając, ale z tego, co mówiła Wendy, wynikało, że tekst był poświęcony nie jej siostrze, tylko Robertowi Hosterlitzowi – Collinski wykorzystał Korin, by uzyskać dostęp do informacji na temat jej męża. Gdy to sobie uświadomiłem, sprawa natychmiast straciła na wadze.

– Okay – powiedziałem. – Kiedy wracasz?

– W przyszły wtorek.

– Moglibyśmy się w takim razie umówić... – Nagle się zawahałem. W roztargnieniu przewijałem podstronę witryny „Cine” z archiwalnymi numerami magazynu i coś przykuło moją uwagę. – Marc, miałbyś czas jutro w porze lunchu?

– Hm, chyba tak. Wylatuję o szóstej.

– To może spotkajmy się przed twoją redakcją o pierwszej, zgoda?

– Dobrze, jesteście umówieni.

Rozłączyłem się, nie odrywając wzroku od jednego fragmentu strony. Pod okładką numeru, w którym ukazał się wywiad z Lyndą Korin, umieszczono link do jego cyfrowej wersji oraz potwierdzenie daty wydania wersji papierowej.

Dwudziesty trzeci października.

Czyli pięć dni przed zaginięciem Lyndy Korin.

Z namysłem wpatrywałem się w datę. Może to nie miało znaczenia. Może to zbieg okoliczności, że zniknęła zaraz po opublikowaniu jej zdjęcia w czasopiśmie. Tyle że im bardziej starałem się znaleźć argumenty przemawiające za tą tezą, tym mniej byłem jej pewien. Setki tysięcy egzemplarzy wywiadu z Korin zostały wystawione w kioskach z gazetami, leżały w poczekalniach, walały się w metrze i autobusach. Elegancką i piękną Korin na fotografii zobaczyli przeróżni ludzie, którzy dotychczas w ogóle o niej nie słyszeli – i to mnie martwiło. Martwiło mnie, bo nie miałem pojęcia, co to mogli być za ludzie. Martwiło mnie, bo pięć dni po tym, jak świat dowiedział się, kim jest, zniknęła.

Kliknąłem na link cyfrowego wydania numeru i ściągnąłem je na komputer. Zaraz potem ruszyłem do łóżka. Musiałem się trochę przespać, dopóki mogłem.

Wybierałem się w drogę wczesnym rankiem.

8

Z Londynu wyjechałem o czwartej rano, a już za dziesięć szosta okrążyłem północne obrzeża Bristolu. Lepiej byłoby wyjechać trochę później i spędzić na miejscu cały dzień, zwłaszcza że chciałem też zobaczyć dom Lyndy Korin – ale to na razie nie było możliwe. Musiałem do południa wrócić do Ealing, żeby o pierwszej spotkać się z Markiem Collinskim, więc wizytę w domu Korin trzeba było odłożyć do jutra. Irytujące, jednak nie miałem innego wyjścia. Koniecznie musiałem zobaczyć Stoke Point, zanim ruszę dalej ze sprawą, ale musiałem też porozmawiać z Collinskim o wywiadzie w „Cine” i zaginięciu Korin pięć dni po jego opublikowaniu. Gdybym się spóźnił, mógłbym spotkać się z nim dopiero we wtorek.

Kiedy zjeżdżałem z autostrady na wschód od Weston-super-Mare, niebo wciąż było ciemne i jeszcze przez jakiś czas nie zmieniał barwy. Mozolna jazda przez mrok, w głąb mokradeł północnej części hrabstwa Somerset – rozległej płaszczyzny, która kończyła się postrzępioną linią brzegową – wydawała się trwać wieki, ale kiedy od Stoke Point dzieliło mnie dziesięć minut, na horyzoncie wreszcie błysnął promyk światła. Gdy z ciemności wyłonił się półwysep, wyglądał jak ramię leżącego na ziemi olbrzyma, wyciągnięte w głąb Kanału Bristolskiego; parę chwil później dostrzegłem na cyplu ścieżki, które splatały się ze sobą niczym pasma warkocza, a okalała go kamienista skarpa przypominająca wodospad. Widziałem teraz, że to niemożliwe, by Lynda Korin przyjechała tu popełnić samobójstwo. Półwysep był zbyt płaski i niski. Skacząc stąd, mogłaby sobie połamać kilka kości, ale na pewno by się nie zabiła.

Nie mogła też utonąć. Teraz trwał przypływ, ale kiedy Korin zniknęła, poziom wody był sporo niższy. Jeżeli depresja albo strach – a może odwaga – kazały jej rzucić się w błoto przy brzegu i próbować się utopić, to nic by jej z tego nie wyszło: błotnisty grunt był oczywiście zdradliwy, ale mógłby ją wciągnąć tylko do kolan, w najgorszym razie do pasa. Musiałaby ją ratować straż przybrzeżna, a śmierć wydawała się mało prawdopodobna – poza tym na pewno zobaczyłaby ją załoga łodzi ratowniczej albo ludzie na cyplu. A nikt niczego nie widział. Nie znaleziono ani jednego świadka.

Wjazd na parking był mały i nie wyróżniał się niczym szczególnym. Wycięto go w półkolu gęstych drzew na końcu kamiennego mostu, który opisała mi Wendy. Przed wjazdem stała budka z logo National Trust i tablicą informacyjną, brama była uchylona. Ze zdziwieniem zauważyłem, że w budce jest jakiś człowiek, którego częściowo przysłaniała mleczna szyba, a przed wejściem stał oparty o ścianę rower.

Zatrzymałem się przy bramie i popatrzyłem dokoła. Po lewej stronie ujrzałem jedyną kamerę monitoringu. Była zamontowana na metalowym słupie – jak uliczna latarnia – i skierowana w stronę wjazdu. Pomyślałem o stop-klatkach z nagrania, które uchwyciło Lyndę Korin i jej samochód wjeżdżający przez bramę. Gdzie potem przepadła?

– Dzień dobry.

Obok mojego wozu stał mężczyzna z budki, w T-shircie National Trust. Po sześćdziesiątce, łysiejący, brodaty, z siateczką popękanych naczynek na policzkach i sterzącym brzuszkiem. Uśmiechał się, ale demonstracyjnie zerknął na zegarek, po czym spojrział na ukryty za drzewami parking, który był jeszcze zupełnie pusty. Z policyjnego raportu pamiętałem, że trzy razy w tygodniu ktoś z National Trust doglądał parkingu i niejaki Len Fordyce zgłosił, że samochód Korin prawdopodobnie został porzucony. Poszukałem wzrokiem plakietki z nazwiskiem, ale brodacz nie miał jej na koszulce.

– Dzień dobry – odpowiedziałem.

– Ranny ptaszek z pana.

Odwzajemniłem uśmiech.

– Podobno zapowiada się ładny dzień.

– Trzydzieści stopni – poinformował mnie, z wyraźnym akcentem z West Country. – No nic, niech się pan czuje jak u siebie. Zamykamy o zachodzie słońca.

Otworzył bramę na oścież i wjechałem na parking.

* * *

Z końca parkingu na półwysep, leżący poniżej dziesięciometrowej skarpy, prowadziły betonowe schodki ukryte między gęstymi dębami.

Był przyływ, przybrzeżne błoto ukryła woda. Robiło się coraz jaśniej i gdy zszedłem po stopniach, spojrzałem na ciągnący się po obu stronach Kanał Bristolski. W szarej wodzie ciemniały wstęgi brązowego mułu, jak węże kłębiące się pod powierzchnią, którą wzburzał wiatr. Było tu wyraźnie chłodniej niż na poziomie parkingu, mimo że na horyzoncie, nad grzbietem Steep Holm – wyspy położonej dziewięć kilometrów od lądu – pojawił się już skrawek słońca, rysując na niebie niesamowitą wiązkę pryzmatycznego, różowo-pomarańczowo-bordowego światła. Kiedy ruszyłem ścieżką w kierunku bunkra z czasów drugiej wojny światowej, znajdującego się po lewej stronie cypla, uderzyła we mnie seria gwałtownych podmuchów, tak że z trudem zdołałem iść w linii prostej. Ciekawe, jaka pogoda była na półwyspie tamtego ranka, gdy przyjechała tu Korin. Było zimniej i pewnie jeszcze mocniej wiało. Przecież to był koniec października.

Z bunkra została tylko skorupa: okrągły betonowy schron, częściowo zarośnięty wysoką trawą, z okienkiem wychodzącym na wody kanału. Przykrywał go nierówny dach z tu i ówdzie omszałych betonowych płyt; porowate, zryte bruzdami ściany pozołkły ze starości. Jeśli nawet zastanawiałem się, czy bunkier odegrał jakąś rolę w planie ucieczki

Korin – albo w planach, które ktoś inny miał wobec niej – szybko porzuciłem takie przypuszczenia. Kiedyś była to ostatnia linia broniąca wybrzeża Wielkiej Brytanii przed Hitlerem; dziś pozostał tylko rozpadający się kamienny krąg, w którym dzieci bawiły się w chowanego.

Szedłem ścieżką w głąb cypla. Im dalej się zapuszczałem, tym bardziej wiatr zagłuszał wszystkie inne dźwięki. Krzyk mew i szum fal przeszły na drugi plan. Po moich obu stronach trawa przyginała się do żwiru i kamieni, które widziałem z daleka – do szarej kamienistej plaży, rozciągającej się wokół całego półwyspu. Przy każdym podmuchu wiatru niemal traciłem równowagę; czułem pod stopami twardą ziemię. Wiało tak porywiście i było jeszcze tak wcześnie, że łatwo się zapominało, że od paru miesięcy słońce bezlitośnie tu praży.

Kilka chwil później moim oczom ukazał się koniec Stoke Point, oznaczony słupkiem z tablicą informacyjną. Od czubka półwyspu oddzielał mnie tylko ocean falującej trawy, postrzępione kępy kolcolistu i splątane cierniste krzewy. Dziewicze i niegościnnie, a zarazem puste i monotonne miejsce. Ten wąski pasek ziemi nie krył żadnego przełomowego dowodu w sprawie. Wiedziałem, że nie przyłapię tu nikogo z dymiącą bronią w ręku. Dzięki tej wyprawie utwierdziłem się jedynie w przekonaniu, że to odizolowany i dziki półwysep; jeżeli ktoś wszedł na cypel, mógł wrócić tylko tą samą drogą. Tak więc było to idealne miejsce, by zniknąć, jeżeli ktoś umiał zatrzeć za sobą ślady.

Zawróciłem, czując, że policzki płoną mi od wiatru, a czoło mam wilgotne od potu, i wspiąłem się po betonowych schodkach na parking. Za moimi plecami słońce wznosiło się coraz wyżej nad kanałem i znowu zmieniło się światło: półwysep był teraz skąpany w sepii, trawa stała się ogniście pomarańczowa, jak gdyby płonęło każde źdźbło. A kiedy dotarłem na górę, zanurzając się z powrotem między drzewa, parking wyglądał inaczej. Teraz zalegał tu cień.

Na przeciwległym końcu parkingu mężczyzna, który przywitał mnie czterdzieści pięć minut temu, w ogrodniczych rękawicach zmiatał opadłe liście przy budce. Wiatr znowu przybrał na sile, wdzierając się na parking przez wjazdy z obu stron. Zakołysały się nade mną gałęzie. Zaszumiały liście. Cienie na ziemi zatańczyły w promieniach słońca przebłyskujących między koronami drzew.

Wsiadłem do samochodu i wziąłem wydruki z policyjnego raportu w sprawie Lyndy Korin. Zajrzałem do relacji z oględzin miejsca zdarzenia – do fragmentu o tym, że jej torebkę i telefon komórkowy znaleziono w schowku, a klucze w zaroślach za samochodem. Spoglądając na pusty parking, widziałem, jak drzewa chwieją się i kołyszą na wietrze przy wtórze płasających cieni.

Powoli wszystko się uspokoiło.

Wróciwszy do papierów, skupiłem wzrok na fotografii kluczy Korin in situ, porzuconych w trawie. Komputerowa ilustracja dokładnie wskazywała ich położenie względem parkingu.

Miałem to miejsce po lewej stronie, za kawałkiem ziemi porosłej wysoką trawą.
Pora było przyrzeć mu się bliżej.

Trzymając raport w rękach, przeszedłem przez trawę i znalazłem się w kępie targanych wiatrem gęsto rosnących olch o wykrzywionych, sękatych gałęziach. Na wyschniętym błocie pod moimi stopami pojawiały się i znikwały cętki słonecznego blasku. Kierując się wskazówkami ze szkicu, dotarłem do miejsca, gdzie w miarę równy teren zaczynał się obniżać w kierunku półwyspu.

W cieniu liści było chłodniej, światło wydawało się bardziej przymglone i szare, a kiedy pochyliłem się nad miejscem, gdzie znaleziono klucze – wśród splątanych korzeni pod jedną z olch – ujrzałem warstwę śmieci: parę rdzewiejących puszek po napojach, jakąś folię po kanapkach, wyblakłe opakowanie po chipsach.

Nie ruszając się stamtąd, jeszcze raz przeczytałem fragment raportu o odnalezieniu kluczy, a później ponownie przyjrzałem się otoczeniu. Stałem około pięciu metrów od skraju parkingu – czyli linii, gdzie kończył się asfalt, a zaczynały drzewa i trawa. Trudno mi było ocenić na podstawie rysunku z raportu, ale pięć metrów to niezły rzut. Z tego miejsca wyraźnie to zobaczyłem. Byłaby do niego zdolna Lynda Korin – i każda dorosła osoba – jednak odległość wydawała się spora. Jeżeli coś mnie zastanawiało, to nie dystans, ale miejsce, w którym odkryto klucze, między puszkami i plastikiem, wśród korzeni olchy.

Podchodząc tam, nie widziałem nawet podstawy pnia, miejsca, gdzie odsłonięte korzenie tworzyły coś w rodzaju naturalnego schowka – a to dlatego, że szedłem tam od parkingu, a korzenie znajdowały się po północno-wschodniej stronie drzewa, czyli przeciwnej. Były prawie niewidoczne. Korzenie olchy sięgały w kierunku Kanału Bristolskiego, nie parkingu.

Aby się upewnić, wróciłem tą samą drogą, a potem pokonałem ją znowu, starając się cały czas mieć w polu widzenia korzenie drzewa. Okazało się to niemożliwe. Mignęły mi dwa razy, gdy ścieżka skręcała, ale właściwie były zupełnie niewidoczne, dopóki nie dotarłem do olchy.

Przystanąłem tam, z papierami w dłoni, próbując to pojąć.

Detektyw White sugerował, że Korin wyrzuciła klucze – a jeśli nie ona, to ktoś inny. Jeżeli tak by to wyglądało, musiałbym uwierzyć, że ta osoba nie tylko rzuciła je na taką odległość, ale też miała niewiarygodne szczęście i klucze wylądowały akurat tutaj. Równie prawdopodobna była jednak możliwość, że nie wiązało się to z żadnym szczęściem. Możliwe, że miejsce zostało z góry upatrzone i klucze schowano tu celowo.

Kucnąłem obok pnia i znowu się rozejrzałem, zastanawiając się nad tą teorią – że klucze zostawiono za daleko od skraju parkingu i były za dobrze ukryte w korzeniach, by mógł to być fuks.

Pytanie tylko, dlaczego ktoś chciał je umieścić właśnie tutaj?

Zerknąłem na olchę, a potem na drzewo obok.

Sąsiednia olcha była najgrubszym i najwyższym z drzew rosnących po tej stronie parkingu, a jej pień pokrywały blizny pozostawione przez setki znudzonych nastolatków. W szarej korze dzieciaki wyryły swoje imiona, serca, jakieś nieczytelne i niezrozumiałe graffiti. To samo graffiti widziałem wcześniej w tle na zdjęciu kluczy Korin in situ. Myśląc o tym, znowu zajrzałem do raportu, aby porównać fotografię z widokiem korzeni, jaki miałem teraz przed sobą. Przenosiłem wzrok ze zdjęcia na drzewa, znów na zdjęcie i z powrotem na drzewa.

Wszystko wyglądało dokładnie tak samo.

Podniosłem się i w szumie drżących w powiewach wiatru liści, stąpając po gałązkach, które trzaskały mi pod butami, podszedłem do poznaczonej szramami drugiej olchy. Gdy oglądałem setki rowków i bruzd wyciętych nożami i kamieniami o ostrych krawędziach, mój wzrok zatrzymał się na niewielkim rysunku wyrytym na jednej trzeciej wysokości pnia. Miał szerokość zaledwie kilku centymetrów i łatwo byłoby go przeoczyć w gąszczu innych napisów i obrazków, ale coś natychmiast zwróciło moją uwagę.



To był projektor filmowy.

Jeszcze raz dokładnie obejrzałem fotografię w raporcie i zobaczyłem, że rysunek był już na tym drzewie w listopadzie, kiedy znaleziono tu klucze. Czy to tylko przypadek? Czy naprawdę to jedynie zbieg okoliczności, że projektor filmowy został wyryty w korze drzewa parę metrów od miejsca, w którym ostatni raz widziano dawną aktorkę filmową, parę centymetrów od miejsca, w którym znaleziono jej klucze?

Znowu spojrzałem na słowa wyryte po prawej stronie rysunku. Jezioro Calhoun.

Nie bardzo wiedząc, gdzie jest to jezioro, czym prędzej wróciłem do samochodu, chwyciłem telefon i zacząłem sprawdzać.

Gdy tylko spojrzałem na pierwszy wynik wyszukiwania – artykuł z Wikipedii – poczułem przypływ adrenaliny. Przewinąłem listę, szukając potwierdzenia tej informacji, i zobaczyłem, że powtarza się na każdej stronie.

Jezioro Calhoun miało powierzchnię ponad stu sześćdziesięciu hektarów i było położone na południowy zachód od Lakeville.

Miejscowości, w której mieszkała Wendy Fisher.

I w której wychowała się Lynda Korin.

10

W Anglii była za dziesięć ósma rano, czyli w Minnesocie za dziesięć druga w nocy, co oznaczało, że Wendy albo śpi, albo jest w pracy. Wysłałem do niej maila, pamiętając, że jako pielęgniarki trudno jest jej odbierać w biegu telefony, i poinformowałem ją, że muszę z nią jak najszybciej porozmawiać. Chciałem wiedzieć, dlaczego nazwa jeziora, w pobliżu którego mieszkała w dzieciństwie z siostrą, została wyryta na drzewie obok miejsca, gdzie znaleziono klucze Lyndy Korin; chciałem też wiedzieć, dlaczego przy nazwie jeziora wydrapano rysunek projektora filmowego.

Projektor przywiódł mi na myśl wywiad z Korin w „Cine”, więc z tylnego siedzenia wziąłem laptop. Poprzedniego wieczoru ściągnąłem cyfrowe wydanie tamtego numeru, ale nie miałem jeszcze okazji go przeczytać. Zerwałem się z łóżka wcześniej, a tekst był zbyt długi i gęsty, żeby go szybko przejrzeć, zwłaszcza że nie chciałem uronić żadnego szczegółu. Zamierzałem przeczytać wywiad po powrocie do Londynu. Teraz szybko sprawdziłem, czy w PDF-ie pojawia się „jezioro Calhoun”. Nigdzie nie wymieniano tej nazwy.

Wracając do Google’a w telefonie, próbowałem użyć jeziora jako punktu wyjścia do wydarzeń, które mogły się z nim łączyć – przestępstw, zaginięć, spraw w jakiś sposób związanych z Korin – niczego jednak nie znalazłem. Po chwili zauważyłem, że mężczyzna przy bramie zbiera się do odjazdu: założył na nogawkę opaskę rowerową, budka była już zamknięta na kłódkę.

Uruchomiłem silnik mojego bmw i podjechałem do bramy.

Zatrzymałem się przy nim i opuściłem szybę. Zerknąłem w lusterko wsteczne, jeszcze raz patrząc na miejsce, w którym znalazłem inskrypcję, po czym przeniosłem wzrok na szczyt schodów prowadzących w dół na półwysep. Wiatr trochę się uspokoił i nad drzewami pojawiło się słońce – biała tarcza na tle nieskazitelnie błękitnego nieba.

– Już pan odjeżdża? – zapytał.

– Niestety. To jedyna droga, którą można się tu dostać, prawda?

Zmarszczył brwi i spojrzał w stronę mostu łączącego parking z lądem, jak gdyby pytanie było podchwytliwe.

– Tak – potwierdził, wciąż marszcząc czoło – innej drogi nie ma.

Znowu zerknąłem w lusterko.

– Ludzie często cumują łódki przy półwyspie?

– A gdzie mieliby to robić?

– Nie widziałem żadnego pomostu.

Brwi nadal pozostawały ściągnięte.

– Pewnie dlatego, że go nie ma.

Najwidoczniej uznał mnie za jakiegoś pomyleńca, więc próbowałem pociągnąć rozmowę w inną stronę.

– Podobno w październiku zeszłego roku zaginęła tu kobieta.

Był wyraźnie zaskoczony zmianą tematu, ale mina mu złagodniała.

– Tragiczna historia – przyznał. – To ja zadzwoniłem w tej sprawie na policję.

– Och, naprawdę?

– Tak. Powiedziałem, że chyba porzuciła tu samochód.

– Czyli pan Len Fordyce, zgadza się?

Przymrużył oczy.

– Skąd pan to wie?

– Nazywam się David Raker – przedstawiłem się, wyciągając do niego rękę, aby go uspokoić. – Poproszono mnie, żebym spróbował ustalić, jak ta pani zaginęła.

– Aha. – Uścisnął mi dłoń. – Gliniarz czy ktoś w tym rodzaju?

– Raczej ktoś w tym rodzaju. Pracuję na własny rachunek.

– Prywatny detektyw?

Podał mi wizytówkę i wróciłem do sprawy Lyndy Korin.

– Jak słyszałem, zagląda pan tutaj... trzy razy w tygodniu, tak?

– Tak. Chociaż nie zawsze jestem tu o świcie, jak dzisiaj. Czasami przyjeżdżam dopiero wieczorem albo w południe. Dlatego brama jest sterowana timerem: otwiera się automatycznie pięć minut po wschodzie słońca, a zamyka się pół godziny po zachodzie. Jeżeli na parkingu zostanie czyjś samochód, to pech. Uprzedzamy o tym. – Wskazał na tablicę przy budce. – Naprawdę nie ma znaczenia, o której przyjadę, najważniejsze, żebym sprawdził, czy wszystko jest w porządku. Szczerze mówiąc, dopiero po jakimś czasie zorientowałem się, że zostawiła tu wóz na stałe... to znaczy porzuciła.

Skinąłem głową, spoglądając na parking.

– To była miła pani.

Natychmiast otrząsnąłem się z zamyślenia i nadstawiłem uszu.

– Co pan powiedział?

– Tylko tyle, że przyjeżdżała tu parę razy.

– To znaczy zanim zaginęła?

– Tak – odrzekł. – Widziałem ją wcześniej z pięć, sześć razy.

– Mówił pan o tym policji?

– Oczywiście, że mówiłem.

Ta informacja nie znalazła się jednak w raporcie detektywa White'a ze śledztwa w sprawie zaginięcia. Dlaczego? Być może nie sądził, że to ważne. Była tu wcześniej – i co

z tego? Ale to znaczyło, że знаła to miejsce – albo zdążyła je poznać. Albo że wracała tu z jakiegoś innego powodu.

Pomyślałem o wyrytym na drzewie rysunku.

– Spotykała się tutaj z kimś?

– Nie zauważyłem, ale przypuszczam, że mogła się z kimś spotykać w te dni, kiedy nie pracowałem.

– A co robiła, kiedy pan tu był?

Wzruszył ramionami i ponad dachem samochodu spojrział w stronę stopni prowadzących na półwysep.

– Schodziła pospacerować po cyplu – powiedział. – A czasem po prostu siedziała w samochodzie. Ale kiedy natknęła się na mnie, zawsze mówiła mi „Dzień dobry”, a dwa razy ucieliśmy sobie małą pogawędkę. Polubiłem ją. Miała na imię Lynda.

– Pamięta pan, o czym rozmawialiście?

– Właściwie nie. Gadaliśmy o tym i owym. – Uniósł lewą rękę. Na serdecznym palcu miał złotą obrączkę. – Tak się nieszczęśliwie złożyło, że moja połowica zmarła parę lat temu. Wątroba. No więc lubię gadać z ludźmi, poznawać ich, bo... rozumie pan.

Bo czuję się samotny, dokończyłem za niego w myślach.

– I poznał pan Lyndę?

– Nie wydaje mi się, że bym ją poznał, ale rozmawialiśmy.

– Mówiła coś o sobie?

– Powiedziała, że była mężatką i że mieszka gdzieś na wzgórzach Mendip. Chyba wspomniała jeszcze, że jest księgową. Raz, kiedy przyjechała wcześniej rano i było zimno, poczęstowałem ją kawą z termosu... ale niech pan mnie źle nie zrozumie, nie zaprzyjaźniliśmy się, nic podobnego. Po prostu lubiliśmy sobie pogadać.

– Mówiła kiedyś panu o jeziorze Calhoun?

Zmarszczył brwi.

– O czym?

– O jeziorze Calhoun.

– Jest tu w okolicy jakieś jezioro?

– Nieważne – uciąłem. – Czyli niedługo potem porzuciła tu samochód?

– Tak. Kilka dni po jej zaginięciu przyjechałem trochę później i zaparkowałem tam. – Wskazał na róg parkingu, blisko miejsca, w którym wszedłem ścieżką między drzewa. – To chyba był czwartek. W każdym razie poznałem jej samochód, ale jej nigdzie nie zauważyłem. Nie bardzo się tym przejąłem. Pomyślałem, że pewnie jest gdzieś na cyplu. W grafiku miałem jeszcze kontrolę w dwóch miejscach, więc krótko potem odjechałem. W następnym tygodniu byłem na urlopie i przyjechałem tu dopiero w niedzielę, czyli... ile?... prawie dwa tygodnie po jej zaginięciu. Znowu widzę jej wóz, ale jej ani śladu. Wróciłem tu w poniedziałek i jak zobaczyłem jej samochód w tym samym miejscu, a jej znowu nigdzie nie było, poszedłem jej poszukać, chyba z ciekawości. Bo nie

przypuszczałem, żeby tak po prostu zostawiła tutaj wóz. Ale kiedy jej nie znalazłem, zacząłem się o nią niepokoić. No i zadzwoniłem na policję.

Ponownie zerknąłem w lusterko wsteczne. Z raportu White'a wiedziałem, że należący do Korin ford focus został odholowany na policyjny parking. Nikt się po niego nie zgłosił, bo Korin nie odnaleziono, a nie miała rodziny, która mogłaby przejąć samochód pod jej nieobecność. Po pół roku przetrzymywania go w depozycie focus został sprzedany na złom.

Rozmyślając o tym, patrzyłem akurat na budkę i zauważyłem wystającą z bocznej ściany czarną gumową rurkę w kształcie litery L. Przypominała rurę spustową rynny. Jej koniec był osadzony w skrawku betonu na ziemi i przymocowany nitami wielkości dziesięciopensówek. Przez chwilę nie miałem pojęcia, co to może być, ale spojrzałem na kamerę monitoringu zamontowaną na słupie przy bramie i u jego podstawy zobaczyłem wiązkę przewodów wystających z podobnej gumowej rurki.

Instalacja systemu monitoringu.

Przypomniałem sobie, co mówił mi Ewan Tasker. Używano tu starego systemu monitoringu, stosującego zapis obrazu na płytach, co oznaczało, że sprzęt do nagrywania znajdował się w budce.

Wskazałem ręką na rurę osadzoną w ziemi.

– Domyślam się, że nie byłby pan skłonny pokazać mi nagrania monitoringu z dnia, w którym zaginęła Lynda, prawda?

– Gdyby to było możliwe, synu, chętnie bym to zrobił – rzekł Fordyce, wyjmując z kieszeni pęk kluczy; każdy z nich był oznaczony numerem.

– Ale nie jest możliwe?

– Trzymamy tu płyty z ostatniego pół roku.

– A potem?

– Potem je wyrzucamy. Ale być może kopię ma policja.

Uśmiechnąłem się, próbując ukryć rozczarowanie. Będę musiał jednak znaleźć jakiś cudowny sposób nawiązania przyjaźni z policją Somerset i Avon.

– A pan widział to wideo? – zapytałem.

– Tak, zerknąłem komuś przez ramię.

– I co pan o tym sądzi?

Wzruszył ramionami.

– Jest tak, jak mówili.

– Ona po prostu znika?

– Wjeżdża na parking... – Zawahał się, spoglądając w kierunku półwyspu. – I już nie wraca.

Kiedy wracałem do Londynu, ruch był znacznie większy, ale udało mi się dotrzeć do domu przed jedenastą. Podczas jazdy dwa razy usłyszałem sygnał telefonu, co oznaczało, że przyszły maile, a gdy zasiadłem z laptopem w palącym słońcu z tyłu domu, zobaczyłem, że oba są od Spike'a.

Właściwie liczyłem na odpowiedź od Wendy, ale w Minnesocie była dopiero piąta rano, postanowiłem więc dać jej jeszcze dwie godziny, nim zacznę ją ponaglać.

W tym, co przysłał mi Spike, nie znalazłem żadnych rewelacji, chociaż zebrał informacje obejmujące znacznie dłuższy okres. Zdobył wyciągi z kont, historię finansową, bilingi, maile, ale – gdy skrupulatnie przejrzałem to wszystko – stało się jasne, że śledztwo w sprawie zaginięcia Lyndy Korin utknęło w martwym punkcie nie dlatego, że White pominął jakiś mail, rozmowę telefoniczną czy obciążający dowód. Poczulem rozczarowanie i ulgę jednocześnie: oznaczało to, że w materiałach od Spike'a nie było żadnych nowych tropów, czyli z mojego powodu zmarnował noc; oznaczało też, że pole poszukiwań zostało ograniczone i mogę się zająć czymś innym. Teraz powinienem się skupić na inskrypcji, którą odkryłem na drzewie na Stoke Point, i artykule w „Cine”.

Poświęciłem trochę czasu na szukanie tych samych informacji o jeziorze Calhoun, do których dotarłem wcześniej, żeby sprawdzić, czy niczego nie przeoczyłem. Upewniwszy się, że nie, odłożyłem ten wątek śledztwa na bok do czasu rozmowy z Wendy i postanowiłem zmienić taktykę. W korze olchy wyryto nie tylko nazwę jeziora, ale także rysunek staroświeckiego projektora filmowego. Nie wiedziałem, kto to zrobił ani dlaczego, było jednak jasne, że nazwa jeziora wiąże się z Lyndą Korin – należało więc zakładać, że projektor też. Stąd wniosek, że muszę dowiedzieć się więcej o jej karierze filmowej, jeśli tak można by to nazwać.

Wystarczyło mi około pięciu minut, żeby zorientować się w sytuacji. Nie musiałem czytać recenzji widzów, by dojść do wniosku, że Korin grała w kiepskich filmach – mówiły to same tytuły. Trudno było się spodziewać, że Kobieta zombie i Ciało Drakuli trafią kiedykolwiek do rankingów najwybitniejszych dzieł, ale zacząłem się zastanawiać, czy nie traktowała aktorstwa jako rozrywki – po całkiem udanej przecież karierze fotomodelki. Niezależnie od kierujących nią motywów, na plan filmowy dostała się dzięki współpracy z producentem Isaakiem L. Murrayem, mózgiem – jeżeli to właściwe słowo – wielu dzieł o takich tytułach jak Żądza wilczycy czy K jak krew. Bardziej istotny był fakt, że w 1976 roku, gdy Murray zaczął pracować nad Ursulą z SS, zaproponował Korin pierwszą w jej

karierze rolę główną. Właśnie na planie tego filmu poznała swojego przyszłego męża, Roberta Hosterlitz, który wówczas był już tylko cieniem dawnego siebie, nie miał pieniędzy i rozpaczliwie potrzebował pracy, o czym świadczyła przede wszystkim jego zgoda na reżyserowanie Ursuli.

Na jednej ze stron opisano trzy części Ursuli jako „kultowe filmy nurtu nazi exploitation z lat siedemdziesiątych, o sadystycznej, cierpiącej na nimfomanię komendantce, która przeprowadza eksperymenty na więźniach”. Pierwszy obraz z tej serii trafił na osławioną listę video nasty z lat osiemdziesiątych, filmów na kasetach wideo, których dystrybucja została zabroniona, chociaż – jak twierdził autor tekstu na tej samej witrynie – w rzeczywistości „Ursula dostała zakaz raczej z uwagi na podejmowaną tematykę (naziści, seks, eksperymenty na ludziach) niż na samą fabułę. Tak naprawdę film jest niedorzeczną szmirą, z której pamięta się tylko piękną Lyndę Korin i jej biust”. Robert Hosterlitz wyreżyserował wszystkie trzy części Ursuli, w których główną rolę zagrała jego żona. Później Korin wystąpiła jeszcze w jedenastu filmach nakręconych przez Hosterlitz w Hiszpanii. Pojawiała się w głównych i drugoplanowych rolach, ale były to obrazy tego samego autoramentu, o tytułach w rodzaju Zabij! albo Umieraj powoli.

Z opisu trudno było stwierdzić, czy to może mieć jakieś znaczenie dla sprawy, jakkolwiek na to spojrzeć. Korin miała odrobinę rozrywki, bawiąc się od czasu do czasu w aktorstwo; Robert Hosterlitz, którego kariera z wolna dogasała, usiłował jakoś związać koniec z końcem.

Mimo to poświęciłem dwadzieścia minut, by sprawdzić, czy uda mi się zdobyć kilka filmów z udziałem Korin, tylko po to, żeby zobaczyć, jakie zrobi na mnie wrażenie, nawet jeśli to było czterdzieści lat temu. Chciałem się też przekonać, czy trafię na jakiś związek z tym, co już zdążyłem ustalić, albo z rysunkiem wyrytym w korze drzewa. Okazało się jednak, że dostępnych jest tylko parę jej filmów – i albo trzeba by bardzo długo czekać na realizację zamówienia, albo kopie były w posiadaniu zbieraczy koneserów.

W końcu zabrałem się do lektury artykułu Marca Collinsky’ego w „Cine”.

Jak powiedziała mi Wendy w rozmowie przez Skype’a, tekst był poświęcony nie Korin, ale jej mężowi, a ściślej mówiąc, początkom jego kariery w Ameryce w latach pięćdziesiątych. Korin wykorzystano po prostu po to, aby poznać bliżej Hosterlitz poza kamerą.

Artykuł zaczynał się od emigracji rodziny Hosterlitzów, która w 1933 roku, w obliczu nadciągającego nazizmu, wyjechała z Niemiec do Stanów Zjednoczonych. Robert miał wówczas osiem lat. Jego ojciec, drugorzędny aktor, przyjaźnił się z legendarnym reżyserem Fritzem Langiem i ostatecznie właśnie dzięki temu Robert zaczepił się w Hollywood.

„Robert miał trudną młodość – mówi nam Lynda Korin. – Kiedy miał trzynaście lat, zmarł jego ojciec, a w 1943 roku, gdy Robert próbował zaciągnąć się do wojska,

zdiagnozowano u niego niegroźną chorobę serca. Wielu ludzi nie rozumiało, dlaczego nie mógł wstąpić do wojska. Widzieli w nim tylko młodego Niemca, który ciągle mówi z akcentem i siedzi w domu, podczas gdy reszta osiemnastolatków idzie na wojnę. Myślę, że to zrodziło pewne podejrzenia, a Robert, którego znałam, (...) na pewno bardzo to przeżywał. Nie mógłby znieść myśli, że budzi czyjąś niechęć. Ale w końcu Fritz Lang użył swoich wpływów i Robert zaczął pracować przy redakcji scenariuszy filmów propagandowych Komisji do spraw Działalności Wojennej Przemysłu Filmowego. Właśnie w tym okresie napisał scenariusz *Mojego nikczemnego serca*”.

W 1949 roku, znowu przy znaczącym udziale Langa, namówiono studio Monogram do przekazania Hosterlitzowi skromnej kwoty na realizację *Mojego nikczemnego serca*. Wbrew wszelkim przewidywaniom film odniósł wielki sukces artystyczny i kasowy, dzięki czemu Hosterlitz – zaledwie dwudziestoczteroletni – podpisał kontrakt na cztery filmy z American Kingdom. Dla tej wytwórni nakręcił *Connora O’Hare* i *Dopiero gdy umrzesz*, za które otrzymał nominacje do Oscara, a następnie *Oczy nocy*. To był prawdziwy przełom. I to nie tylko dla Hosterlitz’a. Grający główną rolę Glen Cramer, który miał już na koncie Oscara za tytułową postać w *Connorze O’Hare*, zdobył drugą statuetkę właśnie za *Oczy nocy*.

W wywiadzie dla „LA Times” w roku 1989, podczas kampanii promocyjnej filmu *Półmrok*, za który Glen Cramer dostał czwartego, ostatniego, Oscara, aktor wyraził wielkie uznanie Hosterlitzowi: „Gdyby nie Bobby, podawałbym burgery w McDonalddie. Nigdy nie zapomnę, jak przyszedł obejrzyć przedstawienie, w którym grałem w Nowym Jorku, zanim obsadził mnie w *Connorze*. Czekał przed wyjściem dla aktorów, więc pomyślałem, że chce ode mnie autograf. Powiedziałem do niego: «Pierwszy raz w życiu daję komuś autograf», a on na to: «Ale na pewno nie ostatni». Nigdy tego nie zapomnę. Kiedy w zeszłym roku umarł, zostawił po sobie ogromną pustkę. Wiele złego zrobiła ta idiotyczna historia z Komisją do spraw Działalności Antyamerykańskiej w latach pięćdziesiątych. To był prawdziwy skandal”.

Kiedy Komisja Kongresu do spraw Działalności Antyamerykańskiej oskarżyła go o poglądy komunistyczne, Hosterlitz uciekł z Los Angeles do Londynu i wkrótce rozpoczął się jego nieodwracalny upadek. Plany kariery w Wielkiej Brytanii spaliły na panewce, nakręcił trzy filmy w Niemczech, a później – osiem lat po wyjeździe z USA, gdy komisja już się nim nie interesowała – wrócił do kraju, ponieważ zachorowała jego matka. Znalazł pracę w telewizji, gdzie zrobił parę odcinków *Bonanzy* i *Petticoat Junction*, i wydawało się, że powróci na filmowy szczyt, gdy podpisał z Paramount kontrakt na western *Duch*

Wielkich Równin, do którego sam napisał scenariusz. Produkcja poniosła sromotną klęskę w starciu z kasowym hitem Dobry, zły i brzydki. Kariera Hosterlitz legła w gruzach.

„Zaczął więcej pracować dla telewizji, żeby płacić rachunki – mówi Korin – ale w 1969 roku zmarła jego mama i wszystko się rozpadło. Popadł w depresję. Uzależnił się od środków przeciwbólowych i nasennych, od amfy... i prostytutek. – Korin milknie po ostatnim słowie i wzrusza ramionami. – Był zrozpaczony i samotny. Mówił, że leki wywołują u niego paranoję, i stracił wielu znajomych”. Zawiedziony, niekochany i opuszczony przez wszystkich, Hosterlitz przeprowadził się z powrotem do Wielkiej Brytanii, gdzie Amicus, rywal wytwórni Hammer, zaproponował mu reżyserię horroru Dom ciemności (1971).

Obraz okazał się katastrofą.

„Najczęściej był nafaszerowany lekami – wspomina producent Gordon Lem – a nawet jeśli nie był, cała ekipa, łącznie z kobietą, która parzyła herbatę, uważała, że zachowuje się dziwnie. Szczerze mówiąc, pod koniec mu współczułem. Wyglądał jak żywy trup: jego oczy ziały pustką”.

Trzy lata później Hosterlitz doznał udaru. Długo wracał do zdrowia, a nie mogąc znaleźć pracy ani w Anglii, ani w Stanach, Robert – bez pieniędzy – przeniósł się do Hiszpanii, aby wyreżyserować pierwszy film z cyklu Ursula.

Producent kina grindhouse’owego, Isaac L. Murray, zaproponował mu podwojenie stawki, jeżeli podejmie się realizacji całej serii, tak więc po pierwszym filmie Hosterlitz zrobił kolejne dwa: Ursula: Jej Wysokość Kommandant (1978) oraz Ursula: Rzeźniczka z El Grande (1978), w którym akcja została przeniesiona do więzienia w Ameryce Południowej. Był już wówczas mężem Korin. „To były marne filmy – mówi aktorka. – Gdybym próbowała pana przekonywać, że były dobre, pewnie zaczęłyby się pan pokładać ze śmiechu. W większości scen występowałam nago. Ale gdybym w nich nie zagrała, nie poznałabym Roberta”.

W tym miejscu Collinsky zaczął rozmawiać z Korin o jej karierze, skupiając się zwłaszcza na latach małżeństwa z Hosterlitzem. Nie robiła uników, jej odpowiedzi wydawały się proste i szczerze; potem jednak Collinsky zapytał ją, co takiego zainteresowało ją w Hosterlitzu.

Zastanawia się przez chwilę.

„W 1976 roku był już wolny od nałogów, rzucił nawet palenie, i trudno byłoby rozpoznać, że przeżył udar. Został w nim jednak jakiś smutek i chyba dlatego mnie pociągał. Nie był atrakcyjny w taki sposób jak ludzie, których zawsze uważałam za atrakcyjnych: nie miał wyrazistych rysów, nie był pewny siebie. Wydaje mi się, że życie już go dawno oduczyło pewności siebie. Ale był tajemniczy. Myślałam: na

pewno ma jakiś sekret. Im dłużej z nim byłam, tym bardziej chciałam poznać ten sekret”.

„I poznała go pani?”

Nie odpowiada.

„Czyli nie?”, pytam.

Korin spogląda na mnie.

„Proszę o następne pytanie”, ucina.

Przeczytałem resztę artykułu, ale nie znalazłem niczego równie interesującego jak ten fragment o jej mężu: o jej podejrzeniach, że Robert skrywa jakąś tajemnicę. Kiedy Collinsky próbował ją docisnąć, uchyliła się od odpowiedzi.

Dlaczego?

Przeczytałem jeszcze raz tę część, zastanawiając się, czy ma to bezpośredni związek ze sprawą, czy mogłoby pomóc w ustaleniu, co się stało z Lyndą Korin, kiedy dziesięć miesięcy temu przyjechała na Stoke Point. Wydawało się to niezbyt prawdopodobne, skoro Hosterlitz nie żył wtedy już od dwudziestu sześciu lat.

Co nie oznaczało, że jest to niemożliwe.

12

Parę minut przed pierwszą z windy na parterze biurowca wyłonił się Marc Collinsky. Może i pisał o filmie, ale wyglądał jak wszyscy znani mi dziennikarze muzyczni: glany, obcisłe czarne dżinsy, gęsta, potargana czupryna i skórzana kurtka, mimo upału. Miał około trzydziestu pięciu lat, jego niebieskie oczy lśniły młodzieńczym blaskiem, twarz pokrywał drobny zarost.

Uścisnęliśmy sobie ręce.

– Dzięki, że zgodziłeś się poświęcić mi chwilę – powiedziałem.

Skinął głową.

– Nie wiem, czy będę mógł pomóc.

Mówił cicho, z wyraźnym szkockim akcentem.

– Mimo wszystko jestem wdzięczny – odrzekłem.

Spytałem, gdzie możemy zjeść lunch. zaproponował sklepik z barem przy Earlham Street, pięć minut od redakcji.

Poszliśmy tam; udało się nam znaleźć stolik przy oknie. Zapłaciłem za jedzenie i wróciłem do niego, niosąc dwie zdecydowanie za drogie kanapki i dwie butelki niegazowanej wody. Zrzuciwszy skórzaną kurtkę, Collinsky odkręcił butelkę i jednym haustem niemal ją opróżnił.

– Dzięki. – Odstawił butelkę i rozpakował kanapkę z szynką i piklami.

– Właśnie przeczytałem twój artykuł o Hosterlitzu.

Uniósł wzrok.

– Tak?

– Moim zdaniem jest znakomity.

Przez sekundę nie odrywał ode mnie oczu, jak gdyby chciał się upewnić, czy nie padł ofiarą jakiegoś wyrefinowanego żartu.

– Dzięki – rzucił z tą samą niepewną miną.

– Serio.

– Miło słyszeć. – Wzruszył ramionami. – Od dawna męczył mnie ten temat. Hosterlitz to był geniusz, autentyczny geniusz, a my mamy być magazynem o kinie, nie tylko o premierach z ostatniego roku. Po sześćdziesięciu latach jego filmy noir to dzieła sztuki. I będą dziełami sztuki za następne sześćdziesiąt lat.

Wyjąłem długopis i notes, po czym zacząłem naprowadzać rozmowę na Lyndę Korin. Poinformowałem go, kim jestem, dlaczego chciałem się z nim spotkać i dla kogo pracuję.

Słuchał, od czasu do czasu zadając pytanie, ale przede wszystkim milczał.

Na koniec powiedziałem:

– Nie przypuszczam, żeby w grę wchodziła jakaś rodzinna kłótnia, bo jej siostra mieszka w Stanach. Nie chodzi też o przyjaciół, bo mówiąc szczerze, Lynda miała ich niewielu. Chyba była zadowolona z pracy, nie miała żadnych wrogów, zdrowie jej służyło, na sytuację finansową też nie mogła narzekać. Jak dotąd najbardziej zainteresował mnie fakt, że Lynda zniknęła pięć dni po publikacji twojego artykułu. Może to ważne, może nie. Ale jeżeli to był istotny czynnik, który doprowadził do jej zaginięcia, muszę się dowiedzieć, z jakiego powodu.

– Dlaczego miałyby to doprowadzić do jej zaginięcia?

Wzruszyłem ramionami.

– Liczę na to, że dowiem się tego od ciebie. Możesz mi najpierw powiedzieć, jak to się stało, że napisałeś ten artykuł?

Milczał przez dłuższą chwilę, wyraźnie zaniepokojony, że jego artykuł może mieć bezpośredni związek ze zniknięciem Lyndy Korin.

– Marc?

– Hm, chyba ostatecznie zdecydowałem się go napisać po tym, jak spotkałem ją na festiwalu w dwa tysiące jedenastym – powiedział. – Słyszałeś o Screenmageddonie?

– To zjazd fanów horrorów i science fiction, tak?

– Właśnie. Pracowałem wtedy jako wolny strzelec dla magazynu o horrorach, więc udało mi się krótko z nią porozmawiać. Mówiliśmy przede wszystkim o serii Ursula, ale na koniec dała mi wizytówkę. Dwa lata później, w dwa tysiące trzynastym, znowu się z nią skontaktowałem. Pracowałem już w „Cine” i zbliżała się sześćdziesiąta rocznica premiery Oczu nocy, więc pomyślałem, że fajnie byłoby poświęcić jej jakiś retrospektywny tekst, namówić ją, żeby opowiedziała o Hosterlitzu, o jego filmach, o tym, jakim był człowiekiem. Z początku nie zachwycił jej mój pomysł, zwłaszcza to, że miałbym ją wypytywać o ich małżeństwo. Odniosłem wrażenie... sam nie wiem, ale odniosłem wrażenie, że traktuje swoje małżeństwo jak świętość.

– Dlaczego?

Przez chwilę milczał, bębniąc palcem o stolik.

– Wydawało mi się, że w ten sposób próbowała uczcić pamięć męża. Chciała ochronić to, co było między nimi, wyjątkowe chwile, które razem przeżyli, i pewnie czułaby się skrzepowana, rozmawiając o tym z obcym człowiekiem. Rozumiałem to. – Znowu umilkł i spojrzał na mnie, wyraźnie wahając się, czy powiedzieć to, co miał na końcu języka. – Kiedy żył mój tato, zabierał mnie na stadion Tynecastle, a po powrocie do domu pisałem relacje z meczów Heartsów i potem czytałem mu na głos... to był taki nasz rytuał. Nikomu nie pokazywałem tych sprawozdań. Były tylko dla niego i dla mnie, dla nikogo innego.

Też doskonale rozumiałem potrzebę zamknięcia przed światem ważnych spraw z fragmentów życia, które już nigdy nie wrócą.

– Ale potem zmieniła zdanie? – spytałem.

– W końcu tak. Nie straciliśmy kontaktu i latem zeszłego roku jeszcze raz podsunąłem jej pomysł uczczenia kariery Hosterlitz. Ciągle miała opory, ale przynajmniej zgodziła się pogadać, więc pojechałem do niej do domu i poszło nam tak dobrze, że uzyskałem materiał na coś większego. Okazało się potem, że to był pierwszy z dwóch wywiadów. Była fantastyczna, bezpośrednia i zaskakująco szczerą. Bombardowałem ją pytaniami o różne sprawy, a ona bez mrugnięcia okiem na wszystko odpowiadała.

– Była sympatyczna?

– Tak, zdecydowanie. Inteligentna, dowcipna, życzliwa. Pewna siebie i interesująca. Poza tym... – Uśmiechnął się, jak gdyby nagle poczuł się niezręcznie. – Po prostu jak na swój wiek wyglądała pierwszorzędnie.

Przypomniałem sobie zdjęcie Korin ilustrujące artykuł. Musiałem mu przyznać rację.

– Słyszałeś kiedyś o jeziorze Calhoun? – spytałem, wracając do sedna. – Być może Lynda wspomniała o nim w tych wywiadach.

– Calhoun?

– Tak. – Przeliterowałem mu nazwę. – Brzmi znajomo?

Pokręcił głową.

– Nie, w ogóle.

– Pewnie to nic ważnego – odparłem, choć nie bardzo w to wierzyłem. Nazwa nie została wyryta na drzewie przypadkowo. Nie chciałem jednak, żebyśmy grzęźli w zgadywankach, więc szybko popchnąłem rozmowę naprzód. – W twoim artykule jest taki fragment, kiedy Korin opowiada, co zaintrygowało ją w Hosterlitzu.

– Tak, pamiętam.

– Wydawało jej się, że on ukrywał jakiś sekret.

Collinsky skinął głową.

– Tak powiedziała.

– Wspomniała potem, czy odkryła, co to za tajemnica?

– Nie, nie mówiła nic na ten temat.

– Bo w wywiadzie wyraźnie uchyla się od odpowiedzi.

– Albo wstyd jej, że tego nie odkryła.

Przyjrzałem mu się badawczo.

– Wierzysz w to?

Powoli zaczerpnął powietrza.

– Nie wiem. Może. Po prostu nie odniosłem wrażenia, że mnie okłamuje. Ani przez chwilę. Mnóstwo osób kłamie podczas wywiadów, ale u niej tego nie wyczułem. Zresztą dlaczego miałyby kłamać?

Bo ludzie kłamią cały czas, pomyślałem.

– Pominąłeś coś w tym artykule?

– Wykorzystałem prawie wszystko, co Korin mi powiedziała, zwłaszcza o latach spędzonych z Hosterlitzem w Hiszpanii. Ten okres, czyli od siedemdziesiątego szóstego do osiemdziesiątego czwartego, to wielka czarna dziura informacyjna. Nakręcili razem te wszystkie filmy, a potem wrócili do Anglii, gdzie zakończył karierę, krótko potem zachorował na raka i w osiemdziesiątym ósmym zmarł. Ale jest jedna rzecz... – Collinsky urwał i znowu zmarszczył czoło. – Domyślam się, że siostra Lyndy w rozmowie z tobą nie wymieniła tytułu Różany Krąg?

Pokręciłem głową.

– A powinna?

– Nie. Pewnie w ogóle go nie znała. Bo chyba nikt go nie zna. W tym rzecz.

Umilkł. Tłum klientów wokół nas zaczął się przerzedzać.

– Co to jest ten Różany Krąg?

Nie od razu udzielił mi odpowiedzi, jak gdyby ciągle szukał jej w myślach.

– Zrobiłem z Lyndą dwa wywiady i wymieniła ten tytuł w pierwszym, ale dopiero wtedy, gdy zbierałem się do wyjścia i już wyłączyłem nagrywanie. W każdym razie kiedy wychodziłem, Korin wskazała za okno, na dużą starą szopę w ogrodzie. Właściwie to była nie tyle szopa, ile raczej coś w rodzaju drewnianego domku, z oknami i łupkowym dachem. Korin powiedziała mi: „W ostatnich latach przed śmiercią Robert nie mógł usiedzieć w miejscu. Brakowało mu pracy, tego, że nie mógł pisać scenariuszy, reżyserować. I czasem zabierał tam maszynę do pisania, zamykał się na klucz i pisał... rozważał różne pomysły, eksperymentował i tak dalej. W takich chwilach był szczęśliwy, mimo choroby”.

– Udało jej się zobaczyć, nad czym pracował?

– Właśnie o to ją zapytałem. Odparła, że nie. A potem dodała: „Ale zawsze mówił o jednym pomysle”. – Collinsky wahał się przez moment. – Nie jestem pewien, czy rzeczywiście użyła słowa „pomysł”, czy „projekt”, ale tak czy inaczej, powiedziała, że to była rzecz w stylu filmów, które robił w latach pięćdziesiątych, kiedy zdobywał Oscary. Zdradziła mi, że miało to nosić tytuł Różany Krąg. Oczywiście w tym momencie oczy mi się zaświeciły i pomyślałem sobie: mam bombę. Ale na tym się skończyło. Nie pamiętała niczego więcej. To chyba była jakaś mglista koncepcja, do której Hosterlitz się przymierzał.

– Dlatego nie wspominasz o tym w artykule?

– Zastanawiałem się poważnie, czy nie dorzucić w ramce komentarza. W stylu: „Co to jest Różany Krąg?”. I w trakcie drugiego wywiadu znowu zacząłem ją o to wypytywać. Bo nawet gdyby to było parę skreślonych naprędce linijek, miałbym świetny news na wyłączność: Hosterlitz wrócił do swoich początków, do rodzaju filmów, jakie robił u szczytu swoich możliwości. – Collinsky przerwał i wypił łyk wody. Wzruszył ramionami.

– Nie wiedziała jednak nic więcej o tym projekcie, znała tylko tytuł. Spytałem, czy mógłbym zajrzeć do tej szopy, zrobić parę zdjęć. Zgodziła się, ale okazało się, że to tylko śmietnisko. Zostało parę starych rekwizytów filmowych: klaps i kilka worków rupieci typu

wampirze zęby, sztuczna krew i kosmetyki do charakteryzacji. Nie było ani śladu żadnych scenariuszy czy sprzętu.

– Czyli nic nie zrobiłeś z tą informacją?

– O Różanym Kręgu? Na drugi wywiad pojechałem do niej z fotografem i kiedy robił jej zdjęcie, po raz tysięczny próbowałem szukać w internecie czegokolwiek o Różanym Kręgu. Wcześniej poświęciłem cały tydzień na to, żeby wygrzebać jakąś wzmiankę o tym tytule, sprawdzić, czy Hosterlitz wcześniej o nim wspominał albo mówił gdzieś o tym pomysle. Zadzwoiłem do American Kingdom w Los Angeles, bo to dla tej wytwórni nakręcił *Oczy nocy*, *Connora O’Hare* i *Dopiero gdy umrzesz*, a ktoś stamtąd skontaktował mnie z archiwistą, który pracuje w ich europejskim biurze w Londynie. Potem z nim rozmawiałem, ale to również prowadziło donikąd.

– Też nigdy nie słyszał o Różanym Kręgu?

– Nie. Jeżeli cię to interesuje, mam jego namiary.

Powiedziałem, że owszem, interesuje, więc znalazł numer telefonu archiwisty. Nie miałem pojęcia, czy ten człowiek powie mi coś, czego nie zdradził Collinskiemu, ale zacząłem dochodzić do przekonania, że wbrew moim obawom małżeństwo Korin i Hosterlitz, ich wspólna historia, nie jest jednak stogiem siana, w którym na próżno będę szukał igły. O ile reszta życia Korin nie budziła żadnych podejrzeń, o tyle w jej związku z reżyserem, w jej karierze, karierze jej męża i jej zakończeniu było sporo znaków zapytania. Poza tym cały czas nie dawała mi spokoju jedna rzecz: te pięć dni między datą ukazania się artykułu w „Cine” a zaginięciem Korin.

– Co potem zrobiłeś? – spytałem.

– A co mogłem zrobić? Przez pewien czas nosiłem się ze świetnym pomysłem, żeby Różany Krąg stał się głównym tematem artykułu, który pokaże, jak wszystko wraca do punktu wyjścia: najpierw Hosterlitz zdobywa deszcz Oscarów, potem są chude lata, tandeta, którą taśmowo produkuje w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, prochy, depresja, a w końcu nadzieja na odrodzenie. Ale nigdzie nie mogłem znaleźć absolutnie nic o Różanym Kręgu. Zresztą gdyby nawet udało mi się wygrzebać coś w internecie, to jeśli chodzi o Korin, nic bym nie wskórał. Nic nie wiedziała. W tym właśnie rzecz. Nikt nic nie wiedział.

Collinsky poprawił się na krześle, rysując palcem jakieś wzory w okruszkach na stole.

– Wreszcie uznałem – ciągnął – że skoro nie mam żadnego konkretnego, to gdybanie, czy na emeryturze Hosterlitz nad czymś pracował, czy nie, nie pasuje do naszego pisma. Musimy być poważniejsi. Przynajmniej ja tak uważam. Ale parę dni po tym, jak numer poszedł do druku, gadałem z naczelnym i kiedy przypadkiem wspomniałem mu o Różanym Kręgu, zapytał: „To dlaczego, do cholery, nie wrzuciłeś tego do artykułu?”. – Przewrócił oczami. – Taka to etyka dziennikarska.

– I co się potem stało?

– Mówiąc w skrócie, naczelny kazał mi napisać osobny tekst na stronę internetową i w końcu napomknąłem w nim o Różanym Kręgu. Wrzuciliśmy go na stronę parę dni po ukazaniu się pisma, żeby je zareklamować, zainteresować ludzi numerem. Stała praktyka. W dzisiejszych czasach internet uwielbia różne niedorzeczne i zmyślane toplisty, zestawienia, które nie mają nic wspólnego z faktami, więc sporządziłem listę „dziesięciu najlepszych niewyprodukowanych filmów”, wziętą z sufitu, żeby zrobić... – pokazał palcami cudzysłów – „szum w mediach społecznościowych”.

– Chwileczkę... czyli wspomniałeś o Różanym Kręgu?

– Tak, ale tylko w tym zestawieniu w internecie, nie w samym piśmie.

– Czyli wcześniej nikt nigdzie nie wymieniał tego tytułu?

– Nie, w ogóle po raz pierwszy pojawił się właśnie na tej stronie.

– Tekst w sieci ukazał się kilka dni po wyjściu numeru pisma?

– Hm, chyba cztery.

Cztery dni.

Raczej nie zdawał sobie sprawy z wagi tego, co mi właśnie powiedział, ale ja zobaczyłem to tak jasno, jakby było wypisane neonowymi literami: pięć dni, jakie upłynęły między ukazaniem się numeru „Cine” a zaginięciem Korin, mogło nie mieć żadnego znaczenia.

Mógł natomiast istnieć związek między tekstem zamieszczonym przez Collinsky’ego w internecie – gdzie zdradził światu tytuł Różany Krąg – a faktem, że dwadzieścia cztery godziny później Korin zniknęła.

Zaraz po spotkaniu z Collinskim zadzwoniłem do Louisa Granta, archiwisty w europejskim biurze American Kingdom, i zapytałem go, czy zechce poświęcić mi godzinę. Chciałem pogadać o Korin i Hosterlitzu, by dowiedzieć się czegoś o Różanym Kręgu. Collinski twierdził, że kiedy z nim rozmawiał, Grant nie umiał nic na ten temat powiedzieć ani też niczego nie znalazł w archiwum – mimo to uznałem, że nie zaszkodzi spróbować. Grant, uprzejmy Południowoafrykańczyk, poinformował mnie, że do piątej jest zajęty, ale potem chętnie się ze mną spotka. Podał mi adres w Southwark. Kiedy tylko się rozłączyłem, telefon niemal natychmiast zadzwonił. Numer kierunkowy z Minneapolis.

Wendy.

Szybko wyjąłem z torby notes i wcisnąłem ODBIERZ. W słuchawce rozległ się krótki pisk, który przeszedł w szum.

– Wendy?

– Witaj, David. Przepraszam, że dopiero teraz oddzwaniem. Jestem w pracy.

– Możesz rozmawiać?

– Oczywiście. Właśnie wyszłam na przerwę. Mów.

Opowiedziałem pokrótce, nie wdając się w szczegóły, co zdołałem dotychczas ustalić, po czym spytałem:

– Co wiesz o jeziorze Calhoun?

Pytanie nieco zbiło ją z tropu.

– O jeziorze Calhoun?

– Jest niedaleko od was, prawda?

– Tak, czterdzieści minut drogi stąd.

– Nie wiesz, dlaczego Lyndę mogło interesować to miejsce? Znalazłem gdzieś wzmiankę o tym jeziorze. Nie ma żadnych dowodów na to, żeby Lynda kupowała bilety na samolot, a jej paszport znaleziono u niej w domu, ale może była tam krótko przed zaginięciem?

– Nie. Wykluczone. Pewnie mogłyśmy tam pojechać przy okazji jej odwiedzin, ale minęło parę lat od jej ostatniej wizyty, a w tej części świata jest dużo jezior. Nie wiem, dlaczego właśnie to miałyby ją interesować.

– Nie bywałyście tam w dzieciństwie?

– Och, oczywiście, że tak. Czasem rodzice nas tam zabierali.

– Nic się tam nie wydarzyło, gdy byłyście małe?

– Któraś z nas może upadła i zadrapała kolano czy coś w tym rodzaju, ale jeżeli pytasz o coś poważniejszego...? – Wahala się przez moment. – Hm. Nic takiego mi się nie przypomina.

Nie na to liczyłem. Zajrzałem do notatek z rozmowy z Markiem Collinskim.

– Co sądziłaś o Robercie Hosterlitzu?

– O Bobie? – Zaskoczyła ją zmiana tematu. – Prawie go nie znałam. W ciągu dziesięciu lat, które spędził z Lyn, spotkaliśmy się tylko trzy razy. Kiedy Lyn nas odwiedzała, najczęściej przyjeżdżała sama.

– Mówiła kiedykolwiek, dlaczego jej się spodobał?

– Bob? Nie wiem. Chyba uważała, że jest zagadkowy.

– Tak powiedziała?

– Nie. Niezupełnie. Ale był od niej prawie trzydzieści lat starszy, trochę niechlujny i zaniedbany, więc trudno sobie wyobrazić, żeby chodziło o atrakcyjność fizyczną. Lyn była prześliczna. Mogłaby mieć każdego. Jednak z nikim nie związała się na dłużej, dopóki nie poznała Boba. Czyli musiał coś w sobie mieć.

– Coś, czego nie mieli inni?

– Właśnie. Przed nim miała całą gromadę chłopaków, jednego po drugim, chociaż „chłopaków” to za dużo powiedziane. Wspominała przez telefon o jednym, a miesiąc później już był inny. Zmieniała ich jak rękawiczki. – Umilkła, zapewne odtwarzając sobie w myślach to, co właśnie powiedziała. – To brzmi, jakby się źle prowadziła, ale wcale tak nie było. Nie zmieniała ich dlatego, że lubiła sypiać z kim popadnie, ale dlatego, że nie chciała ich dopuszczać do swojego życia. Myślę, że po prostu nie wydawali się jej interesujący.

– Ale Robert tak?

– No, wyszła za niego po pół roku znajomości. – Znowu zrobiła krótką pauzę. – Wiem tylko, że mówiła o nim tak, jak nie mówiła o żadnym innym mężczyźnie. Innych zbywała machnięciem ręki, ale Boba nigdy. Spotkaliśmy się z nim ledwie trzy razy, a mimo to zauważyłam, że w jego obecności zachowuje się zupełnie inaczej niż przy poprzednich facetach, z którymi się spotykała. Bardzo jej na nim zależało. Musiało tak być, bo gdyby nie, to przecież nie pobraliby się tak szybko. Nie jestem tylko pewna, czy widziała w nim męża, czy kogoś, kto miał jej zastąpić ojca... a może to było coś bardziej... niezwykłego.

– Czyli co?

– Nie wiem.

Czekałem.

– Może zobaczyła w nim wyzwanie – powiedziała w końcu.

– To znaczy?

– Był do niej podobny: skryty, niewiele o sobie mówił... tyle że Lyn potrafiła to zamaskować, a Bob nie. Lyn zawsze miała w sobie coś z aktorki. Bob natomiast nigdy niczego nie udawał. Był małomówny. Zdecydowanie trudno byłoby go nazwać duszą

towarzystwa. Prawdę mówiąc, pamiętam, kiedy go pierwszy raz zobaczyłam, jak pomyślałam, że to straszny nudziarz. Ale Lyn nie spotykałaby się z nim i na pewno tak prędko nie wyszłaby za niego, gdyby naprawdę był nudny. Nigdy nie zaangażowałaby się tak w żaden związek, z nikim. Dlatego zawsze przypuszczałam, że jest w nim coś więcej, niż wydawało się na pierwszy rzut oka.

Pomyślałam o fragmencie artykułu w „Cine” – o słowach Korin, że Hosterlitz skrywał sekret, który chciała poznać.

– Czyli nie domyślasz się, co tak ją w nim pociągało?

Wendy parsknęła śmiechem.

– Niestety, ja nie dostrzegałam jego wdzięków. Ale najważniejsze, że Lyn znalazła z nim szczęście. Na pewno był inteligentnym facetem, kochał ją, więc może to było to. – Zawahała się. – Chociaż potrafił się też zachowywać dziwnie, niegrzecznie.

– To znaczy?

– Pamiętam, jak któregoś roku Lyn i Bob nas odwiedzili... Jezu, to chyba było Boże Narodzenie osiemdziesiątego czwartego. W każdym razie zostali na parę dni, spędziliśmy razem pierwszy dzień świąt, a drugiego dnia Bob rano wstał i po prostu zniknął na tydzień.

– Naprawdę? Dokąd pojechał?

– Na północ Minnesoty. Podobno do lasów stanowych.

– Tak powiedziała Lynda?

– Mówiła, że Bob pojechał szukać jakichś plenerów. Nie wiem, czy to była prawda, czy nie... nie jestem nawet pewna, czy ona sama wiedziała... ale zobaczyliśmy go wtedy dopiero trzeci raz w życiu, a jemu nie chciało się dłużej z nami siedzieć, więc po kilku dniach pojechał rozejrzeć się po jakiejś głuszy w Minnesocie. Szczerze mówiąc, uważałam, że to strasznie niegrzeczne.

Przypomniałam sobie, że wspomniała o tym w rozmowie z White'em, której zapis czytałam.

– Tak powiedziała Lynda: „Pojechał rozejrzeć się za plenerami”?

– Chyba tak. Nie wiem. To było bardzo dawno. Dlatego mówiłam, że właściwie nie mieliśmy okazji go poznać. Przed jego śmiercią zdążyliśmy się z nim zobaczyć trzy razy, a podczas jednej swojej wizyty większość czasu spędził na jakiejś wycieczce samochodowej.

– Rozumiem – rzuciłam, próbując ułożyć sobie to wszystko w głowie.

Nie miałem wątpliwości, że coś tu nie gra.

– Sądysz, że tu chodzi o jej małżeństwo z Bobem? – zapytała Wendy.

– Nie. Staram się tylko zorientować w ogólnej sytuacji.

W najlepszym razie była to wymijająca odpowiedź, w najgorszym – bezczelne kłamstwo, ale przed ostatecznym rozstrzygnięciem kwestii, o którą pytała, musiałem wiedzieć więcej.

– Mogę cię spytać o coś innego?

– Oczywiście.

– Słyszałaś kiedyś o Różanym Kręgu?

– Tym z rymowanki¹?

– Chyba bardziej prawdopodobne, że to tytuł projektu, nad którym Robert pracował przed śmiercią. – Zastanowiłem się przez chwilę. – „Projekt” to może za duże słowo. Po prostu... Lynda wspomniała dziennikarzowi, który przygotowywał artykuł o Robercie, że przed śmiercią, kiedy wrócili do Wielkiej Brytanii, znowu zaczął pisać. W rozmowie padł tytuł Różany Krąg. Być może chodziło o scenariusz z prawdziwego zdarzenia, może o dwa słowa zanotowane na serwetce. Wydaje mi się, że pierwsza możliwość jest mało prawdopodobna, ale chciałbym wyjaśnić zagadkę tego tytułu.

– Różany Krąg?

– Właśnie. Chodzi o lata osiemdziesiąt cztery do osiemdziesiąt osiem.

Milczała przez moment.

– Spróbuję się zastanowić...

– Jeżeli nie jesteś pewna, nie szkodzi.

Nie chciałem, żeby pod moim naciskiem przypominała sobie błędnie – albo co gorsza, udawała, że sobie przypomina, aby mi pomóc.

W końcu powiedziała cicho:

– Przykro mi.

W jej drżący od emocji głos wdarła się nuta frustracji, usłyszałem w nim rozpaczliwe pragnienie, by jakoś mi pomóc. Spróbowałem z innej strony.

– Mówiłaś przed chwilą, że Robert i Lynda odwiedzali was w Minnesocie...

– To prawda.

– Powiedziałaś, że podczas ich wizyty na święta w osiemdziesiątym czwartym Robert zachował się twoim zdaniem niegrzecznie, bo nagle wyjechał na cały tydzień.

– Tak. Pojechał się rozejrzeć.

– Czy wtedy ani razu nie padł tytuł Różany Krąg?

Wzięła głęboki oddech.

– Wprawdzie to było tak dawno, ale naprawdę nie przypominam sobie tego tytułu... Różany Krąg. Nie pamiętam nawet, czy wziął ze sobą kamerę albo maszynę do pisania. Możliwe, że po prostu chciał przez tydzień odpocząć od naszego towarzystwa. Jak ci mówiłam, nie jestem pewna, czy Lynda w ogóle wiedziała, co zamierzał robić.

– Dlaczego?

– Bo pamiętam, jak ją spytałam: „Dokąd Bob pojechał?”, a ona... – Wendy wydała jakiś dźwięk, który w słuchawce zabrzmiał jak trzeszczący szum. – Ona tylko wzruszyła ramionami.

– Dlaczego miałyby jej nie powiedzieć o swoich zamiarach?

– Nie wiem.

– Z twoich słów wynika, że byli sobie bardzo bliscy.

– I byli. Naprawdę.

– Myślisz, że to miało coś wspólnego z jego chorobą?

Zastanawiała się przez chwilę.

– Bob dowiedział się, że ma raka, dwa tygodnie przed ich przylotem do nas, więc wydaje się to możliwe, ale... nie wiem.

Spróbowałem ustalić chronologię. Jak wiedziałem z artykułu Marca Collinsky'ego, Hosterlitz nakręcił ostatni film z Korin w Hiszpanii jesienią 1983 roku. Na początku następnego roku wyprowadzili się do Somerset, gdzie zakończył karierę. W połowie grudnia 1984 roku zdiagnozowano u niego raka, a potem, w święta Bożego Narodzenia, on i Korin odwiedzili Wendy w Stanach.

Czyżby więc Hosterlitz przepadł na tydzień z powodu diagnozy, którą usłyszał przed wyjazdem z Wielkiej Brytanii? I po prostu szukał odrobiny samotności, z dala od zgiełku i zamieszania rodzinnych świąt? To byłoby zrozumiałe, tylko po co miałby to ukrywać przed Korin? Dlaczego po prostu jej nie powiedział? Skoro byli sobie tak bliscy, Hosterlitz na pewno powiedziałby żonie, że potrzebuje trochę czasu i spokoju, aby przemyśleć tę wiadomość, która zmieniała wszystko... ich oboje, ich małżeństwo, ich wspólny czas. Wiadomość, która dosłownie decydowała o życiu i śmierci.

W końcu nie udało mi się przebić przez gęstwinę myśli i znaleźć odpowiedzi, a po chwili ogarnęły mnie wątpliwości, czy tamten niewyjaśniony tydzień ma w ogóle jakieś znaczenie. I może Różany Krąg był tak samo nieistotny. Może ani jedno, ani drugie nie miało znaczenia.

Nie byłem jednak pewien, czy potrafię w to uwierzyć.

Wyjazd, żeby „rozejrzeć się za plenerami” w lesie na północy Minnesoty, Różany Krąg, wycięte w korze drzewa na Stoke Point słowa „Jezioro Calhoun” i rysunek projektora filmowego – nie wiedziałem, co to wszystko oznacza ani dokąd prowadzi, ale byłem przekonany o jednym.

To były nici.

A po niciach zawsze można trafić do kłębka.

Pod adresem w Southwark, który podał mi Louis Grant, archiwista American Kingdom, znalazłem popadające w ruinę kino w stylu art déco, które nazywało się Comet i było nieczynne od dziewięćdziesiątego ósmego roku. Dziwne miejsce na spotkanie, ale skoro tak szybko zgodził się ze mną zobaczyć, przystałem na tę propozycję. Obok kina wznosił się brzoź rdzewiejącego mostu kolejowego i choć budynek był stary i zniszczony, farba odłaziła płatami i kruszyły się niektóre cegły, to gdy się do niego zbliżałem, ogarnęła mnie fala nostalgii, przynosząc wspomnienia z kina, do którego chodziłem w dzieciństwie.

Zostawiono dla mnie otwarte drzwi z tyłu, za którymi w nieruchomym powietrzu unosił się zapach stęchlizny. Przedemną rozciągał się korytarz z dwojgiem drzwi po lewej, a na jego końcu zobaczyłem schody prowadzące w górę i w prawo. Nieznośny upał wdarł się za mną; promienie słońca odbijały się od obłupanych płytek posadzki i odłóżającej od ściany winylowej tapety, rozświetlając wirujące w powietrzu drobiny kurzu.

Kiedy ruszyłem w górę po schodach, kierując się majaczącym w oddali światłem, otoczył mnie zapach starego drewna i mebli, przemieszany z odorem zastałego dymu z papierosów. Na górze było eleganckie foyer: marmurowe posadzki w geometryczny wzór, wapienne schody, balustrady z chromowanej stali i kasa biletowa, stojąca samotnie pośrodku, niczym latarnia morska. Dalej znajdowała się widownia. Podszedłem i zajrzałem tam. Nad morzem foteli, obitych wytartym czerwonym aksamitem, wznosił się ekran, posklejany w kilku miejscach taśmą i częściowo ukryty za ciężkimi kotarami.

Na środku sali rozmawiały trzy osoby, a każda mówiła z innym akcentem: dwaj mężczyźni – jeden miejscowy, drugi z RPA – oraz kobieta, Amerykanka.

– Pan Grant?

Wszyscy troje spojrzeli w moją stronę.

– Ach, pan Raker.

Grant zostawił swoich towarzyszy i ruszył w moim kierunku przejściem między fotelami, żeby się przywitać. Podał mi rękę – była lepka, ale nic dziwnego. W sali było gorąco i duszno, a Grant – mężczyzna około pięćdziesiątki – dźwigał kilkanaście dodatkowych kilogramów. Na zakolach perlił mu się pot, pod pachami ciemniały wilgotne plamy, ale był elegancko ubrany – w czarne spodnie, czarny krawat i popielatą koszulę – i miał starannie przystrzyżoną siwą brodę, która równiutkimi liniami okalała jego policzki.

– Miło pana poznać – powiedział.

– Dziękuję, że zgodził się pan tak szybko ze mną spotkać.

Drugi mężczyzna – krępy, pod pięćdziesiątkę, z ogoloną czaszką i przypiętą do paska taśmą mierniczą – oddalił się w stronę drugiego końca sali, natomiast kobieta podeszła do nas. Miała chyba czterdzieści lat, może trochę więcej, i wyglądała olśniewająco: szczupła, o oliwkowej cerze, elegancka, w niebieskiej spódnicy i szpilkach, a jej długie do ramion włosy spływały czarną kaskadą na biel bluzki.

– Panie Raker, to Alex Cavarno – przedstawił ją Grant.

Podaliśmy sobie ręce.

– Alex jest dyrektorką operacyjną europejskiego oddziału Kingdom.

Uśmiechnąłem się.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że jestem taką ważną figurą.

Odwzajemniła uśmiech.

– Chętnie bym udawała, że jestem tu z pańskiego powodu albo że uczestniczę we wszystkich zaplanowanych spotkaniach swojego personelu, ale tak naprawdę ściągnęłam tu dzisiaj Louisa, żeby porozmawiać o lokalizacji naszego nowego archiwum. I dlatego stoi pan teraz w przykurzonym kinie, a nie w naszym obecnym biurze w Docklands.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadza panu miejsce spotkania – wtrącił Grant.

– Ależ skąd.

– Tak po prostu było wygodniej.

– A więc to będzie... – zwróciłem się do Alex Cavarno.

– ...nasze nowe biuro.

– Tak właśnie przypuszczałem...

– Wiem, na razie trudno w to uwierzyć.

Wszyscy rozejrzeliśmy się po sali.

– To miejsce budzi mnóstwo wspomnień – powiedziałem.

– Och, naprawdę? Przychodził pan tu kiedyś? – spytała Cavarno.

– Nie do tego kina. Wychowałem się w wiosce, gdzie były dwa sklepy i pub, a wszystkich dzieci mieszkało może ośmioro, więc wsiadałem w autobus i jeździłem do sąsiedniego miasteczka. I tam mieliśmy stare kino w takim samym stylu. – Wskazałem na przeciwległą ścianę sali. – Najlepsze filmy oglądało się na posklejanym taśmą ekranie.

Znowu się uśmiechnęła, tym razem szerzej, ukazując idealne zęby.

– Ja natomiast wychowałam się we wschodnim Los Angeles, obok autostrady Santa Ana. Hałas z drogi to był dosłownie pierwszy i ostatni dźwięk, jaki co dzień słyszałam. Rodzice nie mieli pieniędzy... – Wzruszyła ramionami. – Kiedy miałam kilkanaście lat, ojciec często nie pracował, był na zwolnieniu. Miał problemy z kręgosłupem, potem wszczepiono mu endoprotezę kolana. I nigdy nie jeździliśmy na wakacje, bo nie było nas stać. No więc, zamiast wyjeżdżać, oglądaliśmy filmy. Należę do wyjątków w kierownictwie wytwórni filmowych, bo naprawdę coś wiem o kinie. – Zrobiła pauzę dla efektu i znowu rozpromieniła się w uśmiechu. – To oczywiście żart. W pewnym sensie.

Na fotelu niedaleko nas leżała jej torebka i laptop. Cavarno sięgnęła do torebki i wyjęła wizytówkę.

– Louis mówił, że stara się pan odnaleźć wdowę po Robercie Hosterlitzu. Nie twierdzą, że jestem znawczynią filmów Hosterlitzu, chociaż może to źle brzmi w ustach kogoś z szefostwa Kingdom, kto w dodatku właśnie panu oświadczył, że zna się na kinie. Ale jeżeli będzie pan czegoś potrzebował, proszę dać mi znać. Mam tu w Anglii świetny zespół. – Podała mi wizytówkę i spojrzała na Louisa. – Absolutnie nie chcę przez to powiedzieć, że Louis panu nie pomoże. Nie znam nikogo, kto wiedziałby o kinie więcej niż on.

– Dziękuję – odrzekłem, biorąc wizytówkę.

– A teraz, hm... zostawię panów samych. W poniedziałek mamy galę z okazji premiery nowego sezonu Royalty Park i muszę wziąć w niej udział.

Royalty Park był to serial kostiumowy, współfinansowany przez BBC i American Kingdom, który w trzecim sezonie, w 2014 roku, okazał się najchętniej oglądanym serialem telewizyjnym w Wielkiej Brytanii. Widziałem tylko urywki, ale wszędzie go reklamowano w oczekiwaniu na kontynuację.

– Mam nadzieję, że mój architekt nie będzie przeszkadzał – dodała Alex Cavarno, patrząc ponad moim ramieniem, a ja przypomniałem sobie o drugim mężczyźnie. Mierzył właśnie boazerię na scenie pod ekranem. – Billy! – zawołała do niego. – Przynies mi, proszę, jutro rano szkic kabiny projekcyjnej.

– Zrobi się – odrzekł mężczyzna, unosząc taśmę mierniczą.

– Jasne, to samo mówiłeś w zeszłym tygodniu – mruknęła pod nosem Cavarno i przewróciła oczami. Jeszcze raz uściśnęła mi dłoń. – Miło było pana poznać, panie Raker.

– David – powiedziałem.

Skinęła głową.

– Alex.

Zatrzymała na mnie wzrok, z lekkim uśmiechem w kącikach ust, a ja ni stąd, ni zowąd poczułem, jakby prąd mi przebiegł przez żyły. Odruchowo, nie myśląc, co robię, zerknąłem na jej lewą dłoń, szukając obrączki. Chyba nie umknęło to jej uwadze, bo kiedy nie zobaczyłem obrączki na jej palcu, spojrzałem na nią ponownie i wydało mi się, że niedostrzegalnie pokręciła głową. Nie jestem mężatką, nie jestem zaręczona, z nikim się nie spotykam. Staliśmy tak przez chwilę, prowadząc niemą rozmowę, choć żadne z nas nie było pewne, czy ona rzeczywiście się toczy. Nagle otrząsnąłem się, wziąłem się w garść i pomyślałem o Melanie Craw. Co ja wyprawiam, do cholery?

– W każdym razie masz mój numer – podsumowała Alex.

– Mam – odrzekłem, po prostu żeby coś powiedzieć.

Patrzyła na mnie jeszcze przez chwilę, po czym wyszła. Niemal odetchnąłem z ulgą. Czuję się skrępowany, stropiony, winny.

– Niech się pan nie obawia – odezwał się Grant i uświadomiłem sobie, że prowadzi mnie do jednego z tylnych rzędów foteli. – Zebrałem z nich pajęczyny.

Wyjąłem notes i długopis, po czym przez chwilę skupiałem myśli, udając, że przeglądam notatki. Gdy w końcu byłem gotowy, opowiedziałem Grantowi o swoim spotkaniu z Markiem Collinskim, o tytule Różany Krąg, który padł w rozmowie i o którym chciałem zdobyć więcej informacji.

– Mogę panu powiedzieć o Robercie Hosterlitzu wszystko, co wiem – oznajmił Grant – czyli zrelacjonować przebieg jego kariery, ale nie całej. Niestety, jak większość ludzi, dość sceptycznie podchodzę do jego horrorów i mam o nich niewielkie pojęcie.

– Mówi pan o filmach, które nakręcił w Hiszpanii?

– O tych w szczególności, ale i o tych, które zrobił w Wielkiej Brytanii na początku lat siedemdziesiątych. Widziałem Dom ciemności, ponieważ ten film zyskał złą sławę... Hosterlitz codziennie przychodził na plan pijany albo zamroczony środkami przeciwbólowymi.

Przypomniałem sobie cytat z artykułu Collinsky'ego – producent Domu ciemności potwierdzał, że tak było. Przełom lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych musiał być najgorszym okresem życia Hosterlitz – depresja, nałogi, ruina finansowa.

– W każdym razie chętnie opowiem panu to, co wiem – dodał Grant.

Choć jego południowoafrykański akcent z biegiem czasu wyraźnie osłabł, nadal tu i ówdzie słyhać było jego twarde pozostałości.

– Świetnie – rzuciłem.

– Wobec tego zacznijmy od początku. Hosterlitz zadebiutował w tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym filmem Moje niktzemne serce, zrobionym dla wytwórni Monogram. Potem nakręcił trzy z najwspanialszych filmów noir w historii kina, jeden po drugim, wszystkie dla American Kingdom. Connora O'Hare w pięćdziesiątym pierwszym, Dopiero gdy umrzesz w pięćdziesiątym drugim i wreszcie najważniejszy, Oczy nocy w pięćdziesiątym trzecim. Olbrzymi sukces, siedem Oscarów, w tym za najlepszy film, za reżyserię, scenariusz i główną rolę męską dla Glena Cramera. Zwycięstwo tym większe, że Hosterlitz miał wtedy zaledwie dwadzieścia osiem lat. Nie do wiary, biorąc pod uwagę, jakie to świetne kino. Widział pan jego pierwsze filmy?

– Oczy nocy, ale dość dawno temu.

– Są dostępne na Netflixie, więc łatwo je znaleźć. Oryginalne negatywy znajdują się w naszym archiwum w Los Angeles, a w Londynie przechowujemy kopie dystrybucyjne wszystkich trzech filmów, w idealnym stanie. Oczywiście nie mamy praw do Mojego niktzernego serca, ale jeśli chodzi o styl, można je zaliczyć do tej kategorii co pozostałe. Wszystkie są utrzymane w tym samym gatunku i podejmują tę samą klasyczną tematykę noir. Mój ulubiony to Dopiero gdy umrzesz, ale oczywiście dzięki Oscarom najbardziej znane są Oczy nocy. Tak czy inaczej, ze względu na to wszystko Hosterlitz powinien należeć do panteonu najwybitniejszych nazwisk w historii kina. A większość ludzi ledwie go kojarzy.

– To z powodu przesłuchań przed komisją Kongresu?

– Właśnie. Niewiele wiem na ten temat, ale Komisję do spraw Działalności Antyamerykańskiej stworzono po to, żeby badać zarzuty o związki obywateli USA z komunizmem w czasach zimnej wojny. Pod koniec lat czterdziestych komisja wzięła na cel przemyśl filmowy Hollywood. Jej wpływy zaczęły słabnąć w latach sześćdziesiątych, dlatego w sześćdziesiątym drugim Hosterlitz uznał, że może bezpiecznie wrócić do Stanów. Ale reputację już mu zszargano. Zamiast zostać i próbować odzyskać dobre imię, spakował się i wyjechał do Anglii.

– To znaczy, że jednak był komunistą?

– O ile wiem, nigdy nie udowodniono, ani że był, ani że nie był. – Grant wzruszył ramionami. – Można jednak zrozumieć, dlaczego postanowił opuścić Amerykę. Nie trzeba nawet było należeć do Komunistycznej Partii USA, żeby dostać wezwanie przed komisję albo trafić na czarną listę, a nawet za kratki, jeżeli sprawy przybrały zły obrót. Było niewiele lepiej niż w nazistowskich Niemczech. Polowanie na czarownice na podstawie takich czy innych pogłosek. W każdym razie w pięćdziesiątym czwartym poleciał do Wielkiej Brytanii i nakręcił tu jeden film, ale potem było już tylko gorzej. Na jakiś czas wyjechał do Niemiec, a w sześćdziesiątym drugim wrócił do Stanów i trafił do telewizji, gdzie reżyserował parę odcinków takich seriali jak Bonanza, Petticoat Junction i The Defenders. Jego telewizyjny dorobek nie jest nawet zły. Przynajmniej w części. Ale zawsze uwielbiał kino... W telewizji pracował tylko dla pieniędzy. Niestety, powrót na duży ekran, czyli Duch Wielkich Równin, w pewnym sensie zakończył się klęską. Ludzie kręcili nosem, bo film okazał się klapą finansową, chociaż ma parę dobrych momentów. Widział go pan?

– Nie. To western, tak?

– Tak. Wprawdzie nie ta klasa co Poszukiwacze, ale całkiem niezłe kino. Tak czy inaczej, trudniej mi zrozumieć to, co się działo od tamtej chwili, bo jeszcze przez dwa lata po klapie Ducha Wielkich Równin pracował dla telewizji, później wrócił do Anglii, gdzie zrobił parę niskobudżetowych horrorów, a potem trafił do Hiszpanii, żeby kręcić jeszcze tańsze. Produkował je taśmowo. W ciągu siedmiu lat nakręcił czternaście.

– I tam poznał Lyndę Korin.

– Zgadza się. Widział pan trylogię Ursula?

– Nie. Miałem nawet zamiar spytać pana o te hiszpańskie filmy. Próbowałem znaleźć ich kopie, ale trudno je zdobyć.

– Powinien pan gdzieś znaleźć wszystkie trzy części na DVD, ale to prawda: te, które nakręcił potem, o wiele trudniej wytropić. – Umilkł, bębniąc palcami w poręcz fotela. – Niedaleko Charing Cross Road jest taki sklepik, Rough Print. Właściciel kolekcjonuje rzadkie filmy i książki. Być może coś będzie miał. Wiem, że jest wielkim fanem Hosterlitz.

Grant wyszukał w telefonie jego numer i mi podał.

– Jakie są te filmy o Ursuli? – zapytałem.

– Naprawdę szmirowate – odparł Grant. – Chociaż można trafić na niezłe momenty. Najsmutniejsze jest to, że w tych krótkich chwilach przebłyskuje talent Hosterlitz, ale

reszty prawie nie da się oglądać.

– Dużo pan wie o ich wspólnym życiu? – spytałem.

– Hosterlitz i Lyndy Korin?

W zamyśleniu spojrział na widownię. Architekt mierzył scenę na drugim końcu sali i notował wyniki pomiarów w notesie.

– Niewiele – odrzekł w końcu Grant. – Ale kilka lat temu poznałem Korin na festiwalu.

– Czy to był Screenmageddon?

– Owszem – przytaknął. – Właśnie na tym.

Przypomniałem sobie, że Collinsky wymienił nazwę tej samej imprezy. Mówił, że tam pierwszy raz spotkał Korin i że dała mu wtedy wizytówkę.

– To zlot miłośników science fiction, horrorów i fantasy, wie pan, raj dla takich maniaków jak ja. – Uśmiechnął się, znów wyjął telefon, i zaczął w nim czegoś szukać. – W każdym razie – ciągnął, nie przerywając poszukiwań – to gigantyczna impreza, zjeżdża na nią dwieście tysięcy osób, wśród gości pojawiają się ważne figury, ale i mnóstwo drugorzędnych postaci, w rodzaju ludzi, którzy przez pięć sekund siedzieli w kabine myśliwca X-wing w pierwszych Gwiezdnym wojnach. – Znalazł to, czego szukał, i podał mi telefon. – Zawsze mają też część poświęconą europejskiemu horrorowi. Tam ją właśnie poznałem.

Spojrziałem na ekran.

Było to zdjęcie Lyndy Korin siedzącej przy stoliku, na którym leżały rozłożone w wachlarz płyty DVD z pierwszą częścią Ursuli.

– Jaka ona była? – zapytałem.

– Naprawdę czarująca, ale sprawiała wrażenie trochę przytłoczonej rozmachem festiwalu. Powiedziała mi, że nigdy wcześniej nie uczestniczyła w takiej imprezie i zgodziła się przyjechać, bo myślała, że będzie to sympatyczna rozrywka. Zdziwiła się, że ktoś jeszcze ją pamięta. Który to był rok...? Dwa tysiące jedenasty. Prawdę mówiąc, nie widziałem żadnego z jej filmów, nawet Ursuli. Znałem ją tylko stąd, że była żoną Roberta Hosterlitz. I dlatego chciałem z nią porozmawiać.

– Czyli rozmawialiście o Hosterlitzu?

– Och, dokładnie nie pamiętam. Pewnie tak. Chyba wyznałem jej, że jestem ogromnym wielbicielem dzieł jej męża. Nie mogłem jej z ręką na sercu powiedzieć, że uwielbiam trylogię Ursula, ani udawać przed nią, że to „kultowe” filmy.

– A Różany Krąg? Natknął się pan gdzieś na informację, że Hosterlitz pod koniec życia pracował nad jakimś nowym projektem?

Zanim skończyłem pytanie, Grant już kręcił głową.

– Szczerze? Nie. Nigdy. Brzmi to szalenie ciekawie, ale kiedy pierwszy raz zadzwonił do mnie Marc Collinsky, przeszukałem tutejsze archiwum i sprawdziłem cyfrowy rejestr naszych zasobów w Los Angeles, ale nie trafiłem na żaden ślad.

Grant wziął głęboki oddech. W mdłym żółtym blasku lamp sali kinowej lśnił pot na jego czole. Obaj przez chwilę patrzyliśmy na architekta, słuchając metalicznych trzasków jego taśmy mierniczej, które niosły się po widowni.

– Moim zdaniem – odezwał się Grant – nawet jeśli Hosterlitz pod koniec życia rzeczywiście pracował nad czymś, to jest wysoce prawdopodobne, że nikomu nie powiedział wszystkiego o swoim projekcie.

Kiedy dotarłem do Rough Print, gdzie według słów Granta mógłbym znaleźć unikatowe DVD z horrorami, w których grała Lynda Korin, sklep był już zamknięty. Ogarnęło mnie zniechęcenie, ponieważ nazajutrz rano zamierzałem znowu pojechać do Somerset, żeby obejrzeć dom Korin, a nie miałem ochoty nadkładać drogi i wracać do centrum Londynu. Mogłem jedynie zadzwonić do nich zaraz po otwarciu sklepu i dowiedzieć się, czy mają to, czego szukam.

Lepsze wieści nadeszły jednak od Marca Collinsky'ego: przesłał mi mailem pliki audio z obydwu wywiadów, które przeprowadził z Korin. W metrze do Ealing podłączyłem do telefonu słuchawki i zacząłem słuchać pierwszego.

Zgodnie z tym, co twierdził dziennikarz, Korin okazała się dobrą interlokutorką. Była bezpośrednia i ujmująca; mimo lat spędzonych na południowym zachodzie Anglii, wciąż mówiła z amerykańskim akcentem, chociaż nie słyszałem już typowych dla Minnesoty nosowych tonów. Jej głos był nieco matowy i lekko schrypnięty, co nasuwało przypuszczenia, że kiedyś paliła i być może nie uwolniła się od tego nałogu; robiła częste pauzy, czasem bardzo długie. Nie spieszyła się z odpowiedziami, nadając rozmowie swoje własne tempo: gdy Collinsky o coś pytał, zawsze głęboko się zastanowiła, zanim ubrała myśl w odpowiednie słowa.

Pierwszej rozmowy na temat Różanego Kręgu nie było na taśmie, bo tytuł pojawił się, gdy Collinsky skończył już nagrywać, ale w drugim wywiadzie próbował wycisnąć z Korin szczegóły projektu. Okazało się, że ona za mało o nim wie, by mogła coś bliżej wyjaśnić, a z perspektywy moich poszukiwań trudno było w tym momencie dostrzec jakikolwiek związek Korin z Różanym Kręgiem. Czułem, że coś tkwi w ich małżeństwie, jakiś na wpół ukryty dowód, który czeka, żebym wydobył go na światło dzienne. Nie byłem jednak pewien, czy Różany Krąg jest tym właściwym tropem.

Po powrocie do domu zrobiłem sobie coś do jedzenia i wyszedłem na taras, aby nacieszyć się ostatnimi promieniami słońca. Jedząc, przesłuchałem jeszcze raz obydwie wywiady. Nie chodziło mi o świeże spojrzenie na treść jej rozmów z Collinsky'm. Zależało mi raczej na tym, żeby ją lepiej poznać: posłuchać, jak mówi, jak odpowiada na pytania, jakich używa wyrażeń, jak dobiera słowa. Właśnie dlatego potrzebowałem filmów z jej udziałem – przynajmniej tylu, ile uda mi się zdobyć. Wprawdzie wtedy, gdy w nich grała, była znacznie młodsza, ale mogły mi pomóc w stworzeniu jej portretu.

Słuchając tych wywiadów, zauważyłem, że pytania o Hosterlitzę i ich współpracę w ogóle jej nie peszyły. Nie odnosiłem też wrażenia, że stara się unikać odpowiedzi czy cokolwiek zataić. Wręcz przeciwnie, była bardziej otwarta i szczerą, niż się spodziewałem. Kiedy Collinski pytał ją o nagość w filmach, o to, jak się czuła, gdy mąż reżyserował sceny erotyczne, w których występowała z innymi mężczyznami, odparła, że to była tylko praca – może trochę dziwna, ale płacono jej za grę.

– Wtedy czułam się dość pewnie we własnej skórze – mówiła. – Przez całe lata pozowałam nago w czasie sesji fotograficznych. – Zaśmiała się. – Nie mam żadnych złudzeń: większość tych filmów była okropna i nie zostałam w nich obsadzona ze względu na talent aktorski. Ale los daje okazje i trzeba jak najlepiej je wykorzystać.

– Robertowi to nie przeszkadzało? – spytał Collinski.

– Że byłam naga? Nie, nigdy mu to nie przeszkadzało. Ostatecznie robiłam tylko to, co mi kazał.

– Ma pani na myśli jego reżyserię?

– Tak, właśnie. – Nastąpiła dłuższa pauza. – Wie pan, jak mnie nazwał, kiedy się poznaliśmy? – Znowu umilkła; Collinski zapewne pokręcił głową. – Powiedział mi: „Jesteś aniołem”. – Korin próbowała naśladować obcy akcent, zbitkę wymowy niemieckiej i amerykańskiej. – „Chyba nigdy w życiu nie spotkałem piękniejszej kobiety. Jesteś dziełem sztuki”. – Znowu taki sam śmiech.

– Jak pani na to zareagowała? – zapytał Collinski.

– A jak miałam zareagować?

– Może podziękować za komplement.

Znowu się zaśmiała.

– Rzecz w tym, że mówił serio. Wcześniej słyszałam takie słowa od wielu mężczyzn, ale większość z nich próbowała po prostu włożyć mi rękę pod spódnicę. Kobieta w tamtych czasach, szczególnie w branży, w której pracowałam, właściwie co dzień była narażona na molestowanie i zupełnie nic nie mogła na to poradzić. To był męski świat, od początku do końca. Ale Robert powiedział mi to tylko raz i nie było dalszego ciągu, żadnego. To znaczy nigdy mnie nie dotknął, nigdy nie próbował się ze mną umówić. Ja musiałam wykonać pierwszy ruch. Ten jego smutek, o którym mówiłam, był przejmujący. Podobnie jak tamta chwila, kiedy to powiedział. Po pierwszej Ursuli sam stał za kamerą przy wszystkich następnych filmach. Mówił producentowi, że dzięki temu jest taniej, ale nie o to chodziło. Robił to, bo chciał na mnie patrzeć przez obiektyw.

Przerwała i odchrząknęła. W jej głosie zabrzmiał łagodniejszy, refleksyjny ton.

– Może wydaje się to obrzydliwe, jednak nigdy tak tego nie odbierałam. Czasem godzinami przygotowywał ujęcia ze mną, nawet jeżeli to były mało ważne sceny, i starał się jak najlepiej je skadrować. Nikt by się tym nie przejmował ani nie zwracał na to uwagi, ale ja to zauważałam, oglądając kopie robocze albo widząc film już na ekranie. Nigdy nie

zachował się wobec mnie dziwnie ani niewłaściwie. Nie próbował się do mnie przystawiać. To nie była żadna obsesja. Po prostu bardzo podobał mu się mój wygląd.

Wywiad toczył się dalej, ale rozmowa Collinsky'ego i Korin zeszła na dalszy plan i stała się tłem, gdy ja próbowałem dobrze zrozumieć to, co przed chwilą powiedziała.

– ...takie kobiety jak Maria Hadak i Veronica Mae.

Nadstawiłem uszu. Zatrzymałem nagranie, cofnąłem i ponownie puściłem ten fragment. Korin mówiła o innych aktorkach, które grały w hiszpańskich horrorach Hosterlitz'a. Słuchałem już tego, jadąc metrem do domu, ale teraz dotarł do mnie szczegół, który poprzednio mi umknął.

Veronica Mae.

– ...Hadak i Veronica Mae – powtórzyła Korin. – Veronica zrobiła z Robertem i ze mną sześć filmów, byliśmy więc wtedy w bliskich stosunkach. Dobrze nas poznała.

– Czytałem, że mieszka niedaleko stąd – powiedział Collinsky.

– Zgadza się. Pochodziła z Bristolu, chociaż nikt by się tego nie domyślił. Żartowaliśmy sobie z jej pretensjonalnego akcentu. Ale lubiłam ją. Lubiliśmy ją oboje. To właśnie ona przekonała Roberta i mnie, żebyśmy kupili dom w tej okolicy.

Przypomniałem sobie skan polaroidowego zdjęcia, który przysłała mi mailem Wendy Fisher. Przedstawiało Korin i Hosterlitz'a w Madrycie w 1983 roku – on obejmował ją ramieniem, a ona siedziała przytulona do męża. Odwrotna strona fotografii też została zeskanowana: widniała na niej adnotacja „Madryt 1983, Bob i Lyn, zdjęcie: Ronnie M.”. Zakładałem, że Ronnie M. to mężczyzna. A może Ronnie M. to Veronica Mae?

Jeżeli mieszkała w pobliżu Korin, jeżeli wciąż utrzymywały kontakt, być może będzie w stanie pomóc mi lepiej zrozumieć, jaką osobą jest Korin. Odnotowałem w pamięci, żeby poszukać jej adresu, po czym przesłuchałem nagranie do końca.

Kiedy skończyłem, czułem się kompletnie wyczerpany. Byłem na nogach od wpół do czwartej, pół dnia spędziłem w samochodzie, a drugie pół w miejskim upale. O dziewiątej, gdy z nieba pierzchły resztki światła, padłem na łóżko i usiłowałem zasnąć.

Godzinę później nadal leżałem z otwartymi oczami.

Wreszcie wstałem, poszedłem do telewizora i zacząłem przeglądać Netflixa w poszukiwaniu filmów noir Roberta Hosterlitz'a. Znalazłem wszystkie cztery, wraz z westernem Duch Wielkich Równin. Zaparzyłem kawę i włączyłem jego debiut, *Moje nikczemne serce*.

Zanim się zorientowałem, z jednego filmu zrobiły się cztery.

W ciągu sześciu i pół godziny obejrzałem *Moje nikczemne serce*, *Connora O'Hare*, *Dopiero gdy umrzesz* i *Oczy nocy*, jeden po drugim, więc położyłem się spać tuż po piątej. Wszystkie cztery były fascynujące. Kiedy jednak leżałem w ciemnej sypialni, wciąż nie mogąc zasnąć, trudno było mi określić, dlaczego wywołują taki efekt. Wiedziałem jedynie, że tkwi w nich wielka siła.

Im dłużej szukałem wytłumaczenia, tym bardziej dostrzegałem motywy łączące te wszystkie filmy. W każdym występował zmęczony życiem bohater: w Connorze O'Hare drobny gangster, który ma dosyć swojego procederu; w Moim nikczemnym sercu i Oczach nocy gliniarze, którymi wszyscy pomiatają; w Dopiero gdy umrzesz prywatny detektyw, rozpaczliwie szukający zleceń. Osią fabuły zawsze było morderstwo, które nieodmiennie prowadziło bohatera do drzwi femme fatale. Wszyscy mężczyźni byli słabi i zdemoralizowani, kobiety kłamały i uwodziły, a ukazane przez Hosterlitz'a Los Angeles wyglądało jak labirynt – nieskończony gąszcz ulic, knajpek, klubów i barów oraz identycznych domów – w którym ostatecznie bohaterowie się gubili, tracąc zdolność odróżniania dobra od zła. We wszystkich czterech filmach reżyser zastosował retrospekcje – i wszystkie cztery kończyły się pesymistycznie.

W każdym filmie była bezbłędnie prowadzona kamera, światło przepięknie współgrało z cieniem, akcja została precyzyjnie poprowadzona i zmontowana. Nie było żadnego niedopracowanego szczegółu, ani jednej fałszywej nuty. Wszystko razem tworzyło harmonijną, zgrabną i wysmakowaną całość.

Było też coś w dialogach Hosterlitz'a, w budowie zdań i doborze słów. Jak gdyby bohaterowie występujący w tych czterech filmach posługiwali się własnym specyficznym słownictwem, porozumiewając się w sposób, który nadawał im wyjątkowy rys, jako wytworom wyobraźni Hosterlitz'a. Ich język nie wydawał się sztuczny czy fałszywy. Co więcej: brzmiał niemal lirycznie, jak poezja.

Przed szóstą, nie zmrzywszy oka, znowu wstałem z łóżka – zdecydowałem, że obejrzę Ducha Wielkich Równin, western Hosterlitz'a, piąty film zrealizowany dla dużej wytwórni, którego nigdy nie oceniano tak przychylnie jak jego kino noir. Film nie miał dobrej opinii, bo w 1967 roku okazał się kasową klapą i zniweczył wszelkie aspiracje Hosterlitz'a, żeby wrócić do kinematograficznej śmietanki. Wprawdzie western nie dorównywał jego wcześniejszym dziełom, ale natychmiast rozpoznałem w nim znajomy ton – coś charakterystycznego dla sposobu, w jaki Hosterlitz kręcił swoje filmy.

I wreszcie, gdy przez zasłony w oknach salonu wdarły się pierwsze promienie słońca, uświadomiłem sobie, co to jest. W końcu zrozumiałem, na czym polega sugestywność i siła filmów Hosterlitz'a. Chodziło o pracę kamery. Nie stosował gęstego montażu, rzadko panoramował, nigdy nie robił zbliżeń. Umieszczał kamerę w jednym miejscu i przyglądał się aktorom, powoli śledząc ich ruchy i chłonąc subtelności ich gry, piękno otaczającej ich scenerii, szczegóły planu i oświetlenia.

Jego filmy nie były nieciekawe, ale były statyczne. Hosterlitz patrzył uważnie. Obserwował. Czasem wyglądało to, jak gdyby podkraść się niepostrzeżenie i filmował scenę z daleka, niezauważony przez nikogo. W Oczach nocy było ujęcie dwuminutowej rozmowy aktorów, nakręcone przez szparę między uchylonymi drzwiami a framugą. Stwarzało to dziwną aurę dystansu. Odnosiło się wrażenie, jakby reżyser zakłócał czyjąś prywatność – albo starał się pozostać niewidoczny.

Kiedy wpadłem na tę myśl i zacząłem wyobrażać sobie kamerę jako nieproszonego gościa, scena nabrała innego wydźwięku. Pojawiło się w niej coś krępującego i przykrego. Obiektyw kamery zmienił się w obserwatora, intruza, podglądacza. Z tym obrazem w głowie, skonany, wyciągnąłem się na kanapie i zamknąłem oczy. Tym razem zasnąłem błyskawicznie, mimo że pokój wypełniały kwadraty światła wpadającego przez okna – ale myśli z jawy nie chciały mnie opuścić.

We śnie widziałem zniekształcone twarze, aktorów powtarzających w kółko te same kwestie, czarno-białe miasta, których ulice zataczały łuki, biegnąc spiralnie w kierunku środka ich labiryntu. A później, zanim zdeorientowany i zlany potem, zbudziłem się po czterech godzinach, zobaczyłem z przerażeniem, że jestem przywiązany do krzesła w domu, którego nie znam, i siedzę zakneblowany, z twarzą zwróconą w stronę czegoś w kącie pokoju.

Nieruchomego, bezgłośnego, ukrytego w cieniu.

To była kamera.

Plany wczesnego wyjazdu do Somerset wzięły w łeb, zanim jeszcze zasnąłem, zwłaszcza że zamknąłem oczy dopiero o ósmej rano. Gdy ocknąłem się w południe, z wata w głowie, wziąłem telefon i zadzwoniłem do Rough Print, aby sprawdzić, czy można u nich kupić jakieś kopie filmów, które Lynda Korin nakręciła z mężem na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Okazało się, że mam szczęście. Właściciel sklepu poinformował mnie, że ma cztery: Ursulę: Jej Wysokość Kommandant, czyli drugą część trylogii, Mordercze wiertło, Maniaka z siekierą oraz ostatni film Hosterlitz, Wyspę śmierci.

– Jedyne problem w tym – powiedział właściciel, starszy mężczyzna o nieco świszczącym oddechu – że dwa z tych filmów nie są po angielsku. Mają włoski i hiszpański dubbing. Prawdę mówiąc, angielskie wersje tych dubbingowanych filmów już nie istnieją. Czy to ma dla pana znaczenie?

Zastanowiłem się nad tym.

– Nie, nic nie szkodzi. Mimo to wezmę wszystkie.

– Wspaniale – odrzekł właściciel sklepu. – Naprawdę bardzo się cieszę. Jestem wielkim fanem wczesnych dzieł Hosterlitz, więc kupiłem je za grosze na aukcji w Bilbao jakieś pół roku temu. Ale dotąd nikt nie wykazywał nimi najmniejszego zainteresowania. Bardzo smutne, że tak skończył, nie sądzi pan?

Przyznałem mu rację, po czym zebrałem się i ruszyłem na stację metra.

Z Rough Print wróciłem po wpół do trzeciej. Zastanawiałem się, czy może od razu nie pojechać samochodem do Somerset i nie wziąć pokoju w jakimś hotelu, by mieć pewność, że jutro wcześnie zabiorę się do działania, jak zamierzałem to zrobić dzisiaj, gdy nagle zadzwonił telefon.

To była Melanie Craw.

– Może przypominam zrzędlivą starą żonę – powiedziała na powitanie – ale za godzinę masz wizytę u lekarza. Pamiętasz o tym, prawda?

Zupełnie zapomniałem.

– Tak – potwierdziłem.

– Nie wciskaj mi kitu, Raker.

Byłem właśnie w kuchni. I doskonale widziałem stojącą na półce nietkniętą fiolkę z antydepresantami.

– Mam cię tam zaciągnąć? – dorzuciła.

– Słuchaj, Craw, nie mam...

– Nie zapominaj, że pod koniec zeszłego roku padłeś jak kłoda. Musisz się z kimś skonsultować, Raker, choćby po to, by się upewnić, że wszystko gra. Jeżeli tego nie zrobisz i dalej będziesz udawać, że w zeszłym roku nic się nie stało, to kiedy następnym razem stracisz przytomność, możesz się już nie obudzić.

– Sądzę, że to mało prawdopodobne.

– Aha, więc jesteś też lekarzem?

– Caw, nie pójde do żadnego...

– Przestań być takim cholernym egoistą.

Po jej słowach na linii zapadła krótka cisza. Przez sekundę pomyślałem o tamtej chwili z Alex Cavarno w kinie Comet poprzedniego dnia i wyrzuty sumienia znowu ścisnęły mi żołądek.

– Zgoda – odrzekłem.

– Dobrze. Daj znać, co ci powiedzą.

I rozłączyła się. To właśnie była Caw w pigułce: najpierw przekonuje mnie, że troska o moje zdrowie dotyczy nas obojga, a pięć sekund później rzuca słuchawką. Zerknąłem na zegarek, a potem na cztery płyty z filmami.

Na razie musiały poczekać.

* * *

Mój lekarz był drobnym Hindusem pod sześćdziesiątkę, nazywał się Sunil Jhadav. Nosił nienagannie przystrzyżoną siwą bródkę i staroświeckie okulary w rogowej oprawie. Kiedy przyjął mnie pierwszy raz, po tym, jak straciłem przytomność, kazał mi przychodzić do siebie co trzy miesiące pod pretekstem, że musi mi wypisywać kolejne recepty na antydepresanty, których i tak nie zażywałem. Ale na ostatnią wizytę nie przyszedłem, a poprzednim razem stawiałem się w gabinecie tylko dlatego, że akurat Caw miała wolny dzień i zapowiedziała, że osobiście mnie zawiezie.

– Jak się pan czuje od lutego? – spytał lekarz.

Jeżeli to miał być przytyk, nieźle udało mu się go zamaskować.

– Dobrze.

– Jakież bóle głowy?

– Nie.

– Trudności w mówieniu albo rozumieniu innych?

– Nie.

– Miewa pan mdłości?

– Nie, wszystko w porządku.

Ośluchał mi serce i zmierzył ciśnienie. Następnie obejrzał blizny po ranach na mojej głowie, zaświecił mi latarką w oczy, po czym cofnął się i wysunął sobie krzesło spod biurka.

– Tracił pan przytomność od naszego ostatniego spotkania, panie Raker?

– Nie.

Usiadł.

– Nie jestem pewien, czy przeprowadziłem z panem szczegółowy wywiad.

Patrzyłem na niego bez słowa.

– Muszę przyznać, że to barwna historia. Obrażenia na plecach i na ręce, został pan pchnięty nożem w brzuch, a na stole operacyjnym miał pan nawet zatrzymanie akcji serca. Pytałem pana kiedyś, czym się pan zajmuje?

Przemknęło mi przez myśl, żeby skłamać i podać fałszywy zawód, ale na pewno czytał moją kartę. Był na tyle inteligentny, aby się domyślić, że nie pracuję w handlu detalicznym.

– Odnajduję ludzi – wyjaśniłem.

– Odnajduje pan?

– Zaginionych.

– Rozumiem. – Skinął głową, poprawił okulary i odchylił się na krześle. – Wygląda więc na to, że ma pan dość niebezpieczne zajęcie. – Przyjrzał mi się. – Ma pan kłopoty ze snem? Wygląda pan... na zmęczonego.

Wzruszyłem ramionami, wracając pamięcią do nocy spędzonej na oglądaniu filmów Hosterlitz, o których później nie mogłem zapomnieć – myślałem o przewijających się w nich motywach, o tym, co je łączyło, o kamerze, która stała w miejscu i mnie obserwowała; przypomniałem sobie, co zobaczyłem we śnie, gdy w końcu zasnąłem.

– Czy to znaczy, że tak? – zapytał lekarz.

– Akurat tak się składa, że miałem ciężką noc.

– Rozumiem. Z jakiegoś szczególnego powodu?

– Po prostu przez pracę.

– Rozumiem – powtórzył. – Czuje się pan teraz przygnębiony?

– Nie.

Zacisnął usta i przechylił głowę na bok, jak gdyby rozmawiał sam ze sobą.

– Mogę spytać, czy ma pan rodzinę?

Zmarszczyłem brwi.

– Mam córkę.

– Kogoś jeszcze?

– Nie.

– Nie ma pan żony ani partnerki?

– Moja żona nie żyje.

– Przykro mi to słyszeć. A rodzeństwo?

– Nie mam.

– Jest pan jedynakiem?

– Tak.

– Rodzice?

– Jakie to ma znaczenie?

Znowu skinął głową, tym razem energiczniej, jak gdyby moje odpowiedzi utwierdziły go we wniosku, do jakiego doszedł.

– Kiedy zmarła pańska żona?

– To nie ma nic do rzeczy.

– Panie Raker – rzekł nieoczekiwanie łagodnym tonem – nie wiem, w jakim stopniu jest pan ze mną szczery, chociaż przypuszczam, że w niewielkim. – Przez chwilę czekał na moją odpowiedź, jakby się spodziewał, że zacznę gorąco protestować. – Jest pan sam – podjął – jest pan zmęczony, nie może pan spać, może przeżywa pan opóźnioną reakcję na traumę pożegnania bliskiej osoby. W listopadzie zdiagnozowano u pana zespół stresu pourazowego, cierpiał pan na chroniczne zmęczenie, prawdopodobnie na depresję. W związku z tym skierowano pana do psychologa, jednak, jak widzę w dokumentach, nie stawiał się pan na żadną umówioną wizytę. – Znowu przerwał, składając dłonie w wieżyczkę na wysokości swojej twarzy. – Trudno do czegoś dojść, skoro nie wiemy, co dokładnie panu dolega, a jeżeli zarabia pan na życie w świecie, w którym ataki nożowników i ciosy w głowę są na porządku dziennym... W każdym razie, proszę mi wierzyć, to na pewno nie pomoże panu odzyskać tego, co pan stracił.

– A co takiego straciłem?

Jego wzrok powędrował w stronę blizn na mojej głowie i innych szram na ciele, o których wiedział.

– Miałem kiedyś przyjaciela, jeszcze w Mumbaju, który był detektywem w indyjskiej policji. Wstąpił do służby po tym, jak jego bracia zostali zamordowani, gdy włamano się do ich domu. Właściwie nigdy nie chciał być policjantem, chociaż przypuszczam, że dobrze sobie radził, ale myślał, że praca w policji może mu przynieść jakieś rozwiązanie. Pewnie sądził, że wypełni pustkę, którą odczuwał. Ale nie można wskrzesić zmarłych, panie Raker, a jeśli ktoś próbuje to zrobić... staje się nieostrożny. Chodzi mi o to, że ta pańska praca może kosztować pana życie. I nie dlatego, że zginie pan od ciosu noża. Tylko dlatego, że jest pan chory.

– Nie jestem chory.

– Skąd pan wie, skoro nie przychodzi pan na umówione wizyty i nie bierze tabletek, które panu przepisują? Nie znam pana. Nie wiem, od jak dawna nie żyje pańska żona. Ale jedynym powodem, żeby wykonywać pracę, jaką pan się zajmuje, jest chęć naprawienia czegoś.

Spojrzał na mnie niemal ze współczuciem.

– Smutek to choroba, panie Raker. Mój przyjaciel, ten, o którym wspomniałem, był tak zdruzgotany śmiercią braci, tak bardzo chciał ich pomścić, przygniatała go tak ogromna rozpacz, że pewnej nocy w listopadzie dwa tysiące dziesiątego roku próbował w pojedynkę zlikwidować czteroosobowy gang. – Wzruszył ramionami. – Zwabili go do ślepego zaułka, a potem zabili strzałem w tył głowy.

Milczeliśmy przez chwilę, patrząc na siebie, po czym Jhadav rozłożył ręce.

– Ostatecznie mój przyjaciel postanowił, że nie chce widzieć zagrożenia – powiedział cicho. – Proszę nie popełnić tego samego błędu.

CZEŚĆ DRUGA

00:06:44

– Wie pan, jak nazywano to miejsce?

Ray Callson wygląda przez okno, które ma po lewej stronie. Wilshire Boulevard pięć pięter niżej jest zakorkowany na całej długości nieprzerwanym sznurem samochodów. Panuje tam zupełny bezruch. Widać tylko chmurę spalin drżącą na tle popołudniowego nieba. Terkot kamery i szum klimatyzacji nie zagłusza dobiegającego z oddali ryku klaksonów i syren policyjnych, a gdzieś bliżej rozbrzmiewa muzyka – słychać głębokie pulsowanie basu.

Odwraca się z powrotem w stronę obiektywu.

– Wie pan?

– O czym? – odzywa się głos zza kadru.

– Jak nazywano to miejsce?

– Ma pan na myśli Los Angeles?

– Owszem. – Callson znowu zerka przez okno. – Kiedy mój stary tu zamieszkał, na początku lat dwudziestych, nazywano to miasto „białym punktem Ameryki”. Wiedział pan o tym?

– Nie.

– Właśnie. Los Angeles reklamowano jako protestancką ziemię obiecaną, gdzie można spokojnie i zgodnie mieszkać wśród swoich pobratymców. Ale to była kompletna bzdura. Czarni, Latynosi, Azjaci, wszyscy już tam byli. W latach dwudziestych ludność miasta zwiększyła się dwukrotnie... myśli pan, że to dlatego, że osiedlali się tu tylko biali?

– Sądzi pan, że teraz jest lepiej czy gorzej?

– W Los Angeles? – Callson odrywa wzrok od okna i spogląda w kamerę. – Nie wiem. Wiem tylko, że wszystko w tym mieście jest kłamstwem. Zawsze tak było i będzie. W połowie lat dwudziestych w mieście działało sześćset burdeli. W Klubie Dziewięćdziesiąt Sześć, parę ulic od ratusza, można było spotkać facetów gotowych zrobić loda. Po Boyle Heights biegali komuniści. Dziwadła z cyrkowych pokazów osobliwości i słonie wabiły ludzi na osiedla, obiecując darmowy lunch, a na rogu Wilshire i La Brea stali gapie z rozdziawionymi ustami, bo nigdy wcześniej nie widzieli neonów. Niezła ziemia obiecana białych protestantów, co? Wtedy, tak samo jak dziś, to był tylko pokaz magicznych sztuczek, nic więcej. Los Angeles było i jest jedną wielką lipą. Nic nie jest tu czarne ani białe. Są same szarości.

– Wydaje się pan sfrustrowany.

Callson uśmiecha się z pogardą.

– Pewnie jestem. Człowiek przyzwyczaja się do tego uczucia, kiedy pracuje jako detektyw od zabójstw. Do frustracji. Od trzydziestu do czterdziestu procent spraw, które do ciebie

trafiają, nie dajesz rady wyjaśnić. To po prostu fakt. Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy.

– Dlatego, że ludzie kłamią?

– Nie zawsze.

– Ale na ogół tak?

– Tak, najczęściej kłamią. Naprawdę myślę, że jeżeli ktoś mieszka w tym mieście wystarczająco długo, wchodzi mu to w krew. Człowiek nawet tego nie zauważa. Nie zdaje już sobie sprawy z tego, że kłamie. Zresztą czego można się spodziewać po mieście, w którym mężczyźni i kobiety udają kogoś innego w wymyślonych studyjnych dekoracjach i biorą za to pieniądze? To jasne, że będą kłamać. Robią to dzień w dzień, przez całe życie. Kłamstwo staje się drugą naturą. – Callson wzrusza ramionami. – To miasto jest po prostu jednym wielkim pokazem iluzji. Każdy ma w zanadrzu własną sztuczkę.

Ostatecznie postanowiłem wyjechać z Londynu.

Zatrzymałem się w Bristolu, w hotelu niedaleko dworca Temple Meads. Udało mi się znaleźć jeden z ostatnich pokoi, ponieważ reszta padła łupem długiego weekendu. Zameldowałem się, po czym zrobiłem sobie spacer przez tłum na Harbourside; po drodze coś zjadłem i wróciłem do pokoju, gdzie przy zgaszonych światłach i włączonej klimatyzacji usiadłem przy oknie, patrząc na iglicę kościoła St Mary Redcliffe, przypominającą jasne ostrze wystające z ziemi. Z wysokości sześciu pięter wszystko w dole zdawało się wyciszone i mniej wyraźne; było tylko zarysem i cieniem.

Po jakimś czasie zaparzyłem sobie kawę i podniosłem z podłogi plecak. Miałem w nim cztery horrory, które Korin nakręciła z Robertem Hosterlitzem.

Zestaw kosztował mnie czterdzieści cztery funty, co wydawało się dość wygórowaną ceną za filmy, na które nikt inny w mieście nie rzucił nawet okiem przez cały czas, gdy były w ofercie Rough Print. Właściciel proponował mi jeszcze książkę, *Dia de los Muertos*, na temat europejskiego przemysłu filmów grozy w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, której część poświęcono Hosterlitzowi – a raczej Bobowi Hozerowi, bo taki pseudonim wówczas przybrał. Postanowiłem ją kupić, gdy zobaczyłem, że jest w niej rozdział o serii Ursula oraz zapis dyskusji panelowej z udziałem Korin, jaka odbyła się na zlocie Screenmageddon w 2011 roku. Był to ten sam panel, w którym uczestniczyli Marc Collinsky i Louis Grant. Okazało się, że to jedyny publiczny występ Korin na takiej imprezie, odkąd skończyła przygodę z aktorstwem.

Wszystkie płyty były szczelnie opakowane w folię i miały jednakowo krzykliwe okładki. Na pudełku z filmem Ursula: Jej Wysokość Kommandant zamieszczono zdjęcie dwudziestokilkuletniej Lyndy Korin, przedstawiające w całej okazałości jej sylwetkę w absurdalnie krótkich szortach i w koszuli z naszytą na kieszeni swastyką, rozpiętej na tyle, by odsłonić krągłości obu piersi. Nad tytułem, zrobionym z ociekających krwią liter, widniał napis: „Na jej rozkaz będziesz krzyczeć o więcej!”.

Zdjęcie na okładce Morderczego wiertła było makabryczne: zbliżenie ręki niewidocznego napastnika, z wiertarką, która lada chwila miała przedziurawić czaszkę krzyczącej kobiety. To była włoska wersja filmu, więc nie zrozumiałem ani słowa z tekstu na odwrocie, ale umieszczony z przodu idiotyczny napis – „Wrrrr, brrrr! Krrrew, śmierrrrć!” – zrekompensował niepotrzebne okrucieństwo i przerażający charakter zdjęcia. Czytając informacje o twórcach, zobaczyłem, że Hosterlitz znowu występuje jako Bob Hozer – w roli

autora zdjęć i montażu, scenarzysty i reżysera – a także rozpoznałem inne nazwisko w obsadzie: Veronica Mae. Z ciekawości zajrzałem do bazy IMDb i znalazłem jej zdjęcie w wieku dwudziestu paru lat. Filigranowa, śliczna, o długich rudoblond włosach, z małym pieprzykiem po lewej stronie nosa. Uwagę przykuwały jednak przede wszystkim jej oczy – intensywnie zielone, jak dwa okruchy jadeitu.

Okładki dwóch pozostałych filmów – Maniaka z siekierą po angielsku i Wyspy śmierci po hiszpańsku – były właściwie wersjami tej samej sceny: obie przedstawiały kobiety o obfitych kształtach, uciekające z wrzaskiem, jedna przez las, druga po piaszczystej plaży przy której rosły palmy.

W pokoju był odtwarzacz DVD, więc wyjąłem z pudełka Ursulę, włożyłem do urządzenia i czekając, aż się uruchomi, zacząłem przeglądać Dia de los Muertos. W części poświęconej karierze Hosterlitz jako Boba Hozera trafiłem na stronę z analizą jego kompozycji ujęć. Moją uwagę zwrócił szczególnie jeden fragment:

Większość krytyków zgodnie twierdzi, że odkąd Hosterlitz w 1954 roku został zmuszony do wyjazdu z USA, nie był już tym samym twórcą co dawniej, nawet gdy w roku 1967 powrócił na wielki ekran z wysokobudżetowym westernem Duch Wielkich Równin. Jednak w gruncie rzeczy, nawet jeśli przyjrzymy się jego horrorom, to pomijając nieskładne aktorstwo, zanik jego pewności pióra jako scenarzysty, jego chorobę, uzależnienie i depresję, które wypaczyły i wykastrowały mu talent, to w latach 60., 70. i 80. Hosterlitz wciąż wykazywał przebłycki tego samego geniuszu: w pięknej kompozycji ujęć, w statycznej pracy kamery wyławiającej ukryte szczegóły, w mikroekspresjach uchwyconych w zbliżeniach, które były kiedyś jego znakiem firmowym, a także w scenach obserwowanych z dystansu.

Opis jego kompozycji ujęć zgadzał się w stu procentach z tym, co zauważyłem poprzedniej nocy, oglądając jego filmy noir, i choć Ursula okazała się absolutnym koszmarem – fabuła rozłaziła się w szwach, film był męczący, pełen przemocy, niczym nieuzasadnionej nagości i drewnianej gry aktorskiej – to kiedy skupiłem się na obrazie, bez większego trudu odnalazłem te same znaki firmowe Hosterlitz, mimo że pojawiały się rzadziej. Różnica polegała na tym, że w dawnych dziełach śledzenie kolejnych scen, postaci i ich losów wspomagali aktorzy tacy jak Veronica Lake czy Glen Cramer. Kiedy Hosterlitz kręcił Ursulę, stracił już talent do dialogów, który uwiądnął wraz jego karierą – no i nie miał dobrych aktorów.

Cierpliwie wytrzymałem niezliczone ujęcia kobiet pod prysznicem, kilka przydługich scen erotycznych, wypruwanie wnętrzości, rozciąganie człowieka na łożu tortur, aż wreszcie postanowiłem obejrzeć resztę w przyspieszonym tempie, zatrzymując się tylko

wtedy, gdy natrafiłem na ślad prawdziwego Hosterlitz. Im dłużej oglądałem, tym łatwiej było dostrzec te popisowe efekty, które pojawiały się jak duchy z innych czasów.

Kiedy skończyła się Ursula, włożyłem do odtwarzacza Maniaka z siekierą. Był równie okropny, może nawet trochę gorszy. Występ Korin wyróżniał się na tle tragicznej reszty obsady, ale w tym chaosie znów tu i ówdzie pojawiały się przebłyski rozpoznawalnego stylu Hosterlitz: pojedyncze sceny – bezbłędne i spójne – które o parę klas przewyższały resztę filmu. Gdy na nie trafiałem, zwalniałem akcję, by obejrzeć je jak należy, i przyspieszałem odtwarzanie, kiedy się kończyły.

Powoli coś zaczynało mi świtać.

Istniała pewna prawidłowość, pewien związek między wszystkimi chwilami, na których chciałem się zatrzymać: w najlepszych scenach, gdzie geniusz reżysera wznosił się ponad toporność tych filmów, zawsze występowała jedna i ta sama osoba.

Lynda Korin.

W Ursuli, a jeszcze bardziej w Maniaku z siekierą, w którym grała drugoplanową rolę, ilekroć pojawiała się na ekranie – sama albo z dala od pozostałych aktorów – Hosterlitz brał się w garść i przystępował do dzieła. Traktował jej sceny z czcią i pietyzmem, których próżno było szukać w innych częściach filmu. Oświetlał ją perfekcyjnie, skracał jej kwestie – aby nie wyszło na jaw, że jest przeciętną aktorką – i po prostu na nią patrzył.

Kiedy filmował Korin z daleka, pokazywał ją w planie ogólnym, prawie bez muzyki i efektów dźwiękowych, i skupiał się na niej – na przykład rejestrował jej nucenie czy odgłos jej kroków, gdy chodziła po pokojach. Albo robił coś wręcz przeciwnego i zbliżał do niej obiektyw, wsłuchując się w rytm jej oddechu i często używając jakiejś sztuczki, dzięki której jej oczy działały jak lustro i odbijały ludzi występujących w tej samej scenie – jak gdyby była oknem, przez które oglądało się cały film. Ale gdy działo się coś innego, gdy w kadrze pojawiali się inni aktorzy, obraz się zmieniał. Reszta była podporządkowana wszystkiemu, co robił z Korin. Całe sekwencje dialogów po prostu odbębniał, w ogóle nie zważając na to, że aktorzy mamrocą albo wygłaszają swoje kwestie z zerową ekspresją, i sceny bez Korin nigdy nie były tak dobrze oświetlone ani tak precyzyjnie skadrowane. Tymczasem gdy tylko Korin miała scenę, w której była sama, następował zupełny zwrot jakościowy. Właśnie wtedy można było dostrzec przebłysk dawnego Hosterlitz: twórcy filmu, który zdobył siedem Oscarów.

Zatrzymując obraz na zbliżeniu twarzy Korin, przesunąłem się na łóżku w stronę telewizora. Ekran wyświetlał jej nieruchomy profil, gdzieś w tle majaczyła postać obłąkanego mordercy, a kontrast między jego ciemną sylwetką a jej nieskazitelnie białą cerą był tak ostry, że mógłby to być fotos z jednego z tamtych filmów noir. Studiując idealną kompozycję ujęcia, zastanawiałem się, czy podejście Hosterlitz do tych scen wynikało tylko z nepotyzmu, było przejawem faworyzowania roli żony w jego filmie, czy może krył się za tym inny – mniej oczywisty – cel.

Kiedy pozwoliłem scenie z powrotem ożyć, przyszło mi na myśl coś, co Korin powiedziała w wywiadzie dla Collinsky'ego. „Wie pan, jak mnie nazwał, kiedy się poznaliśmy? – spytała. – Powiedział mi: «Jesteś aniołem... jesteś dziełem sztuki»”. Im dłużej nad tym myślałem, tym więcej fragmentów wywiadu mi się przypomięło. „Chciał na mnie patrzeć przez obiektyw. Czasem godzinami przygotowywał ujęcia ze mną, nawet jeżeli to były mało ważne sceny, i starał się je jak najlepiej skadrować”.

„To nie była żadna obsesja”, zapewniła Collinsky'ego.

Tyle że teraz, właśnie w tym momencie, miałem nieodparte wrażenie, że było wręcz odwrotnie. Świadomość jego uczuć wobec niej i oglądanie ich efektów było dziwne i nieco krępujące. Kiedy patrzył na nią obiektyw, wydawało się, że na ekranie toczy się niema rozmowa między spokojem i urodą Korin a nieruchomą kamerą Hosterlitz'a. Poczułem się jak ktoś obcy, intruz, który zagląda przez okno do domu, naruszając czyjąś prywatność.

Film powoli zmierzał do końca. Tytułowy maniak z siekierą zamordował osiem osób na przyjęciu, robiąc przy tym mnóstwo hałasu, a teraz usiłował dopaść postać graną przez Korin i jej ekranowego chłopaka, głównego bohatera filmu, których ścigał po całym domu. Ponieważ w akcji pojawiły się inne postacie, film znowu stracił na jakości: zobaczyłem chaotyczne zdjęcia, kiepski montaż i jeszcze gorszą grę.

Potem jednak, gdy bohater poświęcił życie dla swojej dziewczyny, a Korin wykończyła mordercę jego własną siekierą i stała zdyszana, zakrwawiona i sama, kolejny raz wszystko uległo zmianie. Muzyka umilkła. Kamera się poruszyła.

I zaczęło się dziać coś przedziwnego.

Na początku pokazano Korin w planie ogólnym, zakrwawioną, przycupniętą na brzeżku fotela w salonie, nad ciałem mordercy, które leżało na podłodze u jej stóp.

Kamera wolno ruszyła w jej stronę, robiąc najazd na nieruchomą postać ze spuszczonego wzrokiem, zwróconą profilem do obiektywu. Nie towarzyszyła temu muzyka ani żadne inne dźwięki – był tylko jej oddech, który brzmiał coraz głośniejszy, w miarę jak kamera się do niej zbliżała. W połowie odległości między pierwotną pozycją kamery a kobietą stopniowo dało się słyszeć bicie jej serca, którego uderzenia rozlegały się między oddechami, jak daleki rytm plemiennych bębnow. W ciągu całego filmu widziałem nieustanne dowody fascynacji Hosterlitzą Lyndą Korin, podobnie jak w Ursuli, ale to był jednak naprawdę inny, osobliwy moment: kamera przesuwiała się ku niej o wiele dłużej, wolniej i intensywniej – jak gdyby widz niepostrzeżenie podkładał się do kobiety na ekranie. Nie przeszkadzali jej inni aktorzy, nie miała już żadnej kwestii do wypowiedzenia ani sceny do odegrania, nic nie mogło odciągnąć uwagi kamery od Korin.

Tylko ona i my.

Myślałem, że kamera zatrzyma się tuż przed nią, ale nie. Ominęła Korin i sunęła dalej w stronę rogu pokoju, gdzie stał telewizor w obudowie z drewna orzechowego, z wyłączoną fonią. Na ekranie wyświetlał się film nakręcony z wnętrza samochodu, który wolno jechał zwyczajną, nijaką ulicą. Dostrzegłem górne okna w szeregu dwupiętrowych budynków, a kamera nachyliła się pod takim kątem, że u dołu kadru było widać tylko czubki głów przechodniów. Po dziesięciu sekundach nagranie się skończyło.

Pojawiły się napisy.

Przewijały się po ekranie, a ja siedziałem w ciszy pokoju hotelowego, nie bardzo wiedząc, co właściwie obejrzałem. Cofnąłem film i odtworzyłem go ponownie od momentu, w którym morderca leży już zarąbany, film zmienia ton i kamera rozpoczyna wolny najazd na Korin, a chwilę potem słychać jej oddech i bicie serca. Kiedy przesunęła się obok niej, skupiając uwagę na telewizorze w rogu, zbliżyłem się do ekranu z pilotem w ręce, gotowy zatrzymać odtwarzanie. Gdy obraz na telewizorze w drewnianej obudowie stał się wyraźny, wcisnąłem pauzę.

Operator, który kręcił ten film z samochodu, chyba celowo skierował obiektyw w górę, rejestrując na taśmie tylko głowy paru przechodniów. Nie było widać niczego więcej na poziomie ulicy – uchwycone zostały jedynie najwyższe okna niezidentyfikowanych budynków.

Obejrzałem to jeszcze raz, od początku do końca.

Cała scena trwała dziewięćdziesiąt sekund, a najazd na Korin był tak wolny, że zanim kamera ją minęła, upłynęły dwie trzecie tego czasu. W trakcie półtoraminutowego ujęcia właściwie nic się nie działo – nikt się nie poruszył, nie padło ani jedno słowo – a scena wydawała się szczególnie błaha, ponieważ umieszczono ją na końcu filmu, który trwał nieco ponad osiemdziesiąt minut.

Chodziło o coś więcej niż o dziwny dysonans między tym fragmentem a resztą filmu; chodziło o fakt, że był taki finezyjny i pięknie skomponowany.

Otworzyłem Dia de los Muertos na rozdziale poświęconym Hosterlitzowi, aby poszukać jakiegoś omówienia tej sceny, czegokolwiek na jej temat. Nie było ani jednej wzmianki. Moją uwagę przyciągnęło jednak coś w zapisie panelu na zjeździe Screenmageddon, w którym brała udział Korin.

MODERATOR: Następne pytanie. Hm... pan w czerwonej koszulce.

DZIENNIKARZ: Witaj, Lyndo, Bill Martinez z CinemaTechniques.com z San Diego.

Jestem wielkim fanem horrorów i wielkim fanem twoich ról. I zapalonym wielbicielem twojego zmarłego męża.

KORIN: Och, dziękuję. To bardzo miłe.

DZIENNIKARZ: Nie ma za co. W każdym razie, hm... moje pytanie dotyczy filmu pod tytułem Umieraj powoli, który nakręciłaś z Robertem w 1982 roku.

KORIN: Tak, pamiętam go.

DZIENNIKARZ: Świetnie. Kiedy w maju pojechałem do Barcelony, na bazarze udało mi się zdobyć zdubbingowaną wersję Umieraj powoli. Chciałem spytać o jedną scenę w tym filmie, jeżeli w ogóle ją pamiętasz.

KORIN: Postaram się sobie przypomnieć.

DZIENNIKARZ: Pojawia się pod sam koniec filmu, kiedy potwór już nie żyje i twoja bohaterka patrzy z domku na wszystkie ciała rozrzucone w lesie. Jest tam takie niezwykle ujęcie, gdy kamera robi najazd od tylnego wejścia i przesuwa się w twoim kierunku, w stronę okien. Jesteś zwrócona bokiem do widza – to znaczy profilem – i kamera wolno zbliża się do ciebie, a potem nagle cię omija. Nie ma przy tym żadnej muzyki, słychać tylko twój oddech.

Przerwałem na moment czytanie, by wrócić do początku pytania, sprawdzając, czy facet nie mówi o Maniaku z siekierą, którego właśnie obejrzałem. Nie. Mówił o Umieraj powoli, filmie, który ukazał się dwa lata po premierze Maniaka. Musiałem przeczytać ten sam fragment po raz trzeci, żeby się upewnić, czy dobrze zrozumiałem: Hosterlitz umieścił niemal identyczną scenę w dwóch filmach, w odstępie dwóch lat – i w obydwu zagrała Lynda Korin.

KORIN: Tak, chyba pamiętam tę scenę.

DZIENNIKARZ: Wydawała się bardzo dziwna – w pozytywnym sensie! Reszta tej produkcji to szalona i krwawa historia, a tu nagle taka scena, jakby żywcem przeniesiona z jakiegoś dawnego filmu Hosterlitz, na przykład z Connora O’Hare.

MODERATOR: Ma pan jakieś pytanie do Lyndy?

DZIENNIKARZ: Przepraszam. Chciałem chyba zapytać... dlaczego cały film nie jest nakręcony w taki sposób? Mam wrażenie, że ta scena została potraktowana jako szczególnie... no i zastanawiam się dlaczego.

KORIN: Sama nie wiem.

DZIENNIKARZ: Nie było żadnego konkretnego powodu?

KORIN: Nie przypominam sobie. To było dawno temu.

DZIENNIKARZ: A pamiętasz ten fragment z telewizorem?

Teraz już nie mogłem oderwać wzroku od książki.

KORIN: Fragment z telewizorem?

DZIENNIKARZ: Tak. Też był dość zagadkowy.

KORIN: Nie, chyba nie pamiętam.

DZIENNIKARZ: Kamera mija cię i robi najazd na telewizor w rogu pokoju. Ekran pokazuje urywek filmu nakręconego z samochodu – zdaje się, że widać na nim domy przy jakiejś ulicy.

KORIN: Naprawdę? Zupełnie sobie nie przypominam.

DZIENNIKARZ: Podobne ujęcie można zobaczyć na zakończenie innego filmu, który nakręciliście z Robertem w 1979 roku – Piekielnej podróży. Słyszałem, że w Maniaku z siekierą też, chociaż nie widziałem tego filmu.

Siedziałem osłupiały.

Jeżeli dziennikarz miał rację, oznaczało to, że taka sama scena z Korin powtarzała się już w trzech filmach – Piekielnej podróży, Umieraj powoli i Maniaku z siekierą.

Pytanie dziennikarza nie doczekało się satysfakcjonującej odpowiedzi. Korin jeszcze raz przeprosiła, powtarzając, że nie przypomina sobie tych scen i że w ogóle niewiele pamięta z samych filmów, prócz czasu, jaki spędziła z Hosterlitzem na planie. Z zapisu rozmowy trudno się było domyślić, czy mówi prawdę, czy też próbuje uchylić się od odpowiedzi, nie wiedziałem jednak, dlaczego miałyby rozmawiać z mężem, o co właściwie chodzi w tej scenie.

Wziąłem długopis i zacząłem robić notatki, starając się jakoś uporządkować myśli. Akcja dwóch pierwszych filmów o Ursuli rozgrywała się w czasie drugiej wojny światowej, a trzeciego tuż po jej zakończeniu – zanim w domach zagościły telewizory – więc mimo że

pojawiły się w nich typowe dla Hosterlitz'a ujęcia, gdy kamera dłużej zatrzymywała się na Korin, będącej samej w kadrze, obserwowała ją i śledziła jej ruchy, to nie było tam powtórzenia sceny z Maniaka z siekierą ani z zakończenia wspomnianych przez dziennikarza Umieraj powoli i Piekielnej podróży. A w pozostałych ośmiu filmach z udziałem Korin, które Hosterlitz nakręcił między rokiem 1979 a 1984?

Chwyciłem płytę z Morderczym wiertłem, zerwałem folię i puściłem film. Nie zadałem sobie trudu, żeby obejrzeć go od początku do końca, zwłaszcza że był po włosku, więc nie rozumiałbym ani słowa. Z kciukiem na przycisku przewijania, szukałem fragmentu przypominającego scenę, którą oglądałem w Maniaku z siekierą. Wiedziałem, że jeśli tu będzie, to zapewne na końcu.

I właśnie tam ją odnalazłem.

Korin, która chyba tylko parę razy pojawiła się na ekranie, stała w kuchni z nożem w ręce. Jej twarz, szyja i bluzka były zalane krwią. Końcowa scena filmu znowu zaczęła się od wolnego najazdu kamery na jej postać, tym razem przez kuchnię. Tak jak poprzednio, nie było żadnego muzycznego podkładu – w tle brzmiał tylko jej oddech i bicie serca. Za nią, na kuchennym blacie, stał telewizor, a na ekranie był ten sam obraz ulicy nakręcony z wnętrza samochodu.

O co tu chodzi, do cholery?

Rozpakowałem Wyspę śmierci i zrobiłem to samo, przewijając cały film na podglądzie. Na samym końcu, tak jak w pozostałych, znowu znalazłem identyczną scenę. Fakt, że film miał hiszpańską ścieżkę dźwiękową, był bez znaczenia; w tym momencie i tak nie było dialogów. Zobaczyłem niemal bliźniaczą sekwencję obrazów.

Otworzyłem laptop i zacząłem szperać w sieci, szukając jakiegoś omówienia tej powtarzającej się sceny, bo trudno było mi uwierzyć, że nie zwrócił na to uwagi nikt z wyjątkiem dziennikarza i może garstki najbardziej zagorzałych wielbicieli Hosterlitz'a, a teraz także i mnie. Na wielu forach wspominano o jego filmach noir, natomiast tytuły horrorów wymieniano na stronie opisującej wszystkie produkcje, które trafiły na sporządzoną przez brytyjską prokuraturę w latach osiemdziesiątych listę zakazanych filmów, czyli video nasty – znalazły się wśród nich Ursula z SS i Dzikusy znad Amazonki. Wzmianki o Hosterlitz'u pojawiały się na różnych stronach Wikipedii i w różnych zestawieniach tytułów, ale nigdzie nie poświęcono ani słowa scenie, która mnie interesowała.

Byłem już gotów dać sobie spokój, gdy w końcu natknąłem się na Darker Screen, amerykańskie forum o horrorach. I właśnie tam coś znalazłem.

Wątek forum, zatytułowany „Ursula z SS w reżyserii Roberta Hosterlitz alias Boba Hozera – TEN FILM TO KOMPLETNE BADZIEWIE!”, został utworzony dwudziestego drugiego października 2008 roku przez kogoś, kto najwyraźniej obejrzał film po raz pierwszy i miał dotąd niewielki kontakt z horrorami Hosterlitz.

#1 | Wysłane przez: ListicalNinja, 22-10-2008 | Na forum od 2002

Wczoraj w lumpeksie obok siebie (mieszkam w Milwaukee) kupiłem DVD z „Ursulą z SS”. Ktoś to widział? Trudno uwierzyć, że nakręcił go Robert „Oczy nocy” Hosterlitz. Film jest BEZNADZIEJNY.

Zerknąłem na dalszy ciąg dyskusji. Ludzie nie spieszyli się z odpowiedzią, co sugerowało, że albo forum nie jest zbyt popularne, albo temat wątku nie zdołał rozpalic wyobraźni użytkowników. Zglądając na inne wątki, szybko doszedłem do wniosku, że raczej to drugie. Ani nazwisko Hosterlitz, ani jego horrory nie były magnesem nawet dla grupy tych entuzjastów.

#2 | Wysłane przez: MickeyMooney, 3-11-2008 | Na forum od 2003

Widziałem to wieki temu i zgadzam się, że ten film to straszna kicha. A widziałeś któryś z jego PÓŹNIEJSZYCH filmów? Podobno jeszcze gorsze.

#3 | Wysłane przez: CollarMeBaddUK, 3-11-2008 | Na forum od 2000

Widziałem „Maniaka z siekierą”, ale dzisiaj większości tych filmów nie można nawet kupić. Co do Stanów, nie jestem pewien. Może da się jeszcze gdzieś zdobyć wszystkie hiszpańskie filmy Hosterlitz, ListicalNinja...?

#4 | Wysłane przez: ListicalNinja, 3-11-2008 | Na forum od 2002

Nie, u nas to samo. Po angielsku można znaleźć najwyżej kilka. Być może są gdzieś dostępne wersje z dubbingiem, ale większość tych filmów wyparowała – oryginalne negatywy pewnie zaginęły na zawsze.

#5 | Wysłane przez: PinheadMcTavish, 3-11-2008 | Na forum od 2002

Zgadza się, przepadły jak kamień w wodę. Krążą nawet pogłoski, że kiedy widziano je po raz ostatni, były w dużej brązowej kopercie, zaadresowanej: „Składowisko śmieci, rozmiar XXXL, Syberia” ☺

Użytkowniczka o nicku MelissaA zamieściła wpis na temat dostępności horrorów Hosterlitz, informując uczestników wątku, że ze wszystkich filmów, które zrealizował po ostatecznym opuszczeniu USA w 1970 roku, w wersji angielskiej można kupić jeszcze Dom ciemności – nakręcony w Wielkiej Brytanii w 1971, z trudnościami, o których w artykule pisał Collinsy – trylogię o Ursuli i Maniaka z siekierą. Cztery pozostałe były dostępne w Europie – trzy po hiszpańsku, jeden po włosku – ale zdaniem większości użytkowników forum trudno było je namierzyć i upolować. To zgadzało się z tym, co mówił mi właściciel Rough Print.

Kiedy MelissaA napomknęła w paru słowach o udarze Hosterlitz w 1974 roku i o jego uzależnieniu od środków przeciwbólowych, zanim jeszcze wyjechał do Hiszpanii, dyskusja skupiła się na Lyndzie Korin – a wśród męskich forumowiczów na rozmiarze jej biustu.

#33 | Wysłane przez: CollarMeBaddUK, 5-11-2008 | Na forum od 2000
Lynda Korin = ☺ MAM RACJĘ?

#34 | Wysłane przez: PinheadMcTavish, 5-11-2008 | Na forum od 2002
Jasne, murowana kandydatka do Oscara za oryginalny biust pełnometrażowy. ☺ ☺
☺

#35 | Wysłane przez: MickeyMooney, 5-11-2008 | Na forum od 2003
Byłaby świetna w remake’u WILCYCY.

#36 | Wysłane przez: PinheadMcTavish, 5-11-2008 | Na forum od 2002
ROFL! Ciekawe, co taka kobieta widziała w Hosterlitzu?

Na moment zatrzymałem wzrok na ostatnim poście.

Wątek dość szybko wygasł i przez ponad dwa lata pozostawał w stanie uśpienia. Ale na początku 2011 roku ktoś wrzucił zapowiedź udziału Korin w zlocie Screenmageddon.

#57 | Wysłane przez: CollarMeBaddUK, 22-01-2011 | Na forum od 2000
Jeżeli kogoś tu jeszcze interesuje kariera Roberta Hosterlitz, to 7 lipca Lynda Korin pojawi się na Screenmageddonie w Londynie. Nie można jej spotkać na żadnych imprezach, więc warto będzie rzucić okiem. Bilety dostępne [tutaj](#). Ja się wybieram!

#58 | Wysłane przez: PinheadMcTavish, 4-02-2011 | Na forum od 2002

Cholera! Ciągłe niezła z niej laska. Ile teraz ma lat?

#59 | Wysłane przez: CollarMeBaddUK, 4-02-2011 | Na forum od 2000

Nie uwierzysz, ale 58. Mam nadzieję, że moja żona będzie tak wyglądać, jak stuknie jej 58 :/

#60 | Wysłane przez: MickeyMooney, 5-02-2011 | Na forum od 2003

Rany, ja bym chciał, żeby moja dziewczyna tak wyglądała, jak skończy 28!!! LOL. Gdybym nie musiał wywalać na to \$\$\$, poleciałbym do Londynu szybciej od Flasha.

Potem znowu nastąpiła dłuższa przerwa w wymianie postów – trwająca ponad trzy lata. Później jednak, dzięki nowemu postowi, wątek został nagle podbity w czerwcu 2014 roku.

Autorem wpisu był Marc Collinsky.

#61 | Wysłane przez: MarcCollinskyCine, 12-06-2014 | Na forum od 2014

Witam wszystkich. Nie wiem, czy ktoś to przeczyta, bo od 2011 ruch tu niewielki, ale nazywam się Marc Collinsky i pracuję jako dziennikarz w brytyjskim piśmie filmowym „Cine”. Mam dwie wiadomości. Dobra: umówiłem się za parę tygodni z Lyndą Korin na wywiad o Robercie Hosterlitzu, a ponieważ jestem wielkim fanem jego wczesnych filmów, BARDZO SIĘ CIESZĘ. Zła wiadomość: znam na wylot jego twórczość filmową i telewizyjną do trzeciej „Ursuli” z 1978, a reszta trochę mi się miesza. Udało mi się zdobyć „Maniaka z siekierą”, którego wcześniej nie widziałem, ale nie trafiłem na ślad żadnego z pozostałych filmów. Czy ktoś wie, gdzie mogę je znaleźć?

#62 | Wysłane przez: MickeyMooney, 14-06-2014 | Na forum od 2003

Witaj w drużynie, Marc! No tak, masz cholernego pecha, jeżeli liczysz na to, że wygrzebiez coś innego poza „Ursulą 1-3” i „Maniakem z siekierą”. Nie ma nic, nawet na eBayu. Może znajdziesz gdzieś jakiegoś kolekcjonera otrzaskanego w temacie – bo jak nie, to Hozer la vista, baby ☺

#63 | Wysłane przez: MarcCollinskyCine, 14-06-2014 | Na forum od 2014

Dzięki, MickeyMooney. Jeżeli ktoś chce zaproponować jakieś pytania do wywiadu, piszcie śmiało. Nie mogę obiecać, że je zadam, ale wezmę pod uwagę, zwłaszcza te na temat 11 filmów, które zrobił po „Ursuli 1-3”.

#64 | Wysłane przez: PinheadMcTavish, 14-06-2014 | Na forum od 2002

Sprawa absolutnie numer jeden: daj znać, czy Lynda Korin dalej jest taką superlaską!!!!

Przejrzałem resztę strony, potem następną, gdzie dyskusja zeszła na temat rozbieranych scen Korin, a dalej, co było do przewidzenia, rozmiaru jej biustu oraz jej fantastycznego wyglądu w roku 2011, kiedy dobiegała sześćdziesiątki.

I tak dotarłem do końca strony.

Tu zobaczyłem post jakiegoś nowego użytkownika.

#76 | Wysłane przez: Microscope, 15-06-2014 | Na forum od 2014

Mam pytanie, które mógłbyś zadać Lyndzie Korin: dlaczego wszystkie filmy, które zrobiła między 1979 a 1984, mają dokładnie takie samo zakończenie?

Forumowicz wybrał sobie nick „Microscope”. Nigdy przedtem nie wypowiadał się na forum i wszystko wskazywało na to, że zarejestrował się na nim wyłącznie po to, by zadać pytanie o powtarzające się zakończenie. Jako pierwsza odpowiedziała MelissaA – najbardziej rozsądna spośród stałych użytkowników.

#77 | Wysłane przez: MelissaA, 15-06-2014 | Na forum od 2007
Witaj, Microscope! Co to znaczy „takie samo zakończenie”?

#78 | Wysłane przez: Microscope, 15-06-2014 | Na forum od 2014
Które filmy Hosterlitzza widziałaś, MelissaA?

#79 | Wysłane przez: MelissaA, 15-06-2014 | Na forum od 2007
Wszystkie do „Ursuli 3”, a potem jeszcze „Maniaka z siekierą”.

#80 | Wysłane przez: Microscope, 15-06-2014 | Na forum od 2014
W takim razie nie wiesz, o czym mówię.

#81 | Wysłane przez: PinheadMcTavish, 15-06-2014 | Na forum od 2002
Uwaga, psychol!

#82 | Wysłane przez: MelissaA, 15-06-2014 | Na forum od 2007
Hm, dobra. Może więc łaskawie POWIESZ mi, o czym mówisz?

#83 | Wysłane przez: Microscope, 15-06-2014 | Na forum od 2014
Wszystkie 11 filmów, które zrobił w Hiszpanii po „Ursuli 1–3”, od „Domu na cmentarzu” z 1979 do „Wyspy śmierci” z 1984, kończy się taką samą sceną. Nikt na tym forum nie wie o tym tylko dlatego, że „Maniak z siekierą” jest stosunkowo łatwo dostępny, i to w wersji angielskiej, natomiast cztery inne są tylko po włosku i hiszpańsku i o wiele trudniej je znaleźć, a sześć pozostałych przepadło. Uwierzcie mi, ostatnie półtorej minuty we wszystkich 11 filmach, które nakręcił w tym czasie, wygląda – z drobnymi różnicami – tak samo.

#84 | Wysłane przez: MelissaA, 15-06-2014 | Na forum od 2007
Serio?

#85 | Wysłane przez: Microscope, 15-06-2014 | Na forum od 2014
Na 100% serio.

#86 | Wysłane przez: MelissaA, 15-06-2014 | Na forum od 2007
Jak ci się udało obejrzyć wszystkie 11? Mało gdzie mają JEDEN z tych zagranicznych filmów, a co dopiero wszystkie cztery. A ty twierdzisz, że nie tylko obejrzałeś te cztery, ale i sześć „zaginionych”? Coś kitujesz, mój panie! Przecież sam powiedziałeś, że sześć filmów przepadło.

#87 | Wysłane przez: CollarMeBaddUK, 15-06-2014 | Na forum od 2000
Święta racja, MelissaA! Fakt, to mało prawdopodobne. Z tego, co wiem, to tamte sześć filmów „zaginęło”, bo sporo kopii dystrybucyjnych nie zostało oddanych, a w 1986 wytwórnia padła.

#88 | Wysłane przez: Microscope, 15-06-2014 | Na forum od 2014
Możecie wierzyć, w co chcecie.

#89 | Wysłane przez: CollarMeBaddUK, 15-06-2014 | Na forum od 2000
Po co miałyby powtarzać taką samą scenę w swoich wszystkich filmach? Tyle w tym sensu co w odcinku „Ekipy z Newcastle”. Chyba ktoś by zauważył, gdyby jakaś scena powtarzała się 11 razy.

#90 | Wysłane przez: Microscope, 15-06-2014 | Na forum od 2014
Ktoś zauważył. Spytaj Billa Martineza z CinemaTechniques.com. Rzecz w tym, że Bill, ja i jeszcze sześć czy siedem osób, które od sześciu lat piszą w tym wątku, stanowimy jakieś 0000000,1% ludzi na ziemi, których w ogóle jeszcze obchodzi to, co Hosterlitz zrobił po kłapie „Ducha Wielkich Równin”. No więc jeżeli nikt z was tego nie zauważył, jak miała to zrobić reszta świata?

#91 | Wysłane przez: MarcCollinskyCine, 15-06-2014 | Na forum od 2014
Cześć, Microscope! Jest możliwość, żebyśmy pogadali mailowo? Marc C.

#92 | Wysłane przez: Microscope, 15-06-2014 | Na forum od 2014
Nie. Nie zamierzam z tobą mailować ani pisać na priva. Zadaj tylko Korin jedno pytanie: Dlaczego Hosterlitz powtórzył tę samą scenę 11 razy? I posłuchaj, co powie.

#93 | Wysłane przez: MarcCollinskyCine, 15-06-2014 | Na forum od 2014

A jak myślisz, co powie?

#94 | Wysłane przez: Microscope, 15-06-2014 | Na forum od 2014

Nie wiem. Możemy tylko marzyć, że poznamy choć ułamek tego, co ona wie o Hosterlitzu. Te filmy mają takie samo zakończenie. Z taką samą ścieżką dźwiękową. Takim samym głosem z offu. Serio zakładamy, że tego nie zauważyła?

Takie samo zakończenie. Taka sama ścieżka dźwiękowa. Taki sam głos z offu.

Jaki głos z offu?

Nikt nie podchwycił wzmianki o głosie spoza kadru. Zgubiłem się w dyskusji o powracającej scenie, o Korin, o reżyserii Hosterlitzu. Spojrzałem na telewizor, gdzie zatrzymałem Wyspę śmierci na napisach końcowych, wziąłem pilota i cofnąłem film aż do początku finałowej sekwencji, gdy zaczynał się półtoraminutowy najazd kamery. Przysunąłem krzesło bliżej ekranu, podłączyłem do telewizora słuchawki i wcisnąłem odtwarzanie. Chciałem jak najbardziej odciąć dźwięki z zewnątrz – hałasy w pokoju hotelowym, kroki i głosy ludzi na korytarzu, warkot samochodów za oknem. Chciałem słyszeć tylko film.

Rozpoczęła się końcowa sekwencja.

Pilnie nasłuchiwałem, gdy bicie serca i oddech Korin wolno przybierały na sile. Dotychczas w tle tej sceny nie słyszałem nic innego, tym razem było tak samo. Żadnego głosu z offu. Bicie serca i oddech osiągnęły crescendo mniej więcej w połowie odległości między początkowym położeniem kamery a Korin, po czym z wolna ucichły, kiedy kamera w końcu do niej dotarła i omijając ją, skierowała się na telewizor.

Cofnąłem film chyba po raz setny i odtworzyłem scenę od początku. Ale teraz jej nie oglądałem – odwróciłem głowę od ekranu, żeby obraz mnie nie rozpraszał, wcisnąłem słuchawki głębiej i nadstawiłem uszu. Rozległ się znajomy rytm oddechu i tętna Korin. Wyteżałem słuch, starając się wyłowić jakikolwiek dźwięk w tle.

I nagle, jak przez mgłę, udało mi się pochwycić końcówkę czegoś.

Jakby szeptu.

Usłyszałem to pierwszy raz. Głos był tak cichy, że nie byłem pewien, czy mi się nie zdawało. Wcisnąłem na pilocie przewijanie i cofnąłem film o dziesięć sekund. Tym razem, kiedy kamera zrównała się z Korin i skręciła w stronę telewizora, nastawiłem fonię na cały regulator.

W głowie mi zahuczało na znak protestu.

Jednak szept zabrzmiał teraz wyraźniej. To był najcichszy głos, jaki można sobie wyobrazić, na wpół ukryty między oddechami a łomotem serca, niczym cień sylwetki w półmroku. Nie rozumiałem ani słowa, więc przewinąłem jeszcze raz. Przy następnym

odtworzeniu zorientowałem się, że to głos mężczyzny, ale brzmiał tak delikatnie, tak leciutko i łagodnie, jakby należał do kobiety.

Znowu cofnąłem film i tym razem wychwyciłem w męskim głosie ślad obcego akcentu.

„Nie wiesz, kim jesteś”, powiedział.

Mówił to w kółko. „Nie wiesz, kim jesteś. Nie wiesz, kim jesteś. Nie wiesz, kim jesteś”. Zdanie brzmiało bez przerwy, odmierzone rytmem serca i oddechu. „Nie wiesz, kim jesteś”. Powtarzał je tym samym miękkim głosem, dopóki nie skończyły się napisy końcowe.

Nie wiesz, kim jesteś.

Głos należał do Roberta Hosterlitz.

Po niespokojnej nocy obudziłem się po siódmej, wziąłem prysznic i zszedłem na śniadanie. Restauracja zalatywała smażeniną, bufet uginał się od półmisków pełnych ociekającego tłuszczem bekonu, jajek i ziemniaków z cebulką. Zadowolilem się miseczką płatków, owocami i kawą, po czym ruszyłem z laptopem do stolika w najdalszym kącie sali.

Tuż po ósmej wybrałem numer Marca Collinsky'ego.

Był w Berlinie, ale liczyłem na to, że jeśli zadzwonię tak wcześnie, złapię go, zanim wyjdzie zająć się sprawami, w jakich tam pojechał. Udało się. Powiedział, że zaraz wsiada do pociągu, więc od razu przystąpiłem do rzeczy, przedstawiając mu w skrócie, co odkryłem minionego wieczoru – w tym głos z offu w ostatniej scenie filmu.

– Głos z offu? – powtórzył Collinsky.

– Nie wiedziałeś o tym?

– Pamiętam, że ktoś na forum wspominał o głosie z offu, ale nigdy tego nie sprawdziłem, bo ten facet, „Microscope”, wydawał się dziwny i mało życzliwy. Czyli twierdzisz, że to głos samego Hosterlitzta?

– Brzmi identycznie. Oglądałem film dokumentalny o nim, który krążył na YouTube. Mówi z amerykańskim akcentem, ale słyhać ślady niemieczyny. Przez całą finałową scenę powtarza: „Nie wiesz, kim jesteś”. Rozumiesz coś z tego? Czy to ma jakiś związek z któryś z jego filmów?

– Nie. W każdym razie nic mi nie przychodzi do głowy. Przed pierwszym wywiadem z Korin udało mi się obejrzeć tylko Maniaka z siekierą, więc nie bardzo miałem się do czego odnieść, jeżeli chodzi o tę powtarzającą się scenę... oprócz dziwnej teorii, którą wciskał mi jakiś nieznajomy na forum. Ale między pierwszym a drugim wywiadem skontaktowałem się z dziennikarką z naszego hiszpańskiego biura, której dzięki jakiemuś kolekcjonerowi udało się zdobyć DVD Piekielnej podróży.

– Wtedy zorientowałeś się, że pojawia się tam ta sama scena?

– Zgadza się. Wygląda prawie identycznie w obu filmach.

– Pytałeś o to Korin w drugim wywiadzie?

– Nie podczas wywiadu, ale potem – odrzekł, co wyjaśniało, dlaczego nie słyszałem tego pytania w plikach audio, które mi przysłał. – Odparła, że zawsze stosowała się do poleceń Hosterlitzta. Była modelką, nie aktorką, więc nie kwestionowała wskazówek reżysera.

– Uwierzyłeś jej?

– Tak, myślę, że była ze mną szczerą. Nigdy nie kryła tego, że miała niewielkie umiejętności aktorskie. Po prostu robiła wszystko, co Hosterlitz jej kazał.

– Nawet kiedy kazał jej grać taką samą scenę jedenaście razy?

– Może nigdy się nad tym nie zastanawiała albo stwierdziła, że to coś w rodzaju wizytówki. Element, po którym każdy pozna, że to jego film, jak czołówka Saula Bassa czy spojrzenie spode łba u Kubricka. – Umilkł i cicho westchnął. – Zresztą sam nie wiem. Może mnie jednak okłamała. Ale nie odniosłem takiego wrażenia. Naprawdę. Wierzę, że podporządkowała się artystycznej wizji Hosterlitz.

– No dobrze – powiedziałem. Uważałem, że mówiła prawdę, i być może rzeczywiście tak było, ale coś mi tu nie grało. Zmieniłem temat. – A co twoim zdaniem oznaczają?

– O co pytasz?

– O te sceny. Filmy, które wczoraj obejrzałem, były okropne. Niechlujny montaż, jazgotliwa muzyka, żadnego warsztatu, zero subtelności... z wyjątkiem scen, w których występuje sama Korin. Te fragmenty są zupełnie inne.

Usłyszałem w tle zapowiedź przez dworcowe megafony. Kiedy dobiegła końca, Collinsky odezwał się:

– Nie ma chyba żadnych wątpliwości, że celowo umieścił w filmach te sceny. Na pewno wiedział, że może sobie na to bezpiecznie pozwolić, bo krytycy nie recenzowali jego produkcji, a ówczesna publika nie zwracała uwagi na takie rzeczy, chcąc tylko dostać swoją porcję krwi i golizny. I bardzo prędko, niemal tuż po tym, jak film pojawił się na rynku, zapomniano o nim, a Hosterlitz przygotowywał następny okropny horror. Nie był aż tak płodny jak niektórzy europejscy twórcy horrorów w rodzaju Franca czy Fulciego, ale kręcił je na tyle szybko, że pojawiały się i znikwały w mgnieniu oka.

Zamilkł, ale czułem, że jeszcze nie skończył.

– Za chwilę muszę wsiąść do pociągu, ale jeżeli chcesz znać moje zdanie, to wydaje mi się, że te sceny są rodzajem alegorii, która prawdopodobnie ma pokazać, jak potraktowało go Hollywood. Najazd na Korin przedstawia drogę jego kariery. Krew na jej twarzy i rękach symbolizuje cios nożem w plecy, jakim były dla niego przesłuchania przed antykomunistyczną komisją Kongresu, kiedy Hollywood rzuciło go na pożarcie. To akt zgonu jego kariery, a ponieważ krew jest jaskrawoczerwona, można uznać to za pewną aluzję do tego, że przypięto mu etykietkę komunisty. Słuchałeś wywiadów, które ci przesłałem?

– Tak, kilka razy.

– Wobec tego słyszałeś, jak Korin mówiła, że Hosterlitz nazywał ją „aniołem”. Wiele osób twierdzi, że miał obsesję na jej punkcie, i być może mają rację, chociaż nie chodzi o jakieś chore, niebezpieczne opętanie. Przecież nie wyszłaby za niego, gdyby był psychopatą. Myślę, że to była raczej obsesja na punkcie jej urody, wyglądu. Wykorzystał ją jako płótno do zamalowania, bo stała się częścią jego życia, podobnie jak komisja

Kongresu. Może najważniejszą. Przecież wtedy, gdy wszyscy inni odwrócili się do niego plecami, Korin została przy nim.

Część jego wywodów wydawała mi się nieco naciągana, ale przemówiło do mnie to, co Collinsky powiedział o obsesji Hosterlitz na punkcie Korin. To samo przyszło mi na myśl poprzedniego wieczoru.

– W porządku – powiedziałem. – A telewizor?

– Ten, który wyświetla filmik nakręcony z samochodu?

– Tak. Co o nim sądzisz?

– Nie mam bladego pojęcia.

– Nie domyślasz się przypadkiem, jaką ulicę widać na ekranie?

– Przykro mi. – Collinsky zawahał się przez chwilę. Słyszałem jego kroki, pisk hamulców pociągu, gwar głosów. – Ale może ktoś ma jakąś teorię na ten temat.

– Microscope – odrzekłem.

– Właśnie. Tylko nie wiem, jakim cudem go znajdziesz.

* * *

Zadzwoiłem do Louisa Granta z American Kingdom i zadałem mu te same pytania co Collinsky'emu, ale miał podobne wątpliwości, więc wróciłem do pokoju, by spakować swoje rzeczy, po czym znowu usiadłem przed laptopem. Otworzyłem forum, które czytałem poprzedniego wieczoru, znalazłem wątek poświęcony Hosterlitzowi oraz posty wysłane przez Microscope'a i kliknąłem na jego nick. Wyświetliła się karta z profilem publicznym. Rejestrując się na forum, użytkownicy musieli wpisywać pewne dane osobiste, ale bardzo skąpe – zresztą spokojnie mogli podawać nieprawdziwe informacje. Wiek, płeć, lokalizacja – wszystko mogło być zmyślane.

Przyjrzałem się profilowi Microscope'a.

Mężczyzna. Czterdzieści pięć lat. Jako lokalizację podał Londyn W1. Nic więcej. Facet po czterdziestce z centrum Londynu. Nie sposób było stwierdzić, czy to prawda. Nie miałem pojęcia, czy pisał swoje posty z wynajętego mieszkania, z własnego domu, z pracy czy też może tylko tamtędy przechodził – równie dobrze mógł pisać z pokoju hotelowego albo z kawiarni. Mógł pisać z innego miasta albo kraju.

Na razie był to ślepy zaułek; jeszcze jedna nić, niekoniecznie prowadząca do kłębka.

Wziąłem swoje rzeczy i ruszyłem do samochodu.

Gdy wyjechałem z Bristolu, ruch na drodze stopniowo malał, a szarość miasta ustąpiła wiejskiej zieleni. Niebo było nieskazitelnie błękitne i znowu zrobiło się gorąco.

Veronica Mae, aktorka, o której Korin wspomniała w wywiadzie z Markiem Collinskim i która zrobiła polaroidowe zdjęcie Hosterlitz i Korin w Madrycie w 1983 roku, mieszkała półtora kilometra na południe od wsi Litton, tuż na skraju wzgórz Mendip. Zamierzałem odwiedzić ją w drodze do domu Korin, położonego kilka kilometrów dalej. Prawdę mówiąc, nie wiedziałem, co mogę usłyszeć od Mae – ani czy w ogóle ją zastanę – uznałem jednak, że warto się do niej wybrać.

Jechałem na południe drogą A37 przez szereg wiosek, aż do miejsca, w którym przechodziła w A39, przecinając rozległą połąć spalonych słońcem pastwisk, przedzielonych kamiennymi murkami, z całą siecią słupów telefonicznych. Kilka minut później znalazłem – między jedną a drugą wioską – domek Mae. Zaparkowałem przed nim i zadzwoniłem do drzwi.

Po porannej rozmowie z Collinskim szperałem jeszcze trochę w sieci, szukając informacji o Mae, i udało mi się odnaleźć parę jej zdjęć z początku lat osiemdziesiątych. Jej kariera w zasadzie była odzwierciedleniem drogi zawodowej Korin: występowała w niskobudżetowym chłampie – głównie w horrorach – a sławę, jeśli można to tak nazwać, przyniósł jej zwłaszcza jeden film, który narobił szumu i wśród fanów gatunku zyskał status niemal kultowego. W przypadku Korin była to trylogia o Ursuli. W przypadku Mae – horror z 1984 roku zatytułowany Pan Strach, opowiadający o strachu na wróble, który ożywa i zaczyna mordować ludzi kosą.

Drzwi się otworzyły.

Gdy tylko ją zobaczyłem, wiedziałem, że to ona. Miała pięćdziesiąt pięć lat, trochę się zaokrągliła, nosiła krótko obcięte, rozjaśnione na platynowy blond włosy – ale to była ona. Rozpoznałem pieprzyk po lewej stronie nosa, ale przede wszystkim ujrzałem te same oczy, intensywnie zielone, takie jak trzydzieści lat temu. Miała na sobie rozciągnięte spodnie od dresu, w których nie prezentowała się zbyt korzystnie, i bluzkę podkreślającą każdą fałdkę w pasie, ale gdy w jej oczach, przejrzystych niczym dwie tafle szmaragdowego szkła, błysnął skrawek słońca, łatwo było dostrzec potencjał ekranowy, jaki Hosterlitz odkrył w młodszej Mae.

Przytrzymała uchylone drzwi prawą ręką, lewą opierając na biodrze. Nie zauważyłem na palcu obrączki.

– Pani Mae?

Obrzuciła mnie podejrzliwym spojrzeniem.

– Tak.

– Nazywam się David Raker. – Podąłem jej wizytówkę, którą trzymałem już w wyciągniętej ręce. – Odnajduję zaginionych ludzi, a obecnie szukam Lyndy Korin.

Wyraz jej twarzy natychmiast się zmienił: odmalowało się na niej zaskoczenie, a zaraz potem niepokój.

– Ach, tak.

– Nie wiem, czy pani o tym wiadomo, ale Lynda zaginęła dziesięć miesięcy temu, w październiku zeszłego roku.

– Tak, słyszałam. – Oderwała ode mnie wzrok, by spojrzeć na wizytówkę. – Nie widziałam Lyn od... och, sama nie wiem, od ośmiu czy dziewięciu lat. Długo mieszkałam w pobliżu jeziora Chew Valley, więc często się spotykałyśmy. Ale potem, ze względu na pracę, przeprowadziłam się do Bristolu, a kiedy tu wróciłam, kontakt jakoś nam się urwał.

– Doskonale rozumiem – odrzekłam. – Gdyby jednak zgodziła się pani poświęcić pół godziny na rozmowę ze mną, mogłoby mi to bardzo pomóc. Obiecuję, że nie zajmę pani całego dnia.

Wydawało się, jak gdyby próbowała znaleźć wymówkę, ale po chwili uległa, cofnęła się w głąb korytarza i zaprosiła mnie do środka.

Domek był niewielki i gustownie urządzone. Korytarz biegł do nowoczesnej kuchni i dalej na oszkloną werandę z harmonijkowymi drzwiami, na której stały dwie skórzane kanapy. Mae zaprowadziła mnie na werandę – gdzie lekki wiatr od pola przynosił odrobinę chłodu – i spytała, czego się napiję. Kiedy wróciła z dwoma kubkami herbaty i usiadła na drugiej kanapie, pokrótce opowiedziałem jej trochę więcej o swojej pracy i o poszukiwaniach Lyndy Korin. Potem ona zaczęła opowiadać, jak poznała Hosterlitzę i Korin.

– Po maturze zrobiłam sobie rok przerwy przed studiami – mówiła z wytwornym akcentem, który Korin w wywiadzie z Collinskim żartobliwie nazwała „jaśniepańskim” – i wyjechałam z koleżanką w podróż po Europie. Zaczęłyśmy od południa Hiszpanii i plan był taki, żeby zrobić pętlę: Hiszpania, Francja, Belgia i Holandia, potem przez Niemcy, wtedy Niemcy Zachodnie, do Szwajcarii, a na koniec Włochy. Ale skończyło się na tym, że zostałyśmy w Madrycie.

– Bo tam poznała pani Roberta Hosterlitzę?

– Tak. Byłyśmy z koleżanką w barze niedaleko dworca Atocha, bo miałyśmy jechać do Walencji, i akurat byli tam Bob, Lyn oraz część obsady i ekipy filmowej trzeciej Ursuli. Właśnie skończyli zdjęcia.

– Jak to się stało, że zaczęliście rozmawiać?

– Lyn podeszła do baru, żeby zamówić kolejkę dla wszystkich, a tam właśnie siedziałam z koleżanką. Usłyszała, że mówimy po angielsku, zaczęła z nami rozmawiać i zanim się

spostrzegłam, postawiła nam piwo i znalazłyśmy się przy ich stoliku. Wieczór upłynął bardzo miło. Pod koniec byłyśmy już obie nieźle wstawione i nie miałyśmy nigdzie noclegu, bo przecież zamierzałyśmy wyjechać. Lyn zaproponowała, żebyśmy się przespały w domu, który ona i Bob wynajmowali w Alcobendas. Następnego dnia rano wstajemy, idziemy do salonu, a tam zdjęcie Boba, takie stare, czarno-białe, trzymającego w rękach Oscary. Wieczorem mówił nam, że jest reżyserem, ale nie rozpoznałam ani żadnego z aktorów, ani jego samego, więc nie zaprzętałam sobie tym głowy. Zaczęłam go wypytywać o to zdjęcie i powiedział, że jego film zdobył siedem Oscarów, w tym dla najlepszego reżysera. Nie mogłam w to uwierzyć. Siedem Oscarów! Nikt by nie uwierzył. A ten dom, który wynajmowali... okropna nora.

– No a jak zaczęła pani z nim pracować?

– Miał kręcić pierwszy film z... nie wiem, z dziesięciu czy jedenastu, które zgodził się zrobić dla Mano Águili. Słyszał pan kiedyś o Pedrze Silvie?

– Gdzieś mignęło mi to nazwisko.

– Był producentem. Mano Águila to nazwa jego wytwórni. W każdym razie pierwszy film, jaki nakręcił dla niego Bob, miał tytuł... Boże, to było tak dawno. Dom na cmentarzu?

– Tak jest, zgadza się.

Skinęła głową.

– Powiedział mi, że potrzebuje ofiar... rozumie pan, ludzi, których potwór miał mordować. Pomyślałyśmy z koleżanką, że zabawnie będzie pochłapać się sztuczną krwią, poza tym była to szansa wystąpienia w filmie, no i zapłacili nam dziesięć tysięcy peset, czyli około... czterdziestu, pięćdziesięciu funtów. Bob zapytał, czy mamy jakieś doświadczenie aktorskie. Powiedziałam, że grałam coś tam w szkole, więc dał mi parę kwestii, a potem wpadliśmy do takiego magazynu na północ od Madrytu, kamery poszły w ruch... i tyle. Ten nasz cały występ był naprawdę śmiechu wart. Czysta amatorszczyzna. Grałam okropnie, moja koleżanka jeszcze gorzej, ale byłyśmy młode i świetnie się bawiłyśmy, a na tym etapie kariery Bob chyba nie najlepiej panował nad jakością swoich produkcji. Kiedy skończył ten film, powiedział mi, że świetnie wypadłam przed kamerą, i spytał, czy nie zrobiłabym z nim następnego filmu. Odpowiedziałam, że się zastanowię, i wyruszyłam w dalszą podróż po Europie, a rok później wróciłam do Madrytu, żeby pracować nad... to było chyba Mordercze wiertło. Moja koleżanka musiała wracać do kraju, bo zaczynała studia, ale na mnie nie czekała żadna szkoła ani praca, więc pomyślałam sobie: Co mi szkodzi? I w rezultacie zostałam w Hiszpanii do osiemdziesiątego trzeciego roku, kiedy Bob postanowił zakończyć swoją karierę. Pedro Silva chciał, żeby zrobił dla niego więcej filmów, ale Bob nie dał się namówić. Właśnie tak wylądowali w Somerset. Mówiłam im, jak tu pięknie, jak bardzo spodoba im się ta część świata, więc kupili tu dom.

– Ten parę kilometrów stąd?

– Tak. Jest cudowny. Mieli sporo szczęścia. – Wypiła łyk herbaty. – Przez jakiś czas często się widywaliśmy, bo chodziłam do studium nauczycielskiego... zawsze chciałam być nauczycielką... i mieszkałam wtedy u rodziców. Potem dostałam dwuletni staż w Londynie, a gdy wróciłam, Bob od pół roku już nie żył.

– To musiał być szok.

– Tak – przyznała. – Był.

– Utrzymywała pani z nimi bliskie kontakty?

– Tak – powiedziała i nagle zamilkła.

– Pani Mae?

Po raz pierwszy odwróciła się ode mnie i spojrzała na ogród, śledząc motyla, który przysiadł na szybie w drzwiach werandy.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć – podjęła. – Bardzo ich oboje lubiłam, naprawdę, ale właśnie myślę o różnych... Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Byli...

– Jacy?

– Czasami wydawali się trochę dziwni.

– W jakim sensie?

Mae milczała przez moment, z wyrazem niepewności na twarzy, jak gdyby poczuła się nieswojo, mówiąc o nich takie rzeczy.

– Chyba każdy z nas ma swoje dziwactwa – rzuciła w końcu cicho i zacisnęła wargi tak mocno, że aż zbieleły.

– A oni jakie mieli?

Znowu długa chwila ciszy.

– Bob był wyjątkowym mrukiem, czasami wydawało się wręcz, że jest niemową, przynajmniej dopóki się go trochę lepiej nie poznało. Zresztą i wtedy trudno było prowadzić z nim jakieś dłuższe rozmowy. Nie umiałam go sobie wyobrazić jako wziętego hollywoodzkiego reżysera. Sprawiał wrażenie, jakby uszła z niego cała energia, cała pewność siebie. Kiedy go poznałam, zwykle siedział przy stole w kącie pokoju i słuchał, jak inni rozmawiają... po prostu ich obserwował. Zawsze był dość miły, ale nawet po naszym trzecim filmie naprawdę nie mogłabym powiedzieć, że znam go chociaż trochę lepiej niż na początku. Raczej nie. Zastanawiałam się też, czy nie zachowuje się w taki sposób... – Urwała.

– Celowo?

Spojrzała na mnie i lekko skinęła głową.

– Jak gdyby nie chciał, żeby go pani poznała?

Zwlekała z odpowiedzią, a ja pomyślałam o tym, co mówiła Wendy Fisher: „Bob był małomówny... Zawsze przypuszczałam, że jest w nim coś więcej, niż wydawało się na pierwszy rzut oka”.

– Pani Mae?

– Tak... Myślę, że właśnie tak było. Niekiedy zdarzało mi się przyłapać go, że na mnie patrzy.

– A jak na panią patrzył?

– Kiedy był sam, czasami nawet gdy byli razem, na jego twarzy pojawiał się inny wyraz. Widziałam, że patrzy na mnie, ale za tym spojrzeniem nic się nie kryło. Rozumie pan, o co mi chodzi?

– Jak gdyby myślał o czymś innym?

– Właśnie. Na ludziach, którzy nie znali go aż tak dobrze, pewnie robił wrażenie oschłego gbura. – Przerwała, a ja przypomniałem sobie, że Wendy, która właściwie nie знаła swojego szwagra, powiedziała dokładnie to samo: „Szczerze mówiąc, uważałam, że to strasznie niegrzeczne”. – Ale nie sądzę, żeby był nieuprzejmy – ciągnęła Mae. – Naprawdę. Kiedy tak milczał, często myślałam, że to znacznie bardziej skomplikowane.

– W jakim sensie skomplikowane?

– Jak gdyby coś mu ciążyło na duszy – wyjaśniła i znów na chwilę umilkła. – Coś go przygniatało i nie potrafił się od tego uwolnić.

– Nie dowiedziała się pani, co to było?

– Nie. Ale zawsze wyczuwałam, że Bob i Lyn... Nie wiem... Wydaje mi się, że w ich prywatnym życiu coś się działo.

– Sądzi pani, że byli nieszczęśliwi?

– Ależ skąd, wprost przeciwnie.

Zmarszczyłem brwi.

– Chyba nie do końca rozumiem.

Mae ponownie zacisnęła usta. Wyglądała jak osoba, która brzydzi się plotkami i nie znosi rozmawiać o postępowaniu i decyzjach innych.

– Widzi pan, Lyn z pewnością była atrakcyjną kobietą, więc na planie zwykle wszystko kręciło się wokół niej. No i... – Wzruszyła ramionami. – To nie zawsze było niemiłe widziane.

– W jakim sensie?

Znowu wzruszenie ramion.

– Chodzi mi o to, że najczęściej podobało się jej, że zwraca na siebie uwagę. Nie oceniam jej, ale lubiła się wdziaczyć. Na pewno widział pan jej zdjęcia, więc dobrze pan wie, o czym mówię: miała biust dotąd... – efektownym i przesadnym gestem wyciągnęła dłonie przed siebie na odległość wyprostowanych rąk – buzię jak porcelanowa laleczka, figurę jak klepsydra, taką, o jakiej większość dziewczyn mogłaby tylko pomarzyć, nawet gdyby ścisnęły się gorsetem... – Tym razem zamilkła na dłużej. – Ale mimo tego wszystkiego nie interesował jej nikt inny oprócz Boba. A on tylko siedział i patrzył na nią, bez słowa... nie dlatego, że nie był w stanie temu przeszkodzić, ale dlatego, że chyba po prostu to lubił. Lubił się jej przyglądać.

Nie odzywała się przez chwilę, jakby zbierając myśli, więc szybko zajrzałem do notatek, w których wypisałem cytaty z wywiadu Korin dla Collinsky'ego: „Chyba nigdy w życiu nie spotkałem piękniejszej kobiety. Jesteś dziełem sztuki”. Czytając słowa Hosterlitzza, przypomniałem sobie, jak traktował Korin w filmach, które obejrzałem: pomyślałem o jego fiksacji, o obsesyjnym uwielbieniu jej urody.

– Dlaczego, pani zdaniem, tak lubił się jej przyglądać? – spytałem.

– Myślę, że kręciły go reakcje innych. Czasem przyłapywałam go na tym, że patrzył na facetów, którzy patrzyli na nią. Nie chodzi o to, że gapił się z obleśnym uśmiechem, jak jakiś zboczeniec. Raczej patrzył z przyjemnością na to, że jej widok sprawia przyjemność innym. Ani razu nie widziałam, żeby kazał jej przestać się tak zachowywać.

– Sądzi pani, że byli sobie wierni?

– Och, tak – potwierdziła bez namysłu. – Na pewno.

Odpowiedziała z niewzruszonym przekonaniem, a ja wróciłem pamięcią do tego, co powiedziała chwilę wcześniej, kiedy zapytałem, czy jej zdaniem byli nieszczęśliwi.

„Ależ skąd, wprost przeciwnie”.

– Jeżeli chodzi o Boba i Lyn, musi pan zrozumieć, że kiedy coś robili, to dlatego, że chcieli to zrobić razem. Byli niewiarygodnie zgraną parą, dobraną do tego stopnia, że czasem mogli sprawiać wrażenie nieuprzejmych. Wydawało się, jakby paranoicznie bali się dopuszczać do siebie innych. Lyn umiała to świetnie kamuflować, nigdy nie dała mi do zrozumienia, że jestem niemiłe widziana, nie czułam się przy nich nieswojo. Była urocza. Ale nikt nie zbliżył się do nich tak jak ja. Czasem im się przyglądałam i kiedy patrzyli na siebie, miałam wrażenie, że porozumiewają się bez słów. A jeżeli za bardzo się spoufaląm, wyczuwałam... coś w rodzaju... – Urwała. – Naprawdę nie wiem, jak to ująć. Wyczuwałam, że jakby odsuwają się ode mnie.

– Co takiego powodowało, że odsuwali się od pani?

– Wszystko, cokolwiek... sama nie wiem. Upłynęło już tyle czasu. Ale były rzeczy, były rozmowy, przy których myślałam sobie: „Dziwna sprawa”.

Zrobiłem parę notatek i rozmawialiśmy o tym jeszcze przez chwilę, temat jednak wyraźnie się wyczerpał, więc szybko go zmieniłem.

– Pamięta pani coś szczególnego z zakończeń filmów, które kręciła pani wtedy z Robertem i Lyndą? Chodzi mi zwłaszcza o ostatnią scenę z Lyndą, półtoraminutowe ujęcie, które powtarza się w kilku filmach.

Spojrzała na mnie bezbarwnym wzrokiem.

– Nie bardzo. Nie widziałam tych filmów od lat osiemdziesiątych. Właściwie niektórych nawet wtedy nie chciało mi się oglądać. – Uśmiechnęła się. – Przez te lata mówiłam rodzinie, że uczę w Hiszpanii angielskiego, bo nie chciałam, żeby oglądali filmy w rodzaju Umieraj powoli i zobaczyli, jak z wrzaskiem biegam nago po ekranie.

Odwzajemniłem uśmiech, ale nie dawałem za wygraną.

– Nigdy nie miała pani wrażenia, że sceny z Lyndą są traktowane inaczej?

Zmarszczyła brwi.

– Co pan ma na myśli?

– Może Robert poświęcał im więcej czasu?

Patrzyła na mnie badawczo, jak gdyby domyślała się, że próbuję naprowadzić ją na jakiś trop, ale było jasne, że nie ma pojęcia, o czym mówię – zwłaszcza że te filmy powstały ponad trzydzieści lat temu. Postanowiłem nie ryzykować i nie nadużywać jej uprzejmości, więc porzuciłem ten temat.

– W raporcie ze śledztwa w sprawie zaginięcia Lyndy jest polaroidowe zdjęcie Roberta i Lyndy, które chyba zrobiła pani. – Wyjąłem telefon, otworzyłem galerię i pokazałem jej fotografię. – Poznaje pani?

Twarz jej pojaśniała.

– Ojej.

– Przypomina sobie pani, że robiła to zdjęcie?

– Tak, oczywiście.

– Policja znalazła je w domu Lyndy. Interesuje mnie tamten okres w ich życiu, te jedenaście lat między ich spotkaniem a śmiercią Roberta. Nie przypuszczam, żeby zachowała pani coś z tamtych czasów: jakieś zdjęcia, listy, pamiątki z Hiszpanii?

Z namysłem zmarszczyła czoło.

– Nie, chyba nie.

– Może coś pani podarowali albo zostało jakieś inne zdjęcie, które im pani zrobiła? Naprawdę wszystko może okazać się pomocne.

Widziałem już, że to beznadziejna sprawa. Szperała w pamięci, starając się z niej coś wyłuskać, ale ta część życia została już dawno przeniesiona do historii.

– Obiecuję pani, że to ostatnie pytania. Czy któreś z nich kiedykolwiek mówiło pani o jeziorze Calhoun?

– Calhoun?

Przeliterowałem tę nazwę.

Pokręciła głową.

– Nie.

– Nie pamięta pani niczego takiego?

– Na pewno nie. Gdzie to jest?

– W Stanach.

Najwyraźniej nic jej to nie mówiło.

– A tytuł Różany Krąg? Z czymś się pani kojarzy? Czy Robert albo Lynda rozmawiali kiedyś o pomysle na film pod takim tytułem?

– Nie, ale o to samo pytał mnie policjant.

Uniosłem wzrok znad notatek.

– O Różany Krąg?

– Tak. Gdy przyszedł porozmawiać o Lyndzie, parę razy spytał, czy wiem, co to jest.

– Czy to był detektyw Raymond White?

– Hm... tak przypuszczam.

– Ale nie jest pani pewna?

– Nie pamiętam, jak się przedstawił.

W głowie zapaliła mi się czerwona lampka.

– To był tylko jeden funkcjonariusz?

– Tak.

– I pytał panią o Różany Krąg?

Skinęła głową.

– Właściwie chyba tylko to go interesowało.

Poczułem, jak palce zaciskają mi się na długopisie.

– Pokazał pani dokument? – zapytałem. – Służbową legitymację z odznaką?

– Hm... chyba tak. – Jej spojrzenie jednak przeczyło słowom, zdradzało, że Mae nie potrafi sobie przypomnieć. – A może nie, nie wiem.

W raporcie White'a nie było żadnej wzmianki o wizycie u Veroniki Mae, dlatego zakładałem, że jej nie odwiedził. A to oznaczało tylko jedno.

Człowiek, który złożył jej wizytę, w ogóle nie był policjantem.

00:07:53

Przez popołudniowe miasto niesie się dźwięk syren.

Ray Callson siedzi przed kamerą, z nogą założoną na nogę i wzrokiem utkwionym w oknie. Na jego skórę padają promienie słońca. Lekko pociera kciukiem o palec wskazujący – może to tik nerwowy, a może oznaka zniecierpliwienia palacza, który ma wielką ochotę na papierosa. Głęboko nabiera powietrza, po czym odwraca oczy od okna i spogląda w przestrzeń tuż obok obiektywu.

– W każdym razie – odzywa się nieco znużonym głosem – miałem opisać tę sprawę. Co chce pan o niej wiedzieć?

– Mówił pan, że to była jedna ze spraw w ciągu trzydziestu dwóch lat pańskiej służby w policji, która utkwiała panu w pamięci.

Callson bez słowa kiwa głową.

– Mógłby pan o niej opowiedzieć?

Z początku nie wiadomo, czy w ogóle usłyszał.

– Panie Callson?

– Dostaliśmy wezwanie do Pingrove – mówi cicho.

– Tak się zaczęła ta sprawa?

– Tak.

– Co to jest Pingrove?

– Hotel, zresztą niedaleko stąd. Na rogu Wilshire Boulevard i North Camden Drive. Już nie istnieje, ale wtedy to było dość znane miejsce. Ujmijmy to tak, że warto się tam było pokazywać.

– Powiedział pan „Dostaliśmy wezwanie”... czyli pan i kto jeszcze?

– Mój partner, Luis. Luis Velazquez. Już nie żyje. Miał zawał cztery czy pięć lat temu. To był dobry człowiek.

Na moment zapada pełne szacunku milczenie.

– No więc co się stało, kiedy przyjechali panowie do hotelu Pingrove?

Callson pociąga nosem, poprawia się na krześle.

– To była dziwna sytuacja. Wszyscy zachowywali się zupełnie normalnie... oprócz dyrektora. Ludzie w recepcji spokojnie robili, co do nich należało, tak jak boy i konsjerż; wszędzie roilo się od gości. Nie mieli najmniejszego pojęcia, co się dzieje. Ale dyrektor czekał na nas przed wejściem. Jeszcze nie poinformował żadnego ze swoich pracowników, co zobaczył. Tylko on wiedział, co się stało na ósmym piętrze... no i pokojówka, która mu to zgłosiła. Pamiętam, że był błydy jak ściana i miał plamy potu na koszuli. Wyglądał jak mój syn w dzieciństwie, kiedy budził się przerażony, bo przyśnił mu się jakiś koszmar.

- Dyrektor był poruszony?
- Poruszony. Tak, można to i tak nazwać.
- Wobec tego jak opisałby pan jego stan?
- Nie, może być „poruszony”. Był w szoku.
- Z powodu tego, co zobaczył?

Callson kiwa głową.

- Co się potem stało?

Następuje wymowna pauza. Callson spogląda nieruchomo gdzieś nisko za kamerę.

– O ile dobrze sobie przypominam – mówi – dyrektor powiedział nam, co tam zastał, a Luis zaczął mówić po hiszpańsku.

- Po hiszpańsku? Dlaczego?

Callson unosi wzrok.

- Odmawiał „Ojciec nasz”.

Wciąż myślałem o tym, co powiedziała mi Veronica Mae – o kimś, kto przyszedł do niej do domu, podając się za gliniarza i wypytyjąc o Różany Krąg – gdy na siedzeniu obok mnie rozdzwonił się telefon. Melanie Crawl. Kiedy odebrałem, w słuchawce rozległ się trzask, a potem brzęczenie, przez które usłyszałem głos Crawl:

– Raker?

– Tak. Słyszysz mnie?

– Mniej więcej.

Droga, którą jechałem, przecinała gęsty bukowy las, jak kanion biegnący między stromymi ścianami skał. Udało mi się znaleźć miejsce do zaparkowania obok jakiejś bramy i przełazu. Nad przełazem umieszczono tablicę Komisji Leśnictwa z napisem „Las Sherborne”, wskazującą w kierunku ścieżki wijącej się pod sklepieniem zwartych koron drzew.

Połączenie się przerwało.

Wysiadłem z auta i poszedłem kawałek dalej drogą, licząc na to, że złapię sygnał. Kiedy wybierałem numer Crawl, w lesie cicho szumiał wiatr.

Klik.

– Raker?

– Przepraszam. Jestem w zupełnej głuszy.

– Jak poszło wczoraj u lekarza? – zapytała, od razu przechodząc do sedna.

– W porządku.

– Zbadał cię?

– Tak.

– No i?

– Powiedział, że wszystko gra.

– Nie ma zagrożenia, że w najbliższym czasie znowu urwie ci się film?

– Nie. Wybacz, że cię zawiodłem.

– Przepisał ci coś jeszcze?

– Tylko to samo co przedtem – skłamałem.

Gdy zawracałem w stronę samochodu, wiaterek ucichł, gałęzie i liście przestały się kołysać – i kiedy zapanowała cisza, zdawało mi się, że kątem oka dostrzegłem jakiś ruch w głębi lasu po lewej stronie.

Drogę od drzew oddzielał kamienny murek. Wszedłem na niego i przez chwilę rozglądałem się między nimi. Liście i gałęzie znowu się poruszyły, wąskie pasma światła słonecznego pojawiały się i znikaly, malując na poszyciu leśnym jasnobursztynowe esy-floresy.

– Raker?

– Tak? – powiedziałem, nie odrywając oczu od drzew. – Jestem.

– Dzisiaj kończę pracę o siódmej, a dzieci są u mojej mamy. Zastanawiałam się, czy nie zamówić czegoś z restauracji.

– Hm, wobec tego czekam na zaproszenie.

– Ha, ha. Muszę z tobą o czymś porozmawiać.

– Brzmi groźnie.

Nie odpowiedziała.

– Wszystko w porządku? – spytałem.

– Mówiłam, muszę z tobą pogadać.

Zerknąłem na zegarek. Dochodziło południe.

– Teraz jestem w Somerset i nie bardzo wiem, o której wrócę. Ale mogę zadzwonić, kiedy będę godzinę drogi od Londynu.

– Dobra. Tylko przedtem nie daj się zabić.

– Postaram się.

Znowu spojrzałem w głąb lasu, przebiegając wzrokiem po pniach i gałęziach, po trawie, po kupkach opadłych liści.

Nikogo nie było.

Zobaczyłem tylko siedzącego na gałęzi siedem czy osiem metrów ode mnie ptaka – gawrona – którego czarne oczy i srebrny dziób były wycelowane prosto we mnie.

Zakrakał i odleciał.

Zajęło mi trochę czasu odszukanie domu, w którym Lynda Korin mieszkała przez trzydzieści jeden lat. Stał na zachód od wioski Hinton Blewett, ukryty na końcu polnej drogi i osłonięty bujnym żywopłotem, a stara pordzewiała brama była prawie niewidoczna – zobaczyłem ją dopiero, gdy znalazłem się tuż przed nią.

Wysiadłem z mojego bmw, pociągnąłem skrzydła bramy, które uchyliły się z jękiem zawiasów, po czym wjechałem do środka przez lukę w żywopłocie. Na końcu podjazdu w kolorze piasku, porożanego płytkimi wybojami, ukazał się piękny, opleciony bluszczem dom z szarego kamienia. Wznosił się na zboczu, a jego okna wychodziły na wzgórza Mendip. Rozpościerał się stąd widok jak na pocztówce: dywan żółtych i zielonych kwadratów obramowanych kamiennymi murkami, a w odległości pięciu kilometrów tafla jeziora Chew Valley, która wyglądała jak czterysta hektarów niebieskiego atramentu.

Dom Korin nie miał alarmu, w każdym razie nie zauważyłem żadnej instalacji, co ułatwiło mi zadanie. Zostawiłem uchylone drzwi auta i starając się zachowywać najspokojniej w świecie, podszedłem do budynku. Na parterze od frontu były trzy okna: po lewej stronie jedno, za którym zobaczyłem salon, a po prawej dwa – sypialni i gabinetu.

Ruszyłem w prawo ścieżką z kamiennych płyt, między pustymi klombami, i dotarłem do bocznych drzwi prowadzących do pomieszczenia gospodarczego. Dalej, z tyłu domu, znajdował się ogród. Przez przeszklone drzwi wychodziło się na taras na słupach, skąd kamienne schodki wiodły w dół, na lekko pochyły trawnik, położony na łagodnym wzniesieniu. Trudno było wyczuć, czy Korin lubiła pracę w ogrodzie, bo wyraźnie nikt go nie tknął od dziesięciu miesięcy: trawa sięgała kolan, chwasty wpełzały na kamienne stopnie i wciskały się między płyty tarasu, kwietniki były albo puste, jak te przy bocznej ścianie domu, albo zarośnięte wybujałym zielskiem.

Nie trzeba było jednak wielkiej wyobraźni, aby się domyślić, jak tu mogło być kiedyś; jak wszystko mógł odmienić starannie wypielęgnowany ogród za pięknym domem, cisza wiejskiego ustronia i rozległy widok na dolinę. Zacząłem rozumieć, dlaczego Korin nie wyprowadziła się stąd nawet po śmierci Hosterlitz.

W końcu zatrzymałem spojrzenie na przeciwległym kącie ogrodu. W morzu trawy stała tam szopa, o której mówił mi Marc Collinsky. Rzeczywiście, zgodnie z tym, co twierdził, słowo „szopa” nie oddawało prawdziwego charakteru tego budynku. To był domek na planie sześciokąta, kryty łupkowatym dachem, z trzema oknami od frontu.

Przeszedłem przez wysoką trawę i stanąłem przed oknami. Collinsky opisał ten domek jako graciarnię. Ale po bałaganie, jaki zobaczył wtedy i jaki zapewne panował tu jeszcze w październiku, nie było teraz ani śladu.

Budynek został opróżniony.

Wyjąłem zestaw wytrychów i zabrałem się do zamka, aż dwadzieścia sekund później drzwi odskoczyły od futryny. Pomieszczenie miało średnicę około trzech metrów, ale puste wydawało się większe. Zauważyłem miejsca, w których półki były przykręcone do ścian, i rysy na podłodze, gdzie wcześniej stał stół albo warsztat. Na innej ścianie widać było zarysy młotków i kluczy: ślady po wieszaku na narzędzia. Czerwone plamy wskazywały, gdzie trzymano puszki z farbą.

Spośród sześciu drewnianych ścian domku tylko jedna w głębi po lewej stronie najwyraźniej nie miała żadnej historii. Nie było dziur po śrubach, na których mocowano półki, ani śladów po wiszących tam wcześniej przedmiotach. Została natomiast pomalowana – i to bez wątplenia niedawno – na taki sam jasnoszary kolor, jaki miały pozostałe ściany. Powierzchnia była gładka, bez żadnych przebarwień, a ponieważ domek tak długo stał zamknięty, czuło się jeszcze lekki zapach farby. W dokumentach finansowych Korin nie znalazłem nic, co świadczyłoby, że cokolwiek sprzedała, i przed jej zaginięciem nie wpływały na jej konto żadne duże sumy, które wskazywałyby, że chce się wszystkiego pozbyć. Co się stało z wyposażeniem domku? Ponownie przyjrzałem się świeżo pomalowanej ścianie. Dlaczego tylko ta została odnowiona? Może Korin zaczęła remont, ale nie zdążyła go skończyć?

A może próbowała coś ukryć?

Przy kluczach nosiłem scyzoryk. Wyciągnąłem ostrze i spróbowałem delikatnie zdrapać wierzchnią warstwę farby, by sprawdzić, co jest pod spodem. Nie spodziewałem się, że coś znajdę, więc nie byłem zawiedziony. Farba schodziła dość łatwo, ale nawet gdy ledwie nacisnąłem ostrze, od razu przebiłem się do drewna.

Fakt, że tylko jedna z drewnianych ścian została pomalowana, nie oznaczał jeszcze, że Korin starała się coś ukryć. Zdawałem sobie z tego sprawę.

A jednak coś mi tu nie grało.

Złapałem za telefon, otworzyłem skrzynkę mailową i napisałem do Collinsky'ego, pytając, co sobie przypomina z tego domku: co widział, co się tutaj znajdowało, czy pamięta, że jedną ścianę świeżo pomalowano. Ostatnia możliwość była mało prawdopodobna, mimo to zrobiłem szereg zdjęć wnętrza i wysłałem mu wszystkie, w nadziei że jedno z nich odświeży mu pamięć.

A potem wyszedłem i ruszyłem do domu.

Znowu przebrnąłem przez wysoką trawę i wszedłem na taras. Po lewej stronie znajdowały się dwa okna, tuż obok siebie, przez które zobaczyłem przeciwległe końce kuchni. Była długa, ale wąska, utrzymana w wiejskim stylu. Na ścianie wisiał zegar, który zatrzymał się na drugiej czterdzieści dwie.

Podchodząc do przeszklonych drzwi, ujrzałem drugi salon, większy i ładniej urządzone niż pokój od frontu. Przez boczne okno wpadało słońce, ukazując skórzane kanapy i trzcinowe meble, ustawione na podłodze z jasnego drewna. Okno było dokoła zabudowane zestawem regałów na wymiar, gdzie mieściły się telewizor, odtwarzacz DVD oraz niezliczone książki i płyty DVD. Na półkach stały też ozdoby, bibeloty i fotografie.

Zacząłem manipulować wytrychem przy drzwiach tarasowych, aż w końcu udało mi się otworzyć zamek. Uchyliłem je i na chwilę znieruchomiałem, na wypadek gdyby jednak w domu był zainstalowany alarm, którego nie zauważyłem, po czym wszedłem do środka. Tygodnie spiekoty sprawiły, że podobnie jak w domku, panował tu zaduch, a w nieruchomym powietrzu leżał zastygły kurz.

Wcisnąłem najbliższy włącznik na ścianie, ale nic się nie stało. Nie zaszumiała lodówka w kuchni, nie rozległo się brzęczenie telewizora ani małego dekodera pod ekranem. Wszystko wskazywało na to, że prąd został odłączony.

Wszedłem do kuchni i otworzyłem lodówkę, spodziewając się, że uderzy mnie odór zepsutego jedzenia. Okazało się jednak, że jest tam całkiem czysto. Z zamrażarką było tak samo – zupełnie pusta i rozmrożona.

Zacząłem sprawdzać szafki. Były w nich przede wszystkim sztucce, naczynia i urządzenia kuchenne, a kiedy natrafiałem na jedzenie, były to tylko produkty w puszkach lub nienapoczętych opakowaniach, starannie poukładanych albo ustawionych w dwóch czy trzech rzędach; sucha żywność została przełożona do osobnych, szczelnych pojemników. Zajrzałem do piekarnika – lśnił czystością. Wnętrze mikrofalówki pachniało środkiem dezynfekującym. Wyglądało to trochę jak dom pokazowy – wypucowany na błysk, bez żadnej skazy.

Odwiedzając kolejne pomieszczenia, stwierdziłem, że są w podobnym stanie, i do głowy przychodziły mi tylko dwie przyczyny. Pierwsza była taka, że Korin posprzątała dom przed wyjazdem na Stoke Point, wiedząc, że już tu nie wróci. Może dlatego detektyw White zostawił sprawę własnemu biegowi: uznał porządek w domu za dowód na to, że Korin

zniknęła z własnej woli – ułożyła sobie plan i zrealizowała go punkt po punkcie. Ludzie mają prawo zaginać. To nie przestępstwo.

Druga prawdopodobna przyczyna porządku w domu była bardziej niepokojąca: ktoś inny próbował zamaskować swój udział w tym, co się stało. Znowu przyszedł mi na myśl „gliniarz”, o którym mówiła mi Veronica Mae. Ruszyłem na górę.

Na piętrze zastałem dokładnie to samo. W dwóch sypialniach i w pokoju Korin, a także w oddzielnej łazience panował wzorowy ład. Umywalki, wanna, toalety i prysznic lśniły czystością. Dziesięć schodków prowadziło z korytarza na poddasze. Strych był przestronny i widny, z wysokim stropem i czterema oknami wychodzącymi na cztery strony świata. Pod ścianą stał szereg starych kartonów wypełnionych rupieciami: były w nich zalatujące stęchlizną ubrania, koce, książki, zepsuty gramofon, pęknięty zegarek. Przeglądając te rzeczy, przypominałem sobie fotografie pudeł, strychu i wszystkich pomieszczeń, które zostały dołączone do raportu detektywa White'a. Nagle coś zwróciło moją uwagę: na samym dnie ostatniego kartonu, który właśnie chciałem zamknąć, ujrzałem pomarszczony od wilgoci i zasnuty pajęczynami album.

Wewnątrz były zdjęcia Roberta Hosterlitz.

Nigdzie nie znalazłem dat, ale przerzucając kilka pierwszych stron, bez większego trudu odgadłem, gdzie zrobiono te fotografie.

Było wśród nich wyblakłe czarno-białe zdjęcie Hosterlitz, zrobione w Los Angeles przed wejściem do kina RKO Pantages, nad którym świetlny napis głosił, że odbywa się tu 26. gala wręczenia Nagród Akademii Filmowej. Hosterlitz, ubrany w smoking, uśmiechnięty i wymuskany, choć z lekką nadwagą, w obu rękach ścisnął statuetki Oscara. Domyśliłem się, że to nagrody dla najlepszego reżysera i najlepszego filmu za *Oczy nocy*, co oznaczało, że zdjęcie pochodzi z 1954 roku. Były też inne fotografie: na jednej Hosterlitz i Barbara Stanwyck uśmiechali się do obiektywu na planie *Dopiero gdy umrzesz* z 1952 roku; na innej reżyser pochylał się nad maszyną do pisania w małym gabinecie, który jak przypuszczałem, znajdował się w atelier American Kingdom w Los Angeles; na jeszcze innej siedział na murku przy Victoria Embankment, z papierosem w dłoni, i patrzył w stronę Big Bena. U dołu widniała pieczętka z napisem: „Wick Films, 1957”, co wskazywało, że to zdjęcie reklamowe zrobione przez Wick, brytyjską wytwórnię filmową, z którą podpisał kontrakt po ucieczce ze Stanów. Wyglądał nieźle: przystojny, szczuplejszy. Wówczas uważał zapewne, że otwiera nowy rozdział swojej kariery. W rzeczywistości był to początek końca.

Pięć stron dalej nastąpiło coś nieoczekiwane. Hosterlitz nagle zniknął z albumu, a zamiast niego pojawiły się setki zdjęć Lyndy Korin. Zajmowały każde wolne miejsce, wklejone niechlujnie, byle się zmieściły. Mimo to zachowano pewną chronologię, bo na pierwszych Lynda miała dwadzieścia kilka lat – czyli pochodziły z czasów, gdy poznała Hosterlitz – a kolejne ukazywały ją coraz starszą, aż do wieku około trzydziestu pięciu lat, więc prawdopodobnie do jego śmierci w 1988 roku. Zastanawiałem się, czy autorem

wszystkich był Hosterlitz – nie tylko dlatego, że obejmowały dziesięć lat jej życia, spędzonych wspólnie, ale także dlatego, że przypominały mi filmy, które obejrzałem minionej nocy. Odzwierciedlały tę samą fascynację.

Każda fotografia była idealnie skadrowana, wzorowo oświetlona, na każdej Korin miała nieskazitelną cerę, a jej oczy lśniły tak głębokim i intensywnym błękitem, że wydawały się ożywać na papierze. Ilekroć odwracałem stronę, czekało na mnie kolejne zdjęcie; czasem na jednej karcie albumu było ich tyle, że nachodziły na siebie albo zaczynały się odklejać. Kiedy byłem w połowie, pomiędzy ostatnich stron wypadły trzy zdjęcia, na których klej już dawno wysechł, i wylądowały na podłodze.

Podniosłem je.

Tyle że nie były to fotografie Korin.

Przedstawiały misternie wyrzeźbioną drewnianą figurkę anioła wysokości może dwudziestu centymetrów, ze złożonymi dłońmi i pochyloną w modlitwie głową. Przeglądając dalej album, na samym końcu znalazłem więcej takich zdjęć: dwie strony zajmował ten sam anioł, sfotografowany pod różnymi kątami i z różnych odległości. Trudno powiedzieć, gdzie zrobiono te zdjęcia, choć na wszystkich figurka stała na tym samym stoliku.

Sprawdziłem wcześniejsze strony, czy nie przeoczyłem niczego podobnego, był tam jednak tylko bezlik zdjęć Korin. Wróciłem na koniec albumu i policzyłem fotografie anioła. Było ich dwadzieścia jeden.

Nie rozumiejąc, co to może znaczyć, spojrzałem na tamte trzy, które spadły na podłogę; skupiłem się na jednym zdjęciu, które ukazywało wyraźne zbliżenie en face drewnianej figurki. Postać anioła miała długą zwiewną szatę, a jego twarz wyrzeźbiono z wielką dbałością o szczegóły: oczy były zamknięte, usta i nos dobrze widoczne. Na szyi dostrzegłem znak zrobiony czarnym flamastrem. Krucyfiks.

Ktoś go dorysował.

Zastanawiając się, czy zdjęcia anioła robił Hosterlitz, czy Korin, i czy któreś z nich dorysowało krzyż – a może to był ktoś zupełnie inny – nagle przypomniałem sobie, co mówił do niej Hosterlitz: „Jesteś aniołem. Chyba nigdy w życiu nie spotkałem piękniejszej kobiety. Jesteś dziełem sztuki”. Czy to był przypadkowy dobór słów? A może coś je łączyło z fotografiami, które miałem przed sobą?

Nie mogłem tego rozstrzygnąć, więc odłożyłem na bok jedno zdjęcie anioła, a pozostałe wsunąłem z powrotem do albumu i schowałem go do kartonu.

Kiedy zszedłem na dół, dopadło mnie niejasne wrażenie, że figurka wygląda znajomo. Zachodziłem w głowę, gdzie mogłem ją widzieć. Jeszcze raz przeszukałem dom, kończąc na obejrzanym na początku salonie, gdzie na półkach stały ozdoby i pamiątki.

Anioła jednak tam nie było.

Wróciłem do samochodu, wyciągnąłem raport White'a i znalazłem jego relację z oględzin tego domu. Była zaskakująco krótka, co tłumaczyło, dlaczego tak niewiele z niej

zapamiętałem.

W domu nic godnego uwagi. Trzy sypialnie, strych, dwa salony – duży i mały. Dom czysty.

Czytając to pierwszy raz, notatkę „Dom czysty” odebrałem jako informację, że nie znalazł w nim żadnych dowodów. Teraz jednak stwierdziłem, że prawdopodobnie miał na myśli dosłowną czystość. Dom był dokładnie wysprzątnany. Wypucowany. To znaczy, że wyglądał tak, gdy White przyjechał go obejrzeć dwa tygodnie po zaginięciu Korin. Świadomość tego niewiele zmieniała: nadal nie wiedziałem, czy sama Korin posprzątała w domu, zanim zniknęła, czy zjawił się tu ktoś inny i zdążył to zrobić przed jedenastym listopada, kiedy przybył tu detektyw White. Obie możliwości budziły mój niepokój.

Przez chwilę studiowałem raport, patrząc na zdjęcia domu zrobione przez White'a i kilka innych, które zapewne znalazł leżące w szufladach i stojące w ramkach, a potem dołączył do dokumentów. Chociaż wszystkie oglądałem już wcześniej, i to wielokrotnie, znów je przejrzałem.

Jedno z nich przedstawiało chyba już pięćdziesięcioletnią Korin na jakimś festynie – uśmiechała się do obiektywu, stojąc z grupką starszych osób, prawdopodobnie mieszkańców wioski. Na innym występowała z paniami z klubu książki, do którego chodziła, a na trzecim stała uśmiechnięta przy wychodzących na taras drzwiach swojego salonu, na tle widocznego przez szybę ogrodu i regałów po jej lewej stronie. Tę samą fotografię przysłała mi Wendy.

Oglądałem dalej. White zrobił zdjęcia wszystkich pokoi i pudeł na strychu, które sfotografował z góry. Czy to oznaczało, że zajrzał do albumu? Jakie z tego wyciągnął wnioski? Mogłem do niego zadzwonić i spytać o to, ale przypuszczałem, że się tym nie przejął, skoro w raporcie nie wspomniał słowem, że Hosterlitz bez opamiętania fotografował żonę ani że w albumie znalazło się mnóstwo dziwnych zdjęć figury anioła z...

Nie dokończyłem tej myśli.

Chwileczkę.

Wróciłem do zdjęcia Korin w salonie. Musiało zostać zrobione niedawno, bo wyglądała na sześćdziesiąt parę lat. Ale nie o to mi chodziło.

Chodziło o coś na regale za nią.

Znowu wysiadłem z auta, wróciłem do domu i ruszyłem prosto do półki pełnej płyt DVD, tuż nad telewizorem. Były to tylko filmy Hosterlitz. Jego dzieła noir. Jego western. Horror, które można było jeszcze zdobyć w wersji angielskiej. Płyty leżały teraz poziomo, jedna na drugiej – ale na tym zdjęciu wszystkie stały pionowo.

Wszystkie zostały przełożone.

Wysunąłem jedno pudełko i otworzyłem. Było puste. Gdy zajrzałem do następnego, zobaczyłem to samo. Sprawdziłem kolejne i okazało się, że płyty zniknęły z pudełek.

Wszystkie.

Ale było jeszcze coś.

Na zdjęciu, na końcu półki, po lewej stronie od ramienia Korin, stała ozdoba, służąca jako podpórka pudełek z płytami DVD.

To był drewniany anioł.

Figurka też zniknęła.

Odsunąłem się od regału.

Czy to Korin wzięła ze sobą drewnianego anioła i filmy Hosterlitz? Były na zdjęciu, które przysłała mi Wendy i które White dołączył do raportu, a najprawdopodobniej zrobiono je nie dawniej niż dwanaście miesięcy temu. Tylko po co miałyby brać anioła? Po co zabierałaby filmy?

Chyba że wcale ich nie wzięła.

Zrobił to ktoś inny.

Znowu pomyślałem o funkcjonariuszu policji wspomnianym przez Veronicę Mae, który się nie przedstawił, ale wypytywał ją o Lyndę Korin. Czyżby to on? Jakie znaczenie miały filmy i drewniany anioł?

Zastanawiając się nad tym, ruszyłem do wyjścia, a gdy wszedłem w wysoką trawę, momentalnie poczułem na plecach słoneczny żar. Popatrzyłem na dolinę i połyskujące w upale jezioro i zamknąłem oczy, słuchając odległego pomruku samolotu przelatującego gdzieś wysoko nade mną. Nic nie przychodziło mi do głowy, więc wróciłem do drzwi salonu i znów spojrzałem na regał, który znalazł się w tle fotografii Korin. Natychmiast zwróciłem uwagę na coś jeszcze.

Na zdjęcie formatu dziesięć na piętnaście centymetrów, oprawione w srebrną ramkę.

Przeszukując wcześniej pokój, wiele razy omiatałem je wzrokiem, ale dopiero teraz, gdy patrzyłem na nie od drzwi, coś na nim dostrzegłem: szereg drobnych śladów, wyglądających jak odciski palców, na odwrotnej stronie ramki, w miejscu, gdzie ktoś trzymał zdjęcie. Plamki były szare.

Spojrzałem w stronę domku w ogrodzie.

Szare – jak farba.

Zdjąłem ramkę z półki. To rzeczywiście były ślady farby. Ktoś tu wszedł i oglądał zdjęcie, mając jeszcze farbę na rękach.

Ale moją uwagę przykuło coś innego.

W ramce była fotografia Korin i Hosterlitz. Wydawali się młodszy niż na zdjęciu z polaroida zrobionym przez Veronicę Mae, zwłaszcza Hosterlitz; stali nad brzegiem jakiejś wody. Był słoneczny letni dzień, oboje mieli na sobie szorty, Korin odsunęła ciemne okulary na czubek głowy. Przyglądając się im obojgu, wróciłem myślą do tego, co mówiła Wendy Fisher: Hosterlitz przyjechał z Korin do Minneapolis tylko dwa razy: latem 1979

roku i na święta Bożego Narodzenia w roku 1984 – gdy nagle dojrzałem coś w rogu zdjęcia. Była to drewniana tabliczka.

Napis na niej brzmiał: „Plaża przy 32. Ulicy. Jezioro Calhoun”.

Przyływ adrenaliny omal nie zwałił mnie z nóg. Szybko odwróciłem ramkę, zwolniłem zaciski mocujące tylną ściankę i ją wyjąłem. Zdjęcie przytrzymał od wewnątrz kawałek brązowego kartonu, wypełniając przestrzeń szerokości około pół centymetra między tyłem ramki a szybką. Odłożyłem tekturę na bok i wyciągnąłem zdjęcie. Nie było tam nic oprócz fotografii. Aby się upewnić, przesunąłem palcem pod wewnętrznymi krawędziami, ale znalazłem tylko kurz.

Wahałem się przez moment, oglądając ramkę jeszcze raz, patrząc na tę samą szarą farbę, którą pomalowano ścianę w ogrodowym domku, a potem na zdjęcie Lyndy Korin i jej męża nad jeziorem Calhoun. Co miałem nadzieję znaleźć? List pożegnalny? Przyznanie się do winy? Jakiś obciążający dowód? Zirytowany, czując się trochę głupio, zacząłem z powrotem składać ramkę. Spojrzałem na zdjęcie, na ramkę – aż wreszcie mój wzrok padł na leżący z boku kawałek kartonu.

Odwróciłem go.

Na odwrocie zobaczyłem przyklejony taśmą klucz.

Oderwałem go od kartonika.

To był kluczyk do skrzynki z licznikami.

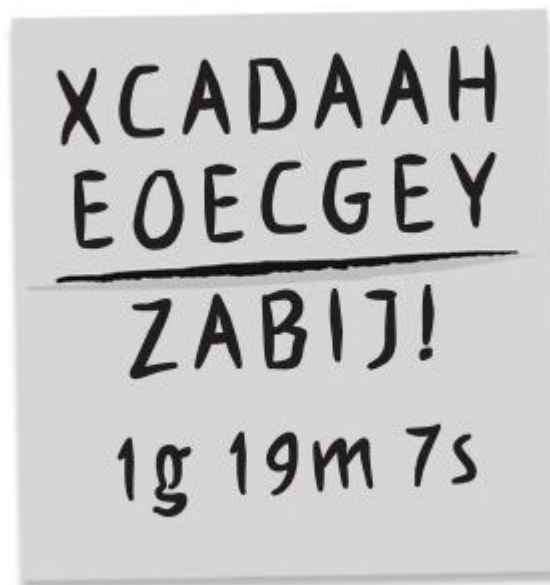
Wypadłem do ogrodu i pobiegłem przez trawnik do bocznej ściany domu – przy wejściu do pomieszczenia gospodarczego znalazłem białą skrzynkę: była zamontowana przy ziemi i zamknięta nachyloną ukośnie pokrywą. Przykląknęłam, wsunąłem kluczyk do zamka, przekręciłem i uniosłem pokrywę. Wewnątrz zobaczyłem licznik gazu w obudowie ze wzmocnionego plastiku. Wszystko przykrywała zwiewna szara zasłona pajęczyn, ale gdy ją odgarnąłem, zobaczyłem, że coś się pod nią kryje. W pustą przestrzeń między obudową gazomierza a krawędzią skrzynki był wciśnięty przedmiot wielkości cegły, opakowany w czarną folię.

Wyjąłem go, wróciłem do domu, położyłem przedmiot na stole w salonie i scyzorykiem rozciąłem paski brązowej taśmy. Pakunek był tak szczelnie owinięty, że potrzebowałem dłuższej chwili, by zdjąć warstwy folii. Gdy wreszcie się z nią uporałem, zobaczyłem, co to jest.

Kasetka z tekowego drewna.

Wewnątrz był pendrive, wizytówka, owinięta żółtą samoprzylepną karteczką, oraz następny kluczyk, tym razem mosiężny.

Wyjmując wszystko po kolei, najwięcej uwagi poświęciłem kluczowi. Był do zamka yale i z obu stron miał wyrytą cyfrę 6. Chociaż wyglądał najzwyczajniej w świecie, nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że już go gdzieś widziałem. Nie przypominając sobie gdzie, skupiłem uwagę na żółtej karteczce i wizytówce. Rozłożyłem kartkę i zobaczyłem na niej cztery linijki napisane czarnym flamastrem:



Skoncentrowałem się na drugiej połowie notatki: „Zabij! 1g 19m 7s”.

Czyżby chodziło o film Zabij!, który Hosterlitz nakręcił w 1981 roku? Ten wniosek wydawał się logiczny, zwłaszcza że liczby pod spodem prawdopodobnie oznaczały czas – nie miałem jednak pojęcia, co mogą oznaczać sekwencje liter na górze. Inny problem polegał na tym, że nawet jeśli miałem rację co do tytułu, to sześć z jedenastu filmów nakręconych przez Hosterlitz między 1979 a 1984 rokiem przypadło w odmętach czasu. Jednym z nich był film Zabij!

Zastanawiając się nad tym, znowu pomyślałem o użytkowniku forum, który podpisywał się nickiem Microscope. Twierdził, że widział wszystkie jedenaście filmów, więc prócz samej Korin – gdyby tu teraz ze mną siedziała – tylko on mógłby to ewentualnie zinterpretować. Ale jak, u diabła, miałem go znaleźć?

Czując narastającą frustrację, zrobiłem telefonem zdjęcia wszystkich rzeczy z kasetki, na wypadek gdybym je zgubił, po czym zająłem się wizytówką.

Widniało na niej imię i nazwisko Tony Everett. Według informacji pod spodem, był to dyrektor generalny firmy Roman Film, która miała siedzibę w przemysłowej strefie Bath. Na odwrocie wizytówki Everett napisał: „Świetnie było się z tobą wczoraj zobaczyć! Będę w piątek, T.E.”. Ani on, ani firma, ani wiadomość zupełnie nic mi nie mówiły, więc przyniosłem z samochodu laptop, aby sprawdzić, co zawiera pamięć USB. Postawiłem go na stole w salonie i podłączyłem pendrive.

Zapisano tam cztery pliki wideo.

Nosiły nazwy „20sierpnia.avi”, „2września.avi”, „15września.avi” i wreszcie „28października.avi”. Na widok ostatniego przyspieszyło mi tętno: dwudziestego ósmego października po raz ostatni widziano Korin żywą.

Otworzyłem ten ostatni plik.

Zaczął się odtwarzać automatycznie i już po sekundzie wiedziałem, co to jest: zapis z kamery monitoringu na Stoke Point.

Nagranie z dnia, w którym Lynda Korin zaginęła.

Próbowałem pomyśleć logicznie. Skąd wziął się ten film na pamięci USB? Do kogo należał pendrive? Do Korin? Do kogoś innego? Dlaczego został opakowany i schowany w skrzynce z licznikiem gazu?

Z początku nie mogłem się zorientować, co przedstawia nagranie, ale gdy spojrzałem na datownik w rogu ekranu, zrozumiałem dlaczego: zapis rozpoczął się w środku nocy, minutę po dwunastej dwudziestego ósmego października. Było prawie całkiem ciemno. Udało mi się tylko dojrzeć lampę na niskim słupie w połowie długości mostu, która rzucała szarą plamę światła. Było go niewiele, ale dość, żeby zauważyć samochody i ludzi – każdego, kto zmierzałby na półwysep albo stamtąd wracał.

Przewijając nagranie, nie dostrzegłem jednak nic oprócz przelatującego od czasu do czasu ptaka czy myszy przemykającej przez most. Około wpół do siódmej światła powoli zaczęło przybywać, a o siódmej słońce wyraźnie już wzeszło, chociaż go nie widziałem. Rozświetliło liście drzew po obu stronach mostu, rzucając cienie na asfalt. Wciąż jednak nie było nikogo i dopiero tuż przed dziewiątą pojawił się w kadrze czarny ford focus, którego kierowca ledwie mi mignął. Samochód przejechał przez most i zniknął z pola widzenia obiektywu, gdy skręcił na parking.

Korin.

Cofnąłem obraz, aby ponownie prześledzić ten moment, tym razem klatka po klatce. Dwie sekundy później udało mi się zatrzymać obraz na wyraźnym ujęciu, które nie pozostawiało wątpliwości, kto prowadzi samochód: obie dłonie na kierownicy, twarz zwrócona prosto w stronę kamery, przyprószone siwizną blond włosy związane w kucyk. Natychmiast rozpoznałem tę klatkę: dokładnie ten sam kadr dołączono do policyjnego raportu. Jeśli nie dowierzałem, że to ona wjechała na Stoke Point, teraz zyskałem pewność. To rzeczywiście była Lynda Korin.

Znowu odrobinę cofnąłem zapis, by zobaczyć ją ponownie, a potem przez jakiś czas oglądałem film w normalnym tempie, chcąc sprawdzić, jak dalej przebiegał ten dzień. Był jednak tak nieciekawym i statycznym, że szybko przełączyłem na czterokrotne, a nawet ośmiokrotne przyspieszenie, choć nawet to wydawało się zbyt nużące. Przez następne dwie godziny nikt więcej nie pojawił się na półwyspie, dopóki na Stoke Point nie wjechali jasnyniebieskim golfem jacyś starsi państwo. Pół godziny później pojawił się następny samochód – renault minivan – którym podróżowała matka z dwójką dzieci, a po następnych pięćdziesięciu minutach nadjechały dwie starsze panie w czerwonym vauxhallu insignii. Tuż po wpół do pierwszej półwysep opuściło renault, pół godziny później volkswagen golf, a vauxhall insignia wyjechał przed drugą. Nic się nie działo do trzeciej, gdy na moście zjawił się butelkowozielony rover z następną parą starszych ludzi.

Kwadrans później na półwysep wjechał mężczyzna na motocyklu. Przed czwartą obydwie pojazdy odjechały.

Korin już się nie pojawiła.

Obejrzałem zapis z reszty dnia, aż do piątej po południu, gdy zaszło słońce. Po zmroku, kiedy zapaliło się światło przy bramie, wiedziałem, że to najdogodniejszy moment, by uciec pieszo pod osłoną ciemności. Ale sterowana timerem brama zamknęła się automatycznie, a Korin nie wyszła. Nie było ani śladu po niej. Dotarłem do końca zapisu, który urywał się dokładnie o północy, po czym wróciłem do zachodu słońca i obejrzałem ten fragment jeszcze raz.

Byłem pewien, że nie ma stamtąd innego wyjścia niż przez most, bo widziałem to na własne oczy – gdzie więc podziała się Korin?

Kiedy skończyło się nagranie z monitoringu, zamknąłem plik i wziąłem telefon, aby sprawdzić w internecie godziny pływów z dwudziestego ósmego października. W głębi duszy od początku wiedziałem jednak, że nie mogła uciec łodzią. Odpływ był o dziesiątej rano, przyływ o czwartej po południu. Podpłynięcie łodzi do brzegu niosło ze sobą ryzyko, że zostanie zauważona; dobrnięcie do niej przez wodę niosło ze sobą ryzyko ugrzęźnięcia w mule.

Znowu zerknąłem na klucz yale, który nie dawał mi spokoju, jak cała ta sprawa. Odtwarzając w pamięci obraz Korin zarejestrowany przez kamerę, zastanawiałem się, czy nie przespała się w samochodzie i nie wyjechała z parkingu następnego dnia albo wczesnym rankiem – przecież na pendrivie nie było zapisu z dwudziestego dziewiątego października. Przypomniałem sobie jednak, że w policyjnym raporcie znalazła się informacja, że sprawdzono także wideo z tamtego dnia. Policja niczego takiego nie znalazła.

Może więc ktoś ją przemycił przez bramę?

Wiedziałem, że nie położyła się na tylnym siedzeniu żadnego pojazdu, bo kamera była tak ustawiona, że pokazywała tył wszystkich samochodów, które wjeżdżały tam i wyjeżdżały dwudziestego ósmego października. A bagażniki? Nie mogłem zajrzeć do żadnego z nich, więc nie miałem pewności.

Wróciłem do wideo i zanotowałem numery rejestracyjne wszystkich pojazdów, które tego dnia wjechały na Stoke Point – z myślą, że w razie potrzeby mogę poprosić Ewana Taskera o dane ich właścicieli – po czym otworzyłem następny plik z pamięci USB. Ten pochodził z dwudziestego sierpnia.

Czyli dwa miesiące przed zaginięciem Korin.

Zapis zaczynał się o tej samej godzinie, minutę po północy, i odtworzyłem go z taką samą prędkością co poprzedni – niezbyt szybko, żeby nie przeoczyć czegoś podejrzanego, ale na tyle szybko, by nie tracić czasu na chwile, gdy nic się nie działo. Ponieważ było lato, świt wstał wcześniej i o wpół do siódmej zrobiło się już całkiem widno. Tuż przed dziewiątą pojawili się pierwsi ludzie – czteroosobowa rodzina w volvo – a w miarę upływu

dnia przybywali następni. Była słoneczna pogoda, wakacje, więc panował tu znacznie większy ruch niż w październiku. Do południa naliczyłem piętnaście samochodów; między południem a trzecią przyjechało ich jeszcze czternaście.

Ale tuż po trzeciej zdarzyło się coś dziwnego.

Zjawił się ten sam butelkowiec w rover, który widziałem na nagraniu z dwudziestego ósmego października. W aucie siedziała ta sama para starszych ludzi. Przejechali przez most i zniknęli za zakolem drzew. Przewinąłem wideo i obejrzałem ten fragment jeszcze raz.

Ta sama para przyjechała na półwysep – co z tego?

W swoim raporcie White wspomniał, że rozmawiał ze wszystkimi kierowcami, którzy wjeżdżali na Stoke Point dwudziestego ósmego października, i wszyscy często odwiedzali półwysep. Nie ma nic złego w tym, że ktoś wraca do miejsca, które mu się podoba.

Godzinę później, tuż przed czwartą, znowu zobaczyłem starszych państwa w zielonym roverze, jak przejechali przez most i opuścili pole widzenia kamery. Tym razem wcisnąłem pauzę, zanim zniknęli. Mimo kiepskiej jakości obrazu, wyraźnie ich zobaczyłem. Wyglądali na ponad osiemdziesiąt lat, mężczyzna lekko pochylał się nad kierownicą, kobieta coś do niego mówiła. Żadne z nich nie wydało mi się znajome.

Odtworzyłem resztę nagrania. Patrzałem, jak kolejne rodziny przejeżdżają przez bramę, aż się upewniłem, że wszystkie pojazdy opuściły już półwysep. Wkrótce potem brama się zamknęła i zaczęło zachodzić słońce.

Po obejrzeniu wideo z dwudziestego sierpnia otworzyłem nagranie z drugiego września. Podobnie jak tamte, zaczynało się minutę po północy i chociaż bacznie obserwowałem ciemne miejsca, próbując zobaczyć, czy nikt się tam nie ukrywa, aby się dostać na parking albo go opuścić, do jedenastej nie zdarzyło się nic godnego uwagi.

Wtedy właśnie przyjechał jasnoniebieski golf.

Rozpoznałem go natychmiast: to był ten sam volkswagen, który wjechał na parking dwudziestego ósmego października. Kiedy zatrzymałem obraz, zobaczyłem, że w samochodzie też siedzą dwie osoby, jak w dniu zaginięcia Korin. To również byli starsi państwo, ale inni niż w roverze. Z tamtą parą łączyło ich oczywiście to, że jedni i drudzy znaleźli się na zapisanych na tym pendrivie nagraniach monitoringu z dwóch różnych dni – jedni i drudzy odwiedzili półwysep także w dniu, w którym zaginęła Lynda Korin.

W dalszej części wideo zjawiały się następne samochody, ale te przestały mnie już interesować. Interesowała mnie wyłącznie para w golfie. Wpatrywałem się w ekran, chwilami zerkając tylko do notesu, w którym zapisałem numery rejestracyjne, aby je sobie przypomnieć – ale gdy trzeci czy czwarty raz zajrzałem do notatek, coś rzuciło mi się w oczy. Godzina wjazdu i wyjazdu golfa z dwudziestego ósmego października: 11.20 i 13.02.

Gdy ponownie spojrzałem na ekran, datownik pokazywał właśnie dwie minuty po trzynastej i w tym momencie z parkingu nadjechał golf.

Zamarłem.

To był ten sam zapis wideo.

Dwudziestego sierpnia oraz drugiego września i rover, i golf wjechały i wyjechały ze Stoke Point dokładnie o tej samej godzinie co dwudziestego ósmego października – bo nagrania z tych dni zostały wmontowane w wideo z dwudziestego ósmego października.

Film z dwudziestego ósmego października nie był oryginałem.

Został złożony z różnych fragmentów.

To wszystko było kłamstwem.

Spojrzałem na klucz yale, na wizytówkę i żółtą karteczkę, a potem znowu na ekran laptopa. Kiedy zacząłem to składać w całość, aż zrobiło mi się niedobrze. Wszystko od początku do końca było kłamstwem – skonstruowanym przez Lyndę Korin. Odtwarzając ostatni plik – tylko po to, by się upewnić – zobaczyłem dokładnie to, czego się spodziewałem: wśród innych samochodów, które piętnastego września odwiedziły Stoke Point, zauważyłem czerwonego vauxhalla insygnię z dwiema kobietami w środku, matkę z dziećmi w renault minivanie i motocyklistę. Chwile, w których każdy z tych trzech pojazdów wjeżdżał i wyjeżdżał z parkingu, skopiowano z zapisu monitoringu z tamtego dnia i wklejono do wideo z dwudziestego ósmego października, podobnie jak zrobiono z jasnoniebieskim golfem i butelkowitzem z poprzednich dwóch nagrań. W rzeczywistości jednak żadnego z tych samochodów nie było na półwyspie dwudziestego ósmego – ich przyjazd upozorowano.

Przypomniałem sobie, że według raportu White'a wszyscy, z którymi rozmawiał policjant – osoby z golfa, rovera, vauxhalla i renault oraz motocyklista – pamiętali tylko tyle, że byli na Stoke Point mniej więcej w czasie, gdy zaginęła Korin. Sprawa trafiła na biurko White'a dopiero dwa tygodnie później, co zapewne nie pozostało bez wpływu na ich pamięć, ale poza tym wszyscy ci ludzie dość regularnie odwiedzali półwysep.

Dlatego właśnie nikt nie był stuprocentowo pewien, czy dwudziestego ósmego był tam, czy nie. Nawet jeśli z dużą dozą pewności twierdzili, że nie było ich wtedy na Stoke Point, a detektyw mówił im, że tego dnia zarejestrowała ich kamera monitoringu, dochodzili do wniosku, że źle zapamiętali. Przyjeżdżali tam ciągle – musieli więc pomylić dni. Spośród wszystkich przesłuchiwanym tylko jeden człowiek nieugięcie utrzymywał, że go tam wtedy nie było. W notesie zapisałem: „Mężczyzna, lat 80+, mówi, że nie było go tam 28.10, chociaż jest na nagraniu. Pomyłka? Słaba pamięć?”. Okazało się jednak, że ani jedno, ani drugie. Mężczyzna był kierowcą zielonego rovera. Oświadczył White'owi, że tamtego dnia nie było go na Stoke Point, ale policjant przypisał to tym samym przyczynom co ja. Błędowi. Pomyłce. Słabej pamięci starszego pana.

Obaj go nie doceniliśmy.

W wideo wmontowano akurat tych pięć pojazdów, ponieważ to właśnie je Lynda Korin widziała najczęściej na półwyspie w ciągu paru miesięcy przed swoim zaginięciem. Facet, którego spotkałem na Stoke Point, Len Fordyce, mówił mi, że trochę poznał Korin, że rozmawiali i że kilka razy przyjeżdżała na parking, zanim dwudziestego ósmego

października zniknęła. Przeprowadzała rekonesans. Obserwowała wjeżdżające i wyjeżdżające samochody, zwracając uwagę, kto pojawia się regularnie. Ostatecznie wybrała pięć pojazdów, które pojawiły się na filmie, a Fordyce cały czas był przekonany, że Korin z nim rozmawia, bo lubi z kimś pogadać. Może i lubiła. Ale chodziło o coś więcej. Rozmawiała z nim, poznała go bliżej, wykorzystując jego samotność – po to, żeby uspić jego czujność. I gdy jeszcze raz spojrziałem na mosiężny kluczyk z wyrytą cyfrą 6, zrozumiałem już, dlaczego wydaje mi się znajomy, choć nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie go widziałem. Klucz należał do Fordyce'a. Był do budki na Stoke Point.

Widziałem u niego pęk identycznych kluczy, kiedy rozmawialiśmy, wszystkie z wyrytymi numerami; każdy prawdopodobnie pasował do zamków w drzwiach podobnych budek, które Fordyce kontrolował. Sądził zapewne, że gdzieś zgubił klucz z szóstką, i miał rację. Tyle że klucz nie wpadł mu za kanapę. Z kółka zdjęła go Korin, uzyskując w ten sposób dostęp do budki – i do systemu monitoringu.

Do przechowywanego w środku cyfrowego rejestratora. I płyt pełnych nagrań.

Sięgnąłem po wizytówkę. U dołu, pod imieniem i nazwiskiem Tony'ego Everetta, jego funkcją i nazwą firmy, Roman Film, znajdował się adres internetowy. Wpisałem go do przeglądarki w telefonie i niebawem zobaczyłem odpowiedź, jakiej się spodziewałem: firma była producentem nagrań wideo. Produkowała najwyższej jakości materiały dla znanych międzynarodowych przedsiębiorstw. Wycięcie fragmentów z czterech zapisów monitoringu, wmontowanie ich do innego wideo tak, by zatrzeć granice między jednym a drugim materiałem, byłoby dla nich bułką z masłem. Gdyby policja poświęciła Korin należytą uwagę, gdyby do sprawy jej zaginięcia wyznaczono więcej niż jednego funkcjonariusza, może ktoś gdzieś zauważyłby, że wideo z dwudziestego ósmego października to kolaż. Ale tak się nie stało.

Ponownie przeczytałem wiadomość na żółtej karteczce.

„Świetnie było się z tobą wczoraj zobaczyć! Będę w piątek, T.E.”.

To była wiadomość do Korin. Everett, tak jak Fordyce, przypuszczał, że ją zna – ale w ogóle jej nie znał. Wątpiłem, czy zdawał sobie sprawę, w co się angażuje, może do dziś tego nie wiedział, ale domyślałem się, jak Korin zrealizowała swój plan. W budce na Stoke Point były nagrania z sześciu miesięcy. Kiedy zdobyła klucz, dostała się do środka, zabrała potrzebne płyty DVD, przekazała je Everettowi, a on zmontował wideo z dwudziestego ósmego października. Wmówiła mu pewnie, że to materiał do reklamy, filmu korporacyjnego, prezentacji; powiedziała, że obraz pochodzi z jakiegoś innego miejsca, z innej części kraju. Może nawet nie podała mu swojego prawdziwego nazwiska, więc gdy zaginęła, w ogóle nie zwrócił na to uwagi. Kiedy Korin zniknęła, ledwie o tym wspomniano, nawet w lokalnych mediach, więc nie mógł niczego skojarzyć. Kliknąłem w zakładkę O NAS na stronie firmy i znalazłem tam zdjęcia pracowników, z fotografią Everetta u góry: facet po sześćdziesiątce, uśmiechnięty, ale wyraźnie skrępowany;

zwyczajny, przeciętny, bezbarwny. Korin, w tym samym wieku co on, nie była bynajmniej przeciętna. Była piękna, pewna siebie.

Zdolna do manipulacji.

Przypomniałem sobie, co mówiła Wendy – „Lyn zawsze miała w sobie coś z aktorki” – a reszty się domyśliłem. Kiedy Everett spełnił jej prośbę, zaniósł płyty z powrotem do budki na półwyspie, razem z przemontowanym zapisem z dwudziestego ósmego października. Musiała to zrobić już po swoim zniknięciu, podczas nieobecności Fordyce’a, kiedy parking był pusty i nikt nie mógł jej zobaczyć. Na przemontowanym nagraniu nie było widać, jak pieszo opuszcza Stoke Point, bo na pewno zrobiła to w dniu, gdy porzuciła tam samochód. Kamera ją zarejestrowała – tyle że nikt tego nie miał zobaczyć. Oryginalna płyta DVD z zapisem monitoringu z dwudziestego ósmego października przepadła na zawsze.

Jej ucieczka została zupełnie wymazana z historii.

Rozejrzałem się po starannie wysprzątanym domu. Jeżeli zaplanowała własne zniknięcie, to tłumaczyło, dlaczego panuje tu idealny porządek, dlaczego nawet lodówka jest opróżniona i wymyta. Pewnie Korin specjalnie położyła kluczyki pod drzewem na Stoke Point – ale w jakim celu? Żeby zwrócić uwagę na wiadomość o jeziorze Calhoun? Żeby ułatwić skojarzenie z fotografią, z kluczem do skrzynki gazomierza? Po co? Wiadomość wyryta w korze olchy była taka mała, że mógł jej nikt nie zauważyć. White całkiem ją przeoczył; ja prawie też. Gdyby nie rysunek projektora filmowego, z pewnością nie zwróciłbym na nią uwagi.

Skoro więc sama stworzyła łańcuszek śladów, dlaczego tak je zamaskowała? Dlaczego starała się je tak dobrze ukryć? Po co to w ogóle robiła? Nie rozumiałem, dlaczego tak skrupulatnie zaplanowała własne zniknięcie, a potem przyprowadziła kogoś takiego jak ja pod swoje drzwi, pokazała szkatułkę pełną swoich kłamstw, mężczyzn, którym namieszała w głowie i ich wykorzystała. Po co poprosiła Everetta o cyfrowe kopie płyt DVD i zostawiła pliki na pendrivie, żebym je znalazł?

To wszystko wydawało się kompletnie bez sensu.

Chciałem to jakoś logicznie uporządkować, ale w tym momencie mój telefon wydał pojedynczy sygnał. Przyszedł mail od Collinsky’ego. Odpowiedział na moją wiadomość, do której dołączyłem zdjęcia domku w ogrodzie – wysprzątanego, odmalowanego i wyremontowanego.

Temat: Re: Domek w ogrodzie

Data: sobota, 29 sierpnia 2015 – 16.13

Od: marccA cinemagazineuk.com

Do: rakerA davidraker.com

Jest zupełnie inny. Ciekawe, dlaczego wszystko wyniosła, nawet narzędzia itd.? Ściana w głębi wyglądała inaczej, kiedy ją widziałem, w każdym razie o ile pamiętam. To chyba oryginalne drewno, które pomalowała (zgadza się?) – jestem na 90% pewien, że wtedy drewnianej ściany nie było na wierzchu, zasłaniała ją płyta gipsowa. Do gipsu chyba były przymocowane półki, a na nich leżało pełno rupieci.

M.

Zostawiłem laptop na stole i ruszyłem przez ogród do szopy. Gdy znalazłem się w środku, znowu podszedłem do odmalowanej ściany. W rogach na górze i na dole znalazłem niewielkie zagłębienia w miejscach, gdzie dziury po śrubach wypełniono szpachlówką i zamalowano. Niezła robota. Nawet w dobrym świetle trudno by dostrzec, gdzie wcześniej była przymocowana płyta gipsowa.

Powód odmalowania drewnianej ściany wydawał się jasny: podczas sprzątania domku Korin oderwała płytę gipsową i zobaczyła, że ściana pod spodem jest odbarwiona bardziej od innych. Ją przede wszystkim należało odnowić.

Mimo to, myśląc o wszystkich rzeczach, które odkryłem – o oszustwie, o pracowicie zmontowanych kłamstwach – miałem wątpliwości, czy to była prawdziwa przyczyna.

Tak jak przypuszczałem, Tony Everett – dyrektor Roman Film – w ogóle nie znał Lyndy Korin pod tym nazwiskiem. Dla niego to była Ursula Keegan z londyńskiej agencji reklamowej, szefowa marketingu, która zamierzała wykorzystać to nagranie w jakimś materiale przygotowywanym dla Ministerstwa Transportu.

Przykro było słuchać Everetta, gdy o niej mówił, zwłaszcza dlatego, że w jego odczuciu – choć nie używał zbyt wielu słów – łączyło ich chyba coś więcej niż zwykła relacja zleceniodawcy i zleceniobiorcy. Nie powiedziałem mu, kim ona naprawdę jest, ponieważ dzięki temu mogłem uniknąć nadmiaru pytań, a rozdrapywanie tej rany wydawało mi się okrutne. Podobno po wykonaniu swojej pracy zaprosił ją na drinka, a ona obiecała mu, że gdy następnym razem będzie w Bath, chętnie skorzysta z tej propozycji. Ale tak jak reszta świata, od dziesięciu miesięcy nie miał żadnych wiadomości od Lyndy Korin.

Prawdę mówiąc, to wszystko nie zrobiło na mnie większego wrażenia: nie spodziewałem się, że sprawa pójdzie w taką stronę, nie spodziewałem się, że Lynda Korin okaże się taką osobą, choć i jej siostra, i dawna przyjaciółka mówiły mi, że trudno było ją rozgryźć, że stanowili z Hosterlitzem zagadkową parę, mieli swoje sekrety, zachowywali się dziwnie. Wtedy, gdy to słyszałem, nie zapaliła mi się w głowie lampka alarmowa, bo jest to charakterystyczne dla wielu zaginionych osób. Wszystkie mają swoje dziwactwa, wszystkie mają tajemnice. Tu jednak chodziło o coś więcej. O oszustwo.

Kiedy skończyłem rozmowę z Everettem, byłem już w połowie drogi do Londynu, na autostradzie, która teraz odetchnęła trochę od tłoku spowodowanego długim weekendem. Na siedzeniu obok siebie miałem szkatułkę, którą wziąłem z domu Lyndy Korin, fotografię drewnianego anioła, wyjętą z albumu, oraz płyty DVD z czterema horrorami Korin.

Pokonywałem kolejne kilometry, myśląc o tych filmach, o ich bliźniaczo podobnych scenach finałowych, o dziwnych, powtarzanych szeptem przez Hosterlitzę słowach: „Nie wiesz, kim jesteś”, ukrytych w ścieżce dźwiękowej. Myślałem o żółtej karteczce z kodem czasowym filmu Zabij! i dwoma ciągami liter powyżej. XCADA AH. EOECGEY. Czy te litery miały związek z filmem? A jeśli tak, to w jaki sposób się tego dowiem, nie posiadając konkretnych informacji o tożsamości człowieka przedstawiającego się jako Microscope? Nie miałem pojęcia, kto jeszcze mógłby to wiedzieć, zwłaszcza że sześć spośród jedenastu filmów, nakręconych przez Hosterlitzę w Hiszpanii po 1979 roku, na zawsze zniknęło.

Postanowiłem jeszcze raz zadzwonić do właściciela sklepiku Rough Print.

Przypomniałem mu, kim jestem, i nie tracąc czasu, przeszedłem do sedna.

– Nie wie pan, gdzie mógłbym znaleźć kopie któregoś z tak zwanych „zaginionych” filmów Hosterlitz?

– Hm – odrzekł tylko.

– Nie brzmi to optymistycznie.

Zachichotał.

– Te filmy... panuje dość zgodne przekonanie, że nie da się ich odzyskać. Oryginalne negatywy, czyli po prostu to, co nakręcił Hosterlitz, przepadły po zamknięciu wytwórni w 1986 roku. To jeszcze nie oznaczałoby końca sprawy, gdyby gdzieś zostały, powiedzmy, kopie dystrybucyjne... są gorszej jakości, ale z kopii zawsze można zrobić dupnegatyw... tyle że nie zostały. Te filmy miało się robić szybko i tanim kosztem, a jeden ze skutków takiej strategii był, niestety, taki, że kina, w których je wtedy wyświetlano, nie traktowały ich z przesadnym szacunkiem. Czyli nie zawsze zwracały kopie w przyzwoitym stanie i w terminie, o ile w ogóle zwracały, jak w tym przypadku. To się zdarza częściej, niż można przypuszczać. Jest taki film Symptomy...

Przestałem go jednak słuchać, zastanawiając się nad następnym posunięciem. W książce *Dias de los Muertos* był zapis panelu z udziałem Korin na zjeździe Screenmageddon. Ktoś z jakiejś strony filmowej w San Diego zadał jej pytanie. Może uda mi się skontaktować z tym człowiekiem.

– ...i mnóstwo innych przykładów. Na stronie Brytyjskiego Instytutu Filmowego jest lista siedemdziesięciu pięciu zaginionych filmów, które instytut chce odnaleźć, odnowić i udostępnić. Całkiem sporo z nich podzieliło los horrorów Hosterlitz.

– To naprawdę ciekawe – powiedziałem, siłąc się na szczyry ton. – No więc jakie, pana zdaniem, są szanse, że ktoś mógłby mieć kopie wszystkich jedenastu filmów?

Właściciel sklepu mocno dmuchnął do telefonu, aż zatrzęszczało.

– Wydaje mi się, że to możliwe. Przecież te sześć „zaginionych” filmów kiedyś istniało i nikt nie wie, co z nimi się stało. Stuprocentowej pewności nie ma. Jeżeli negatywy nie wylądowały w koszu, kiedy zamknęli Mano Águila, być może trafiły do kogoś, do jakiegoś kolekcjonera, ale nie wiem nawet, jak zacząć szukać takiej osoby. Poza tym, jeśli ktoś rzeczywiście ma te filmy, dlaczego przetrzymywał je przez trzydzieści lat? Czemu nie podzielił się nimi ze światem?

Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę, aż wreszcie podziękowałem mu i rozłączyłem się, czując ogarniającą mnie frustrację. Nagle jednak zauważyłem coś w lusterku wstecznym.

Czarnego mercedesa, jakies pięć samochodów za mną.

Wjechał na autostradę przy Bath, ale to było półtorej godziny i sto czterdzieści kilometrów temu. W tym momencie omijałem północny skraj Windsoru, do domu została mi godzina drogi, a on wciąż był za mną.

Towarzyszył mi przez cały czas.

Przejechałem jeszcze parę kilometrów, mając na oku czarny samochód. Blask słońca i błękit nieba odbijały się od jego przedniej szyby, więc nie mogłem zobaczyć, kto siedzi

w środku. Ale jadąc dalej, coraz mniej się niepokoiłem, bo mercedes zostawał w tyle, wyprzedzany przez kolejne pojazdy. Niebawem dzieliło nas już osiem samochodów i widziałem tylko ciemną plamę w drżącym od upału wieczornym powietrzu.

Zerknąłem na zegarek. Za piętnaście szósta.

Wjechałem na środkowy pas i dodałem gazu, myśląc już tylko o tym, by wrócić do domu, wziąć prysznic, przebrać się i coś zjeść.

W tym momencie mercedes też zaczął przyspieszać.

Powtarzał wiernie moje ruchy.

Miałem półtora kilometra do miejsca obsługi podróżnych Heston.

Wciąż mocno wciskałem gaz, zerkając na mercedesa. Kierowca próbował dyskretnie zmniejszyć dzielącą nas odległość. Kiedy słońce skryło się za chmurą, udało mi się dojrzeć ciemną sylwetkę za kierownicą – barczystego mężczyzny – ale słońce znowu wyszło i szybę mercedesa rozświetliło odbicie nieba. W tym momencie wróciłem myślą do rzekomego gliniarza, który odwiedził Veronicę Mae, a potem do lasu, przy którym się zatrzymałem, rozmawiając z Craw – gdzie wśród drzew dostrzegłem jakiś ruch.

Przed zjazdem na parking zwlekałem, ile mogłem, po czym skręciłem w lewo i wtoczyłem auto po łagodnym wzniesieniu, zwalniając, żeby zobaczyć, czy mercedes zareaguje. Zareagował. Kiedy zjechał z autostrady, ruszyłem łukiem drogi prowadzącej na parking i czarny samochód zniknął mi z oczu. Dodałem gazu, z impetem wjechałem na wolne miejsce parkingowe, jak najbliżej wejścia do głównego budynku MOP-u, po czym wyskoczyłem z auta i natychmiast otworzyłem bagażnik. Zacząłem przetrząsać plecak, odsuwając na bok ubrania, kosmetyczkę, drugi notes – aż w końcu znalazłem zapasowy telefon. Zawsze zabierałem go ze sobą, na wypadek gdyby nawaliła mi komórka.

Wsunąłem go do kieszeni, zatrasnąłem klapę bagażnika, rozejrzałem się, sprawdzając, czy mercedes jeszcze nie nadjechał, i wszedłem do budynku.

Ruch był spory. Od razu skierowałem się do sklepu i szybko odnalazłem to, czego szukałem: taśmę do pakowania. Lepsza byłaby taśma izolacyjna, ale musiałem sobie poradzić bez niej. Zapłaciłem i wyszedłem z drugiej strony budynku, na niewielki, wyłożony kostką plac z paroma drewnianymi ławkami przed ponurym hotelikiem Travelodge. Jak najszybciej okrążyłem budynek motelu, zakreślając mniej więcej koło, aż znalazłem się znów na parkingu, w miejscu, z którego widziałem swoje bmw.

Mercedes stał na lewo od mojego samochodu, w odległości niespełna dziesięciu metrów, zaparkowany w cieniu drzewa.

W środku nie było nikogo.

Mając na oku wejście do głównego budynku, truchtem zbliżyłem się do czarnego wozu, do drzwi od strony kierowcy, przyłożyłem do szyby stulone dłonie i zajrzałem do wnętrza. Przed fotelem pasażera dostrzegłem czerwoną teczkę na dokumenty, z której wystawały białe kartki. Obszedłem samochód, sprawdzając, czy nie wraca kierowca – choć nie miałem pojęcia, jak wygląda – i zajrzałem do mercedesa z drugiej strony. Z bliska zobaczyłem na kartkach ręczne pismo i dwa, może trzy zdjęcia przypięte zszywką do

jasnożółtego arkusza. Pociągnąłem za klamkę, w słabej nadziei, że drzwi są otwarte, ale oczywiście były zamknięte, więc zacząłem lekko kołysać mercedesem, licząc na to, że nie włączy się alarm. Zamierzałem w ten sposób sprawić, by część papierów wysunęła się z teczki.

Parę sekund później coś już wiedziałem.

Na kartce był rodzaj terminarza albo tabeli. Rubryki wypełniono odręcznie, wpisano do nich też jakieś liczby i choć pismo było niedbałe i trudne do odcyfrowania, im dłużej się przyglądałem, tym więcej rozumiałem. To był grafik. Próbując odczytać wpisy w tabelce, przysunąłem twarz jeszcze bliżej szyby, aż pokryła się mgiełką mojego oddechu. Nagle uświadomiłem sobie, że wszędzie powtarza się jedno słowo.

Raker.

Poczułem, jakby coś mi skrzepło w żołądku. W grafiku wymieniano wzgórze Mendip, adres Veroniki Mae, mojego hotelu w Bristolu. Właściciel mercedesa musiał mnie śledzić przez cały czas.

Zerkając na wejście do głównego budynku, znowu zakołysałem samochodem, tym razem mocniej. Żółta kartka wysunęła się dalej zza okładki i ukazały się dwie przypięte do niej fotografie.

Dopiero po chwili dotarło do mnie, na co patrzę.

Na pierwszym zdjęciu zobaczyłem Alex Cavarno, dyrektorę operacyjną europejskiego oddziału American Kingdom. Poznałem ją przed dwoma dniami w kinie Comet. Zawahałem się, nieco zbity z tropu. Dlaczego, do cholery, znalazło się tu jej zdjęcie? Zrobiono je bez jej wiedzy, przed wejściem do Comet. Trzymała w dłoni kartonowy kubek z kawą i rozmawiała przez telefon. Patrząc na jej zatrzymaną w kadrze twarz, przypomniałem sobie tamtą krótką chwilę, tamten przebłysk niemego porozumienia między nami. Tłumiąc w sobie to uczucie i odsuwając na bok to wspomnienie, próbowałem się skupić, połączyć fakty i zrozumieć, dlaczego jest śledzona, tak jak ja, ale nie potrafiłem znaleźć odpowiedzi.

Skupiłem uwagę na drugim zdjęciu.

Przypięto je tuż obok fotografii Alex Cavarno, ale nadal w połowie przysłaniała je okładka teczki. Przechyliłem głowę, by zobaczyć, co może przedstawiać, i po chwili uświadomiłem sobie, że to nieostre zdjęcie jakiegoś starszego, przygarbionego mężczyzny, stojącego przed jakimś domem. Budynek był z żółtawej londyńskiej cegły, więc musiał znajdować się gdzieś w stolicy.

Mężczyzna miał prawdopodobnie ponad czterdzieści lat, choć trudno było to stwierdzić z całą pewnością. Bardzo wysoki, o przerzedzonych siwych włosach, w eleganckiej granatowej marynarce i brązowych spodniach. Jedną ręką przyciskał do piersi laskę i był lekko zwrócony w stronę drzwi, jak gdyby zamykał je na klucz.

Podobnie jak Alex Cavarno, nie wiedział, że jest fotografowany, a od obiektywu oddzielały go rozmazane sylwetki samochodów na pierwszym planie, jak gdyby fotograf

znajdował się po drugiej stronie ulicy.

Znowu zerknąłem w stronę budynku MOP-u, po czym wróciłem wzrokiem do zdjęcia i kiedy przyjrzałem mu się po raz drugi, nagle doznałem olśnienia. Jakby w mroku rozbłysła zapalka, w jednej chwili stanęły mi przed oczami filmy noir Hosterlitz'a i aktor, którego widziałem w Connorze O'Hare i Oczach nocy.

To był Glen Cramer.

Człowiek, którego Hosterlitz odkrył w off-broadwayowskim teatrze; człowiek, który za role w filmach Hosterlitz'a zdobył dwa Oscary. Co więcej, Cramer był rekordzistą: jako jedyny aktor w historii Hollywood zdobył cztery nagrody Akademii Filmowej. Ale po co ktoś chciał go fotografować teraz, jako staruszka? I dlaczego robił to potajemnie? Jaki związek miał Cramer z Alex Cavarno? I z tą całą historią?

W końcu odsunąłem się od samochodu, wiedząc, że muszę się ulotnić przed powrotem właściciela. Rozejrzałem się, czy nikt mnie nie śledzi, i podszedłem do tylnego zderzaka.

Oderwałem kawałek taśmy do pakowania, włączyłem zapasowy telefon i przykleiłem go do podwozia mercedesa, tak żeby był niewidoczny. Nałożyłem jeszcze parę warstw taśmy, aby solidnie przymocować aparat, nie pozostawiając żadnego luzu. Zadowolony z efektu, wróciłem przez parking pod motel i stanąłem z boku, w cieniu budynku. Wciąż próbowałem zrozumieć to, co przed chwilą zobaczyłem.

Cramer podpisał kontrakt z American Kingdom na początku lat pięćdziesiątych, a potem w ciągu całej kariery wiele razy współpracował z tym studiem. Ale występował nie tylko w filmach American Kingdom – zatrudniały go różne inne hollywoodzkie wytwórnie. Dlaczego więc teraz go fotografowano? Co w ogóle Cramer robił w Londynie? Przecież był Amerykaninem, mieszkał w Los Angeles.

Nagle jednak coś mi wychynęło z pamięci, niczym przedmiot wynurzający się z głębi jeziora na powierzchnię i powoli nabierający kształtów.

Royalty Park.

Telewizyjny przebój, współfinansowany przez American Kingdom i BBC, w 2014 roku najchętniej oglądany serial, którego czwarta seria właśnie się zaczynała. Promowano go w telewizyjnych blokach reklamowych, na billboardach, na stronach internetowych – a gdy rozmawiałem z Alex Cavarno, powiedziała mi, że na poniedziałek zaplanowano galę z okazji premiery nowego sezonu. No i miałem wytłumaczenie. W 2010 roku Cramer zawiesił emeryturę, żeby zagrać rolę emerytowanego amerykańskiego ambasadora. Nie byłem stałym widzem serialu, więc nie skojarzyłem tego faktu od razu – ale właśnie dlatego mieszkał teraz w Londynie. Tylko dlaczego go śledzono? Dlaczego śledzono Alex? I mnie?

Nagle dostrzegłem ruch w pobliżu mercedesa.

Kierowca.

Podchodził do samochodu, ale nie patrzył w moją stronę. Nie spuszczał wzroku z mojego bmw. Potem zerknął na wejście do głównego budynku, a następnie rozejrzał się

po całym parkingu. Najwyraźniej szukał mnie w środku, ale nie znalazł.

Odsunąłem się dalej w cień, powoli, żeby nie zwrócić jego uwagi. Po chwili podszedł do mercedesa i wsiadł.

Chwileczkę, pomyślałem. Przecież znam tego faceta.

Nie byłem jednak pewien, gdzie go widziałem, dlatego ogarnęły mnie wątpliwości. Miał na sobie beżową kurtkę, czarny golf i czapkę bejsbolówkę, jednak żadna z tych części garderoby nie wydała mi się znajoma. Krępy, czterdzieści kilka lat, siwy zarost, ale głowa ogolona. Wyglądał jak bokser, który przestał dbać o formę. Przysadzisty i silny, o surowej, pospolitej twarzy. Czy naprawdę go znałem? Skąd?

Znowu zerknął na moje bmw, a potem utkwiał wzrok w wejściu do budynku, zwracając twarz bardziej w moją stronę.

Cholera. Wiem, gdzie go widziałem.

Wiem, kto to jest.

Tamtego dnia, gdy poznałem Alex i Louisa Granta, też był w kinie Comet. Z taśmą mierniczą kręcił się przed widownią. Rzekomo przygotowywał plany remontu biura American Kingdom – tyle że wcale tego nie robił.

Podśluchiwał moją rozmowę.

Człowiek w mercedesie był architektem z kina Comet.

Zostawiłem sekretarce Alex Cavarno wiadomość z prośbą, żeby Alex jak najszybciej się ze mną skontaktowała. Jednak w chwili, gdy się rozłączyłem, zdjął mnie paniczny strach. A może ona też jest w to wszystko zamieszana? Może architekt był tam wtedy na jej polecenie? W każdej z moich dotychczasowych spraw roilo się od oszustów i łgarstw – czy tym razem było tak samo?

Ale jeśli naprawdę tak przedstawiała się sytuacja, to nie widziałem w tym sensu. Skoro Alex wiedziała, kim jest architekt i po co mnie śledzi, dlaczego po kryjomu robił jej zdjęcia? Czemu zaprosiła go do kina Comet, pozwalając, żebym zobaczył, jak wygląda? Kiedy wycofałem się dalej w cień, pod terkoczący klimatyzator na bocznej ścianie motelu, zadzwonił mój telefon.

To była ona.

Odczekałem kilka dzwonek, rozpaczliwie próbując powiązać rzeczy, o których się dowiedziałem w ciągu kilku ostatnich dni, ale żaden z tropów nie prowadził do niej. Jedyne łącznik stanowiła sama wytwórnia: Alex kierowała europejskim oddziałem American Kingdom, Cramer grał główne role w niektórych z najbardziej znanych filmów wyprodukowanych przez jej firmę, a ja starałem się odnaleźć żonę reżysera, który kiedyś współpracował z wytwórnią.

Wcisnąłem ODBIERZ.

– David Raker.

– Dzień dobry, David. Alex Cavarno.

Przez telefon wyraźniej usłyszałem jej akcent z Zachodniego Wybrzeża. Odtworzyłem w pamięci jej obraz, gdy podchodziła do mnie w kinie Comet: oliwkowa cera i czarne włosy do ramion; biała bluzka i niebieska spódnica.

– Dzięki, że tak szybko oddzwoniasz.

– Nie ma sprawy – odrzekła. – Naprawdę miło mi, że się ze mną skontaktowałeś.

Myślała, że chodzi o coś innego. Musiałem wyprowadzić nas z tego grząskiego gruntu. Był niebezpieczny, ale większe zagrożenie niosła możliwość, że pozwolę się zdekoncentrować. Starałem się odnaleźć Lyndę Korin. Tylko to się liczyło.

– David?

– Przepraszam – powiedziałem. – Trochę to skomplikowane. Pamiętasz, jak ci mówiłem, że próbuję odnaleźć wdowę po Robercie Hosterlitzu, Lyndę Korin?

– Oczywiście, że pamiętam. Louis przekazał ci wszystko, co chciałeś wiedzieć?

– Tak, przekazał, ale... – Urwałem. Trudno, muszę jej powiedzieć. – Jestem śledzony – wypaliłem.

Zaskoczona, milczała przez chwilę.

– Słucham?

– Ktoś mnie śledzi.

– Co ty wygadujesz? – Jej konsternacja wydawała się autentyczna. – Jak to: ktoś cię śledzi?

– To facet, który był przy tym, kiedy poznałem ciebie i Louisa dwa dni temu w Comet. Powiedziałaś chyba, że to twój architekt. Co o nim wiesz?

– Hm... – mruknęła, wyraźnie zbita z tropu.

– Podał ci swoje nazwisko?

– Twierdzisz, że to on cię śledzi?

Chwilę zwlekałem z odpowiedzią, dając sobie czas do namysłu. Jej reakcja wydawała się szczerą, nie mogłem jednak mieć stuprocentowej pewności. Albo wycofam się na bezpieczną pozycję, albo postanowię jej zaufać i ustalę, co wie o architekcie. Na razie nie wiedziałem, który wybór będzie słuszny.

– David? – Po raz pierwszy usłyszałem ton irytacji. W jej głosie zabrzmiał chłód. – O co chodzi, do cholery? – Była wkurzona, że pomyliła się co do moich intencji.

– Twój architekt ma w samochodzie zdjęcia, twoje i Glena Cramera.

Zapadła cisza, pełna osłupienia, nabrzmiała słowami, które uwięzły jej w gardle.

– Co? – wykrztusiła w końcu, a potem, jak gdyby dopiero teraz to do niej dotarło, powtórzyła dobitniej: – Co?! Co ty wygadujesz, do cholery?

Zerknąłem na zegarek. Piętnaście po szóstej. Z tego, co widział architekt, od pół godziny nie wychodziłem z budynku. Jeżeli nie chciałem obudzić w nim podejrzeń, powinienem już okrężną drogą wracać do samochodu.

– Jak on się nazywa? – spytałem.

– Hm... – W jej głosie wciąż było słychać zaskoczenie. – Billy Egan.

Przypomniałem sobie, że w kinie Comet zwracała się do niego „Billy”.

– Korzystałaś wcześniej z jego usług?

– Nie – odparła, wyraźnie biorąc się w garść. – Zaprośmy miejscowe firmy do przetargu na wykonanie prac, bo uznaliśmy, że to będzie dobrze odebrane przez media i lokalną społeczność. Naprawdę, David, to brzmi kompletnie niedorzecznie, nie uważasz?

Wszedłem do budynku tylnymi drzwiami i wmieszałem się w tłum ludzi.

– Po co miałyby mnie fotografować? – zapytała. – I Glena?

– Jeszcze nie wiem.

– Ale jego referencje były bez zarzutu. Pokazywał zdjęcia swoich poprzednich zleceń, przedstawił świetne opinie i podał mi nawet numery telefonów do swoich dawnych klientów... rozmawiałam z nimi i każdy twierdził, że to... – Zawahała się, jak gdyby w tym momencie łuski spadły jej z oczu.

Pokazał jej zdjęcia budynków i projektów – ale żaden z nich nie był jego dziełem. Przedstawił referencje – ale były fałszywe. Rozmawiała z poprzednimi klientami – ale to wcale nie byli jego klienci.

– Sukinsyn – mruknęła.

Sekundę później wyszedłem na popołudniowe słońce przed budynkiem i natychmiast skupiłem uwagę na swoim bmw.

– Miał swoją stronę internetową? – spytałem.

– Nie, twierdził, że jest w przebudowie.

– Byłaś kiedyś w jego biurze?

– Nie. Zawsze to on do mnie przychodził.

– Podał ci adres mailowy?

– Nie, tylko numer telefonu.

– Możesz mi go przesłać esemesem? W tym momencie nie mogę notować. – Kątem oka widziałem samochód architekta. – Może to dziwne pytanie, ale czy kiedykolwiek wspominał o Royalty Park albo o imprezie z okazji premiery?

– Nie, oczywiście, że nie – odparła. – Po co miałby o tym wspominać?

– Próbuję się domyślić, dlaczego interesuje go Glen Cramer.

Otworzyłem auto i wsunąłem się za kierownicę.

– Mogłabyś mi też przesłać mailem listę gości zaproszonych na tę galę?

– Jasne, nie ma sprawy. Polecę sekretarce, żeby ci wysłała.

Wziąłem notes z fotela pasażera i zapisałem parę informacji.

– Mówiłaś, że ogłosiliście wśród miejscowych firm przetarg na prace w Comet?

– To Ameryka wpadła na ten pomysł.

– Wasza centrala w Stanach?

– Zgadza się. Tak naprawdę to oni wszystko załatwiali. Chcieli, żebyśmy zebrali oferty i przesłali im do zatwierdzenia, i to oni wybrali Egana. Ja tylko się z nim spotkałam, żeby pokazał mi swoje portfolio i żebym też miała wpływ na tę decyzję. Całą resztą zajęło się Los Angeles.

Zawahałem się, z długopisem zawieszonym nad kartką.

– Kto w waszej amerykańskiej centrali zorganizował ten cały przetarg?

– Decydujący głos miał Saul Zeller.

– Szef American Kingdom?

– Zaraz, zaraz. – Najwyraźniej starała się to wszystko sobie poukładać. – Chcesz powiedzieć, że Saul mnie okłamał?

Zastanawiałem się nad tym przez moment. Przełączając telefon na tryb głośnomówiący, poprosiłem Alex o chwilę cierpliwości, po czym zawiesiłem rozmowę i uruchomiłem przeglądarkę. W okno wyszukiwarki wpisałem: „Billy Egan architekt”. Nic nie znalazłem.

– Na czym właściwie polegała twoja rola w tym wszystkim? – spytałem.

– Chodzi ci o proces selekcji? Mój dział administracyjny zebrał wszystkie oferty i wysłał do Stanów. Po dwóch tygodniach odezwał się do mnie Saul i powiedział: „Chcemy tego faceta. Pogadaj z nim i z ludźmi, dla których pracował, zobacz, czy się z nami zgadzasz”. Pogadałam z Eganem, zrobił na mnie dobre wrażenie. Spodobały mi się jego pomysły. I tyle.

Wtedy nie zwrócił jej uwagi brak strony internetowej, brak adresu mailowego ani fakt, że zawsze to on przychodził do jej biura, a nie odwrotnie. Nie miałem jej tego za złe. Zapewne słusznie zakładała, że Saul Zeller – a raczej jego zespół w Stanach – odpowiednio go prześwietlili.

Coś innego przyszło mi do głowy.

– Kto do ciebie zadzwonił i dał ci zielone światło w sprawie remontu biura? Kto konkretnie ze Stanów?

– Saul.

– Sam Zeller? Nie ktoś z jego personelu?

– Nie. On.

– Przecież musi mieć masę pracowników.

– Fakt. W Los Angeles pracuje u niego armia ludzi.

– Nie wydało ci się trochę dziwne, że osobiście zaangażował się w ten remont kina Comet... do tego stopnia, że sam wybrał architekta?

– Możesz nie wierzyć, ale kiedy w tym siedzisz, to naprawdę nie wydaje się dziwne. Saul musi mieć kontrolę nad wszystkim. Superkontrolę nad absolutnie wszystkim. Nazywają go Okiem Saurona, bo zawsze musi wiedzieć, co się dzieje. Jednak to działa. Nie można mu odmówić zasług. Kiedy przejął Kingdom, była to mała wytwórnia ze średniej półki, natomiast dzisiaj to jedna z najpotężniejszych na świecie firm w branży rozrywkowej. Każdy większy wydatek, a przebudowa kina to kwota rzędu dziesięciu milionów funtów, ostatecznie wymaga jego podpisu. Oczywiście codzienne sprawy zostawia mnie.

Nawet jeżeli rzeczywiście tak było, w jej głosie wyczuwałem nutę powątpiewania. Coś tu nie grało. Oboje zdawaliśmy sobie z tego sprawę.

– Kiedy to wszystko się zaczęło?

– Pytasz, kiedy zaczęliśmy przyjmować oferty?

– Tak.

– Nie wiem dokładnie. W zeszłym roku... chyba na początku listopada.

– Myślałaś, że wtedy zacznie się remont?

– Nie. Sprawa ciągnęła się miesiącami i Saul wyraźnie nie chciał się w to angażować. Jego zgoda przyszła zupełnie nagle, naprawdę jak grom z jasnego nieba.

Tyle że zaraz jakby ugryzła się w język i oboje dokończyliśmy w myśli: Zeller przez wiele miesięcy nie miał ochoty podpisać się pod tym wydatkiem, ale nieoczekiwanie, na początku listopada, wyraził zgodę.

Na początku listopada.

Zaledwie parę dni po zaginięciu Lyndy Korin.

– Jak dobrze znasz Glena Cramera? – spytałem.

– Glena? Dość dobrze.

– Chciałbym, żebyś mnie z nim umówiła... najlepiej jeszcze dzisiaj.

– Jest sobota wieczór, nie mogę...

– Ten Egan ma w samochodzie fotografie Cramera i twoją. Śledzi mnie od co najmniej dwudziestu czterech godzin, może dłużej. Naprawdę musisz mnie umówić z Cramerem, Alex.

Powiedziałem to łagodnym tonem, ale wyczułem, że się jeży.

– I co właściwie mam mu powiedzieć?

– Cokolwiek uznasz za stosowne, byle tylko zgodził się ze mną spotkać.

– Nie wpada się, ot tak sobie, na herbatkę do domu Glena Cramera. To jedna z największych gwiazd filmowych na świecie.

– Wiem.

Przez chwilę milczała.

– No dobrze. Zobaczą, co się da zrobić. Coś jeszcze?

– Myślę, że byłoby lepiej, gdybyś na razie nic o tym nie wspominała Saulowi Zellerowi.

Zachowajmy to dla siebie, dopóki nie dowiemy się czegoś więcej.

– Okay – odrzekła Alex i znowu umilkła.

– Wszystko w porządku? – spytałem.

– Dlaczego Saul miałby mnie okłamać?

W jej głosie brzmiał niepokój, prawie strach, ale było to zrozumiałe. Czułem to samo.

– Nie wiem – odparłem. – Może wcale nie kłamał.

Nie byłem jednak pewien, czy mi wierzy.

Nie byłem też pewien, czy sam w to wierzę.

Egan śledził mnie jeszcze przez trzynaście kilometrów, aż do mojego zjazdu z autostrady, cały czas trzymając się ode mnie w odległości co najmniej sześciu samochodów. Kiedy jednak zjechałem w kierunku ronda Chiswick, odczepił się i ruszył w stronę centrum Londynu. Ciekawe, dokąd jechał. Niepokój, który już we mnie narastał, wzmagало pytanie: Na razie śledził mnie pasywnie, ale w jakim momencie to się zmieni? Kiedy się zorientuje, że go zauważyłem? Kiedy będzie rozmawiał z Alex i wyczuje, że ona być może coś wie? Nie miałem pojęcia, kim jest Egan, jaką ma przeszłość, jaki to typ człowieka, czym się kieruje, jak może zareagować, gdy sobie uświadomi, że został zdemaskowany – tymczasem on wiedział o mnie sporo. Wiedział, nad jaką sprawą pracuję.

Prawdopodobnie wiedział, gdzie mieszkam.

Kiedy dotarłem do domu, zatrzymałem samochód na podjeździe, wyłączyłem silnik i przez chwilę czekałem. Lampka alarmu wciąż mrugała i nic nie wskazywało na to, żeby się włączył podczas mojej nieobecności. Mimo to, zanim wszedłem do środka, na wszelki wypadek zrobiłem szybki obchód wokół domu.

Gdy tylko przestąpiłem próg, natychmiast chwyciłem telefon i otworzyłem aplikację do lokalizacji urządzeń. Ekran wyświetlił listę moich trzech połączonych z nią urządzeń, a powyżej mapę, która zaczęła pracować nad ustaleniem położenia każdego z nich. Swoją stałą komórkę i laptop miałem ze sobą, więc dwie kropki pojawiły się pod adresem mojego domu. Trzecia kropka pokazała się na zachodnim końcu Wandsworth High Street. Egan jechał na wschód.

Odłożyłem telefon, po czym uruchomiłem laptop, otworzyłem skrzynkę odbiorczą i znalazłem wiadomość od Alex. Przysłała mi plan rozmieszczenia gości przy stołach na gali z okazji premiery nowego sezonu Royalty Park. Był to uproszczony szkic, przedstawiający w rzucie z góry dwadzieścia stołów. Każdemu z dziesięciu miejsc przy każdym z nich przypisano nazwisko. Nie rozpoznałem wszystkich, ale duża część brzmiała znajomo: byli to aktorzy, reżyserzy, producenci, kadra kierownicza BBC. Glen Cramer miał miejsce na środku, blisko sceny. Alex i reszta szefostwa europejskiego oddziału mieli siedzieć wraz z niektórymi aktorami Royalty Park przy sąsiednim stole. Mój wzrok padł na stół na samym przodzie. Znalazły się przy nim nazwiska kolejnych członków obsady serialu oraz jeszcze jedno, które poznałem lepiej w ciągu kilku ostatnich godzin.

Saul Zeller.

Przylatuje na imprezę z okazji premiery.

Po co prezes American Kingdom leci z drugiego końca świata na przyjęcie? Owszem, Royalty Park odniósł olbrzymi sukces, ale stanowił jedynie ułamek tego, co firma produkowała rocznie na rynek filmowy, telewizyjny i gier komputerowych. Musieliby bez przerwy urządzać gale i uroczyste premiery.

Aby uzupełnić swoje luki w wiedzy, poszukałem w sieci informacji na jego temat i szybko znalazłem notkę biograficzną.

Saul Zeller jest legendą i tuzem przemysłu rozrywkowego. Kiedy w 1970 roku odziedziczył po ojcu, Abrahamie Zellerze, fotel prezesa American Kingdom, zmienił wytwórnię w jednego z głównych graczy w branży filmowej, który jak równy z równym mógł rywalizować z takimi potęgami jak Fox, Universal i Warner Bros. Ma jeden z najdłuższych staży wśród szefów wytwórni filmowych w historii Hollywood.

Saul zaczął pracować w American Kingdom w 1951 roku jako nieopierzony dwudziestoczterolatek i od samego początku stał się w firmie niezwykle wpływową osobą. Z powodu swojej nieustępliwości i pragmatyzmu, z jakim oceniał komercyjny potencjał projektów wytwórni, miał licznych wrogów w przemyśle rozrywkowym, ale szybko zaczął odnosić wielkie sukcesy, przekonując ojca do odważnego – i udanego – wejścia na rynek telewizyjny i muzyczny, a także podejmując decyzje o realizacji takich kasowych hitów jak Zbrodnia w wydziale i Człowiek bez ust. Dowodem trafności jego wyborów są jednak nie tylko wyniki finansowe. W 1951 roku osobiście postanowił zaangażować firmę w produkcję Connora O'Hare, który jako pierwszy film American Kingdom zdobył Oscara – w oczach wielu obserwatorów było to wyraźne potwierdzenie pozycji wytwórni. Dzięki niemu powstały również Ostatnie dni imperium w reżyserii Cornella Grahama w 1952 roku oraz rok później Oczy nocy, tytuł uhonorowany siedmioma nagrodami Akademii Filmowej. Już w połowie lat pięćdziesiątych, gdy Abraham Zeller podupadał na zdrowiu, powszechnie sądzono, że firmą de facto kieruje Saul.

Zeller wiele razy groził odejściem na emeryturę, nigdy jednak nie potrafił wypuścić z rąk steru. Mówi: „Cierpię na manię kontrolowania wszystkiego i nie chcę rezygnować z tej frajdy”. Często żartuje, że długowieczność i dobre zdrowie zawdzięcza tabletkom Prolong, używanym w Planecie Słońca, serialu science fiction, który zarobił miliardy dolarów. „Biorę je od 1982 roku – powiedział w ubiegłym roku w wywiadzie dla «Los Angeles Times». – Działają podobnie do viagry, ale nie mam po nich wrażeń, że wyrosła mi trzecia noga”.

Zostawiwszy wszystko, poszedłem wziąć prysznic i przebrać się, a gdy wróciłem, znowu zajrzałem do telefonu i zobaczyłem, że samochód Egana wolno sunie po Trinity Road na południe, w kierunku Tooting. Szybko znalazłem coś na ząb i jedząc,

przeglądałem swoje poprzednie notatki. Były to głównie informacje na temat Saula Zellera, jakie uzyskałem od Alex, ale dodałem też to, co zapamiętałem z rozmowy z właścicielem Rough Print, i zacząłem sporządzać filmografię Glena Cramera. Miałem nadzieję, że Alex zdoła umówić mnie na spotkanie z nim w ciągu kilku najbliższych godzin, więc chciałem się do tego przygotować.

Jego kariera okazała się długim i imponującym pasmem sukcesów – cztery Oscary, rekordowe przychody z premier, role ikon historii, od Abrahama Lincolna po nazistowskiego lekarza Josefa Mengele, wreszcie kolejne nagrody i zachwyty krytyki, gdy w 2010 roku przerwał dziewięcioletnią emeryturę, by zagrać w Royalty Park.

Dopiero kiedy czytałem własne zapiski, poczułem, że coś nie daje mi spokoju: jakiś szczegół, którego jeszcze nie dostrzegłem. Przeglądałem notatki raz za razem, aż w końcu zatrzymałem się na fragmencie rozmowy z właścicielem Rough Print – na tym, co powiedział o filmach, które podzieliły los większości horrorów Hosterlitz. Mówił, że w Brytyjskim Instytucie Filmowym stworzono listę siedemdziesięciu pięciu „zaginionych” tytułów, na których odzyskaniu bardzo im zależy. Czyżby tu tkwiła zagadka?

Nie byłem tego pewien, więc wpisałem do wyszukiwarki „zaginione filmy BFI”. Po chwili miałem przed sobą stronę zatytułowaną „10 najbardziej poszukiwanych filmów według BFI”. Kilka sekund później zadzwonił telefon.

Alex.

– No dobrze – powiedziała, kiedy odebrałem. – Glen zgodził się spotkać z tobą dzisiaj o ósmej.

Zerknąłem na zegar. Piętnaście po siódmej.

– Fantastycznie.

– Rzecz w tym, że mimo swojego wieku nie jest głupi. Jeżeli będziesz udawać, że chcesz porozmawiać o gali, a potem zaczniesz go wypytywać o Saula Zellera, zorientuje się, że nie chodzi ci o to, przy którym stole będzie siedział. Powiedziałam mu, mniej więcej zgodnie z prawdą, że na zlecenie Kingdom szukasz nieznanego materiału autorstwa Hosterlitz.

Nie zdawała sobie sprawy, jak bliska prawdy była ta wersja. Przecież Korin sama przyznała, że Hosterlitz chyba pracował nad projektem zatytułowanym Różany Krąg.

– W porządku – odrzekłem. – Sprytnie.

– Ale masz zaledwie godzinę. Tylko tyle udało mi się załatwić. Potem przyjeżdża po niego limuzyna i zabiera go do Osterley Park na sesję zdjęciową z resztą obsady, dla „Vanity Fair”.

– Za godzinę będzie ciemno.

– To nocna sesja. Nie spóźnij się, proszę.

Podziękowałem jej, rozłączyłem się i zadzwoniłem do Melanie Craw. Gdy rozmawiałem z nią wcześniej, zapraszała mnie do siebie na kolację. Teraz, słysząc jej głos w słuchawce, poczułem wyrzuty sumienia, mimo że dotąd nie padło ani jedno słowo o tym, co myślałem o Alex Cavarno, i o zagadkowym porozumieniu między nami.

– Nie dam rady dzisiaj wieczorem – oznajmiłem jej. – Strasznie cię przepraszam. Wypadła mi pewna sprawa, która nie może czekać.

– Dobra.

I już. Słuchając ciszy w telefonie, przypomniałem sobie, co wcześniej powiedziała. „Muszę z tobą o czymś porozmawiać”.

– Możemy teraz pogadać – dodałem.

– Nie, nie przez telefon.

– Na pewno wszystko w porządku?

– Odezwij się, kiedy już będziesz wolny – odparła.

Czekałem jeszcze chwilę, zastanawiając się, o czym chce rozmawiać, aż w końcu dałem sobie spokój.

Znowu sprawdziłem w telefonie lokalizację Egana. Kropka zatrzymała się przy Bradbury Lane, bocznej uliczce odchodzącej od Streatham High Road. Osiemnaście kilometrów na południowy wschód od mojego domu. Przez pewien czas obserwowałem kropkę, sprawdzając, czy Egan nie ruszy w dalszą drogę. Spoglądałem to na ekran telefonu, to na notatki w laptopie i nie mogłem się pozbyć wrażenia, że nie zauważam czegoś oczywistego. Im dłużej się przyglądałem, tym mniej znaczyły słowa.

Mniejsza z tym. Ważny jest tylko Egan.

Ale w chwili, gdy już chciałem zamknąć laptop, mój wzrok padł na otwartą stronę „10 najbardziej poszukiwanych filmów według BFI”, gdzie u dołu widniał adres.

Stephen Street 21, Londyn, W1T 1LN.

Kod pocztowy. Coś we mnie drgnęło.

Chodzi o kod pocztowy.

Czując, jakby przeszył mnie prąd, odszukałem listę kuratorów – pracowników instytutu filmowego, którzy prowadzili i katalogowali zbiory instytutu. Znalazłem niemal trzydzieści osób, z podziałem na podległe im sekcje: filmy fabularne, dokumentalne i telewizyjne oraz zbiory specjalne. W sekcji fabuły figurowało siedem osób, czterech mężczyzn i trzy kobiety. Zacząłem czytać biogramy mężczyzn.

Zatrzymałem się przy trzecim nazwisku.

Kurator nazywał się Rafael Walker. Wyglądał na czterdzieści kilka lat. W instytucie zajmował się organizacją wystaw związanych z amerykańskim kinem noir i europejskimi horrorami z lat siedemdziesiątych. Pisał artykuły na ten temat do magazynu „Sight & Sound”, a także był autorem książki o Oczach nocy, wydanej w serii „BFI Classics”. Dobrze znał twórczość Hosterlitzta – i jego filmy noir, i horrory.

„Mężczyzna. Czterdzieści pięć lat. W1, Londyn”.

Ciekawe, czy właśnie znalazłem Microscope’a.

Glen Cramer mieszkał w trzypiętrowym domu jednorodzinnym w Bayswater. Był to piękny budynek, w którym połączono żółtą londyńską cegłę z białym tynkiem, a całą boczną ścianę przykrywały pnącza bluszczu. Przed dwumetrową stalową bramą trajkotały cztery kilkunastoletnie dziewczyny. Po drugiej stronie ulicy zebrało się osiem osób, z których część robiła zdjęcia domu. Przy szarej furgonetce, opierając się o jej maskę i paląc papierosy, stali dwaj fotoreporterzy z aparatami na szyjach. Widok gromady ludzi uświadomił mi, jak łatwo mógł się w nią wmieszać Egan.

Alex Cavarro czekała już na mnie w swoim range roverze. Kiedy zaparkowałem za nią, wysiadła – była ubrana weekendowo, w czerwone legginsy, białą koszulkę i klapki, włosy zaplotła w warkocz na boku, a jedyny makijaż stanowiła odrobina tuszu na rzęsach. W wersji prywatnej wyglądała tak samo dobrze jak przy naszym pierwszym spotkaniu, gdy występowała w formalnym stroju.

– Cześć – przywitała mnie.

– Cześć. – Wskazałem na dom. – Dzięki, że to zorganizowałaś.

– Nie ma sprawy. – Stanęła przede mną, popatrzyła na fotoreporterów i dziewczyny przed bramą, po czym przeszła do sedna. – Myślisz, że coś nam grozi?

W głowie ciągle kłębiły mi się myśli – o Eganie, o Microscopie, którego być może wytropiłem, o czekającej mnie rozmowie z Glenem Cramerem – ale gdy na nią spojrzałem, wszystko na chwilę usunęło się w cień. Bez szpilek była niższa ode mnie o jakieś piętnaście centymetrów, więc stojąc w odległości metra, musiała lekko unosić podbródek, kiedy na mnie patrzyła. Widziałem linię jej szyi, wypukłości obojczyków, złotawobrazową skórę; widziałem też napięte rysy twarzy, zdradzające niepokój.

– Nie sądzę – powiedziałem.

– Skąd wiesz?

– Gdyby Egan zamierzał wykonać jakiś ruch, już by to zrobił.

– Cieszę się, że jesteś o tym taki przekonany.

– Śledzi mnie co najmniej przez jeden dzień. Ciebie prawie na pewno śledzi dłużej. Gdyby widział w tobie zagrożenie, nie robiłby ci zdjęć z ukrycia.

Zmarszczyła brwi.

– W takim razie na co czeka?

– Tego właśnie muszę się dowiedzieć.

Alex przyglądała mi się przez chwilę.

– Chcesz, żebym zaufała facetowi, którego dwa dni temu widziałam przez parę minut. – Przeniosła wzrok na mój samochód, po czym spojrzała na mnie i notes, który miałem w ręce, i jej usta drgnęły w uśmiechu. – Tak się składa, że to ty.

Odwzajemniłem uśmiech.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– Mogę ci zaufać, David?

– Gdybym ci powiedział, że możesz, uwierzyłybyś?

Popatrzyła na mnie przeciągle.

– Tak – odrzekła. – Pewnie bym uwierzyła.

Czułem na sobie jej parzący wzrok, ale całą uwagę skupiłem na domu, na Cramerze, na wszystkim, co miałem do zrobienia w ciągu najbliższej godziny. Sekundę później przechodziliśmy przez ulicę, kierując się do bramy, przy akompaniamencie trzasku migawek, które cykały jak świerszcze na łące. Łowcy celebrytów robili nam zdjęcia telefonami – chociaż nie znali nas ani z Royalty Park, ani z telewizji, ani z kina, pstrykali na wszelki wypadek.

Dziwnie się czułem. Uświadomiłem sobie, że zastanawiam się, jaki będzie Cramer, jakie sprawi na mnie wrażenie, jak bardzo będzie się różnił od postaci, w które wcielał się na ekranie. Co powie moja córka, kiedy usłyszy, że rozmawiałem z jedną z największych gwiazd kina. Przyszedł mi nawet do głowy pomysł, aby później poprosić Cramera o zdjęcie, które wyślę Annabel do Hiszpanii. Uśmiechnąłem się na myśl, że mógłbym podpisać je bezceremonialnie: „Ja i mój najlepszy kumpel Glen” albo: „Pozdrowienia od Glena Cramera”, a potem znowu się uśmiechnąłem, wyobrażając sobie jej reakcję. Zaraz jednak zadzwonił domofon przy bramie, fantazje uleciały, wziąłem się w garść i zrobiło mi się głupio, że tak mnie poniosło.

– Halo?

– Dzień dobry, Anthony, tu Alex Cavarno.

Sekundę później zabręczał zamek i brama uchyliła się przed nami. Alex ruszyła przodem, a ja zatrzasnąłem stalową furtę i poszliśmy przez podjazd, w stronę schodków przed wejściem. Kiedy znaleźliśmy się na stopniach, otworzyły się drzwi i z wnętrza wyłonił się Glen Cramer.

Choć w wieku dziewięćdziesięciu jeden lat nie był już człowiekiem, którego oglądałem w filmach noir Hosterlitz, wydał mi się dziwnie znajomy. Nadal był wysoki, ale bardzo zeszczupłał i jak już widziałem na zdjęciu w samochodzie Egana, czaszkę przykrywał mu wianuszek mlecznobiałych włosów. Były cienkie i delikatne jak nici. Na fotografii zobaczyłem, że jest przygarbiony, i teraz było to wyraźnie widoczne – jego kręgosłup był zgięty w połowie długości, więc górna część tułowia przechylała się jak budynek, który lada chwila runie. Jego twarz pokrywała siatka zmarszczek, przez skórę przebijała pajęczyna naczynek krwionośnych, a charakterystyczne niebieskie oczy nieco straciły

blask. Coś jednak pozostało z dostojnego mężczyzny o kanciastej szczęce, którym kiedyś był, i upływ czasu nie pozbawił go dawnej osobowości.

Ucałował Alex w obydwie policzki, po czym oboje spojrzeli na mnie.

– Glen, to jest David Raker, o którym ci mówiłam – przedstawiła mnie Alex.

Cramer wyciągnął rękę.

– Miło mi cię poznać.

– Cała przyjemność po mojej stronie, panie Cramer.

Uścisnęliśmy sobie dłonie.

– Zapraszam do środka.

Spojrzał za nas i pomachał do ludzi czekających przed bramą. Jedna z nastolatek pisnęła z zachwytem. Zobaczyłem, że dziewczyna ma na sobie T-shirt z Royalty Park. Fotoreporterzy zdążyli już przebiec na tę stronę ulicy i wycelowali w nas obiektywy. Cramer pomachał jeszcze raz, a kiedy weszliśmy, zamknął za nami drzwi.

Przewrócił oczami, ale z dobroduszną miną.

– Przyznam, że dopóki nie zacząłem grać w Royalty Park, wydawało mi się, że czasy piszczących pensjonarek mam już za sobą – oznajmił.

Ruszyliśmy za nim przez wspianały przestronny hol, wyłożony płytkami w czarno-białą szachownicę, z ozdobnie rzeźbionymi dębowymi schodami po prawej stronie. W fotelu przy schodach siedział mężczyzna w granatowej marynarce, o posturze goryla.

– Znasz Anthony’ego, mojego ochroniarza – zwrócił się Cramer do Alex.

– Znam – przytaknęła.

– Vera! – zawołał, przystając.

Po chwili z kuchni wyszła kobieta pod sześćdziesiątkę, przepasana fartuchem, w ociekających pianą żółtych gumowych rękawiczkach.

Cramer spojrział na nas.

– Mogę zaproponować wam coś do picia?

– Dla mnie kawa – powiedziała Cavarno, a ja, żeby nie robić kłopotu, poprosiłem o to samo.

Gdy gospodyni wycofała się z powrotem do kuchni, Cramer zaprowadził nas do salonu, kolejnego imponującego pomieszczenia, pełnego oryginalnych georgiańskich detali, z którego dwuskrzydłowe drzwi prowadziły na szmaragdowozielony trawnik, usiany, mimo zbliżającego się zachodu, jasnymi plamami popołudniowego słońca. Chociaż to wnętrze pasowało do gospodarza, było oczywiste, że dom jest wynajęty. Nie widziało się tu żadnych śladów przeszłości Cramera, żadnych zdjęć, gablotek z nagrodami ani pamiątek szczęśliwego życia. Patrzyłem, jak powłócząc nogami, podchodzi do kanapy i osuwa się na nią. Zająłem miejsce na drugiej kanapie, naprzeciw niego, a Alex usiadła w fotelu.

– No dobrze, Davidzie – rzekł Cramer, kładąc dłonie po bokach. Pod alabastrowobiałą skórą rozgałęziały się sine żyłki. – Alex mówiła, że jesteś detektywem.

– Zgadza się.

– „Zostaw, Jake. To Chinatown”.

Uśmiechnąłem się.

– Daleko mi do Jacka Nicholsona.

Cramer parsknął śmiechem.

– Tak się składa, że czytałem scenariusz Chinatown, kiedy jeszcze kompletowano obsadę, ale Robert Towne powiedział mi, że w roli Noaha Crossa widzą Johna Hustona. – W szerokim uśmiechu błysnęły zęby, które jako jedyne oparły się upływowi lat: były wybielone, idealnie równe. – Niewielu rzeczy w życiu żałuję, ale tej na pewno.

– Przecież wybierał pan świetne role.

– Chyba nie było najgorzej. Lubisz kino, David?

– Bardzo.

– Wobec tego musi to być dla ciebie ciekawy projekt, prawda?

Alex pochyliła się do przodu.

– Mówiłam Glenowi, że tropisz nieznany materiał autorstwa Roberta Hosterlitz z czasów jego współpracy z American Kingdom.

Cramer z entuzjazmem pokiwał głową.

– To prawda – przytaknąłem. Czułem się jak nędzny oszust, ale mimo wyrzutów sumienia na razie musiałem kłamać. – Mógłbym zadać panu kilka pytań?

Rozłożył ręce.

– Oczywiście. Pytaj, o co chcesz.

Zacząłem ostrożnie, od najprostszego pytania.

– Co pan pamięta o Robercie?

– Co pamiętam? – Głęboko nabrał powietrza, jak gdyby miał mnóstwo do opowiedzenia, a pytanie było zbyt ogólne. – Był dobrym człowiekiem. Inteligentnym i szanowanym. Czuję się zaszczycony, że mogę nazywać go swoim przyjacielem. – Cramer przerwał i spojrzał ponad moim ramieniem na drzwi do ogrodu, przez które wpadało słońce, malując na podłodze salonu pomarańczowy prostokąt. Im dłużej się zastanawiał, tym bardziej posępniała mu twarz. – Ach, Bobby – powiedział w końcu cicho, jakby do siebie. – Przesłuchania przed komisją Kongresu w latach pięćdziesiątych... Co to były za brednie. Łajdacy z Kapitolu, cierpiący na kompleks Boga, zrobili sobie z niego worek treningowy. Zanim jeszcze ten obrzydliwy brukowiec „National People” wylał na niego kubeł pomyj, znałem go ponad cztery lata i ręczę, że Bobby Hosterlitz nie był żadnym komunistą. Wykluczone. Miał umiarkowane poglądy. Rzadko słyszałem, żeby mówił o polityce. Obchodziło go tylko kino.

Przysunąłem sobie notes i zapisałem parę rzeczy.

– „National People” to było amerykańskie czasopismo w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, prawda?

– No tak, przepraszam. – Cramer wystudiowanym gestem uniósł dłoń. – Zapomniałem, że zapewne nigdy o nim nie słyszeliście. Szczęściarze. – Pokręcił głową. – To był tabloid, podobny do „National Enquirer”, który żywił się seksem, przemocą i skandalami. Niczym innym. Wypisywano tam okropne łgarstwa. Wysmarowali artykuł sugerujący, że Bobby był komunistą, i to wystarczyło... zaraz potem zaczęły nad nim krążyć sępy z komisji Kongresu. „Erotoman Hosterlitz zdemaskowany jako czerwony”.

– Taki był tytuł?

– Owszem.

Pomyślałem o charakterystycznym stylu Hosterlitz'a – długich ujęciach, podglądającym oku kamery – a potem o słowach Veroniki Mae na temat jego związku z Korin.

– Dlaczego „erotoman”? – spytałem.

Cramer wzruszył ramionami.

– Wszystko musiało mieć jakiś podtekst seksualny. Zawsze chodziło o seks. A jeżeli seks nie wchodził w grę, to wtedy coś wymyślano.

– I wymyślono coś o Robercie?

– Twierdzili, że gustuje w prostytutkach.

Cramer najwyraźniej uważał to za element perfidnego ataku „National People” na Hosterlitz, ale w wywiadzie dla „Cine” Lynda Korin przyznała, że zanim się spotkali, Hosterlitz w latach siedemdziesiątych, podczas swoich zmagania z uzależnieniem od alkoholu i środków przeciwbólowych, płacił za seks. Nie byłoby od rzeczy zakładać, że to samo mógł robić już w latach pięćdziesiątych. Pytanie tylko, czy miało to jakiegokolwiek znaczenie.

– Pamięta pan, czy Robert z kimś się spotykał?

– W latach pięćdziesiątych?

– Tak. Chodzi mi o dziewczyny, przyjaciółki.

– Przypuszczam, że był ktoś taki.

– Ale nie przypomina sobie pan żadnej konkretnej osoby?

– Był młodym reżyserem, który osiągnął spory sukces, więc zawsze kręciła się przy nim gromada klakierów. Jeżeli jednak pytasz, czy pamiętam pojedyncze osoby, to, niestety, muszę zaprzeczyć. To było dawno, a wiek nie służy mojej pamięci. – Znowu się uśmiechnął, choć widziałem, że jeszcze nie skończył. – Ale jeśli mam być szczery, Bobby zawsze był typem samotnika. Nigdy nie rozgryzłem, czy to dlatego, że nie miał rodzeństwa, czy też z powodu jego niemieckiego pochodzenia i sposobu wychowania. W każdym razie dobrze się czuł sam ze sobą. Nie zabiegał o znajomości. Pamiętam, jak mi mówił, że kiedy dorastał, spędzał długie godziny na planie filmów Fritza Langa, obserwował go przy pracy, patrzył, jak reżyseruje, i robił tony notatek. To go najbardziej interesowało. Robiłeś coś podobnego, kiedy miałeś kilkanaście lat?

– Nie, raczej nie – odparłem.

Rozłożył ręce.

– Ja też nie.

– Kiedy widział go pan ostatni raz?

– Ooo... – Cramer przyłożył dwa palce do skroni. – Nie wiem. Kiedy się tu przeprowadził, przez długi czas go nie widywałem. Urodziłem się i wychowałem w dolinie San Fernando, większość zawodowego życia spędziłem w Los Angeles, a on był na drugim końcu świata, w Anglii, Niemczech, Hiszpanii, więc po jakimś czasie nasze kontakty się urwały. Nie sądzę, by chciał mieć coś wspólnego z Hollywood po tym, co się stało... zresztą trudno się dziwić. Przemysł filmowy go zdradził, sprzedał. Rzucił rekinom na pożarcie. W gazetach wypisywano tyle bzdur, przed komisją Kongresu wylało się tyle łgarstw i nie ujął się za nim zupełnie nikt, ani szefostwo wytwórni, ani reżyserzy, ani producenci, ani żaden z aktorów, którzy z nim pracowali. – Umilkł, wolno mrugając. Nagle wydał się drobniejszy, jak gdyby odpłynęła z niego krew. – Wstyd przyznać, ale byłem jednym z nich.

Weszła gospodyni z tacą, na której stały trzy kubki kawy i talerzyk ciastek, ale Cramer nawet nie spojrzał. Nieobecny wzrokiem, bez słowa, wpatrywał się w przestrzeń,

a wyraz skruchy długo nie schodził z jego twarzy. W końcu zainterweniowała Alex – zaczęła mówić o premierowej gali, o ludziach, którzy mieli się na niej zjawić, a wtedy Cramer podjął temat nowego sezonu Royalty Park, ostatniego z jego udziałem, zastanawiając się, jak widzowie zareagują na to, że w ostatnim odcinku zostanie uśmiercony. Zaraz potem przeprosił mnie, że zdradza fabułę, uspokoiłem go jednak, że nie musi się tym przejmować, więc kontynuował rozmowę z Alex. Wspomniał, że wkrótce, kiedy skończy się umowa najmu domu, zamierza wrócić do Los Angeles i chociaż będzie tęsknił za Londynem, to z pewnością nie za tutejszą pogodą, po czym znowu wrócili do tematu przyjęcia.

Mimo okazałości tych wnętrz łatwo można było zapomnieć, że ten człowiek był kiedyś – a może jest nadal – jedną z największych gwiazd filmowych na świecie. Żaden aktor nie zdobył tytułu Oscarów co on. Nikt inny nie cieszył się podobnym uznaniem krytyki, a jednocześnie nie miał takiego potencjału komercyjnego – a teraz porzucał być może najpopularniejszy obecnie serial telewizyjny. Dumając o tym, pomyślałem, jak biegunowo różni się jego doświadczenia od losów Roberta Hosterlitz, człowieka, który dał Cramerowi sławę, który czekał na niego pod off-broadwayowskim teatrem, aby mu oznajmić, że może zostać hollywoodzką gwiazdą. Obaj dostali Oscara za *Oczy nocy*, ale podczas gdy Cramer stał się później fenomenem, Hosterlitz umarł na zboczu wzgórza w Somerset, w samotności, jeśli nie liczyć uczucia jednej kobiety, pozostawiając po sobie trzydziestoletni dorobek filmowy i telewizyjny, o którym nikt nie pamiętał, a tym bardziej nikt się nim nie interesował.

Delikatnie wróciłem do naszej rozmowy.

– Oglądał pan któryś z filmów Roberta, jakie nakręcił po wyjeździe ze Stanów w pięćdziesiątym czwartym roku?

– Widziałem *Ducha Wielkich Równin*.

– Jego western?

– Tak. Kiedy to weszło na ekrany? W połowie lat sześćdziesiątych?

– W sześćdziesiątym siódmym.

– Pamiętam, jak byłem na tym w kinie. Wspaniały film. Wiem, że krytycy kręcili nosami, wiem, że nie przyniósł Paramount mnóstwa pieniędzy, ale podobał mi się bardziej niż spaghetti westerny z Clintem. Film *Bobby*'ego miał prawdziwą klasę. Chociaż... *Ducha* nakręcił chyba już po powrocie do Ameryki.

Skinąłem głową.

– A filmy, które zrobił w Europie?

– Hm...

Zmarszczył czoło i zacisnął pięści, jak gdyby próbował zmusić pamięć do wysiłku. A może usiłował przypomnieć sobie tytuły, ponieważ było jasne, że nie widział nic więcej, co wyszło spod ręki Hosterlitz.

– Nie szkodzi, jeżeli ich pan nie zna – powiedziałem.

Chrapliwie wypuścił powietrze z płuc.

– Mam wyrzuty sumienia.

– Proszę się nie przejmować. – Naciskałem dalej. – Nie jestem pewien, czy pan o tym wie, ale między siedemdziesiątym dziewiątym a osiemdziesiątym czwartym rokiem nakręcił w Hiszpanii jedenaście horrorów i we wszystkich pojawia się na końcu półtoraminutowa scena z udziałem jego żony Lyndy i ujęciem jakiejś ulicy. – Przerwałem, wpatrując się badawczo w jego twarz, on jednak spoglądał na mnie wyczekująco, najwyraźniej nie rozumiejąc, do czego zmierzam. – Chodzi mi o to, że z wyjątkiem paru drobnych szczegółów, identyczna scena powtarza się we wszystkich jego filmach z tamtego okresu.

Alex patrzyła na mnie spod ściągniętych brwi.

– Mówisz serio?

Skinąłem głową i oboje spojrzeliśmy na Cramera, który zerkał to na mnie, to na Alex, jak gdyby sądził, że próbujemy bawić się jego kosztem.

– Ta sama scena? – spytał niepewnie.

– Rozumie pan coś z tego?

– Nie – odparł z twarzą zastygłą w wyrazie zaskoczenia; w tym momencie wyglądał na swój wiek.

Postanowiłem zmienić temat, żeby nie stracić tempa. Wyjąłem fotografię drewnianego anioła i podałem mu.

– Może uzna pan moje pytanie za dziwne, ale czy to zdjęcie z czymś się panu kojarzy?

Trzymając je w palcach, drugą ręką sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki po okulary. Prócz marynarki miał na sobie niebieską koszulę i sztruksy i w końcu namacał okulary w kieszeni spodni.

– To jest anioł? – zapytał.

– Tak. Wyrzeźbiony w drewnie. Poznaje go pan?

– Nie. – Uniósł głowę. – Co on ma na szyi?

– Czarny krucyfiks.

Cramer przechylił zdjęcie, jakby miał nadzieję, że zmieni się w trójwymiarowy obraz, który będzie mógł obejrzeć ze wszystkich stron. Wreszcie mi je oddał.

– Znalazłeś to w rzeczach Roberta?

– W rzeczach jego żony. Poznaje pan tę figurę?

– Niestety, nie – odparł.

Zerknąłem na zegarek. Zauważywszy to, Alex rzuciła:

– Niedługo musimy kończyć, David.

Znowu zwróciłem się do Cramera:

– Ma pan jeszcze kontakty zawodowe z Saulem Zellerem?

– Z Saulem? Och, od dawna już nie. – Wydawał się zaskoczony kolejną zmianą kierunku rozmowy. – Mój ostatni film dla American Kingdom to było D z roku... – Spojrzał na Alex. –

Kiedy zrobili D?

– W połowie lat dziewięćdziesiątych? – podsunęła. – Chyba w dziewięćdziesiątym czwartym.

– Tak, to by się zgadzało. Saul oficjalnie jest prezesem firmy od siedemdziesiątego roku, nieoficjalnie kieruje nią znacznie dłużej, a ja wystąpiłem w mnóstwie filmów Kingdom w latach pięćdziesiątych, sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, więc w tym okresie spotykałem go, z przerwami, bardzo często. – Zawahał się. – Ale po premierze D... Ooo, nie wiem, kiedy ostatni raz rozmawiałem z Saulem. Może pięć lat temu. Może dziesięć. Od dwa tysiące pierwszego byłem już emerytem, a kiedy dziewięć lat później wróciłem, żeby zagrać w Royalty Park, wszystkie sprawy załatwiałem z Alex, bo serial powstaje w Londynie, nie w Los Angeles.

Zrobiłem jeszcze parę notatek.

Nadal ze zdziwieniem marszczył czoło.

– Dlaczego o to pytasz?

– Och, to nic ważnego. – Lekceważąco machnąłem ręką, próbując dać sobie czas do namysłu. – Być może będę miał okazję go poznać, kiedy przyjedzie na galę. Z tego, co czytałem, ma opinię dość krewkiego jegomościa. Zastanawiam się po prostu, czy włożyć kamizelkę kuloodporną.

Ostatnie zdanie wyraźnie uspokoiło Cramera; zaśmiał się lekko i rzekł:

– Nie jest aż taki zły. Uczestniczyłem w spotkaniach, na których nieraz zmywał komuś głowę, ale to zupełnie normalne u szefów, zwłaszcza tak wysoko postawionych. – Zerknął na Alex i mrugnął do niej. – Nie, Saul jest w porządku. Gawędziłem z nim na przyjęciach, na różnych uroczystościach, i to były cudowne rozmowy. Na pewno będzie się zachowywał bez zarzutu.

– Czyli nigdy się pan z nim nie pokłócił?

– Nie. Między Saulem a mną nigdy nie doszło do sytuacji, która mogłaby się stać powodem pojedynku. – Wciąż się uśmiechał, traktując to jako ciąg dalszy żartu na temat wybuchowości Zellerera.

– Czy słyszał pan kiedyś nazwisko Billy Egan?

Spojrzał na mnie, niepewny, czy to jeszcze żart o Zellerze, czy nowy wątek.

– Nie słyszałem – odparł. – Czy to ktoś, kogo powinienem znać?

– Nie. – Staralem się zbagatelizować sprawę. – To mało istotny szczegół. – Zanim zdążył okazać zainteresowanie, szybko zmieniłem temat. – Poznał pan żonę Roberta, Lyndę Korin?

– Niestety, nie. Chociaż ogromnie chciałbym ją poznać. Jak wspominałem, Bobby był typem samotnika, więc taki przełom w jego życiu i decyzja o zaangażowaniu się w związek... ta kobieta musiała mieć w sobie coś wyjątkowego.

– Mówi panu coś tytuł Różany Krąg?

Pytanie na moment zbiło go z tropu, a gdy zerknąłem na Alex, też zobaczyłem na jej twarzy wyraz zaskoczenia.

– Różany Krąg – powtórzył. – Jak w dziecięcej rymowance?

– Właśnie. Z czymś się panu kojarzy?

– Oprócz rymowanki?

– Tak. Może czytał pan scenariusz pod takim tytułem?

– Nie – odparł. – Nie sędzę.

Rozmowa o tym prowadziła donikąd. Cramer w ciągu lat swojej kariery przeczytał prawdopodobnie tysiące scenariuszy. Porzuciłem ten wątek, chcąc przejść do następnego.

– Naprawdę musimy już kończyć, David – odezwała się Alex.

– Dobrze, jeszcze tylko jedna rzecz. – Zostały mi chyba trzy minuty. – Mówił pan wcześniej, że po tym, jak Robert przeprowadził się do Anglii, nie widział go pan przez długi czas. Czy to znaczy, że spotkał się pan z nim po jego wyjeździe ze Stanów w pięćdziesiątym czwartym roku?

Skinął głową.

– Owszem, ale tylko raz. Nie... dwa razy.

– Pamięta pan, kiedy to było?

Z namysłem przymrużył oczy.

– Pierwszy raz, kiedy kręcił Ducha Wielkich Równin dla Paramount, bo w tym samym czasie miałem zdjęcia do Świętych Manhattanu. Nie wiedziałem, że wrócił do pracy w filmie. Nie przypuszczam, żeby ktokolwiek o tym wiedział, w każdym razie Bobby nie ogłaszał tego wszem wobec. Chciał chyba, żeby film wszedł na ekrany i mówił sam za siebie. – Przez jego twarz przemknął uśmiech, z początku nikły i smutny, jednak po chwili nabrał ciepła. – Nie pamiętam wszystkich szczegółów, ale byłem wtedy w studiu, spojrzałem na jakiegoś faceta i pomyślałem sobie, że jest strasznie podobny do Bobby'ego Hosterlitz. Siedział odwrócony do mnie bokiem, palił papierosa i trzymał na kolanach taki gruby scenariusz... – Cramer rozchylił kciuk i palec wskazujący – w którym coś zawzięcie gryzmolił. Nie byłem pewien, czy to naprawdę on, bo odkąd widziałem go ostatni raz, sporo stracił na wadze, ale gdy podszedłem bliżej, pozbyłem się wątpliwości. „Bobby, to ty?”, zapytałem, a on podniósł wzrok, uśmiechnął się od ucha do ucha i powiedział: „Miałem nadzieję, Glen, że na ciebie wpadnę”.

Cramer umilkł i zapatrzył się w dal, pogrążony we wspomnieniach.

– Wynajmował takie ńędzne mieszkanko we wschodnim Hollywood, więc zaprosiłem go na parę tygodni do siebie, dopóki nie pomogę mu znaleźć czegoś lepszego. Zrobiłem to odruchowo, bez namysłu, a potem w głębi duszy zaniepokoiłem się, że po takim czasie, po dwunastu czy trzynastu latach, może nie będziemy mieli sobie nic do powiedzenia. Okazało się jednak, że było wspaniale, jak gdybyśmy się nigdy nie rozstawali.

– A to drugie spotkanie?

Spochmurniał.

– Panie Cramer?

– Drugi raz nie było już tak sympatycznie. – Zaciśnął wargi i widziałem, że szuka odpowiednich słów, by nie ukazać Hosterlitz'a w złym świetle. – Nie pamiętam, kiedy dokładnie widzieliśmy się drugi raz. Szmat czasu po tamtym spotkaniu. Minęło wiele lat. – Zmrużył oczy, usiłując przypomnieć sobie datę. – To musiało być w grudniu, bo kiedy wróciłem wieczorem do domu, przed bramą, pod drzewkiem, które moja służąca przystroiła świecącymi, zobaczyłem jakiegoś kloszarda.

– Chce pan powiedzieć, że to był Hosterlitz?

– Tak, to nie był kloszard, to był Bobby. Wyglądał okropnie. Bardzo chudy, wymizerowany. Zatrzymuję samochód, opuszczam szybę, pytam: „Bobby?!” i od razu czuję zapach alkoholu. Wionęło od niego, jakby się oblał wodą kolońską. „Chodź – mówię – wejdź do środka, będziesz mógł się doprowadzić do porządku”, ale on, zataczając się, podchodzi, celuje we mnie palcem i zaczyna na mnie kląć. To było... – Pokręcił głową, nie kończąc zdania. – To było zupełnie do niego niepodobne. Owszem, krążyły plotki, zwłaszcza gdy wrócił do Stanów, by nakręcić Ducha Wielkich Równin, że ma problemy z alkoholem. Słyszałem, że niedługo po tym, jak przyjechał, zmarła jego mama i bardzo to przeżył. Ale nigdy jeszcze nie widziałem go w takim strasznym stanie. Na pewno nie tak agresywnego.

– Co wtedy mówił?

– Nie wszystko udało mi się zrozumieć.

– Pamięta pan coś?

– Okropnie bełkotał, ale najbardziej utkwiło mi w pamięci, kiedy powiedział, że nie zasługuję na nic, co w życiu osiągnąłem.

– Dlaczego to powiedział?

– Nie mam najmniejszego pojęcia. Śmieszne, ale te słowa bardzo mnie zabolęły. Okropnie. Usłyszałem je od kogoś, kto był mi kiedyś taki bliski, komu właściwie zawdzięczałem moją całą karierę, dlatego naprawdę mnie dotknęły. Miałem w życiu parę złych recenzji i kompletnie się nie przejmuję, co o moich filmach sądzi „Los Angeles Times”. Ale zdanie Bobby'ego to całkiem inna sprawa. Szanowałem go. Nie wiem, co takiego zrobiłem, że tak się zdenerwował... ale te słowa zabolęły.

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem, czy był pijany, czy naćpany, czy po prostu się pogubił, w każdym razie zupełnie pomieszało mu się w głowie. W końcu udało mi się go uspokoić, wziąłem go do siebie i zasnął na kanapie. Przyznaję, że musiałem się głęboko zastanowić, czy zabrać go do domu i pozwolić mu przespać się w salonie po tym, jak obrzydliwie mnie potraktował. Ale w przeciwnym razie musiałbym wezwać gliniarzy i przymknęliby go, dopóki by nie wytrzeźwiał, a przecież nie można zrobić czegoś takiego przyjacielowi, nawet jeśli zachował się tak strasznie jak Bobby. Pamiętam, że kobieta, z którą się wtedy spotykałem,

Gloria, następnego dnia rano zmyła mi głowę, kiedy weszła do salonu i zobaczyła rzygowiny na kanapach, dywanie, dosłownie w całym domu.

– Robert przeprosił pana następnego dnia?

– Nie. Zanim Gloria i ja wstaliśmy, zdążył się ulotnić. – Cramer próbował się uśmiechnąć, ale trudno było mu ukryć ból i przygnębienie. – C'est la vie, chociaż nie zamierzam udawać, że nie byłem wtedy wściekły. To moje ostatnie wspomnienie o Bobbym: wrzaski, obelgi i przekleństwa przed domem, a na drugi dzień moja gosposia na kolanach ścierająca wymiociny z kanapy.

– Potem już nigdy go pan nie widział?

Cramer pokręcił głową.

– Nie – odrzekł cicho, ze smutkiem. – Nazwisko Bobby'ego Hosterlitz'a zobaczyłem dopiero w nekrologu.

Kilka minut później Cramer wszedł do limuzyny, która po niego przyjechała, a ja stanąłem z Alex obok jej range rovera. Na ciemnym niebie pojawiły się gwiazdy, turyści i fotoreporterzy już dawno zniknęli sprzed domu.

– Mam jeszcze trochę pracy – powiedziała.

– Dzięki, że to zorganizowałaś.

– Pomogło?

– Tak – odrzekłem, choć nie byłem pewien, czy to prawda. Potrzebowałem czasu, żeby przetrwać wszystko, co powiedział mi Cramer, bo w tym momencie trudno mi było połączyć to w całość. Cramer nie widział Saula Zellera od co najmniej pięciu lat, rzadko się spotykali, odkąd aktor wystąpił w ostatnim filmie American Kingdom – który powstał ponad dwadzieścia lat temu. Nie byli przyjaciółmi, kolegami ani nawet wrogami. Byli po prostu ludźmi, których kiedyś połączyła wspólna praca. Z kolei Alex przynajmniej raz w tygodniu odbywała z Zellerem wideorozmowę, ponieważ był jej szefem. Nie wiedziałem, z jakich powodów Zeller kazał śledzić Alex – i Cramera – i robić im zdjęcia teleobiektywem.

Jeśli natomiast chodziło o mnie, Zeller mógł kazać mnie śledzić tylko dlatego, że był żywotnie zainteresowany tym, co mogę znaleźć podczas poszukiwania Lyndy Korin. Żaden inny motyw nie przychodził mi do głowy. Ale czy jego zainteresowanie dotyczyło Lyndy Korin, czy Roberta Hosterlitz? Dawno temu pracował z Hosterlitzem, do 1994 roku z Cramerem, a teraz z Alex Cavarno, więc te związki przynajmniej dało się jakoś wytłumaczyć. Ale Korin? O ile było mi wiadomo, ona i Zeller nigdy się nie spotkali. Właśnie dlatego dochodziłem do wniosku, że Korin interesuje go ze względu na coś, co ma związek z życiem Hosterlitz. Co kryło się w przeszłości reżysera.

– No to co, mam zadzwonić na policję?

To pytanie wyrwało mnie z zamyślenia. Na ulicy panowała cisza, tylko dwa gołębie gruchały na drucie nad nami. Alex stała przy drzwiach swojego samochodu, z ręką na klamce, i patrzyła na mnie. Z odległości metra czułem woń perfum, a jej oczy w pomarańczowym blasku latarni wyglądały jak rozżarzone węgle.

– Na policję? – powtórzyłem ze zdziwieniem.

– Zgłosić, że śledzi nas Egan.

– Wydaje mi się, że jeszcze na to za wcześnie.

– Czyli uważasz, że nic mi nie grozi?

– Mam jego adres i zamierzam dowiedzieć się, kim on naprawdę jest, więc przypuszczam, że bardziej ja będę go interesował. – Wskazałem na telefon w jej dłoni. – Ale w razie czego masz mój numer. Gdyby coś cię zaniepokoiło, dzwoń.

– Dobrze.

– Mówię serio.

Skinęła głową, spoglądając na mnie przeciągle, a ja znów poczułem taki sam prąd, przebiegający mi po plecach, przesywający pierś i pulsujący w głowie.

– Nie muszę dzisiaj kończyć tej pracy – powiedziała.

Czułem, co się święci.

Patrzyłem bez słowa na jej skórę koloru jesieni, na oczy jak ciemny bursztyn. Wyglądała pięknie.

– Masz ochotę na drinka? – spytała.

Tak. Nie. Nie wiem.

– David?

– Nie mogę – wyrwało mi się nagle i poczułem, jak uchodzi ze mnie powietrze. Ogarnęła mnie ulga, żal, wyrzuty sumienia. – Nie mogę – powtórzyłem wyraźniej, silniejszym głosem, przekonany już o szczerości tych słów. – Nie chodzi o to, że nie chcę... – Bo chcę. Urwałem, przełknąłem ślinę. – Po prostu... spotykam się z kimś innym.

– Ach.

– Nie chcę skrzywdzić tej osoby.

– Tak, oczywiście – wykrztusiła z zażenowaną miną. – Oczywiście, że nie chcesz. Nie miałam zamiaru... – Tym razem to ona urwała. – Przepraszam, to nie...

Powstrzymałem ją ruchem ręki.

– Źle zrozumiałam sytuację.

– Wcale nie rozumiałaś źle.

Sugestia była jasna, ale nie wystarczyła, by Alex zdołała stłumić zakłopotanie. Uchyliła drzwi range rovera.

– Lepiej już pojedę.

– Dobrze.

– Zadzwoń, jeśli będziesz czegoś potrzebował.

– Zadzwonię. Jeszcze raz dziękuję, Alex.

Dopiero gdy jej samochód zniknął mi z oczu, a parzące poczucie winy i żal z wolna słabły, do głowy przyszła mi myśl: a może w tym wszystkim chodziło o Różany Krąg?

Może to był powód, dla którego na początku listopada Zeller włączył Egana do zespołu? Ni stąd, ni zowąd, po wielu miesiącach zwłoki, dał Alex zgodę na remont kina Comet i polecił jej ogłosić przetarg dla miejscowych firm. Może zrobił to dlatego, że kilka dni wcześniej natknął się w internecie na artykuł Marca Collinsky'ego?

Chronologia by się zgadzała.

W październiku ubiegłego roku po raz pierwszy wypłynął tytuł Różany Krąg. Collinsky nie wymieniał go w papierowej wersji swojego pisma, dlatego artykuł nie zwrócił uwagi Zellera. Poza tym brytyjski magazyn byłby dostępny w Stanach z pewnym poślizgiem, w styczniu albo lutym. Z internetem było jednak inaczej. Działał błyskawicznie. Każdy mógł przeczytać tamten artykuł, gdy tylko się ukazał, czyli dwudziestego siódmego października.

Być może Zeller sam znalazł go w sieci. Może powiedział mu o nim Egan albo ktoś inny. W każdym razie to musiał być powód nagłej decyzji Zellera w sprawie kina Comet. Chciał umieścić Egana jak najbliżej europejskiego oddziału American Kingdom. Ale czy po to, żeby miał na oku Alex? Cramera? Czy żeby zbadać trop prowadzący do Korin i Hosterlitz, a ostatecznie do Różanego Kręgu? Egan śledził mnie, bo albo nie znalazł Korin, albo ją znalazł. Czy to oznaczało, że próbował mnie powstrzymać – czy wykorzystać?

Nawet nie znając odpowiedzi na te pytania, poczułem ucisk w żołądku, bo intuicja mówiła mi, że nie prowadzi to do niczego dobrego. To był instynkt, który wykształcił się we mnie w ciągu lat penetrowania mrocznych zakamarków, gdzie szukałem zaginionych. Wyjąłem telefon i otworzyłem mapę pokazującą lokalizację urządzeń. Pojawił się plan tej samej części Londynu, a kropka tkwiła przed tym samym domem co poprzednio.

Wskazywała Billy'ego Egana.

Musiałem ustalić, kim jest naprawdę.

Bradbury Lane była ślepym zaułkiem w kształcie litery L, odchodzącym od Streatham High Road w połowie długości. Przy uliczce stały przeróżne budynki z lat trzydziestych, parę przysadzistych parterowych domków z mozaikowym tynkiem oraz kilka punktów handlowych i usługowych: mały sklepik, warsztat samochodowy, zakład krawiecki, frytkarnia. Na zakręcie dostrzegłem czarnego mercedesa: stał na podjeździe, pod osłoną drzewa rosnącego przed bramą jednego z parterowych domków, wtapiając się w wieczorny mrok. Zawróciłem i znalazłem miejsce parkingowe z dala od tego budynku, u wylotu uliczki.

Domek, przed którym stał mercedes, był chyba najbrzydszym budynkiem w zaułku. Od frontu miał jedno okno wykuszowe i czarne drzwi, ściany pokrywał paskudny brązowy tynk, a drewniane ogrodzenie było w oplakany stanie. Chyba od lat nikt go nie naprawiał, a w połowie długości lekko się pochylało, jak gdyby nie wytrzymało naporu silnego wiatru albo wjechał w nie samochód.

Sprawdziłem godzinę. Wpół do jedenastej.

Ustawiłem lusterko wsteczne tak, aby mieć dobry widok na dom, i zacząłem szukać informacji o Rafaelu Walkerze, który moim zdaniem mógł używać na forum nicka Microscope. Nieangielska pisownia imienia w połączeniu z arcyangielskim nazwiskiem ułatwiła mi zadanie. Dość szybko odnalazłem jego konto na Facebooku, Twitterze i Instagramie, a także szczytki strony internetowej, którą zaczął budować, ale przestał, gdy zaczął pisać w magazynie „Sight & Sound” i podjął współpracę z Brytyjskim Instytutem Filmowym.

Na Facebooku i Twitterze starał się nie ujawniać zbyt wielu informacji o sobie; jego wpisy dotyczyły filmów, telewizji albo pracy w Brytyjskim Instytucie Filmowym. Zamieścił zdjęcia z wystawy o amerykańskim kinie noir, którą zorganizował, ale niewiele więcej. Uwielbiał swoją pracę, uwielbiał filmy. Mniej więcej do tego sprowadzał się komunikat.

Na Instagramie był jednak odrobinę mniej ostrożny. W londyńskiej księżce telefonicznej online znalazłem dwudziestu czterech R. Walkerów, zacząłem więc oglądać po kolei jego zdjęcia, szukając śladów wskazujących, gdzie je zrobiono, i sprawdzając, czy pozwolą mi odgadnąć, jakie ma przyzwyczajenia, jak wygląda jego codzienność, gdzie lubi bywać, w jakiej okolicy mieszka. Po kilku minutach znalazłem jego fotografię z dwiema osobami, zrobioną w jakimś parku. Otaczał ich rodzaj kręgu z niewielkich białych głazów.

W tle było widać zachodzące słońce, a uważniej przyjrząwszy się zdjęciu, poznałem ten układ kamieni.

To był park Hilly Fields w Lewisham.

Wróciłem do internetowej książki telefonicznej. Dwunasty na liście R. Walker mieszkał na Predegast Avenue, niecały kilometr od Lewisham High Street.

Zastanawiałem się przez moment, czy nie zadzwonić do niego, by się upewnić, że jest osobą, której szukam, ale był sobotni wieczór, wpół do jedenastej, więc niespodziewany telefon z serią pytań o Hosterlitz'a i Korin wydał mi się złym pomysłem. Jeżeli facet nie był w ciemę bity, domyśliliby się, że wytropiłem go przez media społecznościowe, wykorzystując je w najgorszy możliwy sposób, chociaż i tak będę musiał się z tym zmierzyć, gdy skontaktuję się z nim telefonicznie – albo spotkam go osobiście. Poniedziałek był wolny, co oznaczało, że wróci do pracy dopiero we wtorek, jednak absolutnie nie mogłem czekać dwóch dni, żeby pojawić się w instytucie i nadać mojej wizycie pozory formalności.

Dając sobie na razie spokój z Walkerem, sięgnąłem na tylne siedzenie, wziąłem notes i wszystkie papiery, jakie zebrałem przez kilka ostatnich dni, i po raz kolejny zacząłem je przeglądać. Dość szybko wróciłem do Glena Cramera i stenogramu rozmowy, odczytując te same rzeczy w tej samej kolejności i je analizując. Przeszedłem do części, w której opowiadał o spotkaniu z Hosterlitz'em przed swoim domem, i zatrzymałem wzrok na linijce, którą dopisałem na samym końcu.

Drugi raz – grudzień KIEDY??

Chodziło o to, w którym roku Cramer po raz drugi i ostatni widział Hosterlitz'a. Pierwszy raz spotkali się w studiu Paramount w 1966 roku, kiedy Cramer grał w Świętych Manhattanu, a Hosterlitz wrócił do kraju, by nakręcić Ducha Wielkich Równin. Drugie spotkanie, według relacji Cramera, nastąpiło w grudniu, nie wiadomo którego roku.

Znowu otworzyłem notes, tym razem na zapiskach z rozmowy przez Skype'a z Wendy Fisher, a potem przysunąłem sobie laptop i otworzyłem pełną wersję transkrypcji, którą wstukałem później do komputera. Czytałem linijka po linijce i wkrótce znalazłem to, czego szukałem.

WENDY: Pamiętam, jak któregoś roku Lyn i Bob nas odwiedzili... Jezu, to chyba było Boże Narodzenie osiemdziesiątego czwartego. W każdym razie zostali na parę dni, spędziliśmy razem pierwszy dzień świąt, a drugiego dnia Bob rano wstał i po prostu zniknął na tydzień.

JA: Naprawdę? Dokąd pojechał?

WENDY: Na północ Minnesoty. Podobno do lasów stanowych.

JA: Tak powiedziała Lynda?

WENDY: Mówiła, że Bob pojechał szukać jakichś plenerów. Nie wiem, czy to była prawda, czy nie... nie jestem nawet pewna, czy ona sama wiedziała... ale zobaczyliśmy go wtedy dopiero trzeci raz w życiu, a jemu nie chciało się dłużej z nami siedzieć, więc po kilku dniach pojechał rozejrzeć się po jakiejś głuszy w Minnesocie.

Cramer pamiętał, że tego wieczoru, gdy zjawił się u niego Hosterlitz, drzewko przed jego domem było przystrojone światełkami i że to był grudzień.

Może więc Hosterlitz wcale nie pojechał rozejrzeć się po lasach na północy Minnesoty? Może pojechał do Los Angeles?

Przeczytałem zapis rozmowy drugi i trzeci raz, ale wciąż wracałem do tego samego fragmentu: „Mówiła, że Bob pojechał szukać jakichś plenerów. Nie wiem, czy to była prawda, czy nie... nie jestem nawet pewna, czy ona sama wiedziała”. Czyżby Korin naprawdę nie wiedziała, gdzie jej mąż spędził tamten tydzień w grudniu 1984 roku? Jeżeli tak, dlaczego to przed nią ukrył? Po co w ogóle wybrał się do Los Angeles? Tylko po to, żeby naskoczyć na Cramera?

Na pewno nie pojechał szukać pracy. Wtedy od blisko roku był już emerytem i mieszkał z Korin na wzgórzach Mendip. Ale jeśli nawet postanowił zmienić decyzję o zakończeniu kariery, nie zatrudniłoby go żadne studio, więc jeżeli liczył na pracę, straciłby tylko czas na podróż. Korin wspominała, że na emeryturze Hosterlitz zaczął coś pisać i sprawiało mu to przyjemność, ale Cramer nigdy nie słyszał o Różanym Kręgu, a Korin nigdy nie widziała nawet fragmentu scenariusza, dlatego wydawało się mało prawdopodobne, by Hosterlitz poleciał do Los Angeles z gotowym tekstem.

Równie niewiarygodna była wersja, że pokonał dwa i pół tysiąca kilometrów tylko po to, by zwymyślać Cramera. Czemu miałby sobie zadawać tyle trudu? Chciał zrzucić na kogoś winę za upadek swojej kariery? W grę wchodziła zazdrość? Zawiść? Skończyło się na tym, że narobił sobie wstydu i omal nie zniszczył resztek ciepłych uczuć, jakie Cramer wciąż do niego żywił. Możliwe, że wtedy Hosterlitz już czuł bliski koniec. Zaledwie kilka tygodni przed wyjazdem do Wendy i jej rodziny usłyszał druzgoczącą wiadomość, że jest śmiertelnie chory na raka. Możliwe, że w połączeniu z towarzyszącym mu przez lata poczuciem krzywdy, z uzależnieniem od alkoholu i leków, z rozgorzyczeniem i urazą, sprawiło, że wcale nie uważał tego za nic niezwykłego. Możliwe, że dla niego racjonalna reakcja.

Ostatni akt długiej tragedii.

Wróciłem do słów Wendy Fisher – przypuszczenia, że Korin nie miała pojęcia, co Hosterlitz robił przez ten grudniowy tydzień – i zastanawiałem się, czy podobnie wyglądały inne strony ich małżeństwa. Co jeszcze przed nią ukrywał? Czy ona, w rewanżu, robiła to samo? Przypomniałem sobie swoją rozmowę z Markiem Collinskim, któremu Korin mówiła, że nigdy nie kwestionowała reżyserii Hosterlitz, nawet gdy kazał jej grać

takie same półtoraminutowe sceny. Może jednak o nie pytała, a on podał jej powód, tyle że nieprawdziwy? Na żadnej z kartek, które przeczytałem, w żadnej rozmowie nie znalazłem nic, co by sugerowało, że byli nieszczęśliwi. Ale jeżeli okłamał ją w 1984 roku, mówiąc, że jedzie na północ stanu „szukać plenerów”, dlaczego nie miałby kłamać w innych sprawach?

Być może wcale nie był człowiekiem, jakiego Korin znała.

Być może nikt go nie znał.

Kiedy po raz czwarty przebiegałem wzrokiem zapis rozmowy, szukając czegoś więcej, co potwierdzałoby moje przypuszczenia, dostrzegłem ruch w lusterku. Tak bardzo pochłonęła mnie myśl o tym, że Hosterlitz pojechał do Los Angeles i okłamał żonę, że przestałem zwracać uwagę na dom za mną.

Ktoś właśnie z niego wychodził.

Zatrzasnąłem laptop i osunąłem się niżej w fotelu, ze wzrokiem utkwionym w lusterku. To był Egan. Wszedł od frontu, zamknął za sobą drzwi, obrzucił spojrzeniem ulicę i otworzył swojego mercedesa. Dwa razy błysnęły migacze. Dostrzegłem jego ogoloną czaszkę, kiedy na chwilę pochylił się nad deską rozdzielczą, i zobaczyłem, że jest ubrany w to samo co wcześniej – beżową kurtkę i czarny golf. Zaraz jednak zasłoniły go ciemności.

Zaparkowałem swój samochód na tyle blisko auta stojącego za mną, że mijając mnie, Egan nie mógł zobaczyć numerów rejestracyjnych, i na tyle daleko od najbliższej latarni, że szare bmw mogło wyglądać na czarne, srebrne albo granatowe. Włączył reflektory i gwałtownie ruszył z podjazdu, po czym przemknął obok, nawet nie rzucając na mnie okiem.

Kiedy zatrzymał się u wylotu uliczki i włączył lewy kierunkowskaz, a mercedesa oświetlił blask ze Streatham High Road, na ekranie telefonu zobaczyłem, że kropka na mapie wiernie odtwarza ruch pojazdu. Telefon nadal tkwił przyklejony do podwozia. Egan jeszcze go nie znalazł, czyli jeszcze się nie zorientował, że wpadłem na jego trop. Musiałem wykorzystać tę przewagę, dopóki ją miałem. Gdy odjechał, wrzuciłem wszystko do plecaka, przewiesiłem go przez ramię i ruszyłem w stronę domu.

Zbliżając się, zobaczyłem, że boczna furka jest zamknięta na kłódkę. Rozejrzałem się po ulicy, sprawdzając, czy w żadnym oknie nie porusza się firanka, a potem skierowałem wzrok na okno od frontu w domu Egana. Żaluzje były opuszczone, przez matowe szybki w drzwiach wejściowych nie sączyło się żadne światło z wewnątrz. Ponownie się upewniłem, czy nikt mnie nie obserwuje, po czym przemknąłem chodnikiem wzdłuż domu, wspiąłem się na furkę i zeskoczyłem po drugiej stronie. Znieruchomiałem, nasłuchując.

Wszędzie panowała cisza.

Za domem znajdował się niewielki ogród, raczej symboliczny: taras z nierównych, częściowo omszałych płyt był otoczony ceglanym murkiem wysokości pół metra, a kwadratowy trawnik wyglądał, jak gdyby niedawno potraktowano go środkiem chwastobójczym. Nic nie rosło na klombach ani w donicach, nic nie pięło się po treliazu. Po jednej stronie ogrodu wznosił się piętrowy budynek, a po drugiej zobaczyłem zaplecze zakładu krawieckiego. U krawca nic się nie działo, co mnie nie zaskoczyło, ale w sąsiednim domu na górze paliły się światła, więc trzymałem się tylnej ściany domu Egana, tak żeby mnie nie widziano.

Po tej stronie były dwa okna oraz drzwi. Drzwi prowadziły do kuchni, do której można było zajrzeć przez jedno okno, natomiast za drugim znajdował się salon – niewielki pokój, z kominkiem, dwuosobową kanapą i telewizorem stojącym w rogu na trójnożnym stołku. Nie było żadnych tapet, regałów ani zdjęć. Kiedy zbliżyłem twarz do szyby, zauważyłem jeszcze odtwarzacz DVD; przewody od niego i telewizora wiły się po starym dywanie, sięgając do gniazdka umieszczonego obok kominka. Przy kanapie leżały resztki jedzenia na wynos. Poza tym pokój był pusty.

Egan najwyraźniej wynajął dom krótkoterminowo.

Wróciłem do drzwi, wyjąłem zestaw wytrychów i zabrałem się do pracy. To był staroświecki zamek bębnekowy, z zardzewiałymi bolcami, ale po paru nieudanych próbach udało mi się go otworzyć. Spojrzałem na zakład krawiecki, potem na piętrowy budynek i wszedłem.

Gdy tylko zamknąłem za sobą kuchenne drzwi, hałas ruchu na Streatham High Road przycichł, zmieniając się w głucho brzęczenie, niczym odgłos wydawany przez konającego owada, i powoli zaczęły do mnie docierać dźwięki domu: szum lodówki, bulgot wody w rurach, od czasu do czasu dobiegające skądś skrzypnięcie domu, który jakby się kurczył w wieczornym chłodzie. Nadal nie włączając latarki, bo zupełnie wystarczało mi światło z ulicy, wyszedłem z kuchni na korytarz.

Był krótki i obskurny. Farba już dawno zaczęła odchodzić od ścian, a dywan musiał mieć ze trzydzieści lat: na brzegach zachował się w niezłym stanie, ale pośrodku, gdzie zrobiono po nim tysiące, a może setki tysięcy kroków, był przetarty do cna i wystawały z niego postrzępione włókna. Z korytarza prowadziło troje drzwi: do salonu, do sypialni i do małej łazienki.

Przystanąłem w połowie drogi, wyjąłem telefon i sprawdziłem lokalizację Billy'ego Egana. Aplikacja pokazała kropkę przesuwającą się po Brixton Road, trzy kilometry na północ ode mnie. Schowałem komórkę i wszedłem do salonu, aby obejrzeć go z bliska, ale wyglądał dokładnie tak samo jak z zewnątrz: zaniedbany, pusty, nieprzytulny.

Sypialnia też była niewielka i skromnie umeblowana: pojedyncze łóżko, składany drewniany stolik, na którym leżały przybory toaletowe, oraz wbudowana w ścianę szafa. Trafił tu taki sam dywan jak w korytarzu i salonie, wytarty, brudny i postrzępiony. Nabrałem już niemal stuprocentowej pewności, że dom jest dla Egana tylko tymczasowym przystankiem, chwilowym dachem nad głową.

Podszedłem do szafy. Ubrania na wieszakach zostały podzielone na te bardziej eleganckie – garnitury, koszule – i codzienne, w rodzaju T-shirtów i dżinsów. Pomieszane pary butów leżały rzucone byle jak. Pusta walizka. I sarta starych książek w zagiętych okładkach, z popękkanymi grzbietami, a obok trochę płyt DVD. Kucnąłem, aby przejrzeć jedno i drugie, ale większość książek to była beletrystyka – horrory, science fiction i thrillery z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych – a wśród filmów znalazłem takie,

które w sklepach już dawno trafiły do koszy z wyprzedają. Wyglądało na to, że spędzał długie godziny na czekaniu, wypełniając sobie czas lekturą i oglądaniem filmów.

Zamknąłem szafę i ponownie rozejrzałem się po sypialni, myśląc o tym wszystkim. Skoro Egan wynajął dom na krótko i pracował dla Zellera, czy oznaczało to, że przyjechał ze Stanów?

Wróciłem na korytarz, gdzie jeszcze raz sprawdziłem położenie Egana. Był na rondzie Elephant and Castle i gdyby w tym momencie zawrócił, dotarłby tutaj w ciągu trzydziestu minut, pod warunkiem że nie napotkałby po drodze żadnych przeszkód. Ale nie zawrócił. Pojechał dalej London Road na północny zachód, mijając kampus South Bank University.

Zerknąłem na zegarek – kwadrans po jedenastej – i w tym momencie dostrzegłem coś w łazience, przy której stałem.

Drzwi lekko się poruszały.

Chyba skądś wieje.

Podkradłem się bliżej i zajrzałem. Łazienka była maleńka: po prawej stronie wanna, pośrodku toaleta, a obok umywalka i lustro na gołej ścianie, bez kafelków, bez półek. Wszedłem i zamknąłem drzwi. Wszystkie inne odgłosy domu – lodówka, rury, skrzypienie – ucichły; został tylko lekki świst wiatru. Dochodził bezpośrednio zza drzwi łazienki.

Teraz zobaczyłem dlaczego.

Było tam wejście do piwnicy.

Na drzwiach piwnicy wisiała otwarta kłódka.

Wyjąłem z plecaka latarkę i ją włączyłem. W głąb ciemności prowadziły schody z polerowanego betonu. Uchyliłem drzwi do łazienki, żebym mógł słyszeć dźwięki dochodzące z domu, po czym jeszcze raz sprawdziłem lokalizację Egana. Był na Blackfriars Road i wciąż jechał na północ, w kierunku mostu.

Zszedłem po kilku stopniach i znowu przystanąłem. Ściany piwnicy były wyłożone sklejką, do której przybito pinezkami druty biegnące spod wykładziny do stropu. Im niżej schodziłem, tym większa część piwnicy ukazywała się moim oczom. Była duża, sięgała chyba połowy długości domu i podobnie jak pokoje na górze, była skąpo urządzona: środek zajmowało biurko, na którym stał nowiutki iMac, a przy nim skaner i drukarka; obok wielka skórzana kanapa zasłana papierami, jak gdyby Egan przerwał ich przeglądanie; jedna półka pełna segregatorów, a pod nią szafka na dokumenty.

Szukałem na ścianach włącznika światła, ale nigdzie go nie znalazłem, jednak kiedy omiotłem wewnątrz latarką, na ścianie za biurkiem zobaczyłem filcową tablicę z przyczepionym planem Londynu. Po obu stronach spływały kaskady fotografii, a od każdej biegł do jakiegoś punktu na planie sznurek, wskazując miejsce, gdzie została zrobiona. Sześć zdjęć przedstawiało Alex Cavarno: to, które zobaczyłem wcześniej w samochodzie Egana, sprzed kina Comet; trzy kolejne zrobiono obok biura American Kingdom w Docklands, a dwa prawdopodobnie przed jej domem. Zobaczyłem też trzy fotografie Glena Cramera: na jednej, którą już widziałem, zamykał drzwi domu, na drugiej wsiadał do limuzyny, na trzeciej jadł kolację w jakiejś restauracji w Mayfair, siedząc sam przy stoliku.

Wszystkie dziewięć zdjęć wykonano teleobiektywem. Co gorsza, na twarzy Cramera wsiadającego do limuzyny i na twarzy Alex przed biurem Kingdom były wyrysowane czerwonym pisakiem tarcze.

Znalazły się tam również dwie moje fotografie. Na pierwszej, nieostrej, najwyraźniej pstrykniętej w pośpiechu, rozmawiam z Alex na widowni kina Comet. To było nasze pierwsze spotkanie, kiedy Egan kręcił się pod ekranem, udając architekta. Drugie zdjęcie nie łączyło się z żadnym miejscem w Londynie. Zostało zrobione zza drzewa, w gęstym lesie, a ja trzymam przy uchu telefon. Dreszcz niepokoju przebiegł mi po plecach, gdy zdałem sobie sprawę, gdzie to było: parę kilometrów od domu Veroniki Mae. Czuję

wtedy, że ktoś mnie obserwuje, chociaż nikogo nie zobaczyłem. Ale Egan tam był. Podążał za mną jak cień, a ja zauważyłem go dopiero na autostradzie.

Odrywając się od tych myśli, wybudziłem komputer ze stanu uśpienia, ale był zabezpieczony hasłem, więc podszedłem do skórzanej kanapy i rozrzuconych na niej papierów. Wziąłem latarkę w zęby i zbierając kartki, uświadomiłem sobie, co mam przed oczami.

Raport ze śledztwa w sprawie zaginięcia Lyndy Korin.

Upewniłem się, czy to dokładnie taka sama wersja jak moja – czy nie udało mu się zdobyć niczego więcej prócz tego, co już widziałem – po czym odłożyłem raport na miejsce, mniej więcej tak, jak leżał przedtem. Następnie, znów sprawdzwszy lokalizację Egana, skierowałem się do szafki na dokumenty.

Prowadnice górnej szuflady skrzypnęły.

Wewnątrz zobaczyłem szereg ustawionych pionowo teczek z papierami. Wyjąłem zawartość kilku z nich. To był zbiór wydruków i zdjęć. Fotografie przedstawiały dom Korin. Utrwalono na nich każdy zakamarek, każde pomieszczenie, mury z zewnątrz, strych, trawnik, widok z okien, domek w ogrodzie. Na zdjęciach salonu sprawdziłem, czy jest tam drewniany anioł. Figurki nie było, a pudełka z filmami Hosterlitz na DVD leżały ułożone poziomo. Czyli gdy Egan zjawił się w tym domu, anioł i płyty już zniknęły. Czy to potwierdzałoby, że zabrała je sama Korin?

Przetrzęsnałem górną szufladę, po czym wysunąłem następną i znalazłem w niej te same dane finansowe i bilingi telefoniczne, które sam już zdobyłem. W teczkach były też kserokopie papierów, które Egan musiał zabrać z domu Korin, oraz niezliczone dokładne wykazy wszystkich poczynań Alex, Cramera i moich. Oprócz tego wydruki poszczególnych stron bazy IMDb – poświęconych każdemu z filmów Hosterlitz, w których zagrała Korin – nawet jeśli informacje ograniczały się do plakatu, obsady i ogólnego streszczenia.

Kiedy wyciągnąłem ostatnią szufladę, na ile tylko pozwalały prowadnice, usłyszałem, jak z cichym stukiem coś się przesunęło do tyłu. Włożyłem rękę do środka. Namacałem kolejne zdjęcie.

To była fotografia drewnianego anioła.

Od razu wiedziałem, że pochodzi z albumu, który znalazłem w domu Lyndy Korin. Rozpoznałem styl i oświetlenie – podobne jak na tej, którą zabrałem, i na pozostałych. Ale gdy ją odwróciłem, okazało się, że nie jest taka sama jak inne. Nie całkiem. Z tyłu była notatka.

Mam nadzieję, że mi wybaczysz, Lyndo.

Robert x

Hosterlitz.

Co miała mu wybaczyć? Jeszcze raz obejrzałem zdjęcie, nie odkryłem jednak nic, czego nie widziałbym wcześniej. Na fotografii był ten sam anioł z tym samym dorysowanym czarnym krucyfiksem, tymi samymi odbarwieniami, tymi samymi odpryskami i drobnymi pęknięciami na powierzchni drewna. Zrobiłem zdjęcie tej fotografii, aby mieć kopię, i sprawdziłem, gdzie jest Egan.

W końcu kierował się już w stronę domu.

Otworzyłem plecak, schowałem nowe zdjęcie obok tego, które już miałem, po czym znów sięgnąłem do szuflady. Tamten stuk świadczył, że kryło się w niej coś cięższego niż tylko zdjęcie.

Znalazłem to z samego tyłu.

To była książka.

Prawie cała pierwsza strona okładki została wydartą, ale zachowała się ostatnia, choć kolory wypłwiałały i notka była już ledwie czytelna. U góry odcyfrowałem hasło: „Dwadzieścia najgłośniejszych zbrodni w historii!”, a gdy otworzyłem szczątki okładki, ujrzałem następną dedykację, wyblakłą ze starości, bladobrazową. Tym razem to Korin napisała dla Hosterlitz.

Kochany Robercie!

Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin!

(Mam nadzieję, że to ta, o którą prosiłeś!)

L x

Luty 1983

Prawdopodobnie Egan pojechał do domu Korin parę dni po jej zaginięciu i zabrał stamtąd książkę i fotografię. Patrzyłem na tę dedykację, na plamy z kawy, na zagięte rogi kartek, z których unosiła się wyczuwalna woń papierosowego dymu i pleśni. Tylko po co to wziął? Z powodu tych dwóch dedykacji?

Zacząłem kartkować książkę i w metryce znalazłem rok wydania – 1982. Na stronie tytułowej przeczytałem: Historia zbrodni. Przeszedłem do spisu treści. Kartka była wymięta i miała rdzawobrazowe zacieki. Chociaż ocalała tylko jej górna połowa, zawartość książki nie była żadną niespodzianką, ponieważ roiło się w niej od stałych bohaterów i tematów reportażu kryminalnych: „Rodzina” Mansona, Bonnie i Clyde, Ted Bundy, Zodiak, John Wayne Gacy, zamach na prezydenta Kennedy’ego.

Przeglądając dalej książkę, dotarłem do rozdziału piętnastego.

Dopiero po paru sekundach uświadomiłem sobie, co tu jest nie tak. Brakowało dwunastu stron, od końca rozdziału o zabójstwie Johna Lennona do ostatniej strony następnego, opowiadającego o jakiejś bliżej nieokreślonej zbrodni. Zniknął chyba cały rozdział, prócz trzech ostatnich linijek.

gdzie zmarł w więzieniu stanowym San Quentin w wieku trzydziestu dziewięciu lat. To zdarzenie do dziś pozostaje jedną z najbardziej kontrowersyjnych i brutalnych spraw w długiej i głośnej historii zbrodni popełnionych w Los Angeles.

Przeczytałem ten fragment jeszcze raz. Czyżby sam Egan wyrwał te strony? Jeżeli tak, to dlaczego? Sprawdziłem w piwnicy, czy może gdzieś nie leżą, ale gdy nic nie znalazłem, wróciłem do książki. Ponieważ spis treści był niekompletny, zajrzałem na koniec, licząc na to, że będzie tam indeks, bibliografia, posłowie autora – cokolwiek, co pomoże mi ustalić, jaką sprawę opisuje brakujący rozdział. Nie było tam nic. Sięgnąłem po telefon i wpisałem do wyszukiwarki tytuł książki, by zobaczyć, czy jest dostępna w jakimś sklepie internetowym, a może – gdyby naprawdę szczęście mi dopisało – znajdę ją w całości w Google Books. Ale wydano ją trzydzieści trzy lata temu. Nakład dawno się wyczerpał. Przepadła i świat o niej zapomniał.

Z wyjątkiem Billy’ego Egana.

Wpisałem „więzienie San Quentin, 39 lat”, ale hasło okazało się zbyt ogólne. Wyników było za dużo, wyświetliły się dziesiątki nazwisk i dat, wrzuciłem więc książkę do plecaka, sprawdzając na koniec, czy piwnica wygląda dokładnie tak, jak ją zastałem.

Na górze panowała cisza, przez mleczone szyby w drzwiach wejściowych sączyło się światło ulicznych latarni. Zgasilem latarkę, wyszedłem na korytarz i przez okna salonu wyjrzałem na pusty podjazd i ulicę w tle. W większości domów było ciemno.

Jeszcze raz otworzyłem aplikację lokalizacyjną, która mi pokazała, że Egan może tu być za piętnaście minut. Nie chciałem dłużej ryzykować, ani w jego domu, ani z telefonem przyklejonym do podwozia jego mercedesa. Gdyby Egan go znalazł, natychmiast próbowałby do niego zajrzeć. Telefon był zabezpieczony hasłem, ale to nie stanowiłoby dla niego poważnej przeszkody, gdyby choć trochę znał się na nowoczesnej technice – albo miał pod ręką odpowiedniego fachowca. Nie potrzebował też dużej wyobraźni, by się domyślić, kto za tym stoi, gdybym nawet zdalnie skasował całą zawartość, co zamierzałem zresztą zrobić. Jednak bez moich informacji nie mógłby mieć stuprocentowej pewności, że telefon należy do mnie.

Uruchomiłem zdalne kasowanie danych.

Na zewnątrz powitał mnie chłód i po raz pierwszy od wielu dni wyczułem w powietrzu zapowiedź deszczu. Zamknąłem drzwi domu i przemknąłem z powrotem, trzymając się blisko muru, by nie zobaczył mnie nikt z sąsiedztwa. Wrzuciłem latarkę do plecaka, zasunąłem zamek i skręciłem za róg.

Nagle poczułem, jakbym zderzył się z pociągiem.

Zanim uświadomiłem sobie, co się stało, już leżałem na ziemi, powalony na plecy, a z nosa płynęła mi krew. Gdy lekko oszołomiony, uniosłem wzrok, w półmroku zamajaczyła mi jakaś postać, która stała nade mną z zaciśniętymi pięściami.

Billy Egan.

Usiłowałem dźwignąć się na nogi, ale on jednym szybkim i silnym ruchem pchnął mnie w ramię i wbił mi coś w szyję.

Zrobił mi jakiś zastrzyk.

– Słodkich snów – mruknął.

Ogarnęła mnie ciemność.

00:09:03

Ciszę zakłóca jedynie szum kamery.

Trwa to jeszcze przez chwilę, a potem gdzieś za oknem trąbi samochód i wydaje się, jakby dźwięk klaksonu włączył z powrotem fonię: dobiega warkot silników, syreny, wrzaski, gwar czterech milionów ludzi mieszkających na tysiącu trzystu kilometrach kwadratowych i przemieszczających się po dwustu pięćdziesięciu milionach kilometrów dróg. Ray Callson pochyła się, by sięgnąć po szklankę wody, wypija łyk i odstawia szklankę dokładnie w tym samym miejscu. Każda zmarszczka na jego twarzy wyraża wahanie i niechęć.

– Dobrze się pan czuje?

Wzrusza ramionami.

– Oczywiście. Tak myślę.

– Opowiadał mi pan o tym, co się stało w hotelu Pingrove.

– Tak – mówi. – W pokoju osiemset pięć.

– Wjechał pan na górę windą ze swoim partnerem?

Obraca językiem w ustach.

– Tak – powtarza, po czym wydaje głębokie westchnienie. – Tak, Luis i ja wjechaliśmy windą na ósme piętro, a dyrektor przez cały czas do nas mówił, próbując wypełnić słowami ciszę. Opowiadał dosłownie o wszystkim, oprócz tego, co zobaczył na górze. Tak jak mówiłem. Pocił się, miał plamy potu na koszuli. Był przerażony. Nie chciał tam zaglądać. Chciał, żebyśmy tam weszli i zrobili co trzeba, a potem użyli jakiegoś zaklęcia, żeby to wszystko zniknęło.

Callson na chwilę milknie.

– Próbuję sobie przypomnieć, jak to się dokładnie odbyło. Pamiętam, że na ósmym piętrze hotelu były luksusowe apartamenty. Nie wiem nawet, ile kosztowała w nich doba, ale na pewno dużo. Złote klamki w drzwiach i tak dalej. Przed drzwiami na pewno stała pokojówka. Płakała. Może był tam nawet jeszcze jakiś kierownik, jej bezpośredni szef. Już tak dobrze nie pamiętam. Luis był wtedy mniej doświadczony ode mnie, więc kazałem mu poczekać w korytarzu z tamtymi. Nie chciałem, żeby dyrektor, pokojówka czy ktoś inny wpadał do pokoju i przerywał mi analizę zdarzeń, kiedy tam wejść. Na miejscu zdarzenia zawsze lubiłem mieć przestrzeń do myślenia. Woląłem ciszę. Potrzebowałem czasu, żeby wszystko zrozumieć. Tak pracowałem. W każdym razie dyrektor zamknął drzwi z zewnątrz, więc dał mi klucz, otworzyłem pokój i wszedłem sam.

Callson znowu sięga po szklankę i wypija łyk wody, ale tym razem nie odstawia szklanki na miejsce. Przez chwilę opiera ją na kolanach, odchrząkuje i pociąga nosem.

– Bez sensu – mówi. – Wie pan, co mi przyszło do głowy, kiedy otworzyłem drzwi tego apartamentu? To była zupełnie niedorzeczna myśl. Pomyślałem sobie: Pierwszy i jedyny raz postawię nogę w takim drogim miejscu. – Uśmiecha się. W ogóle nie patrzy do kamery. Wpatruje się w podłogę. Uśmiech przygasa. – Jak już mówiłem, zanim wjechaliśmy na górę, dyrektor opowiedział nam, co pokojówka zastała w pokoju, kiedy przyszła posprzątać, więc miałem już w głowie obraz tego, czego mam się spodziewać. I wie pan co? Wchodząc do tego pokoju, chyba nie widziałem żadnej różnicy między nim a innymi miejscami zdarzenia, na których byłem jako gliniarz. Wtedy zdążyłem się już naoglądać sporo potworności.

– Chce pan powiedzieć, że się pan nie bał?

Kręci głową.

– Z początku nie.

– A kiedy pan wszedł?

Callson nadal patrzy w przestrzeń.

– Panie Callson?

– Nie przeraziło mnie to, co on zrobił, jeżeli o to pan pyta – ciągnie Callson. – Dlaczego miałbym się przerazić? Siedział na skraju łóżka i płakał jak dziecko. Gdy tylko wszedłem, uniósł głowę i zaczął powtarzać jak nakręcony: „Nie zrobiłem tego, nie zrobiłem tego”, na co pomyślałem, jasne, stary, że nie zrobiłeś.

– To znaczy, że mu pan nie wierzył?

– W ogóle.

– Dlaczego?

– Dlatego, że cuchnął alkoholem. Dlatego, że był ubabrany jej krwią, miał ją na koszuli, na spodniach, na twarzy. I dlatego, że między jego palcami tkwiły pasma długich włosów, które powyrywał jej z głowy. – Pauza. Callson zerka w kamerę. – Tysiące razy widziałem takie rzeczy... i jeszcze gorsze. Oglądałem je codziennie, aż do emerytury. Ludzie zabijają się nawzajem? Co z tego? To mnie przestało szokować, gdy tylko wstąpiłem do policji. Nie, nie przeraziło mnie to, co zrobił. Nie chodziło o sam czyn.

– W takim razie o co?

– O to, komu to zrobił.

CZEŚĆ TRZECIA

Otworzyłem oczy.

Dopiero po kilku sekundach zorientowałem się, gdzie jestem, a potem zacząłem rozróżniać szczegóły otoczenia. Byłem w kontenerze biurowym, po bokach miałem okna zasłonięte żaluzjami z matowego aluminium. Nie były zamknięte do końca i przez szpary zobaczyłem, że wciąż jest noc, a ciemności za szybami rozprasza żółty blask pojedynczej latarni. Rzuciła do wnętrza kontenera wąskie, padające równolegle pasma światła.

Zostawiono mnie na podłodze w końcu pomieszczenia; zdjęto mi jeden but, który leżał poza zasięgiem mojej ręki. Zaraz się domyśliłem, dlaczego to zrobiono: lewą kostkę miałem przykutą kajdankami do starego metalowego kaloryfera. Gdy próbowałem poruszyć nogą, kajdanki jakby zacisnęły się jeszcze mocniej, a kaloryfer ani drgnął. Przykręcono go do ściany śrubami wielkości jednofuntowych monet. Nie było ani milimetra luzu, nie było możliwości ucieczki, chyba że zabrałbym ze sobą kaloryfer i prawdopodobnie całą ścianę.

Rozejrzałem się po kontenerze. Miał blisko osiem metrów długości. Na moim końcu pomieszczenia stało masywne, ciężkie biurko, z którego usunięto wszystko, czego mógłbym dosięgnąć i użyć. Przybory biurowe, które wcześniej pewnie na nim leżały, oraz komputer i tackę na korespondencję przeniesiono na drugie biurko, stojące w przeciwległym końcu kontenera. Między nimi były dwa okna po bokach, drzwi i parę fornirowanych regałów. Wszystko wydawało się nieco chaotyczne i zaniedbane. Farba odpadała ze ścian, wykładzina była brudna. W zlewie piętrzyły się kubki po kawie i talerze z zaschniętymi resztkami jedzenia. Z miejsca, w którym tkwiłem, poczułem toaletę – mieszaninę zapachu starego moczu i odświeżacza powietrza.

Poruszyłem się z boku na bok i sprawdziłem kieszenie – portfel, telefon i kluczyki do samochodu zniknęły. Plecaka nigdzie nie zauważyłem. Zabrano mi nawet zegarek. Na ścianie nie było żadnego zegara, więc nie miałem pojęcia, jak długo leżałem nieprzytomny ani która jest godzina – wiedziałem tyle, że jest przed szóstą, bo jeszcze nie wzeszło słońce.

Pochyliłem się do przodu i zacząłem manipulować przy obręczy kajdanek na kostce, by zobaczyć, czy jest jakiś luz, ale trzymały mocno. Rozejrzałem się za czymś, co mógłbym wykorzystać jako prowizoryczny wytrych, jednak Egan bardzo skrupulatnie zneutralizował zagrożenie z mojej strony i w promieniu co najmniej pięciu metrów nie było nic nadającego się do użytku.

Oparłem się o ścianę, poruszając głową i próbując pozbyć się sztywności karku. Tam, przed domem, Egan kompletnie mnie zaskoczył. Prawie cały czas obserwowałem go przez

aplikację i według mapy wciąż był kwadrans drogi od domu. Skoro nie był, oznaczało to, że znalazł telefon przyklejony do podwozia samochodu. Albo umieścił go w innym pojeździe, albo zostawił pod mercedesem, za którego kierownicą usiadł ktoś inny, a on wrócił do domu metrem. Tak czy inaczej, byłem wściekły, że dałem się podejść.

Po jakimś czasie złość powoli ustąpiła miejsca zmęczeniu – moje powieki usiłowały się nie zamknąć, jak skrzydła skazanego na zgubę motyla – i znowu uległem działaniu specyfiku, który zaaplikował mi Egan. Czułem, jak uchodzą ze mnie siły.

Zaraz potem zapadłem w sen.

* * *

Wydawało się, jakby minęło parę sekund, ale kiedy się obudziłem, przez żaluzje w oknach wdzierало się światło. Z początku nie zdawałem sobie sprawy, że nie jestem sam w kontenerze, ale po chwili poczułem, jak czyjeś ręce łapią mnie pod pachy i bezceremonialnie podnoszą z podłogi. Gdy próbowałem poruszyć rękami i sięgnąć za siebie, zorientowałem się, że są skrępowane taśmą izolacyjną.

Zostałem posadzony na krześle, a moją kostkę, ciągle przykutą do kaloryfera i ściśniętą obręczą kajdanek, przeszył ostry ból. Musiałem siedzieć na samym brzeżku, z wyprostowaną i nachyloną pod kątem nogą, bo inaczej staw wyskoczyłyby z panewki. Chwilę później po podłodze kontenera potoczyła się w kierunku drugiego biurka rolka taśmy.

– Pobudka, bydlaku.

Zza moich pleców wyłonił się Egan.

O ile pamiętałem, w kinie Comet mówił z twardym akcentem południowego Londynu. To była jednak maskarada. Nie pochodził z Londynu. Był Amerykaninem.

I prawdopodobnie nie nazywał się Billy Egan.

Cofnął się o dwa kroki, dopóki nie trącił krawędzi zlewu, aż brzęknęły kubki ustawione na ociekaczu. Przyglądał mi się przez chwilę, z cieniem uśmiechu rozbawienia na ustach, po czym sięgnął do tyłu. Zza paska dżinsów wydobył długi nóż myśliwski.

Próbując ukryć lęk, spojrzałem w stronę okien, by sprawdzić, czy w blasku słońca dojrzę coś między żaluzjami, ale Egan zamknął je szczelniej, więc wpadały przez nie tylko okruchy światła.

Położył na brzegu zlewu nóż, którego ostrze błysnęło w promieniu słońca, po czym zdjął wehnianą czapkę. Na jego ogolonej czaszce lśniły krople potu. Kiedy go wcześniej widziałem, oceniłem go na czterdzieści parę lat, bliżej pięćdziesiątki, teraz jednak nie byłem pewien. Wprawdzie szczękę pokrywał mu siwy zarost, ale okrucieństwo malujące się na jego twarzy i w oczach jakby usunęło oznaki wieku. Patrzył na mnie jeszcze przez chwilę, a potem sięgnął do kieszeni kurtki i coś wyjął. Mój telefon, który przykleiłem do podwozia mercedesa.

– Bardzo sprytnie – pochwalił. – No i miałeś na tyle oleju tutaj... – stuknął się telefonem w głowę – żeby go wyczyścić.

Nie odezwałem się.

– Aha, cwaniak z ciebie, co? Mam rację? Myślisz, że jesteś cwańszy ode mnie? – Pomachał telefonem. – Dowiedziałem się o tym telefonie piętnaście minut po odjeździe spod domu. Czy to nie znaczy, że też jestem cwany? – Umilkł, przypatrując mi się spode łba małymi ciemnymi oczami. – No więc skoro taki z ciebie cwaniak, to czemu siedzisz tu w kącie, przykuty do kaloryfera jak zaszary pies?

Przechylił na bok głowę, nie odrywając ode mnie wzroku.

– Słuchaj, nie kombinujmy. Zadam ci kilka pytań, a ty mi odpowiesz. Jeżeli nie będziesz chciał mówić, zacznę cię odkrawać kawałek po kawałku.

Wziął nóż i obrócił go, żeby zobaczyć ostrze z obu stron. Za wszelką cenę starałem się stłumić narastającą panikę i nie myśleć o tym, że siedzę przykuty w pomieszczeniu z jednym wyjściem, z facetem, który lada moment może stracić panowanie nad sobą.

– Gdzie jest Lynda Korin? – zapytał.

A więc też nie wiesz, gdzie ona jest.

Znieruchomiał i wpatrywał się we mnie, czekając na odpowiedź. Spojrzałem na niego. Zapewne domyślał się, że nie wiem, gdzie jest Korin, bo inaczej już zamknąłbym sprawę. Tak naprawdę próbował ustalić, ile wiem – o Korin, o nim, o jego piwnicy.

– Nie wiem – odparłem.

– Gdzie ona jest?

– Nie wiem. Naprawdę.

Zmierzył mnie badawczym spojrzeniem, pociągnął nosem.

– Co znalazłeś w piwnicy?

– Sam wiesz, co znalazłem.

– Znalazłeś zdjęcie anioła.

– Tak.

Obserwowałem jego twarz, ale nie poruszył nawet powieką, tylko dalej bawił się nożem. W promieniach coraz mocniej świecącego słońca zobaczyłem, że między nami rozciąga się ocean kurzu.

– Dlaczego ten anioł jest taki ważny? – spytałem.

– Właśnie o to chodzi, prawda? Obaj próbujemy to zrozumieć. A wiesz, kto może znać odpowiedź? – Przestał obracać nóż w rękach. – Ta głupia baba, którą chcesz znaleźć.

Zastanowiłem się nad tym przez chwilę.

Anioł był ważny. Miał znaczenie dla tej sprawy. Korin zabrała go z domu, ale Egan nie wiedział dlaczego. Ani Zeller. Ani ja.

Przyszło mi na myśl coś jeszcze.

– Po co wzięłaś z jej domu tę książkę o zbrodniach? Dlaczego wydarłeś te strony? Co to była za sprawa, że...

– Dość. – Podszedł do mnie; nogami ścisnął moje kolano, a ostrze noża znalazło się tuż przy mojej szyi. Wszystko rozegrało się bardzo szybko. – Teraz ja cię o coś zapytam.

Przełknąłem ślinę.

– Przeglądałem twoje notatki i telefon i znalazłem tam parę rzeczy. Nazwiska, ciekawe szczegóły... w każdym razie trochę mnie to zdenerwowało. – Wolną ręką wysupłał z kieszeni świstek papieru i czytając to, co sobie zapisał, co chwilę popatrywał na mnie. – Kto to jest Rafael Walker?

Microscope.

Nigdzie w notatkach nie połączyłem jego nazwiska z używanym na forum nickiem, więc Egan nie mógł tego skojarzyć. Walker był jednak niewinny. Nie zasłużył sobie, żeby go wciągać w tę pokręconą historię.

– Historyk filmu, z którym chciałem porozmawiać.

– O czym?

– O filmach Korin i Hosterlitz.

Egan przez chwilę badawczo patrzył mi w oczy, szukając oznak kłamstwa, a potem – prawdopodobnie nie znajdując niczego podejrzanego – znowu zerknął do swoich zapisków.

– X-C-A-D-A-A-H – przeliterował słowo z żółtej karteczki, którą znalazłem w domu Korin. – E-O-E-C-G-E-Y. Zabij! Jeden gie, dziewiętnaście em, siedem es. Zakładam, że chodzi o film Zabij!, o jedną konkretną scenę. Godzina, dziewiętnaście minut i siedem sekund, zgadza się?

– Aha – mruknąłem tylko.

– Czy to ma znaczyć, że tak?

– Nie zachowała się żadna kopia tego filmu, więc nie można sprawdzić.

Pokiwał głową. Najwyraźniej świetnie się orientował, które filmy Hosterlitz są dostępne, a które nie.

– A te pierdoły wyżej. Litery?

– Nie wiem.

Znowu mi się przyjrzał, tym razem z większą podejrzliwością.

– Słowo daję – zapewniłem go.

– Gdzie znalazłeś ten papierek?

– W domu Lyndy Korin.

Przez długą chwilę mierzył mnie badawczym wzrokiem, po czym zerknął na swoją karteczkę.

– Craw – przeczytał.

– Nie ma nic wspólnego z tą sprawą.

– To po co zapisałeś jej nazwisko?

– To moja znajoma policjantka.

Patrzył na mnie jeszcze chwilę, przesuwając nóż do mojego lewego oka, jak gdyby sądził, że z ostrzem przy twarzy przyznam się, że kłamię. W końcu wepchnął karteczkę z powrotem do kieszeni.

– Wiesz, z czego żyję?

Spytał o to cichym głosem, ale czaiła się w nim groźba. Nóż znalazł się tak blisko mojej twarzy, że widziałem tylko niewyraźną plamę: ostrze i ręka Egana zlały się w jedno.

Pokręciłem głową.

– W każdym razie nie jestem architektem – powiedział. Po raz pierwszy zauważyłem, że ma przebarwiony przedni ząb, który przybrał szaroniebieski kolor i martwiał w głębi dziąsła. – Rozwiązuję problemy. Mam znajomości. Chyba można mnie nazwać „specem”.

Poczułem, jak czubek ostrza drasnął moją skórę tuż obok grdyki, a kiedy popatrzyłem na Egana, odniosłem potworne wrażenie, jakby czekał na odpowiedź, którą ma zamiar przerwać, wbijając mi nóż w gardło. Ale on nachylił się nade mną, aż poczułem zapach jego potu, a jego oddech owionął mi twarz.

– Słuchaj – odezwał się – kiedy odkryłem, że pracujesz nad sprawą Lyndy Korin, rozejrzałem się w internecie i zobaczyłem te wszystkie artykuły o tobie. I powiedziałem do szefa, pamiętam jak dziś: „On jest niezły. Będzie niebezpieczny”. A szef na to: „Niebezpieczny? Dlaczego ma być niebezpieczny?”. „Wyjaśnił tyle spraw – powiedziałem. – Pewnie się dowie, gdzie jest Lynda Korin, ale to będzie miało swoją cenę”.

Poczułem, jak na koszulę spływa mi strużka krwi.

– I to właśnie jest ta cena – ciągnął. – Trybiki furczą ci w mózgu, nie chcą przyjąć do wiadomości, co tu jest grane. Nie powinieneś wchodzić do tej piwnicy, David... – Nachylił się jeszcze bliżej. – Zresztą to i tak już nieważne. Za parę godzin będą cię żarły robaki...

– Dobra, już dość.

Egan cofnął się, zaskoczony głosem, który rozległ się za jego plecami. Kiedy się odsunął, zobaczyłem drzwi – były otwarte i na tle powodzi słonecznego blasku stała w nich kobieta.

Alex Cavarano.

Serce we mnie struchlało, gdy przekroczyła próg, ociągając się, jak gdyby wchodziła do bagna i wiedziała, że już się z niego nie wydostanie. Przeniosła wzrok ze mnie na Egana, po czym znów spojrzała na mnie i powtórzyła:

– Dość.

Egan mruknął coś z niedowierzaniem.

– Mówię serio – rzuciła do niego.

Wpatrywałem się w nią, nie rozumiejąc, co tu robi, dlaczego jest po stronie Egana, Zellera, dlaczego w ogóle jest w to wszystko zamieszana. Chyba odgadła moje myśli, jakby umiała mi w nich czytać. Przysiadła na biurku dwa metry ode mnie i po prostu patrzyła w przestrzeń między nami. Kiedy w końcu uniosła głowę, na jej twarzy malował się rodzaj skruchy, zaciśnięte usta mówiły „Przepraszam” dobitniej niż jakiegokolwiek słowa. Egan, który stał za nią, nie widział jej miny i prawdopodobnie przypuszczał, że po prostu mierzymy się wzrokiem. A może wcale tak nie przypuszczał. Może był we wszystko wtajemniczony – wiedział, że gdy tylko się poznaliśmy, zarzuciła wędkę. Myślałem, że nie dam się nabrać na te sztuczki, że jestem za silny, zbyt doświadczony. Ostatecznie mnie jednak złapała. Okazałem się słaby jak pierwszy lepszy.

Połknąłem haczyk.

Miała na sobie granatową spódnicę, podkreślającą krągłości jej ciała, a siadając i zakładając nogę na nogę, zsunęła żakiet i położyła go obok siebie. Spojrzała na moje skrępowane nadgarstki, na obolałe i zdrętwiałe ręce, na obręcz kajdanek na kostce, a potem zaczęła szukać czegoś w kieszeniach.

– Nie chciałam tego, David – powiedziała cicho, wyjmując paczkę papierosów. – Kiedy śledztwo policji utknęło w martwym punkcie, miałam nadzieję, że na tym się skończy. Że nikt inny nie włączy się w poszukiwania Lyndy Korin. Że nikt nie będzie cierpiał. – Wzruszyła ramionami. – Niestety, tak się nie stało. Monitorowaliśmy rozmowy Wendy Fisher, na wypadek gdyby postanowiła kogoś zaangażować, ale chyba przeoczyliśmy telefon do ciebie, bo pierwszy raz usłyszałam twoje nazwisko, kiedy rozmawiałam z Louistem w kinie Comet i powiedział mi, że umówiłeś się z nim, żeby pogadać o... – Urwała i przełknęła ślinę, jak gdyby głos uwiązł jej w gardle. – O Robercie Hosterlitzu – dokończyła pośpiesznie, by jak najszybciej wyrzucić z siebie to nazwisko. – To mnie przygnębiło. Poczulałam się jeszcze gorzej, kiedy cię poznałam.

A ja poczułem się oszukany jak nigdy.

– Wybacz, że wprawilem cię w przygnębienie – odparłem zjadliwym tonem, jak gdybym każde słowo owinął drutem kolczastym.

– Rozumiem, dlaczego jesteś zdenerwowany.

– Naprawdę?

Skinęła głową.

– Tak, naprawdę. Mówiłeś mi, że zamierzasz ustalić, kim jest Billy Egan, że masz jego adres, więc zadzwoniłam do niego i powiedziałam, że się wybierasz do jego domu. – Wskazała na Egana, a ja przypomniałem sobie jego wcześniejsze słowa: „Dowiedziałem się o tym telefonie piętnaście minut po odjeździe spod domu”. – W ten sposób role się odwróciły i wziął cię z zaskoczenia. Dlatego doskonale cię rozumiem, naprawdę. Trzydzieści sześć godzin temu zapraszałam cię na drinka. Teraz siedzisz przykuty do kaloryfera.

Trzydzieści sześć godzin temu. Czyli był poniedziałek. Spędziłem tu nie jeden, ale dwa dni. Trzymali mnie przykutego w kontenerze od soboty wieczór.

Spojrzałem na nią.

– Byłaś kiedyś w piwnicy Egana?

Atmosfera wyraźnie się ochłodziła. Alex zerknęła przez ramię na Egana, który popatrzył na nią i choć prawie nie drgnął, w jego oczach błysnęła złość, że poruszał ten temat.

– Śledzi cię od miesiący – dodałem. – Na całej ścianie ma twoje zdjęcia. Traktuje cię jak cel, rysuje ci tarczę na twarzy. W ogóle wiesz, kim on naprawdę jest?

– Nie wiedziałam, że dostał polecenie, żeby mnie też kontrolować – odrzekła. – Ale, niestety, tak, wiem, kim ten facet naprawdę jest.

– I mimo to z nim pracujesz?!

Wyjęła z paczki papierosa i wsunęła go do ust.

– Widzisz, David, rodziny się nie wybiera.

Zaniemówiłem.

– Tak – potwierdziła. – To mój brat.

– Przyrodni – mruknął zza jej pleców Egan.

Zacząłem rozważać, co z tego wynika, a tymczasem ona, nie zwracając uwagi na Egana, głęboko zaciągnęła się papierosem i wydmuchała smużkę dymu. Trudno było teraz wyczytać coś z jej twarzy. Przez chwilę patrzyła, jak dym rozplywa się w powietrzu, po czym zdjęła z języka okruch tytoniu i pokazując na kajdanki dłonią, w której trzymała papierosa, powiedziała:

– To mi się nie podoba. Przykuwać człowieka jak psa... nie wierzę w takie metody. Dlatego brat mi nie ufa i ciągle mnie pilnuje, chociaż oboje jesteśmy związani z tym samym człowiekiem. Uważa mnie za słabe ogniwo w naszej grupie.

– Związani z tym samym człowiekiem? Masz na myśli Saula Zellera?

Nie potwierdziła, ale wiedziałem, że mam rację. Patrzyłem na popiół spadający z jej papierosa jak płatki śniegu.

– Mówiłam ci, że wychowałam się obok autostrady Santa Ana. Kłamałam. Wychowałam się w domu z siedmioma sypialniami przy Mulholland Drive, z przyrodnim bratem, ojcem i różnymi kobietami, które ojciec zmieniał co tydzień.

Wpatrywałem się w nią badawczo. Z przyrodnim bratem i ojcem.

Wiedziała, że już pojąłem.

– Zeller jest twoim ojcem?

– Tak. Cavarno to panieńskie nazwisko mojej matki... umarła, kiedy byłam mała. Nie znałam jej. Właściwie nie rozmawiamy o historii naszej rodziny, dlatego większość ludzi w ogóle nie wie, że Saul i ja jesteśmy spokrewnieni. W gruncie rzeczy nie rozmawiamy prawie na żaden temat. – Rozłożyła ręce. – Rozumiesz teraz, dlaczego moje życie jest takie pochrzanione. Ten jest moim bratem, a Saul ojcem. Nie ufam im, a oni nie ufają mnie, ale jakoś sobie radzimy.

Zerknąłem na Egana. Popatrzył na mnie bez słowa.

Alex znowu zaciągnęła się papierosem.

– W każdym razie, kiedy to się zaczęło, sądziłam, że znajdziemy Lyndę Korin w ciągu kilku dni i będzie po wszystkim. Ten... – wysunęła kciuk w stronę Egana – może nie nadaje się najlepiej do ciekawych rozmów przy kolacji, ale na swój sposób jest całkiem utalentowany. Hollywood to ocean pełen rekinów i jak ktoś chce zostać w jednym miejscu, próbując się utrzymać na powierzchni, to idzie na dno. Dlatego czasem potrzebny ci ktoś, kto coś dla ciebie załatwi, kiedy chcesz się pozbyć jakiegoś problemu. Używasz wszystkich wpływów, żeby osiągnąć to, czego pragniesz. Nasze życie nie przypomina czarno-białych sitcomów, gdzie uchylasz kapelusza przed sąsiadem, gdy obaj stoicie przy swoich wypielegnowanych trawnikach. Los Angeles to szambo. Umiesz w nim pływać albo toniesz. – Urwała, zdając sobie sprawę, że odeszła od tematu. – Rzecz w tym, że odnalezienie kogoś takiego jak Lynda Korin, osoby bez żadnych szczególnych kwalifikacji, powinno być bułką z masłem.

Przez moment błdziła wzrokiem po mojej twarzy, a potem przesunęła się po blacie biurka i sięgnęła do zlewu, by wziąć pusty kubek. Postawiła go obok siebie i strzepnęła do niego popiół. Miałem ochotę spytać ją o Korin, dlaczego tak bardzo zależy im na jej odnalezieniu, czy to ma coś wspólnego z Różanym Kręgiem. Chciałem ją spytać o książkę o zbrodniach, którą znalazłem w piwnicy, o drewnianego anioła, o mnóstwo innych rzeczy. Ale nie była to odpowiednia chwila. Jeszcze nie.

Przez długi czas przyglądała mi się, utkwivszy we mnie ciemne oczy, jak gdyby widziała, co się dzieje w mojej głowie, po czym bardzo cicho i spokojnie powiedziała:

– Brat mówił mi, że przeszukał twój wóz i znalazł zapis monitoringu z dnia, w którym Lynda zaginęła. No, no. Pewnie ją podziwiasz. Ciągłe się zastanawiałam, jak tego dokonała. Chociaż przede wszystkim chciałabym wiedzieć jedno: czy te płyty, wizytówkę i klucz do

budki na Stoke Point schowała do kasetki specjalnie po to, żebyś właśnie ty ją znalazł? Czy też zrobiła to w nadziei, że ktoś, ktokolwiek, to znajdzie i zrozumie, co jest grane? To ważna różnica. Bo jeżeli myślała o tobie, to znaczy, że kręci się gdzieś w pobliżu i wie, że zająłeś się jej sprawą; a jeżeli schowała to w ubiegłym roku, zaraz po swoim zniknięciu, to zmienia postać rzeczy. Oznaczałoby to, że od dziesięciu miesięcy całkowicie się ukrywa... co z kolei prowadzi do pytania, dlaczego jest taka ostrożna.

– Może nie żyje.

Egan prychnął, a na jego twarzy rozlał się uśmiech.

– Patrz, jakiego mamy porucznika Columbo – powiedział, patrząc na siostrę. – Chyba wiedzielibyśmy, czy żyje, czy nie, prawda? Przecież to nam zależy na tym, żeby ją posłać do piachu.

Poczułem przebiegający mi po plecach chłód. Alex przymknęła oczy, jak gdyby nie znosiła słuchać takiego języka, jak gdyby próbowała odepchnąć od siebie te słowa.

„To nam zależy na tym, żeby ją posłać do piachu”. Na nagraniu z monitoringu zobaczyłem dowód oszustwa Lyndy Korin, widziałem, jak wykorzystywała zaprzyjaźnionych mężczyzn, żeby zacierać za sobą ślady. Widziałem scenę, na której odegrała numer ze swoim zniknięciem – byłem pod wrażeniem jej finezji, a jej przebiegłość mnie zaniepokoiła. Ale w tym, co czytałem o Lyndzie Korin, w różnych wypowiedziach, które słyszałem na nagraniach albo w rozmowach, nie znalazłem nic, co by sugerowało, że mogła to wszystko zrobić z wrogich pobudek. Nie sądziłem, aby była osobą tego typu. Ani niezdolność do całkowitego otwarcia się przed innymi, ani osobliwość jej związku z Hosterlitzem nie świadczyły o tym, że jest kimś perfidnym. Po prostu umiała dochować tajemnicy – i miała tajemnicę, na której zależało Alex Cavarro, Billy’emu Eganowi i Saulowi Zellerowi. Jeśli nawet uciekła ze strachu przed nimi, to oni bali się jej tak samo – w każdym razie bali się tego, co wiedziała. Co takiego odkryła? Prawdę o Różanym Kręgu? Prawdę o tej scenie powtarzającej się we wszystkich horrorach? O drewnianym aniele? O sprawie opisanej w książce na temat zbrodni? O tym wszystkim razem?

– Widziałem tę książkę o zbrodniach – powiedziałem.

Alex pokręciła głową, z litością w oczach, jak gdybym był dzieckiem, które bardzo ją zawiodło.

– Nic nie wiesz, David. Nie ośmieszaj się.

– To dlatego chcecie śmierci Korin?

– Z powodu jakiejś książki?

– Bo Korin zna prawdę o sprawie, którą usunęliście z tej książki. Wie, jaki ma związek z tobą i twoim bratem, z Zellerem. Wie, co oznacza anioł. – Zamilkłem, czekając na sygnał, że trafiłem. Wyraz jej twarzy nie zdradzał niczego, więc dorzuciłem ostatnią rzecz. – Wie o Różanym Kręgu.

Egan drgnął i oparł się o zlew. To był nieznaczny ruch, chwila zakłopotania, którą błyskawicznie spróbował zamaskować. Spojrzałem na Alex – jej twarz pozostawała kamienna.

– Mam rację, prawda? – ciągnąłem. – Chodzi o Różany Krąg. O to, nad czym pod koniec życia pracował Hosterlitz... o jego niedokończony scenariusz.

W ich twarzach natychmiast zaszła zmiana, ale tym razem spudłowałem. Egan uśmiechnął się i oboje wyraźnie się rozluźnili.

– Co wiesz o Różanym Kręgu, David?

Pytanie zawisło między nami. Spojrzałem na Alex, potem na Egana. Wyraz ulgi na jego twarzy był niezwykle czytelny.

– Myślisz, że w tym wszystkim chodzi o jakiś film? – spytała, po czym zwróciła się do brata: – Jeszcze się nie zorientował. Mówiłeś chyba, że już się domyślił.

– Tak sądziłem – odparł Egan.

Spoglądałem to na niego, to na nią.

– O czym wy mówicie?

– O Różanym Kręgu – odrzekła Alex.

– To znaczy?

– Wielkie niedokończone arcydzieło Hosterlitz, o to twoim zdaniem chodzi?

– A ty twierdzisz, że nie?

– Twierdzę, że to brednia.

Poczułem ucisk w piersi.

– Co?

– Nie pracował nad żadnym filmem. Nie pracował nad scenariuszem. Nie było żadnego scenariusza. Różany Krąg nie jest filmem i nigdy nie był. – Nachyliła się, aż zapach jej perfum podrażnił mi gardło. – To coś znacznie groźniejszego.

– Naprawdę wierzyłeś, że Hosterlitz na emeryturze znowu zaczął pisać, tak? – Alex popatrzyła na mnie ze współczuciem. – Zresztą kto wie? Może i zaczął. W każdym razie niczego nie skończył. Słyszałam, że gdy zdiagnozowano u niego raka, znowu wrócił do picia, i to ostro. A także do prochów. Wszyscy mówili, że zwykle był urżnięty w pestkę. Ten sielski obrazek wspaniałego małżeństwa, który Korin odmalowała w wywiadzie dla „Cine”, to były lukrowane pierdoły. Prawie co wieczór przesiadywał w pubie i opróżniał tam ich zapasy whisky. Zapytaj mojego brata... – Wskazała na Egana. – Kiedy w listopadzie próbowaliśmy znaleźć Korin, rozmawiał z ludźmi w wiosce i wiesz, jak zapamiętali wielkiego Roberta Hosterlitz, zdobywcę Oscara i wizjonera kinematografii? – Zaciągnęła się papierosem. – Jako smutnego starego pijaka.

– Dlaczego miałbym wierzyć w to, co mówisz?

Wzruszyła ramionami.

– Możesz sobie nie wierzyć, ale w głębi duszy wiesz, że to prawda. Zresztą założmy przez chwilę, że schorowany Hosterlitz przez te ostatnie żalosne lata życia rzeczywiście pracował nad jakimś filmem. W takim razie gdzie jest to cholerne dzieło? Od jego śmierci minęło dwadzieścia siedem lat. Gdzie jest scenariusz? Gdzie szkice, notatki, pomysły? Gdzie aktorzy, którym proponował role, gdzie producenci, których namawiał do tego projektu? Gdzie dowody, że to w ogóle istniało, w jakiegokolwiek formie? Myślisz, że Lynda przetrzymywała to przez ćwierć wieku?

Milczałem. Nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Nie ma żadnego filmu – kontynuowała Alex. – Nigdy nie było. Wiedzielibyśmy o tym. Mój ojciec miał Hosterlitz na oku od dawna, zanim jeszcze pojawiła się Korin.

Popatrzyłem na nią spod zmarszczonych brwi.

– Co masz na myśli?

Znowu wzruszyła ramionami.

– Zeller obserwował Hosterlitz od lat siedemdziesiątych?

– Zaczął znacznie wcześniej.

– Dlaczego?

– Dość – wtrącił się Egan.

Alex nawet nie spojrzała w jego stronę przez smugi dymu wijące się przy jej twarzy.

– Rzecz w tym, że w tamtym domu nie napisano żadnego scenariusza. Nic tam nie powstało. Przez te wszystkie lata na emeryturze Hosterlitz nie robił nic innego, tylko pił

i umierał.

- Ale dlaczego Zeller go śledził?
- Ojciec lubi dobrze znać swojego wroga.
- Hosterlitz był jego wrogiem?
- Robert Hosterlitz nie jest człowiekiem, za jakiego go uważasz.
- To znaczy?

Tym razem nie odpowiedziała. Spojrzałem na nią, sięgając pamięcią do zdania, które Hosterlitz napisał do Korin na odwrocie zdjęcia anioła („Mam nadzieję, że mi wybacysz”), a potem przypomniałem sobie, co Veronica Mae mówiła o Hosterlitzu – że zachowywał się, jakby stale coś mu ciążyło na duszy.

- Czy Różany Krąg ma związek z tą sprawą opisaną w książce o zbrodniach?

Oboje popatrzyli na mnie bez słowa.

Myślałem o wydartych stronach. Czy Hosterlitz wiedział, czego dotyczy ten rozdział? Przed śmiercią zdążył powiedzieć o tym żonie? Miałem wątpliwości, bo gdyby mówił jej wszystko, nie okłamałby jej w sprawie swojego wyjazdu do Los Angeles w 1984 roku i nie prosiłby jej o wybaczenie na odwrocie fotografii. Ale dlaczego miałby ukrywać przed nią coś ważnego? Bo uznał, że Korin nie powinna o tym wiedzieć? Czy może dlatego, że próbował ją chronić?

Alex strząsnęła popiół do kubka.

– Jeżeli chodzi o jakikolwiek film, to w najlepszym razie możesz liczyć najwyżej na jakieś zachowane przez Korin notatki, które Hosterlitz nagryzmolił na serwetce, kiedy był zamroczony burbonem i tramadolem. Naprawdę przypuszczasz, że coś takiego spędzałoby sen z powiek mojemu ojcu? Hosterlitz był skończony. Nikt nie traktował go poważnie. Nikogo nie interesował żaden jego scenariusz, gdyby nawet udało mu się jakiś skończyć. Nie chodzi o film, chodzi o to, czego Lynda dowiedziała się o swoim mężu.

- Dowiedziała się? O mężu?
- Bobby miał przed nią sekrety.

Poczułem ciężar w żołądku.

Alex zawahała się, jak gdyby doszła do wniosku, że powiedziała za dużo. Zaraz jednak spojrzała na kajdanki, na moje skrepowane ręce i widać stwierdziła, że teraz to i tak nie ma znaczenia. Ale gdy nasze oczy znowu się spotkały, coś zaświtało mi w głowie. Pomyślałem o Korin. O zapisie z monitoringu na Stoke Point, który sfabrykowała, planując wszystko w najdrobniejszych szczegółach.

– Korin dowiedziała się, co naprawdę oznacza Różany Krąg – odezwałem się. – O to chodzi, prawda? Musiała to odkryć parę tygodni po wywiadzie dla „Cine”. Dlatego postanowiła zniknąć... i dlatego próbujecie ją znaleźć.

Żadne z nich nie zareagowało.

Wiedziałem jednak, że mam rację.

Tyle że coś tu nie grało.

– Jeżeli ma na was coś, jeżeli to jest powód jej zaginięcia, to dlaczego w ciągu dziesięciu miesięcy tego nie ujawniła? Cemu nie rozgłosiła wszystkim tego, co wie?

Wreszcie Alex się poruszyła i potarła oko.

– Oto jest pytanie, prawda? – rzuciła.

Już nie bawiła się ze mną. Naprawdę nie wiedziała, dlaczego Korin tak pieczołowicie zaplanowała swoje zniknięcie, wiedząc, że koniec końców zaczną ją tropić, a potem przez dziesięć miesięcy nie dawała znaku życia i nie robiła absolutnie nic. Może zachorowała. Może gdzieś po cichutku traciła siły.

A może rzeczywiście już nie żyła.

Alex zaciągnęła się jeszcze raz i wrzuciła niedopałek do kubka.

– Wiesz, naprawdę mi przykro, David – powiedziała cicho, niemal łagodnie. – Wiem, że to niewiele znaczy, ale po każdym z naszych dwóch spotkań w ciągu tych paru dni myślałam: „Mam nadzieję, że da sobie spokój. Mam nadzieję, że nie uda mu się do niczego dojść”. Bo nie chciałam tego oglądać. – Otworzyła i zamknęła pudełko papierosów. – Mój brat nas przed tobą ostrzegał. Mówił, że będą z tobą kłopoty. Ten twój upór, ta nieustępliwość. Czytałam o twojej przeszłości i nie twierdzę, że nie jesteś szlachetny, że nie masz silnego kręgosłupa moralnego... widzę, że jest wręcz przeciwnie... ale pewne rzeczy, które robiłeś przez te lata, ryzyko, jakie podejmowałeś... – Wzruszyła ramionami. – Mój brat chyba miał rację. Tak się musiało to skończyć.

Egan zrobił krok naprzód.

– Muszę już iść – powiedziała. – Chciałam tylko spojrzeć ci w oczy, bo uważałam, że na to zasługujesz. Ostatnio coraz lepiej znam się na ludziach. Łatwo rozpoznać łgarza, kiedy sam często kłamiesz. – Uśmiech, nikły, niemal skruszony. – Musiałam się upewnić, czy nie wiesz więcej, niż twierdzisz, że wiesz.

Miała na myśli Korin. Chciała sprawdzić, czy rzeczywiście nie odkryłem, gdzie się zaszyla i czym naprawdę jest Różany Krąg. Na dźwięk jej stanowczego tonu nerwowy dreszcz przebiegł mi po plecach i serce zaczęło mi walić. Rozejrzałem się, uświadamiając sobie, że nie mam czasu. Próbowałem wymyślić jakieś wyjście, jakiś plan, jakąś strategię. Ale miałem pustkę w głowie.

Byłem przykuty do kaloryfera.

Alex po raz ostatni zatrzymała na mnie spojrzenie, po czym wstała i podeszła do jednego z okien. Kciukiem i palcem wskazującym rozchyliła dwie listewki żaluzji.

– Wiesz, na czym polega paradoks tej sytuacji? Mój brat sprawi, że znikniesz, tak jak ludzie, których poszukujesz. Razem z tobą znikną wszystkie ślady twojego życia, twój samochód, twoje rzeczy, ta sprawa. Wszystko przepadnie bez śladu. Ty też przepadniesz. Nic nie zostanie. I wiesz co? To mnie martwi. Lubię cię, David. – Puściła listewki, które wyprostowały się z trzaskiem, i wróciła do biurka, ale nie spojrzała już na mnie, tylko wzięła swój żakiet i narzuciła go na ramiona. – W innym życiu bardzo chętnie poznałabym cię bliżej.

Podeszła do drzwi, unikając ze mną kontaktu wzrokowego. Dziwny zgrzyt: wydawało się, że mówiła to wszystko szczerze – a mimo to udzielała mi ostatniego sakramentu.

– Pamiętasz, co ci mówił stary – zwróciła się do Egana. Przez chwilę stała, wpatrując się w podłogę. – Wszystko jedno, gdzie go schowasz, ale zrób to tak, żeby nikt go nigdy nie znalazł.

Kiedy Alex wyszła, stukając szpilek na schodkach przed kontenerem, Egan przez chwilę mierzył mnie taksującym spojrzeniem: patrzył jak przedsiębiorca pogrzebowy na ciało w kostnicy, jak rzeźnik na tuszę.

– Muszę iść po narzędzia – poinformował mnie.

Narzędzia.

To słowo zawisło nade mną jak obłok cuchnącego dymu.

– Nigdzie nie odchodź, dobra? – dodał z uśmiechem.

Wyszedł z kontenera, zasłaniając mi ciałem widok na zewnątrz, i zatrzasnął drzwi.

Zrób coś. Działaj.

Miałem ręce skrępowane z tyłu – nadgarstki znajdowały się na wysokości lędźwi. Nie spuszczać oczu z drzwi, próbowałem rozdzielić dłonie siłą. Ale Egan zaciągnął taśmę tak mocno, że nie tylko nie udało mi się jej poluzować, ale wręcz poczułem, jak odcina mi dopływ krwi. Szarpnąłem jeszcze raz, zaciskając zęby i napinając mięśnie, skupiając energię na palcach, nadgarstkach i ramionach, ale przeszył mnie ból i zakręciło mi się w głowie. Poprawiłem się na krześle, czekając, aż oczy przestaną mi zachodzić mgłą – i w tym momencie coś zimnego pociągnęło mnie za kostkę. Strach jak lepki muł wypełnił mi brzuch. Zapomniałem o kajdankach.

Wstałem, spoglądając na drzwi, po czym odwróciłem się, na ile pozwalały mi kajdanki na kostce, i przyjrzałem się krzesłu. Mogę jakoś je wykorzystać? Czy ma gdzieś ostre krawędzie, którymi mógłbym rozciąć taśmę? W połowie wysokości jednej z nóg dostrzegłem małą śrubę, trochę zardzewiałą, z chropowatym brzegiem lepka, która odrobinę odstawała od ramy. Trudno jednak było się do niej dostać, a gdy z powrotem usiadłem, przez chwilę nie umiałem trafić na nią palcami.

Wreszcie ją znalazłem i nie zważając na to, że obręcz kajdanek wpija mi się w skórę, zacząłem niezdarne piłować. Gdyby w tym momencie wszedł Egan, natychmiast zorientowałby się, co robię. Byłem przechylony pod kątem czterdziestu pięciu stopni i trzymałem nadgarstki przy nodze krzesła. Zrozumiałby, co próbuję zrobić. Nie miałem jednak innego wyjścia.

Albo się uda, albo to koniec.

Piłowałem zajadle, co chwilę zahaczając skórą o krawędź śruby. Wkrótce miałem pokaleczone obie ręce, w zagięciach dłoni zbierała się krew. Nie zważając na to, pracowałem dalej. Im szybciej piłowałem, tym mniej precyzyjne stawały się moje ruchy

i raniłem się coraz boleśniej. Kiedy trochę zwolniłem, odzyskałem precyzję, ale to z kolei pochłaniało czas, którego miałem niewiele. Staralem się różnicować tempo – raz szybko, raz wolno, na przemian – i chwilę później poczułem pierwsze niepewne oznaki rozluźniania się więzów. Usiłowałem przesunąć kciukami po taśmie, by to sprawdzić. Udało mi się ją lekko naderwać, ale gdy spróbowałem rozdzielić ręce, taśma ani drgnęła.

Wróciłem do piłowania, powoli wchodząc w rytm i słysząc, jak krzesło pode mną skrzypi. Pracowałem około minuty, gdy nagle dostrzegłem subtelną zmianę światła. Zerknąłem przez mleczną szybę w drzwiach i usłyszałem kroki wracającego Egana, którego sylwetka rzucała nieregularny cień.

Szybciej.

Piłowałem jeszcze zajadlej, czując, jak śruba orze mi skórę, a noga krzesła robi się śliska od krwi. Szybciej, szybciej. Na sekundę przymknąłem oczy, koncentrując całą uwagę na ruchu nadgarstków, na zahaczaniu brzegu taśmy o łeppek śruby – i nagle straszny ból rozdarł mi rękę. Syknąłem i znieruchomiałem. Kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem wyraźnie zarysowaną sylwetkę Egana tuż za drzwiami. Drgnęła klamka. Trudno było mi jednak skupić na tym wzrok, bo lewa ręka paliła mnie żywym ogniem. Czułem krew spływającą strużkami po wewnętrznej stronie nadgarstka, po taśmie, do wnętrza dłoni, a potem kapiącą z palców na podłogę. Uszkodziłem sobie coś, rozszarpałem skórę. Wiedziałem, że to spora rana, nie musiałem nawet patrzeć.

Otworzyły się drzwi.

Staął w nich Egan, z nożem w jednej ręce i jakąś zwiniętą skórzaną torbą w drugiej. Usłyszałem, jak pobrzękują w niej narzędzia.

– Już czas – powiedział.

Wyprostowałem się na krześle, usiłując przybrać obojętną minę. Nie byłem pewien, czy Egan zauważył krew – nie wiedziałem nawet, ile jej jest – ale gdy zatrzasnął za sobą drzwi, przyjrzał mi się, nie zwracając szczególnej uwagi na wykładzinę ani krzesło.

Przesunął językiem po dziąsłach, jak gdyby chciał się pozbyć jakiegoś kwaśnego posmaku w ustach, i na próbę pomachał nożem w nieruchomym powietrzu. Uniósł go do słońca sączącego się przez żaluzję, spojrział na ostrze, które błysnęło w przyćmionym świetle, po czym położył nóż na biurku, razem ze skórzaną torbą. Wydała metaliczny szczełk.

– Moja siostra bardziej niż ja ulega emocjom – odezwał się, ze wzrokiem utkwionym w torbie. Rozwiązał sznurek i rozwinął ją jak koc. Zobaczyłem skalpele, szczypce, młotek, klucze taśmowe, zaciski. Przełknąłem ślinę, starając się nie zdradzać strachu, ale nie patrzył na mnie. – Rzecz w tym, że emocje mogą przeszkadzać w ocenie sytuacji. Spodobałaś się mojej siostrze, więc kiedy mi oznajmiła, że chce ci popatrzeć w oczy i sprawdzić, czy nie kłamiesz, na pewno wierzyła, że powiedziałaś jej prawdę o tym, co wiesz. – Zamilkł i wysunął z zestawu skalpel. – Niestety, ja nie mam do ciebie takiego zaufania. Dlatego powiesz mi, gdzie jest Lynda Korin.

– Mówiłem już, że nie wiem.

Odwrócił się, ściskając w dłoni skalpel.

– Czy ty mnie słuchasz? – rzuciłem. – Nie wiem, gdzie ona jest.

– Uwielbiam gotować. – Przyjrzał mi się badawczo. – Zaciąłeś się kiedyś w palec przy krojeniu warzyw? Wiesz, o czym mówię: o takich płytkich zacięciach, kiedy nóż lekko draśnię skórę. Rany, takie skaleczenie boli jak diabli. Małe, upierdliwe ranki, na samych czubkach palców, mogą dokuczać godzinami. – Podniósł drugą rękę i otworzył dłoń. – A teraz wyobraź sobie jedno skaleczenie na każdym palcu. Wyobraź ich sobie dwadzieścia. Wyobraź sobie pozacinaną całą rękę, całą nogę. Wyobraź sobie, że masz takie ranki na całej twarzy. – Uśmiechnął się do mnie, ukazując martwy ząb. – Wiesz, co jest najgorsze? Że zanim skończę ci pokazywać, co jeszcze mam w tej torbie, będziesz mnie błagał, żebym wrócił do skalpela.

– Nie.

Spojrzałem za jego plecy, szukając w głowie jakiegoś planu, pomysłu, czegokolwiek... zaraz jednak popatrzyłem na swoją kostkę przykutą do kaloryfera i zdałem sobie sprawę,

że nie ma ucieczki. Serce zaczęło mi wściekle tłuc się o żebra jak zwierzę o pręty klatki, z której próbuje się uwolnić. Poczulem się słaby i wyczerpany. Zamroczony.

Skup się.

Egan podszedł bliżej, ze skalpelem w wyciągniętej dłoni, jak gdyby to było przedłużenie jego ciała. Chciałem unieść rękę w odruchowej reakcji, żeby zasłonić się przed tą bronią, przed Eganem i wszystkim, co miało zaraz nastąpić – ale tylko szarpnąłem więzy. Trzymały mocno, a lewą rękę, od barku do dłoni, przeszły mi błyskawica bólu. Drgnąłem i syknąłem przez zęby, gwałtownie przechylając się na bok.

W tym momencie poczułem, że coś się rozrywa.

Moje więzy.

Kawałek taśmy izolacyjnej puścił, a ucisk na prawy nadgarstek nieznacznie zelżał. Wyprostowałem się w nagłym przypląwywie adrenaliny.

– Zaczekaj chwilę – powiedziałem.

Delikatnie rozsunąłem ręce, maskując ten manewr ruchem barków, które uniosłem i rozluźniłem. Egan przystanął, zaraz jednak znowu ruszył naprzód i czubek skalpela znalazł się najwyżej metr ode mnie. Poruszyłem się na krzesło z boku na bok, jak gdyby ze strachu, aby ukryć kolejną próbę uwolnienia rąk. Tym razem rozdarł się większy odcinek taśmy, prawa ręka mi opadła, jakbym zupełnie ją oswobodził, moje ciało gwałtownie się przechyliło. Egan stanął jak wryty, a jego wzrok padł na podłogę pod krzesłem.

W końcu zobaczył krew.

Zerwałem się z miejsca, wzięłem szeroki zamach i prawą ręką zadałem mu potężny cios w sam środek szyi. Kiedy Egan zatoczył się do tyłu, rżąc i łapiąc się za nią, szarpnęły mnie przykute do kaloryfera kajdanki. Zachwiałem się i zderzyłem z kaloryferem, ze ścianą, a potem runąłem na krzesło. Przewróciło się pod wpływem uderzenia i wylądowałem na nim w poprzek.

Niezdarnie dźwignąłem się na nogi i poszukałem wzrokiem Egana.

Był za daleko ode mnie – jakieś półtora metra. Lewą dłoń przyciskał do gardła, a w prawej wciąż trzymał skalpel, którego czubek szorował o dywan. Rozejrzałem się gorączkowo, wiedząc, że nie zdołam go dosięgnąć, że mogę tylko czekać, aż odzyska kontrolę nad sytuacją – i nagle coś mi przyszło na myśl.

Krzesło.

Chwyciłem je za nogi i odchyliłem do tyłu. Egan unióś wzrok i widząc, co się święci, szeroko otworzył poznaczone żyłkami oczy. Wkładając w zamach całą energię, jaką udało mi się wykrzesać, trafiłem go w głowę z taką siłą, aż zadygotały mi ręce. Zachwiał się, uderzył bokiem w biurko; skórzana torba na blacie drgnęła, szczęknięły narzędzia, skalpel spadł na podłogę z cichym brzękiem. Kiedy Egan odbił się od biurka, noga, która została z tyłu, odmówiła mu posłuszeństwa i zgiął się wpół.

Runął twarzą na podłogę.

Wahałem się przez chwilę, wciąż ściskając w dłoniach krzesło, i obserwowałem go, czekając na jakiś jego ruch, znak, że udaje. Ale leżał jak kłoda. Widziałem, jak przy każdym oddechu na jego ustach pieni się mieszanina krwi i śliny.

Muszę się stąd ulotnić.

Postawiłem krzesło na podłodze i obejrzałem lewą rękę. Głęboka rana miała długość dziesięciu centymetrów i ciągle broczyła, a wzór, jaki utworzyły na skórze strużki krwi, przypominał siatkę dróg na mapie. Na dłoniach i nadgarstkach zobaczyłem mnóstwo drobniejszych zadrapań, siniaków i obtarć, w których ciemniały drobiny brudu i smaru od śruby. Ukląknęłam i na czworakach podpełzłem w kierunku Egana na tyle, na ile pozwalały mi kajdanki, a potem położyłem się na brzuchu. W tej pozycji mogłem dotrzeć do jego tułowia, pasa i ramienia.

Przeszukałem kurtkę. Miał w niej telefon, kluczyki do samochodu i mój portfel. Odłożyłem te rzeczy na bok i sprawdziłem kieszenie spodni. W jednej znalazłem swoją komórkę. W drugiej tkwił kluczyk z charakterystycznym okrągłym uchem. To musiał być klucz do kajdanek. Podczołgałem się do kaloryfera i wsunąłem kluczyk do zamka. Obręcz odskoczyła.

Wstałem, podszedłem do zlewu i popatrując kątem oka na Egana, przemyłem ranę na lewej ręce, po czym przyniosłem z toalety papierowe ręczniki. Owinąłem nimi przedramię, by zatamować krwawienie, wziąłem z drugiego biurka gumkę recepturkę i umocowałem nią prowizoryczny opatrunek. Chwyciłem swój portfel i telefon oraz komórkę i kluczyki do samochodu Egana. Nie miałem pojęcia, co zrobił z kluczykami do mojego bmw, nie zamierzałem jednak tracić czasu na ich szukanie.

Łapiąc but, który mi zdjęli, jeszcze raz obejrzałem się na Egana. Zaczynał się ruszać, jego oddech stawał się bardziej regularny, powieki drgały. Wskoczyłem w mój but, zawiązałem go, podszedłem do drzwi i je otworzyłem.

Buchnęło słońce, zalewając wewnątrz kontenera falą białego światła, które na moment mnie oślepiło. Dopiero po kilku sekundach zorientowałem się, gdzie jestem.

Na złomowisku.

Stosy wypatroszonych i rdzewiejących samochodów piętrzyły się jak metalowe budynki. Stałem na schodkach przed kontenerem, próbując się zorientować, gdzie jestem i w którym kierunku powinienem iść, ale wokół siebie miałem labirynt. Niezliczone pojazdy wyłobily w błocie gęstą sieć kolein, gdzieniegdzie wznosiły się sterty ośmiu czy dziewięciu aut i ogromne rusztowania, pełne wraków i części samochodów – drzwi, felg, masek, kołpaków.

Zszedłem po stopniach, rozejrzałem się w lewo i w prawo. Otaczał mnie gąszcz żelastwa, przesłaniający wszystko oprócz dachów odległych budynków. Ruszyłem w prawo, w tę stronę, gdzie dachy wydawały się najbliżej. Miesiące upalnej pogody wysuszyły koleiny na kamień i kilka razy omal nie skręciłem kostki. Z każdym krokiem

uświadamiałem sobie coś dziwnego. Na złomowisku nie było żywego ducha. Żadnych pracowników ani klientów.

Przecież jest długi weekend.

Dlatego mnie tu przywieźli. W poniedziałek firma była nieczynna. Nikt dzisiaj nie pracował, nikt nie przyjeżdżał. Nikt nie mógł mnie usłyszeć ani zobaczyć.

Egan miał złomowisko do swojej wyłącznej dyspozycji.

Zerknąłem na zegarek, ale zorientowałem się, że Egan go zabrał – zatrzymał sobie, wyrzucił, pozbył się w jakiś inny sposób. Nie wiedziałem, co się z nim stało, i nie zamierzałem tego sprawdzać, więc spojrzałem na ekran telefonu. Miałem dwadzieścia nieodebranych połączeń, część od znajomych i od potencjalnych klientów, jeden z nieznanego numeru w centrum Londynu i trzy od Crawl. Przypomniałem sobie, jak bardzo chciała ze mną o czymś porozmawiać. Przysłała mi też SMS-a.

Gdzie jesteś? Naprawdę musimy pogadać. Jak najszybciej.

Była 10.52. Crawl nie miała ode mnie żadnej wiadomości od prawie czterdziestu godzin. Nie oddzwoniłem, nie odpisałem. Ale teraz nie mogłem sobie tym zawracać głowy.

Musiałem się stąd wydostać.

Hałdy samochodów wreszcie się skończyły i zobaczyłem przed sobą wysokie ogrodzenie z blachy falistej. Gdy podszedłem do niego, dachy za złomowiskiem, widoczne wcześniej, zniknęły mi z oczu i nie widziałem już nic prócz szkieletów aut. Próbowałem nasłuchiwać jakichś charakterystycznych odgłosów zza ogrodzenia, ale nie dobiegały mnie żadne dźwięki świadczące, że jestem blisko przedmieść, ludzkich skupisk, jakiegokolwiek życia. Słyszałem tylko odległy szum samochodów, monotonne dudnienie, które kojarzyło mi się z autostradą.

Wyjąłem telefon i kliknąłem na Google Maps, a kiedy aplikacja się uruchamiała, spojrzałem na blaszany parkan, obmyślając plan działania. Jeżeli pójde wzdłuż ogrodzenia, muszę w końcu dotrzeć do jakiejś bramy. Plac był ogromny, ale skoro się tu dostaliśmy, to na pewno mogę się stąd jakoś wydostać. Wróciłem wzrokiem do telefonu i patrzyłem, jak mapa się ładuje, kawałek po kawałku, w irytująco żółwym tempie z powodu słabego zasięgu. Nagle kątem oka dostrzegłem jakiś ruch – jasny punkt stał się ciemny.

Odwróciłem się w stronę kontenera.

Egan, z nożem w ręce, zmierzał w moją stronę.

Skręciłem w prawo, kierując się linią blaszanego parkanu. Przed sobą miałem kanion prowadzący między piramidami wraków; sześć stało, jeden na drugim, opartych o samo ogrodzenie, górę ośmiu innych – bez silników i szyb – umieszczono na półkach specjalnie skonstruowanego rusztowania.

Omijałem je sprintem, biegnąc w gęstniejącym cieniu, bo słońce znikало za barykadami ze skorodowanego metalu. W tej części złomowiska, gdzie promienie słońca nie docierały, czułem pod stopami miękką ziemię, na ścieżce tu i ówdzie utworzyły się płytkie kałuże szarego błota. Kanion kończył się ostrym skrętem, jak w labiryncie, i zanim pobiegłem dalej, obejrzałem się przez ramię, by sprawdzić, jak daleko jest Egan. Jednak nigdzie go nie było.

Nie gonił mnie.

Przystanąłem, czując, jak przyspiesza mi tętno. Przecież powinien się już pojawić. Kiedy zbliżyłem się do następnego zakrętu, wyjrzałem za róg. Ten odcinek był dość długi, miał sporo ponad pięćdziesiąt metrów, po bokach wznosiły się góry wraków. U wylotu korytarza błysnął żółty żuraw i bok innej maszyny. Prasa do złomu. Ze szczeliny u góry urządzenia wystawały długie kawałki metalu, niczym ramiona wyciągnięte w błagalnym geście. Spoglądając w obie strony – tam, skąd przyszedłem, i w głąb korytarza prowadzącego do prasy – znowu wyjąłem telefon i sprawdziłem mapę.

Wreszcie się otworzyła.

Znajdowałem się w przemysłowej strefie miasta, na pustym skrawku ziemi, pięć kilometrów na zachód od Ealing. Dlatego słyszałem samochody, ale nie było tu żadnych odgłosów zwykłego życia: na południe od złomowiska biegła autostrada M4, wschodnią granicę stanowiła rzeka Brent, a na zachód rozciągały się parki i lasy. To był sprytny pomysł, żeby mnie tu przywieźć: nikt nie mieszkał na tyle blisko, by cokolwiek usłyszeć, a w ciągu długiego weekendu cała strefa przemysłowa przypominała wymarłe miasto.

Schowałem telefon i nadstawiłem uszu. W samochodach były szpary – okna bez szyb, dziury w karoseriach – przez które mogłem coś zobaczyć. Słyszałem jęki i skrzypienie samochodów, chór starych ram wspinających się ku niebu, trzeszczących w słońcu. Nie widziałem jednak ani nie słyszałem Egana.

Szybko rozejrzałem się za czymś do obrony i pod szkieletem fioletowego vauxhalla cavaliera znalazłem coś, co wyglądało na wał napędowy z fragmentem skrzyni biegów.

Kawał metalu był czarny i pokryty plamami rdzy, ale ciężki. Chwyciłem go mocno i ruszyłem w kierunku prasy do złomu.

W tej części placu było więcej kałuż, które zebrały się w koleinach jak zarodniki na liściach. Staralem się je omijać, nie naruszać ich powierzchni, by nie zdradzić, gdzie jestem. Mimo upału plecy pokryła mi gęsia skórka i wrócił ból lewego przedramienia, przypominając o ranie; w razie czego nie mogłem liczyć na to, że lewa ręka będzie równie silna jak prawa. Zerknąłem na papierowe ręczniki przymocowane gumką recepturką i zerwałem je. Skórę oblepiała zakrzepła krew, rozcięcie było zaognione, ale przestało krwawić.

Podszedłem do prasy. Była wielka i brzydka, przypominała kontener morski z wyciętą paszczą. Po lewej stronie ujrzałem przerwę w labiryncie, którą widziałem wcześniej.

Prowadziła na niewielki parking.

Uświadomiłem sobie, że właśnie dlatego Egan mnie nie gonił. Wiedział, że w końcu tu trafię. Kiedy tam stanąłem, przemknęło mi przez głowę, czy nie lepiej się wycofać, ale głównie myślałem o tym, żeby wiać stąd jak najszybciej. Musiałem ponownie rozważyć swoją taktykę, przeorganizować plan.

Skoro był parking, to prawdopodobnie w pobliżu znajdowała się brama wyjazdowa. Równie prawdopodobne jednak, że Egan czyhał tu na mnie i znając topografię wysypiska, udawał, że mnie ściga, a potem skróttem dostał się na ten koniec placu. Może i byłem blisko wyjścia, ale wystarczyłaby jedna zła decyzja, żebym skończył z nożem w plecach.

Stałem tam, obmyślając swoje następne posunięcie – lewa ręka pulsowała bólem i coraz trudniej było mi utrzymać śliski wał napędowy – gdy nagle dostrzegłem przez dziurę w labiryncie jakiś ruch. Cofnąłem się parę kroków, by schronić się w cieniu. Spodziewałem się, że zaraz zobaczę Egana.

Ale to nie był Egan.

Nie znałem tego mężczyzny. Miał na sobie niebieski kombinezon z plamami od oleju silnikowego i błota. Wyglądał na pięćdziesiąt kilka lat, był szpakowaty i korpulentny, w niedopasowanych do twarzy, za małych okularach.

Szedł jakoś dziwnie, z prawą ręką, która była teraz poza zasięgiem mojego wzroku, przyciśniętą do ciała. Nie wiedziałem, czy idzie tak z powodu nadwagi, czy z powodu jakiegoś niedoleczonego urazu. Przesunąłem się w lewo, za kolumnę wraków, aby dalej go obserwować. Wtedy zobaczyłem jego prawą rękę. Przyczyną tego dziwnego chodu nie była ani waga mężczyzny, ani żaden dawny wypadek. Przyczyną było to, co trzymał przy nodze.

Pistolet.

Przystanął. Serce mi podskoczyło, gdy jego oczy zatrzymały się w pobliżu mojej kryjówki. Przez chwilę panowała absolutna cisza: nie było słycać szumu z autostrady, śpiewu ptaków ani skrzywienia stert samochodowych wraków wokół nas. Musiałem użyć całej siły woli, by opanować instynkt i nie rzucić się do ucieczki. Nie mógłbym jednak prześcignąć kuli. Dlatego stałem w miejscu, jeszcze mocniej ściskając wał napędowy i patrząc, jak mężczyzna idzie w prawo, w kierunku kontenera.

Zaczekaj, aż zniknie ci z oczu – a potem wuj.

Kiedy już zniknął z pola mojego widzenia, wyczułem gdzieś nad sobą lekki podmuch powietrza – a potem rozległ się przeciągły niski jęk, jak gdyby jeden z wraków zaraz miał runąć z piramidy.

Uniosłem głowę.

Egan skoczył na mnie z takim impetem, jakby spadł z nieba. Miałem tylko ułamek sekundy, by zrozumieć, że niepostrzeżenie wspiął się na prasę i stamtąd rzucił się na mnie całym ciężarem ciała – i zaraz świat zmienił się w niewyraźną plamę.

Powalił mnie na ziemię, przygniatając mi kolanami żebra i brzuch, i kiedy znalazł się na mnie, gwałtownie uszło ze mnie całe powietrze. Egan odbił się ode mnie, tracąc równowagę po skoku, a ja wiedziałem, że muszę stanąć, bronić się, przygotować na następny cios. Ale gdy próbowałem się podnieść, kiedy wygramoliłem się na nogi, poczułem, że za chwilę zwymiotuję. Opadłem na kolana, bez tchu, rozdygotany, i ogarnęła mnie następna fala mdłości. Żołądek podjechał mi do gardła, jak gdybym miał tam przepełniony balon, i ledwie zauważyłem, że obok mnie Egan dźwiga się z ziemi. Po twarzy spływała mu krew, a jego ręka sięgała do pasa, z za którego wystawała gumowana

rękojeść noża myśliwskiego. Widziałem go teraz wyraźniej: zaciśnięte zęby, napięta szczęka, zaczerwieniona twarz.

– Mam go! – wrzasnął.

Rozległy się kroki, z początku głucho, stopniowo coraz głośniejsze. Rozejrzałem się za wałem napędowym i zobaczyłem, że leży po mojej prawej stronie, na wyciągnięcie ręki. Podczołgałem się tam, walcząc z atakiem mdłości, podniosłem się na kolana i z całych sił chwyciłem pordzewiały wał.

Egan znowu na mnie natarł. W trzech susach pokonał dzielący nas dystans. Odchyliłem się do tyłu, gdy nóż ze świstem przeciął powietrze i drasnął mnie w sam koniec podbródka. Siła rozpędu zniosła Egana trochę w lewo ode mnie, a ja, starając się jakkolwiek go trafić, desperacko machnąłem wałem napędowym.

Stalowy walec wibrował mi w rękach.

Egan zatoczył się, nogi się pod nim ugięły, rozpaczliwie machnął w powietrzu ręką, tak że nóż mu wypadł i z brzękiem odbił się od karoserii jednego z najbliższych samochodów. Egan runął na ziemię. Wstałem z trudem, czując się jak pijany: miałem krew na brodzie i ślinę na wargach i wciąż to traciłem, to odzyskiwałem ostrość wzroku. Przygotowałem się na kolejny atak Egana.

Ale nie nastąpił.

Egan leżał na brzuchu, z rozrzuconymi rękami i zakrwawioną, zmaltretowaną twarzą. Cios trafił go w bok głowy. Jedno oko już się zamykało. Nie wiedziałem, czy on jeszcze oddycha, czy nie.

Cholera. Cholera jasna!

Niemal natychmiast pojawił się ten drugi, poruszając się z szybkością, która przeczyła jego tuszy. Znowu zamachnąłem się wałem napędowym i trafiłem go w ramię. Wypuścił z ręki pistolet, a pod wpływem siły uderzenia zrobił kilka kroków w bok i wdepnął w wypełnioną wodą bruzdę, tracąc równowagę. Rzuciłem się w jego stronę i zadałem drugi cios, tym razem trafiając w szyję. Facet zadygotał, jakby przeszedł go prąd, z trzaskiem uderzył całym ciałem w jedną z karoserii i osunął się w błoto.

Cisza.

Stałem, jakby mi nogi wrosły w ziemię, przygotowany na to, że pozbiera się i znowu ruszy do natarcia. Ale nie podnosił się z ziemi. Leżeli obaj. Zgiąłem się wpół, usiłując złapać oddech i czując wyrzuty sumienia z powodu jatki, jaką właśnie urządziłem. Nie chciałem nikogo krzywdzić, ale nie miałem wyboru. Walczyłem o życie. Byli uzbrojeni w nóż i pistolet i nie żałowałiby mnie nawet przez sekundę, gdybym wykrwawiał się u ich stóp. Jednak ta myśl wcale mnie nie pocieszyła. Krzywdzenie ludzi nie sprawiało mi przyjemności.

To odróżniało mnie od tych dwóch.

Sprawdziłem, co z nimi. Pochyliłem się nad śliskim od potu i krwi Eganem, żeby zbadać mu puls. Był wyczuwalny, choć słaby. Ten drugi, starszy facet, był przytomny, ale

oszołomiony – do tego stopnia, że nie protestował, gdy odrzuciłem pistolet daleko od niego i zacząłem przeszukiwać kieszenie jego kombinezonu.

Najpierw znalazłem portfel, a w nim wyblakłą i wymiętą wizytówkę, z której wynikało, że mężczyzna nazywa się Geoffrey Barneslow i jest właścicielem złomowiska Barneslow Scrap. Miał stary telefon, bez ekranu dotykowego, a ostatni numer na liście odebranych połączeń zgadzał się z numerem stacjonarnym Barneslow Scrap na wizytówce. Wychodząc z kontenera, zabrałem Eganowi komórkę, co oznaczało, że ten zadzwonił do Barneslowa z telefonu stacjonarnego w kontenerze, z prośbą o pomoc. Nie mogłem tego potwierdzić, bo nie miałem kogo zapytać, ale domyślałem się, jaki układ zawarli: Egan przywoził tu ludzi, gdy złomowisko było nieczynne, po czym sprzątał po sobie, a Barneslow inkasował należność, nie zadając zbędnych pytań.

Wstałem i ruszyłem w stronę parkingu. Musiałem znaleźć kluczyki. Musiałem znaleźć swój samochód.

Musiałem się stąd wydostać.

Minutę później znalazłem swój samochód. Patrząc na niego, przypomniałem sobie to, co powiedziała mi Alex Cavarro: „Mój brat sprawi, że znikniesz, tak jak ludzie, których poszukujesz. Razem z tobą znikną wszystkie ślady twojego życia, twój samochód, twoje rzeczy, ta sprawa. Wszystko przepadnie bez śladu. Ty też przepadniesz. Nic nie zostanie”. Bmw tkwiło w prasie do złomu, kompletnie zniszczone.

Na chwilę opanowało mnie dziwne, irracjonalne poczucie straty. Kupiłem to bmw w takim momencie życia, gdy nawet nie przypuszczałem, że kiedykolwiek będę zajmował się czymś innym niż dziennikarstwo; w czasach, gdy żyła Derryn, a ja spędzałem wieczory obok niej, na kanapie przed telewizorem, a nie przykuty do kaloryfera w kontenerze biurowym na peryferiach Londynu, gdzie nikt nigdy by mnie nie odnalazł. Derryn i ja pokonaliśmy tym samochodem wiele kilometrów, przemierzyliśmy nim całą Europę, byliśmy na północy Szkocji, w Irlandii; był tylko drobnym elementem naszego wspólnego życia, w szerszej perspektywie nieistotnym, a jednak stałym i niezmiennym. Przeżyłem jej śmierć, potem powoli dochodziłem do siebie – i bmw towarzyszyło mi przez cały ten czas.

Teraz stało się, tak jak ona, wspomnieniem.

Kiedy myślałem o wszystkim, co zostawiłem w środku – laptop, plecak pełen notatek o sprawie, fotografie drewnianego anioła, książka o zbrodniach, płyty DVD z Lyndą Korin na Stoke Point – obok prasy zobaczyłem przyczepę kempingową.

Wszedłem do niej.

W środku panował bałagan. Wymięta i skotłowana pościel na łóżku; resztki jedzenia, ślady po gotowaniu, naczynia w zlewie. Szafa z ubraniami, tablet, zalatująca moczem toaleta. Barneslow mieszkał tu na miejscu.

Obok przyczepy stał mercedes Egana; między samochodem a główną bramą złomowiska, pod mizernym blaszanym daszkiem, który przypominał rozpadającą się wiatę na przystanku, dojrzałem dwie duże beczki na ropę.

Jeszcze dymił.

Na ziemi między nimi leżał mój plecak – otwarty i opróżniony. W beczkach znalazłem stopione szczątki mojego laptopa i płyt DVD. Zobaczyłem resztki skórzanych okładek mojego notesu. A gdy wśród zgłiszczy szukałem wzrokiem książki o zbrodniach i dwóch zdjęć anioła, zdałem sobie sprawę, że jest za późno. Już dawno obróciły się w popiół.

Sięgnąłem do kieszeni po telefon i portfel. Dlaczego ich też nie spalił? Pewnie zamierzał sprawdzić listę moich połączeń, SMS-y i historię przeglądania internetu, zobaczyć, jakie

kartki i paragony kryje mój portfel, aby się upewnić, czy nie ma tam niczego, co łączyłoby mnie z nim, Zellerem i Alex. Potem wrzuciłby je do ognia, tak jak resztę rzeczy.

Zabrałem pusty plecak, wróciłem do mercedesa, usiadłem za kierownicą, odpaliłem silnik i wyjechałem ze złomowiska, kierując się na wschód. Lewa ręka wciąż mnie bolała, więc starałem się ją oszczędzać i opierałem ją o udo. Czułem od siebie zapach potu i krwi, widziałem brud, który mogłem usunąć tylko mydłem. Potrzebowałem prysznic i czystego ubrania.

Potrzebowałem też środków opatrunkowych. Wewnętrzna strona przedramienia pulsowała bólem od łokcia po nadgarstek, rany wyglądały jak czerwone wstążeczki. W połowie Uxbridge Road moje modlitwy zostały wysłuchane. Znalazłem aptekę, w której mimo święta było czynne okienko. Zatrzymałem auto na chodniku i przycisnąłem dzwonek.

Czekając, zajrzałem do telefonu Billy'ego Egana – ale zaraz zorientowałem się, że ten trop prowadzi donikąd. Spryciarz z niego. W spisie kontaktów nie miał żadnych numerów, skasował listę ostatnich połączeń, a wszystkie odebrane i wysłane SMS-y od razu usuwał. Nie było też historii internetu. Telefon był wydmuszką, pustym kawałkiem plastiku. Mógłbym jeszcze raz zadzwonić do Spike'a i zlecić mu poszukiwanie cyfrowych śladów Egana, bo na pewno na jakimś serwerze istniał wykaz jego połączeń i wiadomości, podobnie jak historia przeglądarki. Ale to byłoby skomplikowane zadanie. I czasochłonne.

A czasu nie miałem.

* * *

Parę minut później, gdy utknąłem w korku, próbowałem dodzwonić się do Melanie Crawl, ale włączyła się poczta głosowa. Zostawiłem jej wiadomość z obietnicą, że odezwę się później. Wybrałem też nieznaną numer w centrum Londynu, z którego ktoś do mnie dzwonił. Nikt nie odebrał.

Zacząłem przeglądać nawigację mercedesa. Próbowałem sprawdzić trasy Egana z kilku ostatnich dni, aby ustalić, gdzie był. Natknąłem się na informację o satelitarnym systemie monitoringu.

Mogą mnie namierzyć w samochodzie.

Skręciłem z Uxbridge Road na południe i dotarłem do północnego obrzeża Ravenscourt Park. Znalazłem najbardziej rzucające się w oczy miejsce, tuż przed szeregiem sklepików, i wjechałem na chodnik. Wzdłuż całej ulicy biegła podwójna żółta ciągła linia. Zamknąłem mercedesa, wrzuciłem kluczyki i telefon Egana do pobliskiej studzienki kanalizacyjnej, po czym z automatu zadzwoniłem na policję, by zgłosić, że nieprzepisowo zaparkowany samochód na Goldhawk Road powoduje wielkie zamieszanie.

Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to gdy Egan znowu zobaczy swoje auto, będzie miało blokadę na kole albo znajdzie się, odholowane, na policyjnym parkingu.

Skierowałem się do metra.

Godzinę po porzuceniu mercedesa Egana wyszedłem ze stacji Lewisham na popołudniowy upał, wdychając gęste od spalin powietrze. Niecałe sto metrów w głąb głównej ulicy, między tyłem komendy policji – wielkim ceglany budynkiem, otynkowanym na kremowo, z oknami w niebieskich framugach – a jakimś ponurym wytworem architektury lat siedemdziesiątych, gdzie teraz mieściła się zamknięta kręgielnia, znalazłem Prendegast Avenue.

Numer 47A był w połowie długości uliczki, na parterze dwupiętrowego szeregowca, w którym każdy poziom został podzielony na mieszkania – A, B i C. Zszedłem po kilku kamiennych stopniach i chociaż nie zobaczyłem zbyt wiele przez jedyne okno od frontu, to mi wystarczyło: obwieszony starymi plakatami filmowymi salon, a w głębi cień mężczyzny siedzącego przy niewielkim stole w kuchni.

Microscope.

Nacisnąłem dzwonek, upewniając się, że facet nie może mnie dojrzeć przez okno, więc będzie musiał otworzyć drzwi, aby sprawdzić, kto przyszedł. Zanim wsiadłem do metra, znalazłem publiczną toaletę i doprowadziłem się do porządku, zmywając z rąk krew i brud i należycie opatrując rany. Kupiłem też coś do ubrania – T-shirt z długimi rękawami, dżinsy i tani zegarek. Miałem nadzieję, że w cieniu daszka nad wejściem skaleczenia na twarzy będą mniej widoczne.

Otworzyły się drzwi.

Rafael Walker był ubrany w czerwone szorty i biały T-shirt z wyblakłym plakatem filmu Amerykański wilkołak w Londynie. Miał czarne włosy, siwiejące przy skroniach. Wysoki – ponad metr osiemdziesiąt wzrostu – i chudy; zapuścił brodę, odkąd zrobiono mu zdjęcie, które trafiło na stronę internetową Brytyjskiego Instytutu Filmowego. Teraz zebrał brodę dłonią, tak że wyglądała jak coś w rodzaju ogona z przodu, po czym obrzucił mnie spojrzeniem, zatrzymując wzrok na mojej ranie na kości policzkowej.

– Słucham? – powiedział.

– Pan Walker?

Odruchowo się najeżył.

– Tak.

– Nazywam się David Raker.

Wyjąłem z portfela wizytówkę i podałem mu. Składałem mu niezapowiedzianą wizytę w ostatni dzień długiego weekendu i nie miałem pojęcia, ile zostało mi czasu, zanim Egan

oprzytomnieje i podczołga się do telefonu, żeby zadzwonić do Alex i Zellera. Sprawę pogarszał fakt, że Egan w kontenerze pytał mnie o Rafaela Walkera, ponieważ oznaczało to, że Walker stał się jego obiektem zainteresowania, choć na razie mglistym. Oznaczało to, że Egan mógł się tu pojawić. Na rozmowę z Walkerem miałem może trzy lub cztery godziny, a może ledwie trzydzieści minut. Musiał odpowiedzieć na moje pytania.

– W porządku – rzekł, ciągle oglądając wizytówkę.

– Poszukuję zaginionych osób.

– Tyle przeczytałem.

– Szukam Lyndy Korin.

Natychmiast zmienił się wyraz jego twarzy, nieprzyjazny mars zniknął, ustępując miejsca zaskoczeniu.

– O – powiedział. – Mówi pan o żonie Roberta Hosterlitz?

– Właśnie.

– Zaginęła?

– Media prawie o tym nie informowały, ale tak, zaginęła. Pod koniec października ubiegłego roku. Myślę, że będzie mi pan mógł pomóc.

Przez chwilę nie odpowiadał, jak gdyby błędził myślami gdzie indziej.

– Panie Walker?

– W czym miałbym pomóc? – spytał.

– W jej odnalezieniu.

Znowu zmarszczył brwi.

– Nie wiem, jak pan to sobie wyobraża.

Mówił z eleganckim akcentem. Brzmiał w nim ślad języka z kontynentu – włoskiego albo hiszpańskiego, nie potrafiłem rozpoznać. Jego angielski był jednak znakomity.

– Pracuje pan w BFI, prawda?

Nie wydawał się zaniepokojony faktem, że o tym wiem. Może uznał to za efekt uboczny niezapowiedzianej wizyty detektywa.

– Zgadza się – przytaknął.

– Chciałbym, żeby powiedział mi pan coś o horrorach, które Robert Hosterlitz nakręcił w Hiszpanii między siedemdziesiątym dziewiątym a osiemdziesiątym czwartym rokiem. Szczególnie interesują mnie ich zakończenia.

Jeszcze raz zerknął na moją wizytówkę.

– Zakończenia?

– Chodzi mi o ostatnie dziewięćdziesiąt sekund.

Wyczułem to, zanim jeszcze usłyszałem. Z niewiadomego powodu zamierzał zaprzeczyć, że cokolwiek wie na ten temat. I rzeczywiście odparł:

– Nie wiem, o czym pan mó...

– Czytałem pana wpisy na forum.

Spojrzał mi prosto w twarz – ale zdradziły go oczy.

– Wiem, że jest pan Microscope'em.

Salon był mały i funkcjonalny. Prawie całą jedną ścianę zajmowały dwa regały – na półkach zobaczyłem powieści, encyklopedie i leksykony oraz płyty Blu-ray – a po obu ich stronach wisiały plakaty filmowe i zdjęcia, prawdopodobnie synka Walkera. Z rogów wystawały, jak czarne plastikowe totemy, wąskie kolumny głośnikowe wysokości ponad metra, a na szafce stał pięćdziesięciocalowy telewizor, na którym wyświetlała się zatrzymana scena z nieznanego mi filmu.

Jedna ściana została wyburzona, by połączyć salon z kuchnią. Oglądając dalej pokój, obok szafki z telewizorem zauważyłem kolejny rząd płyty DVD, parę srebrnych pudełek z taśmami filmowymi i ładujący się laptop.

– Napije się pan czegoś? – zapytał.

– Może tylko wody.

Kiedy wyszedł do kuchni, mój wzrok przykuła jedna z półek. Walker miał wszystkie filmy Hosterlitz'a dostępne na DVD, łącznie z tymi, w których grała Lynda Korin. Nie zauważyłem jednak żadnego z sześciu „zaginionych”. Pomyślałem o karteczce samoprzylepnej z kodem czasowym filmu Zabij!, znalezionej w domu Korin. To był jeden z zaginionych tytułów. Jeżeli Walker nie miał dostępu do wszystkich jedenastu filmów, nie miał też dostępu do Zabij!, co oznaczało, że zagadka dwóch ciągów przypadkowych liter, które Korin zanotowała na karteczce, pozostanie nierozwiązana.

Ta myśl snuła mi się jeszcze po głowie, gdy Walker przyniósł wodę, wskazał mi kanapę, a sam przysunął sobie krzesło z kuchni i przycupnął na brzeżku. Jeszcze raz się przedstawiłem, po czym opowiedziałem mu w skrócie o przebiegu poszukiwań Lyndy Korin. Pomiąłem wszystko, czego nie musiał wiedzieć. Pomiąłem wszystko, co mogłoby go zdenerwować. Pomiąłem wszystko, co według mnie mogłoby go postawić w złym świetle. Od czasu do czasu zadawał jakieś pytanie, ale głównie słuchał.

– Dlatego właśnie chodzi mi o filmy, które zrobił między siedemdziesiątym dziewiątym a osiemdziesiątym czwartym rokiem – podsumowałem.

Walker skinął głową

– Widziałem trzy: Maniaka z siekierą, Mordercze wiertło i Wyspę śmierci. Wszystkie kończą się tą samą sceną... a w każdym razie sceną, która wygląda prawie identycznie.

Znowu kiwnął głową.

– Z tego, co wiem, nakręcił w tym czasie jedenaście filmów, z których sześć przepadło na zawsze... to tak zwane „zaginione” filmy. Ale na forum twierdził pan, że widział

wszystkie, łącznie z tymi, które są nie do zdobycia. Pisał pan prawdę?

– Oczywiście.

Spojrzałem na niego.

– Nie widzę ich tu na półkach.

Pokręcił głową, zanim dokończyłem zdanie.

– Bo na DVD nie można ich zdobyć. Filmy uważa się za „zaginione” nie bez powodu.

Szeroka publiczność nie ma do nich dostępu.

– Ale pan ma?

– Tak, ja mam.

– Są w instytucie? – spytałem.

– Nie.

Rozejrzałem się po salonie i mój wzrok padł na srebrne pudełka obok telewizora.

– Czy to one?

Zaśmiał się, jakbym go obraził.

– Nie.

– W takim razie gdzie one są?

– Z całym szacunkiem, dlaczego miałbym udzielać panu informacji na ten temat?

Popatrzyłem na niego, zdenerwowany tym tonem, zirytowany jego uporem. Siedziałem tu, usiłując wyciągnąć z niego odpowiedzi, a tymczasem Egan, Alex i Zeller przegrupowywali siły. Zerknąłem na zegarek. Minęła już druga. Spróbowałem uderzyć w pojednawczy ton.

– Chcę tylko odnaleźć Lyndę Korin. Nic więcej.

Przyglądał mi się przez chwilę.

– Panie Walker?

– Nawet nie wiem, kim pan jest.

– Przecież powiedziałem, że jestem...

– Wizytówka nie mówi nic o tym, kim jest jej właściciel.

Pomyślałem o Alex Cavarano. Walker miał rację.

Wskazując na ładujący się laptop, powiedziałem:

– Może pan poczytać w internecie o niektórych sprawach, jakimi się zajmowałem. Nie próbuję pana nabierać.

Podniósł się i wziął laptop, odłączając go od przewodu zasilania. Po mniej więcej trzydziestu sekundach oderwał wzrok od ekranu i obrzucił mnie przelotnym spojrzeniem. Najwyraźniej znalazł jakąś relację z jednej z moich głośniejszych spraw.

– To pan znalazł Porywacza? – spytał, mając na myśli sprawę z 2012 roku, podczas której poznałem Melanie Craw.

– Tak – potwierdziłem.

– Kto panu zlecił odnalezienie Lyndy Korin?

– Jej siostra.

Nie unosił głowy znad laptopa.

– Słyszał pan kiedyś o Różanym Kręgu? – naciskałem.

Znowu na mnie popatrzył.

– Tak, czytałem coś o tym w internecie.

– Pod koniec października, na stronie „Cine”?

– Tak, zgadza się.

– Czy wtedy po raz pierwszy zetknął się pan z tym tytułem?

– Tak. Wie pan coś o nim?

– Nie jestem pewien, czy w ogóle istnieje.

Moja odpowiedź wyraźnie zbiła go z tropu.

– Co takiego?

– Nie przypuszczam, żeby Robert Hosterlitz pisał scenariusz, a jeżeli nawet próbował, nigdy go nie skończył. Nie miał w domu żadnego sprzętu filmowego, nawet kamery, więc raczej nie kręcił niczego tanim kosztem. W grudniu osiemdziesiątego czwartego roku zdiagnozowano u niego raka. Podobno pił, był uzależniony od środków przeciwbólowych, chory... Jeżeli mówił żonie o Różanym Kręgu, twierdząc, że to film, to chyba kłamał.

Pomyślałem o tym, co napisał na odwrocie zdjęcia anioła. „Mam nadzieję, że mi wybaczysz, Lyndo”.

– Po co miałyby to robić? – spytał Walker.

– Nie wiem. To właśnie próbuję ustalić.

Wróciwszy spojrzeniem na ekran laptopa, czytał jeszcze raz artykuł o mnie, który znalazł w sieci. Po chwili zamknął komputer.

– Jak mówiłem – próbowałem dalej – nie staram się ukrywać...

– Piszę książkę.

Przez chwilę milczałem, zaskoczony.

– Rozumiem.

– Pracuję nad nią od lat. Jest o Hosterlitzu.

Przesunąłem się na skraj kanapy.

– O jego filmach?

– O jego życiu.

– Biografia?

– Tak.

Patrzyłem na niego badawczo, czekając na ciąg dalszy. Przypomniałem sobie, że na początku zaprzeczył, by cokolwiek wiedział o powtarzającej się scenie w zakończeniach filmów Hosterlitz, dopóki nie dałem mu jasno do zrozumienia, że zdemaskowałem go jako Microscope’a. Pamiętałem też, że kiedy na forum Collinsky prosił go o bezpośredni kontakt, aby porozmawiać o tej powracającej scenie, Walker z miejsca odesłał go z kwitkiem.

Chciał chronić swoją książkę.

– Stara się pan pisać tę książkę w tajemnicy?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem, czy w tajemnicy. Ale kiedy próbuję prześledzić życie Hosterlitz, są w nim rzeczy, które... po prostu... – Urwał. – W jego życiu są rzeczy, które nie mają sensu.

– Co to znaczy: „rzeczy, które nie mają sensu”?

– Właściwie nie wiem – przyznał Walker – i dopóki nie odkryję prawdy, nie chcę ujawniać szczegółów tej pracy. – Zawahał się, jak gdyby nie był pewien, czy może mi zaufać. – No dobrze – ciągnął cicho, z odrobiną rezerwy. – Wiedział pan, że jego ojciec, Hans, w tysiąc dziewięćset trzydziestym roku przekazywał pieniądze partii nazistowskiej?

Pokręciłem głową.

– Nie wiedziałem.

– Dopiero parę lat później wyrzekł się ideologii nazistowskiej i to był jeden z powodów, dla których w trzydziestym trzecim wyjechał z rodziną do Stanów. Twierdził, że dał się zwieść obietnicom Hitlera, który zapowiadał ożywienie gospodarki i zerwanie traktatu wersalskiego, ale kiedy zobaczył, za czym naprawdę opowiadają się naziści, oświadczył, że wstydy się każdego grosza wpłaconego na ich rzecz. W każdym razie Hosterlitz opowiadał o ojcu w wywiadzie dla „Los Angeles Times” z pięćdziesiątego czwartego roku, kiedy zdobył Oscary za Oczy nocy. – Walker przerwał, znowu sięgając po laptop. – Zaraz to znajdę.

Zastanawiałem się, do czego zmierza.

– Jest – powiedział. – Hosterlitz mówił: „Mój ojciec nie był faszystą. Nienawidził faszyzmu. Pomylił się w ocenie nazistów, kiedy Hitler nie ujawnił jeszcze całości swoich poglądów, i ojciec przyznawał się do tego codziennie, aż do swojej śmierci w 1938 roku. Gdyby żył, myślę, że dzisiaj głosowałby na republikanów, chociaż słysząc o wielu pomysłach politycznych demokratów, pomyślałby zapewne: to naprawdę brzmi sensownie. Przypuszczam, że te przekonania polityczne są mi najbliższe”. – Walker spojrzał na mnie. – Nic tu nie wydaje się panu dziwne?

Natychmiast pomyślałem o tym, co powiedział Glen Cramer: „Bobby Hosterlitz nie był żadnym komunistą. Wykluczone. Miał umiarkowane poglądy”. Zerknąłem na Walkera.

– Hosterlitz deklarował się chyba jako zwolennik centroprawicy.

– Zgadza się.

– Ale oskarżono go, że jest komunistą.

– Właśnie. To był decydujący czynnik, który skłonił go do wyjazdu ze Stanów. I dlatego jego kariera się załamała. – Wskazał na ekran. – Ale jak mógł być komunistą, skoro głosował na republikanów?

– Może nie głosował. Okłamał dziennikarza.

Walker pokręcił głową.

– Poświęciłem tej książce ponad dziesięć lat. Połowę swoich urlopów spędziłem na podróżach do Los Angeles, żeby składać w urzędach i instytucjach prośby o dostęp do informacji. Odszukałem wszystkich, którzy mogli cokolwiek pamiętać z tamtych czasów, i półtora roku temu znalazłem dokumenty dotyczące darowizn na rzecz Partii Republikańskiej między pięćdziesiątym a sześćdziesiątym rokiem. Informacji tego rodzaju nie wolno było oficjalnie ujawniać przed zmianą przepisów w siedemdziesiątym pierwszym, więc szukałem tych danych przez trzy lata. Figurował tam Hosterlitz.

– Był donatorem republikanów?

– Tak. Przed kampanią Eisenhowera w pięćdziesiątym drugim wpłacił trzy tysiące dolarów. Dzisiaj to by było dwadzieścia pięć tysięcy. Niemala sumka.

– To niekoniecznie cokolwiek zmienia – zauważyłem, choć nie byłem pewien, czy wierzę w to, co mówię. – Być może niektórzy twierdzą, że wspierał kampanię republikanów, żeby ukryć swoje prawdziwe poglądy.

– A może rzeczywiście nie był komunistą.

– Minęło sześćdziesiąt lat i raczej wątpię, czy kiedykolwiek się tego dowiemy.

Walker znowu pokręcił głową.

– Jak w ogóle do tego doszło, że zainteresowała się nim Komisja do spraw Działalności Antyamerykańskiej? – zapytał.

Wzruszyłem ramionami.

– Komisja atakowała Hollywood od czterdziestego siódmego. Można się było spodziewać, że prędzej czy później dobiegnie się do Hosterlitz. Tamten artykuł w „National People” tylko pomógł wziąć go na cel.

– Otóż to – potwierdził Walker. – Artykuł w „National People”.

Spojrzałem na niego, nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

– Sam pan powiedział – ciągnął wolno Walker – że komisja grillowała Hollywood od czterdziestego siódmego, a jednak nikt, kto przed nią zeznawał, nie wymienił nazwiska Hosterlitz i komisja nigdy go nie wezwała, dopóki w pięćdziesiątym czwartym, parę miesięcy po Oscarach, nie ukazał się ten artykuł.

Zaczynałem chwytać, do czego zmierza.

– Co pan chce przez to powiedzieć? Pana zdaniem artykuł w „National People” to były sfabrykowane oskarżenia?

Skinął głową.

– Tak właśnie myślę.

– Ktoś go wrobił?

– Zgadza się. Ktoś zadzwonił do „National People” i uraczył ich bajeczką, że Hosterlitz to komunist.

– Po co?

– Wiedział, że w najgorszym razie Hosterlitzowi wezwą przed komisję, a to zniszczy jego wiarygodność w oczach narodu. W najlepszym razie trafi na czarną listę. Najwspanialej byłoby, gdyby wysłali go za kratki albo postanowił uciec z kraju. Tak czy siak, czy był winny, czy nie, zostałby zmieszany z błotem jako komunista i jego kariera byłaby skończona. Jego praca, jego życie będą zrujnowane.

– Ale dlaczego ktoś chciał zniszczyć Hosterlitzowi karierę?

Walker wzruszył ramionami.

– Zazdrość. Zawiść. Pieniądze. Jest masa powodów.

Czyżby to Zeller go wrobił? A może Cramer?

Poczułem tępe pulsowanie w głowie. W czasie przesłuchań przed komisją w latach pięćdziesiątych obaj obracali się już w hollywoodzkim światku – ale co właściwie chcieliby osiągnąć, fabrykując takie zarzuty? Hosterlitz był wtedy jednym z najbardziej wziętych reżyserów. Świeżo po sukcesie *Oczu nocy*, filmu nagrodzonego wieloma Oscarami, podpisał kontrakt z American Kingdom na następny film. Saul Zeller, de facto szef wytwórni, chciał go zapewne utrzymać u siebie jak najdłużej. Cramer w wielu wywiadach wielokrotnie podkreślał, że gdyby nie Hosterlitz, nigdy nie zrobiłby kariery. Żaden z nich nie powinien być wrogo nastawiony do Hosterlitz. Mimo to zaledwie parę godzin temu siedziałem przykuty do kaloryfera, a syn Zellera groził mi, że będzie mnie torturował, zabije mnie i pogrzebie w takim miejscu, że nikt mnie nigdy nie odnajdzie.

– Panie Raker?

– David – powiedziałem cicho, ale moje myśli skierowały się w stronę książki o zbrodniach, którą znalazłem w piwnicy Egana.

Może tam się kryje odpowiedź.

Przypomniałem sobie fragment, który ocalał z wydartego rozdziału.

...gdzie zmarł w więzieniu stanowym San Quentin w wieku trzydziestu dziewięciu lat. To zdarzenie do dziś pozostaje jedną z najbardziej kontrowersyjnych i brutalnych spraw w długiej i głośnej historii zbrodni popełnionych w Los Angeles.

Ktoś umarł w San Quentin w wieku trzydziestu dziewięciu lat, przed wydaniem tej książki, czyli przed 1982 rokiem. Zbrodnię popełniono w Los Angeles. Przeszukałem internet, używając wszystkich tych informacji, i niczego nie znalazłem.

– David?

Spojrzałem na Walkera.

– Wiesz coś o San Quentin? – spytałem.

Ta nagła zmiana tematu wyraźnie zbiła go z tropu.

– Masz na myśli więzienie?

– Tak.

– Jest chyba na północy San Francisco...

– Chodzi mi o sprawę, która może mieć związek z Hosterlitzem... – Zamilkłem. Może mieć też związek z Eganem, Alex, Zellerem. Nawet z Cramerem. Poszedłem za ciosem. – Rzecz w tym, że nie wiem, co to za sprawa ani nawet kiedy miała miejsce. Jedyne fakty, które znam, to śmierć trzydziestodwuletniego więźnia w San Quentin.

Walker przyglądał mi się z wyraźnym zdumieniem, a gdy odtworzyłem w myślach swoje ostatnie słowa, zrozumiałem dlaczego: mówiłem mętnie, niemal bez ładu i składu.

– Próbuję sobie przypomnieć znanych więźniów San Quentin – dodałem.

Nadal patrzył na mnie, jakbym tracił rozum.

– Charles Manson? – podsunął.

„Rodzina” Mansona popełniła wszystkie morderstwa w Los Angeles i okolicach. Ale wyrwany z książki rozdział na pewno traktował o czymś innym. Relację o zbrodniach Mansona znalazłem w jednej z wcześniejszych części. Sprawa nie miała nic wspólnego z Mansonem.

Chodziło o inne zdarzenie.

Siedziałem przez chwilę, starając się coś wymyślić, gdy nagle mój wzrok zatrzymał się na pudełkach z filmami Hosterlitz na DVD.

– Naprawdę widziałeś wszystkie filmy, które nakręcił po siedemdziesiątym dziewiątym roku? – spytałem.

– Tak – potwierdził. – Wszystkie jednaście.

Przyglądał mi się przez chwilę z niepokojem na twarzy, być może obawiając się, że powierza sekrety biografii Hosterlitz niezrównoważonej osobie, która ma trudności z logicznym powiązaniem jednego pytania z drugim.

– Co sądzisz o ich zakończeniach?

– O powtarzającej się scenie finałowej? Nie wiem. Dlatego właśnie chciałem, żeby ten dziennikarz zapytał o nią Lyndę Korin. – Przerwał, patrząc na mnie z namysłem. – Ale jedno mogę ci powiedzieć: na tym filmie, który leci w telewizorze, widać Kalifornię.

– Na fragmencie nakręconym z samochodu?

– Tak.

– Dlaczego tak uważasz?

– Kiedy przyjrzeć się dokładnie, w oknie można zauważyć blade odbicie samochodu, z którego kręcono film. Widać, że to cadillac coupe de ville... i ma żółto-niebieskie tablice rejestracyjne z Kalifornii. Takich tablic używano tam od sześćdziesiątego dziewiątego roku do końca lat osiemdziesiątych.

– Czyli to jest Kalifornia, ale nie Los Angeles?

– Prawdopodobnie jednak Los Angeles – odrzekł Walker – chociaż naprawdę za mało widać, żeby mieć stuprocentową pewność. To tylko domysły.

– Sądzisz, że Hosterlitz sam nakręcił ten fragment?

– Takie przypuszczenie się narzuca.

Zastanawiałem się, kiedy mógł to nakręcić. W grę wchodziła właściwie tylko jedna możliwość: przed wyjazdem ze Stanów w 1970 roku. Fragment nie mógł powstać w czasie jego wypadu do Los Angeles w 1984 roku, bo pojawiał się we wszystkich jedenastu filmach, które zrobił w ciągu wcześniejszych pięciu lat. Teoretycznie mógłby to nakręcić podczas swojej pierwszej wizyty z Korin w Minnesocie latem 1979, ale gdyby zniknął wtedy na tydzień, jak w tamte święta Bożego Narodzenia, Wendy na pewno by to pamiętała.

Bardziej zainteresowało mnie jednak, jak dobrze Walker zna te filmy, w takich szczegółach, że zauważał nawet odbicia widoczne przez ułamek sekundy w ulicznej szybie. Świadczyło to, że naprawdę wielokrotnie oglądał wszystkie jedenaście filmów. I że ma do nich dostęp. Co prawdopodobnie oznaczało, że są gdzieś w pobliżu.

Po prostu na razie za mało mi ufał, żeby mi je pokazać.

Sięgnąłem po telefon, znalazłem zrobione przez siebie zdjęcia fotografii drewnianego anioła i pokazałem mu.

– Co to jest?

– Poznajesz tego anioła?

Pokręcił głową.

– Nie pojawił się w żadnym filmie Hosterlitz?

– Nie.

– Należał do Lyndy Korin. A może do samego Hosterlitz. Przesuń do następnego zdjęcia.

Zrobił to.

– „Mam nadzieję, że mi wybaczysz, Lyndo”. – Uniósł wzrok znad ekranu. – To pismo Hosterlitz?

– Tak myślę. Napisał to na odwrocie jednego z tych zdjęć.

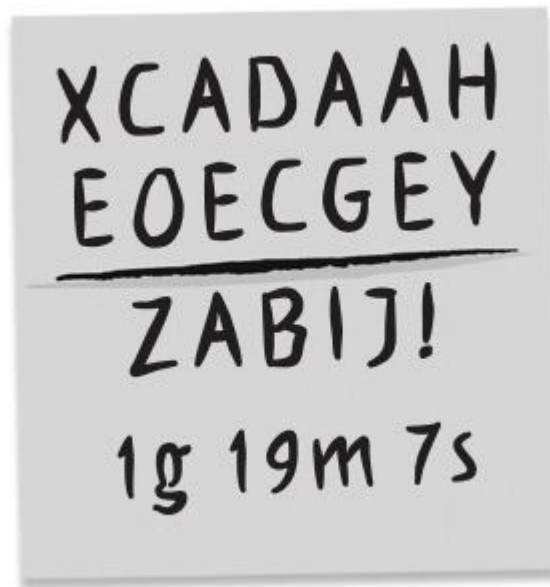
– Co takiego miała mu wybaczyć?

Przypomniałem sobie, co powiedziała mi Alex w kontenerze. „Robert Hosterlitz nie jest człowiekiem, za jakiego go uważasz”.

– Tego właśnie muszę się dowiedzieć – odparłem.

Kiedy oddał mi telefon, otworzyłem zdjęcie karteczki samoprzylepnej, którą znalazłem w domu Korin. Oryginał przepadł – Egan spalił go, gdy byłem na złomowisku, ale nie zdążył skasować z telefonu jego cyfrowej kopii. Musiałem się dowiedzieć, co oznaczają te sekwencje liter, musiałem też ustalić, co się kryje pod kodem czasowym.

– Rozumiesz coś z tego? – spytałem pokazując mu ekran.



Walker nachylił się i ponownie wziął telefon do ręki.

– Te dwa ciągi liter? Nie.

– A pod spodem?

– To jest kod czasowy Zabij!?

– Chyba tak. Wiesz, do czego konkretnie może się odnosić?

Zacisnął usta. Najwyraźniej nic mu to nie mówiło, ale przenosił wzrok z ekranu telefonu na mnie i z powrotem, jak gdyby się zastanawiał.

– Nie – powiedział w końcu.

– I nie domyślasz się, co może oznaczać?

– Nie – powtórzył. – Ale może jest sposób, żeby się tego dowiedzieć.

Wstał, skinął, żebym poszedł za nim, i zaprowadził mnie do kuchni. W kącie, w niewidocznym miejscu, stała dębowa komódka z pięcioma szufladami.

Walker pociągnął środkową.

Tyle że to wcale nie były szuflady. Lity panel dębowy na froncie jedynie imitował szuflady. Zaraz za nim zobaczyłem wypełniający całe wnętrze sejf z ciemnoszarej stali. Jego drzwi miały numeryczną klawiaturę i okrągłą klamkę.

Walker wstukał kod.

Gdy sejf zabrzączał krótkim sygnałem, obrócił klamkę i drzwi odskoczyły. Przez szparę wypełzły smugi dymu – po chwili jednak zorientowałem się, że to nie dym, ale lodowate powietrze.

Sejf był lodówką.

Wewnątrz znajdowały się dwie duże metalowe szuflady, jedna nad drugą, każda z uchwytem. Walker chwycił górny i pociągnął – i szuflada płynnie wysunęła się na prowadnicach.

– Kiedyś służyły do przechowywania sześciu szpul trzydziestopięciomilimetrowej taśmy, po sześćset metrów każda – wyjaśnił, odwracając się do mnie. Wyglądał na trochę zdenerwowanego, jak gdyby się obawiał, że odepchnę go na bok i łapczywie rzucę się na zawartość. – To były pojemniki transportowe. Kupiłem je na aukcji jakieś sześć, siedem lat temu. W archiwum instytutu jest specjalne pomieszczenie, gdzie przechowuje się oryginały w stałej temperaturze minus pięciu stopni, ale ja nie mam czegoś takiego i pewnie długo nie będę miał, więc poradziłem sobie w taki sposób.

– Sam to skonstruowałeś?

– Skrzynek nie przerabiałem. Całą resztę tak.

Odbezpieczył zatrzask z boku górnej skrzynki i uniósł pokrywę. Podeszedłem bliżej i zajrzałem do środka. Było tam pięć srebrnych puszek na filmy, stojących pionowo, każda w piankowej wytłoczce.

– Mam wszystkie jedenaście filmów, które Robert Hosterlitz nakręcił między siedemdziesiątym dziewiątym a osiemdziesiątym czwartym rokiem – oznajmił. Przesunął dłonią po pojemnikach. – Pięć jest tutaj, a sześć na dole.

Zerknąłem na dolny pojemnik.

– To nie są wersje z dubbingiem – rzekł Walker. – To oryginalne negatywy, po angielsku. Jedyny z tych filmów dostępny po angielsku to Maniak z siekierą, którego wersja

na DVD powstała z kopii dystrybucyjnej. Tak samo jak pozostałe wydane na DVD filmy z dubbingiem włoskim i hiszpańskim. Wszystkie to kopie dystrybucyjne, nie oryginały. Wiem, bo oryginały mam od osiemdziesiątego siódmego roku.

– Skąd?

Wsunął lekko górną skrzynkę i wyciągnął dolną, którą otworzył, pokazując sześć następujących puszek.

– Urodziłem się w Madrycie – powiedział. – Mój ojciec był operatorem w kinie w Salamance, które pokazywało filmy po angielsku. Matka była lekarką, często pracowała w nocy, więc najczęściej tato zabierał mnie ze sobą. Tak się zaczęła moja miłość do kina... i moje zainteresowanie Hosterlitzem. Oglądałem jego filmy, mimo że miałem dziesięć czy jedenaście lat, i za każdym razem, kiedy ojciec je wyświetlał, próbował mi zasłaniać oczy. „To tandeta – mówił mi. – Ale jego wcześniejsze filmy były naprawdę dobre”. Większość ludzi zaczyna oglądać Hosterlitzia od filmów noir i dalej idzie chronologicznie, tracąc zainteresowanie po Duchu Wielkich Równin. Ja zacząłem od końca i przechodziłem do jego wcześniejszych filmów... i wręcz przeciwnie, interesował mnie coraz bardziej.

Walker zerknął na mnie i znów spojrzał na puszki z taśmami.

– Mano Águila, wytwórnia, dla której Hosterlitz pracował między siedemdziesiątym dziewiątym a osiemdziesiątym czwartym rokiem, została zamknięta w osiemdziesiątym szóstym nie dlatego, że nie przynosiła zysków. Została zamknięta, bo zarabiała. Facet, który ją prowadził, Pedro Silva, nie zapłacił jakichś siedemnastu milionów peset podatków. A kiedy fiskus zaczął mu deptać po piętach, zamknął na głucho siedzibę firmy i uciekł do Argentyny. Parę miesięcy później dostałem się do budynku Mano Águila.

– I ukradłeś te filmy?

Skinął głową.

– Po prostu je tam zostawili. Wziąłem je, wrzuciłem do samochodu i nigdy nikomu nie pisałem o tym słowa. Mój ojciec był Anglikiem, chociaż wiele lat mieszkał w Hiszpanii, i nazywał drobnych złodziejasków „śmieciami”. Chyba zostałem wtedy kimś takim, ale nigdy tego nie żałowałem.

Pochylił się i wyjął jeden srebrny pojemnik z dolnej skrzynki.

– To jest Zabij!

Na puszcze nie było żadnego napisu, tylko cyfra 6 z boku. To był szósty film nakręcony przez Hosterlitzia dla Pedra Silvy.

Rozejrzałem się po pokoju.

– Masz projektor?

Wskazał w stronę sypialni i zaprowadził mnie tam. Do pokoju wpadało przyćmione światło – żaluzja w oknie chroniła go przed promieniami słońca. Walker otworzył na oścież wszystkie drzwi szerokiej wbudowanej szafy. Przestrzeń w środku zajmował ogromny projektor kinowy, zwrócony w stronę białej ściany nad łóżkiem Walkera po przeciwległej stronie sypialni.

Ta ściana służyła za ekran.

– Należał do mojego ojca – powiedział, kładąc przelotnie dłoń na aparacie. – To projektor trzydzieści pięć milimetrów, na którym pracował w Royale w Salamance. Pozwolono mu go zatrzymać, kiedy na początku lat dziewięćdziesiątych kino splajtowało. Odziedziczyłem go po jego śmierci.

Gdy mówił o ojcu, przez jego twarz przemknął smutek. Po chwili uniósł puszkę z filmem.

– Zabij! jest na sześciu rolkach, bo wszystkie filmy Silvy kręcono na „końcówkach”, czyli resztkach taśmy, które zostały po większych produkcjach. Poza tym nie mam platera, żeby łatwiej zmieniać rolki, więc jeżeli chcesz zobaczyć całość, od początku do końca, będę musiał zakładać szpule ręcznie, jedną po drugiej. To znaczy, że będzie pięć przerw.

– Ile trwa film?

– Około osiemdziesięciu pięciu minut, razem z napisami.

Kod czasowy na kartce podawał godzinę i dziewiętnaście minut, czyli fragment blisko końca.

– Przejdźmy od razu do ostatniej rolki – powiedziałem.

– Nie chcesz obejrzeć całego filmu?

Pokręciłem głową.

– Chcę tylko zobaczyć, jak się kończy.

– Do pięćdziesiątego pierwszego roku – mówił Walker, pochylając się nad projektorem – standardowym materiałem w branży była nitroceluloza. – Ostrożnie nakładał rolkę na jakiś wałek. – Moje nikczemne serce i Connora O’Hare z pewnością zrobiono na nitrocelulozowej taśmie. To był strasznie niebezpieczny materiał. Zapalał się od byle iskry, stawał w ogniu jak fajerwerki i prawie nie dawał się ugasić. Po pięćdziesiątym pierwszym roku wszystko już jednak kręcono na bezpiecznej taśmie. Też była łatwopalna, ale nie tak jak nitroceluloza. – Przerwał, mocując się z jakimś elementem. – To jest taśma Eastmancolor – dodał, przez zaciśnięte zęby, nadal siłując się z maszyną. – Bezpieczna, więc tak łatwo nie pójdzie z dymem, ale jest podatna na tak zwaną „magentaż”. Z czasem kolory blakną i zostają przede wszystkim odcienie czerwieni, zwłaszcza gdy przechowuje się taśmę w nieodpowiednich warunkach. – Coś wskoczyło na miejsce. – Wreszcie – mruknął, po czym wyprostował się i otarł spocone dłonie o koszulkę. – Chodzi mi o to, że starałem się jak najlepiej je zabezpieczyć, ale nie są w idealnym stanie.

– Nie szkodzi – rzuciłem. – Naprawdę.

Projektor zaszumiał i ożył, strzelając stożkiem światła przez obiektyw i natychmiast rzucając obraz na przeciwległą ścianę. Znajomy terkot chwytałów, przesuwających taśmę przez aparat, przeniósł mnie w czasy dzieciństwa, gdy chodziłem do starego kina. Rozległ się trzask i po chwili z głośników popłynęła ścieżka dźwiękowa filmu.

– W którym miejscu jesteśmy? – spytałem.

– W siedemdziesiątej pierwszej minucie z osiemdziesięciu pięciu.

Gdy zaczęła się projekcja, ustawiłem w zegarku timer, żebym wiedział z grubsza, kiedy zacznie się siedemdziesiąta dziewiąta minuta, i zniecierpliwiony, zastanawiałem się, czy nie poprosić Walkera, by przyspieszył odtwarzanie. Nie zrobiłem tego jednak, bo na ekranie pojawiła się aktorka, w której natychmiast rozpoznałem Veronicę Mae.

Ze względu na brak porządnych głośników, kiepskie ustawienie poziomu dźwięku podczas produkcji i marne aktorstwo, czasem trudno mi było zrozumieć dialogi. Do Mae dołączyli na ekranie dwaj aktorzy, którzy grali jeszcze gorzej niż ona. Szukali schronienia w opuszczonym sklepie. Wsłuchując się w ich niewyraźną rozmowę, zorientowałem się, że uciekają, oczywiście, przed obłąkanym mordercą, który zabił już ich trzech przyjaciół. Mężczyźni mówili z koszmarnym amerykańskim akcentem, a filmowy sklep był przystrojony amerykańską flagą.

Morderca, ubrany w długi płaszcz z kapturem, w końcu ich dopadł, gdy próbowali znaleźć tylne wyjście ze sklepu. Jednemu poderznął gardło, drugiemu odciął głowę, a Veronicę Mae zagonił do dużego pomieszczenia na piętrze, zastawionego regałami pełnymi bibelotów. Film był chaotyczny, źle oświetlony i miał okropnie zgrzytliwą ścieżkę dźwiękową. Zerknąłem na zegarek – do siedemdziesiątej dziewiątej minuty zostało sześćdziesiąt sekund.

Podszedłem bliżej wyświetlanego na ścianie obrazu, przyglądając się, jak Mae na próżno usiłuje odegrać prerażenie swojej postaci – gdy nagle kamera ostro skręciła w prawo, aby pokazać mordercę z nożem w ręce. W tym momencie nastąpił zwrot akcji: kaptur płaszcza opadł, ukazując wreszcie twarz zabójcy – ale to bynajmniej nie był mężczyzna. To była kobieta.

Lynda Korin.

Spojrzałem na zegarek. Morderca okazał się morderczynią na początku siedemdziesiątej dziewiątej minuty – czyli to miał wskazywać kod czasowy na karteczce? Kiedy się nad tym zastanawiałem, obie kobiety przez chwilę walczyły w kantorku obok pomieszczenia z regałami, a potem Korin pchnęła Mae, która wpadła na ścianę i nadziała się na wielki odłamek szkła. Następnie zobaczyłem znajomy kadr: kamera pokazała Korin w planie ogólnym, a ścieżka dźwiękowa ucichła.

Początek półtoraminutowej sekwencji.

Zaczął się wolny najazd na Korin. Tym razem nie słyszałem głosu Hosterlitz z offu – nie dlatego, że go nie było, ale dlatego, że nie pozwalała na to jakość dźwięku. Po sześćdziesięciu sekundach – tak jak we wszystkich filmach, które widziałem wcześniej – kamera minęła Korin i skierowała się na stojący w rogu telewizor w obudowie z orzechowego drewna. Ekran telewizora z początku był czarny, ale zaraz ożył i pojawił się na nim ten sam fragment co w innych filmach: obraz tej samej ulicy, nakręcony z tego samego samochodu.

Dziesięć sekund później wyświetliły się napisy końcowe.

Obejrzałem się na Walkera.

– Zauważyłeś coś?

Nadal patrzył na ścianę.

– A może ten kod czasowy w Zabij! wskazuje scenę, w której wychodzi na jaw, kto jest mordercą? – powiedział. – Że to nie mężczyzna, tylko kobieta?

A więc nasunęło mu się takie samo przypuszczenie jak mnie.

– Być może – zgodziłem się, myśląc o głosie z offu. – Chciałem cię spytać o coś jeszcze. Kiedy rozlega się bicie serca i oddech, jest coś...

– „Nie wiesz, kim jesteś”.

Skinąłem głową.

– Czyli słyszałeś.

– Tak.

– Wiesz, co to znaczy?

Pokręcił głową.

– Nie. Trudno to w ogóle usłyszeć. Trafiłem na to właściwie przypadkiem, kiedy mnóstwo razy oglądałem tę scenę.

Tak jak ja, w wersjach tych filmów na DVD.

– Możesz to puścić jeszcze raz? – poprosiłem.

Walker pochylił się nad projektorem i zaczął cofać taśmę. Odtwarzanie zaczęło się mniej więcej minutę przed zwrotem akcji. Zrobiłem jeszcze parę kroków w stronę ściany, a gdy zbliżał się moment, w którym na ekranie pojawiała się Korin, Walker wyhamował taśmę, tak że przesuwała się teraz dwa razy wolniej niż normalnie. Patrzyliśmy, jak Korin rzuca kaptur, po czym walczy z Mae, ale nic nie zwróciło mojej uwagi – ani w strukturze sceny, ani w postaciach grających w niej kobiet. Gdy Mae zginęła, rozpoczęła się znana sekwencja.

Tym razem jednak coś zauważyłem.

– Zaraz – powiedziałem. – Zaczekaj chwilę. Możesz cofnąć do momentu, kiedy Korin zabija Mae?

Spełnił moją prośbę.

– Właśnie tu. Zatrzymaj obraz.

Znowu zrobił, o co prosiłem.

– Ile czasu mija między śmiercią Mae a finałową sekwencją? – zapytałem.

Walker wzruszył ramionami.

– Bo ja wiem. Może pięć sekund.

– Możesz odtworzyć film od tego momentu klatka po klatce?

Na jego twarzy odmalowało się powątpiewanie i wiedziałem dlaczego: film nakręcono ze standardową prędkością dwudziestu czterech klatek na sekundę, więc nawet pięć sekund to było sto dwadzieścia klatek. Mimo to zgodził się, a ja spokojnie czekałem, aż przygotuje taśmę. Wkrótce film pojawił się na białej ścianie.

Oglądałem tę scenę z taką uwagą, analizując każdą klatkę – chociaż każda wyglądała niemal identycznie – że po jakimś czasie poczułem narastający ucisk tuż za oczami. Szumiało mi w głowie, obraz tracił ostrość. Oglądałem film w przedziwny, nienaturalny sposób, jak gdybym patrzył na pojedyncze strony kineografu, animowanej książeczki, przewracane w nieskończenie wolnym tempie.

Tuż przed finałową sekwencją film wydał się jeszcze ciemniejszy – prawdopodobnie był najgorzej oświetlony ze wszystkich produkcji, które wyszły spod ręki Hosterlitzta.

Chyba że wcale nie był źle oświetlony.

Dotarło to do mnie, dopiero gdy obejrzałem ten fragment trzy razy – przy normalnej szybkości, w dwukrotnie zwolnionym tempie i klatka po klatce. Z początku sądziłem, że kiepskie oświetlenie to po prostu uboczny efekt metody realizacji tych filmów – kręcono je szybko i tanio. Teraz jednak, przy minimalnej prędkości, wszystko stało się czytelniejsze.

Kiedy Hosterlitz zaczynał sekwencję końcową – gdy skupiał się wyłącznie na Korin – brał się w garść i perfekcyjnie kadrował scenę. Ale w poprzedzających finał sekundach obraz był tak źle oświetlony i nieudolnie sfotografowany, że klatki stawały się niemal czarne.

– Bo robi to celowo.

Walker spojrział na mnie spod zmarszczonych brwi.

– Słucham?

– Specjalnie źle oświetla tę końcówkę przed finałową sekwencją. Ostatnia sekunda jest taka ciemna, że prawie nie sposób zobaczyć, co się dzieje na ekranie. – Po chwili namysłu dodałem: – Może coś ukrywa?

– Ukrywa? Gdzie?

– Mógłbyś to przewinąć?

Walker zmierzył mnie badawczym wzrokiem, jak gdyby znowu się przestraszył, że tracę rozum, ale ciekawość w nim zwyciężyła i cofnął film o dwie sekundy. Korin po zamordowaniu Mae wykonała parę gestów w odwrotnej kolejności, po czym Walker pstryknął przełącznikiem i film znowu ruszył naprzód, klatka po klatce.

Dwie sekundy składały się z czterdziestu ośmiu pojedynczych klatek. Im bardziej zbliżaliśmy się do czterdziestej ósmej, tym trudniej było cokolwiek zobaczyć, jak gdyby Hosterlitz celowo ściemniał raptownie obraz. W czasie rzeczywistym dwie sekundy mijały tak prędko, że widz potraktowałby zmianę światła jako jeszcze jeden dowód amatorszczyzny, od których roiło się w filmie – ale w zwolnionym tempie wyglądało to na zamierzone działanie. W czterdziestej szóstej i czterdziestej siódmej klatce nie było już żadnego światła. W ostatniej, czterdziestej ósmej – przed przejściem do planu ogólnego, od którego rozpoczynała się finałowa sekwencja – Hosterlitz posunął się jeszcze dalej: nie było ani śladu poprzedniej sceny.

Klatka była zupełnie czarna.

– Dlaczego to zrobił? – spytał cicho Walker.

– Nie zauważyłeś tego wcześniej?

– Nie. Oglądałem te wszystkie filmy mnóstwo razy, ale nigdy klatka po klatce. Jak mogłem tego nie zobaczyć?

Rozumiałem jego frustrację, chociaż odpowiedź wydawała się oczywista. Finał Zabij! był tak źle oświetlony, jak zresztą cały film, że nie sposób było dostrzec pojedynczej czarnej klatki. Kiedy jednak odsunąłem się od ściany, żeby zobaczyć to wyraźniej, zdałem sobie sprawę, że jest inaczej: klatka nie była kompletnie czarna.

Było widać w niej coś szarego.

– Widzisz to? – zapytałem, przesuwając palcami po szeregu rozmytych zawijasów.

– Tak. Co to jest?

Przymrużyłem oczy, wytężając wzrok.

– Słowa.

Walker zerknął na mnie.

– Słowa?

– Powtarzające się bez końca te same dwa słowa.

Dalej patrzył na mnie, jak gdyby myślał, że żartuję.

– Nie mam okularów – powiedział, wracając spojrzeniem na ścianę. – Co tam jest napisane?

– Różany Krąg.

Obaj milczeliśmy przez chwilę, ze wzrokiem utkwionym w ścianę sypialni Walkera, patrząc na czarną klatkę filmu z powtarzającymi się bez końca dwoma słowami. Ogarnęło mnie coś pomiędzy euforią a zgrozą: szumiało mi w głowie z radości, że wniknąłem tak daleko w głąb tajemnicy, a jednocześnie zdjął mnie strach, co to może oznaczać.

– Musimy zrobić tak samo z finałową sekwencją – oznajmiłem.

Walker oderwał wzrok od ściany.

– Co?

– Musimy obejrzeć ją klatka po klatce.

– Przecież to ponad dwa tysiące klatek.

– Wiem.

Patrzyliśmy na siebie przez chwilę – Walker wyraźnie miał ochotę zaprotestować, ale zainteresowanie Hosterlitzem wzięło w nim górę. Sfrustrowany biograf, który poświęcił tyle lat, by zrozumieć reżysera i ukończyć książkę, za nic nie zmarnowałaby takiej okazji. Ustawił taśmę i zaczęliśmy oglądać.

Po czterdziestu minutach coś znaleźliśmy.

To była jedna klatka, która została wklejona już po tym, jak kamera minęła Korin i robiła najazd na telewizor w rogu. Przy oglądaniu gołym okiem, z normalną prędkością, pojawiłaby się na ekranie na jedną dwudziestą czwartą sekundy. W czasie rzeczywistym wyglądałaby jak brud, przeskok taśmy, uszkodzona klatka.

Jednak to było coś innego.

Fotografia.

Czarno-białe zdjęcie, w którym celowo skorygowano tony, aby czerń stała się czarniejsza, a biel bardziej szara i w ten sposób można je było łatwiej ukryć w półmroku i cieniach finałowej sekwencji. Ale gdy obraz został zatrzymany, zobaczyliśmy wszystko – szczegóły, tło i kobietę pośrodku kadru.

– Kto to jest? – spytał Walker, wskazując na postać.

Miała trzydzieści kilka lat, była szczupła, średniego wzrostu, choć co do tego trudno było mieć pewność, ponieważ siedziała z podwiniętymi nogami na najwyższym schodku werandy, przed wejściem do domu z drewnianym sidingiem.

– Stara fotografia – powiedziałem.

– To znaczy?

– To znaczy, że już w osiemdziesiątym pierwszym, kiedy Zabij! weszło do kin, to zdjęcie było stare. – Zamilkłem, przyglądając się uważnie kobiecie. Była piękna. – Popatrz na jej fryzurę. Popatrz, jak jest ubrana.

Jej kruczoczarne włosy były ułożone we włoskim stylu; przypominały uczesanie Elizabeth Taylor z Kotki na gorącym blaszanym dachu. Jeszcze lepszym barometrem wskazującym, w jakich czasach zrobiono zdjęcie, był jej strój: kobieta miała na sobie szeroką, marszczoną spódnicę, spod której wyzierała halka, jasną bluzkę i ciemny szal. Wyglądała, jakby właśnie przyszła z potańcówki – albo się na nią wybierała.

– Zrobiono je pewnie w latach pięćdziesiątych – powiedziałem.

Walker przyglądał się stop-klatce.

– No więc kto to jest?

– Nie wiem.

Przeniosłem wzrok na brzeg fotografii, gdzie obok wejścia na ścianie wisiała tabliczka z numerem 117, a potem na krajobraz w tle, za domem.

– Co to jest? – zapytał Walker.

Wskazywał na prawy skraj zdjęcia, właśnie tam, gdzie zatrzymałem spojrzenie. Było tam widać fragment zarośniętego kanału, którym płynęła ciemna, prawdopodobnie brudna woda. Ale Walker nie to miał na myśli i ja nie na tym skupiłem wzrok. Obaj wpatrywaliśmy się w to samo: w sylwetki na horyzoncie, jedna przy drugiej, które wyglądały jak las słupów wysokiego napięcia.

– Wydaje mi się, że to mogą być wieże wiertnicze – powiedziałem.

– Wieże wiertnicze?

Znowu przyjrzałem się kobiecie, jej ubiorowi, drewnianym ścianom domu, kanałowi, wieżom, starając się to wszystko złożyć w całość.

– Venice – oznajmił Walker.

Odwróciłem się do niego.

– Słucham?

– To Venice w Los Angeles. Na pewno. Zbierając materiały do książki, dowiedziałem się tyle o tym mieście, że znam je jak własną kieszeń. W latach dwudziestych w Venice odkryto ropę. Boom naftowy trwał jakieś pięćdziesiąt lat, a w latach siedemdziesiątych złoża się wyczerpały. Ale był czas, kiedy wzdłuż całego wybrzeża roiło się od takich wież. – Umilkł, nadal wpatrując się w fotografię. – Drewniany dom, kanał, wieże wiertnicze... to musi być Venice. To musi być Los Angeles w latach pięćdziesiątych.

Zastanawiając się nad tym, pomyślałem o ocalałym fragmencie rozdziału z książki o zbrodniach. „Głośna zbrodnia w Los Angeles”. Czy ta kobieta miała związek z tym zdarzeniem? Czy do niej prowadzą wszystkie te nitki? Wpatrywałem się w jej monochromatyczne, przyciemnione zdjęcie, które jednak zupełnie nie umniejszało jej urody. Dziwne, ale wydawało się nawet, że na fotografii jej twarz przypominająca szarą

maskę, z idealnym ciemnym owalem umalowanych ust, wygląda jeszcze piękniej, bardziej eterycznie.

– No więc kto to jest? – spytał znowu Walker.

– Nie wiem – powtórzyłem. Telefonem zrobiłem jej zdjęcie. – Ale trzeba sprawdzić część pozostałych filmów. Musimy zobaczyć, czy w nich też Hosterlitz umieścił to zdjęcie i czarną klatkę z Różanym Kręgiem.

Walker posłusznie wyjął z chłodni następną taśmę i załadował do projektora. Tym razem był to film Strzeż się lasu, nakręcony rok przed Zabij! Taśma była w gorszym stanie niż poprzednia, bo przez „magentaż” niektóre twarze aktorów miały różowawy odcień – ale teraz mi to nie przeszkadzało.

– Skąd będziemy wiedzieli, gdzie zatrzymać? – spytał Walker.

Chodziło mu o to, czy oglądając film z normalną prędkością, zauważymy pojedynczą czarną klatkę taką jak w Zabij!

– Myślę, że wkleił ją w tym samym miejscu – odparłem.

Walker zatrzymał taśmę przed finałową sekwencją i cofnął do chwili tuż przed przejściem do ogólnego planu. Zaraz potem natrafiliśmy na czarną klatkę. Była dokładnie w tym samym miejscu co w poprzednim filmie: przed pierwszą klatką z Korin w ogólnym planie, jak karta tytułowa zapowiadająca nową scenę. Niedługo potem znaleźliśmy też zdjęcie kobiety, które się pojawiło, zanim kamera Hosterlitz skupiła się wyłącznie na ekranie telewizora w orzechowej obudowie.

– Pewnie to samo jest we wszystkich filmach – powiedziałem.

– To jakieś szaleństwo – mruknął Walker.

– Możemy sprawdzić inne?

– Które?

– Wszystko jedno. Wybierz na chybił trafił.

Walker wrócił do kuchni.

Tymczasem poczułem wibrowanie telefonu w kieszeni. Wyjąłem go i zobaczyłem, że to Melanie Craw. Usiłowała się do mnie dodzwonić, kiedy byłem przykuty do kaloryfera na złomowisku. Gdy się uwolniłem, zadzwoniłem do niej i nagrałem wiadomość na pocztę głosowej, że odezwę się później. Ale nie zrobiłem tego.

Na ścianie przede mną nadal wyświetlało się zdjęcie kobiety. Patrzyłem na szary odcień jej cery, ciemną szminkę, jasny strój. Tym razem jednak, gdy wpatrywałem się w fotografię, a telefon wciąż wibrował mi w ręce, dostrzegłem coś nowego. Coś, co dotychczas umykało mojej uwadze.

Małeńki cień na jej szyi.

Telefon umilkł, a chwilę później pojawił się Walker z dwoma następnymi pojemnikami taśm, z którymi od razu podszedł do projektora.

– Zaczekaj. – Uniosłem rękę. – Chwileczkę.

Spojrzał na mnie.

– O co chodzi?

Znalazłem w telefonie zdjęcia drewnianego anioła, po czym przyłożyłem jedno z nich do ściany, obok fotografii kobiety. Jeszcze raz przyjrzałem się kobiecie, a potem aniołowi. Kobieta. Anioł. Fotografia. Telefon.

Niech to szlag.

To, co dostrzegłem na jej szyi, nie było cieniem.

To był wytatuowany krucyfiks.

– Mam zmienić rolkę? – spytał Walker.

Skinąłem głową, ale już go właściwie nie słuchałem. Nie słuchałem, kiedy się okazało, że w dwóch innych filmach czarna klatka i zdjęcie są dokładnie w tym samym miejscu – prawdopodobnie tak samo jak w pozostałych horrorach. Myślałem tylko o tym, że ktoś – Hosterlitz? Korin? – narysował krzyż na figurze anioła, aby do złudzenia przypominał tatuaż tej kobiety. Po co?

Kim ona była?

Skoro wtedy miała trzydzieści kilka lat, dziś musiałyby mieć ponad dziewięćdziesiąt. Czyli nie mogła to być ani Lynda Korin, ani Veronica Mae.

No więc kto to, do cholery, był?

– Muszę już iść – rzuciłem do Walkera, spoglądając na zegarek.

Była już piąta. Chciałem wyjść na zewnątrz, przewietrzyć głowę, zastanowić się nad następnym posunięciem.

Telefon znowu zadzwierczał mi w kieszeni.

Wyciągnąłem go, spodziewając się, że to znowu Caw. Ale nie. To nie był nikt z listy moich kontaktów, mimo to poznałem numer – stacjonarny telefon w centrum Londynu, numer, z którego ktoś do mnie dzwonił, kiedy byłem uwięziony w kontenerze. Potem raz próbowałem oddzwonić, ale nikt nie odebrał.

Ostrożnie i niepewnie wcisnąłem ODBIERZ.

– David Raker.

– Panie Raker...

Głos zdradzał napięcie i strach. Słyszałem ten głos wiele razy – ale gdy zabrzmiał bez kontekstu, rozpoznałem go dopiero po chwili.

Glen Cramer.

– Pan Cramer?

– Tak – sapnął odrobinę chrapliwie. – Tak.

– Dobrze się pan czuje?

– Muszę się z panem zobaczyć. Muszę komuś o tym powiedzieć, zanim będzie za późno.

– Słowa były niewyraźne i zduszone, jakby płakał. – Nie mogę dłużej trzymać tego w tajemnicy.

Ledwie się rozłączyłem, od razu przyszło mi na myśl, że to może być jakiś podstęp. Nie wiedziałem, czy dlatego, że podejrzewałem Cramera o powiązania z Zellerem i Eganem – nie chciał za dużo powiedzieć mi przez telefon, ale kiedy rozmawiałem z nim oko w oko, nie dostrzegłem żadnych oznak fałszu – czy też dlatego, że po tylu latach wysłuchiwania kłamstw od rodzin zaginionych i od samych ofiar odruchowo reagowałem na wszystko nieufnie. W każdym razie nie zamierzałem ryzykować.

Cramer chciał się ze mną spotkać gdzieś w pobliżu hotelu przy Blackfriars Bridge, w którym odbywała się gala z okazji premiery nowego sezonu Royalty Park, ale odparłem, że to nie będzie możliwe. Wolałem zobaczyć się z nim w wybranym przeze mnie, nieznanym mu miejscu – najlepiej jakimś publicznym. Ale pomyśl, by ten człowiek, jedna z największych gwiazd światowego kina, tak zwyczajnie pokazał się między ludźmi, natychmiast rodził problemy innego rodzaju, więc powiedziałem mu, żeby nie mówiąc nikomu, po skończonej imprezie przyjechał taksówką z hotelu do Limehouse i że o jedenastej wieczorem będę czekał na niego przed stacją kolejki DLR. Tuż za rogiem znałem miejsce, w którym spotykałem się ze swoimi informatorami w czasach pracy w gazecie.

Zjawiłem się na miejscu wcześniej, kiedy słońce jeszcze grzało i wciąż było gorąco jak w ukropie, więc okrążyłem stację Limehouse, sprawdzając bramy i budynki, zapamiętując układ okolicy, przyglądając się mieszkańcom i przechodniom. Skończywszy rekonesans, wycofałem się do zapyziałej, czynnej całą dobę kafejki przy Commercial Road. Lokal był nędzny i pusty, na stolikach leżały lepkie plastikowe serwety, ściany przesiąkły smrodem dymu i tłuszczu. Usiadłem przy oknie i wyjąłem telefon.

Kobieta na fotografii. Anioł.

Wytatuowany krucyfiks.

Sprawa z książki o zbrodniach.

Czy to o niej mówił Glen Cramer, kiedy do mnie zadzwonił? Ją miał na myśli, kiedy powiedział: „Nie mogę dłużej trzymać tego w tajemnicy”?

W okienko Google’a wpisałem: „anioł krucyfiks tatuaż Venice zbrodnia” i wcisnąłem SZUKAJ. Wyświetliła się strona z wynikami.

Na pierwszym miejscu pojawiło się hasło z Wikipedii.

Anioł Venice – Wikipedia, wolna encyklopedia [https://en.wikipedia.org/wiki/The_Venice_Angel_\(case\)](https://en.wikipedia.org/wiki/The_Venice_Angel_(case)) „Anioł Venice” to przydomek nadany Életke Kerekes (ur. 22 grudnia 1918 w Budapeszcie) (...) mieszkała w Venice w stanie Kalifornia (...) po jej śmierci dom przy Regency Road 117 został rozebrany (...) na szyi niewielki tatuaż w formie krucyfiks (..) zbrodnia (...)

Pod spodem zobaczyłem dodatkowe linki związane z wyszukiwaniem.

Martin Nemeth – Hotel Pingrove – Zbrodnie w Los Angeles

Kliknąłem na link do strony w Wikipedii. Nigdy wcześniej nie słyszałem o Életke Kerekes. Nie znałem też żadnego Martina Nemetha, wymienionego niżej, ale słyszałem o Pingrove. To był słynny hotel w Los Angeles, działający do końca lat sześćdziesiątych, miejsce, w którym zbierała się hollywoodzka śmietanka, a dzięki lokalizacji na rogu Wilshire Boulevard i North Camden Drive blisko sąsiedował z domami gwiazd w Beverly Hills oraz w położonych nieco dalej Holmby Hills i Bel Air.

Link się otworzył. Po prawej stronie zobaczyłem fotografię Életke Kerekes.

To była ona.

Kobieta, którą Robert Hosterlitz ukrył w swoich filmach.

Zdjęcie też było czarno-białe, ale tu nie siedziała na stopniu werandy przed swoim domem, tylko stała przed białym, nijakim budynkiem i uśmiechała się do kogoś, kto znajdował się poza obiektywem.

Wyglądała zjawiskowo, jak gdyby kontur jej twarzy był dziełem artysty. Jasne oczy, niczym przejrzyste jeziora, mały, idealnie kształtny nos, a tuż nad szalem, który miała na sobie, dostrzegłem górną część krucyfiks. Trudno było to ocenić, ale mógł mieć około dwóch centymetrów i wytatuowano go dokładnie w połowie odległości między obojczykiem a linią szczęki. Miał delikatny rysunek, pionowa linia była odrobinę grubsza od poprzecznej.

Podpis pod fotografią brzmiał:

Életke Kerekes w wytwórni filmowej American Kingdom, 1949.

Natychmiast, zanim zdążyłem cokolwiek przeczytać, wiedziałem, że to musi być sprawa, której dotyczył rozdział wydarty z książki o zbrodniach. Wiedziałem, że ta kobieta, ukryta w ułamku sekundy w zaginionym filmie Hosterlitz, musi być główną przyczyną wszystkich wydarzeń – prób Zellera i Egana, by dopaść Korin; decyzji Korin, by zniknąć. Może ta kobieta była tajemnicą, o której mówił mi Glen Cramer. Może od niej wszystko się zaczęło.

Może na niej wszystko się kończy.

Zatrzymałem się przez chwilę na tej ostatniej myśli, po czym przystąpiłem do czytania artykułu.

CZEŚĆ CZWARTA

00:13:02

Ray Callson poprawia się na krześle, zakłada nogę na nogę, wierzchem dłoni ociera usta. Za oknem szybko dogasa światło dnia i w jednej z szyb pojawia się wyraźne odbicie emerytowanego policjanta.

- Widziałem wiele morderstw – mówi.
- Ale od tego nie umiał się pan uwolnić.

Wzrusza ramionami.

– Mówiłem już, nie chodziło o to, co ten chłopak zrobił. Nie o krew. Nie o to, że siedział na skraju łóżka w pokoju hotelowym i płakał jak dziecko. Nie o to.

– Chodziło o wybór ofiary?

– Tak. – Callson pociąga nosem. – Wtedy pierwszy raz zobaczyłem takie morderstwo. Właściwie przez te wszystkie lata widziałem może jeszcze jedno, najwyżej dwa takie. Innym trafiały się podobne sprawy, więc co nieco słyszałem, ale rzadko widziałem na własne oczy. Najczęściej zdarzali się mężowie, którzy załatwiali żony. A to... nie wiem... Wyglądało to tak, jakby coś się kompletnie schrzaniło.

Twarz Callsona zasnuwa ponury cień, który rozlewa się jak plama atramentu.

– Może mi pan powiedzieć coś o ofierze?

Callson wydaje przeciągłe westchnienie, a rysy mu łagodnieją.

– Była cholernie ładną kobietą, tyle panu powiem. Pochodziła z Węgier, ale po drugiej wojnie światowej wyemigrowała do Stanów. Kiedy tu zamieszkała, zangielszczyła sobie imię i nazwisko i odtąd wszyscy ją znali jako Elaine Kinflower... chyba łatwiej było to wymówić... ale naprawdę nazywała się Életke Kerekes. W pięćdziesiątym trzecim miała... – Z namysłem wydyma policzki. – Trzydzieści pięć lat. Mniej więcej.

– Mówił pan, że mieszkała w Venice?

Callson kiwa głową.

– W tamtych czasach to była zapluta dziura. Dzielnica staczała się na dno. Mówiono o niej „nadmorskie slumsy”. Obecne sklepiki z pamiątkami i salony bingo to były wtedy lombardy i sklepy monopolowe. Kanały wyglądały jak rzeki gówna. Turystów ani śladu. W Venice mieszkali wówczas tylko imigranci albo tak zwana „kontrkultura”: pisarze, poeci, artyści, tego rodzaju towarzystwo. Za ten bungalow płaciła tyle co nic, ale wie pan co? Pamiętam, jak pojechałem do jej domu i pomyślałem sobie: Tu jest naprawdę ładnie. Jak najlepiej urządziła to, co miała.

– Nie spodziewał się pan tego?

– W Venice w tamtych czasach? Nie, nie spodziewałem się.

– Co tak się panu spodobało w jej domu?

– Po prostu naprawdę ciężko pracowała. Mam dwie córki. Wiem, jak to jest, i wiem, jak było wtedy. Kobiety traktowano jak obywateli drugiej kategorii. Zdaniem moich córek, tak samo zresztą jest i dzisiaj. Életke Kerekes pracowała pewnie dwa razy więcej niż jakieś bydlaki, które przez cały dzień szczypały ją w tyłek, i pewnie dostawała dwa razy mniej... ale robiła z pieniędzy dobry użytek. Podobał mi się jej dom. Dobrze o niej świadczył.

– No więc dlaczego właśnie ta sprawa ciągle pana prześladowuje?

Przez chwilę milczy, spoglądając w lewo i zatrzymując wzrok na oknach. Ale nagle dzieje się coś nieoczekiwanego. Blask zamontowanego przy kamerze światła odbija się od jego oczu – a one lśnią od łez.

– Panie Callson?

– W tym było coś nie tak – mówi. – Niech pan na mnie spojrzysz. – Pokazuje na swoje oczy, na łzy. – Myśli pan, że zawsze się tak rozklejałem na miejscu zdarzenia? Że mazałem się jak dziecko za każdym razem, kiedy komuś zrobiono z twarzy miazgę? Oglądałem tysiące miejsc zbrodni. Widziałem tysiące rzeczy, które nigdy nie powinny się wydarzyć. Nie. – Kręci głową. – To nie to.

– Wobec tego co?

– Może po prostu staję się mięczakiem. To czasem przychodzi z wiekiem.

– Naprawdę myśli pan, że o to chodzi?

Znowu kręci głową i pochyla się, by sięgnąć po wodę. Wychyla resztkę, po czym unosi pustą szklankę.

– Mogę jeszcze?

Mówi cichym głosem, wątlym jak sznurek, z którego zostało jedno włókno. Szklanka jest zabrana, napełniona i przyniesiona z powrotem. Callson duszkiem wychyla połowę i stawia szklankę przed sobą.

– Prasa nazywała ją „Aniołem Venice”. Dlatego że miała wytatuowany krucyfiks. – Pokazuje na szyję. – W tamtych czasach to była niesłychana rzecz, żeby kobieta nosiła tatuaż. Musiała być frywolna albo wulgarna, w zależności od punktu widzenia. Dziennikarze pierwsi na to wpadli. No i jeszcze z powodu tego, jak wyglądała... była piękna jak anioł. Na Węgrzech chodziła do jakiejś szkoły prowadzonej przez zakonnice, więc wszystko się zgadzało. Nazwała ją tak jedna z gazet, „National People”, i przyłgnęło.

– Była mężatką?

– W czterdziestym szóstym przyplłynęła na Liberty Island, przez jakiś czas mieszkała w Kansas, potem trafiła do Los Angeles, a rok później, to był chyba czterdziesty ósmy, mąż zostawił ją z małym synkiem dla jakiejś babki ze Wschodniego Wybrzeża. Później zmieniła sobie panieńskie nazwisko na brzmiące z angielska i zaczęła wiązać koniec z końcem jako samotna matka.

– Jak sobie radziła, mając małe dziecko?

– Pytaliśmy o nią w okolicy parę dni po tym, jak ją znaleziono, i okazało się, że pomagała jej sąsiadka z Venice. Opiekowała się jej synem: odbierała go ze szkoły, dawała mu kolację

i tak dalej, kiedy Életke, Elaine, jak pan woli, szła do pracy.

– Czym się zajmowała?

– Miała pracę w American Kingdom. Zaczęła jako maszynistka w czterdziestym siódmym, rok przed odejściem męża. Półtora roku później przeniosła się do biura Abrahama Zellera, jako jego sekretarka. Ale była na to zbyt inteligentna. Wtedy już biegle znała angielski i pisała bajki dla dzieci. Znaleźliśmy ich masę w jej domu. Były naprawdę dobre. Jej syn mówił nam, że czytała mu je wieczorami przed snem. Twierdził, że jego mama miała niezwykłą wyobraźnię.

Callson splata dłonie na brzuchu, opierając łokcie o poręcz krzesła, i wbija wzrok w podłogę, jakby stamtąd wyciągał wspomnienia.

– W każdym razie – ciągnie – Zeller senior wkrótce zorientował się, że dziewczyna ma talent, który marnuje się w sekretariacie. Poza tym wyglądała fantastycznie, co pewnie też jej pomogło. W takim świecie na ogół zwracało się na to uwagę, zwłaszcza że wszędzie kipiało od testosteronu. – Przerzywa i spogląda w bok od kamery. – Słyszał pan kiedyś o filmie Tygrys jedzie do miasta?

– To była kreskówka.

– Zgadza się. Pewnie wie pan też, że w pięćdziesiątym roku wyprodukowano ją w American Kingdom. Czytałem o tym. To był jeden z ich pierwszych filmów animowanych. Próbowali wtedy rywalizować z Waltem Disneyem. Niech pan zgadnie, kto był autorem pomysłu na ten film.

– Életke Kerekes?

– Tak jest – potwierdza Callson. – Nie wiem, czy to prawda, czy tylko hollywoodzka historyjka, ale podobno Zeller senior podszedł kiedyś do jej biurka, by przejrzeć swój terminarz spotkań, i przypadkiem zobaczył bajkę, którą napisała dla syna. Przeczytał kawałek i uznał, że to świetne. Poprosił ją, żeby pokazała mu coś więcej, a kiedy przyniosła z domu całe ich mnóstwo, wybrał Tygrysa. Dali tekst jakiemuś scenarzyście od adaptacji, zapłacili jej honorarium i voilà... rok później bajka jest w kinach.

– Dużo na tym zarobiła?

Callson wzrusza ramionami.

– Dalej mieszkała w Venice, aż do śmierci, więc przypuszczam, że nie... a przynajmniej nie tyle, żeby przeprowadzić się z synem do jakiejś lepszej dzielnicy i móc się tam utrzymać. Ale w czołówce filmu pojawiła się informacja: „Według opowiadania Elaine Kinflower”, a Zeller senior i potem Saul Zeller, gdy w pięćdziesiątym pierwszym zaczął pracować w firmie, zaczęli ją prosić, żeby podrzucała im pomysły, zwłaszcza kiedy chodziło o filmy dla dzieci. Rozumiała dzieci. Wyczuwała, co im się podoba. Jak wspominałem, była inteligentna.

– Co się potem stało?

– Przez jakiś czas dalej parzyła kawę i pisała listy na maszynie, jednak w pięćdziesiątym drugim roku Zellerowie dali jej do napisania jakiś tekst i zaczęła pracować pod nadzorem kogoś z ich zespołu scenarzystów. Płacili niewiele, ale ona zobaczyła w tym szansę na coś

lepszego. Niech pan pamięta, że to były lata pięćdziesiąte. Scenarzystki, kobiety, można było policzyć na palcach jednej ręki. Chyba też z tego powodu gazety tak ją uwielbiały. Ten anielski przydomek i reszta pomagały prowadzić... hm... – Kręci młynka palcami, szukając właściwego słowa. – Pomagały w...

– Narracji?

– Właśnie. W narracji. O wiele łatwiej było opowiadać o „Aniele Venice” niż o „Életke Kerekes”. Czytałem, że budziła duże zainteresowanie. Było sporo zazdrości i krytyki, ale i podziwu, uznania i tak dalej. Historia imigrantki, samotnej matki, wdowy, która ucieka z biura i próbuje robić karierę scenarzystki. – Znów wzrusza ramionami. – Wtedy takie rzeczy się nie zdarzały.

– Chwileczkę, powiedział pan „wdowa”?

Callson kiwa głową.

– Jej mąż zmarł?

– Ten drań, który zostawił ją i syna w czterdziestym ósmym? Rok później zginął w Nowym Jorku. Dostał nożem w jakimś barze. Ale nie jego miałem na myśli.

– Chce pan przez to powiedzieć, że ponownie wyszła za mąż?

– Tak. Poznała niejakiego Johna Winslowa. Wrócił z wojny i dostał pracę specjalisty od likwidacji szkód w firmie ubezpieczeniowej. Poznali się chyba na jakimś przyjęciu. W każdym razie spotykali się przez rok, a w listopadzie pięćdziesiątego pierwszego wzięli ślub. Wprowadził się do niej, bo jego biuro było w Culver City, więc z Venice miał bliżej niż z Echo Park, i wszyscy zgodnie twierdzili, że byli naprawdę szczęśliwi. Jedenaście miesięcy później Winslow nie żył.

– Jak zmarł?

– Zginął w wypadku. Starsza kobieta w studebakerze wjechała na chodnik i uderzyła prosto w niego. Kiedy zjawiała się karetka, już nie żył. – Callson milknie. – Rok później – dodaje cicho – umiera Életke Kerekes.

– Nie mówił pan jeszcze, jak właściwie zginęła.

Callson znowu się waha, przez jego twarz przebiega skurcz. Odwraca wzrok od kamery, by spojrzeć na okna. Niebo za szybami jest ciemnoczerwone.

– Może pan opisać widok, jaki zastał pan w pokoju osiemset pięć?

Poprawia się na krześle, wygładza marynarkę. Głęboko nabiera powietrza.

– Oczywiście.

– Mówił pan, że zostawił swojego partnera, Luisa, w korytarzu, razem z dyrektorem hotelu, i wszedł pan do pokoju sam. Co pan zobaczył?

– Zobaczyłem zabójcę siedzącego na skraju łóżka.

– Płakał.

– Tak. Łzy wyślubiły mu ślady na zakrwawionej twarzy. Czasem pamięta się dziwne rzeczy, ja zapamiętałem to. Miał krew na koszuli, na spodniach. Pracował w takiej podłej knajpie, Mulligans, parę ulic od tego hotelu. Zmywał tam podłogi, był pomywaczem, taki

chłopak do wszystkiego. Jego biała koszula cała przesiąkła krwią. Ale zszokował mnie widok włosów.

– Włosów, które wyrwał jej z głowy?

– Tak. Po prostu je powydzierał. Kiedy ją znaleźliśmy, na głowie miała pełno łysych miejsc. Dokładnie tam, gdzie chwycił ją za włosy i pociągnął. To już było chore. Ale chłopak nawet się ich nie pozbył. Nie próbował zmyć z rąk tych włosów. Po prostu ocknął się, zdał sobie sprawę, co zrobił, a potem z płaczem usiadł na skraju łóżka.

– Ocknął się?

– Poprzedniej nocy był kompletnie zalany. Pewnie chwycił ją za włosy, kiedy się broniła. Zadrapania na jego rękach wyraźnie wskazywały, że próbowała walczyć, ale powiedział, że zupełnie nic nie pamięta. Zrozumiałem dlaczego, gdy tylko dostałem raport z toksykologii. Wlał w siebie pół butelki whisky. Połknął tyle tabletek nasennych, że mogłyby zwalić z nóg byka, a poza tym miał w organizmie ślady amfetaminy. Wie pan coś o działaniu speedu?

– Trochę.

– Dopóki człowieka rozpira energia, czuje się świetnie. Jest duszą towarzystwa. Ma niespożyte siły, w ogóle się nie męczy. Wydaje mu się, że może wszystko. Kiedy amfa przestaje działać, zaczyna się czuć parszywie. Jak śmieć. Staje się drażliwy. Zirytowany. Przygnębiony. Niektórzy, tak jak on, mają napady prawdziwej psychozy. Tylko ktoś chory psychicznie był zdolny do tego, co zrobił ten chłopak. To musiał być atak psychozy. Pewnie jakiś czas przed naszym przyjazdem ocknął się i miał przeblysk świadomości: cholera, co ja zrobiłem? I dlatego połknął garść tych tabletek nasennych. Próbował uspokoić nerwy, opanować lęk, diabli wiedzą, co jeszcze. Ale dla Életke Kerekes było już za późno. O wiele za późno. Dowód na to leżał trzy metry od miejsca, w którym chłopak wypłakiwał sobie oczy.

– Tam była Kerekes, trzy metry od niego?

– Tak.

– W łazience na podłodze, zgadza się?

Callson kręci głową.

– Nie, nie zgadza się.

– Och. Czytałem chyba, że leżała...

– Na podłodze leżały jej nogi.

W pokoju zapada cisza.

– Tylko nogi?

– Tak, tylko nogi. Reszta była w wannie. Poprzedniej nocy próbował pokroić ją na kawałki.

– Zamierzał ją poćwiartować.

Tym razem nie jest to pytanie i Callson zdaje sobie z tego sprawę. Milczy, patrząc w obiektyw kamery. Wydawałoby się, że ma obojętny wyraz twarzy, gdyby nie lekkie drganie policzków i jakby wywołany tym ruchem gniewny błysk, który pojawia się w jego oczach.

– W wannie obok niej znaleźliśmy nóż. Łazienka była... – Urywa i znowu kręci głową. – Wszędzie była krew.

– Nóż był narzędziem zbrodni?

– Jednym z narzędzi. Została pchnięta nożem w gardło. To była bezpośrednia przyczyna śmierci. Ale wcześniej ją bił. Miała sińce na twarzy, na piersi, na ramionach. Bił ją i uderzył w tył głowy odlanym z brązu przyciskiem do papieru. Ten cios zwałił ją z nóg. Wtedy pchnął ją nożem w sam środek gardła. – Callson przerywa, dźgając dwoma palcami swoją szyję. – Ostrze weszło tak głęboko, że przebiło szyję z drugiej strony.

Milczy przez dłuższą chwilę i patrzy w kamerę. Wreszcie kieruje wzrok nieco w prawo.

– Pamięta pan, co powiedziałem wcześniej?

Mówi cichym, ale twardym głosem.

– Pamięta pan, jak powiedziałem, że coś się kompletnie schrzaniło? Mówiłem, że nie ruszyło mnie to, co jej zrobił, ale kim dla niego była Életke Kerekes. Pamięta pan?

– Pamiętam.

– No więc teraz rozumie pan dlaczego.

Zza kamery nie pada żadne słowo.

– Miał ledwie szesnaście lat. – Callson kręci głową. Znowu sięga po szklankę z wodą, ale nie pije. – Szesnastolatek zdolny do czegoś takiego.

Wbija wzrok w szklankę. Atmosfera wyraźnie się zmienia.

– Martin Nemeth – mruczy pod nosem Callson.

– Tak nazywał się jej zabójca?

– Tak. – Lekko kiwa głową. – Był synem Életke Kerekes.

Zamówiłem drugą kawę, próbując ułożyć sobie w głowie to, co przed chwilą przeczytałem. Patrzyłem na przejeżdżające za oknem kawiarni samochody i ich mrugające w ciemnościach światła stopu, słyszałem dobiegający z ulicy hałas, który przypominał nieprzerwany pomruk zwierzęcia, i myślałem o Aniele Venice. Kobieta została zamordowana drugiego października 1953 roku w hotelu Pingrove przez własnego syna. Gdy do apartamentu na ósmym piętrze weszła policja, siedział na skraju łóżka i płakał. Ciało Életke Kerekes, częściowo poćwiartowane, było w łazience.

W chwili popełnienia morderstwa jej syn, Martin Nemeth – który zachował nazwisko ojca – był pijany i prawdopodobnie na haju. W torebce jego matki znaleziono tabletki nasenne, które zdaniem policji zażył, przypuszczalnie próbując zneutralizować działanie amfetaminy.

Powiedział funkcjonariuszom, że w ogóle nie pamięta zabójstwa.

Z jego biografii wyłaniał się portret trudnego dziecka. W wieku piętnastu lat rzucił szkołę, a miesiąc później został aresztowany za udział w bójce przed barem, choć nie postawiono mu zarzutów. Zdaniem personelu Mulligans, restauracji, w której pracował, Nemeth dużo pił – mimo że miał dopiero szesnaście lat – i często z pogardą wyrażał się o matce. Czasami bywał milczący, a kiedy indziej łatwo wybuchał złością, co wyglądało na objawy zażywania amfetaminy. Siedem tygodni przed morderstwem znowu aresztowała go policja, za to, że pchnął jakiegoś człowieka, tak że ten przeleciał przez szklane drzwi. Tym razem chłopak usłyszał zarzut napaści. Matka wpłaciła za niego kaucję.

W kwietniu 1954 roku Martin Nemeth stanął przed sądem dla dorosłych, został uznany za winnego napaści i zabójstwa pierwszego stopnia i skazany na karę śmierci za zabicie matki. Nie trafił do komory gazowej, ale nigdy nie opuścił więziennych murów. Spędził dwadzieścia trzy lata w celi śmierci w San Quentin, a w 1977 roku zmarł na zawał serca. Miał wtedy zaledwie trzydzieści dziewięć lat.

Wszystko zgadzało się z tym, co przeczytałem w ocalałym fragmencie brakującego rozdziału książki o zbrodniach.

Przeglądając różne strony internetowe i korzystając z wyszukiwania obrazów Google, znalazłem i zapisałem w telefonie trzy fotografie Életke Kerekes. Pierwsze było zdjęcie z artykułu w Wikipedii, zrobione w 1949 roku na terenie wytwórni American Kingdom. Drugie pokazywało ją w Pingrove, w otoczeniu gwiazd złotej ery Hollywood. Siedziała na poręczy skórzanego fotela, ubrana w sukienkę z koronki i czarnego jedwabiu.

Moją uwagę przykuło jednak przede wszystkim trzecie zdjęcie. Na fotografii był Robert Hosterlitz machający do tłumów na premierze *Oczu nocy*. W tle było widać jakieś kino w Los Angeles, z czerwonym dywanem, który niczym wstęga prowadził w stronę wejścia. Obok reżysera z jednej strony stał opalony i przystojny Saul Zeller, a z drugiej Glen Cramer w nienagannym czarnym garniturze. Z brzegu zdjęcia, przy Cramerze, była Életke Kerekes. Mężczyźni wyraźnie zaśmiewali się z czegoś – ale choć w kącikach ust Kerekes czaił się uśmiech, jak gdyby uprzejmy, brakowało go w jej oczach. Czy po prostu migawka trzasnęła w niefortunnym momencie, czy też kryło się za tym coś więcej?

Spojrzałem na zegarek. Dochodziło wpół do jedenastej.

Cramer zapewne opuszcza już galę *Royalty Park*. Wychyliłem resztę kawy, a mój wzrok znowu zatrzymał się na zdjęciu Kerekes z premiery filmu. Patrzyłem na cień jej uśmiechu, na ostry kontrast, podkreślony czernią i bielą fotografii, między ciemną barwą jej włosów a błądzącością cery – i nagle odezwało się we mnie jakieś wspomnienie.

Maniak z siekierą.

Koszmarne horror Hosterlitz, który trzy dni temu obejrzałem w pokoju hotelowym. To musi mieć jakiś związek z tym filmem. Coś w nim było. Coś, co widziałem, ale nie bardzo zwróciłem na to uwagę. Tylko co?

Ponownie otworzyłem przeglądarkę i wróciłem do witryny poświęconej najlepszym europejskim horrorom, na którą natrafiłem, zbierając informacje o karierze Hosterlitz w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Okropnie zaprojektowana strona kryła w sobie obszerną bazę danych horrorów produkcji francuskiej, włoskiej i hiszpańskiej, z których najsłynniejsze zilustrowano kadrami z filmów. Ponieważ *Maniak z siekierą* był dostępny w wersji angielskiej i można go było kupić na DVD, autorzy strony mogli pokazać bohaterów w akcji, w ociekających krwią scenach śmierci oraz w tak zwanych „kluczowych momentach”.

Zrzuty ekranu zajmowały trzy strony. Na pierwszej Korin stała nago przed szafą, wyjmując z niej sukienkę. Przypomniałem sobie, jak widziałem tę chwilę na ekranie, ale tym razem nie interesowała mnie sama scena, tylko fakt, że Korin do tego filmu ścięła krótko włosy i ufarbowała je na czarno; interesowała mnie też sukienka, którą wydobyla z szafy. Ciemnoszara, z naszytymi cekinami.

Prawie taka sama jak ta, w której Kerekes poszła na premierę.

Przyspieszyło mi tętno. Przeszedłem do następnej strony. Korin wkładała sukienkę i zasuwiała zamek na plecach, a potem stała przed lustrem, oglądając swoje odbicie. W następnej sekwencji kadrów kamera zaczęła poruszać się wokół niej po finezyjnym łuku, kolejny raz ukazując, jak szczególnie Hosterlitz traktował sceny z udziałem żony.

Kliknąłem link do trzeciej strony.

Korin skończyła układać fryzurę. Odwróciła się do kamery. Patrzyła gdzieś poza nią, piękna, w sukience z naszytymi cekinami. Twarz miała błądząco jak śnieg, a kąciki ust unosiły się lekko w cieniu uśmiechu.

Poczułem, jak całe ciało mi tężeje.

Zmienił ją w Életke Kerekes.

Pod względem figury były zupełnie różne. Korin miała pełniejszą sylwetkę, większy biust. Była też wyższa. Kerekes miała znacznie mniej krągłości – nie wyglądała chłopięco, ale była drobniejsza, filigranowa. Mimo to łączyło je coś więcej niż tylko sukienka, fryzura i uśmiech.

Oczy.

Chyba że dla Hosterlitzta podobieństwo sięgało głębiej niż parę cech fizycznych. Może zobaczył coś w Korin i zainteresowała go nie z powodu wyglądu, ale z powodu osobowości – zachowania, charakteru. Może to była przyczyna jego obsesji i dlatego podchodził do jej scen z takim pietyzmem, dlatego wypełnił cały album jej fotografiami. Czym właściwie miała być ta scena w Maniaku z siekierą? Hołdem dla Kerekes? Listem miłosnym? Może jakąś formą przyznania się do winy?

Bardzo starałem się odrzucić tę możliwość i spojrzeć na to z innej strony. Przypomniałem sobie, jak Rafael Walker mówił, że artykuł w „National People” był sfabrykowany. A teraz zadzwonił do mnie Glen Cramer, żeby wyznać tajemnicę, której dłużej nie mógł już skrywać. Może to Cramer zatelefonował wtedy do „National People”? Dlaczego to zrobił? Trudno mi było logicznie myśleć i powiązać ze sobą te rzeczy.

Znowu zerknąłem na zegarek, wiedząc, że pora wyjść – nadal jednak nie mogłem się ruszyć. Bo myślałem tylko o jednym: czy Lynda Korin wreszcie odkryła jakąś straszną prawdę o mężu, którego pochowała tyle lat temu?

„Mam nadzieję, że mi wybaczysz, Lyndo”.

Może to odkrycie dało początek całej tej historii.

Może było powodem zniknięcia Korin.

Glen Cramer przyjechał spóźniony, ale niewiele.

Taksówka zatrzymała się przed stacją Limehouse i zapaliło się światło w kabinie. Zobaczyłem wyciągniętą rękę Cramera, który płacił kierowcy. Taksówkarz najwyraźniej poznał pasażera: z ożywieniem mówił coś do niego, śmiał się, a nawet zadał sobie trud i wysiadł, by otworzyć mu drzwi. Cramer przesunął się na tylnym siedzeniu, z trudem się wygramolił i narzucił kaptur cienkiego płaszcza przeciwdeszczowego. Wieczór był na tyle cichy, że usłyszałem, jak kierowca pyta, czy na pewno chciał tu wysiąść, a chwilę później taksówka odjechała i Cramer został sam, przysłonięty ciemnością, z twarzą ukrytą w kapturze.

Stałem w cieniu bramy kawałek dalej i wciąż go obserwowałem, sprawdzając, czy nikt go nie śledzi. Był wyraźnie spięty, zaniepokojony, ale z upływem czasu nabierałem pewności, że jest bezpiecznie, więc po siedmiu minutach zadzwoniłem do niego. Sięgnął do kieszeni płaszcza, pod którym zobaczyłem smoking, i odebrał telefon.

– David? – W jego głosie brzmiała już lekka nuta paniki.

– Niech pan mnie posłucha, dobrze? Proszę iść na południe, na końcu ulicy skręcić w prawo w Ratcliffe Lane, a potem w lewo w Butcher Row. Po dwóch minutach, za wiaduktami kolejowymi, zobaczy pan budynek z czerwonej cegły. Jest na nim napis „Basen publiczny”. Zapamięta pan? – Zobaczyłem, że kiwa głową, a potem odrzekł, że tak. – Budynek jest pusty, ale obok znajduje się łukowe wejście, które prowadzi na jego tyły, na coś w rodzaju dziedzińca. Tam się spotkamy.

Rozłączyłem się, schowałem telefon i dalej go obserwowałem. Wiedziałem, że ostrożność jest konieczna, trudno było mi jednak opanować wyrzuty sumienia na widok jego ociężałych ruchów: zmuszałem dziewięćdziesięcioletniego staruszka do przejścia prawie kilometra ciemnymi ulicami.

Ruszyłem za nim, przez całą drogę trzymając się w pewnej odległości od niego. Cramer dotarł do ceglanego budynku, zatrzymał się i oparł ręką o ścianę obok zwieńczonego łukiem przejścia na dziedziniec. Jeszcze raz rzucił okiem na fasadę – zabite deskami okna, odpadający tynk – po czym przeszedł pod łukiem i zniknął w mroku. Wkroczyłem tam za nim.

Pod stopami miałem nierówny i spękany beton, ze szczelin wyłaziły chwasty, po ścianach pięły się pnącza. Cramer, z rękami w kieszeniach, stał w głębi, na skraju cienia. Był siwy i wątry, a gra światła i ciemności podkreślała wszystkie zmarszczki i bruzdy na

jego twarzy. Idąc w jego stronę, dostrzegłem w jego twarzy błysk strachu. Im bliżej podchodziłem, tym wydawał się drobniejszy, jak gdyby na moich oczach kurczył się i tracił na wadze.

Obok niego znajdowały się podwójne drzwi. Ich klamki oplatał rdzewiejący łańcuch, na którym wisiała kłódka, co sprawiało wrażenie, że nie ma wstępu do środka.

Ale to było kłamstwo.

Jak wszystko w tej sprawie.

Kłódka nie miała w środku mechanizmu, więc choć pałak wyglądał jak zatrzaśnięty w korpusie, to była tylko maskarada. Wyciągnąłem pałak, zdjąłem kłódkę z łańcucha i zacząłem go odwijać z klamek. Dwadzieścia sekund później leżał na ziemi u moich stóp.

– Proszę mi dać telefon, muszę go sprawdzić – powiedziałem.

Niechętnie, ale spełnił prośbę. Przejrzałem listę ostatnich połączeń, wiadomości, maile – nie znalazłem niczego podejrzanego – po czym sprawdziłem, czy nic nie świadczy o tym, że jest śledzony; czy nie ma aplikacji włączających alarm, jakichś nakładek na samym telefonie. Następnie wyjąłem kartę SIM oraz baterię i położyłem je na parapecie okna. Być może moje obawy były paranoiczne. Być może dokładnie tego wszystkiego nie przemyślałem.

Znowu poczułem tępe pulsowanie w głowie.

– Proszę za mną – rzuciłem.

Oświetlając drogę latarką kieszonkową, którą znalazłem w samochodzie Egana, poprowadziłem Cramera w głąb budynku. Unosił się tu zapach zastalej wilgoci. Cramer nie odstępował mnie na krok, gdy ruszyłem krętym labiryntem zrujnowanych korytarzy, przechodząc przez męską przebieralnię i mijając prysznice, które wydzielały słonawą woń sęchlizny. Wreszcie znaleźliśmy się w hali pływalni.

Od jednego końca do drugiego ciągnęła się pusta niecka basenu z pochyłym dnem, a nad sobą mieliśmy masywne tafle szkła wbudowane w łuk dachu. Wiele z nich było popękanych, natomiast tam, gdzie zostały całkiem wybite, puste ramy porastały pnącza i mech.

Zatrzymałem się w połowie długości basenu, gdzie przez szpary w dachu wpadało słabe pasmo księżycowego blasku, oblewając wnękę między dwoma filarami. Była w niej ławka z kamiennej płyty, którą wskazałem Cramerowi. Gdy zbliżył się do niej ciężkim krokiem, nagle zdjął mnie niepokój. Rozejrzałem się po hali, starając się przeniknąć wzrokiem cienie, które zalegały w wielu zakamarkach. To była ogromna przestrzeń, rozciągająca się na długości ponad stu metrów, a większa jej część tonęła w ciemnościach albo w półmroku. Powinienem wybrać jakieś mniejsze miejsce. Łatwiejsze do ogarnięcia. Spojrzałem na basen, w którym kiedyś pływali ludzie. Dno przykrywała warstwa zbrązowiałego kompostu z mnóstwa opadłych liści.

Cramer z ciężkim sapnięciem opadł na kamienną ławeczkę. Chrupnęły mu stawy, miałem wrażenie, że całe jego ciało westchnęło. W świetle księżycy wydawał się blady,

stary i zmęczony, jakby dźwigał ciężar każdego dnia ze swoich dziewięćdziesięciu jeden lat. Przede wszystkim jednak wyglądał na przestraszonego.

– Podobno miał mi pan coś do powiedzenia, panie Cramer?

– Glen – odrzekł cicho ze wzrokiem wbitym w posadzkę.

Siedział na skraju ławki, ze złączonymi nogami, z żylastymi dłońmi złożonymi na kolanach.

– O czym chcesz mi powiedzieć, Glen?

Przełknął ślinę.

– O czymś, co zrobiłem.

Életke Kerekes. Na pewno to o nią chodzi.

– Co zrobiłeś?

Uniósł głowę, a jego oczy błysnęły w półmroku.

– Kiedy w sobotę przyszedłeś do mojego domu i pytałeś o Bobby'ego, z twoich pytań domyśliłem się, że być może wiesz więcej, niż twierdzisz. Zaraz po twoim wyjściu wpadłem w panikę. On wie, powtarzałem sobie. Dlatego w końcu zadzwoniłem do ciebie w niedzielę, a ponieważ nie odbierałeś, zadzwoniłem dzisiaj po południu. Za każdym razem szedłem do budki telefonicznej, bo nie chciałem, żeby się dowiedzieli.

– Kto? Zeller i Egan?

Skinął głową i chrapliwie zaczerpnął tchu.

– Muszę to komuś powiedzieć, zanim będzie za późno. Nie mogę do śmierci mieć tego na sumieniu.

– Dlaczego nie poszedłeś na policję?

– Na to nie ma już czasu. Tłumaczyć, kto jest kim, przedstawiać całą sytuację, podawać daty i babrać się w tych wszystkich szczegółach... na to trzeba tygodni. Tyle czasu już nie mam.

Spojrzałem na niego uważnie.

– Nie masz czasu?

– Resztę mojego życia można liczyć w dniach.

– To znaczy, że jesteś chory?

Pokręcił tylko głową.

– Teraz to już nieważne. Ważne jest tylko to, co zrobiliśmy. Ważne, że zrobiliśmy coś strasznego.

Patrząc na tę bladą, mizerną postać, tkwiącą między dwoma kamiennymi filarami, pomyślałem o zdjęciu Hosterlitz, Zellera i Cramera na premierze Oczu nocy i stojącą z boku Kerekes.

– Chcesz powiedzieć, że zabiłeś Életke Kerekes?

Cramer wpatrywał się w pusty basen, w spękane dno.

– Wszyscy mieliśmy do odegrania swoje role – powiedział cicho.

– Co to znaczy?

– Nie wszyscy złapaliśmy za nóż, ale każdy miał swój udział. Bobby, Saul, ja... wszyscy zagraliśmy jakąś rolę. – Jego dłonie cały czas spoczywały na kolanach, ale w końcu nimi poruszył, splatając chude, białe palce. – American Kingdom to łgarstwo. Każdy projekt, który zaakceptował Saul od śmierci tej kobiety, to łgarstwo, bo on w ogóle nie powinien o niczym decydować. Tak samo jest z każdym filmem, który dla nich zrobiłem. Powinniśmy siedzieć w więzieniu. Powinniśmy trafić do komory gazowej, a nie robić to wszystko... – Nieokreślonym gestem wskazał przestrzeń nad naszymi głowami, ale zrozumiałem, co ma na myśli.

Cieszyć się wolnością. Sukcesem. Robić karierę. Pieniądze.

– Opowiesz mi, co się stało?

Gdzieś nad nami w mroku załopotały skrzydła ptaka, który poderwał się do lotu. Cramer próbował go dostrzec, penetrując ciemność wilgotnymi oczami, ale nigdzie go nie zobaczył; zaczął kiwać głową, jak gdyby od dawna czekał na to pytanie.

– Elaine – rzekł półgłosem. – Nigdy nie nazywaliśmy jej Életke. W ogóle nie wiedziałem, że ma tak na imię, dopóki nie zaczęły o niej pisać gazety. Ale domyślałem się, że nie jest Amerykanką, bo mówiła z takim pięknym akcentem, jak Sophia Loren.

– Kiedy ją poznałeś?

– Zanim Pingrove stał się miejscem, w którym wypada bywać, chodziliśmy do Blue Orchid, klubu na Sunset Strip. To musiał być rok pięćdziesiąty pierwszy, bo właśnie byłem po premierze Connora O'Hare i zaczynałem budzić pewne zainteresowanie. – Chwila wahania; przebłysk uśmiechu. – Może trudno w to teraz uwierzyć, ale dawniej cieszyłem się sporym zainteresowaniem kobiet. Z wieczorów w Orchid prawie nigdy nie wracałem do domu sam.

– I wróciłeś do domu z Kerekes?

– Och, nie. Nie, była już wtedy zaręczona z Johnem Winslowem. Elaine nie była jakąś latawicą. Miała klasę. Była inteligentna. Poważnie traktowała wszystkie swoje zobowiązania.

– Czyli po prostu zacząłeś z nią rozmawiać?

– Saul nas sobie przedstawił.

– To było, zanim została zatrudniona jako scenarzystka?

– Tak. Rok wcześniej. Oficjalnie nadal pracowała w sekretariacie i wykonywała polecenia starego Zellera i Saula. Ale oni coraz częściej korzystali nie tylko z jej umiejętności przepisywania listów na maszynie. Miała taki... – Umilkł i zacisnął powieki, jak gdyby nie umiał znaleźć słowa. – Chyba taki dar. Pisała bajki dla dzieci, ale było w tym coś więcej. W dzisiejszych czasach studia filmowe płacą krocie takim osobom, z taką intuicją, które rozumieją widzów. A Elaine rozumiała, na czym ma polegać kino dla dzieci. Czowała, jak do nich dotrzeć, i w tamtych czasach, kiedy Disney zarabiał miliony na filmach animowanych, Elaine dawała Zellerom przewagę, jakiej nie miała żadna konkurencja Disneya. Wiedziałaś, że większość kreskówek Kingdom z lat pięćdziesiątych była oparta na jej pomysłach? Saul wykorzystywał jej bajki już po tym, jak została zamordowana. To było haniebne z jego strony. – Spuścił głowę.

– Czyli tamtego wieczoru przyszedła do Blue Orchid z Zellerem?

– Przyszedła z całą gromadą ludzi z Kingdom. Ja z kimś się tam wtedy umówiłem. Bobby też był. Nikogo ze sobą nie przyprowadził. Nigdy nie przyprowadzał. Powiedziałem ci poprzednio, że Bobby był typem samotnika. To akurat nie było kłamstwo. Kochałem go jak brata, ale zupełnie nie interesowało go... – Pomachał ręką w powietrzu, jakby miał na myśli seks albo miłość, albo jedno i drugie. – Zeller ciągle nazywał go pedziem, chyba pół żartem, pół serio, ale gdyby Bobby rzeczywiście był gejem, coś by czuł. A tymczasem był bardziej... nie wiem...

– Aseksualny.

– Otóż to. – Znowu przerwał i potarł palcem oko. – W każdym razie Saul przyprowadził Elaine i... rany, pomyślałem, że jest cudowna. Nie mogłem oderwać od niej oczu. Musiałem udawać, że interesuje mnie kobieta, z którą przyszedłem, ale tak naprawdę interesowała mnie tylko Elaine. Jakiś czas potem zobaczyłem, że idzie do toalety, i uznałem, że to szansa od losu. Przeprosiłem, udałem się na korytarz i czekałem na nią przed drzwiami, a kiedy wyszła, zapytałem: „Czy pozwoli pani zaprosić się na drinka?”. Uśmiechnęła się do mnie, tym swoim zabójczym uśmiechem, i odpowiedziała: „Dziękuję, panie Cramer, bardzo chętnie napiję się z panem i pańską towarzyszką i posiedzę z państwem, dopóki za godzinę nie przyjedzie po mnie narzeczony”. – Uśmiechnął się blado. – Jak mówiłem, poważnie traktowała swoje zobowiązania. Pracę. Rodzinę. Związki. Wszystko miało dla niej znaczenie.

– A po śmierci jej drugiego męża?

Cramer wzruszył ramionami.

– Obu nam się podobała, Saulowi i mnie. Wolę wierzyć, że moje uczucia do niej były głębsze, bo Saulem kierowała tylko żądza. Chciał się z nią po prostu przespać, ni mniej, ni więcej. Myślę, że w pracy przez cały dzień broniła się przed jego zalotami, a on na pewno próbował to obrócić przeciwko niej: „Jak mi nie dasz, wylecisz z Kingdom”, coś w tym rodzaju. Ale oboje wiedzieli, że to bzdura. Saul bardziej od kobiet uwielbiał dwie rzeczy: pieniądze i władzę. Dzięki talentowi takich osób jak Elaine, jak Bobby, chyba też ja, miał jedno i drugie. Saul otaczał się talentami. To było sprytne i pragmatyczne.

– Czyli umówiłeś się z nią?

Skinął głową.

– Oczywiście zaczekałem. Oplakiwała Johna Winslowa i była matką. Na pierwszym miejscu zawsze powinny być dzieci. Wiem o tym, choć nigdy nie miałem własnych. Winslow zmarł chyba w październiku pięćdziesiątego drugiego, więc zadzwoniłem do niej, mówiąc, że zawsze może liczyć na moją pomoc, potem parę razy zaprosiłem ją na lunch i stopniowo, w ciągu pięciu czy sześciu miesięcy, lepiej ją poznałem i pewnie staliśmy się sobie bliżsi. – Przełknął ślinę, pocierając palcami płamę suchej skóry na twarzy. – Nie zamierzam udawać, że nie pociągała mnie fizycznie, bo pociągała. Nie zamierzam udawać, że nie wyobrażałem sobie, jak byłoby z nią w łóżku, bo wyobrażałem sobie. Ale niczego nie próbowałem... przez bardzo długi czas. Po prostu lubiłem jej towarzystwo, lubiłem ją poznawać i starałem się ją rozbawić. W tym czasie nigdy u niej nie byłem, nie widziałem jej syna... nigdy nie zaprosiła mnie do siebie, a ja nie naciskałem. Przypuszczam, że trochę wstydziała się tego, gdzie mieszka, i nie była gotowa wprowadzić do domu nowego mężczyzny, co rozumiałem. Spotykaliśmy się gdzieś na kawie albo szliśmy do restauracji na lunch, albo na spacer do Griffith Park. Nic więcej się za tym nie kryło. I tak to wyglądało aż do... nie wiem, do maja czy czerwca.

– Wtedy pierwszy raz oficjalnie chciałeś się z nią umówić na randkę?

– Tak.

– Co powiedziała?

– Powiedziała „nie”. – Cramer umilkł i odchrząknął. To był przytłumiony, lepki dźwięk, częściowo wywołany zalegającą flegmą, częściowo emocjami. – Byłem w szoku. Ocenilem sytuację, wszystko przemyślałem. Kilka miesięcy czekałem na właściwy moment. Myślałem, że chce tego tak jak ja, a tymczasem powiedziała „nie”. Ale wiesz, co było najgorsze? Nie chodziło o to, że nie czuła się gotowa, żeby z kimś być. Chodziło o mnie.

– Co masz na myśli?

– Chodziło o mnie, a w każdym razie o moje zajęcie. Nie chciała się spotykać z gwiazdą filmową. Nie chciała, żeby pstrykano jej zdjęcia za każdym razem, gdy wychodzi na kolację albo na zakupy do pobliskiego sklepu. Nie chciała, żeby troglodyci z „National People” oblegali jej dom, przed którym może kiedyś będzie bawić się dziecko, albo próbowali robić jej zdjęcia topless przez okno sypialni. I nie chciała być znana jako drugoplanowa postać w życiu Glena Cramera. Miała ambitniejsze plany. Miała własne życie, własne aspiracje. –

Znowu przełknął ślinę, ale tym razem jakby z większym trudem. – Z perspektywy czasu lepiej to pojmuję. I podziwiam. Dlaczego miałyby się zadowolić rolą nowej flamy Glena Cramera, skoro mogła być scenarzystką Elaine Kinflower? Teraz to rozumiem, naprawdę.

– Ale wtedy nie rozumiałeś?

– Nie – odparł. – W ogóle. Nawet się na nią zezłościłem. Zwymyślałem ją, powiedziałem jej okropne rzeczy, oskarżyłem ją, że mnie zwodziła. Odparła, że nie sądzi, by tak było, a jeżeli nawet, to nigdy nie miała takiego zamiaru, że powinniśmy trochę od siebie odpocząć, żebym ochłonął. „Mam nadzieję, że będziemy mogli być dalej przyjaciółmi”, powiedziała, na co rzuciłem jej: „Odpieprz się”. – Cramer był wyraźnie przybity tym wspomnieniem, zaczerwienione oczy wezbrały mu łzami. – Gdybym mógł to wszystko cofnąć, nie wahałbym się ani chwili.

– Co się potem stało?

– Przez miesiąc zaliczyłem połowę kobiet z Los Angeles, próbując zapomnieć o Elaine. Upijałem się prawie co wieczór. Mimo to nie potrafiłem przestać o niej myśleć i po głowie ciągle tłukło mi się jedno i to samo pytanie: Jeśli nie ja, to kto? – Zerknął na mnie, otarł oko. – Byłem w niej zadurzony po uszy. Jeżeli ja nie mogłem jej mieć, nie chciałem, żeby ktokolwiek inny ją zdobył. Leżałem w nocy u boku kobiety, której imienia nawet nie znałem, i myślałem tylko o Elaine. Nie mogłem znieść myśli, że mogłaby być z innym. Zadręczałem się tym. – Drżący ze wstydu głos wiązał mu w gardle. – I wtedy zobaczyłem ją z Bobbym Hosterlitzem.

Spojrzałem na Cramera.

– Ale przecież mówiłeś, że nigdy...

– ...nie interesowały go kobiety? To prawda. Ale nagle zaczęły go interesować. W każdym razie zainteresował się Elaine. – Wzruszył ramionami. – Słyszałeś kiedyś o filmie Broń to moje życie?

Czytałem o nim. To był dalszy ciąg Oczu nocy, który Hosterlitz przygotowywał dla American Kingdom, zanim został zmuszony do wyjazdu z kraju.

– Bobby zaproponował mi główną rolę – ciągnął Cramer. – I w zasadzie się zgodziłem. Czytałem wstępną wersję scenariusza. To była bomba. Absolutna bomba. Lepszy niż Oczy nocy. W każdym razie siedziałem u niego w gabinecie... to musiał być wrzesień pięćdziesiątego trzeciego. Rozmawialiśmy i nagle Bobby oznajmia, że musimy kończyć, bo ma się z kimś spotkać. No więc powiedziałem: „Podrzucę cię”. Miałem nowego buicka dynafłow, chciałem się nim pochwalić. Ale on robi zmieszana minę i mówi, żebym się nie fatygował. Ja na to, że to żaden kłopot, on się upiera, że nie, wykluczone, i staje się opryskliwy. W końcu dałem mu spokój. Tyle że wcale się nie odczepiłem. Pojechałem za nim.

– Zamierzał się spotkać z Kerekes.

– Tak, zgadza się. Wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem, po prostu zaskoczyła mnie jego nieuprzejmość. Zachowywał się inaczej, był rozdrażniony. Wtedy już go trochę znałem,

jakieś cztery lata, i nigdy nie widziałem u niego takiej reakcji. Przysięgam, nie miałem nawet cienia podejrzenia, że umówił się z Elaine, i nie dlatego pojechałem za nim. Nie przypuszczałem, że w ogóle umówił się z jakąkolwiek kobietą. To po prostu było niepodobne do Boba. Pojechałem za nim, bo pomyślałem: Jeżeli przestaje nad sobą panować, jeżeli coś się stało, pomieszało mu się w głowie, zaczął pić albo uzależnił się od prochów, to nie chcę grać w jego filmie i rujnować sobie kariery. Tak wtedy myślałem. Wyłącznie o sobie. – Cramer popatrzył na mnie. – Ale potem znaleźliśmy się w Venice.

Znowu wbił wzrok w posadzkę i położył dłonie na kolanach.

– Zaparkowałem ulicę dalej i poczekałem, aż Bobby wejdzie – ciągnął – a potem wysiadłem i podszedłem do tego domu. Zobaczyłem, że Bobby siedzi z Elaine na schodach werandy. Pili lemoniadę i po prostu siedzieli i rozmawiali. Nie robili nic więcej, nie trzymali się za ręce ani się nie całowali. Nic z tych rzeczy. Bobby siedział nawet dość daleko od niej. Gadali, to wszystko.

– Bo nie próbował umawiać się z nią na randkę – powiedziałem.

Cramer skinął głową.

– Właśnie.

– Zostali przyjaciółmi.

– Tak. Rzecz w tym, że Bobby nie lubił być w centrum zainteresowania. Dlatego przypadli sobie do gustu. Nie znosił sławy. Jeżeli musiał brać udział w kampanii promocyjnej filmu, robił to, ale nawet kiedy Oczy nocy zrobiły taką furorę, starał się nie zwracać na siebie uwagi. Wyreżyserował film, który zdobył siedem Oscarów, a wiele osób, nawet w samej wytwórni, nie wiedziało, jak on wygląda. Wolał trzymać się w cieniu. Tak jak Elaine.

– Dlatego otworzyła mu drzwi.

– Dlatego pozwoliła mu przyjść do swojego domu. Ja przez pół roku stawiałem jej kawę i lunche, urządzałem pikniki w parku, a ona nigdy nie zaprosiła mnie do siebie. Ani razu. A tamtego dnia patrzyłem, jak na podwórku jej syn odbija piłkę z Bobbym. Cholera, wyglądało, jakby bawił się z tatusiem. Ze mną spędziła sześć miesięcy i nawet mi nie powiedziała, jak chłopak ma na imię.

– Martin.

– Tak – odrzekł niemal szeptem. – Martin. – Imię syna Életke Kerekes zabrzmiało ponuro, ciężko, jak gdyby wiązało się z nim brzemie winy i wstydu. – Rzecz w tym, że Elaine chyba kochała Bobby'ego. Choć może nie w tradycyjny sposób. Nie wiem, czy wtedy kochała kogoś w taki sposób, może już nie potrafiła. Ale stale tam jeździłem, dzień w dzień, obserwowałem ich razem i widziałem, że coś ich łączy. Nie było w tym pożądania, nie było niczego fizycznego. To było czyste. – Cramer zacisnął usta, poczerwieniały mu żyłki na policzkach. – Bobby został tam przyjęty.

– Przyjęty do rodziny.

– Przyjęty do rodziny – powtórzył.

Zamilkł, a ja uświadomiłem sobie coś jeszcze. Wcześniej zastanawiałem się, skąd Hosterlitz tyle lat po śmierci Kerekes wziął jej zdjęcie na stopniach werandy przed domem – to, które ukrył w filmie Zabij! Musiał je pstryknąć sam.

– A potem zrobiłem coś strasznego – odezwał się Cramer.

Spojrzałem na niego.

Nie miałem wątpliwości, do czego zmierzamy.

– Zabiłeś ją – powiedziałem.

Drgnął na dźwięk mojego głosu, jak gdyby zapomniał, że nie jest tu sam, a potem znowu skierował wzrok na nierówne linie pustego basenu.

– Glen, wtedy ją zabiłeś? – zapytałem.

– Nie – odparł. – Nie, zrobiłem chyba coś jeszcze gorszego.

W hali basenu panowała cisza i bezruch, tylko z dziur w szklanym dachu opadały liście, niczym odłamane łopaty wirnika helikoptera.

– Odjęło mi wtedy rozum – rzekł cicho Cramer. W jego oczach malowała się udręka. – Sam siebie nie poznawałem. Byłem chorobliwie zazdrosny o to, co ich łączyło, o tę niewinność, prostotę, uczciwość... takie niczym nieskażone. Bobby wiedział, że chciałem być z Elaine, bo sam mu o tym mówiłem. I chyba wiedział, że się w niej durzę... pewnie dlatego nie chciał się przyznać, co jest między nimi. Z jego strony to był akt dobroci, ale ja odbierałem to inaczej. Uważałem to za zdradę. – Wzruszenie ramion. – No więc go okłamałem.

– To znaczy?

– Powiedziałem mu, że Elaine przy mnie zaczęła go wyśmiewać. Że z niego drwiła, mówiła, że jest słaby i żaloszny, że uważa go za obmierzłego odludka i nie podoba się jej, że kręci się wokół jej rodziny. Po prostu... – Urwał, zerkając na mnie. – Po prostu wszystko się ze mnie wylało. Udałem, że mówię mu to z życzliwości, kazałem mu obiecać, że nic jej o tym nie powie, bo ona wymogła na mnie, bym przysięgł, że nie pisnę mu ani słowa, ale widziałem, że jest zdruzgotany. Miał łzy w oczach. Zabrałem im to, co było między nimi, i zniszczyłem. Odebrałem im tę czystość i roztrzaskałem ich związek na kawałki. Potem zawiozłem go do Pingrove. Saul budował sobie wtedy ten ogromny dom na wschodnim końcu Mulholland Drive i czekając, aż będzie gotowy, pomieszkiwał w hotelu. Spotkania często odbywały się w jednym z apartamentów na ostatnim piętrze, bo Saulowi nie chciało się jeździć do studia w Burbank. W każdym razie wiedziałem, że zawsze we wtorki o piątej po południu jest tam zebranie ludzi od animacji. Do tej grupy należała też Elaine. – Spojrzał na mnie, ale szybko odwrócił wzrok. Trudno było mu patrzeć mi w oczy. – Zawsze wychodziła ostatnia. Musiała zrobić notatki ze spotkania, bo na tych męskich naradach ciągle jeszcze pełniła funkcję sekretarki, nawet wtedy. Bobby wjechał na górę. Był wściekły, rozżalony i zażenowany. Czuł, że go zlekceważyła. Tak przynajmniej dałem mu do zrozumienia. Upewnił się, czy na pewno jest już sama, i poszedł się z nią rozmówić.

– Gdzie wtedy byłeś?

– Zostałem na dole w barze. Ale następnego dnia Bobby opowiedział mi, co się stało na górze.

Wydawało się, jak gdyby ciężar tych słów zawisł w ciemnościach.

– Hosterlitz ją zabił?

– Nie – odrzekł Cramer. – Ale uderzył ją tak, że straciła przytomność.

Kiedy znowu umilkł, przypomniały mi się fragmenty tego, co przeczytałem o tej sprawie w internecie: detektywi znaleźli sińce na twarzy Kerekes, na piersi, na rękach. To musiało być dzieło Hosterlitz. A może nie tylko jego.

– Zupełnie stracił głowę – ciągnął Cramer. – Mówił mi, że wybuchła między nimi straszna kłótnia. Oskarżył ją, że go lekceważy, że uważa go za dziwaka, a ona krzyczała, że to nieprawda. A potem... popchnął ją tak, że uderzyła głową w dębową komodę i straciła przytomność. Próbował ją ocucić, a kiedy mu się nie udało, wpadł w popłoch. Pomyślał, że ją zabił. Parę minut później zjawia się w barze. Przy wszystkich musi udawać, że nic się nie stało, podchodzi do mnie i pyta, czy możemy porozmawiać. Spodziewałem się usłyszeć, że poznał prawdę i Elaine powiedziała mu, że go okłamałem. Ale idę za nim, windziarz wiezie nas na górę i kiedy wysiadamy na ostatnim piętrze, Bobby nagle wybucha płaczem.

– A potem?

– Potem wszedłem do apartamentu. Elaine zaczęła odzyskiwać przytomność, więc powiedziałem mu, żeby wrócił do baru i zaczekał tam na mnie.

Zerwał się silniejszy wiatr i stary budynek zatrzęszczał.

– To było podłe – jęknął Cramer. – Nie zobaczyłem leżącej na podłodze kobiety z posiniaczoną twarzą, tylko dostrzegłem okazję, żeby zająć miejsce Bobby'ego. Wiem, że to brzmi idiotycznie, ale ujrzałem szansę, żeby stać się dla niej tym, kim on był. Żeby siedzieć z nią na schodach przed domem i grać w baseball z jej synem. No więc podniosłem ją z podłogi, nie dlatego, że była poturbowana, ale dlatego, że byłem samotny i pełen obaw. Teraz to rozumiem. Naprawdę nawet przez sekundę nie myślałem o niej... chodziło tylko o to, co ja mogę od niej dostać. Ale wszystko poszło nie tak.

– To znaczy?

– Kiedy się pozbierała, zaczęła mi mówić, że to moja wina. „Wiem, że to ty nakładłeś mi do głowy tych bzdur”, powiedziała. Odgadła wszystko. Domyśliła się, zanim jeszcze tam wszedłem.

Westchnął ze świstem przypominającym odgłos powietrza uchodzącego z opony.

– Nigdy jej nie widziałem takiej wściekłej. Stała w łazience, przemywała skaleczenie na twarzy i mówiła mi bez ogródek, co o mnie myśli. Najgorsze było to, że wcale nie miała pretensji do Bobby'ego. Uderzył ją tak, że film jej się urwał, jednak o wszystko obwiniała mnie. Miałem nadzieję, że zniszczę to, co było między nimi, że zajmę jego miejsce, ale uprzytomniłem sobie, że osiągnąłem zupełnie odwrotny skutek. Cały czas krzyczała, że jestem skończonym draniem, a mnie huczało w głowie... – uniósł dłoń do twarzy, wskazując na swoją czaszkę – coraz głośniejsze i głośniejsze, aż nagle zorientowałem się, że ją łapię. Wyrwała się, więc znowu ją chwyciłem, tym razem mocniej, a ona popchnęła mnie na ścianę. Wtedy po prostu... dostałem szału.

Cramer umilkł i zacisnął powieki.

– Wymierzyłem jej policzek. „Dzwonię na policję! – zawołała. – Zapłacisz mi za to! Nikt nie będzie podnosił na mnie ręki!” Uderzyłem ją jeszcze raz, mocniej, ale dalej wrzeszczała, a kiedy rzuciła się do drzwi, wpadłem w panikę i... i uderzyłem ją pięścią. Chciałem w twarz, ale trafiłem w gardło. Straciła dech. Zgięła się wpół, usiłowała złapać oddech, a ja cały czas miałem mgłę przed oczami. Gotowało się we mnie. Wszystko poszło nie tak. Ciągle próbowała mówić i chociaż prawie nic nie mogłem zrozumieć, wystarczyło mi to, co usłyszałem: że zrujnuje mnie i moją reputację. Że mnie aresztują. Że prasa mnie zniszczy. No więc wziąłem przycisk do papieru... miałem go najbliżej pod ręką... nie zastanawiałem się nad tym, co robię... i kiedy ciągle była pochylona, mówiąc mi, co o mnie myśli, uderzyłem ją w tył głowy.

Otworzył oczy i natychmiast utkwiał je we mnie.

– Do dzisiaj pamiętam ten dźwięk – powiedział. – Jakby ktoś rozbił jajko. Upadła na podłogę, zupełnie złożyła się wpół, ale to było dziwne: tym razem nie straciła przytomności. Po prostu leżała we krwi, wsiąkającej jej we włosy, a oczy zaszyły jej mgłą. Próbowła się czołgać w stronę łóżka, żeby wpełznąć pod nie. Poruszała się w zwolnionym tempie. Jak gdyby chciała przede mną uciec, ale nie pamiętała, jak skoordynować ruchy rąk i nóg. Okropny widok. I cały czas wydawała takie gardłowe dźwięki, jakby się krztusiła. Nigdy tego nie zapomnę.

Zaczerpnąłem tchu.

– Ale twierdzisz, że jej nie zabiłeś?

Pokręcił głową.

– To kto ją dobił?

– Saul Zeller – wyszeptał.

– Jak do tego doszło?

– Na dole natknął się na Bobby’ego. Bobby już wychodził do domu. Saul chciał mu postawić drinka, ale Bobby odmówił i Saul zobaczył, że coś jest nie tak. „Co się stało?”, pyta. A Bobby na to: „Lepiej idź i spytaj Cramera”. Saul wjeżdża na górę. Puka do drzwi, mówi, że to on, ja otwieram i mówię: „Odejdź, Saul. To nie dotyczy ciebie”. Ale on zagłąda mi przez ramię, widzi Elaine na podłodze i pyta: „Coś ty, kurwa, zrobił, Glen?”. Sekundę później jakby coś mu przeskoczyło w mózgu, jakby stał się kimś innym. Nagle zrozumiał, jak bardzo może nam to zaszkodzić. Nie twierdę, że jej nie współczułem, ale... ale... – Cramer z chrzęstem stawów lekko poprawił się na kamiennej ławeczce. Popatrzył na mnie ze zbolaną miną. Nie byłem pewien, czy źródłem tego cierpienia są jego kości, czy sumienie. – Dostał od niej już wszystko, czego chciał.

Poczułem, że cały tężeję.

– To znaczy?

– Przekazała mu swoje bajki. – Cramer przełknął ślinę. – Napisała ich setki i wszystkie mu oddała. W tamtych czasach w Kingdom produkowano jeden film animowany rocznie.

Saul miał dość materiału na kilkadziesiąt lat. Chodziło o pomysły. Chciał od niej tylko pomysłów. Do pisania scenariuszy miał już swoich ludzi.

Było to tak niewiarygodnie bezduszne, że wydawało mi się, że się przesłyszałem.

– Mówię tylko, jak patrzył na to Zeller – wyjaśnił, widząc moją reakcję.

– Ale ty byłeś niezbędny?

Usłyszał nutę pogardy w moim głosie, jednak w odpowiedzi tylko wzruszył ramionami.

– Zdobyłem jednego Oscara i typowano mnie do następnego, a nie miałem jeszcze nawet trzydziestki. Moje zdjęcia były w gazetach i na okładkach czasopism. Byłem na plakatach filmowych w całym mieście, w całym kraju, na całym świecie. Kiedy wychodziłem po papierosy, gonił mnie tabun rozhisteryzowanych kobiet. Właśnie podpisałem kontrakt z Kingdom na pięć następnych filmów. I byłem im potrzebny, naprawdę potrzebny, bo w tamtych czasach Kingdom to było tylko mało ważne studyjko, z którego podśmiewały się Warner Brothers, Paramount i MGM. Sytuacja zaczęła się zmieniać od Oscara dla Connora O’Hare. Bobby i ja w pewnym sensie staliśmy się opoką, na której potem wszystko zbudowano. Connor, Oczywiście, to od nich zaczęły się dobre czasy dla Saula Zellera. Jeżeli więc chcesz wiedzieć, co Zeller wtedy zobaczył, kiedy popatrzył na mnie i na nią, masz odpowiedź. Człowieka u progu kariery największej gwiazdy filmowej na świecie i kobietę, której nikt nie znał i której najlepsze pomysły już należały do niego.

Odniosłem wrażenie, że w hali zrobiło się chłodniej.

– Jak mogłeś się na to zgodzić?

Pokręcił głową, jakbym niczego nie pojmował.

– Musisz coś zrozumieć. Saul potrzebował Bobby’ego i mnie, bo zarabialiśmy dla niego pieniądze, zdobywaliśmy nagrody i wprowadzaliśmy Kingdom do ligi najważniejszych graczy. Bobby potrzebował Saula, bo Saul go rozpieszczał. Pozwalał mu kręcić jeden film rocznie, co w tamtych czasach było niespotykane. A Bobby i ja potrzebowaliśmy się nawzajem, bo jego filmy, jego scenariusze były najlepsze, nikt nie robił lepszych. Bobby nie znosił wyjaśniać swoich rozwiązań scenariuszowych ani tłumaczyć wskazówek reżyserskich. Nie znosił aktorów, którzy nie zgadzali się z jego wizją. Ze mną nigdy nie miał takich problemów. Rozumiałem go, a on rozumiał mnie. Po prostu... – Głos uwiązł mu w gardle, a kiedy się pochylił, oczy mu błysnęły w świetle wpadającym przez dach. – Chcę przez to powiedzieć, że gdyby któryś z nas poszedł na dno, pociągnąłby za sobą resztę.

Na jego wardze pojawiły się kropelki potu, lśniące jak rosa.

– No więc kiedy Saul wszedł do apartamentu – mówił dalej – spodziewałem się, że popatrzy na nią ze zgrozą, przestanie nad sobą panować. Ale nie. Popatrzył tylko, jak Elaine czołga się w stronę łóżka, i powiedział: „Musimy to załatwić”. Ciągle odwracała głowę i próbowała na mnie spojrzeć, próbowała wypowiedzieć moje imię, ale musiałem poważnie uszkodzić jej głowę. Wydawała tylko zduszone dźwięki, jakby się dławiała. – Otarł

oko. – W pokoju był nóż. Przyniesiono go z jakimś jedzeniem, które zamówili na spotkanie. Saul przewrócił ją na wznak i... i po prostu... wbił jej ostrze w szyję.

Słowa zamarały mu na wargach.

– Pchał ten nóż i pchał – podjął. – Kiedy trafiał na opór, naciskał jeszcze mocniej. To było straszne. Skończył z nią, jakby jej życie nic nie znaczyło, a potem, zanim zdążyła się wykrwawić, zawlókł ją do łazienki. Stałem jak sparaliżowany, nie mogąc ruszyć się z miejsca, a on odwrócił się do mnie i powiedział: „Zetrzyj krew z dywanu”. Zdawało mi się, jakbym patrzył na kosmitę, formę życia, która nie czuje absolutnie nic do innych istot. Chyba nawet się nie spocił.

Przez chwilę patrzyłem na niego – wilgotne oczy miał zwrócone w stronę posadzki. Czubki jego butów pokrywała cienka warstewka kurzu i zdałem sobie sprawę, że przyglądam im się z uwagą, potem spojrzałem na rysy w posadzce, na brudne, odbarwione filary i pnącza, które próbowały opanować wszystko. Kierowałem wzrok wszędzie, tylko nie na Cramera, bo w tym momencie nie zniósłbym jego widoku.

– Nie rozumiesz, jak wtedy zachowywał się Saul – powiedział, widząc moją reakcję. – Jakby musiał się uporać z niewdzięcznym obowiązkiem. Panował nad sytuacją. Ani trochę się nie bał. Zapytałem go: „Jak możesz być taki spokojny? Czemu nie robisz w spodnie ze strachu?”, a on na to: „Na wojnie zastrzeliłem stu dwudziestu siedmiu szkopów. Chyba poradzę sobie z trupem jednej kobiety”. Kiedy w czterdziestym drugim skończyłem osiemnaście lat, też pojechałem do Europy, ale byłem w oddziale saperów i najczęściej budowaliśmy mosty. Nie miałem częstego kontaktu ze śmiercią, na pewno nie widziałem takiej śmierci. Nie osoby, którą znałem i na której mi zależało. – Zerknął na mnie. – Ale Saul był inny. Prawie nieludzki.

– Dlaczego tak ją zostawiliście?

– Przez policję – odrzekł.

– Policję?

– Godzinę po tym, kiedy to się stało, nagle przed hotel podjechał radiowóz. Pomyśleliśmy, że to po nas. No więc zostawiliśmy ją, część w wannie, część na podłodze, i poszliśmy do pokoju Saula. Wzięliśmy prysznic, przebraliśmy się, pocięliśmy nasze ubrania na kawałeczki i spuściliśmy w ubikacji... ale kiedy zeszliśmy do baru, gliniarze już wychodzili. Okazało się, że wcale nie przyjechali z naszego powodu. – Pokręcił głową, na jego twarz wypełzł ponury uśmiech. – Wpadliśmy w panikę bez powodu. Przyjechali, żeby przerwać bójkę w holu.

– Dlaczego więc nie wróciliście do apartamentu, żeby dokończyć to, co zaczęliście?

– Martin. – Cramer przygiął się i skulił, jak gdyby wymawiając to imię, połykał truciznę.

– W holu pojawił się Martin.

– W Pingrove pojawił się Martin?

Cramer kiwnął głową.

– I Saul od razu go poznał.

– Skąd Zeller go znał?

– Elaine nie mówiła mi prawie nic o Martinie. Nie znałem jego imienia. Nie byłem nawet pewien, ile ma lat, chociaż mniej więcej się orientowałem. Kiedy raz poszliśmy na lunch, wspomniała, że nie chodzi już do szkoły i zaczął pracować w restauracji. Widziałem, że to dla niej bolesny temat. Próbowwała to ukryć, ale wyczuwałem, że się o to kłóca. Między wierszami wyczytałem też inne rzeczy. Niewiele, ale wystarczająco, żeby domyślić się reszty. Martin nigdy nie zgadzał się z Winslowem, jej drugim mężem, właściwie wprost się nienawidzili, więc nie przypuszczam, żeby chłopak bardzo rozpaczał, kiedy Winslowa potrącił samochód. To też pewnie musiało zabolec Elaine. Myślę, że się buntował, trochę bardziej niż przeciętny nastolatek, chociaż Elaine w ogóle o tym nie mówiła. Skojarzyłem jedno z drugim dopiero wtedy, gdy rozmawiałem z Saulem kilka miesięcy po tym, jak próbowałem umówić się z Elaine. Zapytałem, co u niej, a on, niezbyt dyskretnie, jak czasem mu się zdarza, oznajmił, że poprosiła go, by z góry wypłacił jej pensję za cztery tygodnie. Kiedy zapytał ją dlaczego, odparła, że to sprawa osobista. Saul nie byłby sobą, gdyby miał się tym zadowolić, więc zaczął węszyć. Taki już był. Zawsze musiał wiedzieć.

– Potrzebowała pieniędzy na kaucję dla Martina.

– Zgadza się. Oskarżono go o napaść. To był chyba trudny czas dla tego chłopaka. Nie miał ojca. Matka nie poświęcała mu już całej uwagi. Wpadł w złe towarzystwo, zaczął pić, pojawiły się prochy... – Cramer urwał.

Zdał sobie sprawę, że nie powinien mi o tym opowiadać. Za napaść Martin dostałby sześć miesięcy. A dzięki Cramerowi i Zellerowi trafił do celi śmierci.

– Czyli Zeller rozpoznał Martina, bo węszył w sprawie Kerekes. Martin pojawił się w Pingrove. Co się potem stało?

Grdyka Cramera poruszyła się pod cienką skórą.

– Saul był w barze i czekał, aż wyjdzie ostatni gliniarz, żebyśmy mogli wrócić na górę. Bobby już wcześniej opuścił hotel, a ja byłem w toalecie, z głową w muszli. Myślałem, że nigdy nie przestanę wymiotować. Ciągłe czułem na sobie jej zapach...

Jego głos zacinał się jak stara płyta.

– Martin przyszedł szukać mamy. Jak się okazało, obiecała mu, że kiedy skończy pracę, odwiezie go do Venice. Powiedziała mu, żeby zaczekał przed restauracją, ale się nie pojawiła, a zawsze była słowna. Gdy tylko chłopak przestąpił próg hotelu, byliśmy ugotowani. Wiedzieliśmy, że natychmiast zacznie pytać o matkę, będzie chciał ją znaleźć. Saul zarezerwował apartament osiemset pięć na stałe i nikt tam nie zaglądał. Pokojówka miała przyjść dopiero rano. Ale to był pokój Kingdom. Personel hotelu wiedział, kto z niego korzysta, gdyby więc Martin spytał o Kingdom, o spotkanie, w którym brała udział jego matka, zostałby skierowany na górę. To było biuro Saula.

– Czyli Saul zatrzymał Martina?

– Tak. Podszedł do niego i zabrał go do baru. Wychodziłem właśnie z toalety, więc Saul skinął na mnie i przedstawił mi Martina. Grał na zwłokę, próbując coś wymyślić. Może sądził, że na chłopaku zrobi wielkie wrażenie to, że właśnie poznał Glena Cramera. Nie zrobiło. W barze byli inni aktorzy i producenci, sławy Hollywood, ale guzik go obchodzili. Nie wiem, jak się nazywa przeciwieństwo fascynacji gwiazdami filmu, w każdym razie on na pewno to miał. Popatrzył tylko na Saula i zapytał: „Gdzie jest moja mama?”. Jak gdyby wiedział, że próbujemy odwrócić jego uwagę. – Cramer zacisnął usta tak mocno, że zbiały. – Miał jej oczy. Spojrzałem na niego i zobaczyłem, że patrzy na mnie jego matka. Przyglądał mi się takim samym wzrokiem jak czasem ona, kiedy zdawało się, że próbuje mi zajrzeć do głowy. Już coś wypił tamtego wieczoru, czuliśmy od niego alkohol, ale był całkiem przytomny. Bystry chłopak. Podobny do matki.

Cramer przesunął językiem po dziąsłach, jak gdyby poczuł w ustach kwaśny smak.

– W tym momencie ogarnia mnie panika – ciągnął po chwili – ale staram się nie dać tego po sobie poznać. A Saul nic, prawdziwy sfinks. Ani śladu zmieszania. Odwraca się do chłopaka i mówi: „Twoja mama jest na górze, musiała coś dokończyć. Może do niej pójdziemy?”. Już wiem, co zamierza. Patrzę na niego ponad ramieniem chłopaka i błagam go wzrokiem, żeby tego nie robił. – Cramer urwał. – Błagam go – powtórzył cicho.

– A jednak pozwoliłeś mu to zrobić.

– Tak – odrzekł drżącym głosem. – Pozwoliłem. Zabraliśmy go na górę, rozmawiając z nim jak najlepsi kumple. Saul przeszedł obok tamtego pokoju i zaprowadził go do swojego prywatnego apartamentu. Otworzył drzwi i chociaż było jasne, że jej tam nie ma, odegrał komedię: „Och, gdzie się podziała Elaine?”. Weszliśmy, usiedliśmy, Saul podał nam szklaneczki whisky, a potem powiedział chłopakowi, że pójdzie znaleźć Elaine, i zostawił nas samych. Kiedy patrzyłem na Martina, dostawałem mdłości. Nie miałem pojęcia, co mówić. Mogłem grać codziennie przez cały dzień przed kamerami, ale wtedy, w tym pokoju, nie potrafiłem niczego udawać. Zorientował się, że coś jest nie tak, a ja nie umiałem niczego wymyślić, żadnego kłamstwa, nie wiedziałem, jak go przekonać, że wszystko jest w porządku. Wstał, wlał w siebie resztę whisky i zaczął się dopytywać: „Gdzie jest moja mama, do cholery? Dlaczego jej tu nie ma?”. To właśnie wtedy.

– Co wtedy?

– Wtedy zobaczyłem prawdę. Zobaczyłem, jak bardzo mu na niej zależy. W tamtej sekundzie przestały się liczyć wszystkie te bzdury, wszystkie problemy, w które się pakował. To był skomplikowany chłopak, poplątany, ale kochał matkę. Chciał wiedzieć, gdzie ona jest, dlaczego Saul i ja tak dziwnie się zachowujemy. Nagle ujrzałem, że cały nasz plan się sypie. Ale ostatecznie to nie miało znaczenia.

– Dlaczego?

– Jakies pół minuty później upadł na twarz, jakby ktoś strzelił mu w plecy. Stał i w sekundę padł nieprzytomny.

Tabletki nasenne.

– Zeller dosypał czegoś do whisky.

– Tak. – Cramer skinął głową. – Chłopakowi film się urwał. Leżał bez czucia. Wraca Saul, razem niesiemy Martina do pokoju osiemset pięć i zamykamy drzwi. Stoję i patrzę, jak Saul zabiera się do pracy. To było przerażające. Działał w taki przemyślany, metodyczny sposób. Miał całe pudełko tabletek, które włożył do torebki Elaine, jakby należały do niej i chłopak jej kilka podebrał. Potem przyniósł ze swojego apartamentu butelkę whisky i wlał mu trochę do gardła. Resztę wylał do umywalki. Zdjął mu koszulę, umoczył w jej krwi i włożył mu z powrotem. Później zaciągnął chłopaka do łazienki i paznokciami Elaine podrapał mu nadgarstki. Miało wyglądać, jakby Martin ją zaatakował i musiała się bronić. Najgorsze były jednak włosy. – Cramer spojrzał na mnie szklistymi oczami. – Saul wyrwał jej całe garście włosów i przeplótł przez jego palce. „Co robisz?”, zapytałem, a on popatrzył na mnie z kamiennym spokojem i odpowiedział: „Zaatakował ją. Broniła się. Złapał ją za włosy i jej wydarł”.

Przez chwilę żaden z nas się nie odzywał.

– Potem, jak gdyby nigdy nic, wróciliśmy do baru – podjął w końcu – i postaraliśmy się, żeby widziało nas jak najwięcej osób. Saul mimochodem rzucił, że zostawiliśmy na górze Martina z matką, że to gnojek i widać, że jej nie szanuje... ale uważał, żeby nie przeholować. Nad ranem, kiedy bar zaczął pustoszeć, Saul demonstracyjnie zamówił dla nas taksówkę do nocnego klubu i przez całą drogę gawędził z kierowcą, żeby ten nas zapamiętał. A kiedy taksówka odjechała, kazał mi zadzwonić do Bobby'ego, żebyśmy spotkali się gdzieś we trzech.

– I uzgodnili jedną wersję wydarzeń.

– Właśnie. Spotkaliśmy się niedaleko stawu we Franklin Canyon. To na wzgórzach, na północ od Pingrove. Bobby jeszcze się nie pozbierał. Chciałem go jakoś pocieszyć, ale zanim zdążyłem otworzyć usta, zaczął mówić Zeller. Powiedział Bobby'emu, że kiedy wszedłem do apartamentu, Elaine już nie żyła. „Zabiłeś ją, gdy pchnąłeś ją na tę komodę, Bobby. Uszkodziłeś jej głowę”. Pamiętam, jak zerknąłem zdziwiony na Zellera: co, do cholery...? On jednak zmierzył mnie takim spojrzeniem, że aż się wzdrygnąłem. Była w nim jakaś odpychająca bezdusność. Położył Bobby'emu rękę na ramieniu i oznajmił: „Jeżeli ktoś się dowie, co zrobiłeś, pójdziesz do komory gazowej. Ale nikt się nie dowie.

Zajęliśmy się tym”. To było takie przekonujące kłamstwo. Nie budziło cienia wątpliwości. Bobby zgiął się wpół, oparł dłonie na kolanach i rozplakał się, a Zeller trzymał mu rękę na plecach i cicho do niego mówił. Ale wiesz co? Przez cały czas Saul nie odrywał ode mnie oczu. Nawet na moment. To była groźba, wręcz wyzwanie. Tylko spróbuj mi się sprzeciwić. Tylko spróbuj się zbuntować. To jest moja wersja, mówił jego wzrok, i lepiej przyjmij ją do wiadomości. Stałem obok i nie odzywałem się ani słowem. Potem Saul powiedział do Bobby’ego: „Musisz się wziąć w garść. Stało się. Trudno. To był błąd, ale naprawiliśmy go za ciebie. Ktoś inny za to oberwie”. I spytał: „Masz w domu coś, co mogłoby cię łączyć z Elaine?”. Bobby musiał się chwilę zastanowić, a potem odparł, że kiedyś dała mu pewną ozdobę.

Spojrzałem na niego. Ozdobę. Wyjąłem telefon, znalazłem zdjęcie drewnianego anioła i pokazałem mu.

– Tę ozdobę?

Cramer popatrzył na fotografię.

– Tak. Tak, właśnie to.

– Kerekes podarowała to Hosterlitzowi?

– Tak, sama wyrzeźbiła tę figurkę w kawałku drewna. Miała takie zdolności. Pokazałeś mi to zdjęcie u mnie w domu... Skąd je masz?

Pomyślałem o tym, co Hosterlitz napisał na odwrocie fotografii, którą Egan zabrał z albumu. „Mam nadzieję, że mi wybaczysz, Lyndo”. Jeżeli Korin poznała prawdę o Kerekes, zanim zapadła się pod ziemię, jeżeli to była jedna z przyczyn jej zniknięcia, te słowa nabierały sensu – oznaczały, że na pewno dowiedziała się też o roli swojego męża w morderstwie.

– Gdzie zrobiłeś to zdjęcie?

– W domu Lyndy Korin – wyjaśniłem. – Czyli Hosterlitz oddał tę figurkę Zellerowi?

– Tak. Dał ją Saulowi, a Saul kazał mi się jej pozbyć.

– Ale najwyraźniej tego nie zrobiłeś.

– Myślałem, że tak – odparł.

– Glen... – Przyjrzałem mu się uważnie. – O co chodzi?

Cramer powędrował wzrokiem w stronę ciemnej części hali.

Nagle w budynek uderzył silny poryw wiatru. Zaświstał przez dziury w ścianach, tuż obok nas, i powoli się uspokoił – ale coś po nim zostało. Jakby dźwięk ludzkiego głosu.

Cofnąłem się o krok i spojrzałem wzdłuż brzegu basenu, w kierunku przebieralni. W budynku panowała cisza. Kiedy Cramer znowu się odezwał, nadal patrzyłem na drzwi – i rozglądałem się po szparach i zakamarkach.

– We Franklin Canyon Saul powiedział do Bobby’ego: „Wrócisz do pracy, wszystko ma wyglądać normalnie. Stajesz za kamerą, żeby zrobić Broń to moje życie... i nakręcisz taki film, jakiego ludzie jeszcze nie widzieli”. – W końcu odwróciłem się do Cramera i zobaczyłem, że się krzywi, lekko pochylając głowę. – Dla Saula to był po prostu biznes. Nic

więcej. Bobby dawał mu wiarygodność i zarabiał dla niego pieniądze, tylko to się liczyło. Dla Zellera nic innego nie miało znaczenia.

Pod względem fizycznym Cramer już dawno nie był tamtym człowiekiem z pokoju hotelowego – jego rysy, mocna szczęka i ciemne włosy przegrały z wiekiem. Osłabł, kręgosłup wygiął mu się w łuk. Był stary, siwy, blady. Mimo to jakaś część przetrwała, zagubiona na zawsze w labiryntach strasznych decyzji, które podjął sześćdziesiąt lat wcześniej.

– Czyli potem sprzedaliście Hosterlitz artykułem w „National People” – drążyłem. – Tak? W październiku pięćdziesiątego trzeciego zabiliście Kerekes, a w maju następnego roku ty i Zeller sfabrykowaliście oskarżenia.

Skinął głową, ale dopiero po chwili.

– Dlaczego?

– Bobby pogubił się w tym wszystkim. Kiedy się dowiedział, jak wrobiliśmy Martina, zaczął pić. Bez przerwy chodził zalany. Łykał prochy, palił trawę, diabli wiedzą, co jeszcze brał. Zawalił pierwszy termin złożenia szkicu scenariusza Broni, potem drugi, trzeci i czwarty. Ludzie zauważyli, że coś jest nie tak. Obsadził już Lanę Turner. Lana i ja przychodziliśmy na umówione spotkania do studia, a on się nie pojawiał. Lana dopytywała się: „Gdzie jest Bobby? Co się dzieje z Bobbym?”. Saul też zaczynał się wkurzać. Podpisał z Laną kontrakt na trzy filmy. W pięćdziesiątym czwartym rzuciła MGM i przeszła do Kingdom, bo Saul jej obiecał, że na początek zagra u Hosterlitz. Po trzech miesiącach nie było jednak nawet gotowego scenariusza, więc Saul musiał rozwiązać z nią umowę. Poszła do Warnera, co go naprawdę rozwścieczyło.

Zawahał się, ale tylko na chwilę, i słowa popłynęły już nieprzerwanym strumieniem.

– Przysięgam, próbowałem przemówić Bobby’emu do rozumu. Przyjeżdżałem do jego domu w Laurel Canyon i kiedy nie był zamroczony burbonem i trawą, wydawało mi się, że coś zaczyna do niego docierać. Ale gdy jechałem następnym razem, nie otwierał mi drzwi, więc przeskakiwałem przez furtkę, wchodziłem do ogrodu i przez okna z tyłu zaglądałem do środka, a on leżał nieprzytomny, otoczony pustymi butelkami.

– Miałeś mu to za złe?

– Nie – odparł. – W ogóle nie miałem mu tego za złe.

– Mimo to zrujnowaliście mu życie.

– To Saul – odrzekł natychmiast Cramer. – To wszystko Saul.

Te słowa nie zasługiwały nawet na jakikolwiek komentarz i dobrze o tym wiedział.

Uśmiechnął się, prawie ze skrucą, i ciągnął jeszcze ciszej niż przedtem:

– Siedem miesięcy po śmierci Elaine Saul powiedział, że musimy coś zrobić. Poprzedniego wieczoru Bobby upił się w Pingrove, kiedy wszyscy tam byliśmy, i ktoś słyszał, jak mówił o kobiecie, którą zabito na ósmym piętrze. Martin już został skazany za morderstwo i siedział w celi śmierci w San Quentin, a gliniarz, który prowadził śledztwo, nazywał się Ray Callson, przesłuchał Saula i mnie i nie nabrał żadnych podejrzeń. Gdyby

usłyszał gadanie Bobby'ego, znowu zainteresowałby się sprawą. Dla nas oznaczałoby to bilet w jedną stronę. – Cramer wydał przeciągły, bolesny dźwięk, jak westchnienie połączone ze stłumionym wołaniem o pomoc. – Artykuł w „National People” to był pomysł Saula. Nie można by po prostu zabić Roberta Hosterlitz'a i liczyć, że nikt tego nie zauważy. Nazwisko było znane. Ale zdemaskować go jako kryptokomunistę... Kiedy kogoś obsmarowano jako czerwonego, był skończony. Nikt już nie wierzył w to, co mówił. Saul wiedział, że Bobby nie będzie czekał, aż zaczną go ciągać po komisjach, wszystko jedno, pijany czy nie. Nie zniósłby tego wytykania palcami, jadu, linczu w mediach.

– A więc Zeller zadzwonił do gazety.

– Tak. Kiedy w maju pięćdziesiątego czwartego ukazał się artykuł, Saul poradził Bobby'emu: „Wsiadaj do samolotu, leć do Anglii, zmień swój wizerunek... w Kingdom zawsze będzie czekało na ciebie miejsce, kiedy to wszystko ucichnie”. Nie wiem, czy mówił serio, ale nawet wtedy udawał przed Bobby'm, że jesteśmy po jego stronie. Jednak wcale nie byliśmy po jego stronie. Wbijaliśmy mu nóż w plecy. Zrujnowaliśmy człowiekowi karierę, żeby uratować własne kariery. – Cramer spojrzał na mnie i wyciągnął przed siebie ręce, otwierając dłonie, jak gdyby czekał, że zostanie aresztowany. – A gdy wrócił do Stanów w sześćdziesiątym drugim, kiedy ostatecznie zaczął kręcić Ducha Wielkich Równin, i zobaczyłem go w studiu Paramount, nasze spotkanie wyglądało tak, jak mówiłem ci w sobotę u mnie. Siedział ze scenariuszem, w którym zawzięcie robił notatki. Spojrzał na mnie i z uśmiechem powiedział: „Miałem nadzieję, Glen, że na ciebie wpadnę”. To było tak autentyczne, że sumienie omal mnie nie zagryzło. Zaprosiłem go do siebie, to prawda, ale nie powiedziałem ci, że w końcu nie mogłem znieść poczucia winy. Słuchałem, jak opowiada o wszystkim, co się z nim działo od śmierci Elaine, i poczułem, że dłużej tego nie wytrzymam.

– I co zrobiłeś?

– Powiedziałem mu, że Saul go okłamał.

– Powiedziałeś Hosterlitzowi, że to nie on zabił Kerekes?!

– No nie. Do tego się nie posunąłem.

– To co od ciebie usłyszał?

– Powiedziałem mu: „Saul cię okłamał”. Bobby tylko siedział i milczał. Nie zareagował, nie zerwał się z krzesła, nie chwycił mnie za gardło i nie zaczął krzyczeć: „Co ty wygadujesz? Kiedy mnie okłamał?”, więc wpadłem w panikę. W przebłysku jasności pomyślałem: popełniłem ogromny błąd. Nie należało mu w ogóle nic mówić. No więc udałem, że to był żart, okropny żart. Powiedziałem mu, żeby zapomniał o moich słowach, że nikt nikogo nie okłamał, a potem jak grzeczny piesek pobiegłem prosto do Saula i wyznałem mu, co zrobiłem. Saul wpadł w złość, ale co miał począć? Nie mógł mnie zabić. Byłem jedną z największych na świecie gwiazd kina. Dziwne jednak było to, że ostatecznie nic się nie stało.

– Hosterlitz nie drążył tego dalej?

– Nie. W ogóle. Kiedy mu powiedziałem, wydawało mi się, jakby to do niego nie dotarło, ale potem już nigdy do tego nie wrócił. Ciągłe wierzył, że zabił Elaine... – Cramer zamilkł na chwilę, po czym dodał: – To nie wszystko. Powiedziałem Bobby’emu coś jeszcze, chociaż nie przyznałem się do tego Zellerowi.

Postąpiłem krok w jego stronę.

– Co?

Popatrzył na telefon, który nadal miałem w rękach.

– O drewnianym aniele.

– Co konkretnie?

– Powiedziałem Bobby’emu, co z nim naprawdę zrobiłem.

– To znaczy?

– Kiedy zabiliśmy Elaine, rzeczywiście się go pozbyłem, jak kazał mi Saul, jednak nie w taki sposób, jak sądził. Myślał, że wrzuciłem go do oceanu, porąbałem na kawałki albo spaliłem. Ale zrobiłem co innego.

– Co takiego?

– Zawiozłem go do pewnego budynku w Van Nuys.

Van Nuys było dzielnicą Los Angeles, położoną trzydzieści kilometrów na północ od Venice.

– Po co?

– Zawiozłem go do budynku przy Pierre Street, przecznicy Van Nuys Boulevard. Teraz jest zamknięty, ale wtedy był jeszcze otwarty. Stał przy takiej długiej ulicy, pełnej dwupiętrowych domów, które wyburzono pod koniec lat siedemdziesiątych.

Dwupiętrowych domów.

Natychmiast pomyślałem o obrazie widocznym na ekranie telewizora w finale horrorów Hosterlitz, o uniesionej pod kątem kamerze, pokazującej górne okna budynków.

Czyżby ulica na tych zdjęciach to była Pierre Street?

– Dlaczego zabrałeś tam figurę?

– Bo tam było jej miejsce.

– Dlaczego?

Cramer wpatrywał się w posadzkę.

– Glen. Co to był za budynek?

W końcu niepewnie uniósł wzrok.

– Różany Krąg – powiedział. – Ten budynek nazywał się Różany Krąg.

Patrzyłem na niego.

– Różany Krąg to nazwa budynku?

– Tak. Tak się kiedyś nazywał.

– Po co zabrałeś tam anioła?

Cramer już otworzył usta – ale się nie odezwał.

Z mroku znów dobiegł jakiś dźwięk. Z początku cichy, jednak im dłużej trwał, tym stawał się głośniejszy, jak gdyby ktoś podkręcał gałkę radia. Gdy spojrzałem na Cramera, było jasne, że nie ma pojęcia, co się dzieje. Skulił się w cieniu między filarami, a kiedy zrobiłem krok w kierunku przebieralni, w stronę jedyne go wejścia i wyjścia z budynku, rozległ się inny odgłos: chrzęst luźnych płytek posadzki pod czyimiś butami.

– W samą porę – powiedział ktoś w ciemności.

To był Saul Zeller.

Zeller wyłonił się z mroku jak krokodyl z rzeki. Jak na swój wiek – zbliżał się do dziewięćdziesiątki – poruszał się z zadziwiającą lekkością. Był wyprostowany, prawie sztywny, i w odróżnieniu od pochylonego Cramera nie sprawiał wrażenia osoby o kruchych kościach. Nosił się też młodziej: miał na sobie markowy czarny garnitur z ciemnoszarymi jedwabnymi kłapami i rozpiętą pod szyją białą koszulę bez krawata. Do tego obrazu nie pasowała jednak twarz: pomarszczona i blada, zwieńczona bezwłosą czaszką, którą pokrywały plamy wątrobowe i ślady po strupach. To był dziwny i niepokojący widok, jak gdyby za tą zgniłą skorupą ukrywał się bezwzględny i perfidny młody człowiek, o którym opowiadał Cramer.

Towarzyszyły mu dwie osoby.

Pierwsza weszła Alex Cavarno. Była ubrana w długą wąską czarną spódnicę i białą bluzkę z falbanami, a w świetle wpadającym przez dach lśniła szminka na jej ustach.

Nie umiała na mnie spojrzeć.

Drugą osobą był Billy Egan. Nie uczestniczył w gali, więc miał na sobie dżinsy i bluzę z kapturem, który narzucił na głowę, próbując przysłonić twarz ze śladami po naszym ostatnim spotkaniu. Miał złamany nos, jedno oko nabiegłe krwią, a twarz tak posiniaczoną, że wyglądał jak groteskowy obraz olejny. Celował do mnie z pistoletu.

Zza pleców usłyszałem szlochanie Cramera.

– Och, Glen – odezwał się Zeller. – Coś ty zrobił, stary przyjacielu?

Mówił z lekkim akcentem – amerykańskim, ale z nieokreślonego regionu.

– Nie wiem, co Glen panu naopowiadał, panie Raker, ale wątpię, czy było to coś dobrego. – Zwracał się do mnie, jednak nie spuszczał oczu z Cramera. – Być może już się pan tego domyślił... Powód, dla którego Glen nie wystąpi w następnym sezonie Royalty Park, jest taki, że w przyszłym roku o tej porze będzie dwa metry pod ziemią w Hollywood Forever.

Bez słowa patrzyłem na Zellera.

– Hollywood Forever to cmentarz – wyjaśnił, jakby mówił do dziecka.

To akurat wiedziałem. Znajdował się obok Paramount w Los Angeles i spoczywały tam takie gwiazdy jak Valentino i Mansfield, tacy reżyserzy jak DeMille i Huston.

Wcale jednak nie byłem pewien, że Cramer umiera.

„Muszę to komuś powiedzieć, zanim będzie za późno”, rzekł do mnie, kiedy tu przyszliśmy. Miał za mało czasu, żeby złożyć zeznania przed policją. Chciał zrzucić z siebie

ten ciężar, ale wyjaśnianie całego kontekstu trwałoby za długo. Gdyby miał opowiadać tę historię od początku, podawać wszystkie daty, nazwiska, miejsca i motywy, ciągnęłoby się to nawet tygodniami. Chciał po prostu komuś to wyznać – i na tym polegała moja rola. W odróżnieniu od policji, wiedziałem już o sprawie wystarczająco dużo.

– Rak wątroby – rzucił Zeller.

Lekko wygiął usta, ale nie potrafiłem stwierdzić, czy ta wiadomość cieszy go, czy smuci. Jego twarz miała w sobie jakąś nakrochmaloną sztywność i nie sposób było czegokolwiek z niej wyczytać – przypomniła mi się opowieść Cramera o tym, z jakim spokojem i zimną krwią zajął się Kerekes; jak oznajmił Hosterlitzowi, że to wyłącznie jego wina, a potem zgasił spojrzeniem wahanie Cramera, kiedy ten chciał mu zarzucić kłamstwo.

– W każdym razie – ciągnął Zeller – odkąd dowiedziałem się o tym, powtarzałem synowi: „Sumienie weźmie w nim górę”. Przez tyle lat Glen miał dość rozsądku, żeby nie puszczać pary z ust. Nie stałby się największą gwiazdą filmową na świecie bez mojej pomocy, bez tego, co dla niego zrobiłem sześćdziesiąt lat temu. Dotrzymał naszego sekreciku, bo widział w tym sens. Ale kiedy człowiek uświadamia sobie własną śmiertelność, patrzy na wszystko inaczej. Nagle zaczyna się martwić, co go czeka. Dlatego, gdy Glen powiedział mi, że jest chory, pomyślałem sobie: nosi cholernie ciężki kamień i będzie miał ochotę zrzucić go z serca. Nie chce przecież zabierać go ze sobą do grobu. Wywlecze na światło dzienne swoje winy, a potem wróci do Los Angeles, żeby tam umrzeć. Przypuszczam, że pod tym względem niewiele różni się od Bobby’ego, świeć, Panie, nad jego duszą.

Spojrzał na Cramera, a potem na mnie. Oczywiście miał na myśli fakt, że rak pokonał też Hosterlitz i że wiadomości ukryte w jego horrorach były jego formą przyznania się do winy – czarna klatka, zdjęcie Kerekes, delikatność scen z udziałem jego żony. Na złomowisku odniosłem wrażenie, że w przeciwieństwie do Cramera, Egan obejrzał horrory Hosterlitz. A to z kolei oznaczało, że jeśli nawet Zeller nie oglądał ich osobiście, wiedział dostatecznie dużo.

– Od pewnego czasu obserwowaliśmy Glena – mówił dalej Zeller, zerkając w stronę Egana. – Czekaliśmy na ten moment. Sprytny z pana gość, panie Raker. Przed wejściem znaleźliśmy na parapecie baterię i kartę SIM, więc nawet gdybyśmy zadali sobie trud i założyli pluskwę w telefonie Glena, mielibyśmy poważne trudności, żeby was tu namierzyć. Ale nie wziął pan pod uwagę wyrzutów sumienia i przypadłości wieku. Na dzisiejszym przyjęciu Glen wyszedł do toalety i zostawił telefon na stole. Zanotował sobie w komórce, że umówiliście się przed stacją Limehouse, więc wiedzieliśmy, że będziecie gdzieś w okolicy. – Wzruszył ramionami. – Wszyscy robimy co trzeba, żeby jakoś przeżyć, po prostu niektórym wychodzi to lepiej. Próbowałem pomóc Bobby’emu, próbowałem pomóc Glenowi, próbuję pomagać swojej córce, kiedy ma gorsze chwile... ale wszystkiego nie da się zrobić.

Alex nie zareagowała na jego słowa.

– Świat się nie zatrzymał po śmierci Elaine Kinflower. Nie zatrzymał się też po śmierci pańskiej żony. – Umilkł, aby to ostateczne zdanie dotarło do mojej świadomości.

Dawał mi do zrozumienia, że zna szczegóły mojego życia. Próbował odrzec moje małżeństwo ze świętości, splugawić moje wspomnienia. Stojący tuż za nim Egan uśmiechnął się ironicznie, wyraźnie rozbawiony tym wszystkim. Alex nie wypowiedziała dotąd ani słowa, ale z jej uległości wobec Zellera odgadłem, że się go boi.

– Kieruję Kingdom już długo – powiedział. – Kiedy zaczynałem, większość branży patrzyła na nas jak na psie gówno przyklepione do podeszwy. Wszyscy widzieli tę samą firmę, którą założył mój ojciec w starym nowojorskim kinie. Robiłem wiele rzeczy, żeby to zmienić i doprowadzić nas do miejsca, w którym teraz jesteśmy. Krzywdziłem ludzi. Zdarzały się rzeczy, których nikt nie może ze mną powiązać, ale mimo to dokonały się za moją zgodą.

Znowu wzruszył ramionami, utkwivszy we mnie nieruchome spojrzenie. Zeller przyleciał na gałę serialu, bo w chwili, gdy pojawiłem się w kinie Comet, Alex i Egan zawiadomili go, że badam sprawę Korin i Hosterlitza. Przyjechał się ze mną rozprawić, a potem wróci na fotel prezesa firmy, którą zbudował na krwi i kłamstwach. Pracujący dla niego aktorzy, reżyserzy, producenci, a także widzowie – nikt nie wiedział nic o prawdziwym obliczu American Kingdom i tak miało pozostać. Zeller skonstruował cały biznes jak scenografię, fasadę, ukrywając rzeczywistość za hollywoodzkim blichтром.

– Wie pan, ilu rzeczy z tych, które zrobiłem, naprawdę żałuję, panie Raker? – Nadal świdrował mnie wzrokiem, jak gdyby chciał odczytać moje myśli. – Ani jednej. Żadnej. Gdy będą redagować mój nekrolog, nie napiszą w nim „Skrzywdził parę osób”. Napiszą: „Saul Joshua Zeller był pieprzonym gigantem. Zmienił American Kingdom z pośmiewiska w firmę wartą miliardy dolarów”. Koniec kropka.

– Glen wszystko mi powiedział.

Oznajmiłem to bezbarwnym głosem, starając się zapanować nad strachem, zanim zdąży mnie sparaliżować. Było stąd tylko jedno wyjście – i znajdowało się za wymierzonym w moją głowę pistoletem Egana – mimo to spoglądałem nieruchomo na Zellera.

Natychmiastowa riposta i jej obojętny ton wyraźnie wytrąciły starego z równowagi i Egan jak na komendę stanął u jego boku. Alex też w końcu uniosła wzrok i spojrzała na mnie.

– Nie – oświadczył Egan. – Nie, on dalej ugania się za cieniami.

Popatrzyłem na niego.

– To już nie tylko cienie – rzuciłem.

Wcześniej miał na twarzy drwiący uśmieszek, ale teraz spoważniał. Zerknął z wyrzutem na Cramera – oskarżając go, że wyjawiał mi szczegóły tamtej historii.

– Powinieneś trzymać gębę na kłódkę, Glen – powiedział lodowatym tonem.

Cramer milczał.

Obejrzałem się na niego. Siedział na kamiennej ławeczce i patrzył na mnie. Pytanie, czy mi pomoże. Przyszli tu, żeby mnie zabić, ale jego nie zabiją, bez względu na to, co mówili i czym mu grozili. Mieli ten sam problem co Zeller z Hosterlitzem w 1954 roku: jeżeli zlikwidują kogoś takiego jak Cramer, to choćby głęboko go zakopali, ludzie i media zaczną się o niego dopytywać. Zresztą za miesiąc i tak nie będzie już żył.

– Wiem o Różanym Kręgu – oznajmiłem.

Zeller drgnął, przestępując niepewnie z nogi na nogę, otwierając i zamykając prawą dłoń, która wyglądała jak zatrzasująca się co chwilę muszla.

– Gówna prawda – orzekł Egan.

– To był budynek przy Pierre Street w Van Nuys. Już nie istnieje, ale w pięćdziesiątym trzecim jeszcze istniał. Różany Krąg to był budynek.

Moje słowa rozbrzmiały echem w hali.

Egan próbował je zbyć wzruszeniem ramion.

– I co z tego?

Widziałem jednak, że się zaniepokoił.

– Wysłałem mailem relację z tego, co opowiedział mi Cramer, znajomemu dziennikarzowi. Umówiłem się z nim na siódmą rano. Jeżeli nie przyjdę, opublikuje to.

Egan pokręcił głową.

– Nie.

– Tak.

– Nie. – Spojrzał na Zellera, a Zeller na niego. – Nie – powtórzył.

Tym razem w jego głosie zabrzmiała nerwowa nuta, ale wyczułem już efekt domina. Obaj wpadli w panikę. Egan, z twarzą wykrzywioną złością, postąpił dwa kroki naprzód, trzymając broń w wyciągniętej ręce. Za nimi dwoma, stojąc w tej samej pozycji co dotychczas, Alex spoglądała na mnie z miną, którą rozszyfrowałem dopiero po chwili. To był wyraz ulgi. Chciała, żeby sekret wyszedł na jaw. Miała już dosyć ukrywania zbrodni i kłamstwa, serdecznie tego nienawidziła.

Oderwałem od niej wzrok i ponownie skupiłem go na Zellerze.

– Jeżeli Egan naciśnie spust, to za dwa dni na pierwszych stronach gazet każdy będzie mógł przeczytać o wyrządzonych przez ciebie krzywdach, o cierpieniach, o ludziach, którzy zapłacili życiem za to, żebyś mógł rządzić swoim małym imperium. – Spojrzałem na Egana, potem znowu na niego. – Zostaniesz zrujnowany. Zanim się obejrzysz, wszyscy zaczną się pozbywać akcji Kingdom. Wszystko doszczętnie spłonie i zostaniesz pośrodku zgliszczy.

– A jeżeli Billy cię nie zabije?

Głos Zellera wyraźnie drżał.

Mam ich. Jedzą mi z ręki.

– Wtedy możemy porozmawiać o...

– On kłamie. – Głos Cramera zabrzmiał jak wystrzał. – On kłamie, Saul.

Zerknąłem na niego przez ramię.

Patrzył na Zellera.

– Nie powiedziałem mu, czym był Różany Krąg. Nie powiedziałem mu nic oprócz tego, że to był budynek. Nie wysłał maila do nikogo z żadnej gazety. On cię okłamuje, Saul.

Gdy Cramer podnosił się z ławki, w hali wciąż słycać było echo jego słów. Popatrzył na mnie załamionymi oczami, po czym przeniósł wzrok na Zellera i Egana.

– Przepraszam, David – wykrztusił. – Bardzo cię przepraszam.

Ciężkim krokiem ruszył w stronę tamtych, a kiedy mnie mijał, szurając butami, w powietrze wzbił się kurz i zawirował jak burza piaskowa. Egan znowu się uśmiechał, wyraźnie uszczęśliwiony niepowodzeniem mojego ryzykownego zagrania. Zeller sprawiał wrażenie, jakby niechętnie przyjmował Cramera z powrotem do trzódki, być może podejrzewając, że to jakiś podstęp, który obaj przygotowaliśmy. Natomiast Alex wyglądała po prostu na załamaną.

Cramer grzecznie stanął z tyłu, obok niej, ze spuszczoną głową i wzrokiem utkwionym w ziemi, niczym skarcony chłopczyk, a cienie oplotły go jak sznury. Egan wysunął się naprzód, kierując lufę pistoletu w moją twarz.

Zostałem sam.

– Już nie żyjesz – wycedził.

Patrzyłem na niego, starając się zachować obojętność, choć strach poraził mi wszystkie mięśnie, a serce rozpaczliwie tłukło się o ściany klatki piersiowej.

– Musimy pogadać – zwrócił się do Cramera Zeller.

Zabrzmiało to jak zawołowana groźba. Stary aktor poważnie skinął głową, a Zeller zawrócił w kierunku przebieralni. Potoczyłem dokoła wzrokiem w poszukiwaniu drogi ucieczki, jakiegokolwiek kryjówki, do której mógłbym dobiec – ale gdy znów spojrzałem na Egana, był jeszcze bliżej mnie, w odległości może dwóch metrów, i najwyraźniej widział, nad czym się zastanawiam. Cofnąłem się odrobinę, unosząc ręce i chrzęszcząc podszwami po warstwie popękanych płytek.

– Zrób to – polecił synowi Zeller.

Zesztywniałem, kiedy Egan zbliżył się do mnie o kolejny krok. Przełknąłem ślinę. Zamknąłem oczy. Czekałem na strzał.

Ale strzał nie nastąpił.

Usłyszałem za to jakiś ruch. Otworzyłem oczy i ujrzałem, że Cramer podchodzi do Alex i wyciąga w jej stronę rękę. Ułamek sekundy później zgięła się i bezwładnie padła na posadzkę, trzymając się za gardło w miejscu, gdzie jej dotknął. Cramer pochylał się – tym razem wolniej, było słycać, jak trzeszcza mu kości – i znowu przytknął jej do skóry zwiniętą pięść. Coś w niej trzymał.

Paralizator.

Zadygotała na posadzce, gdy jej ciało przeszył drugi potężny ładunek elektryczny. Zeller usiłował chwycić córkę, powstrzymać atak, i jego palce musnęły brzeg płaszcza Cramera.

– Zostaw ją!!! – wrzasnęła.

Egan tymczasem już się odwrócił i ruszył w tamtą stronę, odruchowo biegnąc na pomoc siostrze. Przełożył w dłoni pistolet i ręką rąbnął Cramera w głowę. Rozległ się makabryczny trzask, jak gdyby ktoś rozłupał pusty w środku owoc, i po chwili Cramer ciężko runął na ziemię.

Rzuciłem się do ucieczki.

Nie miałem pojęcia, co robię ani dokąd biegnę. Hala była tak ogromna, że duże jej części tonęły w mroku. Z nadzieją dałem nura w ciemności.

Huknął strzał. Drugi pocisk z brzękiem odłupał kawałek kamiennego wystroju hali, jakieś pięć centymetrów w prawo ode mnie, osypując mnie pyłem i okruchami. Słyszałem za sobą tupot nóg i głosy, ale biegłem dalej.

Nagle, jakby znikąd, pojawił się przede mną wypukły kwadrat o przekątnej około dwóch i pół metra. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, co to jest: obramowanie basenu przy saunie. Niecka była pełna kurzu, szkła i opadłych liści. Musiałem uskoczyć w bok, żeby nie runąć do środka, a gdy wyciągnąłem rękę w stronę krawędzi basenu, żeby czegoś się złapać, moja stopa utkwiała w otwartym odpływie, który znajdował się tuż obok. Szarpnęło mnie w prawo i noga zniknęła mi z oczu.

Błyskawicznie ją wyciągnąłem, szukając wzrokiem Egana, a potem zerknąłem na przeciwległą stronę hali, gdzie na skraju plamy światła zostali Zeller, Alex i Cramer. Alex podniosła się już z posadzki i zamroczona, chwiała się na nogach. Cramer odwrócił się na wznak i jęczał.

Spojrzałem w głąb kanału.

Miał niecały metr szerokości, był brudny i cuchnący, wypełzały z niego rośliny przypominające macki jakiegoś gigantycznego stworzenia, które przyczało się w środku.

Ale dostrzegłem też odrobinę światła.

Popatrzyłem na ścianę w głębi budynku – światło musiało pochodzić z zewnątrz i wciskało się do odpływu przez jakąś dziurę czy szczelinę w zewnętrznej ścianie gdzieś niżej.

To może być wyjście.

Albo ślepy zaułek.

Niepewnie balansowałem na krawędzi odpływu, wyobrażając sobie, jak grzęznę wewnątrz, wpadam w pułapkę i ginę. Wtedy usłyszałem Egana w ciemności po drugiej stronie małego basenu i wiedziałem, że nie mam wyboru.

Albo to, albo śmierć.

Zrobiłem krok naprzód i wpadłem do środka.

00:23:02

– Powiedział mi, że jej nie zabił. Powtarzał to od chwili, gdy wszedłem do tego apartamentu. „Nie zabiłem jej – mówił. – Przysięgam, że jej nie zabiłem”. Pamiętam to jak dziś. Kiedy zabrałem go na posterunek, żeby załatwić formalności, pytał: „Po co miałbym zabić własną mamę? Dlaczego miałbym jej to zrobić?”, a ja mu na to: „Nie wiem, synu. Ty mi powiedz”. Powtarzał w kółko to samo, bez przerwy: „Nie zrobiłem tego”.

Ray Callson milknie, zaciskając wargi, jak gdyby starał się pohamować. Wydaje się, że chce coś powiedzieć, ale się nie odzywa. Znowu zaczyna pocierać palcem o palec; kolejny ślad dawnego przyzwyczajenia palacza.

– Wszystkie dowody świadczyły przeciwko niemu – mówi wreszcie. – Zanim zadałem mu pierwsze pytanie, przez godzinę trzymałem go w niepewności, wychodząc z założenia, że to mu rozjaśni w głowie. Żeby miał czas wszystko przemyśleć i zmierzyć się z tym, co zrobił. Ale kiedy wszedłem do pokoju przesłuchań, sprawa potoczyła się zupełnie inaczej. Nie tylko ciągle powtarzał, że tego nie zrobił, ale też zaczął snuć jakąś historię, że zamieszani są w to ci dwaj, Saul Zeller i Glen Cramer. Ja na to: „Glen Cramer, ten słynny aktor? Zdobywca Oscara?”, a chłopak mówi: „Tak, on. On i Zeller. Na pewno są w to jakoś zamieszani”.

Callson kręci głową.

– Pomyślałem sobie, że to urojenia prosto z krainy fantazji, że bredzi jak w malignie, ale mimo to pojechałem do domu Cramera w Hills, żeby z nim porozmawiać, a potem odwiedziłem Zellera. To szef American Kingdom. Obaj byli naprawdę mili, chętnie współpracowali, pozwolili mi obejrzeć swoje domy, mówili, że są wstrząśnięci sugestią, jakoby byli zamieszani w zabójstwo Kerekes, dlatego oczywiście mogę przewrócić im wszystko do góry nogami, jeżeli naprawdę podejrzewam, że skrywają jakąś mroczną tajemnicę. Mogłem zajrzeć w zasadzie wszędzie. To była jednak strata czasu. Fakt, Cramer przyjaźnił się z Kerekes. Często się widywali. Ale absolutnie nic nie potwierdzało tego, co mówił chłopak. No więc wróciłem, by znów pogadać z Martinem, i powiedziałem mu: „Synu, sytuacja wygląda tak. Masz na karku oskarżenie o napaść. W wieku szesnastu lat zalałeś się w sztok. Badania wykazały w twoim organizmie amfę i środki nasenne, więc prokurator robi z ciebie narkomana. Byłeś zalany jej krwią, miałeś w palcach jej włosy i zadrapania na wewnętrznych stronach przedramion i nic nie pamiętasz z zeszłego wieczoru... Twierdzisz tylko, że to вина kogoś innego”.

– Co na to powiedział?

Callson wzrusza ramionami.

– Niewiele mógł powiedzieć.

– Znowu mówił o Cramerze i Zellerze?

– Oczywiście. O nich nie zapomniał.

– To znaczy?

– Na początku powtarzał mi, że Cramer i Zeller są zamieszani w śmierć jego matki, chociaż za cholere nie wiadomo, jaki mogliby mieć powód, żeby ją zabić, a potem zaczął o tym mówić każdemu na posterunku, kto miał ochotę go słuchać, aż w końcu powiedział to swojemu adwokatowi, który prawdopodobnie poradził mu: „Stop, lepiej się przymknij. Gadasz jak kompletny szajbus. Nikt nie uwierzy, że Cramer jest zamieszany w morderstwo twojej matki. To gwiazda filmowa, a ty jesteś kompletnym zerem i kiedy znaleziono cię w hotelowym pokoju, wszystkie dowody jak wielki cholerny pulsujący neon wskazywały na ciebie”. Przypuszczam, że tak to mniej więcej brzmiało. W najlepszym wypadku przysięgli mogli wysłać chłopaka na resztę życia do stanowego pudła. Gdyby nie poszedł do komory gazowej po skończeniu osiemnastu lat, to wygrałby wielki los na loterii. Ale jedno było pewne: jeśli Martin na procesie zacznie paplać o Cramerze, Zellerze czy kimś jeszcze, zrazi do siebie przysięgłych ot tak. – Callson pstryka palcami. – Nikt nie miał ochoty wysłuchiwać teorii spiskowych od jakiegoś nieletniego kryminalisty. To byłaby katastrofa. – Znowu przerywa, tym razem na dłużej, i w ciszy drapie suchą skórę na kostkach palców. – Ironia losu polegała jednak na tym, że Martin zrobił dokładnie tak, jak radził mu adwokat, i przed sądem ani słowem nie wspomniał o Cramerze i Zellerze... a mimo to dostał bilet w jedną stronę.

– Trafił do więzienia dla nieletnich?

Callson kręci głową.

– Proszę pamiętać, że był sądzony jak dorosły.

– Czyli wysłano go prosto do San Quentin?

– Zgadza się.

– Ale wyroku nigdy nie wykonano?

– Nie. – Callson uderza się dłonią w klatkę piersiową. – Kłopoty z sercem. Po półtora roku w pudle zemdlął na spacerunku. Podobno jakaś wrodzona wada. W każdym razie nawet w latach pięćdziesiątych nie wysyłano chorych dzieciaków do komory gazowej, więc zamieszkał na stałe w celi śmierci. Dwadzieścia kilka lat później, w siedemdziesiątym siódmym, serce ostatecznie mu wysiadło, kiedy był w więziennej bibliotece, gdzie pracował.

Twarz Callsona na moment zmienia wyraz.

– Panie Callson?

– Wiedział pan, że przez cały okres pobytu w San Quentin ten chłopak regularnie co miesiąc pisał do mnie list? Dwanaście listów rocznie przez dwadzieścia trzy lata.

– Nie wiedziałem.

Rysy Callsona zasnuwa, niczym chmura, wyraźny smutek.

– Co miesiąc zawsze to samo. „Jestem niewinny. Proszę mi pomóc”. Na początku wyrzucałem je do kosza... potraktowałem go jak jednego z wielu bydlaków, którzy chcą wybielić sobie sumienie. Dostawałem wcześniej podobne listy od ludzi, którzy kontaktowali

się ze mną, żeby mnie przekonywać, że się pomyliłem, podawali jakieś przypadkowe nazwiska prawdziwych sprawców... „Przysięgli zostali przekupieni!”... tego typu bzdury. Całe biuro żartowało z takich listów, bo otrzymywali je wszyscy. Ale listy Martina... nie wiem... – Milknie.

Zaczyna znowu coś mówić, ale przerywa i słowa przez chwilę pozostają w zawieszeniu.

– Chyba dały mi do myślenia – odzywa się w końcu. – Po jakimś czasie przestałem je wyrzucać, zacząłem je czytać i zacząłem się nad czymś zastanawiać: jak mocno trzeba w coś wierzyć, żeby bez przerwy, miesiąc po miesiącu, pisać taki sam list, o tym samym, do tej samej osoby? W takiej sytuacji w grę wchodzi dwie możliwości. Albo ktoś jest skończonym oszołomem... albo wcale nie.

– A kim był Martin Nemeth?

Callson spogląda prosto w kamerę.

– Nie sądzę, żeby był oszołomem.

Od miesiąca nie spadła ani kropla deszczu, ale tej nocy przyszła wilgoć w postaci lekkiej mgły, która spowijała bezwietrzne ulice, kłębiąc się pod latarniami jak rój owadów. Czułem na skórze jej drobne, chłodne kropelki, otwierając bramę na podjazd przed moim domem. Zawiasy cicho skrzypnęły. Pod stopami zachrząściło kilka kamieni. Przystanąłem, patrząc na miejsce, gdzie powinno stać moje bmw, po czym spojrzałem na ciemny dom. Nic nie wskazywało na to, by ktoś majstrował przy drzwiach i oknach. Wszystko wyglądało dokładnie tak jak wtedy, gdy stąd wychodziłem.

Mimo to stałem bez ruchu. Właśnie minęła trzecia rano i wokół panowała niczym niezmacona cisza, tylko z daleka dobiegał przytłumiony szum ruchu ulicznego. Zasłony w oknach były zasunięte. Samochody stały puste i uspione. Wydawało mi się, że w oknie sąsiedniego domu mignęła mi za żaluzjami sylwetka przechodzącego sąsiada. Patrzyłem, dopóki nie zniknęła, po czym przeniosłem wzrok na swój dom. Należał do rzadkości w tej części Londynu, ponieważ był parterowy. Dlatego zawsze mi się podobał. Teraz jednak, w ciemnościach, po tym wszystkim, co mnie spotkało, wydawał się dziwny i nienaturalny; zimny i złowrogi.

Gdzieś w oddali usłyszałem syreny policyjne.

Wziąłem z domu wszystko, co było mi potrzebne, po czym szybko wyszedłem przez ogród i ruszyłem przylegającą do niego alejką. Zatrzymałem taksówkę, poleciłem kierowcy jechać na zachód i pół godziny później meldowałem się już w motelu przy autostradzie M4. Był obskurny i podupadły, ale świetnie nadawał się na tymczasową kryjówkę. Zapłaciłem gotówką i nie włączałem telefonu – z którego wyjąłem baterię i kartę SIM – a gdy znalazłem się w pokoju, rozłożyłem wszystko na łóżku i nastawiłem telewizor, bez fonii, na wiadomości.

Tuż po czwartej po raz pierwszy nad lewym ramieniem prezentera pojawiła się fotografia Glena Cramera z Royalty Park. Poczułem, jak coś mnie ściska w gardle. Sięgnąłem po pilota i włączyłem dźwięk.

– ...licja Metropolitalna potwierdziła, że zwłoki znalezione dziś w nocy w budynku nieczynnego basenu we wschodniej części Londynu należą do hollywoodzkiego aktora Glena Cramera, w ostatnich latach najbardziej znanego ze swojej roli w serialu telewizyjnym Royalty Park. Rzecznik policji nie chciał podać bliższych szczegółów, ale z kręgów zbliżonych do śledztwa dowiedzieliśmy się, że pan Cramer odniósł „poważne obrażenia głowy”. Sprawa z pewnością będzie miała ciąg dalszy i cały czas spływają do nas

nowe szczegóły. Wiemy też, że w związku z tym zdarzeniem poszukiwany jest mężczyzna w wieku czterdziestu kilku lat...

Niech to szlag.

Nagle ogarnęła mnie fala mdłości. Cramer zmarł na miejscu i Zeller po prostu go tam zostawił – a teraz policja wzięła na cel mnie.

Uciekając z basenu przez dziurę w ścianie na tyłach budynku, słyszałem zbliżające się syreny, co oznaczało, że zaalarmowani hukiem strzałów ludzie z sąsiedztwa musieli zawiadomić policję. Moją ucieczkę mógł więc ktoś widzieć. Oznaczało to również, że policja prawdopodobnie znalazła telefon Cramera i z listy połączeń dowiedziała się, że zadzwoniłem do niego o dwudziestej trzeciej czternaście. Po namierzeniu mojego numeru ustalono by, że dzwoniłem sprzed stacji Limehouse, aby wskazać mu drogę do budynku basenu. Byłem ostatnią osobą, która z nim rozmawiała.

Policja prawdopodobnie dojdzie do wniosku, że jestem ostatnią osobą, która widziała go żywego.

Przez chwilę wahałem się, czy nie zgłosić się samemu, ale zaraz porzuciłem ten pomysł. Nie miałem żadnego asa w rękawie. Nie mogłem o nic oskarżyć Zellera. Nic nie łączyło go bezpośrednio z tą sprawą. Miałem jedynie poszlaki i całą masę hipotez. Najlepszą rzeczą, jaką udało mi się zdobyć w tym czasie, było zeznanie człowieka, który leżał już na stole w prosektorium. Nadal sądziłem, że Zeller nie chciał, by Cramer tak skończył, nie dlatego, że miał do niego sentyment, ale dlatego, że śmierć Glena Cramera oznaczałaby pytania i rozgłos w mediach. A to był problem. I Zeller, i Egan byli na razie poza kręgiem podejrzeń.

Gdyby nawet Policja Metropolitalna wiedziała o sprawie Anioła Venice – a przecież nie wiedziała – na pewno nie byłaby nią zainteresowana. Historia wydarzyła się tak dawno i tak daleko poza obszarem ich działania, że nie mieliby ochoty marnować ludzi i środków na jej badanie. Na złomowisku Barnesłowa nie było monitoringu, więc nie można było potwierdzić, czy Egan i Alex przyjechali tam w weekend. W budynku basenu i w okolicy też nie było kamer – między innymi dlatego wybrałem to miejsce na spotkanie z Cramerem. Jeśli chodziło o Zellera, gdybym nawet zwrócił się bezpośrednio do Amerykanów, żadne tamtejsze organy ścigania nie poniosłyby kosztów wznowienia śledztwa, nie mówiąc o ekshumacji zwłok sprzed sześćdziesięciu lat, bez niezbitych dowodów na to, że za zbrodnię skazano niewłaściwą osobę. Martin trafił do San Quentin za zabicie matki i dwadzieścia trzy lata później zmarł w więzieniu. Hosterlitz od dawna nie żył, Cramer właśnie zmarł. Tylko pięć osób mogłoby rzucić światło na to, co zdarzyło się tamtej nocy, a spośród nich żył już tylko Saul Zeller. Nie mogłem domagać się sprawiedliwości dla Kerekes na podstawie tego, co miałem.

I bez Lyndy Korin.

Do tej pory nie została odnaleziona, ani przeze mnie, ani przez Zellera i Egana, ale fakt, że nadal jej szukali i próbowali zamknąć jej usta, mógł dowodzić jednego: miała

informacje, których ujawnienia nie chcieli. Miała jakiś dowód. Może na tyle mocny, by pogrążyć Zellera.

Musiałem ją znaleźć, zanim oni to zrobią.

Jeśli chodzi o materiały sprawy, niewiele mi zostało.

Notatki sprzed zdarzenia na złomowisku, moje pliki w komputerze, fizyczne zdjęcia drewnianego anioła, zapis z monitoringu na Stoke Point – wszystko spłonęło. Mogłem polegać jedynie na notatkach z rozmowy z Rafaelem Walkerem, na tym, co zobaczyłem w filmach Hosterlitz'a i co zapamiętałem z rozmowy z Cramerem.

Otworzyłem zabrany z domu zapasowy laptop, podłączyłem się do motelowego wi-fi, wpisałem: „Różany Krąg” i zacząłem szukać w sieci. Miałem wrażenie, jakbym robił to już tysiące razy, i oczywiście zobaczyłem tę samą listę trafień co za pierwszym razem, na której rymowanki przeplatały się ze żłobkami. Nawet gdy dodałem do wyszukiwania „Pierre Street” i „Van Nuys”, nie znalazłem niczego. Przeszukałem katalog firm w Van Nuys, próbowałem zlokalizować mapy tego rejonu i poświęciłem pół godziny na grzebanie w danych historycznych.

Bez rezultatu.

Szukałem dalej, wracając do relacji o zabójstwie Anioła Venice, które czytałem już wcześniej. Przejrzałem wszystko, co powiedział mi Walker, linijka po linijce, słowo po słowie – wszystko, o czym rozmawialiśmy, najdrobniejsze szczegóły, które widziałem w filmach. Ukryta klatka. Fotografia Kerekes. Obraz Pierre Street nakręcony z samochodu.

Wciąż nic.

A głos Hosterlitz'a z offu?

Nie pytałem o to Cramera, ponieważ nie oglądał żadnego z horrorów Hosterlitz'a. Ale co mogło oznaczać zdanie: „Nie wiesz, kim jesteś”? Mówił wtedy do Korin? Do kogoś innego? Do siebie? Im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym bardziej nabierałem przekonania, że w ten sposób Hosterlitz przyznaje się do winy, chce jej powiedzieć prawdę, jak gdyby mówił: „Nie wiesz, kim jesteś – dla mnie”. Pomyślałem o tym, co napisał na odwrocie zdjęcia – „Mam nadzieję, że mi wybaczysz, Lyndo” – i chyba lepiej zrozumiałem te słowa: była żoną człowieka, który kochał ją, bo przypominała mu kogoś innego.

Ogarnęło mnie współczucie dla Lyndy Korin. Właściwie nie znała człowieka, z którym była, którego kochała, z którym dzieliła łożę i życie; prawdę odkryła dopiero dwadzieścia sześć lat po jego śmierci, w 2014 roku – w każdym razie jakąś część prawdy. Ale co dokładnie odkryła? I w jaki sposób?

Dlaczego ciągle się nie odnalazła?

Pomyślałem o Wendy Fisher i jej opowieści o przyjeździe Hosterlitz'a i Korin do Minneapolis w 1984 roku. Rozmawiałem już z nią o tym, co pamięta z wyjazdu Hosterlitz'a do lasu, gdy chciał „szukać plenerów”, i co o nim sądziła – ale nie pytałem, jak Korin zachowywała się podczas tego tygodnia nieobecności męża. Czy wspomniała o czymś, co wówczas wydawało się nieistotne, ale teraz mogło nabrać ogromnego znaczenia? Mówiła o swoich podejrzeniach? Obawach? Problemach w małżeństwie? Wątpiłem w to, ale kończyły mi się możliwości działania. Chciałem jakoś przełamać impas.

Nie musiałem włączać telefonu, by odczytać z niego jej numer – zapisałem go jeszcze przed wyjściem z domu – i mogłem skorzystać z telefonu stacjonarnego w pokoju. To było kosztowne rozwiązanie, ale dawało mi gwarancję, że nie zostanę namierzony. Sprawę komplikował jej zawód pielęgniarki i nieregularne godziny pracy. Jeżeli była na oddziale, może będę musiał czekać na wyjaśnienie, a ja potrzebowałem go natychmiast.

Jeżeli w ogóle Wendy zdoła mi cokolwiek wyjaśnić.

Próbowałem bronić się przed tą myślą, by nie podcięła mi skrzydeł, i nie zakładać z góry, że to jeszcze jeden trop prowadzący donikąd. Podszedłem do motelowego telefonu, wstukałem jej numer i wysłuchałem sześciu długich sygnałów. Włączyła się poczta głosowa.

„Tu Wendy Fisher. Proszę zostawić wiadomość, a oddzwonię, gdy tylko będę mogła”.

Odłożyłem słuchawkę i w tym samym momencie coś mnie zastanowiło – jakiś szczegół, zagrzebany gdzieś w tyle głowy, tak głęboko, że nie mogłem do niego dotrzeć. Zajrzałem do notatek, ale nie miałem pojęcia, co to może być. Ignorując na razie tę zagadkę i starając się zaplanować następny ruch, usiadłem do laptopa, otworzyłem internetową książkę telefoniczną i zacząłem szukać domowego numeru Wendy. Postanowiłem skontaktować się z nią tą drogą, a jeśli nie wyjdzie, dalej będę dzwonił na komórkę. W końcu kiedyś odbierze.

Mieszkała w Lakeville, na południe od Minneapolis, i gdy otworzyłem spis numerów, zobaczyłem, że jest szesnaście osób o nazwisku Fisher. Wymieniono je wszystkie, wraz z informacją o związkach z innymi Fisherami, kiedy więc znalazłem Wendy, znalazłem też jej męża. Miał na imię Carl. Jeśli uda mi się do niego dodzwonić, a on przekaże jej wiadomość ode mnie, zawsze będzie to lepsze niż nic.

Nagle jednak znieruchomiałem.

Żółta karteczka. Zupełnie o niej zapomniałem. Z pomocą Walkera ustaliłem, co się kryje pod kodem czasowym filmu Zabij!, ale zagadką pozostawały dwa ciągi przypadkowych liter powyżej. Wróciłem do notatek. Zapisałem te litery podczas rozmowy z Walkerem, próbując je rozszyfrować, coś w nich zobaczyć.

XCADAAH. EOECGEY.

Szukałem w nich jakichś wzorów, powiązań z filmami Hosterlitz'a albo z życiem Korin przed jej zaginięciem. Przystawiałem je, sprawdzając, czy nie są anagramami, dodawałem kropki, by się upewnić, czy nie rozpoznam jakiegoś skrótowca, szukałem w internecie

wszystkich liter razem i pogrupowanych w pary, w trójki. Każde podejście kończyło się tak samo.

Mimo to próbowałem dalej, ale piętnaście minut później spojrzałem na zegar, zobaczyłem, że minęła już piąta, i poczułem, jak uchodzi ze mnie energia. Wypompowany, padłem na łóżko. Przez okno w głębi pokoju ujrzałem nad dachami naprzeciwko pomarańczową mgiełkę od świateł autostrady. Gdy na nią patrzyłem, powieki zaczęły mi ciążyć, luna dryfowała mi przed oczami jak zagubiony w przestrzeni statek kosmiczny, aż w końcu ogarnęła mnie ciemność.

Dzwoń do Wendy. Ocknąłem się na dźwięk wewnętrznego głosu, który wyrwał mnie z powrotem na powierzchnię. Dzwoń do Wendy.

Nie pytałem jej wcześniej o treść karteczki. Nie pytałem o te dwie sekwencje liter. Może wiedziała, co oznaczają. Podeszedłem do telefonu, odnalazłem zapisany numer stacjonarny i go wybrałem. W Minnesocie było po jedenastej wieczorem, ale Wendy na pewno zrozumie. Czekałem, ożywiony chwilowym zastrzykiem energii.

– Halo?

Męski głos.

– Pan Fisher?

– Nie, nie ma go.

– A czy zastałem Wendy?

– Nie, jej też nie ma.

Zachodziłem w głowę, kto w takim razie odebrał telefon.

– Mogę spytać, z kim rozmawiam?

– Mówi Greg Fisher.

Pewnie jej syn.

– Nazywam się David Raker. Jestem detektywem, dzwonię z Wielkiej Brytanii. Pracuję na zlecenie twojej mamy, badam sprawę zaginięcia jej siostry. Muszę pilnie skontaktować się z Wendy. Jest w pracy?

– Nie, nie ma jej w pracy.

– Wiesz, o której wróci?

– Nie, wyjechała. Mama i tato wyjechali na urlop. Teraz są chyba gdzieś na Alasce.

Oślupiałem na tę wiadomość.

– Hm... – Próbowałem się zastanowić. – Jak to: wyjechali na urlop?

– No, popłynęli w rejs.

– Na jak długo?

– Na miesiąc.

– Kiedy wyjechali?

– Chyba jakieś dziesięć dni temu.

Czyli zanim jeszcze zacząłem pracować nad sprawą. Zanim Wendy skontaktowała się ze mną. Pomyślałem o wiadomości nagranej na poczcie głosowej Wendy Fisher

i przypomniałem sobie, jak coś mnie potem zastanowiło.

– Greg, czy twoja mama ma stronę na Facebooku?

– Co? – Przez chwilę nie rozumiał, o co mi chodzi. – Aha, tak.

Otworzyłem Facebook, szukając Wendy Fisher z Lakeville w Minnesocie. Odnalazłem ją dość szybko. Zdjęcie profilowe przedstawiało ją razem z Lyndą Korin – siedziały obok siebie w jakimś ogrodzie.

Nigdy wcześniej nie widziałem Wendy Fisher.

To nie była kobieta, z którą rozmawiałem przez Skype'a. Ta Wendy była znacznie bardziej korpulentna, miała ciemniejsze włosy i charakterystyczny pieprzyk na dołeczku w brodzie i na żadnym zdjęciu, które udało mi się znaleźć, nie nosiła okularów. Wendy, z którą rozmawiałem, wyglądała jak tęższa wersja Lyndy Korin – o takich samych kościach policzkowych, takich samych oczach, takich samych ustach.

Słyszając łomot własnego serca, uświadomiłem sobie, dlaczego komunikat w poczcie głosowej Wendy nie pasował do głosu kobiety, z którą rozmawiałem przez telefon. Zrozumiałem, dlaczego kobieta, która mnie zatrudniła, wyglądała zupełnie inaczej niż Wendy, którą właśnie znalazłem na Facebooku.

Bo to nie Wendy Fisher mnie zatrudniła.

Zrobiła to Lynda Korin.

Siedziałem przez chwilę w oszołomieniu, próbując temu zaprzeczyć. Ale nie mogłem. To dlatego nie chciała, żebym dzwonił do niej bez uprzedzenia, wolała, by kontaktować się z nią wcześniej mailem. Dlatego jej głos w telefonie brzmiał inaczej niż głos w poczcie głosowej Wendy Fisher. Dlatego Wendy nie przypominała wyglądem Lyndy Korin, a kobieta, z którą rozmawiałem przez Skype'a, była do niej uderzająco podobna. Wtedy na ekranie to była Korin – tyle że z ufarbowanymi włosami i grubsza.

Albo się przebrała – włożyła kostium i perukę.

Przypomniałem sobie coś, co Marc Collinsky mówił o domku w ogrodzie Korin: „Zostało parę starych rekwizytów filmowych: klaps i kilka worków rupieci typu wampirze zęby, sztuczna krew i kosmetyki do charakteryzacji”. Do charakteryzacji. Czy mogły się tam znaleźć protezy? Odlewy? Silikon? Korin na ekranie wydawała się tęga, ale mogła się czymś otulić. Wystarczyło, by odrobinę zmodyfikowała swój wygląd, zaokrągliła sylwetkę i wykorzystwała rekwizyty pozostawione przez Hosterlitzę, wiedząc, że resztę zamaskuje jakość obrazu w Skypie. Był kiepski, rwał się i rozpadał na piksele, bo połączenie internetowe było marne.

Czy to oznaczało, że była gdzieś daleko?

Położyłem dłoń na notatkach, starając się logicznie przemyśleć wszystkie powody, dla których Lynda Korin w ogóle przystąpiła do realizacji tego planu. Żeby poznać prawdę o tym, co zrobił jej mąż? Co zrobili Zeller z Cramerem? Jeżeli już to wiedziała, dlaczego sama tego nie ujawniła? Po co wciągała w to mnie? Instynktownie przysunąłem sobie notes i mój wzrok znowu padł na rządki liter z samoprzylepnej karteczki i moje próby ich rozszyfrowania. Cofnąłem się do tamtej rozmowy przez Skype'a, próbując odgrzebać w pamięci jakiś szczegół w tle, który zdradziłby coś o jej miejscu pobytu. Nad kominkiem stały zdjęcia w ramkach, ale oblewał je blask słońca wpadający przez okno. To nie mogło mi w niczym pomóc.

Wróciłem do powolnego łącza internetowego i myśli, że Korin może przebywać w jakimś odległym miejscu. To miało sens – tylko gdzie była?

Znowu spojrzałem na dwa rządki liter.

XCADAAH.

EOECGEY.

Gdzieś daleko.

Gdzieś daleko, gdzieś daleko, gdzieś da...

Coś we mnie drgnęło. Mój wzrok zatrzymał się na początku i końcu każdej linijki. Górna zaczynała się od X, dolna kończyła się na Y.

Cholera jasna, to jest to.

Bardzo sprytne. Teraz zobaczyłem to jasno jak na dłoni, dziwiąc się, jak mogłem wcześniej tego nie zauważyć. To nie były słowa. Nawet nie litery.

To były współrzędne.

Wyrwałem czystą kartkę.

Na osi X był zapis C, A, D, A, A, H. Jeżeli każdej literze odpowiadała liczba, to C będzie trójką, ponieważ było trzecią literą w alfabecie, A będzie jedyneką i tak dalej. Kiedy napisałem litery według tego kodu, otrzymałem współrzędne poziome na osi X. Liczbę 314118.

Miałem już połowę pozycji na mapie.

Szybko zastosowałem tę samą zasadę do współrzędnych pionowych na osi Y, ale zamiast sześciu cyfr wyszło mi siedem, ponieważ druga litera – O – była w alfabecie piętnasta. Chyba że O wcale nie oznaczało O.

Tylko zero.

Przysunąłem sobie laptop, wpisałem współrzędne na osi X oraz liczbę 505375 na osi Y, po czym wcisnąłem ENTER.

Strona wyświetliła się błyskawicznie.

To była pusta łąka.

Przesunąłem mapę, muskając palcem touchpad, i mniej więcej sto metrów na północ od zlokalizowanego punktu ukazała się jakaś farma. Poza nią nie było tam nic.

Pomniejszyłem mapę.

Farma znajdowała się przy wąskiej wiejskiej drodze, od jej północnej strony, ale punkt wyznaczony przez współrzędne leżał na polu, dokładnie na południe od niej. Łąka musiała należeć do farmy, jednak zdjęcie satelitarne nie wskazywało, by cokolwiek na niej było. Tylko trawa, drzewa i kamienne murki. Może kilka zwierząt. Czy współrzędne mogły oznaczać farmę, a nie łąkę?

A może źle to wszystko zrozumiałem?

Jeszcze bardziej zmniejszyłem mapę.

Mniej więcej kilometr na południowy wschód od wyznaczonego punktu i farmy ukazało się jezioro. Na północ od farmy było też widoczne jakieś wzniesienie. Wyglądało na to, że jego zbocze przykrywał piarg. Znowu pomniejszyłem mapę.

Nad jeziorem wyskoczyła nazwa.

Wast Water.

Jezioro w Lake District.

* * *

Udało mi się zdrzemnąć parę godzin; o ósmej rano znalazłem numer telefonu farmy i zadzwoniłem.

– Halo?

Głos starszego mężczyzny, którego najwyraźniej zastałem w trakcie jedzenia.

– Dzień dobry – odezwałem się.

I co teraz?

– Nie wiem, czy dzwonię pod właściwy numer ani czy może mi pan pomóc... ale szukam Lyndy.

– Lyndy?

Nic więcej nie powiedział.

– Tak, Lyndy.

– Nie ma tu żadnej Lyndy, synu.

Trudno było mieć stuprocentową pewność, ale nie wyczułem zmywy, nie odniosłem wrażenia, że coś przede mną ukrywa. Zerknąłem na notatki i mój wzrok padł na linijkę pośrodku kartki. Brzmiała: „Életke Kerekes = Elaine Kinflower”.

Pseudonim.

– Przepraszam, pomyliłem się – rzuciłem szybko, wracając myślą do chwili, gdy odkryłem w domu Korin kasetkę, a wewnątrz wizytówkę Tony’ego Everetta z Roman Film. Korin przedstawiła mu się jako Ursula Keegan. – Przepraszam, chodziło mi o Ursulę.

– Ursulę?

Usłyszałem ruch, w telefonie coś zatrzeszczało, a potem rozległ się metaliczny brzęk rozdzielanych listewek żaluzji.

– Nie – usłyszałem.

– Nie ma Ursuli?

– Nie to, że jej nie ma – odparł mężczyzna. – Ale wygląda na to, że w przyczepie ciągle są opuszczone rolety. Chyba jeszcze nie wstała.

CZEŚĆ PIĄTA

Słońce na krótko wyjrzało zza chmur, oblewając złotem stoki Wasdale. Dolina była olśniewającym pasmem wzniesień i obniżeń, którego wyniosłe szczyty tworzyły rodzaj nierównego amfiteatru wokół Wast Water, jeziora rozciągającego się jak pięciokilometrowa szara tafla szkła u stóp osypanych piargami stoków. Kiedy zrywał się wiatr, zasnuwał powierzchnię wody siatką zmarszczek, która wyglądała jak subtelne dzieło sztuki; mimo to jezioro kryło w sobie coś ponurego, dziwny, nieuchwytny mrok. Wyobrażałem sobie, że zimą, gdy turyści wracali do domów, a szlaki stawały się niedostępne, dolina mogła się wydawać najbardziej samotnym miejscem na świecie.

Farma leżała na zboczach Buckbarrow, części południowego grzbietu góry Seatallan, wznoszącej się na północ od jeziora. Składała się z dużego kremowego budynku, otoczonego omszałym kamiennym murem, za którym zbudowano dwie stodoły z blachy falistej. Mijając je, w jednej dostrzegłem traktory i rdzewiejące szkielety starych maszyn, a w drugiej zobaczyłem świnie przy korycie. Były też krowy, ale wyszły na pastwiska, które rozciągały się na lewo od farmy, i z opuszczonymi łbami skubały trawę. Zaraz za stodołami kontury doliny zmieniały się, stopniowo biegnąc w kierunku ściany piargów i rdzawopomarańczowych paproci.

Współrzędne wyznaczały punkt położony na łące po drugiej stronie drogi niż farma. Zdjęcie satelitarne w internecie nie pokazywało nic oprócz trawy i kamiennych murków, ale fotografia pochodziła sprzed czterech lat – a od tego czasu zaszły pewne zmiany.

Teraz była tam przyczepa.

Stała samotnie na środku łąki, niczym statek dryfujący po szmaragdowym morzu, a w jej oknach widniały opuszczone rolety.

Nie podniosły się od mojego przyjazdu.

W Ealing wypożyczyłem samochód i tuż po dziewiątej rano wyjechałem z Londynu. Spędziłem w drodze sześć i pół godziny, posuwając się wolniej w okolicy miast i jeszcze wolniej, gdy zjechałem z głównej drogi i zacząłem wspinaczkę do parku narodowego. Przez całą podróż słyszałem, jak w radiu odmieniają przez wszystkie przypadki moje nazwisko. Już wyciekło, razem z moją fotografią. Niebawem Policja Metropolitalna dowie się, że wypożyczyłem wóz. Zaraz potem wykryją mnie na kamerach monitoringu i prześledzą całą moją trasę na północ. Zostało mi jakieś pięć, sześć godzin. Być może uda mi się nacieszyć wolnością do rana, bo Metropolitalna musiała koordynować działania z policją Kumbrii.

Ale tak czy inaczej, byli na moim tropie.

Właśnie dlatego wolałem na razie zachować ostrożność – może Lynda też wiedziała, że są na moim tropie. Może farmer poinformował ją o moim telefonie. Może słyszała o mnie w radiu albo zobaczyła mnie w telewizji i domyślała się, że zaraz przyjadę. A może to była pułapka. Nie wiedziałem, czym kierowałyby się Korin, żeby mnie zwabić w pułapkę – i chyba tak naprawdę nie wierzyłem w taki scenariusz – ale zniknęła na dziesięć miesięcy i ukrywała się tutaj, podczas gdy Zeller i Egan próbowali ją namierzyć i zabić.

Nie miałem zamiaru jej lekceważyć.

* * *

Sześćdziesiąt minut później złożyłem i uruchomiłem telefon, pierwszy raz od osiemnastu godzin. Spłynęły nieodebrane połączenia i wiadomości, więc zacząłem je przeglądać.

Szukałem tylko dwóch.

Z wakacji w Hiszpanii napisała Annabel, do której najwyraźniej dotarły najnowsze wieści z kraju. Odpowiedziałem jej, że wszystko gra i za kilka dni sprawa się wyjaśni. Nie byłem pewien, czy to prawda, ale właśnie to powinna ode mnie usłyszeć. Drugi SMS był od Melanie Craw, wysłany wczoraj wieczorem.

Ciągle się mijamy.

ZADZWONŃ.

Z jednej strony, chciałem pogadać z Craw, z ulgą posłuchać znajomego głosu i powiedzieć jej to samo, co napisałem Annabel: wszystko w porządku, wybrnę z tej sytuacji, bo nie zrobiłem nic złego. Z drugiej strony, myślałem realistycznie – wiedziałem, że telefon doprowadzi do kłótni. Craw nie zrozumie. Miała mentalność gliniarza, myślała i zachowywała się jak gliniarz, nawet gdy nasza znajomość przerodziła się w coś poważniejszego.

Skupiłem wzrok na przyczepie, na wejściu i zasłoniętych oknach. W tym miejscu wydawała się jeszcze bardziej osamotniona, mając za całe towarzystwo tylko zabudowania farmy oraz rumowiska i grzbiety wzgórz. Do najbliższego gospodarstwa było stąd dwa i pół kilometra. W okolicy widziałem więcej pojazdów niż budynków – a w miarę jak nadciągał wieczór, nawet pojazdów ubywało. Pomyślałem, że niedługo zostaną tylko ja.

Znowu będę sam.

Ta myśl nie chciała się ode mnie odczepić, a im dłużej czekałem, im bardziej mi dokuczała, tym większą budziła we mnie niechęć. No i w końcu wcisnąłem WYBIERZ.

Craw odebrała po czterech dzwonkach.

– Raker, coś ty zrobił, do cholery?

Miałem ochotę od razu odłożyć słuchawkę, ale zdołałem się powstrzymać. Panując nad głosem, spokojnie odparłem:

– Media nie wiedzą, co się stało.

– A co się stało?

Patrzyłem na wóz kempingowy, który mijał mnie z rżeniem silnika.

– Nie zabiłem Cramera.

– To dlaczego się zachowujesz, jakbyś go zabił? – Westchnęła. – Dlaczego to się znowu powtarza? Dziesięć miesięcy temu mieliśmy taką samą rozmowę. Pamiętasz? Zadzwoiłeś do mnie i powiedziałeś, że tego nie zrobiłeś. Ile jeszcze razy będę musiała czegoś takiego wysłuchiwać?

To był błąd. Rozłącz się.

– Przecież wiesz, że to działa w obie strony – ciągnęła. – Prawda? Nie chodzi tylko o ciebie. Chodzi o ciebie i o mnie. Prześwietlą twój telefon i znajdą nasze rozmowy. Dowiedzą się też o tej, Raker. Dobiorą mi się do tyłka i...

– Rozumiem.

– Doprawdy? Bo wszystko, co robisz, odbija się na mnie.

– Odbija się na twojej karierze.

– Co to niby ma znaczyć?

– Doskonale wiesz, co to znaczy. Wszystko, co robię, każdą moją decyzję oceniasz nie według tego, jaki to będzie miało wpływ na ciebie osobiście ani nawet na nas dwoje, ale według tego, jaki to będzie miało wpływ na twoje szanse awansu... i co sobie pomyślą twoi koledzy z Metropolitalnej.

– Co z tego, że jestem ambitna?

– To nie ma nic wspólnego z ambicją, Caw. Nikomu w pracy nie powiedziałaś nawet, że się spotykamy, i właśnie dlatego to dla ciebie taki problem. – Zrobiłem pauzę, by mogła to przetrwać. – Nikt od ciebie z pracy nie ma pojęcia, że się widujemy, prawda?

Nie odpowiedziała.

– Prawda?

– Tak – potwierdziła cicho.

Oboje przez chwilę milczeliśmy.

– Nie zrobiłem tego – oznajmiłem spokojnie. Caw milczała. – Wiem, że twoim zdaniem jestem lekkomyślny i może masz rację, ale nie zrobiłem tego. Ty natomiast stale robisz jedno: w ciągu dnia udajesz, że nie istnieję, a kiedy kończysz pracę, spodziewasz się, że zupełnie o tym zapomnę. Masz rację, tu chodzi o ciebie i o mnie. Ale kiedy wpadam po uszy w takie bagno, powinnaś mnie ratować. Potrzebuję twojej pomocy.

– Nie mogę ci ujawniać szczegółów ze...

– Nie chodzi mi o wsparcie operacyjne, Caw. Jeżeli potrzebuję czegoś z policyjnej bazy danych, sam potrafię to zdobyć. Mówię o nas, żebyśmy się zachowywali jak dwoje ludzi, którzy naprawdę są razem, nie tylko od święta.

Na przedniej szybie pojawiły się krople deszczu.

– Właśnie dlatego chciałam z tobą porozmawiać w weekend – odrzekła już mniej rozdrażnionym głosem. – Dlatego przez trzy dni próbowałam się do ciebie dodzwonić. Musiałam podjąć decyzję do poniedziałku rano.

– Jaką decyzję?

Przez chwilę nie odpowiadała.

– Pod koniec zeszłego tygodnia komendant główny wziął mnie do gabinetu. Powiedział, że trafia mi się szansa.

– Na awans?

– Tak, na komendanta.

– Rozumiem. No, to chyba dobrze.

– Tak uważasz?

– Przecież tego chciałaś.

– Tak, chciałam – przyznała szczerze. – Ale rzecz w tym, że na początek umowa jest na dwa lata... z perspektywą przedłużenia, jeżeli wszystko pójdzie dobrze.

– I co w tym złego?

– Zostanę oddelegowana.

Zmarszczyłem brwi.

– Oddelegowana? Dokąd?

– Do Glasgow.

Oboje zamilkliśmy, jak gdyby czekając, aż odezwie się to drugie, i nagle deszcz zaczął bębnić w karoserię niczym grad kamyczków. Spojrzałem na ławkę, w kierunku przyczepy.

– Przyjęłam to stanowisko – powiedziała Craw i przez dłuższą chwilę się nie odzywała.

– W przyszłym miesiącu wyjeżdżam z dziećmi do Szkocji.

Ale teraz słuchałem jej już tylko jednym uchem.

W przyczepie zapaliło się światło, zobaczyłem też, że drzwi są otwarte – kłapał nimi wiatr, który zaciął deszczem i kręcił z niego bicze. W drzwiach stała kobieta w czerwonej kurtce, z narzuconym na głowę kapturem, spod którego wysuwały się posiwiałe blond włosy, mokre od deszczu, lepiące się do jej twarzy. W prawej ręce trzymała nóż, przyciskając go do uda i poprawiając chwyt na rękojeści, jak gdyby przygotowywała się do ataku.

Patrzyła prosto na mnie.

To była Lynda Korin.

Gdy tylko dotarłem do bramy prowadzącej na łąkę, wycofała się do przyczepy i zgasiła światło. Deszcz siekł teraz strumieniami, tłukąc w suchą ziemię, która była tak spieczona, że na trawie natychmiast zaczęły się tworzyć kałuże.

Otworzyłem bramę, która skrzypnęła na stalowych trzpieniach, i przystanąłem, czując wodę spływającą mi po twarzy, kurtce, ubraniu. Drzwi przyczepy pozostały otwarte i lekko kołysały się na wietrze, ale wewnątrz nie widziałem nic oprócz ciemności. Nawet nie zauważyłem, że taka sama zmiana zaszła w całej dolinie: złowrogie cienie i przebłyski światła, wszystko zdawało się mnie przytłaczać, jakby góry lada chwila miały na mnie runąć.

Szybko przeciąłem łąkę, schodząc łagodnym zboczem, które opadało w stronę jeziora. Deszcz był tak gęsty i ulewny, że grunt pod stopami stał się śliski, a wśród traw wiły się, niczym pasma włosów, strumyczki niosące drobiny wypłukanej ziemi. Od strony brzegu uderzył we mnie potężny podmuch zimnego wiatru, jak gdyby chcąc mnie ostrzec. Boki przyczepy trzeszczały i uginały się pod jego siłą.

Drzwi się zatrzasnęły.

Stałem przed nimi i sięgnąłem do klamki, spoglądając na boczną ścianę przyczepy. Rolety wciąż pozostawały opuszczone. Nie drgnęły nawet na milimetr. W środku też nie było żadnych oznak ruchu: nie słyszałem żadnego skrzypnięcia, nie zauważyłem, by podłoga choć minimalnie się przechylała, gdy kobieta po niej chodziła.

Miałem zapukać? Wedrzeć się do środka?

Pomyślałem o nożu w jej ręce i postanowiłem zachować ostrożność. Otworzyłem drzwi na oścież, aż wskoczyły w blokadę. Deszcz wybijał werble na mojej kurtce, na bocznej ścianie przyczepy, na ziemi. Z oddali dobiegł niski dźwięk, przypominający pomruk ciężarówki, ale zaraz zorientowałem się, że to zupełnie co innego. To była burza.

– Lyndo? – odezwałem się.

Mój głos utonął w szumie deszczu. Podeszedłem bliżej.

– Lyndo? To ja, David Raker.

Niebo przeszła błyskawica.

– Przyjechałem tu, bo podałaś współrzędne.

Po raz pierwszy wyczułem lekki przechył wzdłuż osi przyczepy; coś się delikatnie przesunęło z głębi w kierunku wejścia, jak gdyby Korin odrobinę się przemieściła.

Czekałem, aż pojawi się w drzwiach. Kiedy to nie nastąpiło, ostrożnie wszedłem na stopnie i przekroczyłem próg przyczepy. Skrzypnęła i przechyliła się nieco w moją stronę.

I tak znalazłem się w środku.

Przyczepa miała około sześciu metrów długości. Naprzeciwko siebie zobaczyłem toaletę, a po prawej stronie od wejścia piętrowe łóżko, z którego Korin najwyraźniej przed chwilą wstała. Była na nim zmięta pościel, koc, poduszka. Po lewej stronie znajdowały się szafki i szuflady. W zlewie stały naczynia. Poczulem strumień ciepłego powietrza, które grzejnik pompował wzdłuż tej ściany.

Drugi koniec przyczepy wyglądał zupełnie inaczej.

Stała tam kanapa w kształcie podkowy, ze wszystkich stron otoczona oknami, których jednak nie widziałem. Patrząc na przyczepę z samochodu i potem, gdy szedłem przez łąkę, sądziłem, że okna są zasłonięte roletami. Ale to nie były rolety.

To były arkusze brązowego kartonu.

Przypięto i przyklejono do nich mnóstwo rzeczy: fotografie, rachunki i bilingi telefoniczne, wydruki maili, wycinki z gazet, kolorowe reprodukcje map satelitarnych. Nie mieściły się na kartonach, więc rozlały się na całe ściany, jak rzeka, która wystąpiła z koryta. Wydruki i wycinki Korin przykleiła taśmą nawet na suficie – część z nich zaczęła się odklejać i powiewała w miejscach, gdzie krążyło gorące powietrze. Ujrzałem dwa zegary zawieszane obok siebie, jeden ustawiony na czas Greenwich, drugi na godzinę w Minnesocie, a w innym rogu dostrzegłem strony z książki, umieszczone jedna obok drugiej. Strony wyrwane z książki o historycznych zbrodniach.

To nie Egan je wyrwał.

Zrobiła to Korin.

Zobaczyłem tyle rzeczy naraz, że nie mogłem tego wszystkiego ogarnąć. Niektóre kartki były nietknięte, inne zagryzmołone długopisem; jedne nowe i czyste, inne stare, pożółkłe i uszkodzone. Dokumenty były ułożone regularnie, w równych liniach i kolidście, albo bez żadnego wzoru, kompletnie oderwane od otaczających je rzeczy.

Mój wzrok spoczął na kanapie.

Korin siedziała na środku podkowy, pochylona, z łokciami opartymi na kolanach. Miała w ręce kuchenny nóż. Wygięła nadgarstek w taki sposób, że koniec ostrza był wymierzony we mnie. Nie zdjęła czerwonej kurtki, w której zobaczyłem ją na zewnątrz. Na nieprzemakalnej tkaninie lśniły krople deszczu, ale większość już spłynęła, gromadząc się na siedzeniu kanapy i wsiąkając w tapicerkę, tak że po obu jej stronach powstały ciemne plamy.

Nadal miała na głowie kaptur i trudno było wyraźnie dojrzeć jej twarz, a cienie w kącikach oczu i wokół ust sprawiały wrażenie, że się krzywi. Widziałem jednak niebieskie oczy i linię szczęki, rysy, na których ostatnie dziesięć miesięcy odcisnęło piętno, choć nie zdołało zetrzeć jej niezwyklej urody.

Spojrzała na nóż w swojej ręce, a potem na mnie.

– Znalazłeś mnie.

– W końcu mnie znalazłeś.

Powiedziała to cichym, słabym głosem staruszki i na chwilę czar prysł. Miała sześćdziesiąt dwa lata i ukrywała się prawie przez rok. Spędziła ten czas w przyczepie stojącej w szczerym polu, oklejając papierami i fragmentami starych gazet ściany domu długości sześciu metrów. Wyglądała na wyczerpaną i przerażoną.

Zerknąłem na nóż.

Jeszcze go nie opuściła, jak gdyby nie była gotowa uwierzyć, że to ja, chociaż przed nią stałem.

– Już wszystko dobrze, Lyndo – powiedziałem łagodnym tonem, pokazując otwartą dłoń. – Prosiłaś, żebym cię znalazł, i znalazłem.

Z wahaniem kiwnęła głową raz, potem drugi – i w końcu odłożyła nóż. W tym momencie jej ciało jakby zapadło się w sobie, wycieńczone do cna.

– Przepraszam – wymamrotała. – Bardzo cię przepraszam, że musiałam cię okłamać.

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć. Przez jej kłamstwo omal nie straciłem życia, mimo to nie czułem do niej antypatii. Teraz, kiedy przed nią stałem, wydawało mi się, że to nie ma żadnego znaczenia.

– Wszystko zrozumiałeś – dodała.

Rozejrzałem się po przyczepie.

– Prawie.

Z półśmiechem skinęła głową.

– Najwięcej uwagi wymagają drobiazgi. Na przykład co zrobić, żebyś był przekonany, że dzwonię z Minnesoty. – Wzruszyła ramionami. – Znalazłam aplikację, która pozwala zamaskować numer i zastąpić go innym. Gdybyś pokopał trochę głębiej, zobaczyłbyś, że coś tu nie gra... ale dlaczego miałybyś to robić?

Miała rację. Dlaczego? Przypomniałem sobie nasze rozmowy i numer na ekranie – po prefiksie 001 zobaczyłem 952, numer kierunkowy Lakeville w Minnesocie.

– Wiedziałam, że wszystko się zacznie od rozmowy przez Skype'a albo wszystko się na niej skończy – ciągnęła. – W domu obok jest internet, ale strasznie wolny. Joe, właściciel farmy, pozwala mi z niego korzystać, więc wybrałam dzień, kiedy Joego nie było. Pomyślałam: David będzie chciał jak najszybciej skorzystać ze Skype'a, żeby mnie zobaczyć, wyczuć i ocenić. Wiedziałam, że pomoże mi jakość połączenia. Prawdę mówiąc, miałam nadzieję, że internet w ogóle siądzie i wszystko co trzeba załatwimy przez telefon.

Ale wiedziałam też, że jeżeli uda mi się przeprowadzić rozmowę przez Skype'a i po niej nadal będziesz wierzyć, że jestem Wendy... to mi pomożesz.

– Ale po co? Po co kazałaś mi się znaleźć?

– Właśnie to mówię. Potrzebowałam twojej pomocy.

– W czym?

Popatrzyła na mnie.

– Chodzi o anioła.

– Drewnianego anioła?

– Tak.

– W takim razie przyjechałem na próżno – odparłem. – Myślałem, że go masz. Nie wiem, gdzie jest. Znalazłem tylko jego zdjęcia.

Pokręciła głową.

– Nie, nie rozumiesz.

Wstała i otworzyła górną szafkę. Wyjęła z niej jakiś przedmiot, otaczając go dłońmi.

To była drewniana figurka anioła.

Zmarszczyłem brwi.

– Przecież już go masz.

– Tak. – Podała mi rzeźbę. – Zabrałam go, opuszczając dom.

Posążek wysokości około dwudziestu centymetrów był wykonany bardzo kunsztownie, a oglądając go z bliska, przekonałem się, że mimo upływu sześćdziesięciu lat wciąż jest piękny. Drewno było miejscami odbarwione, rzeźba miała gdzieś odpryski, zwłaszcza na krawędziach, i drobne pęknięcia, ale to na pewno był anioł z fotografii. Uszkodzenia, które teraz zobaczyłem, odpowiadały uszkodzeniom, które dostrzegłem na zdjęciach – prócz tego na szyi anioła widniał nieco wyblakły, narysowany flamastrem krucyfiks.

– Nie rozumiem – powiedziałem, unosząc rzeźbę. – Jak mogę ci pomóc, skoro już go masz?

– Coś w sobie kryje.

Przyjrzałem się figurce.

– To znaczy?

– Odpowiedź na coś.

– Odpowiedź?

Spojrzała w prawo, gdzie na metalowej listwie wisiały zdjęcia. Zobaczyłem fotografie Zellera i Cramera z lat pięćdziesiątych i Hosterlitz z tych samych czasów; zobaczyłem też to samo zdjęcie Életke Kerekes, siedzącej na stopniach przed domem, które Hosterlitz wkomponował w swoje filmy. Były także inne fotografie, wśród nich, jak się domyślałem, Johna Winslowa, drugiego męża Kerekes, a obok tego samego mężczyzny z małym dzieckiem na rękach. Nagle jednak uświadomiłem sobie, że to nie Winslow, ale pierwszy

mąż Kerekes – ten, który porzucił żonę i syna zaledwie dwa lata po tym, jak przyjechali do Ameryki.

A dzieckiem był Martin.

– Nie wiedziałam, że zbierał te rzeczy – oznajmiła, zatrzymując wzrok na zdjęciu Kerekes. – Nie wiedziałam, że ukrył coś w filmach. W ogóle nie miałam o tym pojęcia. Przez dziesięć miesięcy wieszałam na ścianach te wszystkie rzeczy i większość z nich należała do niego. Większość – powtórzyła, tym razem z goryczą osoby, która została oszukana, a przez jej mięśnie jakby przebiegł dreszcz smutku. – Kiedy na początku lipca udzieliłam drugiego wywiadu dla „Cine”, mówiąc o Robercie i wspominając go, okropnie za nim zatęskniłam. Zapraǳnęłam przejrzeć rzeczy, które zachowałam z czasów naszego małżeństwa i do których byłam przywiązana, żeby znowu poczuć bliskość między nami. Dlatego postanowiłam zrobić porządek w domku w ogrodzie... żeby sprawdzić, czy niczego nie przeoczyłam. Było tam mnóstwo rupieci, ale tak na wszelki wypadek chciałam wszystko przejrzeć.

– Twierdzisz, że te wszystkie rzeczy znalazłaś w domku w ogrodzie?

– Nie. Ale to, co tam znalazłam, zaprowadziło mnie do pudeł.

Spojrzałam na nią zdziwiony.

– Do pudeł?

– Wszystko to zostawił w pudłach – wyjaśniła, mając na myśli rzeczy na ścianach. – Była ich cała masa, pomieszanych ze sobą, a w każdym był bałagan. Kiedy znalazłam je w lipcu, po tych wywiadach, te rzeczy nic mi nie mówiły. Ale w sierpniu zaczęło do mnie docierać, na co trafiłam.

Rozejrzałam się po ścianach. Na historię zacierania śladów zbrodni.

– Prawda jest taka, że gdybym w sierpniu zaniósła to na policję, ciągle wiedziałabym za mało. Cały czas to zgłębiałam, próbowałam to uporządkować, zrozumieć. Tutejsza policja powiedziałaaby: „Chodzi o morderstwo popełnione sześćdziesiąt lat temu na drugim końcu świata... Co mamy zrobić w tej sprawie?”, a od policji w Los Angeles usłyszałabym: „Jakie właściwie ma pani dowody przeciwko Saulowi Zellerowi?”. – Umilkła i spojrzała na mnie. – Musiałabym wtedy przyznać: „Nie wiem. Po prostu... nie wiem”.

Stałam jak sparaliżowany i patrzyłam na nią.

– Co nie znaczyło, że nie wiedziałam, do czego to zmierza – ciągnęła. – Spojrzałam na to, co Robert mi po sobie zostawił, i pomyślałam, że to mnie zaprowadzi w jakieś mroczne zakamarki. Że prędzej czy później z tego powodu będę musiała uciec i gdzieś się ukryć. Nie brałam jeszcze pod uwagę zniknięcia, przynajmniej wtedy, ale im dłużej czytałam to, co mi zostawił, w miarę upływu tygodni taka myśl zakiełkowała mi w głowie. Jeździłam na Stoke Point, widywałam tam ciągle tych samych ludzi i zastanawiałam się, co zrobię, jeżeli zniknę, jak w ogóle powinnam to zrobić. Któregoś dnia zadzwoniła Wendy, że ma problemy ze swoim kontem mailowym, więc zaproponowałam, że jej pomogę, w głębi duszy wiedząc, co mną kieruje: chciałam uzyskać dostęp do jej skrzynki. Byłam pewna, że

zgłosi moje zaginięcie, bo tylko ona mi została... a gdyby udało mi się dostać do jej konta, kiedy już zniknę, zobaczyłabym, co pisze do niej policja. Wszystko miałam dobrze przemyślane. – Na jej twarz wypełzł znużony uśmiech. – Pod tym względem nie różniłam się aż tak od Roberta.

Gdy jej ostatnie zdanie wybrzmiało wśród wyklejonych papierami ścian, zapytałam:

– Dlaczego w takim razie nie poszłaś na policję we wrześniu czy październiku?

– Bo zabrakło mi już czasu. W październiku zaczęłam wreszcie mniej więcej orientować się w tej sprawie. Wciąż nie miałam niczego konkretnego na Zellera, nie miałam czym go pokonać, chociaż czułam, że jestem blisko. Pomyślałam: muszę po prostu uzbroić się w cierpliwość. Będę dalej szperać w tych pudłach, dopóki nie znajdę dokładnie tego, co mi potrzebne. Ale wtedy stało się właśnie to, czego się bałam: musiałam uciekać i znaleźć kryjówkę.

– Z powodu internetowego artykułu Marca Collinsky’ego.

– Tak. W pierwszym wywiadzie rozmawiałam z Markiem o Różanym Kręgu, nie mając pojęcia, co to jest... słyszałam, jak Robert wspominał o tym przed śmiercią. Przypuszczałam, że to nic takiego, jakiś scenariusz, pomysł, który dawał mu siły do przeżycia ostatnich lat choroby. Ale kiedy dwudziestego siódmego października ten tekst ukazał się w internecie, już od czterech miesięcy przetrząsałam pudła Roberta i wiedziałam dostatecznie dużo, chociaż nie wszystko. Ale wiedziałam, że Marc, zestawiając w artykule moje nazwisko z Różanym Kręgiem, podpisał na mnie wyrok, więc nie miałam innego wyjścia, jak tylko zniknąć. Wiedziałam też, że jedyną ochroną dla mnie jest ta figurka, którą właśnie trzymasz, bo Robert nazwał tego anioła „odpowiedzią”.

Spojrzałam na anioła.

– Odpowiedzią na co?

– Na wszystko. – Popatrzyła na mnie z uwagą. – Słyszałam w radiu, że szuka cię policja. Przypuszczają, że zabiłeś Glена Cramera. Zabiłeś go, David?

– Nie. Zabił go syn Zellera.

Skinęła głową.

– Myślę, że anioł uwolni cię od podejrzeń. I powstrzyma Saula Zellera. Myślę, że pogrąży Zellera i każe mu zapłacić za to, co zrobił. Tylko nie wiem, w jaki sposób. Właśnie dlatego zwróciłam się do ciebie, żebyś mnie znalazł: bo utknęłam w martwym punkcie. Robert napisał, że anioł jest odpowiedzią, ale nie potrafię zrozumieć, o co mu chodziło. Od dziesięciu miesięcy ślęczę nad tym wszystkim, co zostawił... – pokazała na papiery na ścianach – i większość rozgryzłam, jednak ciągle nie wiem, co miał na myśli.

– Do czego w ogóle potrzebny jest ci ten anioł?

Zmarszczyła czoło.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Masz ściany pełne dowodów.

– To nie są dowody. To historia sprawy. Przedstawiona z punktu widzenia jednego człowieka. Robert zostawił mi to wszystko, żebym wiedziała, co się stało. Ale to niczego nie dowodzi.

Znowu popatrzyłem na drewnianego anioła.

– W jaki sposób ta figurka może nam pomóc? – spytałem.

– Nie wiem – odparła. – Ale ty możesz mi pomóc się dowiedzieć. Wiem, że tak. Chciałam, żebyś poznał tę sprawę, żebyś sam przebrnął przez jej okropności, żebyś zobaczył, jaka straszna krzywda spotkała tę kobietę i tego chłopca... nie tylko ze strony Zellera, ale też Glena Cramera i... – Zamilkła na dłuższą chwilę. – I Roberta.

Zacisnęła dłonie w pięści.

– Zeller musi za to zapłacić – wyrzuciła z siebie. – Bo inaczej wszystko, co wisi na tych ścianach, wszystkie niebezpieczeństwa, na jakie się narażałeś, żeby się tu dostać, na jakie ja się narażałam, kiedy uciekłam i co noc nie mogłam zasnąć, myśląc o tym, że Zeller znajdzie mnie i zabije, zanim dokończę... wszystko to pójdzie na marne.

Siedzieliśmy obok siebie. Zaparzyłem nam herbatę, dając Lyndzie czas, żeby odzyskała równowagę, a ona zsunęła kaptur i związała włosy w koński ogon. Od czasu, gdy zaginęła, pojawiło się w nich więcej siwizny, a jej policzki straciły rumieniec. Prócz tego schudła. Niewiele, ale na tyle, by trochę się postarzyć. Mimo to trudno było przygasić taką urodę. Gdy próbowaliśmy razem wszystko rozważyć i znowu zaczęła mówić, przyłapałem się na tym, że nie mogę przestać patrzeć w jej oczy.

– Kiedy poznałam Roberta, miałam dwadzieścia cztery lata – powiedziała. – On miał pięćdziesiąt jeden, więc różnica wieku była ogromna. Po udarze w siedemdziesiątym czwartym została mu tylko lekka sztywność ręki, ale przez pięć poprzednich lat niszczył sobie wątrobę alkoholem i środkami przeciwbólowymi. Był po prostu alkoholikiem. Przez to wyglądał na swój wiek. Wielu ludzi powtarzało mi: przecież jest prawie o trzydzieści lat starszy od ciebie, co ty wyprawiasz? Rozumiałam, dlaczego tak mówią. Nie był nieatrakcyjny, ale wydawał się zmęczony i smutny. – Przerwała, sięgając do tych wspomnień. – Nie przejmowałam się tym. Spotykałam się z mnóstwem mężczyzn w swoim wieku i z mnóstwem starszych, ale żaden z nich nie był taki jak Robert. Miał w sobie subtelność. Tajemnicę. Zeskrobało się jedną warstwę i kiedy człowiek myślał, że głębiej już nic nie ma, Robert ukazywał się od jeszcze innej strony. Opowiadał o kinie, literaturze i muzyce, nawet o takich sprawach jak polityka i religia, rzeczach, którymi ludzie z akademickim zacięciem potrafią cię zanudzać na przyjęciach, a on umiał je ożywić. Czułam się, jakbym przy nim odkrywała świat.

Wypiła łyk herbaty, przyciskając kolana do piersi.

– Tak, okłamałam cię, żeby cię tu ściągnąć, ale powiedziałam ci też dużo prawdziwych rzeczy. Nie mam zbyt wielu znajomych. Nie lubię się odkrywać przed ludźmi. Bardzo kocham siostrę, ale to konformistka, wszędzie potrafi się dopasować, i zawsze jej zazdrościłam. Skończyła szkołę średnią, studia, znalazła dobrą pracę, założyła rodzinę, wszystko jak należy, i nigdy nie miała żadnych prawdziwych kłopotów. Mnie z kolei spotykały same kłopoty... w każdym razie dopóki nie poznałam Roberta. Kiedy go spotkałam, miałam wrażenie, jakbym spojrzała w lustro: tak jak ja czuł się skrzywdzony, tak jak ja zrobił rzeczy, których żałował, był introwertyczny i pełen wad i nie chciał o sobie mówić. Miał swoje tajemnice.

Natychmiast przypomniałem sobie podobne słowa, jakie powiedziała w wywiadzie dla „Cine”.

– Mniej więcej rok po naszym ślubie jego tajemnice wyszły na jaw... tak mi się przynajmniej wydawało. I myślałam tak jeszcze w lipcu i czerwcu ubiegłego roku, kiedy udzielałam tych wywiadów dla „Cine”. – Po raz pierwszy przez jej twarz przemknął gniew, ale szybko zmienił się w smutek i rozczarowanie. – Któregoś wieczoru, gdy byliśmy w domu, zerknęłam na niego, a on po prostu na mnie patrzył. Kręciliśmy wtedy Piekielną podróż, więc to musiał być siedemdziesiąty dziewiąty rok. Zerknęłam na niego, a on... on się rozkleił.

– Rozpłakał się?

– Tak. Nigdy wcześniej nie widziałam, jak płacze. Podeszłam do niego i spytałam, co się stało, a wtedy powiedział tylko: „Jesteś aniołem”. Powtarzał to w kółko. – Zamilkła i spojrzała mi w oczy, nie dopowiadając reszty: rozpłakał się, bo kiedy na nią popatrzył, zobaczył Életke Kerekes. – W pewnym sensie może nawet dosłownie zobaczył we mnie anioła, jego wcielenie, które daje mu szansę naprawy swoich błędów. Teraz to wiem... wtedy nie wiedziałam. – Odchrząknęła. – Wtedy pomyślałam, że nigdy od nikogo nie usłyszałam piękniejszej rzeczy.

Odtwarzała w myślach tamte słowa i widziałam, że wciąż sprawia jej ból ich podtekst, świadomość, że nie chciał powiedzieć jej prawdy.

– Potem wylał to z siebie. Wszystkie dawne sekrety, które w sobie dusił. Wyznał mi, że zanim pojawiłam się w jego życiu, korzystał z usług prostytutek. Mówił, że kiedy komisja Kongresu wypędziła go z kraju, czuł się samotny. Nie szukał wtedy żadnej partnerki, bo nie chciał nikomu opowiadać o swojej przeszłości. Dlatego przez lata spotykał się tylko z panienkami na telefon... dopóki nie dostał udaru.

Korin znowu umilkła i spojrzała na mnie.

– Lubił patrzeć – powiedziała po chwili.

Wiedziałem już, dokąd zmierzamy: do mojej rozmowy z Veronicą Mae o tym, jak Hosterlitz zachowywał się na planie, jak obserwował żonę z rogu pokoju.

– Mniej więcej po dwóch latach naszego małżeństwa zaczął... – Urwała, jak gdyby czuła wyrzuty sumienia, że głośno o tym mówi. – Zaczął mieć problemy. Ze sprawnością w sypialni. Mówił, że powinnam go zostawić, ale taki pomysł nigdy nawet nie przemknął mi przez głowę. – Znowu zamilkła, tym razem na dłużej. – Wtedy o tym nie myślałam, ale teraz wydaje się to oczywiste. Mówię o powodach, dla których lubił się przyglądać.

– Patrzył na ciebie i widział Életke Kerekes.

– Tak – odrzekła bezbarwnym tonem. – Właśnie tak było.

Odwróciła się nieco ode mnie, siwizna w jej włosach błysnęła jak srebrne nitki.

– No więc, jak mówiłam, wylał to z siebie – ciągnęła. – Powiedział, że wziął w życiu za dużo środków przeciwbólowych, za dużo innych tabletek. Wiedział, że jest alkoholikiem, przyznał to... chociaż przez całe nasze małżeństwo nie wypił ani kropli.

– I pomyślałaś, że to są te jego wielkie tajemnice?

Skinęła głową.

– Myślałam tak aż do zeszłego roku.

Moją uwagę zwróciło jednak zdanie, które wypowiedziała chwilę wcześniej. „Przez całe nasze małżeństwo nie wypił ani kropli”.

– Na pewno nie pił, kiedy byliście razem?

– Nigdy – oświadczyła stanowczo. – Dlaczego pytasz?

– Córka Zellera mówiła mi, że po zakończeniu kariery w ogóle nie trzeźwiał.

– To kłamstwo.

– Glen Cramer powiedział, że w osiemdziesiątym czwartym, tuż po Bożym Narodzeniu, Robert przyleciał do Los Angeles i pijany zjawił się przed jego domem.

– Aha, kiedy wyjechał „szukać plenerów”.

– Zgadza się. Robert powiedział ci wtedy, że leci do Los Angeles?

– Nie. – Popatrzyła na mnie z kamienną miną. Trudno było odgadnąć, co o tym dzisiaj sądzi. – Wziął swoją kamerę Super osiem i powiedział, że jedzie do lasów stanowych poszukać plenerów. Tak się złożyło, że dwa tygodnie wcześniej dowiedział się, że ma raka. Przez cały ten czas wypłakiwałam oczy, a on prawie w ogóle na to nie zareagował. Jakby zobojętniał. Uznałam, że woli być sam.

– No więc dlaczego pojechał do Los Angeles?

– Żeby stanąć twarzą w twarz z duchami przeszłości.

– Z Cramerem i Zellerem?

– Kiedy ktoś dostaje taką wiadomość, jaką usłyszał Robert dwa tygodnie przed naszym wyjazdem do Wendy, zmienia się hierarchia spraw. Lekarz stwierdził, że zostały mu może dwa lata życia, ale on przeżył jeszcze prawie cztery. Wtedy nie wiedział, że ma w zapasie jeszcze dwa lata. Chciał przed śmiercią zmierzyć się z Zellerem i Cramerem.

– Czyli Cramer kłamał?

– O tym, że Robert był pijany?

– Tak.

– Wiele razy okłamywali go i kłamali na jego temat. Wtedy też. Od siedemdziesiątego szóstego roku Robert nie brał do ust alkoholu.

Spojrzałam na ściany przyczepy.

– Gdzie Robert zostawił wszystkie te rzeczy, które znalazłaś w pudłach?

Tym razem się poruszyła. Wstała, rozprostowując zeszytniałe od długiego siedzenia stawy. Podeszła na koniec przyczepy, otworzyła szufladę pod opuszczanym blatem i zaczęła przerzucać jakieś części garderoby. Po kilku sekundach wyjęła coś, wsunęła szufladę z powrotem i wróciła na miejsce. Pokazała mi ten przedmiot.

Puzderko na ślubne obrączki.

– Co to jest?

– Nie dał mi tego pudełeczka. Zobacz, co jest w środku.

Wziąłem od niej puzderko i otworzyłem.

Wewnątrz tkwił srebrny klucz.

– Kupił kiedyś od gminy garaż przy osiedlu mieszkaniowym pod Bath – powiedziała. W tym zdaniu zabrzmiało tyle bólu i goryczy, że zdawało się, jakby uszła stąd cała energia. – Nic o tym nie wiedziałam. To jest klucz do tego garażu. Kiedy go otworzyłam, zobaczyłam dwanaście kartonów wypełnionych papierami, a każde pudło było takie wysokie. – Uniosła dłoń ponad metr nad podłogę. – Wszystko wrzucone bez ładu i składu. Jak mówiłam, to był nieprawdopodobny bałagan. Nic z tego nie rozumiałam.

– Zostawił klucz do garażu w domku w ogrodzie?

– Tak.

Teraz pojąłem. W rogach świeżo pomalowanej na szaro drewnianej ściany domku dostrzegłem wypełnione zagłębienia tam, gdzie przedtem była przymocowana płyta gipsowa. To na niej wisiały narzędzia.

– Klucz był schowany pod płytą gipsową – powiedziałem.

Przypomniałem sobie, co mówiła wcześniej: jak po wywiadzie dla „Cine” zatęskniła za Hosterlitzem. Zaczęła porządkować domek w ogrodzie, przeglądać półki i rupiecie, szukając jego rzeczy, o których mogła zapomnieć.

– Większość rzeczy, które tam znalazłam, wyrzuciłam, bo były bezużyteczne – mówiła dalej Korin. Pierwszy raz zobaczyłem, że jest bliska łez. Wydawała się bezradna, oszukana. – Nie miałam bladego pojęcia o istnieniu tego garażu. Nie było ani śladu w wyciągach bankowych. Przez większość tych czterech lat, które spędziliśmy w Somerset, chorował. Bywały dobre dni, bywały gorsze, jednak nie pamiętam, żebyśmy się rozstawali. Ale widocznie tak było. Musiał znikać popołudniami. I działał, kiedy wychodziłam z domu. – Z trudem przełknęła ślinę, spojrzała na mnie, ale zaraz odwróciła wzrok. – Bo kiedy postanowiłam zerwać tę gipsową płytę, zobaczyłam klucz przyklejony do ściany taśmą izolacyjną, a obok przypięty list.

– Co było w tym liście?

Wskazała na puzderko.

– Podnieś wyściółkę.

Zrobiłem to. Pod wkładką z aksamitu leżała kartka złożona w maleńki kwadracik o bokach około czterech centymetrów.

Wyjąłem ją.

Papier był cienki i delikatny, wydzielał woń starości i lekki zapach perfum.

– Wiesz, co to jest Różany Krąg? – spytała.

Spojrzałem na nią.

– To był budynek w Los Angeles.

– Nie tylko budynek.

– A co jeszcze?

Korin zerknęła na list.

– Tu znajdziesz odpowiedź.

Czas jakby na moment się zatrzymał.

Rozłożyłem list. Gdy uniosłem wzrok, Korin nie patrzyła na mnie – nieruchomym wzrokiem wpatrywała się w kartkę. To był arkusz niezwykle cienkiego papieru, formatu A4, grubości może kalki kreślarskiej. Hosterlitz zapełnił go z obu stron rozchybotanym, trudnym do odczytania pismem. Atrament wyblakł i stał się bladoniebieski, a tu i ówdzie wyciekł z pióra, tworząc kleksy. W samym rogu widniała data: marzec 1988.

Miesiąc jego śmierci.

Moja droga Lyndo!

Wydawało się, że jest tyle czasu, aby to napisać, a jednak czasu nie ma. Kiedy lekarze dali mi dwa lata, pomyślałem: W porządku, przynajmniej mam dwa lata. Gdy te dwa lata upłynęły i czułem się tak samo, a lekarz powiedział: „Ciągle żyjesz, wykorzystaj to najlepiej, jak potrafisz”, zacząłem się zastanawiać, czy gdzieś nie popełniono błędu. Może lekarze się pomylili. Może wcale nie umieram! W głębi duszy wiedziałem oczywiście, że tak nie jest, ale chyba to mnie skłoniło do pewnego lenistwa. Zostawiłem sprawy własnemu biegowi. Powtarzałem sobie, że będzie jeszcze czas, by o wszystkim Ci powiedzieć, i wciąż milczałem. A teraz to. Mam nadzieję, że znajdę w sobie odwagę, żeby wyznać Ci prawdę twarzą w twarz. Ale z drugiej strony, nie zniósłbym myśli, że przez ostatnie dni życia miałbym się z Tobą kłócić. Nie zniósłbym Twojego wzroku, gdybyś patrzyła na mnie jak na zdrajcę, i odszedłbym ze świata, mając w pamięci taki obraz Ciebie. Dlatego na wszelki wypadek piszę ten list. Przypuszczam, że to tchórzostwo, ale ten list ujawni rzeczy, o których powinienem Ci powiedzieć już bardzo dawno temu. Podczas badań w zeszłym tygodniu doktor Rodgers oznajmił, że został mi może miesiąc. A więc zdążę dokończyć list i kiedy mnie pochowasz, będziesz go mogła przeczytać.

Przerwałem.

– Czyli dlatego znalazłaś go dopiero w ubiegłym roku – powiedziałem, choć bardziej do siebie niż do Korin.

Hosterlitz sądził, że ma więcej czasu – trzy tygodnie, miesiąc – ale ostatecznie okazało się, że to było zaledwie kilka dni. Ukrywał list pod płytą gipsową, pracując nad nim, gdy

tylko mógł, i wierząc, że zdąży go skończyć i zostawić w miejscu, gdzie ona bez trudu go znajdzie.

Tymczasem list przeleżał w ukryciu ponad ćwierć wieku.

Klucz, który Ci zostawię, jest do garażu w Bath. Adres będzie na karteczce przy kółku. W garażu znajdziesz dwanaście kartonów. Nie miałem czasu ich uporządkować i nie sądzę, żebym zdążył to jeszcze zrobić. Bardzo Cię przepraszam. Chciałem Ci wszystko jak najbardziej ułatwić, ale myśl, że będę musiał oglądać niektóre z tych rzeczy, była dla mnie zbyt bolesna.

Te pudła powiedzą Ci, kim naprawdę jestem. Powiedzą Ci, że w 1953 roku zrobiłem coś strasznego. Powiedzą Ci, że miałem swój udział w zabójstwie kobiety – chociaż nie taki, jak myślałem, dopóki nie poznałem prawdy. Myślałem, że ją zabiłem. Myślałem, że zginęła z mojej ręki. Okazało się jednak, że nie, i jeśli istnieje niebo albo piekło, mogę liczyć na odpuszczenie choć części moich grzechów. Ta kobieta nazywała się Életke Kerekes, ale wszyscy znali ją jako Elaine.

W dalszej części Hosterlitz opowiedział, co według niego stało się tamtego dnia w hotelu Pingrove, o następstwach zbrodni, o tym, jak zaszczuły go media, tak że musiał wyjechać ze Stanów, o załamaniu swojej kariery. Nie zdawał sobie sprawy, że nie zabił Kerekes, dopóki Cramer nie wspomniał o tym mimochodem w 1966 roku, kiedy Hosterlitz kręcił w Ameryce Ducha Wielkich Równin. Pamiętałem, że Cramer mówił to samo – omal nie zdradził Hosterlitzowi prawdy, ale w ostatniej chwili się przestraszył.

Glen powiedział mi, że Zeller mnie okłamał i że on, Glen, zawiózł moją figurkę – anioła, którego Elaine wyrzeźbiła i mi podarowała – do budynku przy Pierre Street w Van Nuys, nazywanego Różanym Kręgiem. Nie odezwałem się na to ani słowem. Nie byłem wtedy w najlepszym stanie. Poza planem filmowym prawie w ogóle nie trzeźwiałem. Kiedy kręciłem Ducha Wielkich Równin, brałem speed, żeby zachować sprawność umysłu, ale potem czułem się okropnie. Jak tylko amfa przestawała działać, byłem wrakiem. Gdy jednak Glen zaczął mnie zapewniać, że to tylko żart, coś się we mnie ocknęło. Spojrzałem na niego, otrząsnąłem się z otumanienia i pomyślałem: To wcale nie żart, on tylko mówi, że żartuje. Zainteresowałem się tym budynkiem w Van Nuys i dowiedziałem się, że Różany Krąg należy do UOD.

Spojrzałem na Korin.

– Co oznacza UOD?

– Kalifornijski Urząd Opieki nad Dziećmi.

Poczułem, jak coś mi tężeje w żołądku.

– Różany Krąg to był sierociniec?

– Tak. Przed budynkiem stała fontanna z granitu i marmuru, otoczona klombem, na którym rosły róże. Stąd wzięła się nazwa.

– Ale dlaczego Cramer zawiózł tam anioła?

– Bo czuł się winny – odrzekła.

Nagle prawda zwała się na mnie jak potężna fala.

Popatrzyłem na fotografię, którą widziałem wcześniej, przedstawiającą pierwszego męża Kerekes z małym Martinem, a potem przypomniałem sobie słowa Cramera, na które wtedy nie zwróciłem szczególnej uwagi: „Nie chciała, żeby troglodyci z «National People» oblegali jej dom, przed którym może kiedyś będzie bawić się dziecko”. Przypuszczałem, że ma na myśli nieokreśloną przyszłość, gdy Kerekes będzie miała drugie dziecko z kimś innym.

On jednak wcale nie o tym mówił.

Nie odrywałem oczu od zdjęcia małego Martina w ramionach pierwszego męża Kerekes – tyle że nie miałem już cienia wątpliwości, że to nie jest jej pierwszy mąż, a dzieckiem nie jest Martin.

Na fotografii był John Winslow.

Dziecko było jego i Kerekes.

– „Nie wiesz, kim jesteś” – powiedziałem cicho.

Oderwałem wzrok od zdjęcia, by spojrzeć na Korin.

Kiwała głową.

– Naprawdę nazywam się Viktoria Winslow. – Jej oczy powoli wypełniały się łzami. – Életke Kerekes była moją matką.

Wszystko zaczęło układać się w całość.

Dlatego Cramer wydawał się taki zdezorientowany, gdy w budynku basenu pokazałem mu fotografię anioła. W ciągu tych dwóch dni, odkąd u niego w domu spytałem go o tę figurkę, zapewne odtworzył wszystko w pamięci, zastanawiając się, jak anioł trafił z sierocińca do Lyndy Korin, i w końcu rozwiązał zagadkę: Korin to Viktoria Winslow. Stąd płynął wniosek, że Zeller i Egan też się domyślili, kim naprawdę jest Korin.

W chwili gdy na strychu jej domu trafili na zdjęcia anioła, wiedzieli już, że Cramer kłamał w 1953 roku, twierdząc, że zniszczył figurkę. Wtedy skojarzyli inne fakty, tak samo jak Cramer: zwrócili uwagę na różnicę wieku między Korin a Hosterlitzem, na podobieństwo Korin do Kerekes, na to, że anioł znalazł się w posiadaniu Korin, a Hosterlitz – którego wcześniej nigdy nie interesowały związki z kobietami – ożenił się z nią po półrocznej znajomości. Egan zobaczył w albumie fotografię anioła z odręcznie napisanymi słowami Hosterlitz – skierowaną do Korin prośbą o wybaczenie. Może pochodziły sprzed wielu lat i Korin nie miała pojęcia o ich istnieniu, a może napisał je w ostatnich dniach życia, ale tak czy owak, potwierdzało to ich najgorsze obawy: Korin była Viktorią Winslow, Hosterlitz wyznał jej wszystko, więc wiedziała, co oni trzej zrobili.

To wyjaśniało, dlaczego ciągle fotografował Korin, aż jej zdjęcia przestały się mieścić w albumie, dlaczego traktował z takim pietyzmem sceny, w których występowała sama. Wyjaśniało również zagadkę finałowej sekwencji. Zakrwawiona Korin symbolizowała zbrodnię, która odebrała jej rodzinę. Głos z offu mówił jej prawdę, której Hosterlitz nie potrafił powiedzieć jej twarzą w twarz. Film w telewizorze pokazywał drogę prowadzącą do sierocińca, do życia, którego nie pamiętała. To wszystko było żniwo zebrane przez tych samych ludzi.

– Cramer chciał, żeby anioł trafił do ciebie – powiedziałem.

Kiwnęła głową.

– W poczuciu winy czasem popełnia się głupstwa. Tego anioła wyrzeźbiła dla Roberta moja biologiczna matka. Robert musiał go oddać Cramerowi, który miał się go pozbyć, a Cramer dowiedział się, dokąd mnie zabrano, i zwrócił go mnie, bo nie mógł znieść wyrzutów sumienia. Miałam wtedy rok, więc zupełnie nic nie pamiętam. Może zostawił figurkę przed wejściem, z jakimś listem, albo włożył ją do pudełka po butach. Przecież w tamtych czasach Glen Cramer nie mógłby niezauważony przez nikogo wejść do jakiegoś budynku. W każdym razie bez względu na to, jak mi go przekazał, ten anioł jest ze mną

przez całe moje życie. Po prostu nigdy nie zdawałam sobie sprawy, jaki naprawdę ma ze mną związek, dopóki nie przeczytałam listu Roberta.

Kiedy o tym myślałam, coś jeszcze mnie zastanowiło. Jak doszło do tego, że Hosterlitz ożenił się z córką Kerekes? Prawdopodobieństwo, że się spotkają, było niewiarygodnie małe, wręcz niemożliwe do obliczenia. Zanim jednak zdążyłem o to spytać, Korin spojrzała na mnie i cicho powiedziała:

– Tak naprawdę Robert nie był impotentem.

Poznała prawdę, dopiero gdy przeczytała jego list: nie był impotentem, tylko myśl, że mógłby z nią uprawiać seks, budziła w nim odrazę. Dla niego Korin była – i zawsze miała być – córką pierwszej, może jedynej kobiety, którą w życiu kochał. Córką kobiety, którą uderzył tak mocno, że straciła przytomność. Ale ukradkowe obserwowanie Korin na planie filmowym było czym innym. Nie chciał jej już dotykać, kiedy jednak przyglądał się jej z rogu, było to naturalne przedłużenie tego, co zawsze robił za pomocą kamery. Kochał w niej urodę, osobowość, wszystkie cechy, które tak bardzo przypominały mu jej matkę i dawały nadzieję, że oto zyskał drugą szansę. Seks z Korin byłby ohydny przekroczeniem pewnej granicy.

– Nic nie wiedziałaś o swojej przeszłości? – zapytałem.

Pokręciła głową.

– Mój ojciec, przybrany ojciec, pracował w zakładach General Motors w Van Nuys. Adoptowali mnie, gdy miałam półtora roku. Potem tacie zaproponowano pracę w Minnesocie. Pamiętam, że wprowadziliśmy się do domu w Lakeville, gdy miałam trzy lata. To moje pierwsze wyraźne wspomnienie z dzieciństwa. No i pamiętam śnieg. Mnóstwo śniegu. – Kąciki jej ust drgnęły w uśmiechu, który zaraz zniknął. – Nie wiedziałam, że jestem adoptowana, bo nigdy mi o tym nie powiedzieli. Nie wiem, czy bali się powiedzieć, czy też odwlekali to tak długo, że po jakimś czasie nie mogli już wyjawić mi prawdy... chyba sądzili, że nie mogą począć dziecka, dopóki nie urodziła się Wendy. Wiem, że łatwo teraz tak mówić, ale zawsze czułam się inna. Naprawdę wszystkich ich kochałam, jednak ciągle miałam wrażenie, że do nich nie pasuję.

Umilkła, a ja wróciłem do listu. Hosterlitz wyjaśniał to, jak w końcu pojął, co Cramer miał na myśli, „żartując”, że Zeller go okłamał.

Krótko po tym „żarcie” Glena dowiedziałem się, czym jest Różany Krąg – to był sierociniec w Van Nuys. W 1953 roku, po śmierci Elaine, myślałem tylko o Martinie i o Tobie. Wiedziałem, że zajęły się Tobą odpowiednie instytucje. Bez przerwy dręczyły mnie pytania: Gdzie jesteś? Czy nic Ci się nie stało? Trafiłaś do szczęśliwego domu? Nie mogłem się wtedy o to rozpytywać, bo wzbudziłbym za dużo podejrzeń. To by mnie pograżyło. W 1966 roku – nie twierdzę, że już się nie przejmowałem, czy ściągnę na siebie podejrzania, bo bałem się tego, nie chciałem iść do więzienia – musiałem jednak poznać prawdę. Musiałem się dowiedzieć, co stało się z Tobą po śmierci Twojej matki,

musiałem też się dowiedzieć, co z Martinem. W chwilach trzeźwości, których, co przyznaję ze wstydem, miałem wtedy niewiele, Wy dwoje byliście dla mnie wszystkim. Dlatego zrobiłem dwie rzeczy.

Po pierwsze, pojechałem do San Quentin, żeby zobaczyć się z Martinem. Nie spotkał mnie tamtego wieczoru w Pingrove, więc nie podejrzewał, że byłem w to zamieszany. Podejrzewał tylko Saula i Glena. Pokonałem tyle kilometrów, żeby powiedzieć Martinowi prawdę... ale koniec końców nie zdobyłem się na to. Bardzo różnił się od chłopca, którego znałem w 1953 roku, był taki barczysty, nieczuły i zgorzkniały. Rozumiałem dlaczego: wtedy już od dwunastu lat siedział w więzieniu. Był niewinny. Siedział w celi śmierci, zastanawiając się, czy wyślą go do komory gazowej w tym miesiącu, w tym tygodniu. Oczywiście, że coś takiego może wycisnąć z człowieka życie. Oczywiście, że go zmienia. Teraz to wiem. Ale pojechałem tam, by porozmawiać z chłopcem, którego znałem... a on już nie istniał. I kiedy go zobaczyłem... przykro mi to mówić, ale było w nim za mało tego dawnego, znanego mi Martina, żebym mógł powiedzieć mu prawdę.

Po drugie, zacząłem szukać Ciebie. Wtedy adopcje nie wyglądały tak jak dzisiaj, nie dbano o wszystko z taką starannością, więc wielu rzeczy nie odnotowywano w papierach, ale łatwiej było zdobyć informacje – jeżeli istniały. Zapłaciłem setki dolarów łapówek. Wszystkie zarobione pieniądze przeznaczałem na to, żeby Cię odnaleźć.

– Tropił mnie, zbierając okruszek po okruszku – powiedziała Korin – ale trwało to wiele lat.

Spojrzałem na nią.

Jej twarz wykrzywił grymas, na policzki wystąpił lekki rumieniec, a wzrok jednoznacznie wyrażał to, co czuła.

– Kiedy w sześćdziesiątym siódmym Duch Wielkich Równin okazał się klapą finansową, Robert znalazł się na równi pochyłej. Potem pogorszyło się zdrowie jego mamy i musiał wrócić do telewizji, której nie znosił. W sześćdziesiątym dziewiątym jego matka umarła. Robert był w depresji, uzależniony, w strasznym stanie. Ale mimo tego wszystkiego, jak pisze w liście, krok po kroku próbował odkryć, co się ze mną stało. Wyrządził tyle zła. Zrobił straszną rzecz i czasem nie jestem pewna, czy potrafię mu to wybaczyć. Jednak był chyba dobrym człowiekiem.

– Przyłożył rękę do zabicia twojej matki.

– Matki, której nigdy nie znałam.

– W takim razie niewinnej kobiety.

– Wiem.

– Milczał, chociaż wiedział, że twój brat jest niewinny.

Wzruszyła ramionami.

– Wiem, co zrobił. Dlatego mówię, że nie jestem pewna, czy potrafię mu wybaczyć. Ale wiem też, kim dla mnie był przez dziesięć lat, i nic tego nie zmieni. Kochałam go. Nie spotkałam w życiu lepszej, łagodniejszej i bardziej interesującej osoby niż on.

Dałam jej chwilę, po czym wróciłam do sedna.

– A więc kiedy Robert wreszcie cię odnalazł?

Jej wzrok powędrował ku ścianom i zatrzymał się na pożółkłej kartce zawieszanej po prawej stronie, wysoko nade mną. Odwróciłam się, by na nią spojrzeć. Wyglądało to jak coś w rodzaju osi czasu i było napisane na maszynie z zepsutą czcionką E, więc ilekroć Hosterlitz używał słowa z tą literą, zamiast niej widniało puste miejsce.

– Według tego zapisu to było tuż przed jego udarem w siedemdziesiątym czwartym – odrzekła Korin. – Wtedy od czterech lat był już w Anglii. Między kręceniem horrorów, piciem, łykaniem tabletek i nie wiem czym jeszcze, ciągle wracał do swoich badań. Tak nazywał te poszukiwania: badaniami. Wszystkie informacje, które zebrał przez lata. Według tej osi czasu ustalił, że byłam w sierocińcu Różany Krąg, po sześćdziesiątym szóstym roku, a potem zdążył jeszcze nakręcić Pierre Street swoją starą kamerą Super osiem, zanim skończyła mu się praca w telewizji i w siedemdziesiątym roku musiał wyjechać ze Stanów. Zrobił ten materiał, żeby mu przypominał, jak wyglądała ulica i budynek. Mówił, że po przyjeździe do Anglii często odtwarzał sobie to wideo, żeby nie stracić motywacji. To miała być tylko dokumentacja, ale ostatecznie wykorzystał ten zapis ulicy i budynku w swoich filmach.

– Czyli w siedemdziesiątym czwartym roku wiedział już wszystko... I co potem się stało?

– Znalazł mnie dwa lata później, gdy doszedł do siebie po udarze. Pracowałam jako modelka w Paryżu. W siedemdziesiątym szóstym zadzwonił do mnie Isaac Murray, producent filmów o Ursuli, z pytaniem, czy chcę zagrać główną rolę w filmie. Zupełnie mnie zaskoczył. Miałam bardzo skromne doświadczenia aktorskie. Powiedziałam mu o tym, a on uspokoił mnie, że to nic nie szkodzi, bo mam „naturalną charyzmę”. – Uśmiechnęła się. – Zawsze sądziłam, że swoją karierę filmową, jeśli można to tak nazwać, zawdzięczam Isaacowi Murrayowi. Okazało się jednak, że to Robert zaproponował moje nazwisko, kiedy zgodził się kręcić Ursulę.

– Szukał okazji, żeby cię poznać.

– Tak, chciał mnie tylko raz zobaczyć.

– Co zamierzał zrobić potem?

– Miał zamiar w końcu przyznać się do winy.

– Komu?

– Policjantowi. Rayowi Callsonowi.

00:28:02

– Zaczął pan wierzyć, że Martin Nemeth jest niewinny?

Ray Callson głośno wciąga powietrze do płuc.

– Powiedzmy, że listy, które pisał co miesiąc, dały mi do myślenia. Zacząłem się zastanawiać, czy czegoś nie przegapiłem. Rzecz w tym, że gdybym poszedł do kapitana i powiedział: „Przypuszczam, że coś tu się pochrzaniło”, na następne dziesięć lat odstawiono by mnie na boczny tor. Po czymś takim człowiek nie dostanie żadnej ciekawej sprawy, bo wszyscy pamiętają, że to ten, co wznowił śledztwo w sprawie, która została wyjaśniona, przyklepana, osądzona i wszyscy byli zadowoleni. Jeśli wznowia się takie śledztwo, to stawia w złym świetle gliniarzy, prokuraturę, system sprawiedliwości i tak dalej. Ale owszem, kiedy przychodził list od tego chłopaka, czasem wyciągałem akta, przeglądałem, a gdy już odłożyłem je na miejsce, myślałem ciągle o tym samym: o Zellerze i Cramerze, o tym, dlaczego chłopak tak się upierał, że byli w to zamieszani... a także o whisky i prochach.

– O whisky i prochach?

– Jestem abstynentem, wie pan? Od zawsze. Jako dzieciak byłem na wojnie i mnóstwo razy zdrowo się urząłem, ale kiedy wróciłem, po prostu zerwałem z pićciem i tak już zostało. W każdym razie wtedy nie znałem się na alkoholach. Do dzisiaj nie za bardzo się znam, jednak człowiek uczy się z wiekiem. Tak czy owak, pusta butelka na podłodze w pokoju osiemset pięć była po whisky Carraig. Słyszał pan o niej?

– Nie.

– Szkocka, single malt, droga. Dzisiaj sto dolców za sztukę, wtedy, w przeliczeniu, podobnie. Pewnie pan rozumie, do czego zmierzam. Jakim cudem dzieciak, który pracuje w kuchni jakiejś zapyziałej knajpy, może sobie pozwolić na taki trunek?

– Może ją ukraść.

– Tak, może ukraść.

Widać jednak, że Callson w to nie wierzy.

– Jeżeli chodzi o tabletki nasenne, w tamtych czasach niewielu ludzi łączyło prochy tak, jak tamtej nocy zrobił to Martin Nemeth. W każdym razie niewielu robiło to tak świadomie. Chodzi mi o to, że pierwszy lepszy gość, ktoś, kto zawodowo nie zajmował się medycyną, nie miał pojęcia, że jeden środek neutralizuje działanie drugiego. Nie widzieliśmy takich sztuczek, kiedy prowadziliśmy różne narkotykowe sprawy. – Wzrusza ramionami. – Może więc chłopak wyprzedził swoją epokę, prawda? Może tylko tak dałoby się to wyjaśnić. Próbowaliśmy dotrzeć do informacji o lekarstwach, jakie przepisywano Életke Kerekes, żeby sprawdzić, czy to były jej tabletki, ale w ewidencji recept panował wtedy straszny bałagan. Nie było komputerów i wszystko zapisywano na papierze, a z papierami jest taki problem, że

jeżeli ktoś nie przepada za porządkiem, szybko znikają. Poza tym lekarze w tamtych czasach przepisywali tabletki na prawo i lewo, każdemu, kto miał na nie ochotę. Jedna recepta wypisana dla jednej kobiety to byłoby jak szukanie igły w stodole zawałonej stogami siana.

– Pana zdaniem tabletki nie należały do Kerekes?

Callson pociąga nosem i spogląda za okno.

– Wtedy kupiłem to w ciemno – mówi cicho. W jego głosie słychać nutę żalu. – Na chłopaka wskazywały wszystkie dowody. Tabletki należały do niej, bo nie znaleźliśmy niczego, co by temu zaprzeczało. Chłopak miał ręce podrapane jej paznokciami, wszędzie na sobie miał jej krew, w palcach jej włosy... to były argumenty nie do odparcia. Dzisiaj wszystko daje się kryminalistynom, ci przepuszczają to przez swoje komputery, potem dzwoni technik i mówi: „To wszystko brednie”. Ale wtedy, w latach pięćdziesiątych, to były fantazje prosto z filmu science fiction.

– A amfetamina?

– Chłopak stanowczo twierdził, że nic takiego nie brał.

– Przecież znaleziono jej ślady w jego organizmie.

– To mogły być tabletki benzedryny. Nazywaliśmy je czasem „bennies”. Dawali je nam na wojnie, żebyśmy nie zasypiali. W tamtych czasach amfetaminę można było znaleźć w lekarstwach na zapalenie zatok, w środkach na odchudzanie i na całą masę innych dolegliwości. Wszystko kupowało się bez recepty. Nie twierdzę, że nie mógł połączyć fury takich prochów, świetnie zdając sobie sprawę, że to mu da kopa, ale równie dobrze mógł je brać, bo miał na przykład problemy z zatokami. Człowiek otwierał gazetę czy magazyn i trach... reklama siarczanu benzedryny czy fosforanu czegoś tam. Wszyscy to brali. Czyli jeżeli kupił takie tabletki, mógł to zrobić zupełnie legalnie. – Callson przeciąga dłonią po swoich rzednących włosach, w świetle lampy połyskuje skóra głowy. – No więc, jak mówiłem, przez kilka pierwszych lat jego listy lądowały w koszu. Potem jednak, siedem czy osiem lat później, coś mnie skłoniło, żeby zajrzeć do jednego. I odtąd czytałem wszystkie.

– Co stało się potem?

– W siedemdziesiątym szóstym odbieram telefon. Nie zapomniałem wtedy o Martinie ani o jego sprawie, zwłaszcza że wciąż przysyłał mi listy, ale od zabicia jego matki minęło już sporo czasu. – Callson przełyka ślinę i pociera dłonie. Rozlega się odgłos, jakby ktoś przejechał papierem ściernym po drewnie. – Chyba po prostu rzadziej myślałem o tej sprawie. Ciągle coś mi w niej nie dawało spokoju, ale tylko wtedy, gdy przychodził następny list albo otwierałem akta, co robiłem już nie tak często.

– Kto do pana zadzwonił?

– Ktoś przełącza rozmowę i mówi mi, że facet nie chce się przedstawić, ale wymienił moje nazwisko i poprosił mnie do telefonu. No więc podnoszę słuchawkę i facet pyta: „Detektyw Callson?”, ja na to, że tak. A on mówi: „Chciałbym z panem porozmawiać o morderstwie Életke Kerekes i niesłusznym skazaniu Martina Nemetha”.

Na moment zapada cisza.

– Miałem wówczas już po pięćdziesiątce. A gliniarzem byłem ponad dwadzieścia pięć lat. Myślałem o tym, żeby odejść. Lata siedemdziesiąte to były parszywe czasy w policji Los Angeles. Rasizm, korupcja i różne inne historie. W każdym razie miałem wtedy dosyć tej roboty i chciałem rzucić ją w diabły, ale gdy podniosłem słuchawkę, poczułem, jakby znowu zaczęła we mnie krążyć krew.

– Ożywił się pan?

– Tak, na jakieś trzydzieści sekund.

– Tylko na trzydzieści sekund?

– Przez tego faceta – mówi i milknie.

– Powiedział, kim jest?

– Nie. Nie na początku.

– Spotkał się pan z nim?

– Nie. Oznajmił, że dzwoni „z zagranicy”. To było połączenie międzynarodowe, więc jakość była okropna. Ale facet mówił jak... – Callson odwraca wzrok. Wygląda na skrzepowanego. – Myślę, że był trochę szurnięty.

– Niespełna rozumu?

– Aha. Mówił tak szybko, że prawie w ogóle go nie rozumiałem, a kiedy poprosiłem, żeby trochę zwolnił, zdałem sobie sprawę, że jest zalany.

– Był pijany?

– W sztok. Powiedziałem do niego: „Zaraz, chwileczkę. Zaczniemy od początku. Jak się pan nazywa?”, a on na to: „Nieważne, jak się nazywam, niech pan mnie tylko wysłucha”, i zaczął mówić, że za śmierć Életke Kerekes odpowiadają Glen Cramer i Saul Zeller i zamieszany w to był jeszcze jeden człowiek, którego nazwiska nie wymienił, i że wszyscy trzej wrobili w to zabójstwo chłopaka, żeby zatrzeć ślady swojej winy.

Callson milknie.

– Odpowiedziałem, zresztą zgodnie z prawdą – podejmuje po chwili. – „Szalenie mnie interesuje to, co ma pan do powiedzenia, ale zanim przejdziemy do szczegółów, muszę poznać pana nazwisko”. „Niech pan to zbada! Niech pan to zbada!”, zaczął wrzeszczeć do słuchawki jak jakiś cholerny wariat. Ja znowu: „Niech się pan uspokoi i poda mi swoje nazwisko. Naprawdę chcę pana wysłuchać. Słowo daję”. Ale on znowu mnie zakrzyczał: „Zeller będzie panu próbował wmówić, że to zrobił ktoś inny, ale to on, to on. Wiem, że to on. Zeller zabił Életke Kerekes, tak samo jak Cramer, tak samo jak...”. Urwał, zanim zdążył podać trzecie nazwisko. Potem mnie ostrzegł: „Jeżeli nic pan z tym nie zrobi, opowiem to gazetom”. Wtedy zrozumiałem, że to bluff. Nie miał zamiaru opowiadać tego gazetom ani nikomu innemu, bo właśnie się zdradził. Zdradził się dokładnie w chwili, kiedy ugryzł się w język, by nie wyjawić, kim jest ten trzeci. No więc odczekałem trochę, żeby potrzymać go w niepewności, i zapytałem: „To pan był tym trzecim?”.

– Co odpowiedział?

– Że nie.

– Uwierzył mu pan?

– Nie wiem, w co wtedy wierzyłem. Proszę pamiętać, że facet mówił jak szajbus. Dzwonili do nas bez przerwy wszelkiej maści postrzeleńcy, ćpuni i nawiedzeni maniacy.. przyznawali się do różnych rzeczy czy próbowali wrabiać ludzi, których nienawidzili, w jakieś przestępstwa. Poświęcałem większość czasu na odsiewanie takich telefonów od prawdziwych zgłoszeń. Ale ta sprawa była bardzo stara... Dlaczego ktoś miałby dzwonić dwadzieścia lat później, tylko po to, żeby mi wciskać kit? – Callson spogląda na okna, które po zapadnięciu zmierzchu są całkiem ciemne. – Nie widziałem w tym ani odrobiny sensu.

– I co potem powiedział?

– Nic. Odłożył słuchawkę. Stchórzył.

– Stchórzył?

– Wydaje mi się, że zadzwonił, żeby się przyznać. Słyszałem to w jego głosie. Ale zabrakło mu odwagi. Nie potrafił się do tego zmusić.

– Pojechał pan spotkać się jeszcze raz z Zellerem i Cramerem?

– Tak.

– I jak to się skończyło?

– Tak samo jak za pierwszym razem. Nie wspomniałem im o tym telefonie, bo nie mogłem go potwierdzić. Powiedziałem im tylko, że przeglądałem stare akta i natknąłem się na sprawę morderstwa Kerekes. W siedemdziesiątym szóstym odpowiadali na wszystkie pytania tak samo chętnie jak w pięćdziesiątym trzecim, ale jakie miałem szanse, żeby po dwudziestu latach znaleźć coś, co by wskazywało na ich związek z zabójstwem?

– Żadne.

– Otóż to. Zerowe.

– W końcu jednak dowiedział się pan, że wtedy dzwonił Robert Hosterlitz, tak? I dowiedział się pan, że mówił prawdę?

– Tak.

– Skąd pan wie, że to był Hosterlitz?

Callson, który wcześniej patrzył prosto w obiektyw, przenosi wzrok w lewo od miejsca, gdzie na statywie stoi kamera.

Patrzy na osobę, która zadaje mu pytania.

– Bo dwa dni temu pojawił się przed moimi drzwiami.

Deszcz w końcu ustał.

Znowu opuściłem wzrok na list – na parę ostatnich akapitów. Pismo stało się jeszcze bardziej nieczytelne, litery mocniej pochylone, stawiane w większym pośpiechu.

Chciałem Cię spotkać tylko raz, zobaczyć Cię jako dorosłą kobietę, przekonać się na własne oczy, że rozkwitasz, a potem zamierzałem się przyznać i ponieść karę, na jaką zasłużyłem. Jednak w połowie rozmowy z Callsonem doznałem objawienia. Kiedy do niego zadzwoniłem, byłem pijany – ostatni raz w życiu – ale nie do tego stopnia, żeby nie zrozumieć, jaką okazję daje mi los. Rozmawiając z Callsonem, pomyślałem, że to nie musi być koniec. Mogę wszystko wynagrodzić Viktorii – czy Lyndzie, bo tak miałaś już na imię. Jeżeli zamiast oddawać się w ręce policji, nakręcę z nią ten film, będę mógł codziennie z nią pracować.

Znowu jednak okazałem się słaby – jak zawsze. Przypuszczam, że w jakimś sensie ten rak jest moją karą. Umieram w ten sposób za karę. Nigdy nie marzyłem, że mogłabyś się mną zainteresować. Chciałem tylko mieć okazję, aby Cię spotkać i spędzić z Tobą jakiś czas – posłuchać, jak mówisz. W zupełności wystarczyłoby mi patrzeć na Ciebie, oglądać Cię. Ale dostałem więcej, znacznie więcej, i to było wspaniałe. Mimo to przez cały czas nie mogłem przestać myśleć o tajemnicy, którą ukrywałem przed Tobą, o tym, że wciąż nie przyznałem się do winy. Z jednej strony, nawet wtedy chciałem się przyznać, bo wiedziałem, że tak należy, że to moralne; z drugiej, nie mogłem tego zrobić, bo nie chciałem Cię skrzywdzić i nie chciałem, żeby skończyło się to, co było między nami. Nasze życie, nasze małżeństwo. Dlatego ukrywałem wiadomości w filmach. Nie wiedziałem, co począć, uwięziony między młotem a kowadłem. Może sądziłem, że poznasz prawdę przez osmozę – oglądając te filmy, będziesz zadawać coraz więcej pytań i zrozumiesz, co chcę w nich przekazać. Ale im lepiej ukrywałem te znaki, tym mniej prawdopodobne wydawało się, że je odnajdziesz, i to też mnie cieszyło. Próbowałem Ci powiedzieć i próbowałem nie powiedzieć; chciałem tego i nie chciałem – taka bitwa toczyła się we mnie przez dziesięć lat.

Nie zastanawiałaś się, dlaczego zawsze filmowałem Twoje oczy w zbliżeniu? Dlaczego pokazywałem je jak okna, przez które ogląda się resztę sceny? Odbijały się w nich sylwetki i cienie, jak gdybyś odtwarzała w głowie wspomnienia życia, którego

nigdy nie znałaś. Nie zastanawiałaś się, dlaczego bez końca powtarzałem tę samą sekwencję wydarzeń? Może i tak, ale nigdy o to nie spytałaś. Czasem naprawdę czekałem, abyś wreszcie poruszyła ten temat. Raz, kiedy poprosiłem Cię o książkę na urodziny, tę o dawnych zbrodniach, sam podałem Ci ją, mówiąc: „Ta sprawa wydaje mi się szczególnie interesująca”, i pokazałem palcem rozdział o zabójstwie Anioła Venice. Zrobiłem to ostentacyjnie, jak gdybym chciał, żebyś mnie przyłapała, żebyś spytała w końcu: „Dlaczego ta sprawa tak cię interesuje?”. Ale kiedy nie przeczytałaś tego rozdziału, poczułem ogromną ulgę. Całe moje życie z Tobą było nieskończenie cudowną przygodą i cichą udręką jednocześnie.

Dużo myślałem też o Zellerze i Cramerze. Musieli wiedzieć, że nie zapomniałem. Chciałem, żeby zobaczyli Pierre Street w moich filmach. Na pewno nie mieli wtedy pojęcia, że jesteś Viktorią – ja sam zorientowałem się dopiero po długim czasie – ale zauważyliby Twoje podobieństwo do Életke. Zrozumieliby wiadomość, którą do nich wysyłałem. Smutna prawda była jednak taka, że nikt tych filmów nie oglądał. Wysyłałem wiadomość donikąd.

List, niedokończony, urywał się zaraz potem.

Nie mam oryginalnych taśm żadnego z filmów, które nakręciliśmy w Hiszpanii. Może przepadły na zawsze. Ale wszystko, co mam, jest w garażu. Pamiętasz moją starą kamerę Super 8? Też ją tam znajdziesz. Jest tam coś jeszcze. Kupiłem to, gdy pojechałem do Los Angeles zobaczyć się z Zellerem i Cramerem. Kiedy tylko wejdiesz do garażu, na pewno od razu to zauważysz. Przykleiłem do tego instrukcje. Będzie Ci także potrzebny Twój drewniany anioł. Zajrzyj do moich notatek, a zobaczysz dlaczego. Ten anioł jest odpowiedzią na wszystko. Miałem nadzieję, że zdążę to zrobić sam, ale niestety, chyba nie zdążę.

To były ostatnie słowa listu. Nie podpisał się, ponieważ przypuszczał, że jeszcze do niego wróci.

Kilka dni później umarł.

Spojrzałem na Korin.

– Co to za rzecz, o której pisze... którą kupił i przykleił do niej instrukcje?

Korin przyglądała mi się przez chwilę.

– Zastanawiałaś się kiedyś, po co wyryłam ten obrazek w drzewie na Stoke Point, zanim zniknęłam? Po co schowałam klucz z tyłu zdjęcia, a szkatułkę w skrzynce z licznikiem? Zastanawiałaś się nad nagraniem z monitoringu? Kodem na karteczce? Wiedziałaś, po co to wszystko zostawiłam?

– Chciałaś, żebym cię znalazł.

– Tak – potwierdziła. – Ale to nie takie proste.

– O czym ty mówisz?

– Czytałam o tobie przez parę dobrych miesięcy. Przekonałam się, jakim jesteś człowiekiem. Jakie sprawy wyjaśniłeś i jakim ludziom pomogłeś. Wiedziałam, że nie dasz za wygraną, kiedy zorientujesz się, o co tu chodzi, bo taki już jesteś. Zależy ci. Wiesz, co jest słuszne. Jednak zanim cię poprosiłam, byś mnie odnalazł, musiałam się przygotować do tego, żebyś zaczął mnie szukać. Dojście do tego etapu zabrało mi dziesięć miesięcy, bo Robert zostawił instrukcje. Ale były bardzo trudne. Bo to wszystko jest bardzo trudne.

– O czym ty mówisz?

– Dlatego zostawiłam ci takie skomplikowane wskazówki – ciągnęła. – Nie chciałam, żeby Zeller, korzystając z nich, znalazł mnie pierwszy. Doprowadziłam moją pracę tak daleko, jak mogłam, i potrzebowałam twojej pomocy, żeby zrozumieć resztę. Musisz mi pomóc przy ostatnim kawałku układanki: aniele.

– Przestań mówić zagadkami, Lyndo. O co chodzi?

– Nie umiem znaleźć żadnego tropu w jego notatkach. Nie wiem, dlaczego nazywa anioła „odpowiedzią”.

– Lyndo!

Nie odezwała się.

Patrzyła na drzwi przyczepy. W ciszy słyszałam szum deszczu, który znowu zaczął padać, bębniąc o szyby okien, na których Korin odtworzyła sekretną historię swojego męża.

– Lyndo?

– Słyszysz? – spytała.

– Co takiego?

– To.

– Deszcz?

W tle zabrzmiał jednak jeszcze inny odgłos: szczekanie psa.

Zerknąłem na drzwi.

– Pies... i co z tego?

– To od strony farmy – powiedziała, a w jej oczach pojawił się błysk strachu. – Joe, właściciel farmy, który wynajmuje mi przyczepę, wyjechał. Wróci dopiero jutro. Jego suczka jest bardzo spokojna i przymilna. Nigdy nie szczeka, chyba że...

– Chyba że co?

Obróciła oczy na mnie.

– Chyba że szczeka na kogoś.

W dolinie było ciemno.

Powiedziałem Korin, żeby została w przyczepie i zamknęła drzwi na klucz, a sam ruszyłem w stronę farmy. Padał gęsty deszcz i w świetle latarki, którą dostałem od Korin, było widać tylko niewyraźne kształty. Kontury majaczącego przede mną domu przypominały delikatne linie na światłokopii, a dalej złowrogo ciemniały zbocza góry, które tonęły w nocnym mroku. Gdy spojrzałem przez łąkę na przyczepę, zobaczyłem tylko kwadraciki bladego światła. Blask bijący ze środka, przytłumiony kartonami w oknach, nadawał jej wygląd dryfującej łodzi, która zmierzała w nicość.

Przeszedłem przez bramę i przeciąłem drogę, po czym zwolniłem kroku. Z boku domu biegła betonowa wyboista dróżka. Omiotłem ją światłem latarki, czując mieszaninę zapachów bijących od gospodarstwa: błota, mokrej trawy, paproci, nawozu, kiszonki, słomy. Pod blaszaną wiatą po mojej lewej stronie stał traktor, a dalej dróżka się rozwidlała: jedna odnoga skręcała w stronę domu, gdzie nad niebieskimi drzwiami mrugała lampka alarmu, druga prowadziła dalej, w kierunku dwóch stodoł. Pies był zamknięty w domu i szcekał tak zajadle, że niemal ochrypl. Rozpaczliwie drapał w drzwi i nawet przez szum deszczu słyszałem tupot pazurów na linoleum.

Coś musiało go zdenerwować.

Stodoły z bliska wydawały się ogromne, przypominały kadłub potężnego supertankowca. W jednej stał quad i pług, w drugiej dostrzegłem niewyraźne pękate sylwetki świń. W większości były ciche i spokojne, ale gdy oświetliłem je latarką, parę z nich poruszyło się, a jedna głośno chrząknęła. Pies zaczął ujadać jeszcze wścieklej.

Minąłem boczną ścianę stodoły, gdzie były świny, i z tyłu zobaczyłem przybudówkę wielkości garażu. Prawdopodobnie mieścił się tu kiedyś warsztat, o czym świadczyły ślady trocin na matowej szybie jedynego okna. Wyczułem woń starego drewna, którą był przesiąknięty budynek, przemieszaną z zapachami oleju, spirytusu i farby. Na pochyłym dachu dostrzegłem obluzowaną dachówkę, sterczącą w górę jak kawałek układanki, który nie wskoczył na miejsce. Przybudówka nie miała rynien, więc woda spływała z dachu nieprzerwaną ścianą, bombardując ziemię i błyskawicznie zmieniając każdy niezabetonowany kawałek w grzęzawisko.

Dobiegł mnie jakiś dźwięk.

Przystanąłem, nasłuchując. Deszcz, jak na zawołanie, trochę się uspokoił. Przesunąłem światło latarki wzdłuż przybudówki, w kierunku tylnej ściany drugiej stodoły. Stał tu tylko

stary sprzęt, częściowo pogrążony w błocie, zarośnięty trawą i przywalony starymi cegłami. Skierowałem wzrok z powrotem na przybudówkę. Drzwi pomalowane czerwoną farbą, teraz wypłowiałą i łuszczącą się jak poparzona skóra, były zamknięte na dwie zasuwki, u góry i u dołu.

Nagle znowu usłyszałem ten dźwięk.

Spojrzałem w stronę, z której przyszedłem, oświetlając betonową ścieżkę. Deszcz lśnił w blasku latarki niczym pęk srebrnych nitek. Słyszałem, jak w stodole poruszają się świny. Pies w domu szczekał jeszcze bardziej zapamiętale niż przedtem.

– Halo?

Mój głos utonął w mroku. Stałem przed drzwiami przybudówki, wpatrując się w dróżkę. Wszędzie panował spokój.

– Halo? – powtórzyłem.

Gdy i tym razem nie doczekałem się odpowiedzi, zawróciłem, kierując latarkę w lewo i prawo. Promień światła rozcinał ciemność, rysując cienie na falistych ścianach stodoł, na ceglanym murze domu – ale tam, gdzie nie docierał blask latarki, wszystko pozostawało niewidoczne.

Chociaż nie do końca.

Kiedy deszcz ustał, zauważyłem nieznaczną zmianę koloru po jednej stronie domu, jak gdyby budynek był z boku podświetlony zamontowaną na zewnątrz lampą. Idąc w głąb gospodarstwa, nie zwróciłem na to uwagi.

Przyspieszyłem kroku, by szybciej obejść stodołę. Świny zareagowały na moją obecność, z głośnym kwikiem rozbiegając się po wnętrzu, a pies miotał się jeszcze zacieklej. Zerknąłem w okna domu, po czym ścieżką wyłożoną kamiennymi płytami podszedłem do wejścia. Pies szalał w środku, skacząc na drzwi, które dygotały w futrynach.

Nacisnąłem klamkę, ale oczywiście drzwi były zamknięte.

Wycofałem się i ruszyłem dalej, w kierunku przyczepy, dziurawą dróżką, między górami, których nie widziałem, i drzewami, które tylko słyszałem.

Zanim jeszcze przyczepa pojawiła się w polu mojego widzenia, nagle coś sobie uświadomiłem: światło, które dostrzegłem z boku domu, było pomarańczowe, nie białe.

Padało nie od zewnętrznej lampy, ale od przyczepy.

Stała w ogniu.

Coś zapaliło się we wnętrzu przyczepy. Ciemność rozdarł niski, dudniący huk, a zaraz potem z bocznego okna, w miejscu, gdzie była kuchnia, strzeliły płomienie i dym. Na ułamek sekundy w całej dolinie zrobiło się jasno.

Rzuciłem się biegiem, sprintem pokonałem pustą drogę i bramę. Gdy znalazłem się na łące, teraz rozmokłej i grząskiej, przez dziurę w kuchennym oknie buchnęły gęste kłęby dymu. Im szybciej biegłem, tym mniej panowałem nad ruchami i ślizgałem się po mokrej trawie. Trzydzieści metrów przed przyczepą uderzyła mnie fala gorąca, jak gdybym wpadł głową prosto w lity mur – i po chwili poczułem zapach benzyny. Nie zatrzymując się, patrzyłem, jak rosną dziury w dachu, którego część topi się i spływa, niczym woda do otworu w zlewie.

– Lyndo!

Płomienie pełzły i pięły się po szkielecie przyczepy jak gorejące pnącza – przestało padać, więc nic nie mogło teraz powstrzymać ognia. Jedno z okien rozprysło się na kawałki i wypadło, a szary karton, którym była zaklejona szyba, zdążył już spłonąć. W smudze popiołu ulatywały w niebo drobne kawałeczki papieru – resztki dokumentów i zdjęć, które Korin tak pieczołowicie tu przechowywała. Niebawem wszystko, co znalazła w pudłach, miało zniknąć na zawsze.

– Lyndo!!!

Zatrzymałem się pięć metrów przed przyczepą. Ogień był tak gwałtowny, że nie mogłem zbliżyć się do okien, by zajrzeć do środka i sprawdzić, co z Korin – ale zerkając z drugiej strony, próbując zobaczyć, czy zdążyła się wydostać, zauważyłem coś na zewnątrz przyczepy, tuż przy otwartych drzwiach.

Rozmazaną krew.

Poczułem silne ukłucie niepokoju.

Ogień roztaczał wokół przyczepy krąg delikatnego, widmowego blasku. Nagle nad jeziora powiał lekki wiatr, dym zawirował i zmienił kierunek, a ja oderwałem wzrok od drzwi i znowu spojrzałem na okna.

Tym razem udało mi się coś zobaczyć.

Wyglądało to jak leżąca bezwładnie ludzka postać. Próbowałem podejść bliżej, choć żar wciąż mnie powstrzymywał, ale posuwając się bardzo wolno, zbliżyłem się na tyle, że rozpoznałem widoczne pod oknem ramię. Zobaczyłem też coś jeszcze: rękaw czerwonej kurtki.

Serce we mnie struchlało.

To była Korin.

Podszedłem od strony drzwi, chcąc sprawdzić, czy da się wejść, czy mogę się jakoś dostać do środka i wynieść ją stamtąd. To jednak było niemożliwe. W przyczepie szalał pożar, huczały płomienie, które pochłaniały wszystko. Wewnątrz była Korin i historia jej życia z Hosterlitzem; list, który do niej napisał; zdjęcia jej matki.

Jakiś ruch.

Odwrociłem się błyskawicznie, kierując latarkę w stronę kamiennego murku przed przyczepą i omiatając światłem jego szczyt. Nikogo tam nie było. Nie mając pewności, co właściwie zobaczyłem, spojrzałem na zbocze góry, zaciskając mocniej latarkę w rękę. Pękała mi głowa, chłód nocy i żar ognia szczypały mnie w skórę. Czułem, że mam na plecach gęsią skórę, a nad wargą, na czole i na dłoniach krople potu.

Egan.

Obróciłem się na pięcie i jeszcze raz popatrzyłem w dół zbocza, tam gdzie kamienny murek oddzielał tę łąkę od sąsiedniej. Dym, ogień i tańczące cienie utrudniały mi ocenę, co się porusza naprawdę, a co jest tylko złudzeniem optycznym. Uniosłem latarkę na wysokość ramienia, by oświetlić większy teren.

– Egan! – krzyknąłem. – Wiem, że to ty!

Przesunąłem się w stronę przodu przyczepy i skierowałem promień światła w lukę między ścianą a hakiem holowniczym. Po drugiej stronie rozciągała się nieskończona łąka, niknąc w czerni. Latarka miała jednak zasięg około dwudziestu metrów, a ogień też dawał światło, więc gdyby Egan próbował uciec przez łąkę, powinienem go dostrzec. Czyżby nie przeszedł na tę stronę przyczepy, żeby uciec?

Czyżby zrobił wokół niej pętlę?

W chwili gdy odwracałem się znów w stronę łąki, uderzył we mnie z taką siłą, że straciłem równowagę. Zdążyłem dostrzec błysk, chyba noża, a ułamek sekundy później upadłem na kamienny murek, wywinąłem kozła i z jeszcze większą siłą wylądowałem na kępie trawy po drugiej stronie.

Zaskoczony i oszołomiony, obróciłem się na wznak, czując, jak odzywają się poprzednie urazy – ręki, klatki piersiowej, twarzy. Skrzywiłem się z bólu i choć kręciło mi się w głowie, zdołałem się dźwignąć i stanąć na czworakach. Latarka leżała przy murku, poza zasięgiem mojej ręki. Słyszałem jakiś szum, chyba jeziora. Usłyszałem też trzask zapadającej się częściowo przyczepy – metal i plastik złożyły się jak kartka papieru. Znowu rozległ się głuchy huk i ogień trysnął niczym fontanna, na moment oblewając jasnożółtym blaskiem moją stronę murku.

Wtedy go zobaczyłem.

Egana.

Stał mniej więcej dwa metry ode mnie, lekko pochylony, oddychając ciężko. Z trudem wstałem. Tym razem nie ruszył do ataku. Miał zaczerwienioną skórę, a z głębokiej rany na

brzuchu płynęła krew. To była rana od noża, nierówna, o poszarpanych brzegach. Widocznie Korin zdążyła go trafić, zanim ją zabił.

Machnął w powietrzu nożem – tym samym, którym groził mi w kontenerze na złomowisku. Kiedy się podniosłem, zobaczyłem, jak po drugiej stronie murku przyczepa obraca się w popiół. Egan podążył za moim wzrokiem, a potem spojrzał na mnie, uśmiechając się lekko. Uśmiech zaraz jednak przerodził się w grymas bólu.

Niespodziewanie rzucił się na mnie.

Uskoczyłem odruchowo i poczułem, jakby grunt zapadł się pode mną. Pośliznąłem się, szarpnęło mną w lewo i runąłem w gęste paprocie. Gdy próbowałem dźwignąć się na nogi, usłyszałem kroki Egana na mokrej trawie po prawej stronie, tuż przy mnie, a po chwili zaczął siekać nożem rośliny, usiłując mnie dosięgnąć. Przetoczyłem się na bok, by uniknąć ostrza, potem jeszcze raz i jeszcze, czując, jak teren się obniża, a moje ubranie nasiąka wodą i błotem – po czym z hukiem uderzyłem w następny murek.

Spojrzałem w górę zbocza.

Egan zbliżał się do mnie. Jego sylwetka na tle blasku ognia rysowała się jak kształt wycięty w ciemnościach. Dojrzałem odbłysk płomieni w ostrzu, które kołysało się u jego boku niczym wahadło, i nagle uniósł nóż i zadał cios z lewej strony na prawą, jak gdyby myślał, że jestem bliżej. Zatoczył się w lewo. Zastanawiałem się, dlaczego po prostu nie pchnął mnie nożem pod przyczepą, kiedy miał najlepszą okazję, ale gdy znowu machnął nim na oślep, zrozumiałem, że ma zaburzoną percepcję. Świat gasł mu w oczach. Chciał zadać mi śmiertelny cios nożem, ale chybił. Dlatego ostrze błysnęło tak blisko mojej głowy. Celował w szyję albo twarz, jednak źle ocenił odległość.

Dźwignąłem się z ziemi.

– Billy – powiedziałem.

Przystanął, z trudem utrzymując równowagę na śliskiej trawie.

– Billy, ty umierasz.

Nie odezwał się – albo mnie nie usłyszał, albo zabrakło mu sił, by odpowiedzieć. Całą koszulę miał zalaną krwią. Zobaczyłem, że ma też krew na ustach. Próbował znowu wydać się groźny, otrząsnąć się, mimo rany zadanej mu przez Korin, i natarł na mnie po raz trzeci.

Z wykrzywioną twarzą ruszył w moją stronę, wlepiając we mnie oczy, przypominające dwie oleiste plamy, i trzymając przed sobą nóż jak włócznię. W połowie drogi stracił jednak równowagę, pośliznął się na błocie i runął do przodu, tuż obok mnie, prosto w murek. Ten był niższy, sięgał mu do ud, więc gdy się z nim zderzył, siła rozpędu przerzuciła mu tułów na drugą stronę. Upadł i wtoczył się na środek sąsiedniej, mniejszej łąki, skąd woda po deszczu nie spłynęła i w niewielkim zagłębieniu powstał płytki staw.

Przeskoczyłem przez murek.

W chwili upadku Egan wypuścił z ręki nóż. Nie podnosząc noża, podszedłem do niego. Uniósł się na łokciu, szukając swojej broni, a gdy jej nie znalazł, usiłował wygramolić się

z kałuży. Kiedy wstawał, zachwiał się do tyłu. Nogi się pod nim ugięły i opadł na kolana, ale w połowie już wy dostał się z wody. Zrobił to bardzo powoli, stopniowo, a potem spojrział na wodę zbierającą się u jego nóg – ubranie miał przesiąknięte deszczem, błotem i krwią, która bez przerwy sączyła mu się z brzucha.

– Pieprzona suka – mruknął, patrząc na ranę.

Jeżeli wzbudził we mnie choć odrobinę litości, to uczucie natychmiast zniknęło, gdy uświadomiłem sobie, co zrobił Korin. Po chwili przyszło mi do głowy coś jeszcze, myśl, która jak kotwica ciągnęła mnie w głąb ciemnej toni jeziora: Egan jechał za mną aż tutaj.

Lynda Korin zapłacała za to życiem.

Przykucnąłem, bo nagle zakręciło mi się w głowie i ogarnęły mnie mdłości. Serce tłuło mi się w piersi. Egan skierował na mnie oczy i przymrużył je, jak gdyby próbował czytać mi w myślach. Uśmiechnął się – na jego zębach zobaczyłem krew.

– Nic nie masz – powiedział cicho.

Zerknął w górę zbocza, w kierunku przyczepy. Nie było jej już widać – zostały tylko płomienie i dym. Dziesięć miesięcy życia obróciło się w proch.

– Nie masz nic! – wrzasnął.

Jego głos poniósł się w mrok, a potem zapadła między nami cisza, zakłócana tylko pluskiem kropel deszczu o kałużę.

– Nic nie masz – powtórzył i zaniósł się kaszlem.

– Policja wie, kim jesteś, Billy.

Uśmiechnął się.

– Co z tego?

– Zeller odpowie za to, co zrobiłeś.

Zmienił pozycję ciała. W mdłym blasku ognia, który tu docierał, widziałem, że z jego brzucha płynie coraz szersza strużka krwi. Zostało mu najwyżej parę minut życia.

– Nie powiążą go ze mną – wyrzęził.

– Jesteś jego synem.

– Nad którym nie umiał zapanować.

Chodziło mu o to, że Zeller zaprzeczy, by kiedykolwiek wiedział, w co jego syn jest zamieszany i do czego zdolny. Wtedy zadaniem policji będzie odnalezienie łączących ich związków. Pomyślałem o telefonie Egana, który znalazłem w kontenerze – bez listy kontaktów, z wyczyszczonym rejestrze połączeń i historią przeglądania internetu, bez jakichkolwiek śladów. Dostrzegłem w jego kieszeni kształt nowego aparatu. Zapewne był tak samo dziewiczy. Mimo to operator musiał mieć rejestr połączeń, wiadomości i historii internetu.

– Policja sprawdzi operatora twojego tele...

– To są jednorazówki na kartę. Przywiozłem je ze Stanów. – Urwał i znowu się rozkaszał. – Nawet nie są stąd. – Następna pauza. – Myślisz, że policja zada sobie tyle trudu, żeby wydebić od operatorów w Stanach dane telefonów, które pod koniec każdego

tygodnia wywalamy do śmieci? – Prychnął śmiechem, ale zaraz się zakrztusił. – Daj spokój. A nawet gdyby... – Znow zaniósł się okropnym, chrapliwym kaszlem, a kiedy się uspokoił, wskazał na ogień. – Ja to zrobiłem. Więcej gliny nie muszą wiedzieć.

Opierał się na jednej ręce, którą miał zanurzoną w wodzie. Uniósł ją, by otrzeć oczy. Po twarzy ściekły mu strużki wody, mieszające się z krwią.

– Nic nie masz – powtórzył z uporem. – Wszystko, co mógłbyś mieć, już... – Urwał, ze świstem łapiąc oddech. – Wszystko, co miałeś, nie żyje albo... – Kaszlnął. – Albo właśnie spala się na popiół. Zamkną cię za zabicie Cramera. A jak gliny cię nie dorwą, zadba o to stary. Zrobi wszystko co trzeba. – Uśmiechnął się, próbując odetchnąć. – Jeżeli Saul nie będzie mógł zemścić się za mnie, jeżeli nie będzie miał dowodów... znajdzie je. Na pewno.

Ciężko i boleśnie zakaszłał.

– Nie masz dowodu... na nic.

Ostatni słaby uśmiech.

Jeszcze przez moment patrzył na mnie, a potem oczy uciekły mu w głąb czaszki. Runął na bok do kałuży, jak walący się budynek.

– Zna... znajdą cię...

Miał na myśli policję. A może Zellera.

Tak czy inaczej, wiedziałem, że ma rację.

Nie miałem nic.

Ruszyłem z powrotem pod górę, czując słabość w nogach, a w ustach smak krwi. Żar bijący od przyczepy trochę zelżał, ale jej poczerniały szkielec wciąż lizały płomienie.

Stałem, patrząc, jak się dopala.

Nie mogłem już nic zrobić. Korin nie żyła, a wraz z nią odeszły resztki mojej nadziei na to, że uda mi się cokolwiek udowodnić. Nawet jeśli wszystko, co porozwieszała w przyczepie, przepadło na zawsze, to jej zeznania, jej gruntowna znajomość całej sprawy i związek z ofiarami znaczyłyby nieskończenie więcej niż to, czym sam dysponowałem. Teraz jednak, gdy dym buchał w niebo, a w powietrzu unosił się swąd spalonego plastiku, musiałem spojrzeć prawdzie w oczy: człowieka, który zabił jej matkę, z zimną krwią wrobił w morderstwo jej przyrodniego brata i diametralnie zmienił bieg jej życia, nie spotka żadna kara za to, co zrobił. Nie pozostał przy życiu nikt, kto podważyłby wersję wydarzeń Zellera z 1953 roku. Chroniły go nie tylko pieniądze, władza i wpływy – miał też po swojej stronie historię i czas. Sześćdziesiąt lat później wszyscy, którym zależało na ofiarach jego zbrodni, już nie żyli.

Wyjąłem telefon i zerknąłem na ekran. Przez to wszystko, co stało się od mojego przyjazdu nad Wast Water, zapomniałem go wyłączyć i wyjąć baterię oraz kartę SIM. Działał od dwóch godzin, może dłużej. Jeżeli policja starała się mnie namierzyć, jeszcze bardziej ułatwiłem im zadanie.

Gdy zapadła się następna część przyczepy, myślałem o tym, co będzie, kiedy dopadną mnie gliniarze. Próbowałem się zastanawiać, jak im to wszystko logicznie wyłożyć, jak nie wpaść w ich pułapki, czy w ogóle mam coś na swoją obronę. Potem wróciłem myślą do swojej rozmowy telefonicznej z Craw. Odchodziła. Wtedy ledwie to do mnie dotarło, bo całą uwagę skupiałem na Korin, ale teraz boleśnie to sobie uświadomiłem: Craw mnie zostawiała, sprawa wymknęła mi się z rąk, policja była w drodze.

Jestem sam. Przegrałem.

To koniec.

Nagle coś się poruszyło.

Dostrzegłem to po drugiej stronie stopionych i poskręcanych szczątków przyczepy. Z początku nie mogłem rozpoznać, co to jest, ponieważ gęsty, targany wiatrem deszcz tworzył tam ażurową zasłonę. Przez sekundę zdawało mi się, że po trawie pełźnie jakieś zwierzę.

To jednak nie było zwierzę.

To była Lynda Korin.

Natychmiast popędziłem w jej stronę, omijając łukiem palące się szczątki przyczepy. Korin leżała w trawie na brzuchu, a gdy usłyszała moje kroki, jęknęła – z jej gardła wydobył się okropny mokry bulgot – i próbowała wczepić palce w błoto. Ukląkłem obok niej, przemawiając łagodnym głosem. Zobaczyłem krew na jej bluzce, spodniach, twarzy.

– Lyndo, to ja, David.

Już nie usiłowała odpełznąć ode mnie, ale nie mogła przekręcić tułowia na tyle, by na mnie popatrzeć, więc wsunąłem jedną rękę pod jej talię, drugą pod szyję i delikatnie ją odwróciłem. Wydała głębokie westchnienie, jak powiew wiatru, starając się odnaleźć mnie wzrokiem.

Oczy uciekały jej w głąb głowy.

Okropnie było widzieć ją w takim stanie. Miała poparzoną jedną stronę ciała, spopieliałe ubranie, skórę stopioną jak wosk. W blasku ognia udało mi się dojrzeć drogę jej ucieczki z przyczepy, wyznaczoną przez pas zgniecionej trawy i ślady krwi z rany od noża, którym Egan pchnął ją w górną część klatki piersiowej. Krew rozmazana na ścianie przy drzwiach musiała należeć do niej. Korin zrzuciła czerwoną kurtkę i zdołała się wydostać.

Oparłem jej głowę na swoim kolanie i sięgnąłem po telefon, żeby zadzwonić pod 999, chociaż wiedziałem, że to nie ma sensu. Pogotowie i tak nie zdąży, nawet drogą lotniczą.

Korin umierała.

Zabił ją Egan – i ja go tu sprowadziłem.

Nagle przygniotły mnie potężne wyrzuty sumienia. Nie wiedziałem, czy z powodu Korin i roli, jaką odegrałem w śmierci, która niewątpliwie się do niej zbliżała, czy też uświadomiłem sobie, że bezpowrotnie straciłem pewną cechę – niewinność, wdrukowaną w moje DNA. Z jakiegoś powodu przypomniałem sobie mojego lekarza, Jhadava, i jego słowa – że jeśli nie będę ostrożny, ta praca może kosztować mnie życie. Może miał na myśli takie chwile jak ta. Chodziło nie o koniec mojego życia, po którym pogrzebią mnie na cmentarzu i zostanie po mnie tylko kawałek ziemi z nagrobkiem, ale o to, że przejdę jakiś rodzaj przemiany. Może to będzie choroba, która strawi mnie od środka – nie omdlenia, bóle głowy i inne zdiagnozowane dolegliwości. Może to będzie ciężar takich chwil. I żał, że nigdy nie zdołam ich cofnąć.

Korin drgnęła na moich kolanach – oddychała płytko i z wyraźnym bólem. Otworzyła zdrowe oko. Niewidzące i zamglone, jak kulka z matowego szkła.

Przesunąłem dłonią po jej twarzy, przez włosy zlepione krwią i ziemią, myśląc o wszystkim, co mówiła mi przez minione godziny, o sile, jaką się wykazała, o cierpieniach, jakie musiała znosić, i żałowałem, że nie miałem okazji poznać jej lepiej.

Znowu się poruszyła.

Tym razem jednak niepewnie sięgnęła po moją rękę, wbiła mi w dłoń paznokcie i skierowała ją w stronę swojej kieszeni.

Próbowała coś powiedzieć, ale z jej ust wydobył się tylko stłumiony jęk, jak ciche kwilenie. Gdy moja dłoń dotknęła jej lewego boku, mocno przycisnęła moje palce do kieszeni w swoich spodniach, po czym cofnęła rękę. Wyczułem, że coś jest wewnątrz. Wsunąłem tam dłoń.

Dwa klucze na kółku.

Spojrzałem na Korin, ale miała zamknięte oczy, a spod jej powiek spływały krople wody.

– Do czego są te klucze, Lyndo?

Nie odpowiedziała.

– Lyndo?

Ledwie słyszalnie jęknęła:

– A... niol...

Anioł. Odruchowo zerknąłem w stronę przyczepy i zauważyłem, że trzy metry na prawo ode mnie coś leży w trawie. Był zakrwawiony, zalany deszczem i ubłocony – ale był.

Anioł.

Zanim wyczołgała się na zewnątrz, zdążyła go chwycić.

Jak najdelikatniej położyłem ją na ziemi, poszedłem po drewnianą figurkę i wróciłem – wciąż miała jednak zamknięte oczy i płytki, ciężki oddech.

– Lyndo?

Cisza.

– Lyndo, nie wiem, co mam z nim zrobić. Nie wiem, jak on może pomóc.

Gdy nie zareagowała, spojrzałem na to, co trzymałem w rękach.

Drewniany anioł. Komplet kluczy.

Popatrzyłem w stronę przyczepy i kiedy przeniosłem wzrok na farmę, coś mi się przypomniało. Mijając dom, okrążyłem dwie stodoły. Z tyłu, przy tej, gdzie były świnie, stała zniszczona przybudówka, od której czułem zapach drewna i farby. Przybudówka miała wypłowiałe czerwone drzwi.

Drzwi były zamknięte na dwie zasuwki.

Na każdej z nich wisiała kłódka.

Zaniosłem Lyndę Korin do samochodu i położyłem na tylnym siedzeniu, a kiedy wracałem w kierunku farmy, dobiegły mnie pierwsze syreny policyjne. Na razie były daleko, ale już niebawem policja tu dotrze.

Przyspieszyłem kroku.

Mijając dom, usłyszałem szczekanie, choć nie tak głośne i zajadłe jak przedtem, a gdy okrążyłem stodoły, kierując się do przybudówki, głos psa utonął w szumie deszczu. Wcisnąłem latarkę pod pachę, włożyłem klucze do kłódek i przekręciłem, po czym odciągnąłem zasuwę. Czerwone drzwi odskoczyły od futryny, jakby puścił zawór ciśnieniowy. Ze środka wionął zapach starego drewna.

Poszukałem wyłącznika światła, nigdzie jednak nie mogłem go znaleźć, więc oświetliłem wnętrze latarką. Stały tu jeden przy drugim dwa stoły. Pierwszy był pełen rupieci – zardzewiałych urządzeń, które trudno mi było rozpoznać nawet w jasnym blasku latarki, ale gdy podszedłem bliżej, zorientowałem się, że to różne metalowe elementy, które wyglądały, jakby wyjęto je ze starego silnika.

Drugi stół był zasłonięty płachtą.

Postawiłem na podłodze anioła i zerwałem płachtę. Okazało się, że to wcale nie stół, tylko lodówka i biblioteczka z książkami.

Najpierw zajrzałem do lodówki.

Była pełna puszek z taśmą filmową trzydzieści pięć milimetrów.

Wisiał tam na haczyku plastikowy wskaźnik temperatury, który pokazywał trzy stopnie, a u dołu była nalepka z napisem: „Film – acetyloceluloza = 0–5°C”. Na pojemnikach z taśmą spoczywał stos strunowych torebek. Naliczyłem ich dwadzieścia. Jedna zawierała kasetę wideo z logo VHS-C. W pozostałych dziewiętnastu były rolki filmu Super 8. Widocznie Hosterlitz w wolnym czasie kręcił na ośmiomilimetrowej taśmie. Korin wspominała, że miał kamerę Super 8, a on sam napisał w liście, że zostawił ją w garażu razem z kartonami.

Zająłem się biblioteczką.

Była pełna starych, zbrązowiałych i podniszczonych tomów w twardych oprawach. Kiedy na chybił trafił wyjąłem jeden z nich, zobaczyłem, że nie ma okładki. Strona tytułowa głosiła: „Film noir, 1940–1959”. W wielu miejscach tkwiły różnokolorowe karteczki, a gdy zacząłem sprawdzać, co jest na zaznaczonych stronach, okazało się, że to ustępy i całe rozdziały poświęcone filmom Hosterlitz. Omawiano tam jego technikę,

charakterystyczne zbliżenia, długie ujęcia, dialogi. Korin podkreśliła niektóre fragmenty i na marginesie zrobiła jakieś notatki czerwonym długopisem, trudno jednak było cokolwiek odcyfrować. Widziałem już jej pismo i nie wyglądało aż tak nieczytelnie – czyżby więc celowo chciała utrudnić odczytanie notatek?

Jeżeli tak, chodziło jej zapewne o to, by ukryć swoje uwagi przed ludźmi, którzy mogliby znaleźć te książki. Ale dlaczego tak jej na tym zależało? Wyjąłem drugą książkę, Style filmowe, i trzecią, Narracja: Poradnik dla początkujących – w obu również były kolorowe karteczki i podobne odręczne dopiski. Resztę półek zajmowały książki poświęcone historii kina, podręczniki dla filmowców, encyklopedie filmowe. We wszystkich Korin zaznaczyła różne miejsca, zwracając szczególną uwagę na fragmenty dotyczące technik stosowanych przez Hosterlitzę w najlepszym okresie jego twórczości.

Syreny brzmiały coraz głośniejsze.

Odłożyłem książki na miejsce, wstałem i omiotłem światłem latarki pozostałą część pomieszczenia. W ciemnym przeciwległym kącie wyłonił się kształt, który wyglądał jak trzeci stół. Był przykryty kocem, jednak przebijał spod niego zarys jakichś przedmiotów leżących na blacie. Nie domyślałem się, co to może być, ale zasłaniając to, co Korin tam zostawiła, koc tworzył szereg wypukłości i zagłębień.

Chwyciłem za brzeg i ściągnąłem koc z blatu.

Okazało się, że to też nie jest stół – przynajmniej nie w tradycyjnym znaczeniu tego słowa.

To był stół montażowy.

Urządzenie do montażu filmowego.

Natychmiast przypomniałem sobie zakończenie listu Hosterlitzę do Korin, gdzie wspominał, że w garażu oprócz pudeł zostawił coś jeszcze.

Kupiłem to, gdy pojechałem do Los Angeles zobaczyć się z Zellerem i Cramerem. Kiedy tylko wejdiesz do garażu, na pewno od razu to zauważysz.

Musiał mieć na myśli ten stół.

Pośrodku był zamontowany ekran podglądu – wielkości małego przenośnego telewizora – a pozostałą część zajmowało mnóstwo talerzy i rolek. Na jeden z talerzy zakładano szpulę z taśmą filmową, którą przekładało się przez rolki, i pryzmat wyświetlał obraz na ekranie. Zanim nastąpiła era cyfrowa, właśnie w ten sposób montowano wszystkie filmy: niezliczone metry negatywu przesuwano z jednej strony na drugą, a montażysta, korzystając z ekranu, wykonywał precyzyjne sklejki – zaznaczając właściwe miejsca woskowym markerem, tnąc taśmę i składając w zmontowaną scenę.

Zerknąłem na lodówkę z taśmami, potem na półki pełne podręczników techniki filmowej i poradników. Korin we wszystkich dopisała swoje uwagi. Podkreśliła fragmenty. Studiowała pracę swojego męża i innych reżyserów.

Dlatego że się uczyła.

Uczyła się montowania filmów.

Wróciły do mnie słowa, które powiedziała w przyczepie. „Zanim cię poprosiłam, byś mnie odnalazł, musiałam się przygotować do tego, żebyś zaczął mnie szukać. Dojście do tego etapu zabrało mi dziesięć miesięcy, bo Robert zostawił instrukcje. Ale były bardzo trudne. Bo to wszystko jest to bardzo trudne”.

Opuściłem wzrok na podłogę.

Pod stołem montażowym stało kartonowe pudło. Wysunąłem je. W środku była maszyna do pisania. Z zepsutą czcionką E. Przypomniałem sobie zawieszoną na ścianie w przyczepie oś czasu, którą Hosterlitz sporządził dla Korin – we wszystkich słowach brakowało litery E. Maszyna należała do niego.

Obok znajdował się odrapany i zakurzony przenośny odtwarzacz DVD oraz płyty ze wszystkimi filmami Hosterlitz, które Korin wyjęła z pudełek i zabrała z domu. Kiedy wyciągnąłem odtwarzacz z pudła, zobaczyłem, że jest do niego podłączony przewód z wtyczką. Otworzyłem urządzenie. Ekran nosił ślady palców i gdzieś tam był lekko zadrapany, a gdy wysunąłem kieszeń, zobaczyłem, że jest w niej płyta DVD.

Oznaczona jako „Wersja 12”.

W kartonie było coś jeszcze. Granatowa plastikowa teczka z grubym plikiem papierów. Kiedy szybko zacząłem je przeglądać, znów usłyszałem wycie syren, które przez moment zabrzmiało wyraźniej, przebijając się przez odgłos deszczu bębniącego o dach.

Plik papierów składał się z faktur, pokwitowań i listów, które Korin wystukała na maszynie – najwidoczniej zależało jej na tym, by nie korzystać z internetu i maili – a brakującą literę E wszędzie wstawiała ręcznie. Była to korespondencja z jedną firmą i jedną osobą – z przedsiębiorstwem o nazwie CineLab UK w Manchesterze oraz technikiem, Gregiem Plumsteadem. Pod logo, u góry papieru firmowego, widniała informacja, że CineLab specjalizuje się w konwersji filmów nakręconych na taśmach 8, 16 i 35 milimetrów do formatu DVD i Blu-ray. Spojrzałem na lodówkę po drugiej stronie pomieszczenia, mieszczącą puszkę z taśmą 35 milimetrów i dziewiętnaście torebek z taśmą 8 milimetrów.

Po chwili w pliku papierów skończyły się faktury i pokwitowania.

W połowie teczki znalazło się coś innego. Tkwił tam dziewięćdziesięciostronicowy dokument, spięty z boku dwoma mosiężnymi spinaczami. Kiedy uświadomiłem sobie, co to jest, z trudem przełknąłem ślinę.

Alex, Egan i Zeller sądzili, że kariera Hosterlitz się skończyła. Że po nakręceniu ostatniego filmu był zbyt schorowany i zmęczony, by zrobić cokolwiek, co mogłoby im zaszkodzić. Uznali, że Różany Krąg to tylko nazwa budynku, dawno zaginionego w mrokach przeszłości, którą udało im się ukryć.

A jednak się mylili.

To nie był tylko budynek.

Patrzyłem na stronę tytułową scenariusza filmu napisaną na żółtym papierze, z pozaginanymi rogami. Widniało na niej pięć wystukanych na maszynie słów.

Pięć słów, których Saul Zeller nigdy nie spodziewał się zobaczyć.

Różany Krąg. Scenariusz: Robert Hosterlitz.

Serce biło mi jak szalone. Obok stołu montażowego znalazłem gniazdko i podłączyłem przenośny odtwarzacz DVD. Postawiłem go na blacie, pod którym stało kartonowe pudło, po czym nastawiłem głośność na cały regulator i wcisnąłem przycisk zasilania. Dysk zafurkotał, a ja, czekając, aż się uruchomi, zacząłem przewracać strony scenariusza. Były stare, pożółkłe i wymięte, ale nienaruszone.

MA BYAQMKL SKD9

MAQQASNQ

&Y NEET(

I drsdź oqyx l nhd+ f cx rhś v Rydnkt onłn' ś-

MAOHR9 J RHŚFA ORAKLĆV 028+7

QNYI AŻMHDMD CN9

VMŚSQYD- RALNBGĆC- CYHDŻ

I dcyhdl x nhdnj qdźknmń t khbń+ nf kńc `ińb ogydrt v `ińbd rhś y ` nj młl

at cxm j h+ cnl x h rj kdox- Yci śbh ` rń j qśbnmł j `l dqń Rt odq 7- C`id sn

vq `` dmhd ehkl t `l `snqrj hdf n- R`l nbg«c on bgvhkh yv `kmh`-

Z głośników odtwarzacza DVD zaczął się sączyć wąty metaliczny dźwięk. Uniosłem wzrok. Nie było żadnego obrazu – słychać było tylko warkot silnika, potem hałasy uliczne i następujące po sobie różne odgłosy miasta. Na czarnym ekranie pojawiły się białe proste litery tytułu – RÓŻANY KRAĞ – a po ich wyciemnieniu ukazały się następne słowa, napisane czcionką o tym samym kroju: FILM ROBERTA HOSTERLITZA. Widok jego nazwiska podziałał na mnie jak ładunek elektryczny. Hałasy umilkły i głośniki wypełnił łagodny rytm jadącego samochodu. Przysunąłem się bliżej siedmiocalowego ekranu, trzymając na kolanach otwarty scenariusz.

– Jesteś przy mnie, gdy się w Szeolu położę.

Głos zabrzmiał prawie jak szept. To był on. Hosterlitz. On jest narratorem. Gdy wypowiedział te słowa, na ekranie, zgodnie ze scenariuszem, pojawił się cytat z Biblii, a potem obraz zupełnie się wyciemnił.

Po chwili rozpoczął się film.

Poczułem, jak tężeję. Tak jak opisywał scenariusz, zobaczyłem materiał nakręcony na Super 8 – ale to nie wszystko. To był nakręcony przez Hosterlitz'a obraz Pierre Street w Van Nuys; ściślej mówiąc, dokładnie ten sam obraz, który pokazywał telewizor w jego horrorach. Tyle że ujęcie nie urywało się po dziesięciu sekundach. Miało ciąg dalszy – za oknem przemykały następne budynki, samochody, ludzie. Później auto zaczęło zwalniać, a w szybie mignęło krótkie, ale wyraźne odbicie taksometru.

Nakręcił to z tylnego siedzenia taksówki.

Zaraz potem rozległ się pisk hamulców i taksówka stanęła. Kamera skierowała się w prawo, pokazując fontannę za oknem. Otaczał ją piękny klomb różowych, żółtych i czerwonych róż.

Sierociniec Różany Krąg.

Film się urwał i obraz wypełniła czerń.

Po krótkiej pauzie odezwał się inny męski głos:

– Nazywam się Raymond J. Callson. Przez trzydzieści dwa lata byłem funkcjonariuszem Policji w Los Angeles.

Callson.

Detektyw prowadzący śledztwo w sprawie morderstwa Kerekes.

Wróciła akcja. Callson wyglądał na nieco ponad sześćdziesiąt lat. Miał siwe włosy, z równiutkim przedziałkiem na boku, i był schludnie ubrany w koszulę i marynarkę. Siedział w jakimś biurze. Za oknami w tle zobaczyłem panoramę Los Angeles. Kiedy policjant się przedstawił, u dołu ekranu ukazała się data.

29 GRUDNIA 1984.

Wyjazd Hosterlitz'a do Los Angeles.

Czyli nie tylko zamierzał stanąć twarzą w twarz z Zellerem i Cramerem. Pojechał też przeprowadzić wywiad z Callsonem. Ta sekwencja filmu nie została jednak nakręcona kamerą Super 8. Widoczne linie skanowania u góry i dołu kadru oraz lekkie przekłamanie kolorów wskazywały, że wypożyczył nowszy i – jak sądził – lepszy sprzęt. W 1984 roku mógł mieć dostęp do pierwszych kamer wideo nagrywających na kasetach VHS albo Betamax. Znowu rzuciłem okiem na lodówkę, przypominając sobie, że leży w niej kasetka VHS-C.

To musiał być wywiad z Callsonem.

Callson opowiadał przez chwilę o swoich doświadczeniach policjanta w Los Angeles, po czym Hosterlitz zapytał:

– Panie Callson, czy jakieś sprawy szczególnie utkwily panu w pamięci?

Detektyw wolno pokiwał głową.

– Tak – powiedział. – Tak, nie muszę się nawet długo zastanawiać, żeby przypomnieć sobie jedną taką sprawę.

Obraz znowu stał się czarny.

Zanim zaczęła się kolejna scena, zjrzałem do scenariusza, sprawdzając, jak wiernie akcja na ekranie odzwierciedla zapisane instrukcje. Film był dokładną repliką. Wszystko, co działo się na ekranie, było w scenariuszu.

Usłyszałem brząkanie pozytywki.

Znowu uniosłem wzrok.

Kamera dawała zbliżenie czegoś na pierwszym planie, jakiegoś przedmiotu, którego kontury kompletnie się rozmywały, natomiast ostrość była ustawiona na pozytywce znajdującej się na drugim planie. Po chwili wszystko zmieniło się o sto osiemdziesiąt stopni, pozytywka stała się rozmazaną plamą, a przedmiot w zbliżeniu zyskał ostrość.

Tym przedmiotem był drewniany anioł.

– Életke Kerekes urodziła się dwudziestego drugiego grudnia tysiąc dziewięćset osiemnastego roku...

Hosterlitz. Wrócił do roli narratora, mówiąc cichym, nieco trzeszczącym głosem, przypominającym dźwięk niedostrojonego telewizora. Przedstawił szczegóły biografii Kerekes, opowiadając o jej małżeństwach, o dzieciach, o pracy w American Kingdom, a tymczasem na ekranie różne ujęcia anioła przeplatały się z materiałami archiwalnymi – zdjęciami ukazującymi przyjazd imigrantów do Stanów, masową migrację ze Środkowego Zachodu do Los Angeles w pierwszej połowie dwudziestego wieku. Te obrazy pochodziły zapewne z pojemników z taśmą 35 milimetrów.

Wcześniej sądziłem, że zrobił tyle zdjęć anioła, ponieważ dostał go w prezencie od Kerekes. Być może to był jeden z powodów, ale nie jedyny. Zdjęcia miały mu również pomóc znaleźć odpowiedni kąt filmowania, sprawdzić, jak najlepiej oświetlić figurkę, zobaczyć, jak będzie wyglądała przez obiektyw Super 8.

Znowu nastąpiła zmiana sekwencji, tym razem na historyczne zdjęcia Venice, gdzie Kerekes mieszkała z dziećmi w latach pięćdziesiątych. Narracja Hosterlitz'a podkreślała kontrast tej dzielnicy z luksusem miejsc, które odwiedzała hollywoodzka elita. Ostatnie ujęcie pokazywało hotel Pingrove.

– Jej domek w nadmorskich slumsach był skromny – mówił w komentarzu – ale urządziła go najlepiej, jak umiała. Stworzyła dzieciom dom. A kiedy w pracy dostrzegła dla siebie szansę, postanowiła z niej skorzystać.

Ukazał się plakat filmu Tygrys jedzie do miasta.

To była pierwsza adaptacja jednego z opowiadań Kerekes, wyprodukowana przez American Kingdom. Potem pojawiały się kolejne plakaty, jeden po drugim, reklamujące wszystkie filmy, które powstały na kanwie jej bajek. W tle brzmiał cichy głos Hosterlitz'a, który opowiadał o niej, wspominając o jej zdolnościach, o tym, że jako kobieta wyprzedziła swoją epokę i osiągnęła znaczącą pozycję w świecie zdominowanym przez mężczyzn.

– Jej talent, uroda i determinacja zwróciły na nią uwagę elity Hollywood.

Wyciemnienie do czarnego kadru.

– Poznałem ją w Blue Orchid, tego samego wieczoru co Glen Cramer.

Tutaj Hosterlitz po raz pierwszy pojawił się na ekranie.

Był słabo oświetlony. Pomyślałem, że może nakręcił to w swoim garażu, ale bez względu na miejsce, trudno było na niego patrzeć. Był okropnie schorowany. Chudy, wręcz wyschnięty na wiór, blady jak kreda, ubranie na nim wisiało. Patrzył prosto w kamerę. Wydawało się, że płakał.

– Była piękna – powiedział i przez jego twarz przemknął nikły cień uśmiechu. – Nie wykorzystywała jednak swojej urody jako argumentu czy broni. Nie miałbym jej za złe, gdyby robiła z niej użytek, ponieważ Hollywood było, i nadal jest, potworem, który tylko czeka, by każdego pożreć, więc należy wykorzystać każdy swój atut. Ale jej uroda była czymś więcej. Ona była kimś więcej. Miała to piękno w sobie. Dostrzegało się je we wszystkim, co robiła... jako autorka opowiadań, jako matka i przyjaciółka. – Urwał i zaczął kaszleć, z początku cicho, potem coraz gwałtowniej, krzywiąc się z bólu. Gdy atak ustał, zapadła przenikliwa cisza, w której patrzył w kamerę, unosząc i opuszczając ramiona przy każdym oddechu. – Myślę, że pokochałem ją od pierwszej chwili, gdy tylko ją zobaczyłem.

W nowym ujęciu pojawiła się fotografia klubu nocnego Blue Orchid z początku lat pięćdziesiątych. Zaczęło się wprowadzenie do śmierci Kerekes. Wcisnąłem przewijanie, słysząc zbliżające się syreny. Przez chwilę fotografie przeplatały się z archiwalnymi zdjęciami – aż do wieczoru, gdy Kerekes zginęła, i wtedy film powrócił do wywiadu z Rayem Callsonem.

Włączyłem odtwarzanie z normalną prędkością.

Rozmawiali o miejscu zbrodni, o pokoju hotelowym. Chciałem obejrzeć dłuższy fragment z Callsonem, który sprawiał wrażenie szczerego, interesującego człowieka, ale nie miałem czasu. Po kilku minutach ponownie włączyłem przewijanie.

Przez chwilę w kadrze był jeszcze Callson, a potem – jak zaskakujący cios w gardło – pojawiła się seria policyjnych fotografii z miejsca zbrodni; detektyw musiał je wszystkie zachować, nawet gdy przeszedł już na emeryturę. Ukazały się też zdjęcia Martina – jego twarzy, koszuli, palców, zadrapań na rękach. Butelki po whisky. Tabletek nasennych. Potem zobaczyłem jego zdjęcie z kartoteki. Wyglądał na mniej niż szesnaście lat, jego palce wydawały się drobne, gdy trzymał przed sobą tabliczkę z imieniem i nazwiskiem, wiekiem, datą urodzenia oraz datą i numerem aresztowania.

Fotografie zniknęły.

Nastąpiła kolejna sekwencja nakręcona kamerą Super 8 – którą Hosterlitz pewnie zarejestrował podczas tego samego wyjazdu w 1984 roku – pokazująca staw we Franklin Canyon, przy którym trzech mężczyzn spotkali się po zabójstwie, a później na ekranie znowu pojawił się Hosterlitz. Włączyłem normalne odtwarzanie. Najprawdopodobniej nagrał swoje komentarze do kamery później, bo jego głos brzmiał zupełnie inaczej niż w trakcie wywiadu z Callsonem.

– Zeller wmówił mi, że ją zabiłem – wychrypiał Hosterlitz, niemal wyrywając sobie z gardła każde słowo. Głos mu drżał, choroba niemal zupełnie pozbawiła go barwy. – A ja

mu uwierzyłem. Bez zastrzeżeń. Być może w głębi duszy chciałem wziąć na siebie to brzemie. Chciałem poczuć cały ciężar tego, co zrobiłem. Uderzyłem ją. Pozbawiłem ją przytomności. Podniosłem rękę na kobietę, która wpuściła mnie do domu, powierzyła mi własne dzieci. – Spojrzał w obiektyw. – Cramer wmówił mi, że ona uważa mnie za odrażającego dziwaka, a przecież powinienem się domyślić. Powinienem wiedzieć, że to nieprawda. – Pokręcił głową i z oczu znowu popłynęły mu łzy. Trudno było to oglądać. Wątki, schorowany staruszek płakał nad tym, co zrobił i co stracił. – Nigdy nie powiedziałyby niczego takiego – jęknął. – To było niepodobne do Elaine. Powinienem od razu wiedzieć.

Po raz pierwszy przez otwarte drzwi przybudówki dostrzegłem kątem oka daleki błysk niebieskich świateł. Niech to szlag. Policja. Byli już w dolinie. Już nie tylko ich słyszałem, ale też widziałem.

Znowu włączyłem przewijanie.

Jeszcze raz pojawił się Callson, mówiąc zapewne o śledztwie i jego ustaleniach, potem mignęła fotografia pierwszej strony „National People” z nagłówkiem: EROTOMAN HOSTERLITZ ZDEMASKOWANY JAKO CZERWONY. Pojawiły się zdjęcia Zellera i Cramera, co nie wymagało wyjaśnień – to oni sfabrykowali oskarżenie. Dalszy ciąg ilustrował powolne chylenie się życia Hosterlitzu ku upadkowi. Fotografie i materiały filmowe pokazywały go w Londynie, w Niemczech, po powrocie do Stanów w 1966 roku. Parę zdjęć Cramera z połowy lat sześćdziesiątych miało prawdopodobnie związek z jego rozmową z Hosterlitzem, w której padł tamten „żart”. Wreszcie nastąpiło wyciemnienie, a po chwili kadr znowu się rozjaśnił: byliśmy z powrotem w Van Nuys, oglądając te same zdjęcia z drogi do sierocińca, nakręcone kamerą Super 8.

Ale wtedy coś się stało.

Film nagle się skończył, na ekranie pojawiła się fotografia drewnianego anioła – jedna z tych z albumu, który Korin miała w domu. U góry wyświetliło się pięć słów: OBRAZ ZASTĘPCZY – CIĄG DALSZY NASTĄPI.

– Nie – jęknąłem. – Tylko nie to.

Przewinąłem film do ostatnich chwil sekwencji z Pierre Street i ponownie wcisnąłem odtwarzanie. Głos Hosterlitz z offu mówił:

– Przez te lata okazałem się bardzo słaby. Powinienem się przyznać i ponieść karę za swój udział w tej zbrodni, zamiast czekać do ostatnich chwil życia. Wiem, że popełniłem błąd. Wiem, że zasługuję na wszystko, co mnie spotkało. Ale przynajmniej jestem gotów się z tym pogodzić. – Umilkł, gdy samochód na ekranie zwolnił, by zatrzymać się przed sierocińcem. – Zeller nigdy nie przyzna się do tego, co zrobił.

W kadrze pojawił się budynek Różanego Kręgu w całej okazałości.

– Dlatego muszę go do tego zmusić.

Ekran wypełniło zdjęcie anioła i informacja o dalszym ciągu, a gdy wyświetlacz odtwarzacza DVD odliczał kolejne sekundy, pojąłem: Korin doprowadziła film tylko do tego miejsca.

„Zanim cię poprosiłam, byś mnie odnalazł, musiałam się przygotować do tego, żebyś zaczął mnie szukać”. Miała na myśli zmontowanie tej części filmu. „Dojście do tego etapu zabrało mi dziesięć miesięcy, bo Robert zostawił instrukcje. Ale były bardzo trudne. Bo to wszystko jest to bardzo trudne”. Prosił ją nie tylko o to, by przeczytała list, w którym przyznawał się do winy, i uporządkowała okruchy jego życia i jego sekrety. Prosił ją, aby za niego poskładała je w całość.

Prosił ją, by zrobiła Różany Krąg.

Musiała się nauczyć montażu, wypełnić jego instrukcje, jego życzenia, zrealizować jego scenariusz. Jeśli porządkowanie zawartości pudeł trwało miesiące, to takie zadanie wymagało więcej czasu. Dlatego Korin zniknęła jak kamień w wodę. Alex Cavarno zastanawiała się, dlaczego Korin, wiedząc, co to jest Różany Krąg, nie poinformowała o tym policji albo prasy. Właśnie dlatego. Wypełniała ostatnią wolę męża. Starła się dokończyć film, ponieważ wiedziała, że jeśli to zrobi i przedstawi w nim całą historię, wraz z dowodami, w pasjonujący sposób, będzie to najbardziej wymowne i skuteczne zeznanie.

Ogarnęło mnie jednak przygnębienie. Korin włożyła w to tyle pracy, tyle wysiłku, a w czym ja jej pomogłem? Hosterlitz nie żył. Korin umierała. Wciąż nie było nic, co

mogłoby pograżyć Zellera.

W ciszy słyszałem syreny – coraz głośniejsze i bliżej – policyjne niebieskie światła oblewały już obrzeże farmy. Widziałem ich pulsujący blask na ścianie po lewej i prawej stronie, jak gdyby wtargnęły do przybudówki. Wpatrując się w zdjęcie anioła na ekranie, myślałem o tym, że Hosterlitz nazwał go „odpowiedzią”, a Korin nie potrafiła zrozumieć, o co mu chodziło. Zatrudniła mnie, żeby się dowiedzieć. Ale ja nie miałem pojęcia.

I nadal nie miałem pojęcia, nawet teraz.

Nagle wzdrygnąłem się nerwowo, bo rozległ się głos, jak gdyby z kąta przemówił duch. Na tle obrazu zastępczego z offu znów odezwał się Hosterlitz.

– Podaję instrukcję nałożenia taśmy na stół montażowy...

Zaczął szczegółowo omawiać kolejne kroki.

Siedziałem kompletnie zdezorientowany, wytrącony z równowagi.

Co to ma znaczyć, do cholery?

Instynktownie spojrzałem w stronę drzwi przybudówki, zastanawiając się, kiedy policja mnie znajdzie, kiedy ostatecznie zaciśnie się wokół mnie pętla – ale zatrzymałem wzrok na drewnianym aniele. Stał tam, gdzie go zostawiłem. Zerknąłem na ekran odtwarzacza, gdzie obraz zastępczy ukazywał figurkę anioła, a potem na oryginał. Szybko zerwałem się z miejsca, podniosłem figurkę... i po raz pierwszy coś sobie uświadomiłem.

Przedtem w ogóle nie wydawało się to istotne.

Była pusta w środku.

To nie wszystko: odpryski i drobne pęknięcia, które uważałem za ślady wieku, miały zupełnie inną przyczynę.

Tutaj została sklejona.

W tle Hosterlitz kontynuował swoje instrukcje: krok numer pięć, krok numer sześć, numer siedem.

Przyjrzałem się figurce.

Odpowiedź.

Chwyciłem anioła mocniej i z całej siły uderzyłem jego dolną połowę o solidną dębową biblioteczkę. Drewno pękło w miejscu rysy i fragment posażka się odłamał.

Dolna część odpadła.

Wewnątrz tkwiła rolka taśmy 8 milimetrów.

Gdy ją wyjąłem, część syren na zewnątrz umilkła, ucichły silniki i w oddali rozległy się nawoływania.

Prawie ich jednak nie słyszałem.

Hosterlitz nazwał anioła „odповідzią”, ale nie tylko ze względu na jego historię i znaczenie dla niego i Korin.

Nazwał go tak, ponieważ użył go jako kryjówki.

Wiedział, że cokolwiek się stanie, Korin zabierze anioła ze sobą; towarzyszył jej przez całe życie. Celowo go rozłupał, schował w nim film i zakleił z powrotem, po czym wymyślił jakąś historyjkę i przeprosił za zniszczenie pamiątki, udając, że to był wypadek. To jednak nie był wypadek – to było zabezpieczenie.

Musiał mieć pewność, że nic nie grozi taśmie.

I temu, co się na niej znajdowało.

Puściłem instrukcje Hosterlitz'a od początku i zacząłem nakładać taśmę na rolki stołu montażowego. Nie miałem pojęcia, jak się do tego zabrać, ale pomogły mi nagrane wskazówki, które podawał opanowanym, cichym głosem. Były precyzyjne i szczegółowe, a gdy dokładniej obejrzałem stół, zauważyłem, że Korin nakleiła na poszczególnych talerzach i rolkach kawałki taśmy maskującej ze strzałkami, objaśnieniami i ostrzeżeniami, czego nie wolno robić. Kiedyś sama wykonywała takie polecenia.

Nie bardzo wiedziałem, jak należy się obchodzić z taśmą, ale wiedziałem jedno: jeśli ją uszkodzę, nie będę mógł jej naprawić. Dlatego działałem wolniej i uważniej, niż powinienem w tych okolicznościach – bo głosy były coraz bliżej. W pewnym miejscu taśmy dostrzegłem ślady klejenia, co wskazywało, że film był już montowany.

Wreszcie umieściłem go w urządzeniu.

Zawahałem się, pełen strachu, że taśma natychmiast się rozwinie albo zatnie, albo zerwie. Wiedziałem jednak, że nie mam wyboru. Teraz albo nigdy.

Uruchomiłem stół montażowy.

Z ulgą zobaczyłem, że na ekranie pojawił się obraz. W głośnikach, umieszczonych w górnej części, rozległo się kilka trzasków, po których zabrzmiał cichy, ciągły szum.

Dopiero po chwili zorientowałem się, co widzę.

Kamera znajdowała się między jakimiś roślinami. Była ustawiona na klombie. Ujrzałem podjazd, zamkniętą bramę i jakąś zgarbioną postać siedzącą na ziemi przy słupku bramy. Przysunąłem twarz do ekranu.

Tą postacią był Hosterlitz.

Obraz trochę drgał, były widoczne rysy i plamy na taśmie, a chwilę potem spoza kadru wjechał na podjazd samochód. Ferrari 288.

Wtedy zrozumiałem.

Model samochodu pochodził z połowy lat osiemdziesiątych. Dom był w Los Angeles. Jedno i drugie należało do Glena Cramera.

Tego wieczoru Hosterlitz złożył mu niezapowiedzianą wizytę.

Był grudzień 1984 roku.

Hosterlitz wszystko utrwalił na taśmie.

Blask reflektorów ferrari skąpał zgarbioną sylwetkę Hosterlitz. Nachyliłem się do ekranu podglądu. Cramer wysiadł, nie zamykając drzwi samochodu.

– Bobby? – Jego głos zabrzmiał czysto jak kryształ. – Bobby?!

Mimo plamek i zadrapań – śladów niszczenia taśmy z upływem czasu – obraz był na tyle wyraźny, że nie miałem żadnych problemów ze śledzeniem akcji. Znacznie większe wrażenie robił jednak dźwięk: nawet z tej odległości Cramera było słycać doskonale. Hosterlitz zapewne użył zewnętrznego mikrofonu.

Przemyślał wszystko w najdrobniejszych szczegółach.

Cramer kucnął obok niego. Hosterlitz jęknął, ale nic nie powiedział, Cramer potrząsnął więc nim lekko, żeby oprzytomniał. Wciąż nie mogąc doczekać się reakcji, zapytał:

– Ile wypiełeś, Bobby?

Słyszając to, przypomniałem sobie nagle coś, co powiedziała mi Korin. Pytałem ją, czy Hosterlitz był pijany, gdy tamtego wieczoru pojawił się przed domem Cramera. „Wiele razy okłamywali go i kłamali na jego temat – odparła. – Wtedy też. Już ci mówiłam, od siedemdziesiątego szóstego roku Robert nie brał do ust alkoholu”.

Hosterlitz wykorzystał to kłamstwo przeciwko nim.

Tamtego wieczoru nie był pijany – tylko udawał.

Cramer pomógł mu wstać. Hosterlitz lekko się zatoczył, jedną ręką opierając się o ścianę, a drugą ocierając twarz. Musiał jednak wtedy wypić przynajmniej tyle, żeby zalatywać alkoholem, a może wychylił piwo bezalkoholowe. Tak czy inaczej, wypił za mało, by stracić panowanie nad sytuacją. Dobrze wiedział, co robi.

– Umieram – powiedział cicho.

Cramer przysunął się bliżej.

– Co?

– Mam raka, Glen.

– O cholera.

Hosterlitz stał przed nim w milczeniu.

– Cholera, strasznie mi przykro, Bobby – bąknął Cramer, wpatrując się w tył głowy Hosterlitz. W jego głosie słycać było, że jest autentycznie wstrząśnięty. – Nie wierzę.

– Został mi może rok życia – dodał Hosterlitz. – Najwyżej dwa lata.

Kolory w kadrze lekko zamigotały, gdy Cramer podszedł do niego bliżej. Ponosił taką samą winę jak Zeller – i Hosterlitz – za ukrywanie prawdy o tym, co stało się z Életke

Kerekes, i zrujnował życie przyjacielowi, by ocalić własne. Mimo wszystko trudno było mu nie współczuć. Może była to nie tyle litość, ile coś w rodzaju wrażenia, że podobnie jak Hosterlitz, nigdy nie potrafił wyzbyć się wstydu. Nie potrafił zapomnieć.

Zdawał sobie sprawę, że jest winny.

– Naprawdę mi przykro, Bobby.

Hosterlitz, chwając się na nogach, odwrócił się do Cramera.

– Musisz mi powiedzieć, jaki miałeś udział w tym, co się stało – wybełkotał. Postąpił krok w jego stronę. – Musisz mi powiedzieć, co Zeller wtedy zrobił.

Nagle pojawił się obraz innego podjazdu.

To cięcie na chwilę mnie zdezorientowało. Kamera znajdowała się w podobnym miejscu, obok drzewa pośrodku ogrodu. Przed kremowym domem w hiszpańskim stylu stało żółte lamborghini countach. Za dachem budynku migotały w ciemności światła miasta. Mulholland Drive.

Usłyszałem, że silnik lamborghini wciąż pracuje, i zobaczyłem w samochodzie dwie osoby. Jedną z nich był Zeller. Wyłączył silnik i wysiadł. Nie miał jeszcze sześćdziesiątki, był szczupły i wysportowany, ubrany w dżinsy i koszulę z krótkimi rękawami. Dźwigał stertę papierów – być może scenariuszy albo dokumentów.

Na miejscu pasażera siedział Billy Egan. Mógł mieć siedemnaście czy osiemnaście lat. Kiedy otworzył drzwi, wyglądał bardzo podobnie do człowieka, którego znałem, jeśli nie liczyć ciemnej czupryny. Miał na sobie dżinsy i koszulkę, a jego krępa, umięśniona sylwetka mogła budzić grozę. Bez słowa wysiadł z samochodu.

– Witaj, Saul.

Obaj drgnęli zaskoczeni: Zelleromal nie wypuścił papierów, Egan obrócił się na pięcie, patrząc w stronę ciemności przed podwójnym garażem, sąsiadującym z domem. Gdy Zeller zatrzaskał drzwi lamborghini, rozglądając się za źródłem głosu, Hosterlitz wyszedł z mroku. Znowu grał: zataczając się, podszedł do tyłu samochodu i oparł się o karoserię.

– Bobby?!

– Muszę z tobą pogadać. – Hosterlitz przeniósł wzrok z Zellera na Egana. Był chyba zakłopotany jego obecnością. – Myślałem, że będziesz sam.

Egan potraktował Hosterlitzą dość dziwnie. Wydawało się, że nie trzeba mu go przedstawiać, bo doskonale wie, kto to jest. Nie sprawiał wrażenia zaskoczonego tym, że go tutaj widzi, ani faktem, że Hosterlitz jest pijany. Obszedł samochód z drugiej strony i przysiadł na masce, obserwując obu mężczyzn, jak gdyby czekał na scenę, która zaraz się między nimi rozegra. Bo najwyraźniej Zeller już mu o wszystkim powiedział. Zeller oddał plik papierów synowi.

– Bobby, co ty tu robisz, do cholery?

– Umieram, Saul.

Pierwsza reakcja Zellera krańcowo różniła się od zachowania Cramera. Podszedł do ulicy i rozejrzał się, czy nie ma żadnych przechodniów lub sąsiadów, którzy mogliby

zauważyć tu Hosterlitz, po czym wrócił do samochodu.

– Kurwa, co ty robisz w Los Angeles? – warknął.

– Mam raka.

– I co z tego?

Hosterlitz spojrział na niego zdumiony. Zerknął też na Egana, który w żaden sposób nie zareagował na tę wiadomość. Hosterlitz wydawał się autentycznie zbity z tropu tym zupełnym brakiem współczucia.

– Co z tego? – powtórzył Zeller. – Mnóstwo ludzi choruje na raka, Bobby. Chcę natomiast wiedzieć, po co przyjechałeś do Los Angeles. Błagam, tylko nie mów, że po to, by podjąć ostatnią próbę wyznania grzechów. – Znowu wyjrzał na drogę, jak gdyby spodziewał się zobaczyć radiowóz, jak gdyby się spodziewał, że jest pod obserwacją. – O to chodzi, Bobby? Wróciłeś, żeby pogadać z policją? Żeby zrzucić kamień z serca, zanim cię złożą w trumnie?

Egan zsunął się z maski i poszedł na koniec podjazdu. Rozejrzał się po ulicy – raz, drugi i trzeci – po czym wrócił do Zellera i pokręcił głową. Nikogo nie ma.

– Słuchaj, Saul – powiedział Hosterlitz, opierając się o lamborghini. – Musisz się przyznać, co zrobiłeś.

– Zabierz łapy z mojego samochodu.

Hosterlitz ani drgnął.

Zeller oderwał jego dłoń od auta i pchnął Hosterlitz na bramę garażu, która zadzwoniła pod jego ciężarem. Otoczył ich mrok. Hosterlitz najwyraźniej zdał sobie sprawę, że nie będą widoczni w kadrze, więc odepchnął Zellera, zatoczył się na niego i obaj z głuchym łomotem uderzyli w karoserię samochodu.

Zeller błyskawicznie powalił go na ziemię.

– Nie dotykaj mnie, skurwielu!

– Chcę to od ciebie usłyszeć! – krzyknął Hosterlitz.

Zeller, z zaciśniętymi zębami, napięty jak struna, chwycił go za kłapy, po czym spojrział pytająco na Egana, czy ulica nadal jest pusta, i zaczął wlec Hosterlitz przez podjazd w stronę wypielęgnowanego trawnika. Znaleźli się trzy metry od obiektywu, ale na obrzeżu kadru. Hosterlitz znowu się zorientował, że znikają z oka kamery: przetoczył się w lewo, a Zeller rzucił się, by go zatrzymać. Teraz byli skadrowani doskonale.

No, Zeller. Przyznaj się, co zrobiłeś.

Powiedz coś, żebym mógł to wykorzystać.

Zeller znowu wyjrzał na ulicę, a potem nachylił się nad Hosterlitzem.

– Czego szukasz w Los Angeles, zasrany pijaczku? – szepnął, ale znalazł się tak blisko kamery i mikrofonu, że słowa zabrzmiały głośno i nienawistnie.

– Chcę, żebyś się przyznał, co zrobiłeś, Saul.

Zeller ponownie rzucił okiem w stronę ulicy, po czym spojrział na Egana, który z półuśmieszkiem na twarzy siedział na masce lamborghini.

– Zrób coś dla nas wszystkich – zwrócił się Zeller do Hosterlitz. – Wczołgaj się do jakiejś dziury i zdechnij.

– Zabiliśmy Életke Kerekes.

Zeller nie odpowiedział.

– Ty ją zabiłeś... i wrobiliśmy w to jej syna.

Zeller mocno uderzył go w twarz i zanim Hosterlitz zdążył się otrząsnąć, kopnął go w brzuch. Zerknąłem na Egana, wciąż czekając, że jakoś zareaguje na to, co się dzieje, na wiadomość, że jego ojciec wysłał do celi śmierci niewinnego chłopaka, w jego wieku, za zbrodnię, której nie popełnił. Ale się nie doczekałem.

Egan przypatrywał im się z obojętną miną.

– Świat musi poznać prawdę, Saul – wyrzucił Hosterlitz, leżąc w pozycji embrionalnej na trawie u stóp Zellera, słaby, żalorny i pokonany.

Nastąpiło kolejne cięcie – na ekranie znowu ujrzałem Cramera.

Film wrócił do sceny w bliżej niesprecyzowanym momencie, po tym, jak Cramer znalazł Hosterlitz przed swoim domem. Wciąż stali przy bramie, nie odzywając się przez chwilę.

– Tak mi przykro, Bobby – rzekł cicho Cramer.

Głos mu drżał. W niczym nie przypominało to wściekłej pijackiej kłótni, o której mi opowiadał. Ich spotkanie przebiegło zupełnie inaczej. Tamta historia była kłamstwem, jego wymysłem, a raczej wymysłem Zellera. Cramer potraktował to jak kolejny scenariusz, kwestie, których musiał się nauczyć.

– Żałuję tego, co zrobiliśmy Elaine.

Hosterlitz nadal milczał.

– Tego, co zrobiliśmy Martinowi. – Cramer przełknął ślinę, jakby to imię z trudem przechodziło mu przez gardło. – Tego, co zrobiliśmy tobie. Gdybym tylko mógł cofnąć czas...

– Wierzę ci, Glen – powiedział Hosterlitz wyraźnym głosem, bez cienia bełkotu.

Wydawało się, jakby zapomniał, że ma udawać pijanego – a Cramer, w emocjach, już wtedy zmęczony ukrywaniem tej tajemnicy, nie zwracał na to uwagi.

– Chcę, żeby Saul się przyznał – dodał Hosterlitz.

– Dlaczego?

– Chcę usłyszeć od niego, co zrobił.

– Przecież wiesz, że zabił Elaine... jakie to może mieć znaczenie?

Hosterlitz zerknął w kierunku kamery.

– To ma ogromne znaczenie.

Znowu pojawiło się ujęcie trawnika przed domem Zellera.

Hosterlitz zdołał się podnieść z ziemi. Chwiał się na nogach, ale nie dlatego, że udawał pijanego. Zeller stał z prawej strony, przyglądając mu się spod przymrużonych powiek, jak gdyby próbował przeniknąć jego myśli.

– Wszystko, co stworzyłeś w American Kingdom, jest zbudowane na kłamstwie – powiedział Hosterlitz.

Wydawał się półprzytomny – nie od alkoholu, ale od choroby.

– Sam nie wiesz, co mówisz, Bobby. – Zeller dźgnął go palcem w skroń. – Rak wżarł ci się w mózg.

– Tak nie powinno być – wymamrotał Hosterlitz. Trudno było stwierdzić, czy dalej gra, czy naprawdę jest zamroczony. – Nie powinieneś stworzyć z tej firmy tego, czym teraz jest. Nie powinieneś mieć tego domu, tego samochodu, tego życia. Powinniśmy siedzieć w więzieniu. Powinniśmy odpowiedzieć za to, co...

– „Powinniśmy, powinniśmy”... my, czyli kto, Bobby? Hm? – Zeller spojrzał na syna, który wciąż siedział na masce lamborghini z nieco rozbawioną miną. Milczenie Egana chyba mu schlebiało, dodawało mu pewności siebie. Stawał się coraz bardziej agresywny. – To ty popchnąłeś tę kurwę na...

– Nie mów tak o niej.

– Popchnąłeś tę kurwę na szafę. Straciła przytomność.

– Wmówiłeś mi, że ją zabiłem.

– Uwierzyłeś w to, w co chciałeś uwierzyć.

– Gdyby ludzie wiedzieli, co zrobiłeś...

– Ale nie wiedzą, prawda?

– Zabiłeś ją, Saul!

Zeller milczał.

No już. Przyznaj się.

– Wysłaliśmy Martina do więzienia!

Zeller spojrzał na ulicę, po czym złapał Hosterlitz za ramię, tuż nad łokciem. Hosterlitz się wzdrygnął. Przez chwilę niemal hipnotyzowali się wzrokiem.

Nagle mina Zellera się zmieniła – i wybuchnął śmiechem.

– Aha, już rozumiem. – Obejrzał się na Egana. – Jasne. Myślałeś, że kim jesteś dla tego dzieciaka? Jakąś namiastką ojca? O to chodzi? Dlatego nie możesz o nim zapomnieć?

– Był zwykłym chłopcem. Jego roczną siostrę wysłaliśmy do sierocińca!

Hosterlitz był bliski płaczu.

– Myślałeś, że zastąpisz im ojca, tak? Nie mogłeś być dla nich ojcem, Bobby. Jesteś zasranym tchórzem. Gdybyś chociaż trochę był facetem, zrozumiałbyś, co dla ciebie zrobiłem. Przyjąłbyś to z pocałowaniem ręki, wrócił do pracy i nakręcił setkę filmów. – Odepchnął Hosterlitz. – Jako reżyser mogłeś odnieść największe sukcesy w historii. Mogłeś zarobić miliony, gdybyś tylko miał jaja. Mogłeś mieć taki dom. A tak... zobacz, co się z tobą stało. Jesteś zapijaczonym staruchem i robisz filmy, które nikogo nie obchodzą. Jesteś pieprzonym wrzodem, Bobby. Światu byłoby o wiele lepiej bez ciebie.

Hosterlitz wpatrywał się w ziemię, stojąc bez ruchu. Poruszały się tylko jego dłonie, które na przemian zaciskały się w pięści i rozluźniały.

Zeller to zauważył.

– Co, chcesz mnie uderzyć, Bobby?

Stara się nie reagować.

Wie, że już prawie ma to wszystko na taśmie.

– Uderzysz mnie, twardzielu?

Zeller mocno popchnął Hosterlitz, który zniknął z pola widzenia kamery, lecz zaraz wrócił – nie po to, by zaatakować Zellera czy się bronić, ale by znaleźć się z powrotem w kadrze.

– Wiesz co? – Pobudzony adrenaliną Zeller popisывał się przed synem, któremu miał ukształtować charakter.

To był obrzydliwy pokaz samczej siły, popis wściekłego macho, ale właśnie o to chodziło Hosterlitzowi. Obecność Egana z początku zbiła go z tropu – teraz jednak uświadomił sobie, że chłopak doprowadzi Zellera do zguby.

– Wiesz co? – powtórzył Zeller. – Nic na mnie nie masz i nigdy nie będziesz miał. Za to morderstwo ktoś inny trafił za kratki. Ten jej cholerny synuś... – Pokręcił głową i nachylił się w stronę Hosterlitz, zerkając na ulicę, zerkając na Egana, by sprawdzić, czy ten patrzy. Wywinął dolną wargę, niczym płaczące dziecko. – „Nie zrobiłem tego. Nie zabiłem mamusi”.

Po jego słowach zapadła cisza, jak gdyby wszystkie odgłosy miasta nagle umilkły. Hosterlitz zamknął oczy.

Egan pierwszy raz się poruszył, zsuwając się z maski lamborghini, jakby uświadomił sobie, że Zeller może się posunąć za daleko.

– „Nie zabiłem mamusi, nie zabiłem mamusi”.

– Tato – odezwał się Egan.

– „Dlaczego miałbym zabić mamusię, detektywie Callson? Po co miałbym wypić tyle whisky i połknąć taką masę tabletek? Proszę, tylko niech mnie pan nie wysyła do komory gazowej”.

– Tato, przestań.

– „Nie odrąbałem jej nóg! To nie ja!”

– Tato!

Na chwilę zapanowała cisza. Zeller i Hosterlitz stali naprzeciw siebie jak bokserzy w swoich narożnikach. Hosterlitz nadal wpatrywał się w ziemię, zaciskając pięści. Zeller oddychał coraz wolniej, ze wzrokiem utkwionym w człowieka, któremu zrujnował karierę i na zawsze zmienił życie.

– Zrobiłem to, co musiałem zrobić – powiedział w końcu.

– Wrobiłeś Martina.

– Tak.

Hosterlitz uniósł wzrok.

– I zabiłeś Elaine.

– Tak, zabiłem.

Nastąpiła długa grobowa cisza.

– Minęło trzydzieści lat – rzekł Zeller spokojniejszym tonem, odzyskując panowanie nad sobą. – Pora o niej zapomnieć. Pora, żebyś wrócił do domu i umarł, Bobby.

Wszystko utonęło w czerni.

Film się skończył.

– Panie Raker?

Zaskoczony, odwróciłem się od stołu montażowego.

Przybudówka szybko wypełniała się gliniarzami, uzbrojonymi w pałki i latarki. Całkowicie pochłonięty filmem, w którym Zeller i Cramer przyznali się do winy, w ogóle nie zdawałem sobie sprawy, że już mnie znaleźli. Jeden z policjantów, kawał chłopca po czterdziestce, złapał mnie za ramię i podniósł z krzesła. Scenariusz Różanego Kręgu zsunął mi się z kolan i z hałasem wylądował na podłodze.

– Głuchy pan jest? – spytał gliniarz.

Chodziło mu o to, że nie odpowiedziałem, gdy zwrócili się do mnie po nazwisku. Kiedy mnie pociągnął, obejrzałem się na ekran. Nic już się na nim nie wyświetlało. Nie było napisów końcowych ani żadnej muzyki. Film po prostu dobiegł końca.

Zeller przyznał się do winy, a potem nie było już nic.

Próbowałem się domyślić, dlaczego w ciągu czterech ostatnich lat swojego życia Hosterlitz nie poszedł z tym filmem na policję; dlaczego włożył taśmę do figurki anioła i trzymał ją w ukryciu. Ale potem przypomniałem sobie jego list do Korin: „Z jednej strony, nawet wtedy chciałem się przyznać, bo wiedziałem, że tak należy (...) z drugiej, nie mogłem tego zrobić, bo (...) nie chciałem, żeby skończyło się to, co było między nami. (...) Nie wiedziałem, co począć, uwięziony między młotem a kowadłem. (...) Próbowałem Ci powiedzieć i próbowałem nie powiedzieć; chciałem tego i nie chciałem – taka bitwa toczyła się we mnie przez dziesięć lat”.

Tym właśnie miał być ten list: mapą prowadzącą do pudeł, do prawdy ukrytej wewnątrz anioła, drogą, którą przez wiele tygodni i miesięcy miała podążać Korin, kiedy go już pochowa. Zaplanował to tak, żeby dowiedziała się, kim był naprawdę i co zrobił, już po jego śmierci – a więc nie będzie musiał spojrzeć jej w oczy, a mimo to uda mu się wyznać grzechy.

Tymczasem umarł, zanim zdążył ukończyć film.

Korin w końcu odnalazła pudła. Kierując się mapą, dotarła do prawdy o sobie. Zapomniał jednak zostawić jej wskazówkę do ostatniego fragmentu układanki.

Rolki filmu ukrytej w drewnianym posążku.

Instynktownie schyliłem się po leżący na podłodze scenariusz, aby sprawdzić, jak miał się skończyć Różany Krąg, ale policjant szarpnął mnie za ramię i skierował do drzwi przybudówki.

– Chwileczkę... – próbowałem zaprotestować.

Ale nie słuchał.

Wyszliśmy na nocny chłód. Wszędzie roilo się od gliniarzy, strażaków i ratowników. Przypomniałem sobie o Korin na tylnym siedzeniu mojego samochodu.

– Lynda Korin – odezwałem się. – Jest...

– Znaleźliśmy ją.

– Żyje?

Nie odpowiedział.

Trzymając w uścisku moje ramię, poprowadził mnie wokół stodół, w kierunku przyczepy. Ogień był już ugaszony i zostały tylko tłące się szczątki; zwęglony, poskręcany szkielet.

* * *

Policyjny pokój przesłuchań był mały i ascetyczny. Białe ściany, niebieska wykładzina, stół, plastikowe krzesła, urządzenie do nagrywania. Był tu także klimatyzator, ale wyłączony; w gorącym pomieszczeniu panowała kompletna cisza.

Poruszyłem zeszytniałą szyją i spojrzałem po sobie.

Niebieskie bawełniane spodnie. Gładki T-shirt.

Zabrano mi ubranie jako dowód rzeczowy, a gdy tylko znalazłem się na posterunku, moje rzeczy osobiste zostały zapakowane do worka depozytowego przez dyżurnego w areszcie. Przyjrzałem się swoim dłoniom, widząc w zgięciach palców nikłe ślady krwi, i otarciom, które wciąż miałem po ucieczce przed Billym Eganem w kanionie żelastwa na złomowisku. Zadrapania na wewnętrznej stronie przedramion zdążyły się pokryć strupami. Pomyślałem o tym, jak wyglądały ręce Martina po zabiegach Zellera.

Zadzwoiłem do adwokata, nieznanego mi faceta z Whitehaven, któremu zrelacjonowałem wszystko, co wiedziałem. Usiadł potem obok mnie i notował, podczas gdy dwoje funkcjonariuszy policji Kumbrii, Taylor i Annechy, przez godzinę zadawało mi pytania.

Taylor była atrakcyjną krótkowłosą blondynką, niewiele po czterdziestce. Miała bardzo jasne szare oczy, przypominające kamienie wygładzone przez nurt rzeki, mówiła łagodnym głosem i często się uśmiechała, co jak przypuszczałem, działało pozytywnie w sytuacjach takich jak ta. Uśmiech budował atmosferę zaufania i sugerował zrozumienie.

Annechy miał oliwkową cerę i blizny po trądziku, które próbował maskować gęstą brodą. Nosił włosy zaczesane do tyłu. Nie odzywał się ani słowem.

– Co za straszna historia – skomentowała Taylor.

Przez chwilę panowała cisza. Oboje patrzyli na mnie, najwyraźniej z trudem ogarniając wszystko, co opowiedziałem. Wcale im się nie dziwiłem. To była daleka podróż, na drugą

półkulę, do sprawy sprzed sześćdziesięciu lat. Nie spodziewali się tego, gdy dzisiaj przyszli do pracy.

– Właśnie rozmawialiśmy z niejakim Gregiem Plumsteadem – oznajmiła policjantka.

Plumstead był człowiekiem z CineLab UK w Manchesterze, z którym kontaktowała się Korin. Jego firma dysponowała środkami technicznymi do skanowania taśm 35 i 8 milimetrów – oraz kaset VHS-C – i ich konwersji do formatu cyfrowego.

W ten sposób Różany Krąg trafił na płytę DVD.

– Co powiedział? – spytałem.

– Że pracował z Korin od pół roku, chociaż nie znał jej pod tym nazwiskiem. Przedstawiła mu się jako Ursula Keegan. Ich kontakt ograniczał się tylko do pisanych na maszynie listów, co uważał za trochę dziwną formę komunikacji, oraz rozmów przez telefon stacjonarny i rzadkich rozmów osobistych, kiedy przyjeżdżała się z nim spotkać. Nigdy nie korzystała z internetu ani telefonu komórkowego. Brał ją za ekscentryczną miłośniczkę filmu albo kolekcjonerkę. Kilka razy spytał ją, o czym jest ten film, i usłyszał, że to fabularyzowany dokument, który robi dla własnej przyjemności, przede wszystkim po to, żeby nauczyć się montażu i reżyserii, i że korzysta ze starych taśm, które kupiła wiele lat temu na giełdzie staroci.

– Uwierzył jej?

– Mówił, że niewiele rozumiał z tego filmu, bo zawsze dostarczała mu króciutkie fragmenty, które wcześniej zmontowała sama, i nigdy nie trzymała się chronologii... na przykład jednego tygodnia dostawał dziesięć minut z zakończenia, a dwa tygodnie później pięć minut z początku. Po jakimś czasie skanował wszystko bez zbędnych pytań, a kiedy materiał był już zdigitalizowany, zapisywała wszystko na zewnętrznym twardym dysku. W skrytce w głębi przybudówki znaleźliśmy laptop, pełen programów do montowania filmów, z nagrywarką DVD. Dzięki temu miała na płytach różne wersje filmu. Jeżeli szukała czegoś w internecie, korzystała z łącza farmera, a po każdej sesji czyściła historię przeglądania, prawdopodobnie po to, żeby farmer nie mógł niczego zobaczyć.

– Skąd miała pieniądze na usługi CineLab? – zapytałem, myśląc o historii jej konta bankowego, którą przeglądałem.

Od jej zaginięcia nie było na nim żadnych operacji, nie trafiłem też na informację o większych wypłatach w ciągu kilku miesięcy przed ucieczką.

– Pracowała na farmie, dostawała gotówkę do ręki.

Skinąłem głową i przypomniałem sobie coś jeszcze.

– Sprawdziliście zawartość lodówki? Domyślcie się, co może być na tych taśmach?

– My nie – odparła Taylor.

Przyjrzałem się jej badawczo, nie bardzo rozumiejąc, co oznacza taka odpowiedź, po czym zerknąłem na Annechy'ego, który siedział nachmurzony, z rękami skrzyżowanymi na piersi.

– Chwileczkę, chcecie mi powiedzieć, że Lynda żyje?

Oboje popatrzyli na siebie, potem na mojego adwokata, a w końcu skierowali wzrok na mnie.

– Tak – odrzekła Taylor. – Jest w złym stanie, ale żyje.

Para detektywów z policji Los Angeles pracowała przez miesiąc z funkcjonariuszami z Metropolitalnej i Kumbrii w Carlisle i Londynie, starając się odtworzyć przebieg wydarzeń. Zostałem zwolniony za kaucją do czasu dalszych przesłuchań, zatrzymano mi też paszport, na wypadek gdybym zamierzał zwać z kraju. Wydawało się to zbędne, ale nie protestowałem, a po jakimś czasie zacząłem podejrzewać, że ten pomysł wyszedł od Policji Metropolitalnej. Jak zawsze powtarzała mi Craw, gliniarze z Londynu tylko czekali na okazję, żeby przyłapać mnie na kłamstwie. Traktowali to jako formę zemsty za to, że wchodzę im w paradę, że nie daję za wygraną, że wyjaśniam sprawy, które dawno odłożyli na półkę. Smutne, że narobiłem sobie tam tylu wrogów. Nigdy tego nie chciałem ani nie planowałem.

W spokojniejszych chwilach zastanawiałem się, czy Craw nie dołączyła do grupy tych wrogów. Jej decyzja, by zgodzić się na oddelegowanie do Glasgow, dotarła do mnie z całą ostrością dopiero wtedy, gdy siedziałem sam w pokoju przesłuchań, czekając na Taylor i Annechy'ego. Potem przez kilka dni próbowałem się do niej dodzwonić, ale nie odbierała. Tydzień później napisała do mnie maila i w paru lakonicznych zdaniach sugerowała, abyśmy wykorzystali ten czas, kiedy będziemy daleko od siebie, żeby przemyśleć na nowo to, co nas łączy. Nie wiedziałem, czy jakakolwiek odległość pomoże złagodzić rozdźwięk między jej troską o własną karierę a wybranym przeze mnie życiem poszukiwacza zaginionych osób.

Tak więc ostatecznie Craw odeszła ode mnie, a potem zrezygnowano też z postawienia mi zarzutów. Taylor, policja Kumbrii, gliniarze z Metropolitalnej albo prokuratura – ktoś z nich uznał, że dalsze doszukiwanie się mojej winy będzie stratą czasu i pieniędzy.

Zostałem sam.

* * *

Zamordowanie Glana Cramera dało mediom gwiazdę, wokół której mógł orbitować cały przekaz. Jego przestępstwa – rola w zabójstwie Életke Kerekes, współudział we wrobieciu w nie Martina Nemetha – zostały w pełni ujawnione dopiero parę miesięcy później, więc w pierwszych dniach po jego śmierci dość szybko zapomniano o tym, co zrobił razem z Zellerem.

Zbrodnie popełniono dawno temu, co nie sprzyjało ich nagłośnieniu – nie były zbyt wdzięcznym tematem dla mediów, które wolały sprzedawać historie o współczesnym Hollywood – ale najskuteczniej wybielił Cramera w oczach opinii publicznej jego udział w czwartej serii *Royalty Park*. Emisja zaczęła się dwa tygodnie po wydarzeniach na farmie – i znowu zaskarbił sobie sympatię widzów w roli eleganckiego i dystyngowanego ambasadora Stana Issermana. To był ponury przykład tego, jaka jest potęga sławy.

Jeszcze smutniejszy, przynajmniej na początku, był dla mnie fakt, że rzadko znajdowano powód, by wspominać o Robercie Hosterlitzu, którego niedokończonego filmu media jeszcze nie widziały, ponieważ policja nadal trzymała go pod kluczem jako dowód w sprawie. Bez niego nie byłoby podstaw do skazania Zellera. Spoiwem całej sprawy było jego poczucie winy, jego cierpienie – i decyzja, by wreszcie zmierzyć się z odpowiedzialnością za to, w czym wziął udział.

Tak więc media przez dwa miesiące sunęły przewidywalnym, utartym szlakiem. Od źródeł z *American Kingdom* przyszły sygnały, że pracownicy zawsze wiedzieli o „okrucieństwie” Saula Zellera, o czarnej magii, którą pod jego okiem praktykowała firma. Alex Cavarno odmalowano jako skrajną egotystkę, która cierpiała na manię kontrolowania wszystkiego, upajając się władzą otrzymaną od Zellera. W pierwszych tygodniach wytwórnia *American Kingdom* poniosła duże straty, gdy jej akcje poleciały na łeb na szyję, a wiele hollywoodzkich gwiazd skorzystało z okazji, by publicznie odciąć się od Saula Zellera i Alex.

Kiedy ekshumowano Életke Kerekes na cmentarzu w Venice i ślady DNA powiązały Zellera ze zbrodnią, ostatecznie go oskarżono i usunięto z fotela prezesa, a nowy szef – Dan Chu z *American Kingdom Asia* – opanował sytuację i zaczął wyprowadzać firmę na spokojne wody. Alex Cavarno i jej ojca poddano ekstradycji do Los Angeles i kilka dni później w internecie oglądałem na żywo relację z odczytania im zarzutów przed sądem. Zeller zachowywał się, jakby to wszystko nie wywarło na nim żadnego wrażenia – ani rozprawa sądowa, ani śmierć Billy’ego Egana – i wyglądało na to, że moje nadzieje na odrobinę skruchy z jego strony były złudne. Po nim zeznawała Alex, której reakcja krańcowo różniła się od niewzruszonej obojętności ojca. Przez cały czas szlochała, błada z rozpacz, która w końcu przygasiła jej urodę. W tym samym czasie rozpoczęła się kampania na rzecz rehabilitacji Martina Nemetha.

Mniej więcej tydzień po wydarzeniach na farmie zadzwonił do mnie Chu. Mówił cichym, łagodnym głosem, co mnie zaskoczyło, z mocno zamerykanizowanym akcentem z Azji Wschodniej.

- Przykro mi, że musiał się pan grzebać w naszych brudach – rzekł.
- Nikt się tego nie spodziewał, a najmniej ja.
- Będziemy mimo wszystko próbowali przepchnąć projekt przebudowy kina Comet. Myślę, że przyda się nam trochę dobrej reklamy. – Umilkł. – Wystarczy tylko znaleźć architekta, który nie okaże się bezwzględnym mordercą.

Obaj wiedzieliśmy, że to żart, ale zabrzmiała w tym również wyraźna nuta smutku.

Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę, a potem – kiedy już miał się pożegnać – zapytał:

– Widział się pan już z Lyndą?

– Nie. Lekarze mówili, że jeszcze nie jest gotowa na odwiedzin.

– Rozumiem. Kiedy będzie się pan do niej wybierał, proszę dać mi znać. Chciałbym, żeby mi pan w czymś pomógł.

W mroźny poranek na początku grudnia, ponad trzy miesiące po tym, jak zgodziłem się rozpocząć poszukiwania Lyndy Korin, spotkałem się z nią w biurze niedaleko targu Spitalfields.

Rękę nadal miała w bandażach, podobnie jak połowę twarzy. Kilka tygodni wcześniej przeszła drugi przeszczep skóry, a z powodu rany od noża w klatce piersiowej była przykuta do wózka inwalidzkiego. Widziałem, że źle się z tym czuje i dokucza jej ból, ale towarzyszyła jej pielęgniarka – opłacona przez American Kingdom – która świetnie odgadywała jej potrzeby. Ilekroć Korin zaczynała się niespokojnie kręcić, pielęgniarka starała się przynieść jej ulgę, delikatnie poprawiając ułożenie jej ciała.

Prawda była jednak taka, że najtrudniejsze dopiero ją czekało. Rehabilitacja miała polegać nie tylko na zagojeniu się ran i odzyskaniu sprawności, ale też na zaakceptowaniu nowego wyglądu. Jedna połowa jej twarzy pozostała ponadczasowo piękna; druga stała się pamiątką po człowieku, który próbował ją zabić, i po pożarze, który omal jej nie pochłonął.

Parę tygodni po wydarzeniach na farmie zacząłem odwiedzać Korin w szpitalu. Siadałem przy jej łóżku i rozmawialiśmy, jeśli tylko mogła, a potem, gdy już na tyle nabrała sił, by wychodzić z sali, zapraszałem ją na lunch do szpitalnej kafejki, gdzie siedzieliśmy pod szklanym dachem, rozmawiając o pomysły, na który wpadł Chu, i patrzyliśmy na sączące się przez okna jesienne słońce. Kiedy ją wypisano, przez resztę października i cały listopad spotykaliśmy się częściej, za każdym razem w tej samej sali konferencyjnej i w tym samym gronie: Chu przez łącze satelitarne, trzej technicy i przysłany przez Chu z Nowego Jorku dokumentalista, który na stałe zaczął pracować nad projektem. Parę razy zaproszono również Rafaela Walkera – wspaniałomyślnie wypożyczył wytwórni oryginalne negatywy filmów, które tak pieczołowicie przechowywał w domu.

Bywały dni, że siedziałem w głębi sali, podczas gdy Korin z reżyserem czytali scenariusz – strona po stronie, linijka po linijce – a kiedy Korin opadała z sił, starałem się jak najlepiej pomagać, jeśli mnie o to proszono. Najczęściej jednak po prostu obserwowałem. Patrzyłem, jak omawiają poszczególne sceny, oglądałem wstępnie zmontowany materiał, wyświetlany na ścianie sali, i śledziłem emocje na twarzy Korin, gdy reżyser zaprosił kompozytora, by zagrał dla niej muzykę, którą proponował do ścieżki dźwiękowej.

Trwało to dwa miesiące i dwadzieścia siedem dni, ale w poniedziałek siódmego grudnia wreszcie odebrałem telefon od Lyndy, która poprosiła mnie, bym przyszedł nazajutrz rano.

Ostateczny montaż Różanego Kręgu był gotowy.

* * *

Hosterlitz złożył w całość tyle materiału, ile zdążył przed śmiercią, napisał scenariusz i nagrał narrację, ale to Lynda Korin sama musiała rozwiązać tę zagadkę. Otworzyła garaż i znalazła w nim świat, o którego istnieniu nie miała pojęcia, ciemną stronę człowieka, którego, jak się okazało, prawie nie знаła, i własną historię, o której nic nie wiedziała. Wiele mówił o Korin i o jej uczuciu do męża – nawet po tym, co wyznał jej w liście – fakt, że nie odwróciła się do tego plecami.

Nauczyła się podstaw montażu filmowego z podręczników znalezionych w antykwariatach i z instrukcji na YouTube, które oglądała przez łącze internetowe na farmie. Montaż był tak skomplikowaną, specjalistyczną profesją, że zdołała opanować tylko minimum umiejętności, ale to minimum wystarczyło. Nauczyła się obsługiwać stół montażowy i składała poszczególne części według instrukcji, które zostawił jej Hosterlitz. Na giełdzie staroci znalazła magnetowid VHS, kupiła adapter VHS-C, korzystając z konta farmera na eBayu, i obejrzała zapis z tamtego dnia w grudniu 1984 roku, gdy jej mąż pojechał przeprowadzić wywiad z Rayem Callsonem, policjantem, który nigdy nie zapomniał o tej sprawie.

Sprawdziłem potem, co się stało z Callsonem.

Wcześniej przypuszczałem, że zgodził się udzielić Hosterlitzowi wywiadu w zamian za to, że Hosterlitz wyjawi mu, co wie o morderstwie Kerekes i wrobieniu w zbrodnię Martina Nemetha. Zastanawiałem się, dlaczego Callson od razu nie przekazał tych informacji swoim byłym kolegom z policji.

Powód okazał się smutny i wpisywał się w tragiczny wymiar tej historii. Żona detektywa umierała w domu opieki niedaleko Hancock Park, a Callson nie chciał spędzić ostatnich miesięcy jej życia na przesłuchaniach i rozprawach zamiast przy jej łóżku. Według informacji, jakie o nim znalazłem, powiedział kiedyś o żonie, że jest jego opoką i ostoją zdrowego rozsądku.

Tego samego dnia, gdy zmarła we śnie, przedawkował tabletki nasenne. Personel domu opieki znalazł ich leżących w łóżku obok siebie.

Trzymali się za ręce.

* * *

We wtorek ósmego grudnia, tuż przed dziesiątą rano, siedząc w głębi sali projekcyjnej, oglądałem ostatnie minuty Różanego Kręgu. Wybrzmiały słowa Zellera, w których przyznał się do winy, a potem pojawiło się ujęcie kwiatów wokół fontanny przed sierocińcem. Kołysały się na lekkim wietrze jak rytmicznie falujące morze barw – bezgłośnie, hipnotyczne i piękne.

Po jakimś czasie na ekranie ukazała się Korin.

Kłęcząca przy rabacie kwiatowej, przed domem w Somerset, obok niej na ziemi leżały łopatka ogrodnicza i rydel. Miała trzydzieści kilka lat i wyglądała przepięknie – jej skóra lśniła, oczy jaśniały blaskiem słońca. Powiedziała coś do kamery, ale nie było słyhać jej słów ani żadnych odgłosów w tle – ścieżkę dźwiękową stanowiła tylko delikatna melodia. Ten fragment i wiele podobnych zostało utrwalonych na taśmie 8 milimetrów, której rolki spoczywały w lodówce na farmie: wiele godzin scen wyłącznie z Korin.

Odwróciłem się w lewo, by spojrzeć na nią. Siedziała na wózku, wychylona do przodu, opierając ciężar ciała na zdrowej ręce. Drugą stronę jej twarzy zasłaniał opatrunek – ale z tej strony widziałem wszystko.

Każde drgnienie. Każdą chwilę.

Każdą łzę.

Gdy znów skierowałem wzrok na ekran, kamera była teraz umieszczona na murze, a Korin podnosiła się z ziemi. W kadrze pojawił się Hosterlitz, stając obok niej. Był staruszką – chorym, siwym i wychudzonym – ale się uśmiechał. Uśmiech wypełnił mu prawie całą twarz i zupełnie go odmienił. Nagle Hosterlitz wydał się silniejszy i zdrowszy; nabrał rumieńców. Objął żonę w pasie i przygarnął ją do siebie, a potem szepnął jej coś do ucha. Wybuchnęła śmiechem i oboje spojrzeli w obiektyw kamery Super 8.

Ekran powoli się wyciemnił.

Pojawiły się napisy końcowe.

Trzydzieści lat po tym, jak Hosterlitz rozpoczął pracę nad filmem Różany Krąg – swoim ostatnim w życiu dziełem – został on nareszcie ukończony.

Filmografia Roberta Hosterlitz

- 1949 – Moje nikczemne serce (Monogram)
1951 – Connor O’Hare (American Kingdom)
1952 – Dopiero gdy umrzesz (American Kingdom)
1953 – Oczy nocy (American Kingdom)
1954 – Broń to moje życie (American Kingdom, nieukończony)
- 1957 – Nóż z West Endu (Wick Films/ABPC)
- 1960 – Das Geheimnis des Schwarzen Himmels (Rialto)
1961 – Die Leiche im Fluss (Rialto)
1961 – Der Teufel von London (Rialto)
- 1963 – Petticoat Junction, „Ogród nowożeńców” (CBS, serial TV)
1964 – Bonanza, „Chłopak z Nowego Orleanu” (NBC, serial TV)
1964 – Bonanza, „Kurtyna!” (NBC, serial TV)
1964 – Strefa mroku, „Nie patrz” (CBS, serial TV)
1964 – The Defenders, „Z prochu powstałeś” (CBS, serial TV)
1964 – Bonanza, „Nie ma pokoju w gospodzie” (NBC, serial TV)
1965 – Bonanza, „Grzech główny” (NBC, serial TV)
1965 – The Defenders, „Sąd” (CBS, serial TV)
1965 – Spotkanie z Alfredem Hitchcockiem, „Pułapka na orły” (NBC, serial TV)
1965 – Bonanza, „Powieszenie Jessie Lee Jonesa” (NBC, serial TV)
1965 – Bonanza, „Ktoś wchodzi do saloonu...” (NBC, serial TV)
1966 – Bonanza, „Pościg” (NBC, serial TV)
1966 – Bonanza, „Odwiedziny diabła” (NBC, serial TV)
- 1967 – Duch Wielkich Równin (Paramount)
- 1968 – Bonanza, „Samotne serce” (NBC, serial TV)
1968 – Judd, for the Defense, „Kolor pieniędzy” (ABC, serial TV)
1968 – N.Y.P.D., „44 minuty” (ABC, serial TV)

1968 – N.Y.P.D., „Umarli nie mówią” (ABC, serial TV)
1969 – Judd, for the Defense, „Samson i Dalila” (ABC, serial TV)

1971 – Dom ciemności (Amicus)
1972 – Krew żywych trupów (Obelisk)
1972 – Wilkołak! Wilkołak! (Obelisk)
1973 – Księżniczka potworów (Obelisk)

Pod pseudonimem Bob Hozer

1977 – Ursula z SS (Olympia Filmproduktions)
1978 – Ursula: Jej Wysokość Kommandant (Olympia Filmproduktions)
1978 – Ursula: Rzeźniczka z El Grande (Olympia Filmproduktions)
1979 – Dom na cmentarzu (Mano Águila)
1979 – Piekielna podróż (Mano Águila)
1980 – Mordercze wiertło (Mano Águila)
1980 – Maniak z siekierą (Mano Águila)
1980 – Strzeż się lasu (Mano Águila)
1981 – Zabij! (Mano Águila)
1981 – Dom na cmentarzu 2 (Mano Águila)
1981 – Inwazja zombie (Mano Águila)
1982 – Dzikusy znad Amazonki (Mano Águila)
1982 – Umieraj powoli (Mano Águila)
1984 – Wyspa śmierci (Mano Águila)

2015 – Różany Krąg (American Kingdom)

Od autora

Jestem wielkim fanem kina, więc praca nad *Nie wiesz, kim jesteś* była dla mnie niezwykle interesującym doświadczeniem. Chciałbym szczególnie podziękować Vicowi Prattowi z Brytyjskiego Instytutu Filmowego za nieskończone pokłady cierpliwości, gdy w jego skrzynce pojawiał się kolejny mail na temat taśmy 35 milimetrów.

Jak zwykle, dla potrzeb powieści pozwoliłem sobie na pewną swobodę w przedstawieniu historii kina i produkcji filmowej oraz struktury i sposobu działania brytyjskiej policji, mam jednak nadzieję, że uczyniłem to na tyle subtelnie, by nikogo nie urazić.

Podziękowania

Mam ogromne szczęście i zaszczyt, że moje książki wydaje zespół Penguin Michael Joseph, grupa najsympatyczniejszych, najbardziej utalentowanych i najznakomitszych osób w branży. Dziękuję wszystkim i każdemu z osobna (a także całemu wydawnictwu Penguin), kto miał swój udział w powstaniu *Nie wiesz, kim jesteś*. W szczególności chciałbym wymienić mojego niezwykłego redaktora, Emada Akhtara (vel Ricky'ego C), który bez zmrżenia oka brnął przez grzęzawisko bardzo wstępnych wersji książki, oraz moją adiustorkę, Caroline Pretty, której dogłębna znajomość Davida Rakera szalenie ułatwia mi życie.

Wielkie podziękowania składam jak zwykle Camilli Wray, najcudowniejszej, najinteligentniejszej, najzabawniejszej i najbardziej nieustępliwej agentce w Londynie, która w dodatku jest posiadaczką czarnego pasa w rozwiązywaniu licznych i rozmaitych kryzysów, jakie dopadają mnie w trakcie pracy nad tekstem. Chciałbym również podziękować paniom z agencji literackiej Darley Anderson, zwłaszcza Sheili David z działu filmowego i telewizyjnego oraz Mary i Emmie z działu licencji zagranicznych.

Z całego serca dziękuję Mamie, Tacie, Lucy i pozostałym członkom mojej wyjątkowej rodziny – za miłość i wsparcie. A także mojej córce, Erin, która dostarcza mi tylu powodów do dumy, i mojej żonie, Sharlé, która dodaje mi siłę, ilekroć zaczynają mnie dręczyć Wątpliwości – czyli za każdym razem, gdy siadam do komputera. Dziękuję wam obu, że dotąd nie zwariowałem.

Wreszcie największe podziękowania składam wam, moi czytelnicy. Bez waszego wsparcia Raker nigdy nie wyszedłby poza etap pomysłu zanotowanego na skrawku papieru.

Przypisy

- ¹ Tytuł Ring of Roses nawiązuje do Ring a Ring o' Roses – rymowanki towarzyszącej dziecięcej zabawie, która przypomina „Kółko graniaste” czy „Baloniku nasz malutki”.